

James Tiptree, jr

Jasność sptywa z powietrza

Tłumaczył Marcin Kryger

Jak lód zimni przyszli, by przywrócić

Życiu i spotęgować strach

Okropieństw, co miały nie powrócić

Zrodzonych w dawnych dniach.

Banici, R.Kipling, 1914

Dla doktora Stevena Lipsiusa, niegdysiejszego chirurga polowego najwyższej klasy, tak w wyobraźni, jak i w rzeczywistości; uzdrowiciela o ludzkim obliczu wśród tłumu androidów z dyplomami wyższych uczelni - oraz przyjaciela, bez którego jasności byłoby niewiele, powietrza zaś jeszcze mniej.

OD AUTORA

Część Czytelników z zainteresowaniem dowie się, że podczas pisania tej książki (1983) bardzo rozrzedzona fala eksplodującej gwiazdy, tak jak w opowieści, przeszła przez nasz System Słoneczny, ogarniając również i Ziemię.

PODZIĘKOWANIA

Opisywane tu wydarzenia miały miejsce w Pierwszej Erze Gwiezdnej Ludzkości, kiedy galaktyczny stanowił faktycznie uniwersalny język ludzkości. Cała zasługa za przetłumaczenie tekstu na język

rekonstruowany jako starożytna mowa Ziemi, około roku 1985 czasu lokalnego, spada na moją szacowną koleżankę z Wydziału Języków Wymarłych Uniwersytetu Rigela, doktor Raccoonę Sheldon, której jestem też winna mą dozgonną wdzięczność.

I

Nowa minus 20 godzin:

Wszyscy na powierzchni Damiema

Świt subtelnie przeradza się w blask dnia na niewielkiej, uroczej planecie zwanej Damiem. Słońce, nazywane tutaj Yrrei, jeszcze nie wzeszło i na zabarwionym na perłowo niebie brak gwiazd; Damiem znajduje się bardzo daleko na Obrzeżu Galaktycznym. Na nieboskłonie widnieją zaledwie dwa światła. Jedno to wielka, szmaragdowa piękność o skomplikowanej strukturze, chyląca się ku zachodowi - Zamordowana Gwiazda. Drugie stanowi ognisty punkt, mknący wprost ku powierzchni planety.

Rozpościerające się na pierwszym planie lądowisko pokryte jest efektownymi polnymi kwiatami i najwyraźniej od dawna nie było użytkowane.

Na skraju polany, w cieniu giętkich gałęzi flagowca, zastygł w oczekiwaniu otwarty naziemny transporter pasażerski o napędzie elektrycznym, zaprzężony do płaskiej przyczepy towarowej. Troje ludzi, kobieta i dwóch mężczyzn, siedzi w przedniej części transportera. Ich wzrok utkwiony jest w opadający statek; nie zauważają małego zwierzęcia, chyłkiem podkradającego się do przyczepy. To elegancki,

welwetowo-szkarłatny pajęczak o średnicy około pół metra; Dameii nazywają go Avray, czyli "zagłada" albo "potworność". Jest niezwykle rzadki i nieśmiały. Teraz w mgnieniu oka znika we wnętrzu przycepy, czy też pod nią, podczas gdy ludzie zaczynają rozmawiać.

- Wygląda na to, że wysłali duży ładownik - mówi Córy

Estreel. •- Ciekawe, ilu dostaniemy nadprogramowo?

Córy przeciąga się - zadowolona z życia kobieta w kwiecie wieku, o nienagannych kształtach, obdarzona wspaniałym uśmiechem i lśniącymi brązowymi włosami. Jest pierwszym zarządcą federalnym oraz strażnikiem Dameii, a kiedy zachodzi potrzeba, również i zarządcą niewielkiego pensjonatu dla gości. Dostęp do Damiema jest bardzo utrudniony, z niezwykle ważkiego powodu.

Na miejscu kierowcy, obok Córy, Kipruget Korso - czyli Kip

- spod zmrużonych powiek obserwuje zniżające się ku planecie ognie. To zastępca zarządcy i strażnik oraz oficer łącznikowy przy Dameii, a także partner Córy.

Spojrzenie brązowych oczu Córy kieruje się na moment w bok, ku niemu, na jej twarzy pojawia się uśmiech. Kip to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, i chyba nie bardzo zdaje sobie z tego sprawę.

Jest od niej o parę lat młodszy, wyglądem idealnie pasuje do wzorcowego plakatu werbunkowego Sił Kosmicznych - potężna, szczupła postać, opalona, twarz o pogodnych szarych oczach, z których bije uczciwość, ciepły, szybki uśmiech i czarna, kędzierzawa grzywa. Przy pierwszym spotkaniu wzięła go za jeszcze jed-

nego pozera. Było to ponad dziesięć lat temu, podczas ostatniej demobilizacji. Rozglądała się za federalną posadą na jakiejś rzadko zaludnionej planecie, jak się okazało, podobnie jak Kip. Była odrobinę zaniepokojona, kiedy ten wspaniały okaz mianowany został jej zastępcą, dopóki inni astronauty nie poinformowali jej o jego prawdziwych dokonaniach w czasie wojny.

A potem okazało się też, że oboje rozglądali się także za kimś ich pokroju; w pierwszym roku pobytu na Damiemie oficjalnie ogłosili swe partnerstwo. Koniec drugiego już partnerstwa minął dobrych parę lat temu, lecz tutaj, sto minimów świetlnych od najbliższej FedBazy, po prostu pozostali w stałym związku.

Gdy tak spogląda na Kipa, uśmiech Córy poszerza się. Zapowiedź odwiedzin natchnęła go pomysłem wygrzebania z szafy świeżego ubrania; poszarzałego, niegdyś białego polowego stroju oraz cynobrowej chusty. Jeżeli wśród gości znajdzie się jakiś podejrzliwy osobnik - przychodzi jej na myśl - ten widok nielecho nim wstrząśnie. Ale sama nie ma prawa się odezwać, skoro ma na sobie szorty dokładnie ukazujące jej kształtne nogi; wcześniej zabroniła sobie zakładania ich ze względu na biednego Brama.

Oczekując tak w balsamicznym, słodko pachnącym powietrzu Damiema, Córy posuwa ukradkiem dłoń ku partnerowi. Zaraz jednak cofa ją, przypomniawszy sobie o mężczyźnie siedzącym załóżnie sztywno po jej drugiej stronie.

Doktor Balthasar Baramji ap Bye - dla przyjaciół Baram albo Bram - jest starszym ksenopatologiem i medycznym opiekunem

Dameii. To gibki, opalony na brązowo mężczyzna, starszy od Córy o kilka lat, o przedwcześnie posiwiałych włosach i lśniących, turkusowych oczach. W tej chwili z żarliwą zawziętością wpatruje się w podchodzący do lądowania prom.

- Jesteś pewna, że to duży model, Córy? - pyta.

- Absolutnie - upewnia go ciepło.

Kip chrząka na znak zgody.

- Odpalili silniki o jakieś pół minima za wcześnie. A ten czerwony poblask wokół ogni wylotowych, to ponadwymiarowa osłona ablacyjna. W tej okolicy trafiają się jedynie stare silniki raketowe. Wypalają wszystko. Mam tylko nadzieję, że nasi Dameii nie postanowią się wyprowadzić.

- Proszę, weź lornetkę, Bram. - Córy uważa, że będzie lepiej, gdy jak najszybciej wyzbędzie się niepewności.

Baramji nie cierpi na żadną chorobę, trapią go jedynie żądze, jakie są w stanie wpędzić w szaleństwo każdego pełnego wigoru mężczyznę, żyjącego w celibacie w towarzystwie szczęśliwie dobranej pary. Jego partnerka zginęła w kosmosie przed wielu laty, 1 przez jakiś czas pobyt na Damiemie mu pomagał. Czas zaleczył stare rany i teraz przymusowa surowość pędzonego żywota solidnie daje mu się we znaki.

- W pełni ujrzała wielkość jego cierpienia pewnej nocy, kiedy Kip wyjechał w podróż do Dalekich Dameii. Baram podszedł do niej, zaczerwieniony i spocony ze wstydu.

- Łamię kod, Cór, wiem. Wiem. Możesz mi wybaczyć? Jes-

tem pewien, że nigdy nie zamierzałaś - ale czasami wydaje mi się, albo śni - musiałem się upewnić. Och, Cór, Córy, piękna pani - gdybyś tylko wiedziała.

I umilkł, wszystkie jego uczucia wyraźnie malowały się w jego wspaniałych oczach, pięści wcisnął pod pachy, niczym dziecko powtarzające sobie, że nie wolno mu dotykać upragnionej zabawki.

Cała żywiona do niego przyjaźń pchała ją, by przynieść mu ulgę; kochała Barama głęboko niczym siostra. Była jednak w stanie wyobrazić sobie płynące z tego komplikacje, nieuniknione powtórki, fałsz zakradający się do ich grupy.

Co gorsza, u człowieka takiego jak Baram, ulga z zatrwajającą szybkością przemienić się mogła w miłość, co wyrządziłoby krzywdę im wszystkim. W rzeczy samej, wraz z Kipem podejrzewali, że problemy Brama mają swe źródło nie w łędźwiach, lecz w sercu, i że stara się zaspokoić je przyjaźnią z nimi oraz z Dameii.

Tak więc odmówiła mu, również bliska łez. Po jakimś czasie próbował jej za to podziękować.

A teraz czekają na najwyraźniej pokaźną grupę turystów. Za tą powiększającą się plamą ognia na nieboskłonie musi skrywać się niezamężna kobieta dla Barama! Podczas ostatniego najazdu turystów, pragnących obejrzeć przejście gwiazdy, Bram nie był jeszcze tak zdesperowany. Tym razem, podejrzewała Córy, nawet jaszczurzyca miałby według niego pewien urok.

Spoglądając w górę, oczy Córy mimo woli kierują się ku olbrzymiemu zielonemu wirowi Zamordowanej Gwiazdy, tam gdzie

zawsze stara się nie patrzeć. W rzeczywistości nie jest to gwiazda, a jedynie ostatnia fala eksplodującej materii wokół pustki na miejscu gwiazdy. Określenie gwiazda utrzymało się, gdyż przez dziesięciolecia wyglądała niczym gwiazdzisty punkt zielonego ognia, płonący na Obrzeżu w prawie absolutnej samotności, w najbardziej pustym kwadrancie nieba nad Damiemem.

Tymczasem, tak naprawdę jest to front nowej, zbliżający się do Damiema z olbrzymią prędkością, powiększający się wraz z pokonywaną przestrzenią. Z upływem lat z punktu stał się klejnotem, a teraz tą złożoną plamą światła, której obrzeża zajmują prawie połowę nieba. Dwie inne, zewnętrzne fale nowej przeszły już nad Damiemem, wywołując zapierające dech w piersi efekty świetlne na niebie, lecz nie stanowiąc większego zagrożenia. Tym razem przyszła kolej na ostatnią, wewnętrzną falę. Kiedy wzejdzie nad horyzontem dziś wieczorem, znajdą się w strefie epicentrum - a następnego dnia o tej samej porze ostatnie szczątki miną ich, odchodząc na wieki.

Tylko z Damiema ujrzyć można ten widok. Kiedy fale rozprzesztrzenia się na tyle, by osiągnąć inne światy, będą zbyt rozproszone, by można było dostrzec je gołym okiem.

- Hej - odpowiada Kip, podążając za spojrzeniem Córy - naprawdę szybko rośnie. I jest inna niż ostatnim razem. Może jeszcze zobaczymy prawdziwy pokaz.

- Mam nadzieję - mówi nieuważnie Córy. -- To taki wstyd, tylu ludzi przylatuje z tak daleka, by obserwować przejście fali

nowej - i nic, tylko ładne światełka.

- I zawirowania czasowe - odzywa się nieoczekiwanie

Bram - których nigdy nie zdarzyło mi się doświadczyć.

- Racja, byłeś pod osłoną.

- Z piętnastoma ciężarnymi Dameii.

- Aha. - Chichocze. - Ale to naprawdę nic wielkiego,

Bram. Mówiłam ci już - człowiek czuje się tylko jakiś taki kleisty przez minim czy dwa. Ale nie w czasie rzeczywistym.

- Teraz zbliża się do nas samo serce. Rdzeń - stwierdza Kip z nadzieją w głosie. - Coś musi się wydarzyć.

Kiedy Córy zadziera głowę ku górze, jej wargi zaciskają się kurczowo. Znowu to przekłęte przywidzenie. Cztery nitki celownika, zbiegające się z czterech stron świata, spotykające się na gwieździe, tworząc niezwykle cienki, czarny krzyż na tle nieba.

Za każdym razem tylko ona go widzi; nie jest to dla niej powodem do radości. Mruga mocno i iluzja znika. Jutro zniknie na dobre.

Od strony ładownika dobiega teraz również dźwięk - narażające zawrodożenie akcentowane odległymi uderzeniami. Jeszcze minim i będzie na ziemi.

Kiedy Kip pochyla się, by uruchomić silniki, dostrzegają nad sobą małą, bladą twarz o delikatnych rysach, spoglądającą w dół pomiędzy gałęzi drzewa. Za głową mającą olbrzymie, na wpół przeroczyste skrzydła.

- Witaj, Quiyst. - Córy mówi łagodnie w rozpluskanyim języku Dameii. Głowa odpowiada skinieniem i zwraca się w stronę



Kipa, z którym Dameii pozostają w bardziej przyjacielskich stosunkach.

- Powiedz swoim ludziom, żeby się nie bali - tłumaczy Kip.
- Ci goście przybywają tylko na parę dni, by obejrzyć gwiazdę.

Tak jak poprzednio. A czy ostrzegłeś wszystkich, by ukryli się w cieniu, kiedy zrobi się bardzo jasna? To już ostatnie przejście i może na nas spaść coś nieprzyjemnego.

- Ta-ak. - Nieskończenie piękny człowiek-dziecko wciąż spogląda powątpiewająco to na Kipa, to na nadlatujący ładownik, który zaczyna już podnosić w powietrze mętne kłęby pyłu. Quiyst jest stary; jego czysta, opalizująca skóra pokryta jest ledwie dostrzegalną siatką zmarszczek, przechodząca w skrzydła grzywa ma białe zabarwienie. Lecz cała jego postać i każdy ruch wciąż tchną pięknem.

- Nie martw się, Quiyst - mówi do niego Kip, przekrzykując hałas. - Nikt już was więcej nie skrzywdzi. Kiedy odejdziemy, przybędą następni, by was strzec, a po nich następni. Wiesz przecież, że dla pewności trzymamy tu nawet wielki okręt. Kiedy ci nowi ludzie odlecą, chciałbyś go odwiedzić?

Quiyst spogląda na niego enigmatycznym wzrokiem. Kip nie jest pewien, ile Quiyst usłyszał czy zrozumiał. Damei cofa głowę i obraca się, by uciec przed przerażającym widokiem zbliżających się płomieni i huku, od którego na pewno pękają mu uszy. Quiyst jest dzielny, przebywając tak blisko lądowiska. Płonące skrzydła to najgorszy spośród budzących grozę symboli Dameii.

- Nie zapomnij, ukryj swój lud przed światłem z nieba! -

woła za nim Kip. - I powtórz to Feanyai! - Lecz Quiyst już zniknął, niezauważalnie, tak jak się pojawił.

Kip uruchamia silniki i ruszają w stronę lądowiska. Moomowie, masywna, milkliwa, gruboskórna rasa obsługująca większość linii komunikacyjnych Federacji, słyną z fanatycznego przestrzegania rozkładu lotów, lądując i startując bez względu na to, kto albo co znajduje się pod nimi. Nie jest jasne, czy rozróżniają pasażerów od frachtu, tyle tylko, że fracht nie potrzebuje lodousypiacza. Ich obsługa naziemna jest niezwykle szybka.

Tworząc wielki krąg ognia i tuman kurzu, prom osiada na ziemi, płomienie zapalają się pośród ukwieconego poszycia. Kip prowadzi transporter tak szybko, jak tylko pozwala mu śmiałość. Ognie ledwie przygasły nad rozpalonym żużlem, a już otwiera się luk towarowy, zaraz po nim trap pasażerski, opierając się na ziemi nadal trochę za bardzo rozgrzanej, by jej dotknąć.

- Pewnego dnia usmażą paru pasażerów - mówi Kip. - Mam nadzieję, że nasze opony wytrzymają jeszcze jedno przypieczenie.

- Moomowie się tym nie przejmują - odpowiada Córy. - Wystarcza im "Gra w życie" i pilotowanie statków.

- Znowu coś się żarzy. Muszę się zatrzymać tutaj, bo inaczej strzelą opony.

Lornetka doktora Baramjiego skierowana była na statek podczas wszystkich wstrząsów i podskoków pojazdu. Kiedy się zatrzymują, nad zejściem otwiera się, wychylnie na zewnątrz, luk pasażerski, przesuwany gigantycznym, szarym ramieniem. Ramię cofa się, a ze

statku wyskakuje kompletnie łysy, odziany na czerwono mężczyzna, obładowany sprzętem holowizyjnym, zbiega po trapie na dół i odwraca się w stronę ładownika. Bijący od gruntu żar wydaje się go deprimować; cofa się przy użyciu skomplikowanych kontrolerek, pośpiesznie dostrajając swe kamery, podczas gdy z wnętrza dochodzi przeciągłe porykiwanie sygnału alarmowego.

- Gotowe, dzieciaki! - woła. - Uważajcie - ziemia jest gorąca!

Baramji sapie głośno. Przez luk przechodzi młoda dziewczyna, piękna jak marzenie, o srebrzystych blond włosach, ubrana w strój, będący w wyobraźni jakiegoś projektanta mody typowym odzieniem badacza obcych planet. Strój, który ukazuje równie wiele, jak zaślania. Jedną dłoń przykładła do gardła, jej wielkie oczy rozszerzają się, gdy niepewnie stąpa w dół trapu.

Minim później Baramji wydaje z siebie mimowolny, chrapliwy jęk. Za dziewczyną podąża postać - przystojny młodzieniec, o czuprynie tak czarnej, że aż granatowej, odziany w taki sam idiotyczny kostium. Usłużnie odprowadza ją na miejsce, gdzie ziemia zdążyła już bardziej ostygnąć.

Chwilę później powtarza się ten sam scenariusz, tyle że tym razem pierwszy wychodzi szczupły blondyn o rozjaśnionych słońcem włosach. Porusza się falującym krokiem, dziwnie przygarbiony, i zaraz odwraca się, machając ponagląco dłonią. Piękna czarnowłosa dziewczyna, o oczach płonących fioletem nawet z tej odległości, pośpiesznie podbiega do niego i potulnie pozwala mu

zaprowadzić cię raczej bezceremonialnie, do pozostałych. Widziana z bliska, twarz chłopaka nabiera wyrazu sennej, zawadiackiej złośliwości. Ta para ubrana jest identycznie jak poprzednia.

- Przypieką się w tych butach - mruczy Kip. Podnosi nieco głos. - Tutaj! Przynieście tutaj swoje rzeczy! Chodźcie, pora wsiadać!

Baramji wzdycha posępnie.

- Mówiłaś, że ilu ich tam jest, Córy?

- Dziesięcioro... poczekaj, znowu coś odbieram. Może ich być więcej. Hej, witamy!

Na trapie pojawia się dosyć młody ludzki chłopak, nienagannie odziany w miniaturową wersję męskiej wizytowej tuniki. Na jego głowie widnieje dziwnie wymięta wełniana czapka, zwieńczona trzema złotymi piórami. Słyszcząc nawoływanie Kipa, zeskakuje z rampy - teraz widzą, że jego buty, choć ozdobne, są przyzwoitej jakości - i dźwigając swą torbę, podbiega do nich, by zaraz zgrabnie wsiąść do transportera, pozdrawiając ich skinieniem głowy i uśmiechem. Uśmiech ma ujmujący, podobnie jak sposób bycia, zaskakująco ułożony jak na kogoś, kto nie może mieć więcej niż dwanaście lat. Skoro tylko znajduje dla siebie miejsce, odwraca głowę i zaczyna przypatrywać się pierwszej czwórce z zauważalnym niepokojem.

Teraz wysiada dwóch starszych mężczyzn. Pierwszy z nich jest wysoki, mocno zbudowany, o ceglastoszarej skórze. Za nim kuśtyka niewielki gnom o krzaczastej siwej czuprynie, ubrany w staro-

świecki płaszcz i spodnie. Wydają się sobie obcy. Obaj najpierw rozglądają się w poszukiwaniu gwiazdy, następnie spoglądają w stronę luku bagażowego, a dopiero potem stosują się do poleceń Kipa.

Kolejne porykiwania - i następne sapnięcie od strony doktora Baramjiego.

Na rampie pojawia się solidnie złożone, zasłonięte parawanem łóżko szpitalne, wyposażone w kompletny zestaw do podtrzymywania życia - butelki na stojakach, baterie, pompy - niechętnie prowadzone przez młodego majtka z załogi. Obok niego kroczy obłok brązowego, skrzącego się złotem muślinu, ukazującego raczej, niż kryjącego kobietę.

I to jaką kobietę! Niewysoką, o nieskazitelnie kremowej skórze, ognistych czarnych oczach, przywodzących na myśl haremy starożytności, przepysznie ciemnych lokach ułożonych w koafiurę, która, jak podejrzewa Córy, stanowi ostatni krzyk mody, stromym biuście ponad talią wąską jak u osy i dojrzałych, owalnych biodrach. Jej dłonie są drobne i ozdobione chmarą klejnotów, a równie maleńkie palce u stóp osłonięte welwetem. Według szacunków Córy ledwie co pozostawiła za sobą wiek młodzieńczy. Jedna z małych dłoni zaciska się zaborczo na łóżku, choć na rampie wyraźnie czuje się niepewnie. Dobrze słyszeć jej słodki głos, kiedy dziękuje Moomowi; oczywiście nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Lornetka Baramjiego z głuchym odgłosem uderza o podłogę transportera.

- Tam leży pacjent! - woła ochryple, przeskakując przez burtę i co tchu w piersiach pędzi w stronę zjawiska.

- No, no! - powiada Kip. - Chciałbym wiedzieć, do jakich bogów modlił się Bram.

Pojawienie się Barama na rampie powitane zostaje promiennym uśmiechem, na który składa się taka mieszanina ulgi, podziwu i uwodzicielskiego czaru, że doktor, z tej gotowości niesienia pomocy, wydaje się rozpuszczać nad łóżkiem na oczach wszystkich.

Obaj Korsowie chichoczą pogodnie.

- Zakładam, że pacjent nie stanowi najmniejszego zagrożenia

- rozważa Kip. - Posłuchaj, masz coś przeciwko temu, że jeszcze raz poznęcam się nad oponami i podprowadzę przyczepę bliżej tego łóżka? Moomowie za nic w świecie nam nie pomogą, przez to świństwo nie da się go przetoczyć, a coś mi szepcze do ucha, że ono waży co najmniej tonę.

- Masz zielone światło. O, popatrz. Wciąż jeszcze coś się dzieje

- mówi Córy, kiedy przejeżdżają przez krąg wciąż jeszcze na wpół rozżarzonych węgli. Luk nad ich głowami pozostaje otwarty, dobywają się z niego odgłosy kłótni między ludźmi a Moomami.

Kiedy zatrzymują się przy łóżku, na rampę wychodzi rozczochrany młody blondyn o wściekłym wyrazie twarzy. Za nim podąża wysoki, ciemny mężczyzna o wąskich ramionach, wyglądający na trzydzieści parę lat i okryty długim, ciężkim płaszczem ciemnego koloru.

W połowie drogi blondyn odwraca się, wymachując pięścią w kierunku luku.

- Podam was do sądu! - wrzeszczy. - Podam do sądu waszą kompanię! Zrujnowaliście pracę mego życia - wysadzając mnie na jakiejś zafajdanej planecie, o której w życiu nie słyszałem, chociaż wszystkie moje kwity opiewają na Grunions Rising! - Potrząsa trzymanym w garści plikiem kwitów podróżnych i szarpie za swój modny sportowy kaftan, który przekrzywił mu się na plecach. - Uniwersytet wytoczy wam za to proces!

Z wewnątrz nie pada żadna odpowiedź.

Tymczasem człowiek w płaszczu omija krzykacza i dalej schodzi po trapie. Chociaż zachowuje się cicho, jego wąskie wargi są mocno zaciśnięte, a w blisko osadzonych oczach płonie złość. Wysoki kołnierz jego płaszcza ozdobiony jest biegnącymi równolegle srebrnymi zygzakami, buty zaś posiadają identyczny emblemat na cholewach, co sprawia, że jego strój wygląda niczym mundur nieznannej formacji wojskowej.

Ignorując Kipa, kieruje się wprost do luku towarowego. Blondyn, rozejrzawszy się w zdezorientowaniu dookoła, krzyczy:

- Tylko żebyście wystawili cały mój bagaż! - po czym rusza w ślad za nim.

- A, tak - mówi Kip. - Właśnie sobie przypomniałem.

Wiecie, kto to jest ten w płaszczu? Akwamanin!

- Że co? - pyta Córy. - Aqua - woda - mówisz o tych ludziach ze skrzelami? Nigdy nie oglądałam ich z bliska.

- Można by pomyśleć, że kieruje się na Grunions.

- Taak... cóż, rzeczywiście wygląda na to, że zaszła jakaś

pomyłka.

- Na statku Moomów? Mało prawdopodobne.

U szczytu rampy pojawiła się odziana na biało postać, o og-  
niście rudych włosach - szczupła dziewczyna z dystynkcjami ofi-  
cera pokładowego na koszuli. W dłoni trzyma niewielką torbę. Mo-  
że to być jedynie oficer logistyczny statku. Najwyraźniej na pokładzie  
nie ma już więcej ludzkich pasażerów, tak więc może zatrzymać  
się tu, na Damiemie, dopóki statek nie powróci z Grunions Rising,  
by zabrać ich wszystkich do domu.

Co mogło się przydarzyć pasażerom lecącym na Grunions?

Kiedy tylko stopy dziewczyny stają na ziemi, rampa wsuwa  
się do wnętrza statku, a luk zatrząskuje się z hukiem. Otwarty pozo-  
staje jedynie luk bagażowy.

- Co razem czyni trzynastu -- podsumowuje Córy. - Mu-  
siała zdecydować się na zejście z pokładu, by obejrzeć gwiazdę  
i wrócić na statek w drodze powrotnej.

- Z wyglądu sympatyczny dzieciak, i ma ekstra włosy -  
stwierdza Kip. - Posłuchaj, pomogę Bramowi wepchnąć ten wó-  
zek na pokład. Moomowie z obsługi frachtu zajmą się torbami,  
ale tego nie tkną. Zgoda? - Wysiada, wołając: - Hej, ludziska,  
łapcie bagaże ł w te pędy wsiadajcie do transporterów! Ładownik  
wystartuje zgodnie z ich harmonogramem, nawet jeżeli będziecie  
stali bezpośrednio pod dyszami. Formalnościami zajmiemy się  
później - teraz wszyscy na pokład!

Dwaj starsi mężczyźni znaleźli już swój bagaż i potulnie niosą



go w stronę transportera; torba karzełkowatego staruszka wyposażona jest w jeden z tych nowoczesnych, zabójczo drogiech dryfów, tak więc daje sobie z nią radę, mimo kalectwa. Tymczasem tysi kamerzysta w czerwieni podbiega zaaferowany do Kipa.

- Jestem Zannez!
- Moje gratulacje. Wsiadaj pan.
- Widzę, że się nie rozumiemy, myr, eee, Korso, zgadza się?

Ta czwórka młodych ludzi to sławne na całą Galaktykę gwiazdy hologridu. Musiał przecież pan słyszeć o Absolutnie Perfekcyjnej Komunie?

- Niestety, nie, podobnie jak i o panu.
- Hej, dzieciaki! Wreszcie trafiliśmy na prawdziwe pogranicze! Nikt nas tu nie zna.
- Wiem tyle, że jeśli nie pozwoli mi pan odtransportować was na przyzwoitą odległość od ładownika, zostaną panu cztery galaktycznie usmażone gwiazdy rozrywki.
- Ale potrzebujemy osobnego samochodu, ma się rozumieć.
- Przykro mi, nic z tego. Mamy tutaj niewielki pojazd roboczy na prąd, ale nawet gdyby miał kto po niego pójść, za nic w świecie nie zdążyłby przyjechać przed startem statku i zamiast was stałby tutaj stertę węgielków.
- Tak, rozumiem, że istnieje słuszny powód do pos'piechu. Ale chyba mamy dosyć czasu, by nakręcić jedno krótkie ujęcie szefa tej planety, witającego dzieciaki?
- Hmm, jeżeli będzie naprawdę krótkie. Córy, możesz tu po-

dejsć na minim?

- Och, nie, nie pani - odzywa się do niej Zannez ostrym tonem. - Proszę się cofnąć.

Kip staje tuż przed nim.

- Posłuchaj pan, panie Jakiśtam. Ta pani, na którą pan właśnie wrzasnął, to zarządca planety. Nawiasem mówiąc, również moja partnerka. Albo zmieni pan ton, albo jedno jej słowo wystarczy, by statek Patrolu zabrał pana z planety i przetrzymał w karcerze do powrotu Moomów. Może też zająć cały pański sprzęt; ja również.

- Eh-eh - powiedział Zannez, ale nie wyglądał na szczególnie przejętego. Przez mgnienie oka wpatruje się intensywnie w Córy, przyglądając się jej długim, opalonym nogom, efektownie wypełnionym szortom poniżej talii, królewskim ramionom i szyi odsłoniętej przez lekką bluzkę. - Proszę posłuchać, ona jest fantastyczna, ale nie o to chodzi. Kobieta jako dowódca sprawia, że wszystko staje się no, mniej dzikie. A dwóch gospodarzy w Komitecie powitalnym tylko zdezorientuje publiczność. Uniżenie panią przepraszam. Z całego serca pragnę panią sfilmować - ale, czy pani partner nie mógłby po prostu powitać dzieciaki przy statku - powiedzmy - w pani imieniu?

- Och, na wielkiego Aferiona! Proszę bardzo: witaj, witaj, witaj, witaj - mówi Kip. - A teraz wolicie upiec się żywcem, czy wsiać do transportera? Nie będę z waszego powodu narażał pozostałych.

Ale Zannez jeszcze nie skończył.

- Chciałbym, żeby usiedli z przodu obok pana.

- Nic z tego. Musimy obsługiwać instrumenty. Siądziecie tam, gdzie reszta.

-- Cóż, a czy przynajmniej mógłbym zebrać ich koło siebie z tyłu? W ten sposób będę mógł sfilmować ich tak, jak gdyby byli sami.

- Dobrze, wsiadajcie.

Zannez, obładowany sprzętem, wciskając się do transportera, niespodzianie spostrzega chłopca.

- Och, nie! Nie wierzę własnym oczom.

- Och, tak. - Chłopiec się uśmiecha. - Czemu nie? Wie pan inni też chcieliby obejrzyć gwiazdę.

Jęcząc i potrząsając głową, Zannez odwraca się w stronę swoich podopiecznych, również wsiadających do pojazdu. Blondynka mijając go, mruczy coś pod nosem:

- Dziwne. Śniło mi się, że go widziałam.

Zannez chrząka i zwraca się do Kipa:

- Czy przyczepa z tym łóżkiem będzie nam zasłaniać widok przez cały czas? Może zostawilibyśmy ją po drodze i wrócili po nią później?

- Jeżeli kogokolwiek zostawimy, to pana - odpowiada beznamiętnie Kip i odwraca się, by pomóc Baramjiemu w umocowaniu łóżka.

Zannez przechodzi na tył transportera, za swoje gwiazdy, krzyżąc do Baramjiego:

- Hej, myr, jak ci tam, trzymaj się z boku, bo szlag trafi całe ujęcie. Myr Korso, proszę mu powiedzieć, żeby sobie przycupnął, skoro już musi tam tkwić.

- Sam sobie przycupnij - woła w odpowiedzi Bram. - I obróć kamerę w górę. Nie wie pan, że jeżeli w ogóle zobaczy pan jakichś Dameii, co jest mało prawdopodobne, zważywszy na jazgot, jakiego jest pan źródłem, to będą w górze? W górze, wśród drzew, jak większość form tutejszego życia. Teraz, Kip, ruszaj powoli. To, co mamy w środku, jest bardzo delikatne.

Podczas gdy Zannez przy cicha, Córy mówi:

- Trzynastu na pokładzie. Wszyscy usadowieni? Nikomu nic nie zginęło z bagażu?

Nikt się nie odzywa.

- W takim razie zielone światło. Kip, zabierz nas stąd.

Szum silników transportera przybiera na mocy i pojazd rusza z miejsca, z każdą chwilą szybciej.

- Niech bogowie czuwają nad tymi oponami - mówi Kip.

- Pojedziemy na gołych obręczach, jeśli będzie trzeba.

Z radia odzywa się głos Mooma. Transporter jeszcze bardziej przyspiesza, kołyszając się na boki.

- Ostrożnie, ostrożnie, Kip! - krzyczy Baramji z przyczepy.

- Nie da rady - odpowiada Kip.

Ledwie dojeżdżają na skraj pogorzelniska, kiedy w dyszach ładownika budzi się pomruk.

- Trzymajcie się!

Transporter, podskakując i szarpiąc, mknie jak strzała w stronę podjazdu i wreszcie bezpieczny nurkuje pod osłonę flagowców.

Pasażerowie widzą, jak ogień i para spowijają miejsce, gdzie znajdowali się jeszcze przed chwilą.

Z rozdzierającym uszy hukem stary ładownik unosi się na słupie płomieni i, nabierając gwałtownie szybkości, oddala się od powierzchni Damiema. Kip zwalnia i transporter jedzie teraz w miarę płynnie koleinami w skalistym podłożu. Droga z lądowiska nigdy nie została wyrównana.

- Kolejne eleganckie, spokojne wyokrętowanie pasażerów - komentuje Córy. - Jak na Moomów.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodziło, Zannez? - woła Kip.

Parę razy zerkał już we wsteczne lusterko. Za każdym razem Zannez znajdował się w jakiejś ryzykownej pozycji, filmując zbliżenia i panoramy, zmieniając obiektyw; jakoś udało mu się wyciągnąć jeszcze jeden aparat.

- Wiesz co, Cór, facet ma ohydłą osobowość, ale chyba musimy pochwalić go za poświęcenie.

- W jego zawodzie napastliwość jest chyba nieodzowna. -

Nie może powstrzymać się przed kolejną uwagą - Zauważyłeś, że choć ci młodzi są piękni, jest w nich coś nienaturalnego? Wszystko przesadzone. I tacy szczupli!

- Tak, widywałem już im podobnych. Nie potrzebuję żadnych gwiazd hologridu, skoro mam ciebie, Córy.

- Ach, Kip, ciekawe, jak tam sobie radzi Bram?

- Cóż, przynajmniej jego hurysa ze snów nie wyleciała za burtę. Tak dla twojej wiadomości, wszystko, co ma na sobie, jest prawdziwe albo mój kurs mineralogii był jednym wielkim oszustwem. Mamy na holu jedną wielką kupę galaktycznych kre-  
dytek. A jak myślisz, kto leży w tym łóżku? Nie udało mi się zajrzeć.

- Dowiemy się w pensjonacie.

- Dowiemy się wielu rzeczy. Mam nadzieję, że wszystko przypadnie nam do gustu.

II

Nowa minus 19 godzin:

Spotkania

Nawierzchnia poprawia się. Żółte słońce Damiema wschodzi, przestłonięte różową ławicą wieszczących dobrą pogodę chmurek, budząc całą feerię maleńkich tęcz wśród skroplonego rosą listowia.

Flagowce ustępują miejsca kwiecistym krzewom i jasnozielonym ptakodrzewom. Cała chmara ruchomych ptakoliści zrywa się z gałęzi i wiedziona ciekawością podąża w ślad za transporterem. Jak zwykle turyści są tym zachwyceni: nawet posępny akwamanin rozjaśnia się, gdy parę liści przysiada obok niego na krótki odpoczynek na burcie transportera.

- Szybko się znudzą i wrócą na drzewa, skoro tylko wejdziemy do środka - wyjaśnia Córy. - Jesteśmy na miejscu. Pensjonat Baza Damiem. Gwiazda wzejdzie nad tym jeziorem, tam z tyłu.

Obejrzymy ją sobie z tarasu nad brzegiem.

Znajdują się teraz na kolistym podjeździe, bujnie obrośniętym wokół kwiatami, w objęciach półkolistego, jednopiętrowego budynku. Na jego tyłach teren obniża się gwałtownie ku jezioru, o leśnym brzegu. Pensjonat składa się z obszernej, centralnie usytuowanej sali, o wysokim suficie i z dwóch krótkich skrzydeł, odchodzących w przeciwną stronę. Wzdłuż całej długości frontonu ciągnie się prosta, otwarta arkada. Na dachu centralnej sali, tuż obok niewielkiej kopułki - najwyraźniej obserwatorium - zainstalowany jest pęk anten. Po lewej stronie głównego budynku znajduje się schludnie utrzymany garaż i warsztat, po prawej kępa drzew o liściach przypominających paprocie; wśród ich konarów spostrzec można zarysy uplecionego z wikliny domku. Wszystkie dachy kryte są strzechą.

Główne dwuskrzydłowe drzwi centralnej sali są otwarte na oścież, a raczej ich dolne partie; podchodząc bliżej, turyści zauważają, że mają one i górne części, które po otwarciu umożliwiają przejście istotom co najmniej dwukrotnie wyższym od człowieka, i że frontowa arkada odpowiednio się tam podnosi.

- Jak uroczo - wykrzykuje karzełkowaty człowieczek.

Zannez wodzi kamerą na boki.

- Tubylcy to zbudowali? - pyta.

- Nie - odpowiada Córy. - Ma pan przed sobą budowniczych większej części tego kompleksu. Poprzedni lokator, pierwszy strażnik, wzniósł jedynie dwa główne pomieszczenia. I nie należy,

powtarzam, nie należy nazywać tutejszą ludność tubylcami. Mieszkańcami tego świata są Dameii. Jak być może już pan zauważył, jedna rodzina Dameii mieszka wśród drzew za naszymi plecami, lecz wyłącznie dla lepszego wzajemnego zrozumienia. Nie wykonują żadnych prac fizycznych w pensjonacie. Ci z was, którzy mogą, sami wyładują i wniosą do środka swoje bagaże. Pomożemy wam w miarę możliwości, lecz dodatkowa trójka niespodziewanych gości oznacza, że musimy się trochę zakrzętnąć, by kilka pokoi na końcach obu skrzydeł budynku uczynić zdatnymi do zamieszkania. Kippo, może zaprowadzisz ich do środka i rozlokujesz, podczas gdy ja zajmę się wstępną krzątaniem?

- Nie ma sprawy, kotku - zgadza się Kip - tylko się nie przemęczaj. Ja tu jestem od tego. W porządku, myrrin, witamy w Pensjonacie Dameii. W salonie oczekują na was przekąski i coś nieszkodliwego do picia - naprawdę nieszkodliwego; alkohol zaraz po lodousypiaczu zwałiby was z nóg. Być może nawet przepilibyście gwiazdę. Skomponowaliśmy bezalkoholowy napój Dameii, który powinien wam przypaść do gustu.

Mówiąc to, wprowadza ich do środka, do obszernej centralnej sali, czyli salonu. Ściany wyłożone są głównie przezroczystym vitrexem. Po lewej stronie ciągnie się długi bar, z blatem z wypoilerowanego do połysku drewna, o pięknym wzorze słoje, oraz inne urządzenia gospodarskie; po prawej widnieją niewielkie koliste schody, niewątpliwie prowadzące do obserwatorium na dachu. N

przeciwno wejścia znajdują się dwuskrzydłowe drzwi z vitrex;



otwierające się na taras nad jeziorem. Pomieszczenia po obu stronach stanowią najwyraźniej stałe kwatery załogi. To po lewej oznakowane jest czerwonym krzyżem na drzwiach, starym symbolem wciąż jeszcze rozpoznawalnym, jako oznakowanie miejsca gdzie uzyskać można pomoc lekarską. Na drzwiach z drugiej strony widnieje tabliczka z napisem "Admin".

Kiedy kierują się ku ustawionym wzdłuż baru krzesłom, ich buty powodują w pomieszczeniu dziwne echo. Spoglądając w górę odkrywają tego przyczynę: od spodu strzecha wyłożona jest grubą warstwą izolacji antyradiacyjnej.

Kip rozprostował wydruk z komputera i rozłożył go na barze, by zerkać na niego, rozdając tace z przekąskami i rozlewając słodki napój do subtelnych szklanek w kształcie muszli.

- Te naczynia to dzieło Dameii - mówi do nich. - Obrabiali szkło na setki pokoleń przed... eee... kontaktem. Dopełnijmy teraz wymaganych formalności, a ja zabawię się w zgadywanke - Momowie nareszcie przestali ogólną listę pasażerów. Waszą gospodynią, a zarazem kierowniczką tej imprezy, jest Corrisón Estreel-Korso, pierwszy zarządca federalny. Ja nazywam się Kipruget Korso-Estreel, jestem zastępcą zarządcy i oficerem łącznikowym przy Dameii. Nasz oficer medyczny to starszy ksenopatolog Baltasar Baramji ap Bye, na co dzieki doktor Baram. Nie dajcie się zwieść siwym włosom. Naszym oficjalnym zadaniem jest ochrona Dameii, ustanowiona po tym, jak okropności wyrządzone im przez ludzi wyszły na jaw i siłą położono im kres, mamy też do dyspo-

zycji wsparcie ze strony Patrolu.

- A teraz - skłania się przed zjawą w beżowych woalkach
- nie myślę się, mam nadzieję, zakładając, że zwracam się do markizy damy Parda - eee, proszę o wybaczenie Parda-ljan-czes, to jest damy Pardalianches, z Krańca Tęczy?

Kobieta potwierdza to pełnym wdzięku gestem.

- Wraz z... hm... siostrą? Brak imienia.
- Zgadza się. Moja siostra to dama Paralomena, moja nie-szczęсна bliźniaczka. Przed kilku laty przydarzył się jej straszny wypadek podczas jazdy wierzchem. W rezultacie została kompletnie sparaliżowana, lecz pozostaje przytomna- musi pan mi uwierzyć, myr Korso, niektórym ludziom nie mieści się to w głowach. Na szczęście moje zasoby pozwalają mi utrzymywać ją w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej, w oczekiwaniu dnia, który kiedyś nadejdzie - wiem, że tak się stanie - kiedy się w pełni zbudzi. Przywiozłam ją tutaj w nadziei, że niecodzienne promieniowanie waszej gwiazdy dokona tego, czego nie potrafili lekarze.

Kip podchodzi do osłoniętego zasłonami łóżka.

- Czy wolno mi ją zobaczyć, damo Pardalianches? Nie jest to jedynie próżna ciekawość - aczkolwiek ciekawi mnie to bardzo - gdyż mogłaby pani skrywać tam uzbrojonego człowieka albo niebezpieczne zwierzę.
- Ach, cóż za pomysł! Moje kochane biedactwo. Proszę bardzo, skoro pan musi. - Delikatnie rozchyła dla niego zasłony na cal czy dwa. Kip zagląda do wewnątrz, jego oczy rozszerzają się,

zanim się wycofuje.

- Mógłbym... mógłbym przysiąc, że po prostu śpi. Jest nie-  
zwykle piękna.

- Och, tak, myr Korso. Widzę, że jest pan człowiekiem ro-  
zumiejącym moje uczucia. Ona rzeczywiście jedynie śpi. Lecz to  
nie wszystko. Zauważył pan jej czapkę ze złotej siatki?

- Jedynie w ogólnym zarysie.

- Ja również taką noszę, pod moją fryzurą. - Dotyka swych  
grubych loków. Wszystkiego doświadczamy razem. To produkt ba-  
zujący na najświeższych zdobyczach nauki. Nie pozwolę, by stała  
się bezrozumnym warzywem.

Kip przetyka głośno ślinę.

- Oczywiście.

- Teraz zaś - mówi dama - jako że obie jesteśmy zmę-  
czone po tej wyczerpującej podróży, czy mogłybyśmy udać się do  
któregokolwiek z przygotowanych pokoi? Nie mam szczególnych  
wymagań. Przywiozłam oczywiście własną zmianę pościeli.

- Przydzieliliśmy pani apartament A. - Kip wskazuje na le-  
wo, za bar. - Sama nazwa to żart, nie mamy żadnego apartamentu  
B. Zazwyczaj sypia tam doktor Baram. Może zechce pomóc pani  
się urządzić.

Baramji, usadowiony przy łóżku z miną właściciela, prawie że  
upuszcza tacę, zrywając się z miejsca.

- Oczywiście, że służę pani pomocą. W każdej chwili.

Reszta grupy odprowadza ich cokolwiek zdumionym wzrokiem

w ciszy, a potem spojrzenia kierują się na powrót w stronę Kipa.

- Była rzeczywiście piękna - niczym zdrowa, uśpiona piętnastolatka. Lecz jeżeli są bliźniaczkami - to sprawa musi się ciągnąć od dwudziestu lat. Aż mnie dreszcz przechodzi. I to już absolutnie wszystko, co zamierzam powiedzieć na ten temat. A teraz, idąc na łatwiznę - Zannez Beorne i czworo aktorów, płci obojga. Blondyn o dziwnym wyrazie twarzy wydaje z siebie nosowy śmiech. Obsada programu gridowego skupiła się razem przy drugim końcu baru.

- Zgadza się - odpowiada Zannez. - Może to zabrzmieć dla pana dziwnie, ale mijało już bardzo wiele czasu, odkąd przebywałem wśród ludzi, którzy nie słyszeli o Absolutnie Perfekcyjnej Komunie - wie pan, każdego wieczoru oglądają nas miliardy ludzi w całej sieci, czasami odnoszę wrażenie, że znają Komunę lepiej niż własne rodziny. Tak więc trochę wyszedłem z wprawy, jeżeli chodzi o prezentację. Ja jestem Zannez Beorne - nikt nie zwraca się do mnie po nazwisku - kamerzysta i kierownik produkcji tej czwórki. Zaczniemy chyba od dziewcząt. - Kładzie palec na głowie srebrnej blondynki, jak gdyby zamierzał nią zakręcić. - Pozwolę sobie przedstawić Stareem Fada. Naszą Star - jedną z gwiazd.

- Hej! - Na ustach blondynki pojawia się ujmująco skromny uśmiech.

Kip spostrzega, że mały chłopiec również się uśmiecha, podnosząc głowę znad talerza i rozglądając się dookoła, spokojnie,

a jednocześnie jak gdyby odrobinę wyzywająco. Co w nim siedzi?

- Ta zaś młoda dama - Zannez odchyła się do tyłu tak, by wszyscy mogli dojrzeć czarnowłosą piękność - to Eleganza.

Brunetka uśmiecha się postusznie, lecz nagle wybucha:

- Nie jestem Eleganza! Nazywam się Bridey McBannion.

Zannez odchrząkuje.

- I skończysz, gotując pomyje dla dwóch setek dzieciaków w kuchni dla ubogich, Bridey. Jeżeli potrafisz wymyślić coś lepszego niż Eleganza, co, jak przyznaję, nie jest szczególnie trafione, nie krępuj się. Ale Bridey McBannion - jeżeli raz jeszcze usłyszę to imię...

Intensywnie czarnowłosy chłopak wtrąca się:

. - Myr Zannez, proszę się nie denerwować. Ma pan mnie.

- I niech cię bogowie za to pobłogosławią. Myrrin, pozwólcie sobie przedstawić Hannibala Eka, syna Caesara i Jocelyn Ek, który na chrzcie otrzymał imię Hannibal w dziesiątej diecezji Orange World. Oto Hannibal Ek, E-k. To zaś Snake Smith.

- Jesteśmy razem - odzywa się Hannibal. - Lubię, kiedy jest to jasno postawione.

- Snake Smith to również nie jest prawdziwe imię - kontynuuje Zannez. - Urodził się w rodzinie wesołków, którzy tak często zmieniali mu imię, że nie sądzę, by ktoś je jeszcze znał.

Przynajmniej nie ja.

- A ja tak - wtrąca Snake Smith. - I jeśli ktokolwiek się o nim dowie i go użyje, zabiję go za to.

Nieoczekiwanie jego twarz przybiera ów charakterystyczny, zło-

śliwy, sennie morderczy wyraz, zupełnie jakby założył maskę. Kip z zaskoczeniem konstatuje, że to jest maska. Kiedy chłopak nie przybiera tej miny, która najwyraźniej stanowi część odgrywanej przez niego w programie postaci, jest całkowicie normalnym, dosyć pogodnym i przyjaźnie wyglądającym młodym człowiekiem, i nieważne, skąd wzięły się u niego te malowniczo skośne oczy. Przechwytnąc skierowane w swoją stronę spojrzenie Kipa wybucha przyjemnym śmiechem, który zaraz przechodzi w zgryźliwy rechot.

- Cóż, to by było na tyle - mówi Zannez. - Jakoś nie wydaje mi się, by dama Pardalianches miała nam za złe, że na nią nie zaczekaliśmy. Ja natomiast z żalem muszę zrezygnować z poznania reszty z was z pierwszej ręki, ponieważ, Kippo, chciałbym, żebyś pozwolił mi oprowadzić dzieciaki po okolicy i nakręcić parę scen. Być może został nam już tylko jeden normalny dzień. Ale jeżeli nasze pokoje nie są gotowe, czy możemy jakoś pomóc?

- Nie - odpowiada Kip. - Akurat wasze trzy są już przygotowane. Wystarczy pójść arkadą w stronę apartamentu A, a zaraz za nim znajdziecie numer pierwszy, drugi i trzeci - wszystkie, jakie są w tamtym skrzydle. A jeszcze lepiej, jeśli wyjdziecie na taras i odszukacie je od tej strony - wszystkie pokoje mają drzwi zarówno na taras, jak i na arkadę. - Machnięciem ręki wskazuje im odległe drzwi, otwierające się na brzeg jeziora.

Podnosząc się, Zannez przypomina coś sobie.

- A tak przy okazji, co to za efektowna, wielka purpurowa tarantula zeskoczyła z przyczepy, kiedy tu przyjechaliśmy? Wielka

na jakieś tyle - Rozkłada ręce na szerokość krzesła. - Jeżeli

jest oswojona, chciałbym zrobić parę ujęć - byle nie po zmroku.

- Oswojone pająki? - pyta brunetka wysokim głosem.

Kip marszczy czoło.

- Nie, to nie było oswojone - mówi powoli i uśmiecha się

do dziewczyny. - Ale gdybyśmy trzymali tu jakieś zwierzęta, pra-

wie na pewno byłyby to pajęczaki, bo nie ma tu innych zwierząt

naziemnych takich rozmiarów. Jest pan pewien, że był purpurowy,

myr Zannez?

- Słowo honoru. Miałem trochę szczęścia, wpadł mi prosto

w wizjer. A co, złapaliśmy coś niezwykłego?

- W pewnym sensie tak. Są bardzo rzadkie. Ale kompletnie

nieszkodliwe -• Córy udało się nawet poklepać jednego, na któ-

rego się napatoczyliśmy. Ale Dameii boją się ich jak ognia, w ich

mniemaniu stanowią zapowiedź śmierci, tylko jeszcze gorzej...

Nie mam pojęcia, czego ten szukał na przyczepie, chyba że ma

gniazdo w garażu. A niech to! To oznacza, że będę musiał je wy-

kopać i wynieść w jakieś bezpieczne miejsce, zanim zobaczą je

nasi Dameii i wyprowadzą się. Córy będzie miała opory, na pewno

chciałaby obejrzyć młode... Naprawdę trafiło się panu szczęśliwe

ujęcie.

- Co może być gorsze od śmierci? - dopytuje się lekkim

tonem skośnooki chłopak.

- Dla nich to poważna sprawa - odpowiada Kip dziwnym

tonem. - Nie jak nasze białe gattos. Muszę oficjalnie was popro-

sić, wszystkich co do jednego, byście zatrzymali to dla siebie. A teraz, myr Zannez - Kip wyprowadził ich na taras - może pan filmować wszystko, tak długo, dopóki będzie się pan trzymać z daleka od zagajnika i domu Dameii - słyszy mnie pan? I proszę nie planować niczego poważniejszego, bo tuż przed południem zamierzamy zabrać was na wycieczkę do wioski Dameii. Tutejsze dni mają trzydzieści standardowych godzin. Będziecie mieli mnóstwo czasu na wypoczynek, zanim rozpoczniemy obserwację gwiazdy - Nie, proszę poczekać. - Zwraca się do chłopca, który uważnie wszystko obserwował, a teraz wychodzi w ślad za grupą Zanneza. - Ciebie jeszcze nie przedstawiłem.

- Oczywiście. - Chłopiec uśmiecha się, wraca na miejsce i na nowo zabiera się za jedzenie.

Pulchny blondyn, który na lądowisku groził przewoźnikowi procesem, odzywa się nagle:

- Zapewne to nasze pokoje nie zostały przygotowane.

- I mój - dodaje rudowłosa dziewczyna z dystynkcjami oficerskimi.

- Cóż, to prawda - odpowiada jej Kip. - Chociaż akurat pani nie stanowi problemu, myr Linnix, zgadza się? Zakwaterujemy panią w moim gabinecie, w sąsiednim pomieszczeniu, skoro tylko posprzątam z łóżka parę okazów fauny i flory. Ale chwileczkę, na tej liście jest tylko pani imię.

- To dlatego, że nie przyjęłam żadnego innego na stałe - wyjaśnia Linnix. Potrząsa ognistą głową, jak gdyby naprzykrzał



się jej jakiś natrętny owad. - Tak więc wszyscy zwracają się do mnie po prostu Linnix. Tak jest nawet na liście płac. - Uśmiecha się przekornie. - W świecie komputerów przytrafia mi się Linnix MFN NCN, nawet NN Linnix. Co kompletnie wszystkich konfunduje. Jestem wszakże dosyć zmęczona, a mam za sobą nielichą awanturę, jak to zapewne opowiedzą myr Yule i doktor Hiner. Jeżeli pozwoli mi pan przełożyć pańskie materiały, przydałaby mi się cicha drzemka.

- Jak najbardziej... Zaraz pani pomogę - mówi Kip i prowadzi Linnix do drugiego skrzydła, do małej sypialni, którą wykorzystywał jako laboratorium. Na miejscu przekonują się, że Córy zdążyła tam już uporządkować.

- Zajrzę do pani, kiedy nadejdzie pora wycieczki. - Zaciąga zasłony, by przyciemnić pokój. - Dobrej nocy.

- Dziękuję - odpowiada mu jej senny głos.

Miły dzieciak, myśli. Ale o jakiej awanturze mówiła?

Kiedy wraca do salonu, młody blondyn, nazywający się Mor-decai Yule, aż rwie się, by go oświecić.

- Grunions Rising! Proszę, zobaczcie! - Rozkłada swój plik kwitów.

Kip niewiele słyszał o Grunions Rising, tyle tylko, że to najbliższy i ostatni zarazem świat tu, na Obrzeżu. Wodny świat.

- Czyli jest pan badaczem wodnych światów? Podróżuje pan razem z, hm, doktorem Hnerem?

- W życiu go nie widziałem przed tym wypadkiem - od-

zywa się pogardliwie szczupły, ciemnoskóry akwamanin. - Jestem członkiem oficjalnego zespołu badawczego, przygotowującego ogólnogalaktyczne sprawozdanie na temat światów, nadających się do kolonizacji. Naszym zadaniem jest sporządzenie pierwszego - i, muszę dodać, boleśnie niezbędnego - prawdziwie wyczerpującego, uwspółcześnionego wydania *Aquatica Galactica*. Zjawiam się tutaj w pojedynkę, gdyż, skoro zakończyliśmy naszą wspólną pracę nad światami kandydackimi klasy A i B, w głosowaniu postanowiliśmy, że nadeszła pora, by się rozdzielić i indywidualnie zbadać klasę C, w skład której wchodzi bardzo odległe, albo też w wątpliwy sposób opisane, czy też z innych powodów mało wiarygodne kandydatury. Wybrałem Grunions Rising jako ostatni przystanek na mojej trasie, którą, nawiasem mówiąc, już ukończyłem.

- Teraz zaś, ku mojemu nie dającym się wyrazić przerażeniu, ląduję na waszej planecie, absolutnie nie leżącej w sferze moich zainteresowań, i dowiaduję się, że nie zdążę przyjąć kolejnej dawki lodousypiacza, by ruszyć w dalszą drogę na Grunions. A jeżeli będę czekał tutaj na kolejny statek oblatujący Obrzeże, nie tylko zrujnuję harmonogram prac całego zespołu, lecz nie zdołam wnieść wkładu do badań nad nowo odkrytym kandydatem wobec którego żywimy wielkie nadzieje.

- Całkowita, odrażająca klęska. Cios dla mej pracy, i niewątpliwie również dla mojej reputacji - cios dla pracy zespołu, marnotrawstwo funduszy projektu - i wszystko to nie do odrobienia. Jedynym wyjaśnieniem tej sytuacji może być niedbalstwo - nie-

wybaczalne niedbalstwo ze strony tej młodej kobiety, która uważa się za oficera. A jakże, wymachiwała dwiema pustymi strzykawkami z etykietami Grunions - ale wystarczyłby minim, by opróżnić ich zawartość do utylizatora i pozbyć się dwóch kompromitujących strzykawek do Damiema. Nie widzę żadnego innego wyjaśnienia, chyba żeby winą obciążyć linię przewozową, która nigdy, powtarzam, nigdy - słyszał pan kiedyś o takim przypadku? - nie dopuściła się podobnego zaniedbania. I niewątpliwie dopilnuję tego, by AA wystosowało stanowcze żądanie wszczęcia wobec niej postępowania dyscyplinarnego. My, akwamianie, nie pozwolimy się bezkarnie tak traktować, zapewniam pana.

Splata ramiona na piersi.

- Cóż, przyznaję, że wygląda to źle - mówi Kip. - Ale nie osądzajmy tej dziewczyny zbyt pochopnie. W końcu pracownicy koncernów chemicznych robią pomyłki, jak wszyscy ludzie. Zakładam, że mniej więcej tak samo wygląda i pański przypadek, myr Yule?

- Och, jest gorszy - znacznie gorszy. Hiner ma swój doktorat i swoją reputację i jeśli będzie musiał, może poczekać na następny statek. Ale ja przyleciałem tutaj na doktoranckim stypendium badawczym, ograniczonym czasowo - i teraz nie wiem, co mam począć, myr Korso?

Gniew w jego głosie ustępuje miejsca niemalże łzom.

- Część o Grunions Rising miała stanowić centralną os' całej mojej dysertacji - wybrałem tę planetę po części dlatego, że nikt tam nie bywał od czasów starej AG, a teraz pan zamierza ją opra-

cować, Hiner. Pewnie ukaże się drukiem, zanim w ogóle tam dotrę - jeżeli kiedykolwiek tam dotrę - więc, mówiąc zwięźle, jestem zrujnowany. Po prostu zrujnowany. Och, ta nieznośnie zarozumiiała dziewczucha i jej strzykawki...

Przerywa, wzdychając raz za razem.

Kip sądzi, że powinien odczuwać przynajmniej odrobinę współczucia, lecz jakoś przekonuje się, że obaj nie przypadli mu do gustu. Perspektywa udzielania jednemu z nich albo i obu gościny, do czasu przybycia następnego statku, przeraża go.

- Zobaczmy, jak daleko uda się nam zejść przy użyciu radia, w obu sprawach. - Zmusza się, by zabrzmiało to serdecznie. - Nie jest wykluczone, że Patrol mógłby okazać się pomocny. Tymczasem przynajmniej zjawiliście się tutaj tuż przed rozpoczęciem się niezwykle interesującego fenomenu astralnego i znajdujecie się na planecie, na którą wielu ludzi pragnęłoby się dostać za wszelką cenę.

Tak właśnie jest, mówi do samego siebie. I to bez kontroli.

- I jestem równie zdziwiony jak wy -- dodaje na zakończenie. - Nigdy dotąd nie słyszałem o podobnym błędzie przy ustalaniu portu docelowego i nie znam nikogo, kto spotkałby się z takim przypadkiem. Czy wy, myrrin - zwraca się do dwójki starszych mężczyzn - słyszeliście kiedyś o czymś podobnym?

- Nie - odpowiada beznamiętnie wysoki, mocno zbudowany człowiek.

- Nigdy - oznajmia karzeł. - Nigdy, nigdy, przenigdy! I nie wierzę też, by była to sprawka tej dziewczyny. Z czysto prakty-

cznego punktu widzenia ludzie zdolni do popełniania błędów takiego formatu nie robią tego tylko raz. Nigdy nie doszłaby aż do starszego oficera logistycznego, gdyby dopuściła się czegoś w tym stylu choćby raz - nawet nie mówiąc o recydywie... A tak nawiasem mówiąc, zapewne musi pan mieć problemy z identyfikowaniem nas - jestem doktor Aristrides Ochter, na starość specjalista amator od gwiazd nowych. Moja poprzednia praca, z której odszedłem na emeryturę pięć standardowych lat temu, związana była z teoriami neocybernetycznymi. Nowe zawsze mnie fascynowały, więc postanowiłem spędzić resztę czasu, jaki mi jeszcze pozostał - spogląda szybko na swe udo - na przyglądaniu się im na własne oczy. Nie mam rodziny, dla której mógłbym oszczędzać, rozumie pan. I nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo cieszę się na dzisiejszy wieczór!

- W takim razie pan musi być my r... - Kip zwraca się do małomównego mężczyzny.

- Ser Xe Vovoka - poprawia go przybysz. Wyraźnie wyczuwając, że taka prezentacja jest raczej niewystarczająca, Vovoka dodaje powoli: - Jestem artystą światłorzeźbiarzem. -- Uśmiecha się przełotnie, a wtedy jego twarz nabiera zupełnie odmiennego wyrazu. Kip przypomina sobie, że "ser" stanowi grzecznościową formułę, oznaczającą status nieco wyższy niż "doktor". Nie zwracać się do niego per "myr".

Odwraca się do chłopca, który przysłuchuje się uważnie z upierzoną czapką na kolanach, jednocześnie rozprawiając się z czwartą

dokładką przekąsek.

- W takim razie ty musisz być księżę Pao?

Chłopak - raczej około lat jedenastu, dziesięciu nawet, niż dwunastu - kiwa potakująco głową.

- Czy moglibyśmy poznać twe pierwsze imię, księżę?

- To właśnie ono. - Chłopiec przełyka przeżuwany kąsek

i uśmiecha się wesoło. - Jeżeli pragnie pan być w zgodzie z wy-

mogami protokołu, jestem księżę Książę Pao. To bardzo wszystko upraszcza. Zajmuję się poznawaniem wszystkiego, zanim zmuszo-

ny będę powrócić do domu, do moich obowiązków - jego u-

śmiech znika na moment. - Modlę się o długie życie dla obecnego

władcy. Planeta Pavo to jedynie niewielkie księstwo, lecz jedno-

cześnie stanowi coś na kształt centrum dyplomatycznego, finan-

sowego i rozjemczego. Problemy! - Odrzuca włosy na tył głowy

i nasuwa na czoło swą ozdobną czapkę, tak że złote pióra trzepoczą

gwałtownie. - W obecnej chwili pragnę obserwować gwiazdy!

- Gwiazdy, rozumiem - powtarza odruchowo Kip, wcale nie

będąc pewnym, czy naprawdę wszystko pojmuje. - W takim razie

kwatery, którą ci wyznaczaliśmy, na górze, w obserwatorium, po-

winna przypaść ci do gustu. Co prawda to jedynie łóżko.

- Fantastycznie! - Mały księżę wyciąga rękę. - Tam na górze?

- Zgadza się.

Chłopak podnosi z podłogi swą niewielką torbę podróżną, któ-

ra, z wyglądu sądząc, kosztowała fortunę, i rusza z nią po spiral-

nych schodach.

- Dam sobie radę sam, dziękuję. Kazałem spakować jedynie najpotrzebniejsze rzeczy.

Znika na górze dokładnie wtedy, gdy do salonu wkracza Córy, spuszcza rękawy.

- Cóż, myślę, że udało mi się uczynić to pomieszczenie zdającym do zamieszkania dla was obu, młodzi ludzie, pod warunkiem że Kip pomoże mi przenieść łóżko, a wam nie przeszkadza dzielenie pokoju. Jesteście...

- Doktor Nathaniel Hiner i myr Mordecai Yule - podpowiada jej Kip.

Z ponurymi minami zgadzają się bez słów na taki układ.

- To ostatnie pomieszczenie we wschodnim skrzydle. - Córy wskazuje na skrzydło, gdzie śpi Linnix. - Przekonacie się, że z krzyżaków i vitrexu można skomponować całkiem udane meble.

- Niepotrzebnie robiłaś to wszystko, kochanie. Zakładam, że ser Vovoka i doktor Ochter zostaną umieszczeni w osobnych pokojach?

- Jak najbardziej. To te dwa, między twoim laboratorium, a krańcowym. Właśnie stamtąd trzeba wynieść łóżko. Proszę wszystkich za mną.

- Na rozkaz - odpowiada wesoło mały Ochter. Pozostali, w milczeniu, nie zdradzając oznak rozbawienia, dźwigają swe bagaże, ruszając za nią wzdłuż arkady do swych pokoi. Vovoka ma spać obok Linnix, dalej Ochter, a na końcu Yule z Hinerem. Dodatkowe łóżko znajduje się w niewielkim pokoiku Vovoki. Wy-

konane jest z miejscowego drewna i jest bardzo ciężkie; Kip i Córy  
mozolą się, by je wymanewrować na zewnątrz.

Nikt nie ofiaruje się z pomocą, dopóki Vovoka nie rzuca nagle  
swej torby i nie chwyta za łóżko w połowie jego długości. Ze zdu-  
mieniem oboje stwierdzają, że zostają wraz z meblem wywleczeni  
pod arkadę.

- Dziękuję - sapie Córy. - Wielkie nieba, ser Vovoka, ależ  
z pana siłacz!

Tyle że mówi do zamkniętych drzwi. Artysta porzucił łóżko  
pod arkadą i schronił się w swoim pokoju.

- No, tak! - mówi Kip. - Myr Yule, doktorze Hiner, skoro  
to łóżko jest dla jednego z was, może zechcielibyście nam pomóc?

- Gdybym tylko ja mógł - wtrąca kulawy stary doktor Och-  
ter, spoglądając znacząco na Yule'a.

Tak zachęceni, obaj odkładają bagaże i łóżko wkrótce stoi w nie  
wykończonym pokoju, który wygląda teraz na zdatny do zamie-  
szkania.

- Jeden minim, myrrin - odzywa się Kip po wyjściu Ochtera.

- Jest mi niezmiernie przykro, ale regulamin wymaga od nas skon-  
trolowania waszego bagażu. Nie mamy wyboru. Pozostali przeszli  
przez to samo w Centrali. Jeżeli tego nie zrobimy, stanowić to będzie  
podstawę do wyciągnięcia wobec nas konsekwencji dyscyplinarnych.

- Och! To już ostatnia kropla - krzyczy Yule. - Jeszcze  
jedna zniewaga, tylko tego brakowało.

- Może na dodatek zamierzacie nas przeszukać? - pyta ja-



dowitym tonem Hiner.

- Jak najbardziej. - Kip staje za jego plecami. - Przykro mi.

- Z wprawą nabytą w czasie wojny przesuwa dłońmi po ciele wzdrygającego się odruchowo Hiner, poklepuje go po kieszeniach.

- Nam nie podoba się to jeszcze bardziej niż wam. - Córy stawia ich torby na nowy stół z vitrexu. - Gdyby jeszcze dali mi skaner. Naprawdę doceniamy waszą gotowość do współpracy.

Wyraz twarzy Yule'a i Hiner ukazuje jasno, że ich chęć do "współpracy" wypływa w głównej mierze z dominującej postury Kipa i zauważalnie wyższej sprawności fizycznej obojga Korsów.

Przy sobie nie mają niczego podejrzanego, ich bagaże zaś zawierają jedynie przedmioty niezbędne każdemu podróżnikowi, oraz mnóstwo wielofunkcyjnego sprzętu nagrywającego i ekwipunku do przebywania pod wodą. Na minim zaniepokojenie obu Korsów budzi brak butli z tlenem, pompy czy sprzętu do nurkowania w torbach Hiner. Oczywiście! Hiner musi jedynie odstąpić skrzela i wskoczyć do wody. Aż się włos jeży.

Kip przypomina sobie oglądane w przeszłości ilustracje: u akwaman osłony skrzeli wspierają się na dwóch okazałych, mięsistych fałdach, biegnących spod uszu aż za obojczyki. Same osłony są twarde i zrogowaciałe, otwierają się z jednego boku niczym muszle małży, by umożliwić wodzie obmywanie natleniających tkanek. Dlatego akwamanie na łodzi noszą wysokie kołnierze, jak ten przy płaszczu Hiner.

Akwamanin to triumf starodawnej ludzkiej inżynierii genetycz-

nej, zdolny do rozmnażania się drogą naturalną. Mieszane związki z ludźmi również są zdolne do płodzenia dzieci, lecz, tak zbiegiem okoliczności, jak i wskutek obopólnej niechęci, spotkania między przedstawicielami tych ras na gruncie towarzyskim należą do rzadkości. Kip zastanawia się przelotnie, jak wyglądają ich kobiety.

Tymczasem Córy, gmerająca wśród skafandrow piankowych Hintera, natrafia na pojemniki zawierające sprężony gaz, mogące służyć do miotania obiektów dowolnego kształtu i przeznaczenia.

- Co to takiego, doktorze Hiner?

- Czysty tlen - na wypadek, gdybym trafił na strefę bez-tlenową, bagno i tym podobne. Czy naprawdę zamierza pani powyracać wszystko, co tak pieczołowicie zapakowałem?

Kip zauważa zmarszczki na czole Córy i wie, że bardzo chciałaby mieć teraz pod ręką ten skaner. W tej zbieraniu pojemników kryć się może wszystko -- nie wspominając nawet o wyściółkach, uchwytach, obiciach i obco wyglądającym sprzęcie elektronicznym.

- To wspaniała muzyka, zazdroszczę panu - mówi Córy miękkiem tonem, odczytując jeden z tytułów.

- Gdzie z tymi łapami! Proszę uważać - wyrzuca z siebie Hiner.

Kip odchrząka głośno.

Z ostatniej torby Córy wyciąga przedmiot ze szkła i brązu, po czym obwąchuje go uważnie.

- Myr Yule, do czego to służy?

- To starożytne nargile - odpowiada ponuro Yule. - Moja

fajka wodna.

- Spala liście roślin?
- Roślin? O, tak.
- Bardzo mi przykro, ale zmuszeni jesteśmy to zatrzymać na czas pańskiego pobytu na tej planecie. Oczywiście, nie miał pan o tym pojęcia, ale Dameii są potwornie wrażliwi na dym zawierający dwutlenek węgla w dowolnej formie. Przywiózł pan jeszcze coś do palenia?

- Nie. Eee... kilka cygar.
- Poproszę również i o nie. I może zechce pan także sprawdzić swoje kieszenie. Benzynowe zapalniczki są tak samo niebezpieczne.
- Ale przecież nie będę palił przy nich! Bardzo lubię fajeczkę przed zaśnięciem, a oni nie wchodzą chyba do środka?

Pałeczkę przejmuje Kip.

- Proszę posłuchać, nie robilibyśmy tego, gdyby nie było to konieczne. Skoro myr Córy mówi "potwornie wrażliwi", to tak właśnie jest. Dorośli Dameii mogą stracić przytomność po wejściu do pokoju, w którym palono parę dni wcześniej. Sam dym działa na nich niczym cios w potylicę - dla dziecka może okazać się zabójczy. Jak pan myśli, dlaczego poruszamy się pojazdem z silnikiem elektrycznym? Nie możemy nawet smarować go węglowodorami. Ogień to dla nich najgorszy z możliwych symboli, rodem z koszmarów nocnych. - Uznaje, że może opuścić fragment o płonących skrzydłach.
- W końcu udało się nam przekonać jedną rodzinę Dameii,

by zamieszkała w pobliżu ludzi, i nie zamierzamy dopuścić do tego, by ich przepędzono. Potrafię pana zrozumieć, sam paliłem, zanim tu przyjechałem. Niemniej jednak zechce pan natychmiast przekazać nam wszystkie materiały łatwopalne. Zwrócimy je panu nietknięte przy wyjeździe.

Dosyć potulnie Yule gromadzi garść zawiniętych w folię przedmiotów, które Córy wzięła za wskaźniki poziomu dwutlenku węgla w atmosferze.

- A pan, myr - doktorze Hiner?
- Nie palę, ale skoro oni są tak wrażliwi, skąd czerpicie energię elektryczną? Zakładając, że korzystacie z generatorów wodnorodowych jak wszyscy, jak podgrzewacie wodorki?

Hiner nie jest głupi.

- Dysponujemy federacyjną baterią zagrzebaną trzysta metrów pod pensjonatem. Trzeba było przebić szyb od strony brzegu, pod linią wody.

Hiner gwizdże z podziwem.

- Było to kosztowne, ale dla uratowania sytuacji na planecie żadne nakłady nie wydawały się zbyt wygórowane. Usłyszy pan o tym.

Hiner kiwa niechętnie głową, Córy zaś i Kip oddalają się, uprzednio udzieliwszy Yule'owi jeszcze jednego surowego ostrzeżenia.

- Ten smarkacz zatrzymał parę dla siebie - mówi do niej Kip, skoro tylko zatraskują się drzwi. - Znam palaczy. Na szczęście wieje Vyrre i znosi wszystko od nich w naszym kierunku.

- Dlatego właśnie Wyrra się tam pobudował. - Córy uśmiecha się nerwowo. - Szkoda, że umieściłam ich od strony Dameii.

Może powinnam...

- Może byś sobie usiadła. - Kip chwyta ramię partnerki mocnym uściskiem, by uniemożliwić jej dalszą krzątaninę, i niemal wlecze ją z powrotem do salonu, wyśpiewując po drodze: - Odwiedziny w wiosce Dameii tuż przed południem solarnym. Zostaniecie wezwani.

Wyglądając na podjazd, dostrzegają Zanneza ze swoją trupą, zmierzających do przygotowanych dla nich pokoi w drugim skrzydle.

- A co mamy myśleć o nich? - mruczy Córy z jedynie na wpół żartobliwą miną, kiedy docierają do swego prywatnego pokoju za drzwiami z tabliczką "Admin".

- Bardzo dziwna zbieranina - odpowiada refleksyjnym tonem Kip. - Cóż, pamiętasz tę bandę czcicieli Śpiącego Boga, jaka trafiła się nam za pierwszym razem?

- Ho, ho! - Córy potrząsa energicznie swymi gęstymi brązowymi włosami.

- Ciekawe, czy jeszcze w ogóle zobaczymy Brama? - Ton głosu Kipa ulega zmianie. - A skoro już o tym mowa, jeżeli zarządca planetarny dysponuje wolną chwilą, mam pewien problem, który wymaga jej niepodzielnej uwagi.

Znacznie później, po długiej chwili bez słów, Córy odsuwa się od niego.

- Jeden minim, kochanie, muszę pójść na górę i połączyć się z Patrolem.
- Hę? Dlaczego?
- Żeby pozbyć się z planety tych dwóch, którzy dostali się tu bez sprawdzenia.
- Co takiego? - Kip bierze ją ponownie w objęcia. - Poczekaj, kotku. Zastanów się. Czy aby nie przesadzasz? Dlaczego uważasz, że ich wersja wydarzeń nie jest wiarygodna? Nie zauważyłem niczego, co mogłoby nasuwać podejrzenia, że nie są sobie obcy albo że jedynie udają niechęć do pobytu na Damiemie. A ty? Hm?
- Nie. Ale lodousypiacz nie zawodzi tak po prostu, sam z siebie, Kip. Pytałam tę logistkę, nigdy nie słyszała o przypadku błędnego oznakowania ampułek. I to od razu dwa przypadki, właśnie tutaj, na jednej jedynej planecie, gdzie pomyślne przejście kontroli i zgoda Centrali są nieodzowne.
- Dwa błędy są równie prawdopodobne jak jeden, skoro się nad tym zastanowić. A zawinili ludzie. Wszystko, czego tknie się człowiek, prędzej czy później zaczyna odstawać od ideału.
- Zgoda. Ale pozostaje faktem, że pozwoliłabym dwóm nieuprawnionym osobom pozostać na powierzchni Damiema.
- W takim razie proszę bardzo. Ale Dayan ci za to nie podziękuje, chciał przesunąć krążownik bliżej nowego satelity nadawczego sieci, tak by jego ludzie mogli obejrzeć sobie finał rozgrywek. A statek Moomów wróci tutaj prawie równie szybko. Ech, kochanie, daj spokój.

Córy wzdycha ciężko, spoglądając kochankowi w oczy. Wie, że ustępuje zbyt łatwo, powodowana uczuciami, ale widzi sens w jego słowach.

- Naprawdę uważasz, że tak będzie w porządku, Kip?
- Naprawdę, Córy, moja miłości.
- Cóż, w takim razie niech tak będzie. Och, Kip.

Później uspokaja wyrzuty sumienia, umieszczając wszystkie fakty w raporcie z lądowania, nadanym rutynowym kanałem do kapitana Dayana z Rimshota.

III

Nowa minus 12 godzin:

Pierwsze spotkanie

Melodyjny dźwięk, rozbrzmiewający w całym pensjonacie ma swe źródło we wspaniałym kryształowym gongu i młoteczku zawieszonym przy głównym wejściu. Zaraz po nim rozlega się pogodny głos Kipa, wzywający wszystkich na odprawę:

- Wszyscy chętni do odwiedzin u Dameii, proszeni są o wejście na pokład! Odjeżdżamy, skoro tylko zapełnimy pojazd.

Stoi przy transporterze, od którego odłączono już przyczepę.

Jego zwykle beztroski uśmiech zdradza tym razem śladowe napięcie. Jak przy każdej wizycie turystów, targają nim sprzeczne uczucia; jest szczęśliwy, widząc, jak Jego" Dameii oczarowują innych ludzi - lecz czy aby ci obcy docenią ich piękno i kruchość?

Czy rozumieją, jakiego dostąpili zaszczytu? A może zrobią coś

prostackiego, co wzburzy Dameii i zniszczy więź, zacieśnianiu której poświęcił wszystkie minione lata? To całkowicie racjonalna obawa, powtarza sobie w duchu. Damiem to jego pierwsze poważne, samodzielne zadanie w nowej dla niego roli ksenologa i nie zamierza pozwolić na to, by ktoś mu je zrujnował.

Linnix, robiąca wrażenie znacznie bardziej wypoczętej, dołącza do niego pierwsza, tuż za nią podąża Zannez i jego czwórka młodych ludzi. Mały księżę Pao zbiega truchtem z obserwatorium, a Hiner nadciąga arkadą.

- Ten gong to kolejne dzieło Dameii - wyjaśnia im Kip.
- Efektowny, nieprawdaż?

Hiner przypatruje się gongowi, marszcząc brwi.

- Jak formują szkło, skoro tak bardzo boją się ognia?
- Dobre pytanie - odpowiada Kip. - Znalezienie prawidłowej odpowiedzi mogłoby zająć nieco czasu: soczewki optyczne. Trudno uwierzyć, czego potrafią dokonać w słoneczny dzień przy użyciu paru soczewek. Ponadto w całej okolicy znajdują się pokazne złoża naturalnego szkła wulkanicznego wysokiej jakości; ich przodkowie obrabiali go niczym obsydian, płatkując i szlifując. Wciąż jeszcze z grubsza go obłupują, zanim sięgają po soczewki, by uzyskać pożądaną formę; chyba że akurat potrzebna im jest forma do odlewów albo wydmuchiwania. Dużą wagę przywiązują też do dźwięków. Mają całe orkiestry złożone z kryształowych instrumentów perkusyjnych. Dysponujemy wspaniałymi nagraniami, odtworzę dla was kilka. Chciałbym, byście mogli wysłuchać ich



na żywo, ale Dameii nie grają przy obcych.

- A dokładnie dlaczego są tacy nieśmiali? - pyta Zannez.

Kip posyła mu ciężkie spojrzenie.

- Czyżby pan naprawdę nie wiedział? Czy słowa "Gwiazdne Łzy" coś panu mówią? Gwiazdne Łzy? Gwiazdne Łzy?

- Eeee, nie. Był chyba taki mityczny egzotyczny napój.

- Dokładnie. Cóż, kiedy już napatrzymy się na wioskę, opowiem panu całą historię. Rozumie pan chyba, że nie uda się nam podejść zbyt blisko. Będziemy ich obserwować z drugiej strony wąwozu. Lepiej niech pan zabierze ze sobą swój najmocniejszy sprzęt. Jedziemy tam teraz, bo zbliża się pora, kiedy dzieci przylatują do domu ze szkoły; wtedy najłatwiej przyjrzeć się mieszkańcom wioski. Co do opowieści, to muszę pana ostrzec, że nie należy do przyjemnych. Nawet ja sam nienawidzę o tym mówić. Pańskie dzieciaki mogą ciężko to przeżyć, zwłaszcza Starcem i, eee... Eleganza. Zerka na księcia Pao, by utwierdzić się w opinii, że ten młody człowiek jest wystarczająco zahartowany.

- Po Gridworldzie? - Starcem chichocze, co dziwnie kontrastuje z jej delikatnymi rysami. - Mało prawdopodobne.

- W porządku, ale nie chcę być odpowiedzialny za wasze koszmary. A teraz, Zannez, nie poluj na najlepsze miejsca w transporterze. Na miejscu wysiądziemy i ostatni etap podróży pokonamy na piechotę. Ich uszy nie znoszą hałasu silnika; gdybyśmy podjechali pod samo urwisko, czekałaby na nas jedynie pusta wioska.

Wesołym krokiem nadchodzi Córy z bidonami pełnymi soku

i chowa je do wnętrza transportera.

- O co chodzi z tymi koszmarami? - pyta dobrodusznie mały doktor Ochter, kuśtykając w ich kierunku.

- "Gwiazdne Łzy". Zannez chciał się dowiedzieć, dlaczego Dameii są tacy płochliwi. Opowiem o tym wszystkim, którzy będą chcieli mnie wysłuchać, skoro tylko obejrzymy wioskę.

- Och. - Człowieczek błyskawicznie poważnieje. - Oczywiście. To stało się właśnie tutaj, prawda? I to jest ta rasa. Och, mój... Cóż, z radością poznam prawdziwą wersję wydarzeń po wszystkich tych plotkach i niedopowiedzeniach.

- A tak przy okazji, doktorze, czeka nas mała wspinaczka, jakieś pół kiloma. Noga nie będzie panu za bardzo dokuczać?

- Dam sobie radę - Ochter uśmiecha się krzywo, poklepując się po kieszeni kamizelki. - Mam przy sobie zastrzyk na specjalne okazje, a to niewątpliwie jedna z nich. A co z naszą damą i jej siostrą?

- Zostają w pensjonacie - odpowiada Córy. - Damę Par-dalianches interesuje jedynie dzisiejszy wieczór i wpływ gwiazdy na stan zdrowia jej siostry. - Uśmiechając się, dodaje na boku, tak by słyszał ją jedynie Kip: - Tak powiedział Bram. Przez drzwi. Wychodzi na to, że dama uważa, iż jej siostra powinna otrzymywać solidną porcję bodźców zewnętrznych.

Oboje śmieją się życzliwie, ciesząc się szczęściem swego starego przyjaciela.

Zjawia się ser Vovoka i podejrzliwie łapie okiem na transporter.

- Teraz będziemy mogli ukazać panu piękno godne pańskiego artystycznego zmysłu - mówi do niego Kip. - Dameii uważani są za jedną z najpiękniejszych ras humanoidalnych, aczkolwiek tak naprawdę wyewoluowali z form owadopodobnych.

Vovoka chrząka w dosyć uprzejmy, jak na siebie, sposób.

- Superowady, co? - zdumiewa się Zannez. - Tak jak te pająki? Olbrzymie modliszki?

- Nic z tych rzeczy; proszę sobie nie robić nadziei na jakieś nowe kosmiczne potwory. Z cech owadzich, poza skrzydłami i trzema parami sprawnych kończyn, pozostały im pewne elementy konstrukcji żuchwy oraz ślady zewnętrznego pancerza. To jedna z tajemnic Damiema, nad rozwiązaniem których pracuję.

- Myr Corso - odzywa się nagle Hiner. - Z żalem muszę wyznać, iż obawiam się, że zmuszony będę zrezygnować z udziału w wycieczce. Czuję się znacznie gorzej, niż sądziłem.

W rzeczy samej, Kip zauważa, że twarz Hintera przybrała zielonkawą odcień bladości.

- Ojej, jaka szkoda - powiada Córy. - Czy możemy coś dla pana zrobić?

- Nic, absolutnie nic. - Spojrzenie akwamanina kieruje się ku chłodnemu błękitowi jeziora. - Może to dlatego, że już od dłuższego czasu przebywam na stałym lądzie. Mam nadzieję, że nie sprawię kłopotu, jeżeli popłynę sobie podczas waszej nieobecności?

- Ależ nie - a ja przyniosę panu dodatkowe ręczniki, kiedy

tylko wrócimy. Że też wcześniej o tym nie pomyślałam!

- A skoro już o tym mowa - dodaje Kip - my zwykle chodzimy na tę małą plażę, tam po lewej stronie. W takim jeziorze jest pełno pniaków, a tam oczyściliśmy trochę dno. Ten zaś fragment, zaraz za pensjonatem, uważany jest za jego najgłębszą część - ale niedługo będzie pan wiedział o nim więcej od nas. Pierwsza ekipa badawcza miała w swym składzie wodnika - przepraszam, miałem na myśli akwamanina; nie znalazł żadnych niebezpiecznych węży ani ryb, a i my na nic takiego się nie natknęliśmy. Tak więc, przyjemnej kąpieli.

Hiner oddała się bez słów ze zgarbionymi ramionami, jak gdyby było mu zimno, choć dziefi jest ciepły.

- Może trochę przesadził pan z robalami, szefie - odzywa się Hanno Ek.

- Hę? Aha - mruczy Zannez. - Zapomniałem.

- Co takiego? O czym zapomniałeś? - pyta Kip.

- O robalach. Owadach - wyjaśnia Hanno. - On jest wodnikiem, to znaczy akwamaninem.

- No i... Chyba nie nadążam, mów jaśniej.

- Sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą - mówi Hanno.

- O czym?

- Hanno, któregoś dnia ktoś cię utłucze, jeżeli czegoś z tym nie zrobisz. - Zannez uśmiecha się krzywo. - Wybacz mojemu synowi, Kippo. Ma na myśli to, że wszyscy akwamanie - wszyscy jak jeden mąż - nienawidzą, nie cierpią i boją się owadów. Męż-

czyźni, kobiety, dzieci, babki - wszyscy. To takie oczywiste, że jest nawet powiedzenie: "Kocham ją tak jak wodnik robale". Ludzie spoza ich planety nie wiedzą, skąd się to wzięło. Może jakiś potworny drapieżnik na jednym z pierwszych światów, jakie skolonizowali. Oczywiście nie rodzą się z tą fobią, ale przekazują z pokolenia na pokolenie, jako element tradycji. Ale nie ma w tym żadnego udawania. Czasami efekty specjalne są niesamowite. Widziałem, jak wymiotują, wpadają w furję, całkowicie serio. Na minimum zapomniałem o Hinerze, w przeciwnym razie nigdy bym o tym nie wspominał. Teraz popsuję mu wycieczkę.

- No, no! - odpowiada Kip. - Cóż, przez całe życie człowiek się uczy. Wiedziałaś o tym, Cór?

- Eeee tak, wiedziałam, że jest coś takiego. Ojej, myr Zannez, jaka szkoda. Może pańska bujna wyobraźnia zdoła wymyślić sposób zrekompensowania mu tego wstrząsu. Tymczasem pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że naprawdę pragnął popływać.

- Racja - przytakuje Kip. - A gdzie nasz drugi zesłany przez niebiosy apostoł, Yule? Nie pozwolę, byście wszyscy przepapili przyłot młodych tylko ze względu na niego.

- Pójdę go obudzić - ofiaruje się Snake. - Hej, oto i on.

Yule kroczy zamaszyście przez podjazd od strony zagajnika.

- Czy nie ostrzegałem pana, żeby trzymał się pan z daleka od tamtej okolicy? - naskakuje na niego Kip, skoro tylko Yule wystarczająco się zbliża. - Nie, chyba był pan już w środku, kiedy rozmawiałem o tym z Zannezem. Moja wina. Ale na przyszłość

niech wszyscy omijają tamtą kępę drzew szerokim łukiem.

- Tak? - pyta Yule. -• A co w nich takiego specjalnego?

- To dom rodziny Dameii, którzy zgodzili się utrzymywać z nami codzienne kontakty. Jeżeli ktoś zacznie się im naprzykrzać, po prostu się wyprowadzą.

- I co z tego? - pyta chamsko Yule.

Mały doktor Ochtera kładzie dłoń na ramieniu Kipa, by powstrzymać eksplozję.

- Młody człowieku, zakładam, że z jakiegoś powodu nie przeszkadza ci perspektywa czasowego zamieszkania w karczerze na pokładzie okrętu Patrolu. Niemniej jednak, pozwól, że wykorzystam mój status w świecie akademickim i zwrócę ci uwagę, że nie przeprowadzasz tu żadnych badań. Ponadto wciąż jeszcze znalazłoby się paru ludzi, szanujących opinie Ariego Ochtera, a w takim wypadku w przyszłości trudno by ci było uzyskać kredytyki na badania. Jeżeli jeszcze tego nie wiesz, znajdujesz się na planecie, gdzie rozegrała się tragedia "Gwiazdnych łez", więc od tej chwili zachowywać się będziesz dokładnie w myśl zaleceń przedstawicieli Federacji albo odbije się to nader niekorzystnie na twojej karierze.

Yule wysłuchuje tego w milczeniu i wydaje się, że reprimenda odniosła pożądaną efekt, dopóki nie słyszą, jak mruczy:

- "Gwiazdne łzy", co? Kupa szmalu. Wielka kupa szmalu.

- Nie interesuje nas twoja opinia. - Głos Ochtera trzaskającym biczem. - Zwłaszcza na ten temat.

\ Żołądek Kipa skręca się nerwowo. Widzi, że Córy nie słyszała

tej wymiany zdań, i żałuje teraz danej jej rady. A jednak co mógłby uczynić taki niezdarny idiota, nawet zakładając, że Hiner by mu pomógł. A Hiner wydaje się przykładać zbyt wielką wagę do wagi swej droгоценnej osoby, by knuć wraz z Yule'em jakiś dziki plan, który zakończyć się może jedynie katastrofą. Podczas gdy te myśli przebiegają mu przez głowę, Kip wsuwa się do transportera na miejsce kierowcy, przywołując ich gestem dłoni.

- Dzięki za pomoc, doktorze - mówi do kuśtykającego przez podjazd Ochtera. - Z jakim wyprzedzeniem musi pan zrobić sobie zastrzyk?

- Żadnym - uśmiecha się Ochter. - Słowa: "Jesteśmy na miejscu" wystarczą memu chemicznemu aniołowi na wypełnienie swej powinności.

Zannez i jego trupa siadają w rzędzie foteli tuż za Kipem i Córą. Kipowi robi się żal zapracowanego mężczyzny.

- Mamy wolne miejsce z przodu, Zannez, jeżeli to ci w czymś pomoże.

- To właśnie nazywam dobrym sercem - woła Zannez. -

Ek, ciebie sfilmowałem najmniej - przełaż do Korsów. Star, siadaj zaraz za nim, tak byś mogła objąć go za szyję.

Mały książkę Pao, przyglądający się im krytycznym spojrzeniem, kiwa głową do swoich myśli.

Druga młoda para siada za Starcem, podczas gdy Zannez wiska się w następny rząd, między Vovokę a Ochtera, obwieszony aparaturą.

- Piękne miejsca, Kippo. Postaram się nie wymachiwać wam sprzętem przed nosem, myrrin.

- Niech pan położy część obok mnie, z tyłu - proponuje zza jego pleców siedząca samotnie Linnix. Kip zauważył uprzednio, że zatrzymała się, by sprawdzić, gdzie usiadł Yule, zanim sama wybrała fotel.

Transporter rusza z miejsca. Nie skręca w stronę lądowiska, lecz podąża prosto przed siebie, szeroką, równą aleją przez ukwieconą łąkę, pnącą się łagodnie ku pasmu niskich, zwieńczonych drzewami wzgórz.

- Pięknie i spokojnie, prawda? - pyta sardonicznym tonem Kip. - Tędy wiodła główna trasa gangów "Gwiazdnych łez" u szczytu ich ohydnej działalności. Przejazd został poszerzony podczas walk z wojskami federalnymi; usłyszycie o tym wszystkim na samym początku, Córy i ja, co jakiś czas wygrzebywaliśmy spośród kwiatów niewypały. - Podnosi głos. - Następne wzgórze to nasz cel, myrrin. Zatrzymamy się i wysiadziemy mniej więcej w połowie drogi, gdzie kończy się ta linia drzew.

Kątem oka dostrzega małego Ochtera, wyciągającego jak za sprawą magii, skrzynkę ze strzykawkami. Z wprawą, płynącą z długoletniego doświadczenia, dłoń doktora znika pod połą polowej kurtki, mierząc w udo. Przez jego twarz przebiega szybki skurcz bólu, a kiedy transporter zatrzymuje się, pusta strzykawka schowana jest już w szkatułce. Na co choruje? Rak miednicy albo kości udowej, zgaduje Kip. Nic przyjemnego. Ale człowieczek wydaje



się cieszyć życiem ze wszystkich sił, a ściganie nowych to nie najgorszy sposób na oczekiwanie końca.

- Przekonacie się, że szlaki wiodące na szczyt nie są szczególnie trudne. Sugeruję, żebyście obrali różne drogi podejścia. Tuż pod grzbietem traficie na biegnący równoległe do niego stary okop. Zejdźcie do niego i nie wstawajcie - powtarzam, nie wstawajcie. Jeżeli ktoś wstanie, odezwie się, albo choćby zahałasuje, czy spróbuje podczołgać się bliżej, zepsuje przyjemność wszystkim, a ja osobiście dopilnuję, by tego pożałował.

- Oczywiście Dameii wiedzą, że tu jesteśmy. Okop stanowi zaakceptowaną przez obie strony ostateczną granicę, której nie wolno nam przekraczać, i zanim zaczną się rozchodzić, czeka nas kilka wspaniałych widoków.

Rozdaje lornetki tym, którzy nie posiadają własnych.

- Pamiętajcie, by przyglądać się ich nagim plecom, między linią skrzydeł a miejscem, gdzie u ludzi zaczynałyby się pośladki. Jeżeli będziecie mieli szczęście, zobaczycie, jak pracują gruczoły. Dzieci będą wracać do domu bezpośrednio nad naszymi głowami, a rodzice będą na nich czekać na gankach. Samice są odrobinę większe od samców. Ich domy znajdują się wysoko wśród drzew, zwykle wokół głównego pnia albo w rozwidleniu konarów, gdzie zaczyna się najgęstsze listowie.

- Jak już mówiłem, poinformowaliśmy starszyznę o naszej wizycie i uzyskaliśmy ich zgodę, pod warunkiem że nie będziemy wywoływać zamieszania. Ale innym Dameii to się nie podoba.

Kiedy zaczną się nudzić tym, że się im przyglądamy, zaczną znikać z widoku. Większość z nich, tak naprawdę nie odleci ani nie schowa się w głównej chacie, ale Dameii na drzewie są w stanie zniknąć dosłownie na waszych oczach. Poza tym hodują i tresują latające liście, takie jak te, które widzieliśmy przy lądowisku, by w razie potrzeby otoczyły nas gęstą chmurą.

- Jeżeli któreś z was zastanawia się, skąd wzięły się tu te ścieżki i okop, już wyjaśniam. Pewnie trudno w to uwierzyć, ale właśnie z takiej sielankowej okolicy wojska federalne poprowadziły swój ostatni atak. Sami zobaczycie skalę umocnień - potrzebny był cały batalion federalny.

- A teraz do góry - pamiętajcie, żadnych rozmów! I patrzcie im na plecy.

Zagania ich ręką, przyciskając palec do ust.

Potem razem z Córy wspina się niepozorną ścieżką i w końcu stają w okopie, na zakręcie, niegdyś stanowiącym punkt dowodzenia sektorem. Okop jest tu płytki; kładą się w nim, a Kip macha do Córy, by rozpoczęła obserwację Dameii; miała mniej okazji od niego, by im się przyjrzeć. Córy podkłada się do przodu i rozchyła trawę, podczas gdy on sam odwraca się, by sprawdzić turystów.

Doktor Ochter, wolny od bólu, wspina się w dobrym tempie.

Zannez rozpaczliwie usiłuje jednocześnie nakręcić swą trupę podczas wspinaczki i jak najszybciej wypatrzeć Dameii. Nagle wybuchając stłumionymi przekleństwami i wściekle wymachuje w kierunku czegoś wśród krzewów. Kip przygląda się uważnie

i spostrzega małego księcia Pao, usłużnie starającego się pomóc większej i atletycznie zbudowanej Starcem w pokonaniu wąwozu. Komiczne.

Córy ogląda się przez ramię i widok ten wywołuje uśmiech na jej twarzy. Twarz Zanneza czerwienią dorównuje jego strojowi; księżę ignoruje go, dopóki Starcem nie dociera na równy teren. Wtedy odsuwa się na bok i staje się na powrót normalnym chłopcem.

Tymczasem Yule pnie się w górę równym tempem, rozglądając się na wszystkie strony, nawet w kierunku pensjonatu. Taka czujność dosyć zaskakuje Kipa. Wysoki Vovoka, podążający na samym końcu, również zaskakuje go, lecz tym razem brakiem zainteresowania. Wydaje się interesować jedynie niebem na wschodzie. Cóż, rzeźbiarstwo świetlne jest zapewne całkowicie abstrakcyjne.

Córy przywołuje go usilnie do siebie, z ogniem w oczach i kiwając twierdząco głową. Kip wie, że zobaczyła to, na co miała nadzieję - Dameii na otwartej przestrzeni, na okrągłych gankach, otaczających poszczególne chaty-sypialnie. Na Damiemie nie ma zim, więc ich konstrukcja jest charakterystyczna dla tropików.

Już prawie czas południowego przylotu dzieci do domu.

Ta wioska - jego specjalna wioska - składa się z trzydziestu jeden rodzin, mających w sumie około czterdziestu dzieci w wieku szkolnym. Szkoła oddalona jest o jakieś piętnaście minut lotu, w kępie starodrzewu, nieopodal innego z rozlicznych jezior, i obsługuje kilka okolicznych wiosek. Nauczanie szkolne stało się teraz znacznie poważniejszą sprawą, odkąd Galaktyka przybyła na Da-

miema; jednym z podstawowych zadań Kipa jest pisanie tekstów do przepięknych księżek Dameii o stronach cienkich niczym bibuła. Kip rozgląda się ostatni raz; wszyscy podopieczni są już na miejscu i zachowują się przyzwoicie. Nawet Yule pozbył się swego pogardliwego uśmiechu i nareszcie wygląda na tego, kim zapewne jest, przyzwoitego młodego naukowca. Zannez wycelował w wioskę wszystko, czym dysponuje, podczas gdy czworo jego młodych aktorów wpatruje się jak urzeczeni. Dobrze; Kip podpełza do szczeliny, jaką przygotowała dla niego Córy, i wygląda na zewnątrz.

Rozciągający się przed nim widok spełnia jego oczekiwania; na wszystkich gankach siedzą Dameii, kilku ze złożonymi skrzydłami, pozostali z szeroko rozpostartymi, łagodnie wachlując powietrze w oczekiwaniu.

Pierwsze wrażenie nieodmiennie koncentruje się wokół ich skrzydeł i piękna, jak gdyby olbrzymie kwiaty rozłożyły swe płatki wśród koron drzew. Dopiero nasyciwszy się tymi szczegółami, oko zdolne jest przyswoić jeszcze większe piękno kształtów i ruchów Dameii. Spośród wszystkich obcych ras znanych Kipowi, jedynie Dameii są niedoścignieni pod każdym względem, według ludzkich standardów.

Za dawnych czasów Kip próbował opisywać ich przyjaciółom, lecz szybko zrezygnował. Jego słowa nie były w stanie oddać surrealistycznej elegancji kończyn i skrzydeł, naturalnego sposobu, w jaki płynnie przechodzili od jednej pozy do drugiej, zaskakując i pieszcząc oko serią subtelnych, wizualnych niespodzianek. I było

to więcej niż tylko piękno dla oka; serce ujmowała ich kruchość, paradoksalnie połączona z darem podniebnego lotu. Czyżby dysponowali jakąś nienaturalną mocą oczarowywania obserwatorów?

Na koniec nieodmiennie wyliczał jedynie ich cechy fizyczne.

Kolor: wioska jest wystarczająco duża, by okazać niemalże pełną gamę ubarwień Dameii. Większość z nich ma skórę koloru kości słoniowej i mnóstwo połyskujących zielonkawo, pierzastych brązowych włosów. Owłosienie głowy przechodzi płynnie w błyszczące, brązowe grzywy lub płaszczce, porastające miejsca złączenia skrzydeł z ciałem i biegnące wzdłuż nich, tworząc górne krawędzie skrzydeł. Same skrzydła- zarówno olbrzymie górne skrzydła, jak i krótsze, mocniejsze skrzydła dolne - pokryte są zielonkawym wzorem z tęczyowych płytek, które sieją dookoła tęczę barw. Płytki ujęte są w ciemne, owłosione pręgi, w których krąży bogata w tlen krew Dameii.

Wśród brązowowłosych Dameii znajduje się paru o efektownie odmiennym ubarwieniu. Dwie rodziny charakteryzują się jaskrawoczerwonymi grzywami, jedna ogniściecynobrową, druga zaś czystą ciemnorubinową. Ich skóra ma odcień chłodnej bieli, a płytki skrzydeł ubarwione na najprzeróżniejsze świetliste róże obwiedzione czerwienią, co razem wzięte daje wstrząsający efekt.

Najpiękniejsza ze wszystkich, w oczach Kipa, jest mutacja turkusowo-zielona. Ci Dameii mają włosy i grzywy niczym szmaragdowe potoki, grynszpanową skórę i blade płytki skrzydeł o niebiesko-zielonej barwie. Lubią ubierać się w mgliste, nasycone czernią

stroje, które do maksimum wydobywają ich egzotyczną urodę.

Ciała Dameii są humanoidalne i pomiędzy skrzydłami wydają się być dziecięcych rozmiarów, choć w rzeczywistości przewyższają wzrostem dorosłego człowieka. Ich torsy i kończyny są nienaturalnie szczupłe i eleganckich kształtów. Ich plecy są wydłużone; dokładniejsze oględziny ukazują długie mechate umocowania skrzydeł, stanowiące oparcie dla mięśni skrzydeł, zamiast mostka, jaki posiadają inne skrzydlate rasy. Dameii chodzą tak niewiele, że ich stawy biodrowe nie są wiele szersze od łokci.

Tyle odsłaniają ich zwiewne stroje; w zależności od fantazji noszącego bywają długie albo krótkie, nierzadko nosi się je owinięte szczelnie wokół szyi; lecz z tyłu zawsze mają głębokie wycięcie, łącząc się dopiero w okolicy pośladkowej, pozostawiając plecy poniżej skrzydeł nagie. Ich ubrania są efektownie farbowane głębokimi kolorami naturalnych barwników, ozdobione roślinnymi wzorami i błyszczącymi miejscowymi klejnotami.

Z takiej odległości niedostrzegalne pozostają różnice między płciami, z wyjątkiem jedynie nieco większego wzrostu u samicy - co jest być może jeszcze jedną owadzią pozostałością. Ich twarze są również zbyt daleko, by dostrzec szczegóły, robią jedynie wrażenie białych owali, w których najdobitniej malują się wielkie skośne oczy, ocieniane pierzastymi brwiami i rzęsami tego samego koloru, co opadające swobodnie na ramiona włosy. Kip wie, że ich rysy są delikatne i gładkie, nieludzkie, lecz równie ujmująco zarysowane, co u ludzkiego dziecka. Wciąż jeszcze trudno zapa-

miętać, że Dameii wyrażają nastroje nie mimiką twarzy, lecz ustawieniem skrzydeł; niuansy uczuć zaś dłońmi, pozostającymi w ciągłym wdzięcznym ruchu.

Tyle, jeżeli chodzi o prosty opis, myśli Kip. Magii, zasadniczego piękna tych skrzydlatych istot, nie da się ubrać w słowa.

Wycofuje się, by spojrzeć na turystów z pewną niechęcią, pragnąc jednocześnie, by i im udało się dostrzec tę wizję. Wszyscy są wy-ciszeni i robią wrażenie skupionych. Jak na razie bez zarzutu.

Wzdycha ciężko i wznawia obserwację.

Przez kolejny minim nic się nie zmienia. Potem Dameii jak gdyby zaczynają jednocześnie odczuwać znużenie tym szpiegowaniem i zaczynają wtapiać się w tło. Nie ma mowy o zorganizowanej ucieczce - prosty krok do tyłu, na drugą stronę szerokiego pnia drzewa, pojedyncze pociągnięcie skrzydłami w dół, które unosi właściciela na niewidzialną półkę wśród listowia, albo złożenie skrzydeł, umożliwiające oczekującemu rodzicowi ukrycie się za niewielkim wybrzuszeniem w obmurowaniu ganka. Na oczach obserwatorów wioska pustoszeje.

W kilka mgnień oka na widoku pozostaje jedynie dwoje dorosłych, starszych wioski, którzy najczęściej kontaktują się z Korsami i reprezentują swój lud. Jeden z nich to Quiyst, ten sam, który pojawił się na lądowisku drugą osobą równie wiekowa Damei o imieniu Feanya. Tych dwoje siedzi w pozornym spokoju, coraz sięgając do koszyka z suszonymi owocami quiyna i obserwując ludzi. Jedynie ich nerwowo uniesione skrzydła zdradzają napięcie. Kip macha do

nich i w odpowiedzi uzyskuje ledwo zauważalne skinięcie głową. Widząc jedynie opustoszałe ganki, niektórzy spośród gości Kipa zaczynają się wiercić i rozmawiać, lecz Kip posyła im zabójcze spojrzenie i ucisza ich ostrym syknięciem. Tresowane liście, o których wspominał, pojawiają się teraz na widoku, latając dookoła nich i odciągając ich uwagę.

I wtedy nadchodzi chwila, której oczekują - ponad nimi i dookoła nich drzewa ożywają nagle zgiełkiem i trzepotem skrzydeł, melodyjnymi głosami, niemalże zbyt wysokimi dla ludzkiego ucha.

Dzieci Dameii wracają do domu.

Zabarwienie skrzydeł młodych Dameii waha się między jasnożółtym a srebrzyścieżółtym; ich pojawienie się przypomina rozświetloną słońcem chmurę.

Dzieci wszystkich roczników i obu płci lecą razem; tu i ówdzie starsze dzieci pomagają młodszym nadążyć za resztą, pozwalając im chwycić się za nogi. Prawie wszystkie niosą zeszyty z pracami domowymi. Na ten widok Kip krzywi się odruchowo; sam spóźnia się ze swoją częścią tekstu o fizjologii ludzi i innych ras planetarnych.

Widząc rząd ludzi, niektóre zwalniają, by się im przyjrzeć, albo też wzbijają się wyżej. Jedno ze starszych dzieci ze śmiechem nurkuje wprost na nich, kończąc nalot szybkim popisem akrobatycznym, lecz większość młodych zanadto spieszy się do domu, by przejmować się obcymi.

Kiedy tylko dzieci docierają do swych rodzinnych ganków,



wielu rodziców odciąga je w ukrycie; lecz radość niektórych par przewyższa ich niechęć wobec ludzkich spojrzeń i pozostają na widoku, obejmując i pieszcząc swoje pociechy. Ku satysfakcji Kipa jedna z najbliższych rodzin odwróciła się nagimi plecami do obserwatorów i wszyscy mogą wyraźnie ujrzeć wyrażające uczucia blado zabarwione wydzieliny, wyciekające z gruczołów skórnych w dolnej części pleców - owe straszliwe, bezcenne, wonne soki, które przyniosły Dameii tak wiele cierpień i niemalże doprowadziły do wymarcia ich rasy.

- Naprawdę kochają te swoje dzieci. - Obok niego rozbrzmiewa zbyt głośny szept. Ponownie ten nieznośny Mordecai Yule. Kip posyła mu mordercze spojrzenie, podobnie Ochter. Ale jest już za późno. Najbliższa rodzina pośpiesznie usuwa się z widoku, a pozostali, za ich przykładem, robią podobnie. W ułamku sekundy wioska kolejny raz wygląda na całkowicie opustoszałą. To zjawisko dobitnie unaoczniało jeszcze jedno: choć dorośli są rzeczywiście piękni, ich dzieci przewyższają ich w czystej doskonałości.

- Cóż, to już koniec. - Kip podnosi się i mówi normalnym głosem. - Możemy iść. - Przechodzi okopem, sprawdzając, czy wszyscy ruszyli w drogę powrotną. Kiedy znajdują się już poza zasięgiem wzroku i słuchu Dameii, gestem nakazuje im się zatrzymać.

- I tak kończył się już wyznaczony nam czas, nadeszła już pora na ich południowy posiłek. Większość z nich jada razem, w tym wielkim domu, przy którym siedzą starsi wioski. Chyba tra-

fiła się wam najlepsza wizyta od lat. Jak wam się podobało?

Rozlegają się stłumione potakiwania, wyrazy podziwu bez słów. Dziewczyna Linnix, wciąż patrząc w stronę wioski tęsknym wzrokiem, pyta cicho:

- Co można powiedzieć? Co można powiedzieć, kiedy widzi się prawdziwe anioły? Nigdy, nigdy bym się nie spodziewała, nie rozumiałam, co ludzie mówili. •- Milknie.
- Czy teraz usłyszymy całą opowieść? - pyta Zannez z nie-zwykłą u siebie delikatnością.

Kip wzdycha:

- Skoro muszę. Dziwne, po tylu latach opowiadania jej wciąż tego nienawidzę. Za każdym razem jest gorzej. Ale musimy zejść trochę niżej - może na tej polance wśród drzew, poniżej transportera.

- A dlaczego nie w środku? - pyta Zannez, usiłując zaparkować nad chybotliwą górą swego sprzętu.

-- Ponieważ - odpowiada Córy - ja tam będę, poza zasięgiem słuchu. Jeżeli ktoś z was stwierdzi, że dłużej nie jest w stanie tego znieść, zapraszam do towarzystwa. Wezmę od ciebie trochę tej elektroniki, Zannez, jeżeli masz z nią problemy.

- Bardzo dziękuję, myr Córy. - Podaje jej zużyte kasety, a ona odchodzi na bok zdecydowanym krokiem.

IV

Nowa minus 11 godzin:

## Ohydztwa Dawnych Dni

Kiedy turyści skupiają się wokół niego pod drzewami, Kip wydaje z siebie kolejne długie westchnienie.

- Cóż. Musicie wiedzieć, że wszystko to zaczęło się na długo przed powstaniem Federacji, lecz zakończyło się całkiem niedawno.

Rozmawiałem z paroma starymi weteranami, którzy brali udział w końcowej akcji. Jeden z nich wciąż miewa koszmary.

- Początek miał miejsce w odległej starożytności, kiedy odkryto, że wydzielinę, które widzieliście na plecach Dameii, przedstawiają dla ludzi wysoką wartość ze względu na swe doskonałe walory smakowe. W owych czasach ludzie niewiele podróżowali w kosmosie i zaledwie jedna, może dwie wyprawy badawcze trafiły w tę okolicę. Ale ktoś z nich musiał zajmować się czymś bardzo nieprzyjemnym, bo coś takiego trudno odkryć przypadkiem.

-- Później stwierdzono - bogowie jedni wiedzą jak - że jeżeli ten płyn podda się procesom fermentacji i destylacji, otrzymuje się napój, który przynosi nie tylko orzeźwienie; nie ma wtedy sobie równych, jest dosłownie nie z tej ziemi. Posiada właściwości psychoaktywne, wywołuje uczucie prawdziwego szczęścia - a przy tym żadnych skutków ubocznych, nawet kaca. Uczucie po jego spożyciu opisywano jako błogość większą niż w niebie, jako że nie trzeba było w tym celu umierać. Niebo za parę groszy, jak powiedział któryś starodawny pisarz - na nasze pieniądze niech będzie to ćwierć kredytki. Ale ten specyfik nie kosztował ćwierć kredytki, kosztował okrągłe tysiąc galaktyków. Albo i więcej.

- Oczywiście sam nigdy tego nie próbowałem, ale ci weterani, o których wam wspominałem, opowiadali mi o ludziach, roztrwaniających oszczędności całego życia i zastawiających swe domy w zamian za możliwość napicia się tego trunku. Ktoś dosłownie sprzedał swoją żonę i córki za zaledwie jeden ametystowy flakonik, w którym napój ten by rozprowadzany. Widzicie, to było już na samym końcu. Nawet wcześniej ludzie gotowi byli zapłacić każdą cenę za dobry "rocznik", jak to określano. Ta przyjemność dostępna była wyłącznie dla najbogatszych. Ilości były oczywiście mikroskopijne. Widzieliście, jak lśniły ich plecy - jeden, najwyżej dwa centymetry sześciennie surowego produktu.

- Niestety, miało to miejsce podczas wielkiej gorączki poszukiwań rzadkich minerałów na asteroidach, z których pewna ilość pojawiła się tutaj, za Grunions. Być może czytaliście o tym w podręcznikach do historii. Tak więc, przez jakiś czas ruch w tej części kosmosu był bardzo wzmożony. Zapewne to właśnie łowcy asteroidów, rozbiwszy się tutaj albo zatrzymawszy się na odpoczynek, odkryli metodę produkcji tego trunku i zapoczątkowali późniejsze potworności.

- Początkowo po prostu łapali Damei czy dwóch - łapali ich nocami, zarzucając sieci zaciskowe na centralne chaty - i drapali ich plecy specjalną tubą, wygiętą i o szerokim ujściu. Czasami zdzierali całą skórę, jako surowiec do destylacji... Potem, kiedy wydestylowali już wystarczającą ilość - kilkanaście maleńkich buteleczek - zamykali je szczelnie i posyłali swemu agentowi na

jakiejś bogatej planecie.

- Po niedługim czasie musieli zacząć zabezpieczać magnetycznie buteleczki przed fałszerstwem; napój stał się sensacją wśród bogaczy całej Galaktyki. Nikt nie znał jego pochodzenia - tego sekretu dochowali do samego końca - ani sposobu wytwarzania.

Ale roztaczał wokół siebie jakąś dziwną aurę, i zaraz przylgnęła do niego nazwa "Gwiezdne łzy".

- Wtedy zaczęło się najgorsze. Ci ludzie nie byli durniami, a przynajmniej pozbyli się durniów na bardzo wczesnym etapie.

W miarę jak rosła góra zarabianych przez nich kredytek, rozpoczęły się wojny gangów o kontrolę nad dystrybucją towaru. Tak czy owak, ktoś zaczął badać związek jakości "Gwiezdných łez" z całym szeregiem czynników, takich jak pożywienie i inne, a wśród nich związek między nastrojem ofiary a jakością produktu finalnego.

- Wspomniałem już wam o "rocznikach". Cóż, nie miało to nic wspólnego z latami kalendarzowymi, jak powszechnie sądzono.

Wiązało się to z uczuciami więźnia podczas zbioru wydzielin. Odkryli, że szczęście - bogowie jedni wiedzą, jak udało im się to sprawdzić - nie dawało prawie żadnego smaku. Fizyczny ból i strach, co stanowiło dla nich punkt wyjścia, dawały "rocznik standardowy", sam w sobie wyśmienity. A potem przekonali się, że czysty ból psychiczny, albo zmieszany z odrobiną radości, dostarczał produktu najwyższej jakości.

- Jak osiągnąć doznanie czystego bólu psychicznego? Ci dra-

nie łapali młodą parę, w ich obecności zastanawiali się, komu pierwszemu odpiąją skrzydła - wyobraźcie sobie te biedne piękne istoty, bezsilne w więzach, podczas gdy te potwory drapały jak wściekłe. - Kip miał problemy z głosem. - Powiedzmy, że zdecydowali się na dziewczynę i zaczęli ją torturować na jego oczach. Damei nie omdlewają, ani nie tracą przytomności - nie było dla nich żadnej ucieczki. Potem oprawcy udawali, że coś jest nie w porządku, że jej soki są bezużyteczne, i w końcu zaczęli ją uwalniać, tak że ostatecznie ci dwoje naprawdę wierzyło, że zostanie uwolniona. To załatwiało sprawę krótkotrwałej radości. Wtedy zaś wybuchali śmiechem i więzali ją ponownie; torturowali dalej, tak długo, dopóki nie umarła na jego oczach. Wylicyli sobie wszystko, co do sekundy, tak by gruczoły pracowały jak najdłużej. W ten sposób zbierali od niego wyśmienity rocznik. Oraz standardowy od niej. A kiedy wreszcie umierała, zakatowywali go na śmierć, by uzyskać jeszcze trochę "standardowego". Wypracowali sposoby, o których nawet nie chcę myśleć; ktoś pokazał mi zdjęcia jednej z ich sal tortur, zanim spalono je do fundamentów. A wszystko po to, by uzyskać zaledwie kilka centymetrów sześciennych surowca. Warte miliony po destylacji, ma się rozumieć.

- A wtedy, widzieliście ich przecież; ich piękno i kruchość
- nie są groźniejsi od motyla. Nie potrafią nawet krzyżeć. Nazwanie diabłów, którzy ich wykorzystywali, zwierzętami stanowi obrazę dla całego świata zwierzęcego.
- Zilustruję to wam bardziej obrazowo - przez ten czas ban-

dyci pozostawili po sobie mnóstwo zapisków, notatek i nagrań.

Niektóre są tak odrażające, że nie sposób je czytać; ja przynajmniej

nie byłem w stanie. Ale rozmawiałem z ludźmi, którzy musieli to

robić, nie tylko, by wytropić ludzi, lecz by wysledzić pieniądze

- wszystkie kredytyki pochodzące z handlu tym towarem podlegały

automatycznej konfiskacie. I tu pojawia się coś zastanawiającego

- nigdzie, absolutnie nigdzie, ani słowem nie wspomina się tam

o tym, że eksterminowana przez nich rasa odznacza się wyjątko-

wym pięknem wśród humanoidów. Można by pomyśleć, że ktoś,

kiedys, choćby i z sadyzmu, powinien to zauważyć. Nie; równie

dobrze mogliby mieć do czynienia z rasą włochatych kul do gry

w kręgle. Oczywiście, nieetyczność tych potworności nie byłaby

mniejsza, gdyby Dameii byli włochatymi kulami, nie zrozumcie

mnie źle. To jedynie charakterystyczna cecha ludzkiego typu, tak

zaślepionego, że spośród setek - albo i więcej - ludzi, ani jeden

nie zwrócił uwagi na to, co właściwie niszczą. Zwłaszcza kiedy

- i tu po prostu nie mogę już więcej mówić.

- Odkryli ich miłość do dzieci. Sami to widzieliście; ta rasa

kocha dzieci tak samo, jeśli nie bardziej, jak swych partnerów.

Ponadto mamy dwoje rodziców i może kilkoro dzieci, ciotek i wuj-

ków - tak więc problem liczby...

Przerywa i siada z opuszczoną głową, wpatrując się niewidzą-

cymi oczyma w punkt na horyzoncie, tam gdzie wzejdzie gwiazda.

Potem mówi dalej, już spokojniejszym głosem:

- Jeżeli brak wam wyobraźni, by zrozumieć, co było potem,

współczuję wam. Będziecie musieli poradzić sobie z tym sami. Jeżeli potraficie to sobie wyobrazić, współczuję wam jeszcze bardziej. A ciągnęło się to nie wiadomo jak długo, aż podczas ostatniej wojny niewielki krążownik podążył w ślad za pewnymi pogłoskami i znalazł Damiema.

- Trzeba im oddać pełną sprawiedliwość. Nie czekali na posiłki - po prostu zaatakowali wszystkimi siłami, jakimi dysponowali, włączając do walki nawet kuchcików, i zaczęli porządkować ten bałagan. Jeńców też nie brali - początkowo wieszali albo zarzynali bandytów na miejscu, lecz potem odkryli, że Dameii przeżywają to jeszcze gorzej. Później więc wpędzali ich do starych tuneli, zawalali wejścia i zagazowywali ich.

- Lecz potrzebowali posiłków, a potem kolejnych - gangi dysponowały już wtedy imponującą organizacją, a za pieniądze kupić można wielu najemników i dużo broni. Zbyt wielu dobrych ludzi tu zginęło; jutro pokażę wam cmentarz, a na nim groby dwóch piętnastoletnich kuchcików. Ale koniec nadszedł szybko - całkiem blisko stąd, jak już wam powiedziałem. Potem zburzyli wszystko, co zbudowały gangi, i wynieśli się stąd gdzie pieprz rośnie. Uznali, że jedyną szansą Dameii na przetrwanie - widzicie, oni przestali się rozmnażać - było pozostawienie ich w kompletnym spokoju. Tak więc umieścili na planecie jednego niepozornego, cichego obserwatora - pozostawili mu namiot z dala od miejsca zamieszkania - a na orbicie rozmieścili dywizjon i ustanowili blokadę planety.



- Trwało to pięć lat, lecz ostatecznie obserwator spostrzegł dziecko, a w następnym roku kolejne. Jakies dziesięć lat później zastąpił go kolejny, akceptowany przez Dameii obserwator, który pozostał na planecie przez trzydzieści lat i zbudował załóżek stacji. To od niego razem z Córy przejęliśmy służbę, i sami widzicie, jak teraz wygląda sytuacja.

- Ale chwileczkę - prawie zapomniałem. Oczywiście na całą Galaktykę rozciągała się już sieć dystrybutorów towaru i tam tkwiły naprawdę wielkie pieniądze. Wystarczająco wielkie, by przekupić całą planetę, w zwyczajnych warunkach. Ale tym razem nie było to nic zwyczajnego. Chwała federalnym za to, że i z tym się uporali, choć nie znam szczegółów, bo oczywiście zajął się tym Wydział Specjalny. Wiem natomiast, że parę rządów planetarnych wyróconych zostało do góry nogami i nikt nawet nie wspominał o współczuciu czy Rehabie. Ci przestępcy skończyli w piachu, co do jednego.

- I nawet teraz nie można uzyskać zezwolenia na używanie choćby zbliżonej nazwy czy rozprowadzanie jakiegokolwiek napoju w małych purpurowych buteleczkach, nawet syropu od kaszlu. Niektórzy z was natknęli się być może na ten zakaz i zastanawiali się nad jego pochodzeniem. Teraz już wiecie.

- I to już kropka na końcu ostatniego zdania w najmroczniejszym i zapewne najbardziej odrażającym rozdziale historii ludzkości w kosmosie. Powinniście też wiedzieć, że ustanowiona została stała nagroda za informacje, prowadzące do odkrycia dzia-

łałości związanej z Damiemem.

- Mam nadzieję, że teraz rozumiesz już, Yule, dlaczego twoje uwagi o pieniądzach były nie na miejscu? I dlaczego podobne demonstracje ignorancji - by nie powiedzieć rażącej głupoty - nie będą tolerowane.

Zapada cisza, przerywana jedynie westchnieniami i kilkoma po-  
ciągnięciami nosa ze strony grupy Zanneza. Dziewczyny przytuliły się do siebie, a Snake obejmuje ramieniem Hanny'ego Eka.

Kip rzuca na ziemię garść źdźbeł trawy, które splatał podczas opowieści, i podnosi się.

- A teraz pora wracać do transportera.

Kiedy cała grupa zbliża się do pojazdu, z zaskoczeniem spostrzegają stojącą obok niego Córy, która rozmawia ze starym Qu-  
iystem, Feanyą i trzema innymi starszymi Dameii. Ich wysokie skrzydła odruchowo unoszą się w górę, widząc tak wielu ludzi. Kip daje znak pozostałym, by się zatrzymali, sam zaś rusza dalej, by przywitać ich uprzejmie. Po chwili odwraca się i woła w stronę grupy:

- Teraz was przedstawię. Kiedy usłyszycie swoje imię, wystąpcie krok do przodu i ukłońcie się. Potem nie ruszajcie się z miejsca. To bardzo niezwykła sytuacja, nie chcę, żebyście coś zepsuli.

Moment później słyszą, jak woła:

- Doktor Ari Ochter!

Ochter kuśtyka krok do przodu i kłania się. Starsi odpowiadają

ukłonem, wpatrując się w niego intensywnie.

- Myr Starcem Fada!

Ceremoniał powtarza się. Kiedy dochodzi do końca listy, uważają, że skrzydła gości zdradzają wyraźne odprężenie.

- Co możemy dla was uczynić? - pyta Kip w damei. Podczas kiedy rozmawiają, Córy przechodzi do ludzi, by wyjaśnić im sytuację.

- Mówią, że skoro przyjechaliśmy, by się im przyjrzeć, oni także życzą sobie przyjrzeć się nam. Poznawanie nie powinno być tak jednostronne, twierdzą. A przy okazji, ta sprawa wyływała już niejednokrotnie. Próbuję im wytłumaczyć, że w zasadzie nie mamy nic przeciwko temu, ale problem polega na tym, że pragną obejrzeć nas pojedynczo, bez ubrań. - Jej zwykle zaczerwieniona twarz pokrywa się jaskrawym rumieńcem. Pozostali nagle przypominają sobie, że znajdują się w świecie Kodu Kosmosu.

- Próbowałam im wytłumaczyć, że zabrania nam tego, eee, plemienne tabu, ale nie za bardzo ich to przekonuje. Poza tym, chcieliby także obejrzeć noworodka.

Przez chwilę nikt nic nie mówi.

- Cóż! - odzywa się wybuchowo Starcem. - W sprawie dzieci nic nie mogę poradzić, ale rozbierałam się dla pajaców w całej Galaktyce. Tak samo wy, Bride, Snake, Hanny, rozbieraliście się i nie tylko. Jeżeli miałyby to naprawdę pomóc... łap, Zanny, przytrzymaj moje rzeczy.

- Naprawdę? To znaczy, że nie mielibyście nic przeciw te-

mu? -- Kip zauważa, że mały książę kiwa głową i uśmiecha się zachęcająco do dziewczyny.

- W żadnym wypadku! - Stłumiony głos Starcem dobiega spod ściąganego przez głowę golfu. Hannibal Ek, nie zamierzając dać się wyprzedzić, zaczyna rozpinać swój kombinezon.

- Hej, Kippo! - woła Córy. - Powiedz im, żeby spojrzeli w tę stronę! Och -- tymczasem mocno sugeruję, a właściwie nalegam, by pozostali ludzie wycofali się wraz ze mną pod drzewa. Tak, pan też, myr Yule.

Dwoje pięknych, goluśieikich młodych ludzi, jedno jasne, drugie ciemnoskóre, rusza w stronę Kipa i piątki starych Dameii. Briday i Snake rozbierają się, by do nich dołączyć. Pozostałych siedmiu ludzi stoi niezręcznie w grupie wśród pni drzew, starając się nie gapić, podczas gdy starsi ze s'miertelną powagą zaczynają okręzać czwórkę aktorów. Zannez rozłożył cały swój sprzęt. Córy podchodzi do nich, spojrzeniem starannie unikając Hanno i Snake'a.

- Muszę przyznać, że kochane z was dzieciaki - mówi. - Nie macie pojęcia, jak wiele to znaczy. Kip i ja zamierzaliśmy już zagryźć zęby i sami to zrobić. - Milknie zażenowana.

- Dokładnie tak - przytakuje Kip. - Zasłużyliście na medale za utrwalanie jedności Galaktyki.

- Chyba pierwszy raz było to cokolwiek warte - odpowiada Starcem. - Zaraz, co on chce powiedzieć?

Jeden z nowych przybyszów świergocze w niezrozumiałym ga-

laktycznym, wskazując na nią.

- To starszy Zhymel. - Stary Damei kłania się. - Pragnie

się dowiedzieć, czy wolno mu będzie dotknąć twoich pleców, tam gdzie powinny być skrzydła.

- Niech sobie dotyka do woli - zgadza się Starcem. Jej oczy

otwierają się szeroko, gdy stary Damei bardzo delikatnie kładzie

swe długie palce na jej łopatkach. - Hej! Zupełnie jakby ktoś

mnie gaskał naelektryzowanymi piórami. To łaskocze! Proszę go

uprzedzić, żeby robił to trochę mocniej, bo w przeciwnym razie

zacznę kichać.

Sytuacja zostaje szybko wyjaśniona i Dameii kolejno podcho-

dzą do aktorów. Córy mówi do Kipa:

- Przyszedł mi do głowy pomysł, oczywiście do zatwierdze-

nia przez ciebie, jako ksenologa. Może by tak powiedzieć im, że

mają przed sobą szczególnie doskonałych osobników, bardzo młodych, których ludzie uważają za nienaturalnie pięknych?

- A potem wyjaśnij im, że reszta z nas nie chce się rozebrać,

ponieważ jesteśmy znacznie brzydsi? Nasz wygląd pogarsza się

wraz z wiekiem, mamy defekty uznawane za oznaki szpetoty i nie

chcemy urazić ich wrażliwości. Upewnij się, że wszystko zrozu-

mieli. Myślę, że to powinno oczyścić atmosferę, zgodzisz się chy-

ba? A w ogólnym zarysie nie będzie to niezgodne z prawdą.

- Świetnie. Dobry pomysł, Cór. Starsi Quiyst i Feanya, i po-

zostali, posłuchajcie. - Wydaje z siebie długą, melodyjną prze-

mowę w damei. Starsi kiwają głowami, jak gdyby spłynęło na nich

nagłe olśnienie, lecz nadal spoglądają na niego i Córy z pewnym zdezorientowaniem.

- Tak, tak - mówi Córy energicznie i rozglądając się na boki, jakby zawstydzona, podciąga na chwilę nogawki szortów. Ich oczom ukazuje się brzydka blizna, będąca pamiątką z pierwszych prób wspinaczki po drzewach.

Kip zastanawia się przez moment, a potem rozpiną kurtkę, by pokazać dwie szramy, biegnące w poprzek brzucha, i zaraz pośpiesznie zaciąga zamek. To wydaje się zadowalać starszych, którzy wznawiają swe uroczyste krążenie wokół czwórki młodych ludzi. Dwoje z nich opada na kolana, by przyjrzeć się ich kostkom i palcom u stóp; następny dobywa niewielkiego szkiełka, by zbadać paznokcie i brwi, po czym podaje je kolejno swym towarzyszom.

Cała ta scena byłaby zabawna, myśli Kip, gdyby nie miała tak wielkiego znaczenia dla przyszłości kontaktów między ludźmi a Dameii. Tak czy owak, Córy zmuszona jest dwukrotnie wydmuchać nos, by zamaskować chichot. Zannez filmuje wszystko jak szalony.

Kiedy zaczyna się już wydawać, że będzie to trwało wiecznie, mały Ochter woła od strony drzew:

- Myr Kip, nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale mój środek przeciwbólowy szybko przestaje działać, a do tego charakteryzuje się nieprzyjemnymi efektami ubocznymi. Czy mógłby pan zabrać mnie.

- Oczywiście. Przepraszam, doktorze. Wytrzyma pan jeszcze dwa minimy?

- Och, tak.

- Posłuchajcie, wspaniałe dzieciaki, czy byłoby możliwe powtórzenie tego pokazu jutro w wiosce? Mówiłem serio, wspominając o znaczeniu tego, co tu dzisiaj zrobiliście. Po prostu powiedzcie "nie", jeżeli wioska to będzie zbyt wiele.

- Nie mam nic przeciwko wiosce - odpowiada Bridey. -

A wy?

- Możecie na nas liczyć - zgadzają się wszyscy.

- Sami nie wiecie, jak wiele uczyniliście - powiada Kip - a może potraficie się tego domyślić. Posłuchajcie, odznaczenie prawdopodobnie nas przerasta, ale mogę osobiście zagwarantować każdemu z was super urzędowy dokument, potwierdzający wasze zasługi dla Federacji - każdy odmiennie sformułowany, odręcznie podpisany i kapiący od złotych pieczęci i specjalnych oznakowań.

- To pięknie - mówi Snake.

- Ale nie musi pan tego robić - wtrąca Hanny Ek. - Usłyszawszy, co tu się stało, stanąłbym na rękach, by wam pomóc.

Śmieszna sprawa, prawda? Trafiło się wam dokładnie to, czego wam było trzeba? Wszyscy zaczęliśmy jako gwiazdy dziecięcych pornosów, mówiąc otwarcie. Już widzę minę ser Vovoki!

Ze śmiechem kłaniają się starszym na pożegnanie i odbiegają, by się ubrać i dołączyć do pozostałych, podczas gdy Kip wyjaśnia propozycję Quiystowi. Starsi wydają się niezwykle zadowoleni; ich leżące spokojnie upierzenie faluje w dziwny trzepotliwy sposób, jakiego nigdy dotąd nie widział.

Kip ostatni raz ostrzega ich, by trzymali swych pobratymców w ukryciu podczas rozbłysku gwiazdy, przyłącza się do czekającej w transporterze grupy i pojazd rusza w drogę powrotną. Zannez rozdaje ostatnie elementy ubiorów i wskakuje ciężko do środka, tym razem nie przejmując się kamerami.

- Musi pan być wyczerpany, myr Zannez - mówi Linnix współczująco. - Na całe szczęście dni na tej planecie są długie, zapracował się pan prawie na śmierć jeszcze przed pojawieniem się gwiazdy, dla której tu przylecieliście.

- Zapewne wszyscy ucieszycie się wiadomością, że następnym punktem programu dnia jest długa drzemka - informuje ich Córy. - Jedzenie będzie przygotowywane na poczekaniu w salonie, jeżeli będziecie czegoś chcieli; pomyślałam, że kolację zaczniemy mniej więcej o zachodzie słońca. Gwiazda pojawia się nie wcześniej niż godzinę po zmroku, ale dzisiaj może wzejść wcześniej, będąc bliżej planety. A same zachody to również widok wart obejrzenia. Tak więc możemy zająć się zakąskami i drinkami przy barze, a potem wyjść na taras z kolacją, by czekać na wschód gwiazdy.

- Doskonale, doskonale - mówi Ochter.

- Żebyśmy tylko nie stracili niczego z przejścia gwiazdy - odzywa się Vovoka swym dziwnie akcentowanym głosem, zaskakując wszystkich. - Uważam, że to bardzo dobry plan.

Transporter pędzi w stronę pensjonatu cichymi, trawiastymi alejami, gdzie kiedyś rozgrywały się krwawe, okropne sceny. Kip



zauważa, że turyści są nienaturalnie wyciszeni. Dobrze. Może, podobnie jak jego, oczarowało ich piękno tego, co pozwolono im ujrzeć na Damiemie; może na ich sercach, tak jak na jego sercu, położyła się cieniem przerażająca historia "Gwiazdnych łez". Ale nikt z zewnątrz nie jest w stanie objąć tego wszystkiego umysłem w godzinę czy dwie, rozmyśla. Nawet Cór nie całkiem to pojmuje; dla niej to tylko jeszcze jedno zadanie.

Jego przystojne czoło pokrywają zmarszczki; stara się przepędzić swoją odwieczną obawę: kto zajmie ich miejsce, by ochraniać jego bezcenny, kruchy, skrzydlaty lud? Jak długo Federacja strzec będzie Damiema?

V

Nowa minus 10 godzin:

Linnix z Benebornu

Dziewczyna Linnix z wzrastającą niecierpliwością wypatruje powrotu do motelu. Ponieważ Dameii okazali się niezwykle zajmujący, gna ją jeszcze większa ciekawość, i nie odczuwa potrzeby ponownego położenia się do łóżka. Podczas gdy pozostali kierują się do swoich pokoi, ona przechodzi przez salon i wychodzi na taras, stając w pobliżu na wpół przezroczystych vitrexowych ścian ambulatorium. Zarówno szpitalik, jak i pokoik doktora Baramjiego wydają się być puste, tak jak się obawiała.

Dla zabicia czasu przygląda się akrobacjom latających liści, które poderwały się chmarą w powietrze w chwili ich przyjazdu,

teraz zaś na powrót usadawiają się na łodyżkach. Niektóre robią wrażenie zakurzonych i zmęczonych. Linnix zastanawia się, czy towarzyszyły im podczas wycieczki. I czy muszą wrócić na macierzyste drzewo, a może obce drzewo może udzielić im schronienia? Niesamowite.

Przez vitrex nadal nie sposób dostrzec najdrobniejsze nawet poruszenia; doktor wciąż bawi u swej bogini seksu. W oczach Linnix dama Pardalianches, podobnie jak inni przedstawiciele planetarnej arystokracji, którymi się opiekowała na statku, wydaje się postacią żalostną raczej niż imponującą - a także bardziej niż odrobinę irytującą przez swój egocentryzm.

Dla mężczyzny, jak przypuszcza, jej ultrakobiece ciało, urodzielska zapowiedź rozkoszy cielesnych, wszystko przedstawia się w odmiennym świetle. Zwłaszcza dla samotnego mężczyzny pokroju doktora Baramjiego, gnanego potrzebami, które jej są właściwie obce. Niewątpliwie jeszcze długo dotrzymywać będzie towarzystwa damie.

Ale nie! Za bładozielonym vitrexem porusza się jakaś postać.

Modląc się bez słów do bogów przypadku - która to już taka modlitwa, tysięczna? - świadoma śmieszności swego postępowania, stuka do drzwi.

- Proszę, proszę, och, to pani, myr Linnis, zgadza się? Obawiam się, że nie dosłyszałem nazwiska.

Baramji parzy apetycznie pachnący napój na laboratoryjnym palniku, najwyraźniej dopiero co zbudziwszy się z drzemki na roz-

grzebanym polowym łóżku, jakie dostrzega w jego prywatnym pokoiku. Jego śnieżnobiałe włosy są potargane, stoi boso.

- Właściwie to Linnix - poprawia go. - I naprawdę nie mam nazwiska. Samo Linnix wystarczy.

- Niech więc będzie Linnix. - Wygrzebuje skądś czysty kubek, łyżeczkę i podstawek. - A ja jestem Bram. - Uśmiecha się serdecznie, odgarniając włosy z lśniących niebiesko-zielonych oczu. - Spróbujesz mojej kaffy? To bardzo stary napój, przyrządzany z suszonych nasion, ale bardzo orzeźwiający. Nowa partia przyleciała właśnie na twoim statku.

- Nie chciałabym ograbić cię z zapasów. - Linnix rozmyśla nad tym, jak bardzo atrakcyjnym starszym panem jest Bram. Nie przystojnym, lecz nabitym i żyłastym, bez grama tłuszczu, o surowej twarzy, z której bije zarówno ciepło, jak i chłód, rozświetlanej wspinałymi oczyma. Ze zdwojoną siłą powtarza swą milczącą modlitwę, zdając sobie sprawę z jej beznadziejności, lecz nie umiając zapanować nad tęsknotą.

- Może usiądziemy. - Jednym machnięciem ręki oczyszcza dla niej krzesło. - Nie tak elegancko, jak na tarasie, ale w obecnym stanie nie powinienem pokazywać się publicznie. Teraz powiedz, co mogę dla ciebie uczynić, myr Linnix?

Kosztując intrygującej kaffy, do której Bram dodał słodzika, Linnix pozwala sobie na krótką chwilę obserwacji, odwlekając tym samym śmierć nadziei. Zauważa to, co uprzednio umknęło jej uwadze: kilka blizn pod opalenizną na łokciu, inne biegnące od pra-

wego ramienia, aż po linię włosów. Wojna? Cóż, później przyjdzie pora, by się dowiedzieć. Jak gdyby od niechcienia pyta:

- Czy możesz mi powiedzieć, jakiego koloru były pańskie włosy, zanim... wcześniej?
- Ognieście czerwone. Wiewiórcze. Zupełnie jak twoje, tyle że nie aż tak ładne. No i nasze oczy posiadają ten sam dziwny odcień błękitu.

Linnix mimo woli wciąż kurczowo powietrze, Bram spogląda na nią szybko. Jest to spojrzenie lekarza.

- Może kaffy jest dla ciebie zbyt mocna? Daj mi na minim rękę, niektórzy ludzie gwałtownie na nią reagują.

- Ależ nie, nie - bełkocze, prawie nie wiedząc, co mówi, podczas gdy jego palce szukają pulsu. - Smakuje mi, naprawdę.

Podnosi się i staje za nią, Linnix czuje jego palce tam, gdzie tętnice przebiegają tuż pod skórą, delikatny dotyk jego silnych rąk.

Między nimi budzi się jakieś dziwne ciepło. Ognieście czerwone

- jak oni sami. Rozczarowanie, kiedy przyjdzie, a przyjść musi, będzie bardziej bolesne, niż te przeżyte na przestrzeni tak wielu lat.

I w dodatku taki dobry człowiek - by to stwierdzić, nie potrzebuje dowodów. Jeszcze chociaż kilka minimów, targuje się z losem. Zniosę to mężnie, jeżeli jeszcze przez krótką chwilę wolno mi będzie udawać.

- Gdzie zostawiłeś swoje czerwone włosy? - pyta, skoro tylko Bram uwalniają i wraca na miejsce. Zabiera od niej kaffy i na-

lewa jej szklanekę złocistego płynu, zanim odpowiada:

- Och, po tym jak nasz statek został trafiony, znalazłem fragmenty mikroskopu w kompletnie nieodpowiednich miejscach. To było podczas tak zwanej ostatniej wojny - i oby rzeczywiście nią była. Moja jednostka walczyła z porąbanymi zwolennikami ziemskiej dominacji po drugiej stronie ramienia Oriona. Wojna wybuchła w jakiś rok po tym, jak wyrobiłem sobie uprawnienia. Odbywałem staż na rozmaitych planetach, w najróżniejszym charakterze. Co się tyczy moich pamiątek - pokazuje na blizny i siwe włosy - za-wdzięcam je bardziej leczeniu niż samym obrażeniom. Pierwszy paramedyk, który mnie operował, obejrzał wcześniej taśmę edukacyjną o chirurgii ortopedycznej - tak przynajmniej utrzymywał. Miałem w sobie też trochę plastytu. Po prostu nie znaleźmy jeszcze wielu procedur leczniczych, jakie obecnie wykonywane są rutynowo. Mniej więcej wtedy musiałaś się urodzić.

Upija łyk kaffy i pyta:

- Proszę mi powiedzieć, doktorze - to znaczy Bram - myr Kip nie wspomniał o jednej rzeczy, a ja wstydziłam się zapytać. Jak Dameii się, eee, rozmnażają? Czy składają jaja? Czy to ssaki?

- Cóż, twoja ciekawość jest absolutnie usprawiedliwiona, ale to jest dosyć skomplikowane. Nie, nie są ssakami sensu stricto, ale nie są także jajorodne. Wiesz, co oznaczają terminy "diploidalny" i "haploidalny"?

- Mają jakiś związek z komórkami i chromosomami; "haploidalny" oznacza chyba połowę normalnej liczby. Zgadza się?

- Całkowicie. Widzę, że masz szerokie zainteresowania.

A więc wszystkie osobniki, które określamy mianem "samców", są haploidalne. To być może tłumaczy ich mniejsze rozmiary i większą liczbę defektów genetycznych. Prawdziwe zaś, pełne samice są diploidalne - z wyjątkiem grupy haploidalnych organów, tuż poniżej mostka, będących łożyskiem dla jaj, czyli w naszym żargonie owiceptorem. Są wygięte do tyłu na kształt litery V, co nie wtajemniczonym przypominać może piersi. Kiedy samica wkracza w okres godowy - zmiany są wyraźne, a sam proces przebiega powoli i można powiedzieć, że jest czymś wyjątkowym - ten fakt pobudza jej partnera do wyprodukowania czegoś na kształt niby embrionu - całkowicie haploidalnego - pod jego mostkiem. We właściwym czasie, kiedy samica jest gotowa, ten jajopodobny obiekt przekazywany jest do żeńskiego owiceptora. Potem, jeżeli jest rzeczywiście podatna - albo też, gdy jest całkowicie pełną samicą - nasze dane w tym względzie są dalekie od kompletnych - produkuje coś, jakby kopię embrionu, także haploidalną, która potrafi stopić się, można by powiedzieć wchłonąć, komórki samca i przekształcić je w diploidalny płód, który z czasem stanie się pełną samicą. Nie zagalopowałem się?...

- Ależ nie! Proszę mówić dalej. - Uśmiecha się. - Teraz rozumiem, dlaczego myr Kip nie...

- Owszem - chichocze Baram. - Ale zaczekaj, jak na razie spłodziliśmy jedynie córkę. Kiedy warunki nie są całkowicie odpowiednie, proces nie przebiega prawidłowo i powstaje niepełny

diploidalny płód, który rozwija się, ze społecznego punktu widzenia, w bezpłodną samicę albo bezpłodnego samca, zależnie od tego, którego rodzica geny okażą się dominujące. Nie sądzę, by sami Dameii byli w stanie to rozsądzić, dopóki młode nie dorosnie i nie podejmie próby zawarcia związku.

- Ale pełne samce, synowie... - Linnix marszczy brew. -

Jak...

- Nasza najlepsza teoria głosi, że coś, czego na razie zupełnie nie rozumiemy, dzieje się w żeńskim owicteporze, płód ulega jedynie śladowym przemianom i dorasta, jako całkowicie haploidalny, normalny, płodny samiec. Jedno jest pewne, a mianowicie to, że w rodzinach posiadających płodne dzieci płci męskiej, jakie udało się nam przebadać, matka nieodmiennie wnosi swój wkład, wnioskując z czysto zewnętrznego podobieństwa. Czyli jest prawdziwą matką, a nie tylko inkubatorem. Jak widzisz, cały proces jest dla nas wciąż pełen tajemnic. A do tego przebiega powoli i niezmiernie rzadko. Dameii spędzają większość swego życia w stadium bezpłciowym.

- A więc zakładamy, że ewolucja gatunku również przebiega powoli i dosyć przypadkowo. Czy odpowiedziałem wystarczająco na twoje pytanie, myr Linnie?

- Ehe. - Linnix poważnie kiwa głową. - Bardzo dziękuję.

- Jest zamyślona, mimo nurtującego problemu zafascynowała ją obcość tej rasy. Jej palce cały czas zaciskają się na uchu kubka, raz za razem rozważa wszystkie za i przeciw. A w dodatku cichy

głos w jej duszy, nie zagłuszony zainteresowaniem sprawami Dameii, szepcze wciąż: Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby... Czy to możliwe, nareszcie możliwe?

Spojrzenie Barama, podczas opowieści o cyklu reprodukcyjnym Dameii, ani na moment nie oderwało się od jej twarzy. Teraz chwytą jedną z jej niespokojnych dłoni i pyta:

- Myr Linnix, nie ma sensu udawać, że przyszłaś tu, by wysłuchać opowieści o wojnie i doksztąpić się w fizjologii Dameii.

O co chodzi, moja droga?

W porządku, decyduje się w duchu. Koniec przyjemności.

Nie może wiedzieć, że Baram myśli prawie to samo. Podczas rozmowy intuicja podsunęła mu straszne podejrzenie: załóżmy, że rzeczywiście popełniono błąd, dobierając nieodpowiednie strzykawki z lodousypiaczem, błąd, za który ona jest odpowiedzialna. 1 że wybrała właśnie jego, by się z tego zwierzyć. Och, nie. Nie. Dokładnie wtedy, kiedy zaczyna bardzo ją lubić. Ale co innego mogłoby ją trapić na tyle, by uciekła się do tak skomplikowanych podchodów, by zadawała sobie aż tyle trudu? Z lękiem wyczekuje jej kolejnych słów.

Kiedy padają, jest tak zdumiony i uradowany, że zduszenie obłąkańczego uśmiechu wymaga od niego wielkiego wysiłku.

- Cóż, w pewnym sensie przyszłam tu, by wysłuchać opowieści o twoim życiu. Wcześniej, zanim jeszcze zacząłeś służyć na statku, odwiedziłeś kiedyś planetę Beneborn? To jest - była - moja rodzinna planeta.



- Beneborn, Beneborn... Nie sądzę, bym kiedykolwiek sły-  
szał tę nazwę. Pochodzę ze Strzaskanego Księżyca, w Diademie.

Beneborn nie leży przypadkiem w pobliżu skupiska Diademu?

To boli znacznie bardziej, niż sobie wyobrażała, zwłaszcza po  
tylu latach.

- Nie - odpowiada zmęczonym głosem - zupełnie gdzie  
indziej. Ale chodziło mi o czas, kiedy byłeś stażystą. Między opusz-  
czeniem Planety Medyków a wyruszeniem na wojnę. - Mówiąc  
to, zna już odpowiedź, jej słowa brzmią płasko i bezbarwnie, wcale  
nie przypominają prawdziwego pytania. To wytrąca Barama z wy-  
wołanego nagłą ulgą odprężenia.

- Beneborn, Beneborn - mruczy. - Zrozum, szczegóły z cza-  
sów poprzedzających wypadek nie są dla mnie zbyt wyraźne, ale  
wciąż jeszcze potrafię wymienić planety, na których pracowałem. Nie  
ma wśród nich Benebornu. Linnix, kochanie, odnoszę wrażenie, że  
zawiodłem cię albo zraniłem w jakiś sposób. - Jego głos jest bardzo  
łagodny. - Proszę, powiedz mi, o co chodzi. Co takiego uczyniłem?

- Och, nie zrobiłeś niczego, doktorze Baramji, byłeś jedynie  
miły. To fakty. Byłam głupia, mając n-nadzieję. - W pięknych  
turkusowych oczach wzbierają łzy. - Tylko że włosy, czas, wszy-  
stko wydawało się takie odpowiednie. A ja tak chciałam, żebyś  
to był ty. Och, jaka byłam głupia, głupia, g-głupia...

Bram otwiera ramiona, a ona wybucha płaczem na jego piersi.

- Wyrzuć to z siebie, kochanie. Przypuszczam, że byłaś bar-  
dzo samotna.

Nieoczekiwana gwałtowność jej szlochów niemalże przeraża go. Trzyma ją mocno, gładząc jej urocze włosy, i w końcu burza mija. Przez chwilę spoczywa nieruchomo w jego ramionach, wy-czerpana, a potem przełyka głośno ślinę, z zapalem korzysta z po-danej chusteczki i prostuje się, wracając na swoje krzesło.

- Och, doktorze Baramji...
- Po prostu Bram, kochanie.
- Ale ja nigdy... ja nie jestem skora do łez.
- Każdy jest, kochana, kiedy ból staje się nie do zniesienia.

A wydaje mi się, że tak właśnie jest w twoim przypadku. Teraz zaś opowiedz mi o nim.

Linnix na wpół wzdycha, na wpół śmieje się.

- Och, to naprawdę nic takiego, ale cóż, u mieszkańców Be-  
nebornu, jak choroba. Zaczęło się to wskutek pewnych wydarzeń  
z naszej przeszłości, ale tak naprawdę nikt tego nie pamięta. Teraz  
chodzi o to, że chcemy udoskonalić naszą rasę. Mamy taką ol-  
brzymią placówkę, zajmującą się przechowywaniem materiału bio-  
logicznego. Wiem, że na innych planetach też tak robią, ale nawet  
w połowie nie na taką skalę. U nas - u nich - to prawie religia.

W archiwach przechwywane są dane, o jakich ci się nie śniło. A lu-  
dzie, małżeństwa, oszczędzają, by kupić to, co najlepsze na rynku.

Albo to, co w ich opinii będzie najlepsze dla nich. Zazwyczaj je-  
dynie jajeczko albo spermę; czasami jedno i drugie, tak że dziecko  
w ogóle nie jest spokrewnione z żadnym z nich. Ludzie zakładają  
nawet konta oszczędnościowe w Spermowarium w imieniu nowo

narodzonego dziecka, tak by gdy dorośnie dysponowało odpowiednią kwotą. A specjalne próbki rezerwują z wielkim wyprzedzeniem.

- Moi rodzice oszczędzali, by kupić jedną z ostatnich porcji nasienia Lintza-Holsteada. Był wszechstronnym geniuszem, matematykiem i biologiem, a do tego bardzo zdrowym - zginął w wypadku, mając dziewięćdziesiąt sześć lat. To miałam być ja...

- Cóż, wspaniale - stwierdza Baramji. - Zakładam, że coś poszło nie tak?

- Och, i to jeszcze jak. Widzisz, Lintz-Holstead był ciemnoskóry. Do tego grupa krwi A plus. Ciemna skóra, czarne włosy i oczy - tak jak wszyscy przodkowie i krewni do czwartego pokolenia. Moja matka zaś i wszyscy z jej rodziny także byli ciemni.

I, z jednym tylko wyjątkiem, A plus. Między innymi to miałam na myśli, mówiąc o "danych". Za to ja - cóż, sam widzisz. -

Bezceremonialnie przesuwa dłońią po swoich wspaniałych włosach, które zrujnowały jej życie, a błękitne oczy ponownie zachodzą łzami. - I mam grupę krwi B, B minus.

- Nie byłam też wszechstronnie uzdolniona - testy są przeprowadzane praktycznie od urodzenia - tak naprawdę nie miałam żadnych uzdolnień, z wyjątkiem, eee... łyżwiarstwa torowego.

- Ale... - próbuje po omacku Baramji. - Nie chcę ranić twych uczuć, ale nawet matki miewają czasami romanse.

- Nic z tego. Zwłaszcza po wydaniu wszystkich tych kredytek - to były jej pieniądze. Nie była szalona, tak ona, jak i mój, w cu-

dzysłowie, ojciec zabiliby za dzieciaka o wysokim statusie.

- Cóż, w takim razie jakiś technik w chłodni zabawił się w mądralę i uzupełnił tego Linxa, czy jak mu tam, własnym towarem.
- Podejrzewamy dokładnie to samo. Kłopot w tym, że tuż przed wojną odbywali tam staż młodzi lekarze spoza planety, a ich archiwa nie są kompletne. I nikt nie wie, co się później z nimi stało, wybuchła wojna i tak dalej. Niektórzy pozostają kompletnie anonimowi. Władze Benebornu skontaktowały się z paroma szpitalami, które w przeszłości przysyłały nam swoich ludzi, i rozesłały kilka ogłoszeń, ale nic z tego nie wyszło.
- A więc zaczęłaś polowanie na własną rękę po całej Galaktyce? Mój biedny głuptas.
- W pewnym sensie musiałam tak postąpić, B-Bram. Widzisz, zrobiła się z tego potworna afery i moja rodzina dosłownie nie mogła ścierpieć mojego widoku. Tak więc, kiedy skończyłam trzynaście lat, Spermowarium przyznało mi niewielką roczną rentę i wysłało mnie poza planetę, pod warunkiem że nigdy już tam nie wrócę. Mówię poważnie; zakontraktowali mnie jako asystentkę pokładową na najbliższym statku Moomów. I od tej pory nie robiłam już niczego innego. To miła, bezpieczna praca, zapewniająca tyle wiedzy, ile tylko zdołam zdobyć. Po uśpieniu podróżujących czytam - naprawdę czytam książki - przez parę dni, zanim sama się położę. A teraz jestem już starszym oficerem i mogę wybierać loty na odległe planety, posiadające własnych starszych lekarzy. Wydaje mi się, że mój ojciec lubiłby pogranicze, że nie osiedliłby się w jakimś wielkim mieście,

jako lekarz ludzi z towarzystwa czy coś takiego. A więc, kiedy twoje włosy... i n-nie! - Prostuje się sztywno, zaciskając zęby. - Z całą pewnością znowu całego cię nie pomoczę, drogi, drogi Bramie.

Doktor zamyka jej dłonie w swoich.

- Nie uważasz, że któregoś dnia mogłabyś dać sobie z tym spokój i zatroszczyć się o parę własnych dzieci, jeśli tylko zechcesz. Jest takie stare powiedzenie: lepiej być przodkiem niż potomkiem.

Dziewczyna uśmiecha się uprzejmie.

- Moja rada, jeżeli cię to interesuje, brzmi następująco: w cholerę z tym Limpem-Holsteinem. Co on wiedział o statkach Moomów albo odległych planetach? Jesteś piękną dziewczyną. Na samotnych planetach czeka nieskończona liczba przystojnych, oddanych mężczyzn, którzy daliby sobie rękę uciąć za to, by móc, cóż, używając najbardziej wyświechtanego określenia we wszechświecie, by móc cię uszczęśliwić.

Linnix wpatruje się w przestrzeń, słuchając go tylko jednym uchem.

Bram podnosi się i zdecydowanym ruchem obraca jej twarz w swoją stronę.

- Linnie, kochanie, daj sobie z tym spokój! Pozwól innemu mężczyźnie... - Przykłęka przed nią na jedno kolano, trzymając ją mocno. Za mocno; ułamek sekundy później Linnix czuje, jak jego uścisk rozluźnia się. Palcami szczesuje jej z twarzy zmierzwione włosy.

- Wiesz co? - Uśmiecha się. - Pozwól mi być twoim przy-

brany ojcem na czas twego pobytu na Damiemie. Nie istnieje chyba przeszkoda, by dziecko mogło czasowo adoptować ojca, prawda? A moje pierwsze ojcowskie polecenie jest takie, byś udała się za to przepierzenie i umyła swą śliczną buzię. Potem jeszcze trochę porozmawiamy.

Linnix wybucha niepewnym śmiechem i rusza na poszukiwanie umywalki.

- Jak ci się podobały odwiedziny u Dameii? Czyż nie są uroczy?
- Ojej, jeszcze jak - odpowiada przy wtórze chlupotu. -

Ale ta historia, którą opowiedział nam myr Kip...

- Owszem. Najlepiej o tym nie myśleć. W końcu ci Dameii, których dzisiaj widziałaś, należą do trzeciego albo i dalszego pokolenia urodzonego po tamtych wydarzeniach.

Dziewczyna wyłania się zza zasłony, wycierając się zawzięcie ręcznikiem.

- Są długowieczni? Chorują, no, wiesz?
- Pytasz, czy mam tu dużo pracy? Czy zarabiam na swoje utrzymanie? Cóż, tutaj Kip również co nieco opuścił. Jak pamiętasz, mówiłem, że osobniki haploidalne, które nazywamy samcami, są podatne na najróżniejsze defekty. Tak więc mamy tu jeszcze jedną wioskę, czy osadę, która nie stanowi już tak radosnego widoku. Jej mieszkańców nazywamy wygnańcami. Wioska jest podupadła, zbudowana częściowo na ziemi, rozumiesz, dla Dameii z niesprawnymi skrzydłami. Normalni Dameii traktują bezskrzydłowców dosyć brutalnie; lot jest dla nich bardzo ważną sprawą. Po-

dejrzewamy, choć nie wiemy na pewno, że dochodzi do aktów dzieciobójstwa, kiedy noworodek jest całkowicie pozbawiony skrzydeł. W każdym razie dziecko wykazujące podobne ułomności wkrótce zanoszone jest albo samodzielnie dociera do wioski wygnańców. Pracuję tam i miewam pewne sukcesy. W rzeczy samej jeden z Dameii mieszkających obok nas jest moim pacjentem, któremu przywróciłem zdolność latania. Pewien problem stanowi to, że zdrowieją z zadziwiającą szybkością; zbyt wielką szybkością, o ile rana zostanie właściwie opatrzona. A zdrowych Dameii nie obchodzi medycyna. Tak więc tworzę wśród wygnańców załóżek grupy przyszłych lekarzy, jako że ci jakby naturalnie interesują się tym tematem.

- Chciałabym to zobaczyć, Bram - mój drogi adoptowany ojciec - jeżeli znajdziesz trochę czasu przed naszym odlotem. Słuchaj: potrzebujesz świeżych ręczników. Powiem Córy, zgoda?

- Zgoda, kochana córko.

W nagłym przypiływie dobrego humoru Linnix pyta:

- A czy ty miło spędziłeś czas z damą Pardalianches?

Bram naprawdę się rumieni, wstrząsający widok w zetknięciu z białą grzywą.

- Córeczko-cwaniaro - musisz pamiętać, że od lat tkwię samotnie na tej przeklętej planecie. Ale owszem - spędziłem go miło, nawet jeżeli tygodniami zalatywać będzie ode mnie piżmem i paczulą. Było mi to potrzebne.

- Pozostaniemy tu jeszcze przez kilka dni.

- Owszem. Jest tylko jeden problem. Ona pragnie spróbować wszystkich chętnych spośród tu obecnych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Zainteresowana?
- Nie.
- Szczerze powiedziawszy, to naprawdę trochę uciążliwe. Kiedy przestałem czuć się jak w niebie, przeszkadzała mi świadomość ciągłej obecności jej przykutej do łóżka bliźniaczki. Słyszałaś o tym? Oczywiście, że tak - opiekowałaś się nimi.
- Zgadza się. Biedactwo, nie zostało jej więcej świadomości niż kapuście, prawda?
- Obawiam się, że tak. Ale jej siostra nie zamierza się poddawać. Wiesz, że obie noszą na głowie złote siateczki z elektronicznymi wszczepami? Dama utrzymuje, że jej czepek przekazuje wszystkie jej doświadczenia, łącznie z dźwiękami mowy, siostrze, co więcej, twierdzi, że zdarza się jej uchwycić reakcję, jakby odpowiedzi. Nic artykułowanego, raczej uczucia.
- Oj, jakie to niesamowite.
- O, tak. Jej biedna bliźniaczka wiecie niezwykle intensywne życie umysłowe, o ile to prawda. Ja w to wątpię, choć dama wydaje się wystarczająco zamożna, by pozwolić sobie na zakup każdego urządzenia naukowego, nie zalatującego szarlatanerią. Linnix rozczesuje włosy, teatralnymi grymasami twarzy komentując stan Baramowego grzebienia.
- Cóż, mój miły panie, mój ukochany prawie-ojcie - chyba lepiej wrócę już do siebie i zrobię tam trochę porządku. Po przyjeździe



zdążyłam jedynie rzucić torbę w gąszcz jaszczurczych szkieletów.

- W takim razie ruszaj. - Łapie ją za ramiona; ich oczy spotykają się w niemym, pełnym uczucia spojrzeniu, potem całuje ją w czoło. Linnix odpowiada uśmiechem, prostuje się i zadziera podbródek.

- Moja dzielna dziewczyna.

- Chciałabym... chciałabym nią być. - Teraz jest w stanie to powiedzieć bez niepotrzebnego cierpienia.

- Zobaczymy się za jakieś cztery godziny, Kip uderzy w gong na kolację.

- Świetnie. - Uśmiecha się i nagle łapie go za rękę, całuje ją mocno, a potem wypada na łagodne popołudniowe słońce Damiema.

Baramji podąża za nią do wyjścia w samą porę, by ujrzeć, jak

Linnix obraca się na pięcie i kieruje z powrotem wprost ku niemu.

Zatrzymuje się w progu.

- Przepraszam - mówi cicho, lecz zdecydowanie.

- Za co, na gwiazdy kosmosu?

- Za to ostatnie. - Zakłopotana opuszcza wzrok. - Naoglądałam się za dużo seriali na gridzie. Tak, wiele ci opowiadałam o czytaniu i naprawdę czytam często, ale holowizję także oglądam.

Czasami. Chciałam, żebyś o tym wiedział. Myślałam, że - wykonuje szybki gest całowania w rękę - że jestem trochę pokręcona. Jestem... jestem ci bardzo wdzięczna, doktorze Bra-Bram.

- Jej głowa unosi się, błękitne oczy patrzą prosto. - Ale nie jestem chora, tak sądzę. Ty tak nie uważasz, prawda?

- O ile udało mi się zrozumieć, o czym mówisz, kochanie,  
to nie, nie myślę tak. Jesteś uczuciowa. Ale zważywszy na twoje  
pochodzenie, nie, nie jesteś chora.

- Ufff.

Z prawdziwym wyrazem ulgi na twarzy zdmuchuje na bok na-  
trętny kosmyk włosów.

- Dziękuję. Cóż, raz jeszcze do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Ich oczy spotykają się i ta sama tęsknota przeskakuje między  
nimi niczym iskra. Ale czy naprawdę ta sama?

- Spróbuję tego, co zaproponowałeś - mruczy i obdarza go  
szerokim uśmiechem, jedynie odrobinę kpiącym. - Do widzenia,  
tato. Hmm!

Potem odwraca się i rzeczywiście odchodzi przez taras w stronę  
swojego pokoju.

Bram odprowadzają wzrokiem, poruszony do głębi. Naprawdę  
wstrząsnęło nim, kiedy obejmował ją powtórnie, klęcząc przy niej;  
wstrząsnęło nim tak potężnie, że konieczne było niemal zmuszenie  
ramion do rozluźnienia uścisku. Pomijając już całą masę innych,  
skomplikowanych spraw, Linnix była człowiekiem kosmosu,  
w pewnym sensie. Tak jak on sam, ale lekarze to co innego.

Faktem jest, że jej pragnie, tej Linnix Bez-Imienia. Nie jako  
zastępczy ojciec - choć jej historia dotknęła go do żywego. Wy-  
rzucona z rodzinnej planety jako trzynastolatka za to, że miała nie-  
właściwego ojca. Ale on nim stać się nie może. Pragnie jej, jej

samej. Gdyby miłość rozkwitała tak szybko, zaryzykowałby stwierdzenie, że kochają namiętnie i bezgranicznie. Może to jest prawdopodobne; przeżywa teraz to najbardziej strywializowane z uczuć, o którym zwykł opowiadać żarty, to samo, co odczuwał w stosunku do swej pierwszej partnerki. (Przyłapuje się na tym - czyżby pierwszy raz określił Jimi mianem swej "pierwszej" partnerki? Tak. Och!) Sprowadza się to do tego, że pragnie, by była szczęśliwa, pragnie sprawić, by była szczęśliwa.

I pragnie jej, tego długonogiego, chłopięcego, wrażliwego, zabawnego, ognistowłosego dzieciaka - pragnie jej tak bardzo, że ukrywanie tego sprawia mu ból.

Zdumiony własnym zachowaniem, drapie się po siwej czuprynie. Dwie godziny temu przysięgłby, że jego biedne stare ciało nie zareaguje na żadną kobietę przez kilka tygodni, a przynajmniej dni, podchodząc do tej kwestii realistycznie. Markiza była wszystkim, czego mógłby zażyczyć sobie mężczyzna, zarówno jeżeli chodzi o obiekt pożądania, jak i o wyrafinowaną partnerkę. W dodatku współczującą, rozumiejącą jego potrzebę, reagującą na każdy jego sygnał. Przynajmniej może mieć pewność, że pożądanie, jakie czuje wobec Linnix, nie jest jedynie objawem syndromu deprivacji.

Jak u licha ma teraz postąpić? Czy będzie dla Linnie kochankiem, partnerem, przyjacielem, nieważne, za parę dni ona wejdzie po trapie swego statku i podąży dalej na swe beznadziejne, nie kończące się poszukiwania. Sama ta myśl przyprawia go o ból serca. I tak będzie już zawsze, chyba że...

Chyba że zdobędzie ją na jej warunkach. Ale wszystkie znane mu ludzkie planety posiadają tabu kazirodztwa. Bycie z nią na jej warunkach oznacza czynienie kpiny z jego żądy każdego dnia, każdej nocy, zawsze.

Ale zawsze to będzie coś; miałby pewność, że Linnix będzie do niego wracać, że tak ułoży swe życie, by stało się częścią jego.

Byłby pewien jej miłości.

Wzdychając ponuro, zaczyna przekopywać się przez brudną bieżącą, z nie znanej przyczyny pokrywającą jego biblioteczkę, i wyciąga Encyklopedię światów Braziliera. Nalewając sobie kolejny kubek zimnej kaffy, siada i zaczyna przygotowywać plany swej zagłady.

Może, ale tylko może, nie będzie musiał z nich korzystać. Ale wszystko, co wie na temat ludzkich uczuć, mówi mu, że to niemożliwe.

VI

Nowa minus 6 godzin:

Zannez się niepokoi

Zannez, niezniszczalny i zatroskany, także nie odczuwa szczególnej potrzeby snu. Leży sobie, gryząc się w myślach, podczas gdy dzieciaki drzemią sobie słodko - porozsuwali sobie drzwi, zamieniając swe pokoje w jeden wielki apartament - i przeżuwa myśl, która właśnie go naszła: czy nie jest możliwe, by część albo i całość plenerów Damiema stanowiła materiał zastrzeżony? Cóż to by było za rozczarowanie, gdyby ich wielka wyprawa, najlepszy

póldokument, jaki on i dzieciaki kiedykolwiek nakręcili, miał wylądować w jakimś federalnym sejfie.

Dział Turystyczny powinien był oczywiście to załatwić, ale na Gridworldzie - kto to wie? Najzwyczajniejsza głupota albo ukryty wróg wystarczy, by wszystko zrujnować. Głupota odnosiła się do niego samego, jako osoby odpowiedzialnej za zaniedbanie i niesprawdzenie tego szczegółu. Może Korsowie będą w stanie udzielić mu odpowiedzi; ale Zannez wiedział z doświadczenia, że ludzie w terenie zwykle nie mają pojęcia, jak skrupulatna bywa ich centrala.

Z pokoju chłopaków dobiegają szeptane zachwyty nad atrakcjami dzisiejszego dnia. Wydają się głęboko poruszeni - obiecane listy pochwalne też mają w tym swój udział. Od strony łóżka, w którym leżą Snake i Hanno, słyszy powtarzane słowa "złote pieczęcie".

To kieruje myśli Zanneza ku weselszym tematom. Pomyślałby kto - federalne pochwały dla jego dzieciaków! Jest z nich dumny, z zespołu, który zbudował niemalże od podstaw. A teraz co, obrażają się niczym weterani w towarzystwie markiz, książąt i zarządców planetarnych - i jeszcze na domiar wszystkiego to! Zajęcia z wymowy, na które ich posyłał kosztem niejednego obiadu, w końcu się opłaciły.

Wraca myślą do dróg, jakimi trafili pod jego skrzydła.

- Bridey - Eleganza, psiakrew - była pierwsza. Wraz z bratem stanowiła połowę duetu kaskaderskiego. Kiedy jej brat skręcił kark, studio podało kontrakt i wyrzuciło ją na zbity, dwunastoletni pysk. Zdążyła odłożyć sobie trochę pieniędzy, ale dorwała się do

nich młodociana banda, która o mały włos nie dopadła również i jej samej. Skręcił właśnie za róg, kiedy ujrzał, jak próbuje odpedzić ich kamieniami. Była zadziorną smarkulą, a przeklinała niczym chłopak; zabrał ją do domu, a później własnoręcznie przygotował jej kontrakt.

Snake i Hanno, przyuczali się do zawodu w jakiejś trzeciorzędnej trupie akrobatycznej; bawili się już w dziecięce porno. Zannez trafił na próbkę, ich opanowanie przypadło mu do gustu, a kiedy trupa rozsypała się w drobny mak, zdołał wykupić ich kontrakty za bezcen.

Star zaś - bezskutecznie poszukiwał naturalnej blondynki, jako partnerki dla Hanny'ego. Którejś nocy siedział w portowej knajpie, ponuro kontemplując utlenienie Bridey, kiedy zaczepił go facet z załogi jakiegoś frachtowca, trzymający coś szarego i włochatego na sznurku grubym jak jego nadgarstek. Zwierzę było tak usmarowane, że wziął je za obcego albo małą małpkę, lecz kiedy weszli do kibla i tamtem zmoczył mu głowę, jego oczom ukazała się jasnowłosa, oszołomiona ludzka dziewczynka. Uznał, że miała w sobie zadatki na coś wielkiego. Och, nie kręć, karci sam siebie, postanowiłeś ją kupić, jak tylko ujrzałeś ten sznur. Tak czy owak, zabrał ją do domu, razem z pozostałymi umył ją i nakarmił, a kiedy dziewczynka przestała się już obżerać, zaśpiewała krótką piosenkę i powiedziała, że nazywa się Sharon Woba.

I tak narodziła się Star.

Przez następne lata układał ich, ćwiczył i szkolił w każdej robocie, jaką udawało mu się wysepić, aż wreszcie trafiła im się ta

wielka szansa z APK. Ale teraz wygląda na to, że wszystko zaczyna się sypać. Dzieciaki to wyczuwają, myśli sobie.

Dopiero co w zeszłym miesiącu Hanny przeraził go prośbą

o pozwolenie na zaciągnięcie się do floty. Byli na Beverly - na

Gridworldzie nie ma punktu werbunkowego - więc Zannez po-

wiedział, czemu nie. Nie miał większych wątpliwości co do tego,

jak to się skończy. A jakże, oficer werbunkowy wyrzucił go z po-

wodu pornografii. "Patrol Kosmiczny nie zatrudnia zwierząt". Han-

ny nigdy o tym nie rozmawiał, ale Zannez podejrzewa, że ta rana

jest głęboka. Chłopaka naprawdę ciągnie w kosmos.

Dziewczyny w drugim łóżku wciąż jeszcze poszeptują sennie.

Zannez słyszy, jak jedna z nich mówi: "Tylko za małą rozbieraną.

Nawet nie zależało im na podbrzuszu. Ciekawe, co". A druga, już

prawie przez sen, powtarza cicho: "Uprzejmi byli, tacy uprzejmi".

To kieruje rozmyślenia Zanneza w stronę, w którą z pewnością

nie podąży. Porno. Owszem - to świństwo, to przestępstwo. To

zarobek. Dzieci, sprzedające jakby krew swych dusz, by wzbogacić

ludzkie rekiny - a on, Zannez, nie zmieni tego systemu. Może

jedynie zaopiekować się ludźmi, za których jest bezpośrednio od-

powiedzialny, i jak najdłużej trzymać ich z dala od naprawdę

ostrych rzeczy. A jeżeli już ma zacząć martwić się o zasady, lepiej

wstać i trochę popracować.

Dziewczyny śpią już smacznie; Zannez po cichu wciska się

w świeży czerwony kombinezon. Na zewnątrz, wśród popołudnio-

wych błękitów, złota i zieleni jeziora i lasu, czuje się znacznie lepiej.

Taras tworzy wąski półksiężyc, biegnący wzdłuż wychodzącej na jezioro ściany motelu, o centralnej części wyginającej się w stronę jeziora i niskiej krawędzi. Za nią są szczyty drzew - teren opada tu naprawdę gwałtownie, rzędem zalesionych stoków, aż do samej wody. Cały brzeg porasta las, jedynie daleko po lewej stronie widać niewielką plażę. Jest prawdziwie pięknie.

Spoglądając w kierunku plaży, dostrzega niewielkie rozbryzgi wody - to akwamanin, Hiner, wychodzący z jeziora. Badał dno zbiornika. Dziwne. Zannez zatrzymuje na nim wzrok, zastanawiając się, czy dałoby się wyciągnąć z tego coś dla potrzeb dokumentu, 1 uznaje, że nie. Zbyt wiele zamieszania - a Hiner nie wyglądał na szczególnie skorego do pomocy.

Wracajmy do pracy. Gwiazda ma wzejść po prawej stronie i przejść nad jeziorem, stając się coraz większa i emitując to, co emituje. Niebo jest prawie bezchmurne i ma już takie zostać; idealne warunki.

Ale jak gwiazda będzie wyglądać, kiedy rzeczywiście ich otoczy? Cóż, zapewne wcale nie będzie miała jądra, niebo będzie pełne materii gwiazdnej, może fantastycznych zórz i innych dzikich zjawisk. W rzeczywistości to jedynie mknący z zawrotną szybkością front nowej. Może ulegać gwałtownym zmianom. Lepiej na początek ustawić napowietrzne kamery na jednosekundowe wychylenia. I, powiedzmy, pełne ujęcie nieba i jeziora co jakieś dwadzieścia sekund. I dodatkowa kamera na zawieszeniu kardanowym, z czujnikiem świetlnym.



Dziwne, lodowate uczucie mrozi mu wnętrzości. Zannez wreszcie odkrywa jego powód; uświadamia sobie, że tym razem nie będzie miał do czynienia z pełnoekranowymi efektami specjalnymi, skleconymi przez Dział Techniczny; to sama rzeczywistość. To, bogowie świadkami, prawdziwa wielka gwiazda, albo rozsadzone jądro gwiazdy - rozsadzone eksplozją, w której zginęły miliardy rozumnych istot - oto, co podąża dziś wieczór w ich stronę.

Nie ma nikogo, do kogo można by zawołać, by zatrzymać ujęcie, by powtórzyć całą scenę albo by wszystko wyłączyć, kiedy zaczną ich przypiekać razem z motelem. To rzeczywistość.

Cóż, jeżeli inni się tego nie boją, on nie będzie gorszy. Po prostu nie przywykł jeszcze całkiem do rzeczywistości. I ta okropna historia o tych nieszczęsnych skrzydlatych ludziach, która wydarzyła się właśnie w tej okolicy, jego umysł wzdryga się na myśl o tych okropnościach. Lepiej myśleć o wspaniałych ujęciach, jakie ma już na taśmie, wystarczająco dużo, by zmontować dokument - zanim jeszcze nawet zaczęli!

Teraz myśli, gdzie ma rozmieścić swoich ludzi?

Centralne wybrzuszenie półksiężyca stanowi naturalną lokalizację, ale na pewno zgromadzi się tam większość gości i być może będzie też trzeba tam rozstawić jakieś oficjalne urządzenia. Nie zamierza nikogo więcej wkurzać, będzie po prostu zwykłym zapracowanym sobą. Ten tekst: "Jestem Zannez" należał do gridworldowego śmiecia, który nie działa tutaj, w realnym świecie.

Rzeczywistość ma jeszcze jeden aspekt - roztrząsanie którego

Zannez odkładał na później. Skoro teraz rozmieszcza już swoich ludzi, nie może dłużej się ociągać. Czas stawić czoło faktom: pracujemy w świecie, który w najmniejszym drobiazgu stosuje się do postanowień Kodu.

Kod to ważna sprawa wśród ludzi kosmosu. Dorastają w nim, to dla nich druga natura. Jego kwintesencja jest prosta: nic z seksu bez zaproszenia słowem lub czynem. O rety!

Żaden kosmonauta nie ośmieliłby się go pogwałcić, bo wszyscy wiedzą, że powszechne przestrzeganie Kodu to jedyny sposób na bezkonfliktowe, swobodne kontakty między osobnikami przeciwnych płci w izolacji i ciasnocie kosmosu. "Kod oddał nam gwiazdy we władanie". Wykroczenia są nie do pomyślenia: jeżeli do nich dochodzi, winny dostaje dożywotni zakaz lotów; w mgnieniu oka można wylecieć ze służby.

Nawet dzieciaki to wyczuły. Zannez dostrzega to wyraźnie. Nie potrzebowały jego ustawicznych ostrzeżeń. Sam jest pod wrażeniem, poruszając się po omacku wśród dziwacznej kombinacji swobody i automatycznej samodyscypliny, będącej produktem Kodu. Przychodzi mu na myśl stare powiedzenie: "Dla czystych wszystko jest czyste". Nic w tym do śmiechu - ci ludzie, jak się domyśla, potrafią spać w jednym łóżku bez zdrożnych myśli, jeśli wymaga tego ich praca; jakie to odległe od Gridworldu, obowiązkowego spółkowania i coraz bardziej pustej - i krwawej - pogoni za sensacją.

Ale jak w imię bogów ma tu nakręcić pornosa, jednocześnie unikając linczu?

Cóż, technicznie ma wolne ręce, tak powiedziano mu przed odjazdem, jako że nie będzie to przeznaczone dla nikogo z obecnych i nie żywi żadnych "niecnych zamiarów". Ale z pragmatycznego punktu widzenia ta sprawa śmierdzi.

Będzie musiał odgrodzić dzieciaki jakimś parawanem. Najlepsza byłaby jakaś zasłona, ale nie ma jak jej zawiesić, krawędź tarasu jest zbyt niska. Parawany będą musiały mu wystarczyć. Ścieżkę dźwiękową dorobi się później; to straszna męczarnia, ale nie ma innego wyjścia. Dzięki losowi za to, że taras jest długi i wąski, łatwy do przegrodzenia.

A więc gdzie się rozłożyć?

Cóż, taras ma niewielką wnękę tuż obok drzwi pokoju chłopaków; tam byłoby idealnie, oczywiście z parawanami. Będą mogli wykonać każdy ze swoich numerów, będzie dosyć miejsca, by rozłożyć się trochę szerzej, a miejsce leży pod odpowiednim kątem w odniesieniu do głównych drzwi salonu. Zaczyna wyobrażać sobie holograficzne ujęcia i odległości, zastanawiając się od niechcienia, czy drzewa wokół jeziora nie zajmą się aby ogniem. O rety! Raz jeszcze.

Od producenta dostał scenariusz scen z gwiazdą w tle; wyciąga go teraz i przerzuca. Oparty jest na pomysł, że egzotyczna energia wydzielana przez gwiazdę ma hiperseksualny charakter i dzieciaki mają wykonywać coraz dziwniejsze akty erotyczne, w miarę wzrostu natężenia blasku gwiazdy. Zannezowi przypadła w udziale rola lekarza. I polecono mu nakręcić wszystko w taki sposób, by dało się z tego wyciąć normalny segment do zwykłego odcinka

APK, podczas gdy druga, ostra wersja porno rozproszona zostanie innymi kanałami.

Zannez przegląda scenariusz z rosnącym niesmakiem. Na Gridworldzie takie rzeczy są na porządku dziennym. Ale tutaj, nad tym magicznie spokojnym, zacisznym jeziorem, pod nieskazitelnym niebem - nieoczekiwanie drze wszystko na strzępy. Nie ma tu chyba automatycznych niszczarek, ale beczka przy murku zamykającym ich część tarasu zawiera jakieś papiery, więc dorzuca do nich cały scenariusz. Dzieciaki mogą pokazać trochę interesującego seksu, później dogra się komentarz odpowiedni do objawiających się kosmicznych cudów - ale za nic w świecie nie umieści w tych scenach taniego dialogu porno, jaki został dla nich zaplanowany.

Teraz już na pewno czeka go zielona trawka; już widzi, jak tłumaczy się ze swych posunięć przed forsiastymi kolesiami o oczach jak sztylety, których własnością jest APK.

Jego umysł wraca na wydeptaną ścieżkę, wiodącą do krainy zmartwień. Gwałtownie opadające notowania jego grupy w ramach obsady APK, liczącej ogółem trzydzieści pięć osób; jego własna głupota, sprawiająca, że trzyma się przy nich, chociaż dostał tę absolutnie wspaniałą propozycję kręcenia dokumentów. Jest w tym dobry - w rzeczy samej uwielbia filmy dokumentalne. A takie oferty na Gridworldzie pozostają w mocy przez jakieś trzy godziny. Kiedy tam wrócą, nikt nie będzie nawet pamiętał jego nazwiska. Co go przy nich trzyma? Jakież niejasne poczucie lojalności wobec tej niezdarnej czwórki, zwłaszcza Snake'a i Bridey-Elegan-

zy. Jeżeli odejdzie, za miesiąc wszyscy trafią na listę personelu do redukcji, a stamtąd krótka droga na samo dno. Będą sprzedawać biedazupkę, jeśli im się poszczęści, siebie samych, jeżeli nie. Ten scenariusz nie jest długi; Gridworld jest pełen im podobnych, pięknych niemalże-gwiazd, wypróbowanych niewypałów. Ta planeta słynie z gazet o największej liczby nekrologów i najwyższej śmiertelności wśród nastolatków w całym zasiedlonym przez ludzi kosmosie.

Nie. On i ta szalona podróż, jaką dla nich wymyślił, wyprawa na spotkanie trzeciej fali Zamordowanej Gwiazdy, stanowią ich ostatnią szansę. Najżałośniejsze jest to, że nie jest dla nich nawet właściwym reżyserem. Odpowiedni człowiek na tym stanowisku wyzyskałby w pełni ową złowieszczą aurę, jaką potrafi roztaczać wokół siebie Snake; i czystą, bezmyślną zmysłowość Starcem, jaka bije od niej, kiedy jest we właściwym nastroju, i pół tuzina innych rzeczy, których on nie potrafi. Bogowie wiedzą, że się starał, ale to po prostu nie dla niego. Tak więc swoją ostatnią szansę będą starali się wykorzystać pod przewodnictwem nieodpowiedniego człowieka, partacza.

Ech, myśli sobie, pieprzyć to wszystko! Jesteśmy, bogowie jedni wiedzą, ile lat świetlnych od studia. Wszystko może się zdarzyć.

Może ich statek rozleci się podczas podróży do domu.

Tymczasem pora zabrać się za coś, w czym jest naprawdę dobry.

Ten ich taras wygląda pusto, czegoś mu trzeba. Tubylczych -• oj, proszę o wybaczenie - artefaktów Dameii. Kobierców, poduszek,

posągów - może mają jakiś wielki totem. Będzie musiał zapytać Kipa albo szefową, kiedy się pojawi. Szkoda myr zarządcy, myśli sobie. Wspaniały człowiek, ale do filmu pasuje jak wół do karety. Siada sobie z boku i czeka. Po paru minutach zauważa mimochodem, że na drugim krańcu tarasu pojawia się kolejna postać i spogląda w stronę jeziora. To ta rudowłosa, odziana na biało dziewczyna ze statku, oficer logistyczny. I oto do akcji ruszył kolejny z talentów Zanneza, o którym teraz wspomina bardzo rzadko i niewielu ludziom.

Dziewczyna stoi wyprostowana i obojętna, pozornie podziwiając wspaniałą naturę. Ale Zannez wie - właśnie dostała ciężkiego kopa w tyłek. Jak zawsze zastanawia go, skąd mu biorą się te przecucia.

Ludzie mówią o Języku ciała", ale jego spostrzeżenia są bardziej subtelnej natury. Pewne rzeczy - niekoniecznie te najważniejsze - są mu po prostu wiadome. Stąd właśnie wie, że ten młody chamek, Yule, oraz akwamanin, rzekomo rozwścieczeni wysadzeniem na tej planecie, wcale nie wściekają się z tego powodu. A milkliwy, samozwańczy artysta Vovoka zalatuje trupem. Uczucie zaś łączące Kipa i Córy to prawdziwa miłość. I wreszcie nasz kochany, stary, wesolutki doktor Ochter za pół kredytyki poderznąłby każdemu gardło. Zannez za nic w świecie nie potrafi zrozumieć, dlaczego dla innych te sprawy nie są podobnie oczywiste. Ale wielokrotnie podbite oczy i rozklepane wargi nauczyły go, że lepiej jest trzymać gębę na kłódkę.

Hej, chwileczkę, zaraz, zaraz. Skoro ci dwaj, Yule i Hiner, nie są niezadowoleni z pobytu na Damiemie, oznacza to, że albo wcale nie mają ochoty lecieć na Grunions Jakmutam, albo - że od samego początku zamierzali trafić właśnie tutaj. A na odwiedzenie tej planety bardzo trudno jest uzyskać zezwolenie, Zannez wie coś o tym. Jednakże ci dwaj się tu dostali, bez kontroli bezpieczeństwa czy czegoś takiego. Bardzo śliska sprawa. Instynkt podpowiada mu, że albo są współnikami, albo coś ich łączy.

Dlaczego? Co mogło ich tu sprowadzić?

Od dłuższej chwili niewidzącym wzrokiem wędrował po tafli urokliwego, teraz niesamowicie spokojnego jeziora. Teraz jego uwagę przyciąga ruch na przeciwległym brzegu. Nagle rozkładają się wielkie, blade skrzydła i unoszą się między korony drzew, za nimi następne. Trzymają pojemniki. Prześlizgują się od niechcenia między szczytowymi gałęziami i znikają.

Nagły dreszcz niepokoju przenika Zanneza.

Sprowadzić ich tu mogli Dameii - i złote kredytyki, jakie można było dzięki nim zarobić. A ten bandzior Yule i odpychający wodnik, obaj subtelnie tracący smrodkiem Mrocznych Światów, niezwykle zręcznie zdołali się tutaj przedostać.

Zannez pociera swą łysą głowę kostkami dłoni, czując lekki chłód i strach. Dziesiątki lat przeżył w świecie nierzeczywistym - wydumane charaktery, naciągane intrygi, wszystko na niby, z wyjątkiem jedynie danych o oglądalności na ekranach komputerów i podpisanych - albo nie podpisanych - kontraktów. Teraz

zawsząd otacza go rzeczywistość.

Ten piękny, całkowicie bezbronny, uskrzydłony lud istnieje naprawdę, nie jest jedynie wytworem specjalistów od charakteryzacji.

Okropna opowieść, której wysłuchał po południu, rzeczywiście się wydarzyła; nie stanowi jedynie części scenariusza, który można dowolnie zmieniać, jest prawdziwa. Ofiary tortur i morderstw są prawdziwe, nie wstają po zakończeniu zdjęć. I realne były bogactwa nagromadzone dzięki tym krwawym okropieństwom - bogactwa, które pewnym ludziom śnią się po nocach, nadają sens ich życiu, popychają ich ku najbardziej ryzykownym przedsięwzięciom. Pobudzają do snucia wyrafinowanych, zbrodniczych planów. Wszystko rzeczywiste.

Jeżeli zstąpi tu zło, będzie prawdziwe, i dotknie nie tylko Dameii, pociągnie za sobą śmierć wszystkich, którzy staną mu na drodze.

Teraz zaś on, Zannez, przeczuwa nadciągające kłopoty ze strony tych dwóch, Yule'a i Hinera, którzy niewątpliwie przylecieli tu bez kontroli, co, jeśli zaangażowałoby się odpowiednie środki, mogło być z góry zaplanowaną operacją. Czy to przeczucie podpowiada mu coś jeszcze? Nic - tyle że realizacja zarysowanego się scenariusza wymaga większej inteligencji, niż mają jej oni obaj razem wzięci. Cóż, może to Vovoka i otaczająca go aura śmierci? A może ten mały przyjemniaczek, Ochter? Jeden z nich mógł być głównymmacherem, szefem operacji.

Może po prostu zwariował? Zapewne.

Ale któż wie, kto jeszcze może czaić się za kulisami? Kosmos



jest wielki; Zannez teraz już zdaje sobie z tego sprawę. Podczas wchodzenia na pokład olbrzymie wrażenie wywarł na nim widok jaśniejących wirów galaktyki za jego plecami. A potem oficer Lin-nix zaprowadziła ich do innego iluminatora i wskazała na płonące przed nimi słońce Damiema, samotne, w towarzystwie kilku za-ledwie gwiazd, zawieszonych pośród kompletnej czerni.

Obrzeże...

Tu czaić się może wszystko. Kto by się o tym dowiedział?

A teraz nadchodzi go to przeczucie, swąd Mrocznych Światów za-latujący od tych dwóch. Gdyby chodziło tylko o niego, z przyjemno-ścią by to zignorował. Ale ta sprawa może dotyczyć i innych. Nie tylko Dameii, ale i innych niewinnych ludzi, Korsów i pozostałych gości, których niewątpliwie nie pozostawiono by w spokoju, gdyby rzeczywiście ktoś planował tu akcję obliczoną na zdobycie "Gwiazd-nych łez". Mówiąc pokrótce, może pierwszy raz w swym życiu przy-trafił mu się prawdziwy obowiązek? Na pewno zwariował.

Cóż, szalone czy nie, to przeczucie cholernie mu przeszkadza, odciąga od pracy. Chciałby już zrzucić to z serca.

Ale czy jest tu ktoś, kto by go po prostu nie wyśmiał?

Pani szefowa, Córy, wydaje się najwłaściwszym wyborem - i najodpowiedniejszą osobą pod względem formalnym. Tak, po-stanawia Zannez. Powiem jej o tym i niech już ona zdecyduje, jak poważnie potraktować szósty zmysł obcego faceta.

A jednak w tej samej chwili zaczynają go dręczyć wątpliwości.

To nierzeczywistość, do której tak skutecznie się przystosował:

a jeśli jego przecucie jest nieprawdziwe - odnosi się nie do rzeczywistości, a jedynie do tego, co w danej chwili znaleźć się powinno w standardowym scenariuszu? Skonfundowany ponownie uderza się pięściami po głowie, przeklinając Gridworld. Cóż, o tym również powie myr Córy.

Sama najlepiej się rozezna, co jest prawdziwe, a co nie.

Jak gdyby wywołana przez reżysera pojawia się Córy, wychodząc tyłem przez centralne drzwi; za nią podąża Kip. Wspólnymi siłami pchają wielki, staromodny, wielokanałowy terminal i nadajnik w jednym i ustawiają go dokładnie tam, gdzie według domysłów Zanneza powinno stanąć coś oficjalnego.

Kip truchtem wraca do salonu, podczas gdy Córy oczekuje na jego powrót, posapując nieznacznie.

- O, witam, myr Zannez. Ufam, że wszystko jest po pańskiej myśli?
- Tak, oczywiście. Rozłożę się w tej części tarasu. Nie ma pani chyba nic przeciwko temu? Ale jest bardzo ważna sprawa, o której musiałbym z panią pomówić, i to niedługo. Czy byłoby to możliwe?
- Jak najbardziej - odpowiada ciepło. - Ale teraz pora nie jest najodpowiedniejsza. Czy ma pan może jakieś życzenia wymagające szybszej realizacji?
- Cóż, byłibyśmy bardzo wdzięczni za parę artefaktów Dameii - powiedzmy dywan czy narzutę na obmurowanie tarasu, poduszkę czy dwie, jakąś wielką maskę albo inną unikatową rzeźbę. Czy nie przesadzam? Oczywiście, będziemy się z tym obcho-

dzić ze szczególną troskliwością.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań. - Córy uśmiecha się

i woła: - Hej, Kip!

Kip pojawia się nad nimi na dachu, w dłoni trzyma gruby kabel

zakończony wtyczką. Za jego plecami podskakuje pierzasta czapka

księcia Pao.

- Wszystko gotowe, możesz się podłączać, Cór.

- Słuchaj, podczas gdy ja się będę mocować z tym potworem, nie zechciałbyś skoczyć do naszych kwater i wybrać jakiś koc i parę innych wyrobów Dameii dla myr Zanneza? Potrzebuje nadać swojemu filmowi trochę lokalnego kolorytu. Przynies też ten wielki posąg Damei, stojący przy basenie.

- Nie ma sprawy, Cór. Gdybyś tylko zechciała złapać to.

- Za minim. Jak bardzo poważna jest ta druga sprawa, myr Zannez?

Zannez waha się, potem nabiera powietrza w płuca.

- Myr Córy, to może zabrzmieć głupio, ale czasami miewam przecucia. Przecucia zapowiadające kłopoty. I one zwykle się sprawdzają. A teraz naszło mnie jedno tak silne, że nie wytrzymam sam z sobą, jeżeli nie podzielę się nim z kimś odpowiedzialnym.

- Cór! - krzyczy Kip. - Na litość boską, zacznijmy już.

Nie możemy dłużej trzymać głównego obwodu bez zasilania.

- Spokojnie - odkrzykuje Cór. - Niech pan posłucha, myr Zannez, naprawdę pragnę usłyszeć to, co ma mi pan do powiedzenia, i przyrzekam panu, że podchodzę do takich spraw poważ-

nie. Znajdę chwilę czasu, by pana wysłuchać. Ale teraz, jak sam pan widzi, nie jest to ta właśnie chwila.

- Cór!

Odwraca się i podchodzi do skraju dachu, ustawiając się bezpośrednio pod Kipem.

Cóż, myśli sobie Zannez, o co więcej mógłbym prosić?

- Dziękuję, myr Córy, bardzo dziękuję. Ale proszę nie czekać zbyt długo.

Nie ma pojęcia, czy go w ogóle usłyszała. Łapie kable i cała zaferowana bierze się za podłączanie ich do starej konsoli. Aby zabić czas, w oczekiwaniu na powrót Kipa z artefaktami, Zannez zaczyna zaznaczać sobie pozycje, odległości i lokalizacje stałych kamer, tak jak je sobie wyobraził. Oświetlenie zmienia się wraz z obniżającym się na nieboskłonie słońcem. Zapowiada się niesamowity zachód.

Na taras wyszedł mały doktor Ochter i teraz obserwuje go.

Skończywszy przygotowania, Zannez przypomina sobie jeszcze jedną sprawę, która go nurtowała.

- Doktorze, skoro ten front zbliża się do nas z szybkością światła, jakim cudem uzyskujemy o nim informacje? Przecież wszystkie transmisje powinny jedynie podążać jego tropem. Tam przecież nie mająk rozmieścić nadajników c-skipowych - a może się mylę? Mój chłopak, Ek, trochę się interesuje tymi sprawami i kazał mi się o to zapytać.

- Owszem, to niezły trik, prawda? - odpowiada człowieczek. - Oczywiście pan rozumie, że nie jestem astrofizykiem, ale

swego czasu tłumaczono mi to tak: wykorzystuje się do tego coś, co kiedyś nazywano efektem tachionowym, by przekazywać wiadomości między statkami i bazami rozmieszczonymi na trasie przejścia frontu. Może zaczęło się to od tego statku, który zniszczył gwiazdę - Kip powiada, że kiedy zbierzemy się w barze, opowie nam całą tę historię. Wiem natomiast, że jest to bardzo kosztowne przedsięwzięcie, i ucieka się do niego jedynie w przypadku szczególnych frontów gwiazd nowych i tym podobnych zjawisk.

- Tachiony - powtarza Zannez. - To mnie satysfakcjonuje.

Tak czy owak, nie potrafiłbym zrozumieć prawdziwie naukowego wyjaśnienia. Naszej widowni całkowicie wystarczą tachiony. Dość rzucić im jedno naukowo brzmiące słowo, którego nigdy przedtem nie słyszeli, a są cali szczęśliwi.

W tej samej chwili otwierają się centralne drzwi i zjawia się Kip.

Na ramieniu dźwiga stos elegancko ubarwionych liściastych tkanin i innych tajemniczych przedmiotów, podczas gdy w obu rękach trzyma dwumetrową postać Damei, wyrzeźbioną w bladym drewnie.

- Och, bogowie, to przewspaniale! - sapie Zannez. - Nigdy się nie spodziewałem...

- Cór powiedziała lokalny koloryt, to ma pan lokalny koloryt

- odpowiada Kip. - Tylko żadnych plam ani rys, pod groźbą skrócenia o głowę.

- Samobójstwa - poprawia go Zannez. - Proszę posłuchać, jeden z moich chłopaków - Snake - jest prawdziwie uzdolniony artystycznie. Możemy to gdzieś tu złożyć, a ja pobiegnę po niego?

To już i tak pora, by zbudzić smarkaczy.

Wzdycha głęboko.

- Ale proszę posłuchać, myr Kip - mam pewien problem.

Planowane ujęcia, no, kręcimy je nago, i nagość to nie wszystko, jest znacznie - znacznie gorzej. Mówiąc otwarcie, jedna scena mogłaby śmiało trafić do programu porno. To pornografia. Takie mam polecenia. Ale w żadnym wypadku nie zamierzam nikogo obrażać. Ta planeta i wy wszyscy jesteście oddaleni o całe lata świetlne od Gridworldu, i cieszy mnie każdy, składający się na nie minim świetlny. Tak więc znalazłem się między młotem a kowadłem. Do głowy przychodzi mi tylko jedno: parawany. Parawany i jeszcze raz parawany, ustawione dokładnie tutaj, między dziećmi a resztą. To chyba nic złego, jeśli będzie widać mnie i kamery, prawda? Co pan na to powie?

- Cór i ja już to przewidzieliśmy - odpowiada Kip, momentalnie poważniejąc. - Szybko się zorientowaliśmy, o co chodzi.

Cór uznała, że skoro wy podejmujecie wszelkie niezbędne kroki, by nie naruszyć naszej prywatności, nikt nie powinien się denerwować. Ja się z nią zgadzam. W końcu to wasz zawód, nie kierujecie tego bezpośrednio pod niczym adresem.

- A zastony? - Zannez odczuwa wielką ulgę.

- Da się zrobić. Kiedy tu byli Dameii, skonstruowaliśmy dla nich parę parawanów.

Ostrożnie opierają wszystkie piękne przedmioty o parapet tarasu, po czym Zannez wraca do swego pokoju, pozostawiając Kor-

sów pochłoniętych wybebeszaniem konsoli.

Jego czwórka nie śpi już i jest w bardzo dziwnym nastroju.

Ani ponurzy, ani drażliwi, ani zniesmaczeni; tylko dziwni; Zannez takimi ich jeszcze nie widział. Czyżby, jak on sam, przechodzili szok wywołany zetknięciem z rzeczywistością?

- Mam nadzieję, że realność tego wszystkiego was nie stresuje, co, dzieciaki? - pyta. - W końcu to coś zupełnie odmiennego od naszych dotychczasowych doświadczeń. Przez całe popołudnie odpędzałem od siebie dziwaczne myśli. Pędzi na nas prawdziwa gwiazda, wszyscy ci ludzie i wydarzenia są rzeczywiste, nikt z nich nie słyszał o nas ani o świecie show-biznesu. Czuję się przez to odrobinę rozkojarzony.

- Wiemy, co masz na myśli, Zannie - powiada Starcem swoim słodkim, zarezerwowanym na prywatne rozmowy głosem. - Dzięki, że chcesz nam pomóc.

- Istnieje jeszcze jedna rzeczywistość. - Chichot Snake' a nie jest taki całkiem beztroski. - Jeszcze prostsza.

- A to jaka?

- Później, później - mówi łagodnie Snake. - Będziemy tu przez parę dni, sam wiesz. I założę się, że masz teraz dla nas jakąś robotę.

- I czy nie nadeszła już przypadkiem pora kolacji? - Hanny Ek okazuje nagle zainteresowanie. - Te trzydziestogodzinne dni są mordercze.

- Prawdę powiedziawszy - informuje ich Zannez - zapla-

nowałem już nasze pozycje na zewnątrz, myr Kip zaś zorganizował stos najwspanialszych artefaktów Dameii, jakie w życiu widzieliście, kiedy tylko poprosiłem o odrobinę kolorytu lokalnego. Chciałbym, żebyś ty i Snake rozstawił je w naszej części tarasu. Oczywiście, są zbyt kruche, by na nich siadać czy się kłaść. Dziewczyny, wybierzcie i zanieście na taras trochę zwykłych koców i poduszek, nic jaskrawego. Byłbym wam za to bardzo wdzięczny. Podobno w nocy temperatura obniża się tutaj jedynie nieznacznie.

- A jedzenie? - wtrąca Hannibal. - Zapominasz o jedzeniu!

- Cóż, o ile dobrze zrozumiałem, niedługo wszyscy zostanie-  
my zaproszeni do baru na gorące przekąski i coś do picia, podczas  
gdy Kip będzie nam opowiadał historię gwiazdy. Potem wynie-  
siemy główne danie na taras, żeby obejrzeć wschód gwiazdy. Tak  
więc, jeśli wytrzymacie wystarczająco długo, by rozstawić rekwi-  
zyty, śmierć głodowa nie powinna nam was odebrać w kwiecie  
wieku. Jasne? Jasne! A więc wskakujcie w te rzeczy, które sobie  
wybraliśmy, i do roboty! Tak na marginesie, mam być waszym  
lekarzem, pilnującym, byście się nie usmażyli. I będę nosił monokl,  
niech to jasny szlag. Zawsze o tym marzyłem.

Reagują na to sympatycznym, naturalnym śmiechem i wszyscy  
zaczynają przebierać się w kostiumy oraz nakładać specjalny ma-  
kijaż, wymagany do pracy przy sztucznym oświetleniu.

Ubierając się, Zannez wyteża umysł, starając się rozszyfrować  
Snake'owe "później, później" i „jeszcze prostsza rzeczywistość”.  
Szósty zmyśle, gdzie jesteś, kiedy naprawdę cię potrzebuję? Nig-



dzie, jak się zdaje.

Jakimś cudem monokl trzyma się na miejscu ponad fałszywym, białym strojem lekarza i wszyscy ze śmiechem wypadają na taras, by przygotować scenę. Snake i Ek są zafascynowani przedmiotami Dameii, które zdążyły już przyciągnąć do siebie gapiów.

- Bezczenne. Starajcie się nie oddychać w ich stronę.
- Rozstawimy je w tle, a potem wykorzystamy to, co przyniosą Star i Bridey.

Ek zapomina nawet o swym głodzie, delikatnie przenosząc brązowo-turkusowe tkaniny i dwa wielkie wachlarze z piór.

- To jest zrobione z ich pierza! - wykrzykuje Bridey znad wspaniałej zielono-niebieskiej maty.
- Owszem. Może to ma jakieś znaczenie religijne. Kip nic nam o tym nie wspominał. Na głowy moich przodków, Snake, uważaj z tym. Dziwne, wyczuwam w nich jakiś smutek, nie wydaje się wam?
- Hę? - Zmarszczone czoła. - Może to dlatego, że znamy ich historię - podsuwa Starcem.
- Lepiej nie dopytywać się o szczegóły - dodaje praktycznie Bridey.
- Kippo przyniósł parawany, o które prosiłem. - Zannez wskazuje ręką. - Musimy je ze sobą poskładać. Pamiętacie, co wam opowiadałem o Kodzie?

Chóralne potakiwania, jakże odmienne od znaczących uśmiezków, jakimi przywitali jego pierwsze ostrzeżenie, podczas wstępnej odprawy w studiu.

Zannez widzi, że dzieciaki nie są za bardzo przekonane do tej całej sprawy.

Rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co poprawiłoby im humory, Zannez zauważa, że wśród przypatrujących się ludzi jest rudowłosa dziewczyna z załogi statku. Wszyscy zdają się pod wrażeniem artefaktów; nawet Vovoka przygląda się im starannie. Yule z zauważalnym wysiłkiem powstrzymuje się od poczynienia uwagi na temat ich ceny rynkowej.

Zannez zwraca się do Snake'a:

- Spójrz na włosy tej pani, Snako - woła, wskazując na Linnix. - Oto kolor, jaki powinieneś nosić! Myr, eee... Linnix, gdyby młody Smith bardzo ładnie panią poprosił, podałaaby mu pani swoje liczby? W końcu, dosłownie, należycie do obcych sobie światów, na przypadkowe spotkanie na tym samym przyjęciu trudno by było liczyć.
- Liczby? - pyta Linnix nie rozumiejąc.
- Liczby - kody marek. Te byłyby wręcz idealne dla Snake'a. Sama pani widzi, że te jego włosy koloru zdechłej myszy stanowią poważny problem.
- Och, gdyby tylko pani zechciała, myr Linnix. - Snake podchodzi do niej - ale to zupełnie inny Snake, kompletnie zniknęło cwaniactwo i chytryść, jego twarz rozjaśnia na wpół kpiarska chłopięca prośba i szczerzy podziw dla niej jako kobiety. - Nie pisnę o tym nikomu, ani słowem, przysięgam.

Linnix jest rozdarta między tłumieniem śmiechu, a fascynacją

nową osobowością Snake'a. Oto, co potrafią robić aktorzy, myśli sobie. To zawodowiec. Gdyby wiedziała, czym są "liczby", podałyby mu je bez chwili zastanowienia.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi, myr Zannez. Nigdy nie słyszałam o żadnych liczbach.

Błaganie, malujące się na twarzy chłopca intensyfikuje się o kilka watów, wahając się między niedowierzaniem a rozczarowaniem. Linnix czuje się tak, jakby kopnęła szczenię.

- Tak mi przykro, jeżeli to miało ci w czymś pomóc. Ale ja już się taka urodziłam.

- Naturalne! - Zannez niemalże wyrzuca z siebie to słowo. -

Tak musiało być. A najzabawniejsze jest to, myr Linnix, że wierzę pani. Cóż, przyjrzyj się dobrze, tak czy owak, Snako, zwróć uwagę na ten błękitno-brązowy połysk w cieniu i brak nawet śladu miedzi. To jedna z najefektowniejszych fryzur, jakie kiedykolwiek zobaczysz.

- Chyba powinnam podziękować panu za komplement - śmieje się Linnix - ale ujął to pan w taki sposób, że czuję się tak, jakby przeprosiny były bardziej na miejscu.

- Proszę się nie przejmować - zapewnia ją Zannez. - Ciekawe, gdzie też podziąła się myr Córy? Jej sprzęt wydaje się działać bez zarzutu. - Podchodzi energicznym krokiem do starej konsoli. Federacja wydaje się oszczędzać kredytyki, przynajmniej jeśli chodzi o rozwój elektroniki na Damiemie.

- Jest tu, na górze, w moim obserwatorium. - Z góry dobiega głos księcia Pao.

Zaskoczeni, wszyscy zadzierają głowy i widzą uśmiechniętą twarz chłopca, wystającą z zadaszienia nad tarasem.

- A myr Kip stoi za barem, szykując się do wydawania posiłku.
- Słyszeliście? - mówi Hanny Ek.
- Książę! - To głos Córy. - Proszę wrócić z powrotem do środka!

Głowa cofa się, uprzednio zwracając się surowo do Starcem:

- Myr Star, pani kamizelka jest krzywo zapięta.

Star poprawia kamizelkę, śmiejąc się.

- Mój mały strażnik. Zannie, musisz przyznać, że to miłe z jego strony przelecieć taki kawał kosmosu.

Zannez wciąż jeszcze garbi się nad komputerem.

- Wstyd i hańba. - Kręci głową. - Czy wy sobie zdajecie sprawę, dzieciaki, ile nakręciliśmy ujęć, w których mądrzy, zgrzybiali naukowcy i weseli jajogłowi faceci rutynowo wystukiwali komunikaty albo wzywali pomocy przy użyciu czegoś takiego? Wszystkie bardzo przekonujące. A jednak, czy któreś z nas potrafiłoby zrobić najprostszą nawet rzecz, korzystając z prawdziwego sprzętu? Potrafilibyście nadać sygnał alarmowy albo SOS? Ek, ty interesowałaś się tymi sprawami. Umiałbyś skomunikować się przez to z Patrolem? Albo zidentyfikować sygnał alarmujący o niebezpiecznym wzroście promieniowania?

Hanny Ek przygląda się powątpiewająco.

- Cóż, gdybym miał dosyć czasu - dużo czasu - chyba umiałbym zawiadomić kogo trzeba, że coś się stało. Przynajmniej

to, że zaginął dyżurny łącznościowiec.

Śmiech.

- Jesteście chyba gotowi na usłyszenie prawdy - mówi Zannez. - Co się tyczy Herr doktora Zannzeky'ego, gdybyście przybiegli do mnie z płaczem, że właśnie rozpoczyna się inwazja obcych, a wszyscy umierają wskutek nieznannej epidemii, ode mnie uzyskalibyście jedynie wyrazy współczucia. Nie umiałbym nawet włączyć tego cholerstwa.

Wśród śmiechu ku konsoli wysuwa się wąska, żółtawa dłoń, przerzuca kluczyk konsoli i w mgnieniu oka kilka zegarów oraz niewielki ekran czytnika budzą się do życia.

- To rutynowe raporty sytuacyjne, napływające z kilku miejsc przed i za frontem nowej - informuje ich Hiner, akwamanin, swym nosowym głosem. Kamizela o wysokim kołnierzu zasłania skrzela. - Tyle że to jedynie skrócone wersje, napływające z centrali na piętrze, trzeba by analizować...

- Kto to zrobił?

W drzwiach stoi Kip, włos dosłownie jeży mu się na głowie z wściekłości, w dłoni trzyma wielki nóż do mięsa. Jego zabójcze spojrzenie ogniskuje się na Hinerze.

- Wyłącz to, ty cholerny durniu, zanim cię wypatroszę! Moja partnerka pracuje przy tych urządzeniach! Czy w ogóle wiesz, jak bliski byłeś popełnienia morderstwa? Coś ty za jeden, jakiś debil czy co? Nie wiesz, że nigdy, nigdy...

- Wszystko w porządku, kochanie. - Chłodny głos z dachu

gasi wściekłość Kipa. Córy stoi na zadaszaniu. - Na szczęście nie stała się żadna krzywda. Zauważono, że myr Hiner zbliżył się do konsoli, i domyśliłam się, że mogą mu być obce zawłóści napowietrznego okablowania. Myr Korso chciał powiedzieć, młody człowieku, że na powierzchni planety przyjmuje się za oczywistą zasadę, że nigdy, przenigdy nie wolno dotykać - a tym bardziej włączać - sprzętu elektrycznego czy mechanicznego innych ludzi bez wyraźnego instruktażu. Być może będzie nawet i dobrze, jeżeli dowiecie się o tym tu i teraz - przykładowo kamery myr Zanneza, wraz z ich unikatowymi nagraniami, pozostawiane są bez opieki wskutek obowiązywania tego niepisanego prawa. I oczywiście odnosi się to z podwójną mocą do ambulatorium, a nawet i kuchni. A jeśli kiedykolwiek znajdziecie się u kogoś w domu, pamiętajcie o starym dowcipie: bezpieczniej jest posuwać partnerkę gospodarza niż meble w jego salonie. Zrozumieliście teraz?

Ta niewielka przemowa odnosi zamierzony skutek: Kip powrócił do salonu, wszyscy pozostali odsunęli się od konsoli. W odpowiedzi na pytanie Córy Hiner mówi całkiem uprzejmie:

- Tak, proszę pani, rozumiem. Bardzo przepraszam.

Córy znika z widoku, gramoląc się w górę po krytym strzechą dachu do okna w kopule, z którego wyskoczyła.

Hanno Ek przywraca dawny nastrój, zbliżając się złowieszczo do Zanneza.

- Jedzenia, Zannie - warczy. - Jedzenia!

- Momencik, Hanno, nasze wejście musi być odpowiednio

dramatyczne.

Starcem ze swego punktu obserwacyjnego przy otwartych drzwiach do salonu raportuje, że właśnie zjawiała się dama Pardalanches, a w ślad za nią ze swego szpitalika wyłania się doktor Baramji.

Ochter, Hiner i Yule ostatni raz zerkają na niebo, na którym widnieją już pierwsze oznaki niby normalnego, ale niezwykle pięknego, zachodu słońca, i wmaszerowują do salonu. Na drugim końcu tarasu przy parapecie stoi samotna figura, zadzierając twarz ku niebu, najwyraźniej nieświadoma wszystkiego innego.

- Och, na gwiazdy - mówi Linnix - to ser Vovoka. Lepiej pójde po niego.

Kip woła ze środka.

- Zarezerwowałem dla pana i pańskiej grupy miejsca od strony drzwi, myr Zannez. Zaraz za łóżkiem damy. Opowiadać będę z tego miejsca, tak jakbyście stanowili jedyną publiczność.

- Jeden minim - wtrąca się doktor Ochter. - Choć praca myr Zanneza jest godna podziwu, nie jest on tu jedynym gościem. Wszyscy pragniemy to widzieć i słyszeć.

- Tak też będzie - zapewnia go Kip. - Proszę spojrzeć, stoję tutaj i mówię, jakby w kierunku centralnej części sali, włączając w to was wszystkich. Sądziłem, że Zannez łatwo osiągnie efekt intymności, jeżeli kamera stanie w tym miejscu. Będą zwrócenieni plecami do otwartych drzwi, w tle zachód słońca, wschód gwiazdy et cetera. Oni tego nie widzą, ale wy spoglądacie wprost

na zewnątrz i widzicie wszystko. Proszę o opinię, myr Zannez.

Mówiąc szczerze, jestem z tego całkiem dumny.

- Profesjonalna robota - stwierdza Zannez. - Cóż, widzę, że myr Linnix zwabiła Vovokę perspektywą jedzenia. Snake, Hanno, tu będziecie wyglądali najlepiej. Pora zewrzeć szyki i wkroczyć do środka.

Jak milion razy przedtem uwalnia magię, za sprawą której pozabawiona spójności grupa przekształca się w dwie, tak naturalnie wyglądające pary, pokazujące sobie nawzajem elegancki wystrój salonu, ciężką osłonę antyradiacyjną nad swymi głowami, piękne miejscowe drewno baru, przerzucające się uwagami na temat dobiegających z baru smakowitych zapachów i zapowiadanej opowieści Kipa o Gwieździe, podczas gdy "doktor" Zannez wtrąca komentarz o konieczności uzupełnienia nadwątlonych długim lodo-snem sił - wszystko tak autentyczne, a jednak dalekie od rzeczywistości.

Zannez często rozważa ten paradoks: umiejętnie fałszerstwo stanowi niezbędny składnik prawdziwie wyglądającego dokumentu.

Podobnie jak niemalże groteskowa szczupłość dzieciaków na ekranie, przekształca się w piękno ciała.

Gdy zajmują miejsca, Zannez zauważa, że ser Vovoka, przy drugim końcu baru, nadal spogląda przez vitrex na wschód. Tam ma wzejść gwiazda. Zannez obraca się przez ramię i spogląda na zewnątrz. Oświetlenie zmieniło się nieznacznie; ze wschodu dobiega teraz zimna, różowa poświata.

To coś naprawdę się zbliża, powtarza sobie. Cóż, pozostali



przyglądają się z oczekiwaniem jedynie zabiegom Kipa nad jedzeniem. A więc wszystko musi być w porządku.

Kiedy Kip zaczyna zdejmować talerze z podgrzewacza, wszystkich naraz podrywa na nogi księżę Pao, który niczym rakieta wjeżdża do salonu po spiralnej poręczy schodów. Zeskakuje z niej zaledwie śladowym zachwianiem i zwraca się do Kipa:

- Myr Córy wkrótce do nas dołączy. Wciąż jeszcze ślęczy nad maszynią. Prosi, żeby wstrzymał się pan z opowieścią do jej przyjścia.

- Jasna sprawa - odpowiada Kip. - Wstrzymamy się.

- Z opowieścią tak, z jedzeniem nie - informuje go Hanny

- Proszę bardzo, myrrin. - Kip zaczyna rozdawać gorące talerze. - Rolady prosto z jeziora, ser od miejscowego roślinożercy, którego próbujemy udomowić, stare, dobre, galaktyczne, żelazne kiełbaski. To zakąski, główne danie w drodze, myr Ek. - Krzywi się na widok Hanny'ego, rzucającego się najedzenie. - Główne danie naprawdę jest w drodze.

- Proszę się nie martwić - pociesza go Snake. - On ma żołądek jak worek bez dna.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie równie dobre! - Młody Pao trzyma po przekąsce w każdej dłoni.

Pochwalne pomruki ze strony wszystkich, z wyjątkiem jedynie Vovoki i damy Pardalianches, która rozgląda się z niepokojem na boki. Teraz ma na sobie połyskliwą, lawendową mgiełkę. Doktor Baramji kurtuazyjnie zajął miejsce u jej boku, lecz damie trudno

się skupić. Niespodzianie pochyla się przed Baramjim i kładzie swe uklejnione palce na ramieniu Vovoki.

- Och, ser Vovoka, moja biedna siostra -jest całkiem sama, a to łóżko jest takie ciężkie! Czy mógłby pan pomóc mi w przewiezieniu jej tutaj? To zajmie jedynie maleńką chwilę.

Wyniosły artysta jedynie zerka na jej dłoń i w milczeniu kieruje swój wzrok z powrotem na wschód. Nawet nie tknął swego jedzenia.

- Cóż! - mówi dama bezradnie. Linnix odruchowo poderała się, słysząc jej prośbę, i kieruje się do drzwi, lecz błagalny wzrok markizy mija ją bez zatrzymania.

- Och, myr Zannez...

Lecz Zannez potrząsa przecząco głową.

- Z przyjemnością bym pani pomógł, damo P., lecz nie mam zwyczaju odchodzić od kamery. To pierwsza zasada przy kręceniu dokumentów.

- Och, lecz przecież jeden minim i jest za to nagroda. - Głos damy ocieka mirrą. - Czy nie chciałby pan ujrzeć mojej siostry? Jest bardzo piękna. Jesteśmy - byliśmy - bliźniaczkami, rozumie pan.

- Droga pani, doceniam oferowany mi zaszczyt. - Zannez przypomina sobie stary wykręt rodem z Gridworldu. - Ale jeśli mogę mówić szczerze, nie warto trwonić urody na mnie. - Robi teatralną przerwę. - Byłem jednym z tych durni kamerzystów, którzy polecili na planetę Thumnor w porze godowej. Trzy zabójcze tygodnie. Ktoś inny - na przykład oficer Linnix - może

pani wytłumaczyć, co to oznacza.

W jego głosie pobrzmiwa finalna nuta, w spojrzeniu pobłyskuje tragizm.

- Ja pomogę - odzywa się Linnix od drzwi - jeżeli to naprawdę będzie tylko parę minimów.

- Bardzo dziękuję. - Gruchotanie znika z głosu damy. -

Ale o co mu chodziło z tym Thumnorem? - pyta ją, gdy obie znikają za drzwiami.

- Czy to prawda z tym Thumnorem? - Bridey vel Eleganza pyta Kipa. - Czy nasz Zannie po prostu wpuszcza damę P. w maliny?

- Nie możemy wierzyć ani jednemu jego słowu - chichocze Starcem. - Niech pan nam powie, myr Kip.

Lecz zanim Kip ma czas odpowiedzieć, Zannez wpada na zbalansowany pomysł.

- Skoro już mowa o kamerach, Kippo, czy myśli pan, że myr Córy bardzo by się złościła, gdybym zakradł się na górę i sfilmował milutkie ujęcie jej w tym wspinałym oświetleniu, w otoczeniu baleranckich przyrządów i na tle widoków z góry?

A przy okazji zrzucę na osobności z serca to przeklęte przeczucie o Hinerze i Yule'u, dodaje w duchu.

- Za nic w świecie nie chciałbym jej rozzłościć - uzupełnia na głos.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań - odpowiada Kip. -

Pomysł wydaje się wspinały. W najgorszym wypadku pana prze-

pędzi - ale to by jej nie rozzłościło.

Podchodzi do spiralnych schodów.

- Kochanie, czy Zannez może przyjść do ciebie i zrobić parę ujęć?

- Proszę bardzo! - W jej głosie dźwięczy beztroska nuta.

Zannez złapał przenośną kamerę i gna krętymi schodami do góry. Jest już prawie poza zasięgiem słuchu, kiedy dobiega go głos ser Vovoki, najwyraźniej mówiącego z aprobatą:

- Światło Damiema czyni wszystko piękniejszym niż ich odpowiedniki na innych światach. Nie ulegajcie złudnemu uczuciu nadmiernego bezpieczeństwa.

VII

Nowa minus 5 godzin:

Instalacje Córy

Córy Korso, znów sama w kopule na dachu, skoro tylko Zannez zniknął równie szybko, jak się pojawił, pozwala sobie na zatopienie się w uczuciu intensywnej szczęśliwości.

Stłumiła je, by wysłuchać Zanneza, zignorowała je, by dokończyć montażu instalacji nadawczej - zadanie polegało na przeprowadzeniu okablowania od instrumentów i nadajnika do starej konsoli na tarasie - i teraz Córy pragnie przez kilka minut po prostu cieszyć się nim.

Siedzi, zdrapując pastę lutowniczą ze swych skatowanych paznokci, przysłuchuje się z przyjemnością narastającemu przyjaciel-

skiemu harmidrowi, dobiegającemu z dołu, od strony baru, z zadowoleniem spogląda krytycznym okiem na świeżo wykończoną instalację. Kopuła, niegdyś jedynie obserwatorium i osłona dla nadajników, obecnie stanowi także ich centralę komputerową. Wyposażona w pęk zewnętrznych anten, wśród nich w zatopiony w próżniowej osłonie nadajnik c-skipowy, stanowi niewielkie, wyrafinowane, zwarte centrum, nie ustępujące instalacjom na wielu FedBazach.

Oczywiście, wiąże się z tym też i pewne niewygody - trzeba było zainstalować przy łóżku panel alarmowy - ale osiem wielkich, wypukłych okien, otwierających się na wszystkie strony świata i nieba, sprawia, że służba w tym pomieszczeniu to czysta przyjemność. Nie zdarza się to zbyt często - poszukiwania zaginionego statku, monitorowanie kosmicznego śmiecia, sporządzanie mapy roju meteorów, mijającego Damiema, sporządzanie okresowych, pełnozakresowych pomiarów przydzielonego im fragmentu kosmosu - rutynowe czynności, znajome każdej placówce na pograniczu, lecz nieodmiennie pikanterii dodawała im groźba, że któregoś dnia jacyś mityczni złoczyńcy obiorą sobie Damiema za cel.

W tej chwili zachodzące słońce zalewa kopułę i całą planetę złotym światłem oraz czymś, co ona odczuwa jako śladowe napięcie. Napięcie, które w jej mniemaniu spowodowane jest gwałtownie zmieniającą się jonizacją, co stanowi jedną z oczekiwanych zapowiedzi nadejścia gwiazdy.

A może przyczyna tkwi wyłącznie w niej, jako że ten zachód

ma specjalne znaczenie. Jest początkiem ostatniej nocy, podczas której gwiazda władać będzie niebem Damiema. Gwiazda zawsze prześladowała Córy, choć nie potrafi sobie wyobrazić, jak coś tak pięknego mogłoby kłaść się cieniem na jej szczęściu z Kipem.

A jednak tak jest, choć nigdy nie wypowiedziała tego na głos. Może ten cień istnieje dlatego, że zawsze tu był, myśli sobie, zawsze skradał się ku nam. Po przejściu jednej fali, za nią zawsze postępowała następna, gotowa odcisnąć na nich przytłaczające piętno swej obecności.

A teraz to już prawdziwy koniec. Każdy instrument, włączając w to bezzałogową sondę, którą FedBaza wysłała na jej prośbę wskazuje to samo. Za tą falą nie ma niczego. Ani śladu jądra, jedynie pusta przestrzeń. Jutro o tej porze ostatnie szczątki gwiazdy odejdą na zawsze, by rozprzestrzeniać się, rozrzedzać, rozpraszać wśród światła Galaktyki.

Mam nadzieję, szepcze jakiś przesądny chochlik w jej głowie.

Posyłając chochlikowi szyderczy uśmiech, Córy wstaje, nabiera w płuca parę głębokich haustów słodkiego powietrza Damiema i odkłada pilniczek na bok. Przestań marzyć i ostatni raz sprawdź te połączenia!

A co ma myśleć o tym przecuciu, czy cokolwiek to było, o którym opowiedział jej ten śmieszny, łysy kamerzysta - Zannez - z taką powagą w głosie? Kłopoty, powiedział, ze strony tych dwóch nie zapowiedzianych gości, Yule'a i Hinera, którzy mogą być w zмовie z Vovoką albo z małym doktorem Ochterem. I że to

ona powinna zdecydować, jak poważnie potraktować to ostrzeżenie. Bogowie, myśli sobie, niby jak? Doskonale wie, że Gridworld jest pełen walniętych mediów.

Co do Hinera i Yule'a, zgadza się niewątpliwie - spodziewa się z ich strony jedynie nieustannych problemów. Ale prawdziwe zagrożenie - zbieraczy "Gwiezdných łez" - trudno jest w ogóle rozważać na poważnie. Po pierwsze, jeżeli pragną wziąć nas z zaskoczenia, dlaczego tak ostentacyjnie zachowują się w odpychający sposób, powodując, że nawet na minim nie spuszczaemy ich z oczu?

A ten roztargniony Vovoka i biedny kulawy karzełek Ochter - wydaje się to bardzo mało prawdopodobne, by byli współnikami.

Lecz Zannez mówił tak szczerze. Przepowiadał kłopoty, przez duże "K". Czy możliwe, by był szczególnie wrażliwy na fluktuację poziomu jonów? W każdym wypadku, myśli sobie, na kłopoty przez duże "K" mamy Mayday. Ale chwilę, nie mamy, nie w tej chwili. Pozwoliłam Kipowi pożyczyć główny mikroprocesor kapitanowi Dayanowi na Rimshota, w oczekiwaniu na jego remont w przyszłym miesiącu. Cholera!

Cóż, dysponuję czymś prawie że równie dobrym. Z aprobatą spogląda na "alarm martwej ręki", który skonstruowała i podłączyła do konsoli na tarasie. Jeżeli nie wyzeruje się go co określony czas, wyśle zapisane na taśmie SOS do Rimshota i Bazy. Oczywiście nie jest wyposażony we własną podziemną 360-stopniową antenę czy zdalny wieloimpulsowy wyzwalacz, ale prawdopodobieństwo tego, że komuś będzie się chciało zniszczyć zwykłe anteny, skoro przy

konsoli nikogo nie będzie, wydaje się niewielkie. Pace Norbert, poprzedni strażnik, stwierdził, że Korsowie nie są w wystarczającym stopniu paranoidalni. Córy ma nadzieję, że takie rozwiązanie go zadowolą; wymagało to dużo pracy.

Gdy się tak zastanawia, sama myśl o ściągnięciu krążownika fałszywym alarmem wywołuje grymas na jej twarzy. A jeśli będzie trzeba go wyzerować właśnie wtedy, gdy dzieć się będzie coś znaczącego? Czy aby nie jest to przejawem odrobinę zbyt daleko posuniętej paranoi?

Namyśla się, kontrolując ponownie pozostałe połączenia. Wszystko działa bez zarzutu. Potem, wracając do "alarmu martwej ręki", sprawdza spaw miernikiem naprężeń. Ale Dayan by się ucieszył na wieść, że przywołały go kiepsko zlutowane przewody! Potem, powodowana nagłym impulsem, podwaja czas oczekiwania na wyzwolenie alarmu, tak by nie mogła go przegapić, gdyby odezwał się w niezręcznej chwili. Dobrze.

Rzuca ostatnie spojrzenie na plik odczytów przesłanych przez sondę. Wciąż najmniejszego śladu nadciągającego zagrożenia. Cała naprzód.

Jej ostatnie zadanie to sama radość. Chwyta torbę słodzika i wysuwa się wprawnie przez wielkie okno, obok kabla, wprost w blask zachodu. Zaczyna różowieć, powinna się pospieszyć. Ale pozwala sobie na rozkoszowanie się tym widokiem przez jeden krótki minim. Pięknie, pięknie... przeciwległy brzeg niczym w ogniu, w porównaniu z nim ich strona jeziora jest aksamitnie czarna. A na dole



Kip włączył miejscową muzykę. Och, gościom przytrafił się zachód słońca wart każdej podróży.

Ale to nie w tym celu przylecieli. Córy wyciąga szyję, by spojrzeć prosto w górę. Tak, na kilku wyniosłych smugach cirrusów dostrzega już blade migotanie, nie całkiem wymaginowany po-blask niebieskawego światła. Jego źródłem jest gwiazda; naprawdę jest już blisko.

Opada na kolana na dachu i gramoli się do miejsca, w którym kabel spływa za jego krawędź, a potem cofa się ku kopule, rozsypując słodzik. A jakże, po drodze mija pojedyncze skorupki zarodników drzew; przyroda Damiema zdążyła już zainteresować się jej kablem. Tutejsze rośliny nienawidzą słodczy, i to dlatego rozsypuje słodzik, by zatrzymać ich ostre kolce z dala od kabla.

Posypując, wzdycha - bardzo chciałaby zatrzymać jednego z tych wielkich, towarzyskich zielonych pajęczaków w charakterze domowego zwierzęcia. Jest pewna, że oswoiłby się bez większych problemów. Ale byłoby to wbrew regulaminowi - co by się z nim stało po ich odlocie? Dameii traktują je jak robactwo.

Siada na parapecie, by wskoczyć z powrotem do środka, jej nagie nogi połyskują, i nagle jej wzrok pada na sznur do bielizny, rozciągnięty przez Zanneza i Kipa w poprzek tarasu. Ze swego miejsca widzi odgradzoną część, sposób rozłożenia materaców i poduszek sprawia, że brwi podjeżdżają jej odruchowo do góry, i usilnie stara się nie wyobrazić sobie, co się tam będzie działo.

Nieświadomie wysuwa czubek różowego języka i delikatnie zwilża

wargi. Gridworld! Nagle przypomina sobie efektowną buteleczkę perfum, jaką dał jej mały książę Pao; zdecydowanym skrętem ciała wsuwa się do środka i odnajduje ją na stercie wydruków. Jej otwarcie okazuje się trudne, ale Córy nie poddaje się.

Podczas gdy jest tym pochłonięta, z dołu dobiega baryton Kipa, obiecujący wszystkim opowiedzenie historii Zamordowanej Gwiazdy. Cień przebiega przez twarz Córy. Ten raz, ten jeden raz, niech opowie to tak, jak było naprawdę, modli się do przeznaczenia.

Ale nie żywi nadziei.

To słabość Kipa, znana wszystkim jego przyjaciołom; rzadko kiedy potrafi opowiedzieć jakąś historię, nie sugerując zarazem, że był jej naocznym świadkiem albo że w inny sposób brał udział w opisywanych wydarzeniach. Tak naprawdę nigdy otwarcie nie kłamie, jedynie czyni aluzje, no i przy trafiają mu się zgrabne "przejęzyczenia", które razem wzięte są aż nadto przekonujące.

Ich przyjaciele starają się ją przekonać, że to jest zabawne.

- Posłuchaj, myr Córy - powiedział kiedyś do niej były artystyzysta podczas zjazdu weteranów. - Kip to prawdziwy zwierz. Nie bierz sobie do serca jego przechwałek. Czy kiedykolwiek opowiada ci o swoich latach w kosmosie?

- Nie! Przytapałam go na wyrzucaniu pudełka z medalami.

Uratowałam je, od razu zobaczyłam, że są jego. Ale kiedy zapytałam go, za co je dostał, nie chciał mi powiedzieć. "Och, takie rzeczy po prostu się zdarzają" - powiedziała, przedrzeźniając go.

- Cały Kipper - wtrącił były nawigator z uśmiechem.

- Cóż - ciągnął powoli artylerzysta - ja mogę ci opowiedzieć o MS. To ten wielki zielony - Męska Służba. Byliśmy w antycznym REBie, żadnego opancerzenia wartego wzmianki, i oberwaliśmy od nieprzyjaciela ukrytego w fałszywym satelicie.

- Wszystkim się dostało, a krypa przepuszczała tyle powietrza, że starczyłoby tego za napęd. Pamiętam tylko, że Kip krwawił z obu nóg. A był w lepszym stanie niż większość z nas - wszyscy wyglądaliśmy jak chodzące trupy. Widzisz moje sztuczne ucho?

- Przechylił głowę w bok. - Zawsze myślałem, że po tej stronie użyli włosia z chomika.

Nawet w przytłumionym oświetleniu przyjęcia, Córy wyraźnie widziała blizny pozostawione po rozległej interwencji chirurgicznej. Musiał być wtedy chłopcem, leżącym w kałuży krwi z rozbitą głową i kto wie jakimi jeszcze obrażeniami.

- Bogowie, myr Kenter.

Artylerzysta uśmiechał się krzywo.

- Tamtego roku bogowie pojechali do miasta na obiad. A może i nie. Tak czy owak, Kip powinien był skorzystać ze swej kapsuły ratunkowej, w nogi do Bazy. Nikt inny nie miał cienia szansy. A do tego odzysk wody był rozbity w drzazgi. Zaprowadził tego cholernego REBa do domu, używając pasów w charakterze opasek uciskowych. Sześć dni, bez wody i na resztkach powietrza. To dlatego tu dziś jestem, plus jeszcze dwóch innych. - Jego spojrzenie skierowało się gdzieś za plecy Córy.

- Janny i Pete umarli w drodze, choć oddawał im resztę wody.

Saro w szpitalu w Bazie, Kip miał wtedy jakieś siedemnaście lat, dowiedziałem się o tym później. Wyglądał na starszego. MS zwi-  
sało mu niczym, no, to. Teraz rozumiesz, dlaczego nie przejmujemy się zbytnio jego opowieściami?

Córy była blada jak ściana.

- Och! Ale dlaczego, myr Kenter? - nie ustępowała. - Dlaczego to robi?

Po namyśle odezwał się nawigator.

- Chyba chodzi o obcych, myr Córy. Proszę zauważyć, zazwyczaj opowiada o obcych. Kip prawie zawsze miał do czynienia tylko z ludźmi. Ale jeśli ktoś dorzuci parę obcych ras, to według niego prawdziwie wartościowe. Przygody z obcymi! Tego właśnie pragnie. To dlatego zajęł się ksenologią. Dziwaczna klątwa: prawdziwe emocje dla Kipperera zawsze czekają gdzie indziej.

Ale wszystkie ich wysiłki, by zaczęła traktować to lżej, zawiodły. Nawyk Kipa przepełniają wstydem i niepokoi, jak gdyby miał ściągnąć na niego jakąś złą moc.

Teraz, podczas gdy mocije się z zamkniętą złotem buteleczką i gryzie się przyzwyczajeniem Kipa, światło gwiazdy niespodzianie iluminuje jej umysł. Przed oczyma staje jej opisany przez Kentera obraz Kipa - ranny siedemnastolatek, spragniony i zatruty, wiozący swych towarzyszy do domu przez te nie kończące się sześć dni - chociaż w każdej chwili mógł wejść do swej kapsuły i wrócić do bazy, a nikt by nawet nie próbował go za to obwiniać. Taka była rzeczywistość; to się naprawdę zdarzyło. Jakim prawem osą-

dza go teraz?

A co ona takiego robiła podczas wojny? Przez większą część czasu siedziała w Rehabie, sprawdzając spisy kwatermistrzów i poddając się praniu mózgu. Zapewne dlatego, że coś okropnego przydarzyło się jej rodzinie, tak zawsze się domyślała. Ludzie od P/Wymazu nigdy nie mówią, co wymazali, ale większość pacjentów tam trafiających to świadkowie wstrząsających wydarzeń z przeszłości. Kipowi zaś coś porządnie wstrząsającego przytrafiło się osobiście.

Jedynie Kenter i jego towarzysze mieli prawo osądzać Kipa.

I powiedzieli jej, co ma o tym sądzić. I, na bogów, tym razem tak właśnie postąpi.

Ta jego cecha może się jej nie podobać, ale samego Kipa kocha i szanuje, więc nie będzie z siebie robiła cholernego świętoszka - ej, uważaj, zaraz przepiłujesz tę śliczną buteleczkę.

Córy powoli wypuszcza z ulgą powietrze z płuc, otrzepuje się energicznie i otwiera perfumy. Woń lilii wypełnia kopułę. Och, wręcz idealne! Kip będzie zachwycony. Od tak dawna nie miała niczego takiego, myśli sobie, rozrzutnie rozsmarowując krople wzdłuż linii włosów i pod koszulą. Zerka w lusterko kosmetyczne i widzi rozpromienioną Córy - o włosach poprzetykanych słomą. Pospiesznie odnajduje grzebień i bierze się do dzieła.

Ten artysta, Vovoka, powiedział jej dziś rano, że światło na Damie ukazuje wszystko w przepięknie pochlebnych kolorach. Nie, przedziwne. Dobra nasza, myśli sobie, przedziwne czy nie, nie mo-

żemy pozwolić tym dzieciakom z Gridworldu zgarnąć wszystkich komplementów. I nie zapomnij podziękować księciu Pao.

Pora schodzić. Zamykamy sklep.

Mijając koję Pao, dostrzega jego rzeczy osobiste poukładane równo na stojącym obok krześle. Woda kolońska, grzebień, zestaw do higieny jamy ustnej, gąbka, chusteczka, książka - Gwiazdy Obrzeża. Niczym zestaw "mały kosmonauta", nawet jeżeli przybory wyglądają na zrobione z litego złota. Zapala mu nocną lampkę i rusza w dół, po niewielkich spiralnych schodach.

Jej oczom ukazuje się barwna grupka przy barze i bijący od Córy blask jeszcze przybiera na intensywności. Naprawdę miło jest znów mieć towarzystwo, mniejsza o tego nędznego studenta Yule'a i odpychającego akwamanina Minera.

Wielki, obwieszony zasłonami i połączany przedmiot przeciska się przez arkadowe drzwi po przeciwnej stronie - łóżko na kółkach, eskortowane przez markizę, a popychane przez oficer Linnix.

Córy zatrzymuje się, by przyjrzeć się tej scenie.

- Och, proszę! - Dama robi wrażenie podekscytowanej. -

Proszę umieścić ją tutaj, gdzie będzie na nią padać światło gwiazdy! To wspaniałe różowe światło pochodzi z pańskiej gwiazdy, zgadza się, myr Kip?

- Oczywiście! I jest jaśniejsze niż ostatnim razem. - Córy przytakuje mu bez słów. - A to jedynie zapowiedź tego, co nastąpi. Skoro łóżko zostaje ustawione zgodnie z jej życzeniem, dama czule - i nie bez wyczucia dramaturgii chwili - rozsuwa zasłony.

Wszystkie głowy odwracają się w tę stronę. Odruchowe okrzyki; sama Córy wciąga głośno powietrze.

Na haftowanych poduszkach spoczywa niezwykle piękna, ciemnowłosa dziewczyna - a przynajmniej kobieta o wyglądzie młodej dziewczyny, łagodnie uśmiechając się przez sen. Obfite, ciemne włosy układają się luźną falą aż do jej kolan. Ma na sobie koronkową nocną koszulę o długich rękawach i złotych wstążkach, na głowie złotą koronkową czapkę i drobne aksamitne pantofelki na stopach. Ani śladu rurki czy przewodów, całej tej skomplikowanej maszynierii, która musi utrzymywać ją przy życiu. Jedyne podeszwy pantofelek są kremowe, nieskazitelnie czyste. Dwadzieścia lat? Córy wstrząsa dreszcz.

Odpędza tę myśl od siebie i schodzi na dół, obdarzając wszystkich swym wesołym, wielofunkcyjnym uśmiechem. Kieruje się za bar, a gdy mija po drodze Zanneza, kamerzysta raz jeszcze dziękuje jej za sesję w obserwatorium.

- Ale nadal chciałbym zrobić pani bardziej formalne ujęcie, podczas wykonywania obowiązków administracyjnych.
- Moich obowiązków administracyjnych? - wybucha śmiechem. - Proszę odwrócić kamerę na minim, właśnie nadchodzi pora na jeden z nich.

W następnej chwili widoczne pozostają tylko jej kształtne pośladki, ona zaś wkopuje się głęboko pod bar. Wynurza się stamtąd z dwoma wielkimi, zakurzonymi butlami.

- Doskonała whisky, jak mnie zapewniano. Pewien pilot

przywiózł mi ją z gór Szkocji. Lepiej będzie, jeżeli dodam do tego trochę laanguy i dżinu. - Kolejna wizyta w magazynku pod bar-kiem. - Łap, Kippo - woła. - Mamy jeszcze jedną whisky i dwie laanguy, ale dżinu więcej nie ma.

- Zechcesz nalać, kochanie? - Kip skrobie zawzięcie. -

Sprzątam tu, te rolady upačkały mi cały podgrzewacz. Musimy sprawić sobie coś większego.

- Prawda. - Znosi butelki na skraj baru, obok Ochtera, tam gdzie przechowywane są kieliszki i lód. - Dżin, whisky czy la-angua, myrrin? Obawiam się, że z rozcieńczaczy mamy jedynie wodę. I mam nadzieję, że zjedlicie nie mniej niż po pięć zakąsek?

Doktorze Hiner? Myr Yule? Ser Vovoka?

Yule pochyla się w jej stronę ze szczerym, otwartym wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziała.

- Myr Córy, proszę pani. Jest mi naprawdę przykro, że dziś rano tak mi odbiło. Nie mówiąc już o tym, że sprawiliśmy wam tutaj mnóstwo kłopotu. Doktor...

Córy przechwytuje aprobujące spojrzenie Ochtera. Aha, czyli odbył się gościnny wykład.

- Doktor twierdzi, że mam szczęście, nie pamiętając połowy tego, co powiedziałem. Najszczerzej przepraszam wszystkich, a zwłaszcza panią oficer Linnix, proszę pani. Ale Dameii pamiętam doskonale. Nie przepuściłbym tego za żadne skarby świata. To miejsce jest cudowne.

Wymierza sobie udawany cios w żółtawą głowę, całkiem od-



mieniony młody człowiek.

- To potwornie żenujące.

- Pięknie powiedziane! - Kip skinieniem głowy przyjmuje przeprosiny do wiadomości, wymachując swym kieliszkiem, podczas gdy Hiner pochyla się do przodu, najwyraźniej powodowany tą samą myślą. - Nalej im drinka, Cór.

Córy rozpromienia się, skoro usunięta została ostatnia plamka psująca wieczorną idyllę. Cień jej wcześniejszego rozumowania zasnuwa na moment jej umysł, lecz nie ma w sobie siły; bardziej nagląca jest groźba wyczerpania się zapasów lodu.

- Mordecai mówił także i w moim imieniu - odzywa się akwamanin.

Jego wąska twarz nabiera atrakcyjnej pociągłości, niemalże poetycznej, nad nieskazitelnie białym kołnierzem. Jedyne czubki białych linii pod uszami wskazują, gdzie ukrywają się jego niegdyś rozwścieczone skrzela.

- I sądzę, że moje uniżone przeprosiny należą się pani oficer Linnix. Doktor Ochter wyjaśnił mi, że statki czasami wymieniają między sobą całe zestawy zastrzyków, kiedy przechodzą na rzadziej uczęszczane linie, takie jak ta, i łatwo jest pojąć, jak dojść mogło do zamiany etykiet - albo terminów ważności. Muszę się przyznać, że przez pewien czas nie czułem się najlepiej, i wiem, że Mordy także był w kiepskiej formie. Jest mi bardzo, przeogromnie przykro. I z góry dziękuję za wszelką pomoc, jakiej zechcecie nam udzielić w przetransportowaniu nas tam, gdzie nasze miejsce.

- Wielkie nieba! Czego to my nie wiemy o statkach kosmicznych! - Córy chichocze ciepło. - Musiało to być dla was absolutnie potworne przeżycie. Proszę sobie nalać na pocieszenie. Whisky dla obu? Obawiam się, że lód powoli się kończy. A pan, ser Vovoka, nie skusi się pan na coś? Ser Vovoka! Ser Vovoka, proszę pana! Ta gwiazda nie wjeździe jeszcze przez dwie godziny, słowo honoru.

Rzeźbiarz w końcu odrywa wzrok od vitrexu na wystarczająco długą chwilę, by zdecydować się na popularną pozaziemską language. Podczas gdy Córy nalewa, księżę Pao wskakuje na krzesło obok Ochtera.

- Myr Córy, doktor Baramji podsunął mi, żebym zapytał panią o zawirowania czasowe. Nigdy o nich nie słyszałem. Na czym polega to zjawisko? Czy dzisiaj będziemy mogli je zaobserwować? Czy wszystkie fronty nowej mają takie działanie? Jak długo trwają? Jaki jest ich zasięg w czasie i przestrzeni? - Czapkę trzyma pod pachą, złote pióra podskakują w podnieceniu.

Córy uśmiecha się do niego.

- Księżę, jeżeli pozwolisz mi dokończyć, to obsłużę damę i grupę Zanneza, zbiorę myśli i powiem ci wszystko, co wiem, ale możesz się rozczarować, bo nie ma tego wiele.

- Och, przepraszam. Oczywiście, będę oczekiwał na swoim miejscu. - Wraca na krzesło obok Zanneza z serowym sufletem w dłoni.

Córy nalewa wszystkim. Dama, jak się okazuje, ma własną,

wyczelowaną złotem butelkę, z której wypływa wonny, jasny li-  
kier, całkowicie nieznaną Córy; prosi tylko o lód.

Zannezowi bardzo zależy na zarejestrowaniu opowieści Córy  
o zawirowaniach czasowych, a problem trzymania księcia poza  
kadrem staje się bardzo naglący. Kiedy wreszcie wszyscy są na  
miejscu, Córy zaczyna.

- Co do natury zawirowań, tego nie wie nikt. Istnieje wiele  
teorii; moja ulubiona zakłada, że czasami dochodzi do lokalnego  
zagęszczenia pozytronów, które wywołuje krótkotrwałe, prze-  
mieszczające się zakłócenie biegu czasu. Nikt nie wie też, czy po-  
wstają i zanikają w jednym i tym samym miejscu, czy też tylko  
tak się nam wydaje, ponieważ znajdujemy się na ich drodze. Su-  
biektywnie - proszę bardzo, myr Ek - jeżeli jest się na otwartej  
przeźreni - osłona je neutralizuje - odbiera się je jako nagłe  
ściemnienie otoczenia; i widzi się minione wydarzenia, dziejące  
się w odwrotnym kierunku. Ale wszystko to jest bardzo rozmazane.

Podczas tego zawirowania, którego doświadczyliśmy razem z Ki-  
pem, trafił się jeden wyraźny minim, kiedy Dameii powtórzyli to,  
co powiedzieli chwilę wcześniej, jakby kolejny raz odgrywając tę  
samą scenę. Tyle że wszyscy czuliśmy się bardzo zeszywniali.

Lepkość to najlepsze słowo na określenie naszych wrażeń. I osa-  
motnienie. A potem wszystko ponownie ruszyło do przodu, tylko  
wymieszane i ciemne, bardzo szybko - i nagle wróciliśmy do re-  
alnego czasu. Całość trwała może kilka oddechów i nie sądzimy,  
by zabrała cokolwiek z realnego czasu.

- A czy mogliście się poruszać? - pyta Pao. - Mogliście zmienić przeszłość?

Córy śmieje się.

- Nigdy nie próbowaliśmy. To trwa tak krótko, człowiek jest tak skołowany i, jak już powiedziałam, to dziwaczne uczucie. Statyczne.

- Ale gdyby to pani zaplanowała, mogłaby się pani poruszyć?

- nie ustępuje chłopak. - Och, jak bardzo chciałbym przeżyć coś takiego! Chciałbym spróbować coś poruszyć!

- Jeżeli przytrafi ci się okazja, byłbym wdzięczny, gdybyś spróbował wynieść te przeklęte suflety - śmieje się Kip, strząsając resztki ze skrobaczki. - W porządku, kochanie, usiądź sobie.

Przejmuję dowodzenie.

Córy z drinkiem w dłoni wraca na swe miejsce koło Vovoki.

Pao podąża w ślad za nią.

- Myśli pani, że będziemy dzisiaj ich świadkami? - pyta chłopiec.

- Nie można tego przewidzieć. Ale jeżeli jesteś naprawdę zainteresowany, trzymaj się z daleka od osłony antyradiacyjnej, w przeciwnym razie nawet nie będziesz wiedział, kiedy cię miną.

Doktor Baram patrzył wprost na nas i niczego nie zauważył.

- Och, tak zrobię, na pewno. Ale proszę mi powiedzieć, czy jest ich więcej, gdzie indziej, musi tak być.

Córy, zmęczona, rozgląda się w poszukiwaniu pomocy i doktor

Ochter przechwytuje jej błagalne spojrzenie.

- Powiada się, że zdarzają się wśród szczątków starożytnego księżycy Ziemi - informuje Pao. - A wielkie zawirowanie, albo cały ich ciąg, występuje w Mgławicy Kraba; uważa się je za zagrożenie dla żeglugi. I wydaje mi się też, że donoszono o czymś podobnym w okolicy Orionis M-42. Ale...

- Nie wspomniała pani o najważniejszym. - Głęboki głos Vovoki niespodzianie podrywa wszystkich. - Koncentracja pozytronów, w rzeczy samej. Ale cóż mogłoby spowodować podobne anomalia? Młody człowieku, przekonasz się, że ciało niebieskie zostało nagle - w mgnieniu oka - zniszczone, obrócone w parę, przez jakieś całkowicie nieprzewidywalne, ekstremalne zjawisko - tak jak w trakcie wojny, która przyniosła zagładę tak wielu planet i słońc. Nie będzie to chyba zbyt dużym przypuszczeniem, jeżeli przyjmujemy, że niegdyś uporządkowana materia jeszcze "nie wierzy" w swe rozproszenie; że ulotne trwanie jej poprzedniego stanu - jej pamięć, jeżeli wolisz takie sformułowanie - jest tak silna, iż potrafi lokalnie zakłócić przepływ czasu. Generuje turbulencje we wstecznym kierunku, jak gdyby szczątki usiłowały powrócić do uprzedniej postaci, zmaterializować się na nowo w ostatniej chwili przed katastrofą, kiedy to jeszcze przypuszczalnie można było jej zapobiec. Co do tego, czy konieczne jest tu istnienie jakiejś formy życia... - Jego głos złagodniał i stał się bardziej ochrypły, wzrok utkwiał w jakimś punkcie za ich plecami. Równie nagle jak się odezwał, wzdycha teraz i milknie.

Przez krótką chwilę panuje powszechna cisza. Córy, która po-

magą Kipowi w krojeniu twardej kiełbasy, zamarła ze wzniesionym w górę nożem. Kiedy wraca do przerwanej pracy, cichy okrzyk damy Pardalianches sprawia, że o mały włos nie obcina sobie palca.

- Poruszyła się! Moja siostra się poruszyła! I usiłuje mi coś powiedzieć!

Dama dopada do łóżka. Córy widzi, jak Zannez obraca w ślad za nią swą kamerę, lecz nieruchoma postać nie zdradza ani cienia życia.

Doktor Baramji dołącza do nich w mgnieniu oka, badając pacjentkę i uspokajając jej siostrę. Kładzie na dłoń dwie duże, błękitne pigułki.

- Proszę o wodę, Kip. Szybko.

- Proszę zaraz je połknąć, droga damo. Nie chcemy, by wrażenia z pani siatki zaszkodziły siostrze - ani vice versa.

-• Ale ona się poruszyła! Panuje tu takie napięcie, że nawet ona je wyczuwa. Coś ją niepokoi. Co to takiego?

- Proszę szybko je połknąć, droga pani. To korowy środek uspokajający połączony z buforem, jaki przygotowałem dziś wieczorem, na wszelki wypadek. Przepraszam za ich wymiary. Podejrzewam, że nadajniki w waszych siateczkach elektrodowych ulegają przeładowaniu. Prosiłbym o ich skręcenie, tylko odrobinę, tak by żadnej z was nie stała się krzywda.

- Och. - Połyka pigułki.

- Podejrzewałbym też, że odbieramy nietypowe emisje ener-

gii z gwiazdy. Cór, co wskazują twoje instrumenty?

Córy odpowiada ostrożnie, pragnąc potwierdzić jego przypuszczenia, jednocześnie nie alarmując pozostałych.

- Nietypowe, owszem, bardzo. Niebezpieczne, nie. Na stan sprzed dziesięciu minimów prognoza przewidywała, że nie będziemy nawet potrzebować szkieł z osłoną UV. Ale licznik jonów szaleje; spotykano przypadki, gdy wpływało to na elektronikę, jak i na ludzi.

Baram przytakuje.

- A te siatki elektrodowe są bardzo czułe. Moja droga pani, chciałbym, byś pozwoliła mi obniżyć ich wrażliwość prawie do zera, ile tylko się da. Istnieje niebezpieczeństwo, że wpadną we wzajemne, samonapędzające się sprzężenie zwrotne, co wyrządziłoby poważną krzywdę wam obu. Mogę?

- Och, wielkie nieba. - Dama ssie kciuk, lecz powoli się uspokaja. - Tak, proszę je skrócić. Potrafi pan, prawda?

- Tak. - Jego dłonie poruszają się wśród jej loków.

- To napięcie - wzdycha dama. Kiedy Baramji pochyla się, by odłączyć milczącą kobietę-dziecko w łóżku, jej siostra krzyczy:

- Nie chcę, by czuła się samotna!

- Nie sądzę, by tak było - uspokaja ją Baram. - Ale jeśli chcesz, potrzymaj ją przez jakiś czas za rękę albo pomasuj jej kark i ramiona, tak jak z pewnością robiłaś już wielokrotnie. To-powie jej, że jesteś w pobliżu. I pamiętaj - miałaś nadzieję, że promieniowanie gwiazdy jej pomoże. Tutaj wkraczamy w dziedzinę nie-

znanego. Nikt nie potrafi przewidzieć reakcji twojej siostry. A jeśli to napięcie jest oznaką leczniczego działania?

- Och, tak. - Dama ujmuje bezwładną rękę dziewczyny i zaczyna czule ją masować. - Czasami - wzdycha - czasami nie wiem. Uczyniłam to wbrew poradom. Poradom ekspertów. - Śmieje się gorzko. - Czy ten pomysł był dla niej taki dobry? Co pan naprawdę sądzi, doktorze Bram?

Baramji nigdy nie pozbył się chłopięcego nawyku splatania palców, gdy zmuszony jest uciec się do niewinnego kłamstwa. Teraz, tak Córy, jak i Linnix widzą, jak robi to za plecami. Córy chichocze pod nosem; urzekający człowiek.

- Naprawdę sądzę, że to może jej pomóc - odpowiada. - O ile będziemy mogli kontrolować ten proces.

- Och, dziękuję, bardzo panu dziękuję, kochany doktorze.

Tymczasem Zannez wędruje wzrokiem między rozświetlonym na różowo vitrexem a Kipem.

- Może wreszcie opowiesz nam tę swoją historię, Kippo? - pyta. - Niedługo będziemy musieli wyjść na zewnątrz.

- Skończyłeś już tam, doktorku? - woła Kip.

- Opowiadaj. - Baramji wraca do baru. - I pamiętajcie

wszyscy, że te drinki myr Córy uderzą wam do głowy z podwójną siłą.

Córy, krusząc lód, pyta Barama:

- Czemu służyło to przedstawienie z damą?

- Postawieniu pierwszego kroku na drodze ku uwolnieniu jej



od tego żywego trupa. Ale trzeba by było więcej kroków, niż jestem w stanie przejść, by tego dokonać, a tylko bogowie wiedzą, jaki byłby rezultat.

- Hmm. A do tego ominie ją opowieść. Nie powinna. Przeprowadź ją, Bram.

- Spróbuję. Powiem jej, że jej siostra powinna tego wysłuchać.

Baramji powraca z ociągającą się markizą, podczas gdy Kip rozpoczyna opowieść.

- Oczywiście wydarzyło się to dawniej, niż możecie sięgnąć pamięcią, zaraz po ostatniej wojnie - mówi Kip do młodych aktorów. - Byłem wtedy młodszy niż wy teraz. Podałem fałszywy wiek, by dostać mundur i trafić w kosmos. Przez jakiś czas wszędzie panował najczystszy chaos, podczas gdy wieści o zakończeniu wojny rozchodziły się po Galaktyce. Dokonywano ostatnich porachunków, rozwalano jednostki pacyfikacyjne, sami możecie sobie wyobrazić. Był tam też stary krążownik klasy X, Deneb, pod dowództwem kapitana Toma Jeagera, daleko od centrum wydarzeń, tutaj, na Obrzeżu. Nigdy nie dotarła do nas - to jest do nich - wiadomość o zawarciu pokoju.

Słyszając to "do nas", Córy Korso spogląda na swego mężczyznę zwężonymi oczyma - lecz na jej ustach pojawia się uśmiech.

- Cóż, zwiadowcy Deneba odnaleźli system gwiazdny, gdzie wydawało się, że ktoś buduje superbroń. Na mapach gwiazdnych planeta jej budowniczych nazywała się Ylyracocha, tylko tyle o niej wiedzieli. Kapitan Jeager i jego zespół badawczy przyjrzeni się zebranych

danym. To coś załadowane było ultraskondensowaną energią, jednym strzałem było w stanie roznieść cały układ gwiazdny. Oczywiście nie budowali tego na planecie, broń umieszczona była na orbicie trojańskiej za wielkim asteroidem, wykorzystywanym w charakterze bazy dla konstruktorów. Była olbrzymia. Proszę - przerywa sam sobie - zapominam o waszej kolacji. Uznałem, że jednodaniowa mieszanka będzie najlepszym rozwiązaniem. - Zaczyna przenosić pełne, przykryte talerze ze schowka na podgrzewacz.

- Sześć minimów. Jeśli ktoś chce tymczasem więcej sufletów, są tutaj, a drinki po prawej. Cóż, ten nasz kapitan Jeager... - Tu Córy szturcha go w ramię. Kip zerka na nią zdziwiony.

- Jeager był niereformowalnym ludzkim suprematystą. Nie zamierzał dopuścić do tego, by banda obcych ukończyła budowę superbroni, która mogła zapanować nad całym sektorem, a może i nawet, jak powiedział po wszystkim Jeager, zostać wysłana w samo serce Federacji. Tak więc, zabrał tam swego Deneba i zużył ostatniego niszczyciela planet na rozwalenie tej, tak zwanej, broni. Bogowie wszechświata, co to była za eksplozja!

- A na wszelki wypadek posłał też salwę T-rakiet na planetę Ylyracochę, drugą zaś wprost na ich słońce. Gwiazda wkrótce uległa destabilizacji i również eksplodowała. Wszystko to było wystarczająco potworne, ale nie w tym rzecz. Najgorsze... hej, ser Vovoka, lód się panu topi. Dorzuć mu trochę, Cór. Proszę pozwolić też sobie dolać, doktorze Ochter. Zannez, próbujesz wychować te dzieciaki na abstynentów?

Nalewa wszystkim do pełna, zanim wraca do opowieści.

- Okropna prawda wyszła na jaw później. Federalny dywizjon pacyfikacyjny dopadł Deneba i zapakował całą załogę do Rehabu, a potem usiłował uratować, co się dało, z Ylyracochy. Wiedzieliście może, że istnieją teraz techniki umożliwiające przechwytywanie wiązek energii z martwej planety? Ale w tym wypadku - nic.

- Nawiasem mówiąc, okazało się, że ten kapitan był naprawdę szalony; został poinformowany o zakończeniu wojny, ale nikomu tego nie powtórzył. Wszyscy ci biedni frajerzy nadal myśleli, że walczą za słuszną sprawę, całymi nocami marząc o szmalu, zalewającym ich koje. Och, bogowie! Musielibyście tam być, by to zrozumieć. - Wzdycha głośno, na wpół śmiejąc się; niewątpliwie jak ktoś, kto tam był.

Córy patrzy przez rozjaśniony różową poświatą vitrex, bez uśmiechu. Jutro... Nie doprowadza tej myśli do końca.

- Prawda - okropna prawda - poznana została ze źródeł federalnych - kontynuuje ponuro Kip. - Bo pewna liczba Ylyracochan - dyplomaci, studenci, technicy - przebywała poza planetą, kiedy my - ludzie - to znaczy Deneb - ich zaatakowaliśmy.

- Widzicie, Ylyracochanie nie budowali żadnej broni. Ich rasa była bardzo stara, na wymarciu. Jakiś rodzaj zmęczenia komórek, nikt nie potrafił znaleźć na to lekarstwa. Tak więc postanowili, przed wielu pokoleniami, pozostawić po sobie pomnik - najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie potrafili stworzyć. I wbudowali w nie całą swą najwspanialszą literaturę, muzykę, historię i wszystkie

wiadomości o swojej rasie. Po to właśnie była cała ta energia, by zasilać tę konstrukcję przez wieczność. - Kip potrząsa głową i opuszcza wzrok, niezdolny stawić czoło tej myśli.

- I to właśnie zniszczyliśmy.
- Och, och, nie! - Słuchacze wstrzymują oddech, uświadamiając sobie ogrom nieszczęścia. - Czy nie mogli...

Kip ponownie potrząsa głową.

- Nic, czym dysponowała Federacja, nie było w stanie odtworzyć niczego, ponad urwane strzępy. Mówię wam, czasami kiedy spoglądam na gwiazdę, dosłownie nie jestem w stanie znieść myśli o tym, co zrobiliśmy - to znaczy moja rasa. Ludzie nazywają ją Gwiazdą Wstydu, wiecie?

Chwila przerwy, potem Córy mówi:

- Opuściłeś samo zakończenie, Kip.

Podnosi głowę, przesuwa dłońią przez włosy i wzdycha głośno.

- Och. No, tak Opowieść o planecie Ylyracochan - ludzie niechętnie o tym wspominają, tylko jeśli jest to konieczne. To nie tylko kwestia wstydu, ludzkiej zbrodni. Przytrafiały się i gorsze rzeczy, może na mniejszą skalę - nie szukając daleko, Damiem.

Ale to nie był jeszcze koniec Ylyracochy.

- Początkowo traktowano to jako zwykły zbieg okoliczności.

Niektórzy myślą tak, aż do dzisiaj. Jest faktem, że po pięciu latach z całej załogi Deneba przy życiu nie pozostał nikt. Jeager był pierwszy - wybuch butli z tlenem i pożar w szpitalu. Parę wypadków śmiertelnych w Rehabie. Potem Federacja obsadziła częśćią załogi

łódź badawczą, a ta zaginęła podczas drugiego rejsu. Pozostali nie mieli więcej szczęścia. Federalni lekarze utrzymywali, że to podświadome poczucie winy, w połączeniu z pragnieniem śmierci. Nasza wspólna znajoma - pamiętasz Martę Dubaun, Cór? - zaczęła się tym bliżej interesować. Tak, nawiasem mówiąc, Marta zmarła rok później podczas lokalnej epidemii favany. Zwiększoną śmiertelność odnotowano nawet wśród robotników portowych, którzy ładowali amunicję na Deneba przed opuszczeniem bazy. Widzicie, paru Ylyracochan naprawdę przeżyło zniszczenie planety.

- To już oczywiście przeszłość. Choroba bardzo skróciła im życie. Ale ludzie wciąż uważają, że zbyt dokładna znajomość tej sprawy nie jest zdrowa. Samego Deneba odholowano i zrzucono na słońce Liry 90.

Kip przerywa i otwiera podgrzewacz, by zerknąć do środka; pomieszczenie wypełnia smakowita woń. Córy zaczyna rozdawać widelce i szklanki z wodą.

- Jeden minim. - Kip opiera się wygodnie z naczyniem w dłoni. - Tak więc po tych przerażających eksplozjach pozostały trzy oddzielne fale promieniowania. Pierwsza przeszła przez ten system - Ylyracocha była o ponad trzydzieści lat świetlnych stąd - zaraz po tym, jak tu z Córy przybyliśmy. Częściowo to właśnie było powodem naszego przyjazdu. Ustalono, że front nowej niesie ze sobą mnóstwo szkodliwego świństwa, i naszym pierwszym zadaniem była pomoc przy ochronie Dameii. Poprzedni obserwator federalny znajdował się tu wyłącznie jako zabezpieczenie przed sa-

dystami, handlującymi "Gwiazdnymi łzami" - to już słyszeliście

- i okręty Patrolu gotowe były zareagować na każde jego wezwanie. Okres jego służby właśnie dobiegał końca i potrzebował kogoś do pomocy w umieszczeniu Dameii pod odpowiednią osłoną jeszcze przed nadejściem radiacji z Ylyracochy.

- To była ciężka robota, powiadam wam - to znaczy pokazywało się na gwiazdę, która wyglądała jak odrobinę rozmazana, i próbowało się ich przekonać, że wkrótce urosnie i przyniesie im śmierć. Tylko się śmiali. Ale Córy okazała się prawdziwym cudem

- wierzcie mi, zarządca pracuje nie tylko głową. Wciąż jeszcze widzę, jak ganiasz tego dzieciaka po drzewach, kochanie!

Na twarz Córy nareszcie wraca uśmiech.

- W końcu nadeszła noc, kiedy zaczęła nas mijać pierwsza fala promieniowania. Mieliśmy niesamowite szczęście, że pierwsza warstwa składała się z długich fal w widzialnej części spektrum, nieszkodliwych, a widowiskowych. Gwiazda powiększyła się dziesięciokrotnie i wyglądała upiornie. Do tego mieliśmy takie zorze polarne - w ogóle nie było nocy. Tak więc Dameii w końcu zaczęli nam wierzyć.

- Zanim wreszcie wzrosło natężenie twardego promieniowania, zdążyliśmy ukończyć osłony i Dameii byli skłonni schronić się pod nimi.

- To minęło szybko i gwiazda skurczyła się do poprzednich rozmiarów. Przez jakieś pięć lat mieliśmy spokój. Potem nadciągnęła druga fala wybuchowa. Byliśmy przygotowani - przyjechały

też stada turystów - lecz, jak ktoś powiedział, skończyło się na ładnych światełkach.

- Dziś wieczorem rozegra się trzeci i ostatni akt tragedii Vly-racochy. Naukowcy z bazy nie zadawali sobie trudu zbyt szczegółowymi przewidywaniami. Powiedziano nam, że szkła z blokerami ultrafioletu powinny wystarczyć. Pewnie mają rację i poza pokazem sztucznych ogni, nic więcej się nam nie przytrafi. Ale niektórzy z nas tak sobie myślą: ta fala pochodzi z samego serca tego wielkiego dzieła sztuki, które zawierało wszystkie prawdziwie egzotyczne sztuczne energie, więc być może uda nam się zaobserwować jakieś dziwne zjawiska.
  - Córy rozmieściła czujniki alarmowe i nakłoniła Patrol do postawienia bezzałogowej sondy na spotkanie fali. Wszystkie odczyty trafiają do konsoli na tarasie. Tak więc, jeśli powie "chować się", nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Po prostu chodu pod najbliższą osłonę. Salon i dach nad tarasem pokryte są warstwą antyradiacyjną, to pozostałości jeszcze z czasów pierwszej fali. Tylko tutaj mieliśmy ponad dwustu Dameii, przez tydzień miałem pierze w nosie.
  - A teraz - kolacja!
- Zaczyna wyciągać naczynia, za każdym razem, gdy stawia kóreś przed gośćmi, odkrywa je teatralnym gestem. Odpowiedzią na ten pokaz są uprzejme uśmiechy. Ale Córy widzi, że ta opowieść była dla wielu zbyt wstrząsająca.
- Czy to jedyna planeta, z której można ujrzeć gwiazdę? - pyta Linnix.

- Tak - odpowiada Córy. - Zanim fale dotrą do następnych światów, będą już zbyt rozrzedzone, by dać się zauważyć gołym okiem.

- A więc Damiem jest świadkiem dwóch haniebnych wydarzeń z historii ludzkości - stwierdza Linnix refleksyjnie. - Ohyda "Gwiezdných łez", a teraz potworne zamordowanie Ylyracochy wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami i wszystkim, co stworzyli.

- Gwiazda Podwójnej Hańby - odzywa się Zannez. - To brzmi niemalże jak tytuł.

- Och, wy ludzie z show-biznesu! - złości się Linnix. - Wszystko postrzegacie jako tytuły, fabuły, ujęcia.

- Nie to miał na myśli - wtrąca się Bridey vel Eleganza.

- To był odruchowy komentarz, mamy to wszyscy w genach. Zannez odczuwa zło równie głęboko, jak pani. Skoro dysponuje techniką, pozwalającą na podzielenie się tymi uczuciami z szerszą widownią, to czy... czy nie jest to warte zachodu?

- Hej, moja mała obrończyni. - Zannez uśmiecha się szeroko. - Nie wiedziałem, że ci na mnie zależy. - Jego oczy zostają poważne.

Zaskakując ich wszystkich, od strony Starcem rozlega się kilka melodyjnych akordów. Spostrzegają, że dziewczyna przyniosła ze sobą ażurową cytrę o dziwnym kształcie.

- Lament po gwieździe - mówi nieśmiało i wygrywa krótki motyw.

- Brawo! - woła mały książe Pao, klaszcząc w dłonie i roz-



glądając się dookoła tak rozkazującym wzrokiem, że Córy i pozostali odruchowo przyłączają się do oklasków. Krótka melodyjka była naprawdę całkiem ładna. Ale ten dzieciak - on przecież chyba jest dzieckiem? - zachowuje się, jak zakochany dorosły mężczyzna. Czyżby naprawdę tak do tego podchodził? A co z, hmmm, zawodem Starcem?

Milczący Vovoka podnosi się gwałtownie.

- Oświetlenie się zmienia - oznajmia swym oziębłym głosem. - Wychodzę na zewnątrz.

-- Też to zauważyłam - przyznaje Córy. - Może to już pora. - Porzuca bar i rozwiera na oścież główne drzwi. Kiedy to robi, ogarnia ją uczucie ostateczności - to już ostatni, ostatni raz wychodzić będzie na spotkanie gwiazdy! Do środka wpada blask.

- Ach!

- Och!

- Oj, Zannie, popatrz tylko!

Pozostali tłumnie wylewają się na dwór za przykładem Vovoki.

- Dzięki bogom zdążyłem rozstawić i uruchomić wszystkie napowietrzne kamery - odzywa się Zannez.

Jedynie dama Pardalianches ociąga się, spoglądając to na drzwi, to na siostrę, to na Kipa.

- Wytoczę ją na zewnątrz - obiecuje Kip. - Tylko przyniosę wam jedzenie, o którym wszyscy zapomnieliście.

- Och, dziękuję. - Dama pochyla się, by rozchylić satynową

zasłonkę, pocałować nieruchome czoło i pogłodzić włosy. - Doktor Baram prawie całkowicie wyłączył nasze siatki. Ja nigdy tego nie robię. Och, mam nadzieję, że jej nie porzucam; pierwszy raz od wieków jest podobnie samotna.

- To nie potrwa dłużej niż minim. Proszę wyjść i podziwiać.

Dama wychodzi. Kip ustawia naczynia na tacy.

- Cór, pomóż mi pozaznaczać, co jest czyje. Gdzie są te znaczniki?

- Już idę.

Kiedy Córy zostawia za sobą spektakularne widoki na zewnątrz, mija gigantyczną kołyskę, w której spoczywa dama - jak jej tam - Paralomena? Spoczywała i będzie spoczywać, myśli Córy, zerkając do środka. Uśpiona postać niczym nie zdradza niezadowolenia z nagłej samotności. Samotności? - zastanawia się Córy. Samotności - a może wolności? Czy ona naprawdę może cierpieć z braku niesamowitego towarzystwa swej siostry?

Podczas gdy Córy przygląda się tak, ledwie zauważalne poruszenie przepływa przez nieruchomą twarz, tak ulotne, że Córy nie jest pewna, co właściwie widziała. Przypatruje się uważnie. Czy ten śladowy uśmiech nie jest teraz aby odrobinę wyrazistszy?

Pierwszy raz przychodzi jej na myśl, że być może to nieruchome ciało nie jest jedynie wielką organiczną lalką, że może naprawdę żyje. Jak to jest godzina po godzinie rozbrzmiewać echem myśli damy Pardalianches?

Podczas, uwieńczonego ostatecznie sukcesem, polowania na

plastykowe znaczniki krzywi się na myśl o tym, jak ona czułaby się w niewoli zmysłów damy.

- Kippo! - Przyczepia "V" do nietkniętego talerza Vovoki.
- Kochanie?
- Mam takie zwariowane przeczucie. Nie śpiesz się zbytnio z wywożeniem tego biedactwa na zewnątrz.

viii m

Bez zmian:

Przejażdżka damy Łomy

Rzeczywistość powraca wreszcie, wyłaniając się z usianej gwiazdami mgły, przebijając się przez dziwne i często zawstydzająco seksualne opary, które tak długo więziły Lomenę. Prawdziwa cisza przedostaje się przez nie kończący się zalew głosu Pardie, który mamrotał wciąż i wciąż na niezrozumiałe tematy. Powraca prawie już zapomniana wolność, rozrywając intymny ucisk kończyn i ciała Pardie, które zawsze wydawały się silniejsze i wyrazistsze od jej własnych. Świadomość własnej odrębności wdziera się między nią a wolę i postęпки Pardie, które odtwarzały się w Łomie, niczym w instrumencie, podczas gdy jej własny głos, ciało i umysł wycofywały się donikąd i w nicość, jak gdyby sama nić łącząca ją z życiem wymykała się jej z rąk, stawała się coraz cieńsza.

To życie Pardie było tak podobne do snu. Początkowo myślała, że, tak jak w prawdziwym śnie, w rzeczywistym świecie upłynął zaledwie minim czy dwa. Lecz w miarę, jak trwał i stawał się coraz bardziej skomplikowany, zaczęła podejrzewać, że jego realny czas

trwania jest znacznie dłuższy. Może godziny albo i - bała się dalej rozwijać ten temat.

Teraz jednak, tak nagle i radośnie, zaczyna się budzić! Powracać do życia, czuć, jak rzeczywistość staje się coraz bardziej namacalna, w niej i wokół niej.

Rzeczywistość to olbrzymi obszar ciemnych, niebiesko-zielonych, łagodnie pofalowanych wrzosowisk, ciągnący się od horyzontu po horyzont, świat utrzymywany w ryzach i wypielęgnowany, niczym park dzięki niezliczonym stadom roślinożerców ojca.

W tej chwili wszystkie liście lśnią po niedawnym deszczu. Nad jej ramieniem pochyla się łuk jednej z permanentnych tęczy planety, którym zawdzięcza ona swoją nazwę: Kraniec Tęczy. Intencje pierwszych osadników były proste i bardzo dosłowne, lecz późniejsze odkrycie fantastycznych złóż diamentów, zeranavethów, szmaragdów i złota nadało tej nazwie drugie znaczenie.

A ten realny świat to jedynie tło dla jeszcze realniejszej rzeczywistości, która zajmuje płaski fragment terenu, rozciągający się tuż przed nią: otoczony wysokim ogrodzeniem, ekstrawagancki owal wypełniony ośmiostopowymi ceglanymi murami, konstrukcjami z biało-szkarłatnych belek, krzewami znaczącymi linie szerokich rowów z wodą, potężnymi żywopłotami za jaskrawymi osłonami - szalona konstrukcja, w której każdy piętnastoletni miłośnik koni natychmiast rozpoznałby replikę oficjalnego toru Międzyplanetarnego Konkursu Jeździeckiego, który odbyć się miał za miesiąc.

Dama Paralomena spogląda na to surrealistyczne miejsce z mi-

łością i zadziornością, wciąga w płuca zapach wilgotnej kory garbarskiej, pokrywającej jego powierzchnię. Potem odwraca się, osłaniając oczy, by spojrzeć na zbliżającą się centralną z rzeczywistości: starego stajennego Daveya na swym brązowym wałachu, prowadzącego połyskliwie srebrne stworzenie, które tańczy na krótkiej lonży i kawecanie.

Jego - to wyraźnie samiec - jego pełne imię brzmi Srebrny Imperator Kometa Ósmy. Oczy kogoś z innej epoki miałyby kłopoty z rozpoznaniem w nim konia. Kilka stuleci wcześniej konie uwolnione zostały spod tyranii pierwotnego kształtu określanego pogardliwym mianem "kotletów na kopytach".

Wysiłki ukierunkowane na wyhodowanie idealnej maszyny do skakania, jakie potem nastąpiły, doprowadziły do powstania stworzenia, które można by wziąć za gigantyczną gazelę z domieszką cech kangurzych: zwartą, o długiej grzywie i ogonie oraz potężnie umięśnionym zadzie. W oczach Daveya i Paralomeny brakuje mu tylko skrzydeł, by na stałe unieść się w powietrze. Wśród nowych fragmentów DNA znajdował się również na wpół uśpiony gen albinizmu. Komety zawsze były srebrzystej maści, o ciemnych oczach i łatach.

Jego bujny srebrny ogon - użyteczna cecha dla skoczka - omiata ją, gdy staje obok niego.

- No, nie wiem, damo Loma - wzdycha Davey, niechętnie oddając lonżę. Sama stoi na ziemi, wyszedłszy im na spotkanie, siodło Komety znajduje się nad jej głową. - Młoda dziewczuszka,

za pani pozwoleniem, dosiadająca ogiera. I do tego te bardzo wysokie przeszkody.

- Och, ogiery lubią dziewczuszki, prawda, Łobuzie?

Dwa aksamitne i różowe nosy stykają się w pieszczocie.

- Chyba nie sugerujesz poważnie, żebym kazała wykastrować najlepszą Kometę w stadzie, co, Davey?

- Och, nie, moja pani! - Davey rumieni się po czubek głowy. - To byłaby zbrodnia! Tyle tylko, za pani pozwoleniem...

- Za moim pozwoleniem, chcesz powiedzieć setny raz, że winnam kazać któremuś z chłopaków - może Gemmy'emu - nauczyć go moresu, co? Na co odpowiadam po raz sto pierwszy, za twoim pozwoleniem, nie! To mój koń, szkoliłam go i dosiadałam na wszystkich pokazach, w jakich brał udział, i to już koniec dyskusji.

- Dobrze, proszę pani - och, uwaga!

Wielki ogier, nie dopilnowany podczas tej wymiany argumentów, staje dęba i próbuje zbliżyć się do niej z aż nader oczywistym zamiarem.

Paralomena odskakuje i nieustraszenie osadza go, śmiejąc się.

- Nie, nie, nie, chłoptasiu! Gatunki ci się pomieszały. Potrzeba ci trochę ruchu - a potem pokażemy ci coś, co spodoba ci się bardziej niż ludzkie dziewczyny! Teraz uspokój się.

Ponuro kręcąc głową, Davey zsiada, by pomóc jej wdrapać się na grzbiet zwierzęcia. Dziewczyna jednak zręcznie wykręca strzemię i wskakuje w białe futrzane siodło, po czym wprawnie odpina

i odrzuca kawecan.

- Ależ pani! A jeśli upadniesz - będziesz tego potrzebować!
- A jeśli wpadniemy do rowu, potrzebować będę też stroju kąpielowego, jak rozumiem.

Davey śmieje się bezradnie i otwiera jedną z toreb przy siodle, zwykle wykorzystywanych do przechowywania kanapek i manierek.

- Co to, deser budyniowy. Och, nie! - Davey wyciąga jej czarny aksamitny toczek.
- Proszę to założyć dla starego - mówi Davey. - Tak, bym nie dostał zawału, skoro już czeka mnie kazanie od pani ojca. Proszę, moja pani.
- Spada mi na oczy, och, już dobrze. - Częściowo splata swe długie, ciemne włosy i zakłada go klepiąc się po czubku głowy, świadoma tego, że jest jej w nim do twarzy.
- Może jeszcze coś? Poduszkę powietrzną?
- Już jadą, moja pani.

Wielki, stareńki samochód bez dachu pojawia się i znika na krętej i falistej drodze, przecinającej wrzosowisko. Z tyłu siedzą lord Perdrix, jej ojciec oraz jej siostra bliźniaczka, młoda markiza Pardalianches.

- Mają ze sobą trębacza? - Kometa absorbuje jej całą uwagę, kręcąc się w miejscu tak, że widzi doprawdy niewiele.
- Ano.
- To dobrze. Powiedz im, żeby się pospieszyli.

Davey wymachuje czerwoną chustą w uniwersalnym języku

gestów.

Kometa nie lubi samochodów. Próbuje brykać, lecz nie za bardzo się do tego nadaje, więc staje nieruchomo, jak kamień, przychając pogardliwie.

- Hej, tato! W porządku, Davey, wrota! Zapowiedz nas, ty tam.

Wrota rozwierają się szeroko, rozbrzmiewa trąbka i dwa piękne stworzenia stopione w jedno wpadają galopem do środka. Raz dookoła, potem wprost na niebotyczny ceglany mur.

Kometa śmiga w górę, ponad przeszkodą, przyciskając swe delikatne przednie kończyny do piersi. Potem w dół i galopem ku linii, sięgających mu głowy, krzewów. Oba skoki są proste, ich zadaniem jest ułatwienie jeźdźcowi opanowania i uspokojenia wierzchowca. Lecz Kometę trudno dziś okiełznać, spostrzega Davey. Dziewczyna marszczy brew, kiedy skręcają w niewłaściwą linię najazdu.

Ledwie zdążyła przetrząść ciężar ciała na przednią nogę; Kometa potyka się i przechodzi na właściwą drogę. Lecz odległość przed następnym skokiem - trudną podwójną przeszkodą - nie jest odpowiednia. Wybity z równowagi przelatuje nad zewnętrznym murem, robi jeden krok w środku i niezdarnie próbuje pokonać drugą przeszkodę, zbudowaną z ciężkich belek.

Widzowie wzdychają głośno, jak jeden mąż - podczas ciężkiego lądowania toczek dziewczyny zsunął się jej na oczy, więc zrzuciła go z głowy. Teraz Kometa wzbija się niczym rakieta, lecz nie jest w stanie pokonać przeszkody. Przebija się przez jej górną



część i dwie potężne belki staczają się mu po grzbiecie. Podczas, gdy ciężkie belki mkną w jej kierunku, Loma zatapia swą gołą głowę w grzywie Komety. Na próżno: uderzają odsłoniętą głowę wpierw z jednej strony, potem, gdy jej szyja opada, z drugiej, jak gdyby okładał ją uzbrojony w drzewa olbrzym.

- Dlaczego nie puści wodzy i nie osłoni głowy? - jęczy Davey, wybiegając na parkur.

- Żadna z moich córek by tego nie zrobiła. - Lord Perdrix wysiada z samochodu, wygląda na zaniepokojonego. Dama Pardalianches, u szczytu swej piętnastoletniej urody, jedynie przyciska uperfumowane dłonie do warg, wstrzymując oddech i patrząc, jak zahipnotyzowana.

Rozpędzony Kometa robi jeszcze kilka kroków. Potem, wyczuwając zmianę w położeniu swego bezwładnego jeźdźca, potulnie zwalnia i zatrzymuje się; jest przecież dżentelmenem.

Dziewczyna wciąż jeszcze trzyma się odruchowo w siodle, skrwawiona głowa plami nieskazitelną szyję Komety. Davey dopada jej pierwszy, sięga w górę i delikatnie pociąga za nogę. Dziewczyna stacza się nieprzytoma w ramiona ojca i trębacza. Lord Perdrix musi rozgiąć córce palce, by uwolnić z nich, unieruchomione śmiertelnym skurczem, cugle Komety.

- Ćśśś, ćśśś. - Davey uspokaja wielką bestię, która stoi niczym posąg, przewracając oczyma i pryhajac, zwietrzywszy zapach krwi. Lecz głos łamie mu się w gardle, gdy spostrzega szeroko otwarte, prawie uśmiechnięte oczy dziewczyny.

Teraz wie już, że ona naprawdę nie żyje.

I tak by się też stało, gdyby mała dama Pardalianches nie poleciła szoferowi połączyć się przez specjalne radio samochodu z portami lotniczymi, szpitalami, neurochirurgami. Podczas gdy Perdrix wiezie swą córkę ku nim, opatrzony wielkim czerwonym krzyżem helikopter zbliża się szaleńczo w ich stronę i ląduje na poboczu.

Ze środka wyskakuje trzech medyków i bierze się do pracy.

Dama Pardie, która niewiele dba o kurczowe trzymanie wodzy, kurczowo trzyma się życia swej siostry-bliźniaczki. Nie zamierza oddać tego życia śmierci. Godzina za godziną, podczas gdy chirurgi mozolą się w pocie czoła, siedzi u jej boku, godzinami, dniami i nocami, tygodniami i miesiącami. A gdy ci lekarze podają się rezygnacji, wyszukuje następnych i następnych, którzy rezygnują, gdy przychodzi ich kolej.

A jednak młoda dama Pardie nie zamierza się poddawać; podczas gdy siostra leży na całkowitym podtrzymaniu, czuwa przy niej, mówiąc do niej, masując ją, wynajdując najwyszukańsze sposoby stymulacji, tak by jej ciało nie uległo atrofii. Sama uczy się czytać fachową literaturę medyczną, ryzykuje roztrwonieniem swego dziedzictwa, oferując nagrody na dziesiątkach światów, słynących z wysokiego poziomu nauk medycznych. I wreszcie zdobywa, skryte w siateczkach złotych elektrod, urządzenie do neurotransferu, o cudownych obwodach skrytych pod złotym łóżkiem, na którym Loma spędza życie.

Pod łóżkiem, które teraz, dwadzieścia dwa lata później, stoi

chwilowo zapomniane w różowej poświacie gwiazdy w sali motelu na odległym Damiemie, podczas gdy dama Pardalianches przyłącza się do pozostałych gości, wyrażających swój zachwyt niebieskimi wspaniałościami.

IX

Nowa minus 3 godziny:

Kip w mroku

Kip Korso wynosi tacę z naczyniami na ogarnięty łąną świat.

Ciemny taras, na którym stoi, wydaje się wąskim pomostem stałej materii ciśniętym w morze światła.

Oślepiiony, wycofuje się pod zadaszenie, by zorientować się w otoczeniu. Jego oczy zawsze wolno adaptowały się do ciemności. Lecz słuch ma dobry; słyszy oddechy, poruszenia i pojedyncze pomrukiwania daleko po lewej stronie.

Gdy tak stoi, mrugając, rozlega się. szybki tupot stóp i drobne ciało wpada na niego tak nagle, że z trudem udaje mu się uratować tacę.

- Och, przepraszam! - mówi podniecony ksiązę Pao. - Myr

Córy mówi, że mogę skorzystać z teleskopu! Po południu pokazała mi, jak to robić.

- Świetnie. Ale pamiętaj, ksiązę, że to wszystko dzieje się w atmosferze. Teleskop na wiele ci się nie przyda.

- Oczywiście. - Głos chłopca obniża się do tonu odpowiedniego dla wyjawiania tajemnic państwowych. - Szczerze mówiąc, samolubnie pragnę w odosobnieniu skorzystać z owego wspania-

tego punktu obserwacyjnego.

- Udanych obserwacji! - Kip uśmiecha się w mrok. Za jego plecami trzaskają drzwi do salonu.

Do tego czasu Kip zorientował się już, że różowe światło, które spostrzegli przez vitrex, bije od działającego niczym zwierciadło jeziora. Ogniste czerwienie mieszają się z błękitnymi wytryskami płonącego gazu - to zapewne zorze gwiazdy, prześwitujące przez ławice wieczornych chmur. Niebo nad nimi musi przedstawiać imponujący widok, lecz nie śmie podnieść głowy, nie chcąc ponownie stracić wzroku; w przeciwnym razie goście nie doczekają się kolacji. Na szczęście utrzymujące ciepło naczynia spełniają pokładane w nich nadzieje.

Na wschodzie za jeziorem niesamowity, ostry zielony blask przybiera na sile - to zapowiedź szybkiego wschodu gwiazdy.

Oto jest źródło zmian, jakie Vovoka spostrzegł przez okno. Gdy Kip spuszcza wzrok, odbita poświata wysyła nieziemsko zielony promień, który sięga centralnych ogni i gaśnie, zaraz zastąpiony dwoma kolejnymi. Wstrzymane oddechy i szept z mrocznego tarasu.

- Ostatnim razem ta faza trwała prawie godzinę. - Wprost przed nim, z drugiego krańca tarasu, rozlega się głos Córy. Kip odnajduje wzrokiem linię balustrady i opartą o nią ciemną, rozmazaną sylwetkę. To Córy przy konsoli. Nieopodal mający wyższą plama ciemności. Vovoka?

- Dzisiaj to rozwija się chyba nieco szybciej. - Córy wydaje z siebie swój miękki, ciepły, zaraźliwy śmiech, dźwięk, za którym

Kip wprost przepada. - To akurat zjawisko określamy nieeleganckim mianem "zielonych paluchów".

Gdy rusza w jej kierunku, po lewej stronie gwałtownie rozbłyskuje światło ziemskiego pochodzenia.

Bogowie! Zapomniał o Zannezie i jego trupie. A zasłony - och, przekleństwo, zasłony nie są nieprzezroczyste! Niesamowite kształty aktorów wiją się na nich, wywołując skonsternowane szmery i szepty na tarasie.

Kip niczym sparaliżowany patrzy, jak cień na najjaskrawszej z zasłon przyjmuje formę klasycznego ujęcia w rozkroku, dziewczyna klęczy z rozłożonymi nogami, podczas gdy spomiędzy jej ud unosi się rozmazany cień głowy, wysuwa język...

- Myr Zannez! - krzyczą jednym głosem Kip i Córy.

Cienie zrywają się spłoszone, zza zasłony wyłania się oświetlona postać Zanneza z kamerą w dłoni, wielobarwne światła odbijają się od jego tysej czaszki i monokla.

- Musicie zarzucić koce na te zasłony!

Światła gasną, kiedy tylko wyjaśniona zostaje natura problemu.

Szare postaci pędzą do swych kwater, powracają obciążone pościelą i zasłonami z okien. Zannez własnoręcznie je rozwiesza.

- Przepraszam po tysiącokroć, myr Córy, Kip - myr Linnix, błagam o wybaczenie. To było tylko moje logo. No, to powinno wystarczyć! W porządku, dzieciaki! Z powrotem na miejsca, musimy trochę popracować. - Na użytek Kipa dodaje: - Zaczynamy imitację tych fantastycznych efektów świetlnych na żywo. To może

się okazać wielkim sukcesem artystycznym -jak już wyleją mnie z roboty.

- A kim niby ja mam być, tymi drzewami? - rozlega się pytający głos Hanny'ego Eka.

- Ty jesteś elementem zaskoczenia. A teraz na dół, do cholery. - Zannez znika. Błada poświata zapala się na zewnętrznej powierzchni nieprzezroczystych teraz zasłon, zbyt nikła, by przeszkadzać w obserwacji nieba.

Kip raz jeszcze zostaje oślepiiony, a zarazem więcej niż trochę rozbawiony definicją "pracy" według Zanneza. Światło ukazało mu również Baramjiego, siedzącego z Linnix w fotelach przed punktem medycznym, niecałe trzy metry na lewo od niego. Po omacku kieruje się w ich stronę.

- Bram, potrafisz czytać w takich warunkach, sprawdź, czy się nie pomyliłem. Te dwa są chyba wasze. - Podaje im naczynia.

- Ale gdzie reszta? Wiesz, że w ciemności jestem ślepy.

Baramji zerka na znaczniki w słabym świetle, przedostającym się przez vitrex okien.

- W porządku. Linnie, to jest twoje. Smacznego. Zobaczysz, że dobrze ci to robi, moja droga. - Odwraca się do Kipa. -

Cóż, ekipę Zanneza chyba sam zlokalizowałeś. Dama P. jest tuż za tobą, tam gdzie zasłony dochodzą do parapetu. Mam przecucie, że odrobinę podgląda. Vovoka stoi na jej wysokości, przy Córy. A doktor Ochter i nasze dwie kule u nogi są przy budynku, po drugiej stronie drzwi do salonu, nieopodal swoich pokoi. Wydają

się czymś poirytowani.

- Och, myr Korso! - przerywa im głos damy. - Moja siostra, proszę nie zapomnieć!
- Jeszcze tylko minim, naprawdę. - mówiąc to Kip, przypomina sobie przestrożę Córy, by się z tym nie spieszył. Cóż, bliźniaczka wystarczająco skorzystała na zamieszaniu wywołanym przez Zanneza.

Zdejmuje z tacy pięć nakryć.

- Myr Zannez! Wasza kolacja. Jeżeli jesteście, hmmm, zajęci, naczynia utrzymają ciepło. Stawiam je tu z tyłu, na półce.

Odgłosy zamieszania zza zasłon. Podniesiony głos Eka:

- Zanny, ty oprawco! Pora na przekąskę, w przeciwnym razie strajkuję.

Kip zwraca się ku damie i przekonuje się, że kierując się węchem, jest w stanie trafić do migotliwej, półleżącej postaci.

- Urocze perfumy, damo Pardalianches. Sądzę, że to jest pani kolacja. Owinę naczynie serwetą, jest gorące.
- Dziękuję. Ale proszę się pospieszyć.
- Śpieszę się, Cór! Idzie kolacja! - Posuwa się wzdłuż rapetu.
- Mogłabyś też wziąć naczynie ser Vovokł?
- Jasne. Front nowej rozwija się w ten sam sposób, co poprzednio, Kip, tyle że szybciej. Sam zobaczysz, kiedy będziesz wolny, to fanatystyczne. Czyż to nie było okropne, ta afera z Zannezem?
- Fatalne. Moja wina, powinienem był sprawdzić.

- Chyba nic złego się nie stało. Co to takiego to "logo"?

- Lepiej nie pytać, może chodzi mu o jego babkę. Hej, nie jestem ślepy, ciebie widzę. - Zapominając, że pozostali widzą w ciemności lepiej, pochyla się i całuje jej ciepły, wonny kark.

- Auu, kochanie! Uważaj - talerz ser Vovoki.

Pozostawia jej wmuszenie kolacji we wpatzonego w gwiazdę mężczyznę, sam zaś odszukuje doktora Ochtera, usadowionego na prawo od wejścia do salonu.

Za jego plecami, pod zadaszeniem, Kip z trudem dostrzega parę pustych krzesel.

- Pańska kolacja, doktorze O. Ale gdzie się podziiali nasi "goście mimo woli"?

- Już w żadnym wypadku nie mimo woli - odpowiada dobrotliwie Ochter. - Są zafascynowani. Ale wydają się nieco zaniepokojeni. Spozregłem, że chowają się skuleni pod waszą osłoną antyradiacyjną, a Yule powiedział mi, że tuż przed wyjazdem otrzymał dużą dawkę promieniowania z jakiegoś niesprawnego urządzenia. Jego lekarz ostrzegł go, by unikał podobnych wypadków, dopóki nie dostanie całej serii zastrzyków. A Hiner, co rozumiałe, panicznie boi się promieniowania.

- Próbowałem im wytłumaczyć, że ich obawy są bezpodstawne. Ale i tak wymknęli się z powrotem do swojego pokoju po gogle i hełmy - i kamery, miło mi dodać. Postawię ich naczynia na tej półce.

- Całkowicie niepotrzebnie - krzywi się Kip. - Cholera.



Powinienem był powiedzieć wszystkim, że cała sterta okularów blokujących ultrafiolet i kasków ochronnych schowana jest pod schodami, na wypadek gdyby ktoś chciał z nich skorzystać. Proszę się nie krępować.

- Och, bogowie, tak długo jak myr Córy się nie przejmuje, ja również nie będę. Ach, to naprawdę miły widok. Wcześniej niewiele zjadłem.

- Fajno.

Od strony markizy dobiega zniecierpliwione postukiwanie. Kip uznaje, że zwleka już tak długo, i zabiera pustą tacę do środka, zamykając jedno oko, tak by pozostało zaadaptowane do warunków na dworze.

Dama jest szybsza.

- Poruszyła się! Och! Myr Kip, proszę spojrzeć - jej ręka.

Mrużąc oczy, Kip dostrzega, że nieruchoma postać naprawdę się poruszyła - albo została poruszona, jeżeli podświadomość damy pła-  
ta im wszystkim figle. Prawa ręka spoczywa teraz w poprzek ciała, dłoń jest kurczowo zaciśnięta. Przypomina sobie słowa Baramjiego.

- Hmm, być może gwiazda naprawdę trochę jej pomaga.

- Och, tak! Szybko, błagam, proszę wywieźć ją na zewnątrz.

Musi znaleźć się w pełnym blasku gwiazdy! - W swym zapale dama autentycznie szarpie masywnym łóżkiem.

Kip wkracza do akcji i wypycha gigantyczną kołyskę na taras.

- Postawię ją tuż obok pani. Proszę, doktor Baramji jest na wyciągnięcie ręki. - A wielka bryła łóżka pomoże ukryć szcze-

góły "pracy" Zanneza, dodaje w myślach.

- Och, dziękuję. Doktorze Baramji! Myr Kip też to widział.

Podczas gdy Dama z zapałem opowiada Bramowi o przesuniętej ręce, Kip zajmuje miejsce naprzeciwko Córy, ani na krok nie odchodzącej od konsoli. Teraz i on może skierować wzrok ku spektakularnym fajerwerkom na niebie.

W górze ognisty cynober zachodu wciąż jeszcze rozświetla filigran spiętrzonych cirrusów. Powyżej nich rozpinają się łuki zimno-niebieskiego światła zorzy polarnej, uformowane w olbrzymie płachty przepływające w ciszy przez niebo.

Nad dachem motelu, od zachodniej strony horyzont wyblakł do cytrynowej żółci, kilka spóźnionych fioletowych chmur o rozplamionych brzegach unosi się tam niczym niebiańskie ryby.

Za to wschód! Fala upiornie zielonego ognia rozjarzyła się do oślepiającego gwiazdnego łuku świetlnego za czarną koronką, wyznaczających horyzont drzew. Nad zielenią rozciąga się kolejna plama czerni, nie rozświetlana blaskiem gwiazd, w której trudno jest rozpoznać normalne nocne niebo. Przecinają je teraz niezliczone, mgliste linie światła, znajdujące swoje źródło w ogniu poniżej nich. Rozpalają się, bledną i odradzają się ponownie; wydają się obracać niczym majestatyczne reflektory, potem zaś giną w przepychu zenitu.

A wszystko to znajduje odbicie w nieruchomej tafli jeziora; podwójne piękno niemalże nie do ogarnięcia ludzkim umysłem.

Ponad konsolą Kip widzi twarz Córy, rozjaśniającą się na krót-

kie chwile między kęsami kolacji a uważnymi oględzinami wskaźników; pragnąłby, by choć raz się odprężyła.

Sam tymczasem, w trakcie jedzenia, nasłuchuje uważnie; według starego mitu bardzo jasne, ruchome zorze wydają ciche dźwięki. Lecz nie słyszy niczego niezwykłego - dopóki nie podrywa go znajomy trzepot nad głową.

Łapie Córy za nadgarstek.

- Wyrra!
- Och, nie!
- Ćśś.

Wytężają słuch, podczas gdy uniesiona dłoń Kipa porusza się w ślad za czymś niesłyszalnym dla Córy. Potem wykonuje szybki gest, gwałtownie opuszczając rękę.

- Ląduje!
- Nie mogę w to uwierzyć! - Oczy Córy lśnią.
- Cholera, przejdzie tuż obok Hiner i Yule'a. - Kip podnosi się. - Cór, możesz uprzedzić pozostałych, podczas gdy ja wyjdę mu na spotkanie? I zapal też światła na tarasie. Oni są prawie tak ślepi, jak ja.
- Już biegnę. - Przełącza panel w tryb jałowy.

Kip rusza ostrożnie przez taras, wiodąc dłońią po parapecie.

Wkrótce za jego plecami zapala się łagodny blask. Przed nim rozciągają się plamy intensywnie czarnego cienia, rzucanego przez górujące nad motelem drzewa. Zatrzymuje się przy pierwszej z nich.

- Myr Yule? Doktorze Hiner? - woła tak głośno, jak tylko

śmie.

Za trzecim razem z ostatniego pokoju dobiega niezrozumiała odpowiedź. Kip po omacku podchodzi bliżej.

- Czy zechcielibyście przez parę minimów stąd nie wychodzić? Być może będzie tędy przechodzić nasz miejscowy Damei i nie chcemy go wystraszyć. Przywykł do tego, że nikt tu nie mieszka.
- Z przyjemnością - odpowiada głos Minera.
- A kiedy zdecydujecie się ponownie dołączyć do nas, proszę poruszać się tak cicho i powoli, jak tylko potraficie.
- Oczywiście.
- Nie ma sprawy - dodaje Yule.

Kip czeka. Dameii zawsze robą zwiadowczy przelot przed lądowaniem. To właśnie usłyszał Kip: trzepot uszkodzonego skrzydła Wyrry, kiedy się im przyglądał. Wyrra jest czuły na tym punkcie; zawsze ląduje w ukryciu, przed motelem, i obchodzi budynek dookoła, wzdłuż skrzydła, gdzie zakwaterowani są Yule i Hiner.

Wkrótce zza zakrętu tarasu wyłania się ruchoma plama światła.

Ludzkie latarki stanowią jedyny podarunek, jaki Dameii naprawdę doceniają; sami mogą korzystać jedynie z naturalnego fosforu, jako że wszelkie produkty spalania są dla nich szkodliwe.

Światło Wyrry znajduje się wysoko; jak zwykle idzie po parapecie. Kip po omacku rusza mu na spotkanie.

- Witam, myr Wyrra! - woła cicho w damei. - Twoja wizyta przynosi wiele radości. Obawialiśmy się, że nie zechcesz przebywać w pobliżu tak wielu ludzi.

- Nyil życzyła sobie zapoznać się z grupą przedstawicieli  
twego ludu.

- Ona też tu jest? Cóż za wspaniała niespodzianka!

Z góry odpowiada mu wybuch piskliwego śmiechu.

W tejże chwili wysoka postać Damei wkracza w oświetloną  
przeźrzenie między dwoma drzewami. Jego wielkie niebiesko-białe  
skrzydła stykają się nad jego głową, drżąc nerwowo i rozsiewając  
dookoła pryzmatyczne odbicia nieba. Jest nietypowo ubarwniony,  
to jedyny znany Kipowi czysto niebieski osobnik. Jego włosy, na  
współ splecione na głowie, jako imitacja - albo szyderstwo -  
ludzkiej fryzury, a częściowo opadające kaskadą na skrzydła, są  
efektownie błękitno-brązowe, podobnie jak brwi i rzęsy. Wielkie  
zaś, lśniące, utkwione w Kipie oczy mają barwę błękitu nieba.

Od stóp do głów spowija go pofalowana biała delikatna tkanina,  
obficie wyszywana na niebiesko. Kip wie, że kiedy przebywa w to-  
warzystwie ludzi, przykrywa również swe plecy u nasady skrzydeł,  
tam gdzie umieszczone są gruczoły - co bardzo go irytuje. Dzie-  
cinie drobne stopy okryte są ozdobionymi bielą i błękitem pan-  
toflami; jest jednym z niewielu znanych Kipowi Dameii używa-  
jących obuwia.

Z bliska Damei jest podobny do człowieka. Jego dłonie mają  
trzy palce, pozbawione prawdziwych paznokci; kciuki są osadzone  
bardzo wysoko, niczym ostrogi. Obute stopy także są trójpalczaste  
i charakteryzują się najbardziej niehumaną cechą tego gatunku -  
przypominającymi szczudła, wygiętymi do tyłu piętami, wyewoluo-

wanymi pozostałościami po piętach i palcach przystosowanych do siedzenia na gałęzi.

Ale jego nieruchomy, przywodzący na myśl maskę uśmiech jest bardzo ludzki, choć "zęby" tworzy biała płaszczyna chrząstek.

Nozdrza też podobne są do ludzkich, oczy zaś stanowią powiększone odpowiedniki ludzkich.

Zanim jeszcze znika w kolejnym cieniu, rozbłyskują małe, bładożółte skrzydła i na parapecie przed ojcem ląduje drobne dziecko

Damei. Niemalże tanecznym krokiem rusza ku Kipowi - najwyraźniej ani trochę się nie boi.

- Nyil, moja droga, po stokroć witaj. A więc pragniesz spotkać się z grupą ludzi?

- Och, tak! - Jej głos to bardzo wysoki, czysty sopran. -

Ale jak nazywa się... nazywa się ludzi, którzy przylatują?

- Cóż, mamy dwa słowa przydatne w tej sytuacji. Goście to ludzie, którzy odwiedzają przyjaciela albo przyjaciela przyjaciela.

Na przykład ty i myr Wyrra jesteście teraz gośćmi moimi i Córy.

Dwójka Dameii dołącza do Kipa, on zaś idzie obok nich, tłumacząc dalej.

- Poza tym są też ludzie, którzy podróżują, by ujrzeć jakieś miejsce czy wydarzenie, bardzo interesujące albo niezwykle piękne, nie znając tam nikogo. Tę czynność nazywa się zwiedzaniem, ludzi zaś, którzy się jej oddają, turystami. Federacja często zapewnia im nocleg, tak jak w naszym motelu. Turyści zwykle płacą za gościnę, jedzenie i przewodnika, takiego jak my. Turyści pragnący

odwiedzić szczególnie ważne światy, takie jak Damiem, muszą zostać najpierw starannie zbadani. Ci turyści przybyli tu, by ujrzeć ostatnią manifestację piękna gwiazdy, znanego na innych światach.

Nie przyjechali w odwiedziny do Córy ani do mnie. Ty sam, myr Wyrra, a już na pewno Nyil i jej przyjaciele, pojedziecie kiedyś zwiedzać ciekawe miejsca na innych światach. Wówczas staniecie się turystami. Federacja z radością opłaci waszą podróż.

Oboje Dameii słuchają uważnie, zwalniając tak bardzo, że niemalże się zatrzymują. Kiedy Kip kończy, Wyrra woła:

- Ach, te opłaty, znowu te pieniądze! Obawiam się, że nie całkiem pojmuję.
- Chciałbyś porozmawiać o pieniądzach podczas naszej kolejnej sesji, myr Wyrra?
- Tak, bardzo.
- Ja ty ż - to znaczy, ja także - mówi Nyil w galaktycznym.
- I jeszcze o tym, kiedy muszę mówić formalnie. Dlaczego nazywasz dzisiaj ojca "myr"? - Jej akcent jest nieskazitelny.
- Aby okazać mu szacunek przy obcych - odpowiada powoli Kip. - To także ostrzeżenie dla innych ludzi, by zwracali się do niego z szacunkiem. - Przechodzi z powrotem na damei. - Nie umiem dobrze tego wytłumaczyć - rozumiecie, uczymy się tego jako małe dzieci, więc nie pamiętam zasad. Po prostu wiem, kiedy to brzmi właściwie. Na przykład wiem, że powinienem mówić do twojego ojca myr Wyrra podczas lekcji, i myślę, że to dlatego, ponieważ stawia się w pozycji ucznia, dziecka, a więc uprzejmość na-

kazuje podkreślenie jego wyższego statusu, jego dorosłości. Wiesz, jakie to skomplikowane? Nawet nie potrafię prosto tego wytłumaczyć.

- To chyba rozumiem - mówi Wyrra starannym galaktycznym. Jego długie wargi wykrzywają się w rzadkim uśmiechu. - To jak latanie. Kiedy w końcu tego potrzebowałem, nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto byłby w stanie to wytłumaczyć. Wszyscy nauczyli się we wczesnej młodości.

- Dokładnie! - Kip także się uśmiecha. Wyrra ma na myśli radosny dzień, w którym przekonali się, że Baramjiemu naprawdę powiodła się naprawa jego uszkodzonego skrzydła.

Dotarli już na skraj plamy światła rozlanego wokół grupki ludzi. Wyrra zatrzymuje się, Kip i Nyil postępują podobnie. Od konsoli Córy macha na powitanie. Jedynie Nyil odpowiada.

Kip zauważa, że Zannez wyszedł zza zasłony i kieruje kamerę w ich stronę. Twarze czwórki młodych aktorów wyzierają spod szpar między zasłonami.

- Co trzyma ten człowiek? - pyta Wyrra. - I co to za głowy?

- To kamerzysta - utrwała wydarzenia. Teraz utrwała widok ciebie i Nyil. Pokażemy go wam, zanim odleci. Myślę, że się wam spodoba. Głowy należą do czwórki młodych aktorów - to tacy wasi tancerze pieśni. Odgrywają przed nim różne wydarzenia, tak by mógł je zapisać. Nie mogą dołączyć do reszty ludzi, bo są niekompletnie odziani. Nawiasem mówiąc, uważamy ich za niezwykle pięknych. To ci ludzie zaprezentują się jutro w wiosce. Będziecie



tam z Juiyn?

Wyrra marszczy czoło.

- Och, ojczy, proszę - błaga Nyil.
- Jeśli nie, może uda się nam zorganizować prywatny pokaz
- mówi taktownie Kip. Wie, że między tą rodziną a wioską panuje jakieś niewytłumaczalne napięcie.

W tej samej chwili cicho otwierają się drzwi do salonu i pojawia się księżę Pao.

- Och, spójrz, ojczy! - wskazuje Nyil. - To musi być ludzkie młode. Prawda? Och, jakie to interesujące! Jakiej jest płci, myr Kip? I ile ma lat?

- Płci? Och. Męskiej, to chłopiec, ma mniej więcej siedem waszych długich lat.

Słyszając to słowo, księżę zerka na Kipa spod uniesionych brwi, potem zdejmując swą upierzoną czapkę i dystyngowanie kłania się obojgu Dameii.

- Ja mam tylko pięć lat - krzywi się Nyil. - Czy to dziecko któregoś z tych turystów?
- Nie. Przybył tu sam. To bardzo niezwykle, ale on jest niezwykłym dzieckiem. Za kilka lat zostanie władcą niewielkiego, lecz bardzo ważnego świata.
- Och - mówi Nyil, wpatrując się intensywnie w Pao. Potem rozgląda się dookoła i ponownie wyciąga rękę. - Co się stało tej samicy?
- Została ranna w wypadku. Jej siostra, o, tam, ma nadzieję,

że światło gwiazdy jej pomoże.

- Kiflayn - komentuje Wyrra - nieprzetłumaczalne słowo, oznaczające dziwaczne i beznadziejne przedsięwzięcie.

- Zapewne - przyznaje Kip. - Czy chcecie teraz, bym zaprowadził was do pozostałych, a może bliżej nie macie już ochoty podchodzić?

- Pragnę przynajmniej pozdrowić twoją partnerkę - oznajmia zdecydowanie Nyil. - I doktora Brama. Czy to właściwe?

- To byłoby uprzejme, zgodne z dobrym obyczajem - chyba że przybywasz specjalnie po to, by pomówić ze mną na osobności. Albo zamierzasz okazać swoje niezadowolenie któremuś z nich.

- Och, nie! - mówi Nyil. - Ojczy, musisz pozdrowić moją córkę! Po prostu musisz!

- Sprawi jej to wielką przyjemność - zapewnia Kip. - Ale doskonale was zrozumie, jeśli nie będziecie chcieli poruszać się wśród tak wielkiej liczby obcych.

- Oczywiście. Z przyjemnością powitam twoją partnerkę - mówi Wyrra, lecz nerwowe uniesienie skrzydeł zadaje kłam jego słowom.

Podczas gdy Wyrra rusza w jej stronę, Córy spogląda znacząco na pozostałych ludzi, przytykając palec do ust. Kip spostrzega z ulgą, że część tarasu wzdłuż parapetu, dzieląca ją od Dameii, jest pusta; jedynie mały Ochter i Pao stoją przy ścianie motelu. Wszyscy zamarli w bezruchu, słysząc tylko nikły szmer kamer Zanneza.

W połowie drogi Wyrra rozkłada swe wielkie skrzydła i sfruwa

z parapetu, by resztę odległości pokonać po tarasie. Nyil pozostaje na górze, nie chcąc tracić widoku.

Kiedy zbliżają się do Córy, Kip słyszy ciche kroki przy murze motelu i gdy się odwraca, spostrzega Hinera i Yule'a, zajmujących pozycje przy swych krzesłach. Mają na sobie gogle i skomplikowane osłony głowy. Nawet za szklami Kip widzi, jak ich oczy robią się okrągłe z wrażenia. Wykazują się dobrym wyczuciem, nie ryzykując wywołania hałasu podczas siadania. Dobrze.

Wyrra odwraca się w ślad za spojrzeniem Kipa.

W następnej chwili Kip niemalże zostaje wyrócony falą powietrza i ogłuszony łopotem uszkodzonego skrzydła Wyrry. Damei obraca się w miejscu, chwyta swe dziecko i wskakuje, a raczej podlatuje, na parapet, gdzie zatrzymuje się z uniesionymi w napięciu skrzydłami, gotowy do ucieczki.

- Co to jest?

Kip pojmuje, jak dziwaczy widok przedstawiać muszą skryci za goglami i pod kaskami naukowcy.

- Wszystko w porządku, myr Wyrra - naprawdę! To tylko normalni ludzie uzbrojeni w osłony antyradiacyjne. Myr Yule, doktorze Hiner! Zechciejcie zdjąć na jeden minim okulary i hełmy.

Wyrra nigdy dotąd ich nie widział i wystraszył się.

- Oczywiście. Proszę, niech mu pan pokaże.

Obaj zdejmują ekwipunek, który stał się powodem zamieszania, odsłaniając uśmiechnięte twarze, choć Kip zauważa, że uśmiech Hinera wydaje się dziwnie napięty i że akwamanin zaraz cofa się

za Yule'a. Bogowie, czy to możliwe, by postrzegał Wyrre i Nyil jako owady?

Księżę Pao zdążył już podbiec do nich; chwytając kask i gogle, po czym przynosi je Kipowi. Nyil wierci się w ramionach ojca, by przyjrzeć się Pao. Ten uśmiecha się i kiwa do niej palcem, podczas gdy Kip wyjaśnia.

- Wasz lud nosił coś podobnego, kiedy musiał wyjść ze schronienia podczas pierwszego, szkodliwego przejścia gwiazdy. Istnieją też grube kombinezony, osłaniające całe ciało, oraz płaszcz, chroniący skrzydła, tyle że nie można w nim latać. Musiałeś być wówczas zbyt młody, by to pamiętać, myr Wyrre.

- Hmm, tak. - Ze skrzydeł Wyrre odpływa napięcie, gdy bierze w dłoń kask. Nyil chwytając za gogle i przykładając je do oczu. Rozglądając się dookoła, krzywi się niemiłosiernie i chichocze. Wyrre pozwala jej się wyslizgnąć, więc staje na zwieńczeniu parapetu obok niego, lecz jego dłoń wciąż spoczywa na jej ramieniu.

- Dlaczego ci ludzie są tak ubrani? Powiedziano nam, że gwiazda nie jest niebezpieczna.

- Bo nie jest. Czy sądzisz, że narażę myr Córy na niebezpieczeństwo? Tylko że... - Kip po prostu nie ma ochoty dyskutować dzisiaj o akwamanach; może bogowie prawdy wybaczą mu, jeśli przyklei Hinerowi tę samą etykietkę, co Yule'owi. - Ci dwaj przypadkowo otrzymali niebezpieczną dawkę tuż przed przyjazdem do nas, a ich doktor polecił im nosić odzienie ochronne, by ponownie nie narażać ich na promieniowanie, nieważne, jak sta-

be, zanim nie otrzymają leczniczych zastrzyków. Prawdę mówiąc, powinniśmy niezwłocznie im je oddać, jeżeli jesteś już przekonany o ich nieszkodliwości. To niezwykle uprzejme z ich strony, że wystawiają na szwank swe zdrowie, by cię uspokoić.

- Stokrotne dzięki, w imieniu nas obojga. - Dameii pospiesznie oddają sprzęt Pao, on zaś szybko wraca pod zadaszenie. Wyrra wykonuje formalny ukłon w stronę Yule'a i Hinera, gest nieskazitelnie piękny, długie skrzydła krzyżują mu się na plecach.

Nyil naśladuje go najlepiej, jak potrafi, ograniczana uściskiem ojca.

- Puść mnie proszę, ojczy - skarży się w damei.- Jesteś większym zagrożeniem od stu gogli i kasków.

Wyrra uśmiecha się w końcu i uwalnia ją. Nyil biegnie po zwieńczeniu parapetu do Córy, jej małe, krótkie, złote skrzydła prostują się w podnieceniu. Córy siedzi za konsolą, jej głowa znajduje się niemalże na wysokości głowy Nyil, która teraz wyciąga małą rączkę.

- Dobry wieczór, myr Córy - mówi po galaktycku z doskonałym akcentem. - Mniemam, że czujesz się dobrze? Córy przyjmuje jej dłoń, jak gdyby był to płatek kwiatu.

- Owszem, dziękuję, myr Nyil, ufam, iż ty i twoja rodzina także cieszy się dobrym zdrowiem. To bardzo uprzejme ze strony twego ojca, że zdecydował się odwiedzić nas dziś wieczór.

A cóż za radość urzeć tu również ciebie! Czy twoi przyjaciele mówią ci, że z każdym dniem stajesz się coraz większa? Wkrótce naprawdę będziemy musieli zwracać się do ciebie myr Nyil.

Dziecko wzdycha żałośnie.

- Według mnie to bardzo powolne.

Córy chichocze.

- Tak, pamiętam, że i ja tak sądziłam. Robiłaś dziś coś interesującego w szkole, myr Nyil?

- Owszem, było przyjemnie, dziękuję - przerabialiśmy liczby.

W tym momencie staranna wyniosłość Nyil sypie się w drobny mak. Perełki niesfornego, zaraźliwego śmiechu, muzykalne niczym stado rozśpiewanych ptaków, rozsypują się na ciemnym tarasie, wtórują im pozostali, nie wiedząc, z czego się śmieją, ale nie potrafiąc się temu oprzeć. W środku tego zamieszania Nyil udaje się zapytać ojca o coś w damie.

Usta Wyrry drgają, gdy zwraca się do Córy:

- Moja córka pragnie usłyszeć szczerze, czy poprawnie przeprowadziła tę rozmowę.

- Wręcz nieskazitelnie - odpowiada Córy. - Będzie ci trudno dotrzymać kroku - avrew loren mori na peer - twemu inteligentnemu dziecku.

- Jej akcent byłby godny pochwały niezależnie od wieku -•  
dodaje Kip.

- Dziękuję wam, myr Córy i myr Kip. To uczyni ją bardzo szczęśliwą. Bardzo nad tym pracuje, jak wiecie.

Tymczasem Nyil poważnieje, przypatrując się światelkom i przełącznikom konsoli.

- Kiedy będę większa, zamierzam dowiedzieć się wszystkie-

go o takich urządzeniach - oznajmia. - Wszystkiego. Co to za światełko się właśnie zapaliło? To wielkie czerwone - czy ono coś ci mówi?

- Przypomina mi, że mam je wyzerować. - Córy żałuje, że dziecko nie zainteresowało się czymś innym. Ścisza głos. - Jeżeli go nie wyzeruję, będzie to oznaczało, że mamy prawdziwe kłopoty - na przykład, gdyby trafił nas wszystkich piorun albo gdyby wydarzyło się coś bardzo niedobrego - więc jeśli nie zostanie wyzerowane, Patrol automatycznie natychmiast wyśle okręt z żołnierzami, lekarzami i tak dalej, by sprawdzili, co się dzieje. Nazywamy to "alarmem martwej ręki"; ciekawe, czy zgadniesz dlaczego. Prawie każda odległa placówka ma coś takiego.

- Martwej ręki? - Uwielbia zagadki. - Och, pomyślę nad tym.

- Ja zaś myślę - odzywa się doktor Baramji, który stoi teraz obok nich - że nigdy nie otrzymam uścisku dłoni, ani nawet uśmiechu od tej młodej damy, chyba że przyjdę i poproszę.

- Och, doktorze Bram, szłam, by się z panem przywitać, naprawdę, już byłam w drodze. - Nyil wyciąga swą delikatną dłoń, podczas gdy małe skrzydła unoszą się do góry. - Dobry wieczór, drogi doktorze. Tak bardzo się cieszę, że pana widzę.

Baramji ujmuje jej dłoń, ledwie co zamykając wokół niej palce, i przechodzi na kulawy damei.

- I ja bardzo, bardzo się cieszę, że cię widzę, myr Nyil, i że wyglądasz tak dobrze. Powiedz mi, jak miewa się twój ojciec?

Gramatyka w wykonaniu Barama jest niezgorsza, lecz wymowa

godna pożałowania. Jako lekarz polega głównie na empatii i doskonałej znajomości języka gestów.

- Ojciec ma się dobrze, jak myślę. To dobrze, że odłączyłeś się od pozostałych, gdyż teraz może sam ci o tym powiedzieć. Nie lubi stykać się z nowymi ludźmi, w przeciwieństwie do mnie. Idź do niego, proszę.

Zeskakuje z parapetu i podbiega do Kipa, który usuwa się na bok, by Wyrri i Baram mogli do siebie podejść. Skrzydła Wyrri strzelają w górę, dygocząc tak, że ciskają na boki tęczowe blaski, podczas gdy on zmusza się do zrobienia kroku ku Baramjemu. Wymieniają zwięzły uścisk dłoni.

- Myr Wyrri - mówi Baram w swym koślawym damci. -

W sprawie twego zdrowia. Przejdźmy tam - wskazuje wolną przestrzeń między konsolą a parapetem - tak byśmy mogli pomówić na osobności.

- Oczywiście.

Kiedy znajdują się w oddaleniu od pozostałych, przy balustradzie, Kip dostrzega, że Wyrri zauważalnie się odpręża.

Baramji i Wyrri oglądają zrekonstruowane skrzydło. Potem Baram przechodzi za plecy Damei i wspina się na odwróconą dnem do góry donicę, skąd zaczyna starannie obmacywać skrzydło, od podstawy po jego końce.

Zerkając w górę, Kip widzi, że poza kręgiem światła tarasu niebo nic nie straciło na swym pięknie. Przeszło teraz w intensywne, hipnotyczne fiolety, błękity i zielenie. Lecz jako obiekt



zainteresowania przegrywa całkowicie z ich gośćmi, na których spoczywają wszystkie spojrzenia.

Właśnie wtedy czuje lekkie pociągnięcie za ramię. Mała Nyil nieustraszenie ciągnie go ku ścianie motelu.

Rozbawiony i zachwycony pozwala się prowadzić, wpierw obok Damy i łóżka, i dalej ku Linnix. Damę Nyil obdarza nienagannym ukłonem i wymruczanym "dobry wieczór". Długie, poważne spojrzenie Nyil posyła pacjentce na łóżku i widocznej spod niego części sprzętu medycznego. Linnix mija z kolejnym szybkim ukłonem i pozdrowieniem - a potem Kip spostrzega, dokąd go wiedzie. Wprost za zasłony do Zanneza.

Ociąga się przez moment, lecz ponaglające szarpnięcie przekonuje go, że obowiązki płynące z bycia opiekunem małej Damei przekraczają zakreślone Kodem granice.

Kiedy mijają zasłony, wydaje mu się, że zewsząd lśnią nagie ciała. Stara się nie patrzeć, zabójcza naga piękność, całkowicie nie spełniająca swej roli strzęp koronki - Bridey? - odciska mu się trwale w pamięci.

- Powiedz imiona, proszę.

Kip dochodzi do siebie i widzi, że skrzydła Nyil sterczą prosto, uniesione podnieceniem, płynącym z nowej przygody. Skoro tylko Nyil ma okazję przyjrzeć się z bliska lśniącej tysinie Zanneza, monokłowi i wielkiemu, ciemnemu oku kamery obracającemu się prosto ku niej, Kip wyczuwa narastające drżenie ściskającej jego ramię dłoni. Na szczęście w tym samym momencie Zannez przy-

klęka na jedno kolano, by zrobić ujęcie z przodu, a w tej pozycji wygląda znacznie mniej imponująco. Czworo młodych aktorów, nagle przyodzianych w krótkie czarne szlafroki z czerwonym napisem "APK", ma dosyć taktu, by nie podchodzić zbyt blisko.

- Zannez! Szybko, przestań filmować, wyjmij monokl i nie wstawaj. Straszysz ją.

Kamerzysta pospiesznie wykonuje jego polecenia; drżenie ustaje.

- Myr Nyil, przedstawiam ci myr Zanneza. To doświadczony filmowiec, który przebył długą drogę, by utrwalić obraz twego świata i gwiazdy.

- Poznać cię, myr Nyil, to przyjemność i zaszczyt. Nie powiedziano nam, że twój lud i twój świat są tak piękne. Widzisz, my naprawdę jesteśmy z bardzo odległego miejsca.

Nyil wydaje się znużona wymianą uprzejmości i ludzkimi sprawami. Zerka na czwórkę aktorów, którzy siedzą po turecku parę metrów przed nią, lecz chyba nie ma ochoty na bliższe kontakty.

Powiada tylko:

- Chciałabym zobaczyć twoje obrazy ukazujące ojca i mnie.

- Zobaczysz - zapewnia ją Zannez. - Kippo, wytłumacz, że na przetworzenie taśmy potrzeba czasu, a jej wyświetlenie wymaga odpowiedniego sprzętu. Zamierzamy urządzić tu pokaz jutro wieczorem, jeśli pozwoli na to promieniowanie gwiazdy. I powiedz jej, że są naturalnej wielkości, kolorowe i z dźwiękiem.

Kip wydaje z siebie serię dźwięków w damci, dodając, że dla niej i jej rodziny mogą zorganizować prywatny pokaz, jeżeli tego zechcą.

- Ostatnim odgłosem, jaki usłyszysz, będą moje słowa, gdy prosić będę Zanneza o przerwanie filmowania. Chciałabyś teraz, by nagrał twoje pozdrowienia dla rodziców? To byłaby przyjemna niespodzianka na zakończenie waszego prywatnego pokazu.

- To zapisuje w damei?

- Och, tak. Stój, jak teraz, i powiedz "witaj Mamo" albo cokolwiek, co tylko chcesz.

- Hmmm. Tak. Czuję się zmęczona, ale to zrobię.

Kip tłumaczy Zannezowi, czego chcą, i minim czy dwa później nagranie jest zakończone.

- Powiedz jej, że jutro nauczę ją filmować samodzielnie, jeśli tylko zechce.

Nyil przerywa jednak przemowę Kipa, pytając Zanneza po galaktycku:

- Dlaczego nie masz włosów?

Zannez wybucha śmiechem.

- W moim świecie wszyscy pragniemy wyglądać odmiennie od pozostałych. Dlatego ja krótko przycinam włosy. Pomacaj. - Podstawia głowę pod jej puchowy dotyk.

Nyil nie jest jeszcze aż tak zmęczona, by nie zachichotać, głaszcząc jego kłującą czaszkę.

- Dziękuję. Teraz pójdę już.

- Dziękujemy za wizytę, myr Nyil.

Rozlega się przytakujący pomruk od strony kręgu obserwatorów. Nyil kiwa im uprzejmie głową, a potem wraz z Kipem wy-

chodzi z odgradzonego zasłonami terenu.

Wszyscy wydają się patrzeć na nich, nawet ser Vovoka, stojący samotnie i w milczeniu za Córy. W wielkich oczach Wyrry maluje się coś dzikiego i intensywnego. Kip zgaduje, że jest rozdarty między chęcią podążenia za córką a obawą przed zbliżeniem się do ludzi - a jeśli wzbije się w powietrze, by przelecieć nad nimi, dozna upokorzenia przez swe niesprawne skrzydło. Prawdopodobnie wrócili w samą porę, by zapobiec niezręcznej scenie.

Nyil puszcza jego rękę i biegnie do ojca, nie zwracając uwagi na mijanych ludzi. Wyrra podnosi ją, ściska i potrząsa mocno.

- Ojczy! Zrobiłam niespodziankę dla matki i dla ciebie!

Wyrra mówi coś szybko i cicho w damie, a potem stawia ją na parapecie.

Zza pleców Kipa na powrót dobiega szmer kamer Żanneza. Kip unika markizy, przechodząc obok Linnix i Ochtera; oboje są rozpromienieni. Krzesła za Ochterem znów są puste.

- A ci dwaj po co teraz poszli? Kolczugi? - pyta Ochtera.

- Nowy film do aparatu. - Mały profesor wzdycha komicznie. - I przegapili najlepsze ujęcia. Czyż to nie było absolutnie urocze? To jego jedyne dziecko?

- Tak, jak dotychczas. Rodziny Dameii nie są liczne.

Przyłącza się do grupy przy konsoli w samą porę, by usłyszeć, jak Córy przekazuje w ich imieniu pozdrowienia dla Juiyn, partnerki Wyrry.

- Dobrze się czuje? A może udała się na towarzyskie spotkanie

z innymi Dameii, zostawiając męża i dziecko na pastwę potworów?

Przerywa jej ogłuszający łoskot wielkich, pokrytych ciemnym futrem skrzydeł. Samica Damei przysiada na parapecie za Wyrę, niewyraźna sylwetka na tle jaskrawozielonego nieba. Jej włosy i ubranie są identyczne jak u męża, tyle że ciemniejsze i prostsze. Pod mglistym odzieniem rysuje się coś, co kształtem przypomina strome, dziewicze piersi, lecz Kip wie, że to jedynie złożone fałdy jej owiceptora.

- Juiyn je-est tutaj - oznajmia ze śmiechem, choć skrzydła trzyma uniesione na kształt efektownego łuku. Ludzie zdają sobie teraz sprawę, że nie uświadamiali sobie prawdziwych rozmiarów samicy Damei o całkowicie rozpostartych skrzydłach.

- Witaj, myr Juiyn! - mówią razem Kip i Córy. - Twoje przybycie sprawiło nam wiele radości - Kip dodaje formalne powitanie w damei.

- Wi-tejcie - odpowiada Juiyn. Jej galaktycki jest oczywiście nieskomplikowany w porównaniu z resztą rodziny. Mówi do męża kilka szybkich zdań w damei. Potem jej długie ramię opada w dół, podając dłoń Córy.

- Do-bry wi-czór, myr Corree.

Córy szybko i delikatnie ściska jej dłoń.

Juiyn powtarza ten sam gest wobec Kipa i dodaje stanowczo:

- Już my-ślę teraz do-widzenia. Ukłony.

Wyrę kłania się wszystkim i oboje dorośli ruszają pieszo w stronę domu. Juiyn kroczy po tarasie obok Wyrę, idącego po zwieńczeniu

parapetu. Mała Nyil zwleka jeszcze, by wymienić formalny uścisk ręki z Korsami i Baramjim, mimo naglących nawoływań matki. Gdy w końcu podrywa się do lotu nad głowami rodziców, Kip i pozostali widzą, jak Wyrri łapie ją za stopę i bezceremonialnie ściąga na ziemię. Stawia ją na parapecie, chcąc, by szła obok niego.

- Obawiam się, że Nyil okryła się wstydem. Widziałaś, jak mnie porwała?

- Niezłe z niej ziółko. - Córy chichocze. - Pomyślmy, lepiej będzie, jeśli przez chwilę zostawię oświetlenie tarasu włączone. Mam nadzieję, że nikomu to nie przeszkadza?

Tuzin głosów zapewnia ją, że tak jest w istocie.

- Mam nadzieję, że Hiner i Yule pamiętają, by za bardzo nie hałasować - mówi Kip zatroskanym tonem. - Chyba skoczę do nich i sprawdzę.

Rusza i raz jeszcze zatrzymują go głębokie cienie drzew. Tam czeka na pojawienie się daleko w przedzie światła latarki Wyrri, złożąc się na siebie za to, że sam o tym nie pomyślał. Zostawił ją do naładowania w warsztacie razem z trzema sztukami broni ręcznej, po sprawdzeniu celowników. Powinien też naładować latarkę Wyrri. Albo jeszcze lepiej nauczyć go, jak to się robi.

W pokoju na końcu skrzydła jest cicho, słychać jedynie szepty i postukiwanie torby podróżnej o vitrex. W końcu żółte światło Wyrri skręca za budynek i znika za motelem.

Kip wraca, ciesząc się wspaniałą zieloną poświatą na niebie i lśniącymi, fioletowo-niebieskimi płachtami zorzy, zdającymi się

falować tuż nad swymi odbiciami w jeziorze.

- Wszystko w porządku - oznajmia, zbliżając się do grupy turystów. - Można przyciemnić oświetlenie tarasu.

Kiedy gaśnie sztuczna poświata, niebiańskie efekty dziesięciokrotnie przybierają na intensywności; Kip jest przekonany, że wkrótce będzie mógł bez obaw poruszać się przy ich świetle. Słyszony podniecony głos Zanneza; kamerzysta wydaje się wyładowywać od dawna tłumione uczucia:

- Absolutnie przepiękne, myr Córy! Doskonałe, niewiarygodne! Popołudnie było takie wspaniałe, że myślałem, że nic tego nie przebije, a tu ta gwiazda - ech! - a teraz odwiedza nas dwoje skrzydlatych ludzi, i ta dziewczynka! Obca czy ludzka, była najcudowniejszą dziewczynką, jaka kiedykolwiek stanęła przed obiektywem. Przy niej Leila Carlea, boska nimfetka, wygląda jak lump spod ciemnej gwiazdy. I jej zachowanie, głos - och, dzieciaki, co to był za widok, przynajmniej. O co się założyście, że federalni będą oblegani przez wszystkich idiotów Gridworldu, pragnących tu przylecieć i podpisać z nią kontrakt?

Wśród śmiechu Starcem pyta z niepokojem w głosie:

- Nie pozwolą im, prawda, myr Córy? No, wie pani, oni mają tyle pieniędzy...

- W żaden sposób - odpowiada zdecydowanie Córy. Kip, zajmując stanowisko przy konsoli, popiera ją bez wahania.

- Nie zapominaj, że już przedtem z powodu Damiema machano im przed nosem furą pieniędzy. Nie wspominając już o nie-

przyjemnych pogroźkach natury osobistej. To również na nic się nie zdało. Doszło do paru tragedii, ale dzięki dowodom zebranych na Damiemie udało się zlikwidować największą siatkę przestępczą w historii planet wewnętrznych. Zakładam, że wasi przyjaciele z Gridworldu potrafią zrozumieć słowo "nie".

- Rozumiem, że spotkał nas nie lada zaszczyt - stwierdza trzeźwo Zannez.

- Owszem. - Córy potrząsa w zadziwieniu głową. - Za nic w świecie nie spodziewałam się, że przyjdą. A ty, Kip?

- E-e. Według Wyrry pomysł należał do Nyil. Wygląda na to, że ma duży wpływ na ojca. Cóż! Czy mogę komuś coś przynieść? Więcej jedzenia, drinka?

- Po prostu wspaniała - mówi rozmarzona Linnix, wciąż rozmyślając o Dameii. - Ta mała Nyil. Wciąż myślę o twojej opowieści, Kip. Oni torturowali dzieci takie jak Nyil. Jak ludzie mogli być tacy... tacy bestialscy, tacy... - Głos łamie się jej nagle.

Baramji pochyła się nad nią, unosi w górę jej podbródek.

- Linnie, nie, to już odległa przeszłość. Pomyśl, jacy cudowni są teraz, ciesz się tym.

Spogląda na niego z wdzięcznością, z wysiłkiem zdobywa się na uśmiech.

- Tak. Ale nie można dopuścić do tego, by zdarzyło się to ponownie. Nigdy, nigdy!

- Nie zdarzy się - zapewnia ją pogodnie Kip. - Po to tu jesteśmy. A teraz kto co sobie życzy?



X

Nowa minus 2 godziny:

Doktor Ochter raportuje

- Och, bogowie! - Doktor Ochter z trudem podrywa się z fotela. - To było takie cudowne, że prawie zapomniałem! Przywiozłem ze sobą drobny gościnniec, na wypadek gdyby strażnicy Dameiema okazali się tak łaskawi, jak niosła wieść. Mówi się o was w wielu miejscach, powiadam wam. - Promieniejąc uśmiechem, kłania się lekko Korsom i Baramowi. - O ile myr Córy się zgodzi; sądziłem, że nadałby się do wzniesienia toastu za naszą pomyślność podczas oczekiwania na gwiazdę.

- Jak cudownie, uroczonie - wykrzykuje Córy. - Cóż to może być? Jeśli chodzi o czas, sonda przewiduje co najmniej dziewięćdziesiąt minimów.

- Ćśśś! - Kip unosi dłoń, wskazując na mroczną część tarasu, tam gdzie zniknęli Dameii. Wszyscy nasłuchują usilnie.

- Słyszałaś to, Cór?

Powoli kiwa głową.

- Myślałam, że to Wyrra startuje. Ale - dwa razy?

- Mnie zdawało się, że słyszę bardzo cichy głos - wtrąca zza zasłony Starcem, przypatrująca się wszystkiemu wraz z towarzyszącymi. - Jakby nawoływanie albo okrzyk. Żadnych słów. To prawda, że oni nie potrafią wydawać głośniejszych dźwięków?

- Och, bogowie! Myślisz, że Wyrra spadł na ziemię?

- Idź sprawdź - sugeruje Córy.

Kip ociąga się.

- Jeżeli rzeczywiście upadł i nie było to nic poważnego, ostatnią rzeczą, jakiej pragną, jest człowiek, wtykający nos w ich sprawy. A jeśli to coś poważnego, Juiyn albo Nyil przylecą po Brama.

- Słuchajcie - odzywa się Ochter -ja tak czy owak, muszę pójść do pokoju, a w ciemności widzę całkiem dobrze. Może wyjrzę pod arkadę i rozejrzę się uważnie, zanim zapalę światło? Nie będą wcale wiedzieć, że tam jestem. Jeżeli zobaczę cokolwiek nie-zwykłego, natychmiast wam o tym zaraportuję.

- Och, bardzo dziękujemy!

- To dobry plan, byle tylko nie przeciążyć pańskiej nogi - mówi Kip. - Odprowadzę pana.

- Nie trzeba, nie trzeba. - Ochter kłania się im, a potem kuśtyka, z zaskakującą prędkością, przez mroczny taras w stronę swego pokoju.

Gdy jego nierówne kroki cichną w oddali, księżę Pao podchodzi do konsoli.

- Pamiętajcie o tym statku Patrolu, który ma być na orbicie?

Widziałem go! Przez teleskop, kiedy zrobiło się naprawdę ciemno.

Przyszedłem, żeby to właśnie wam powiedzieć.

- Ty... co? - pyta Kip.

- Widziałem wasz statek! - powtarza zniecierpliwiony Pao.

- Statek Patrolu, o którym mówiliście, że krąży na orbicie. Nie szukałem go, po prostu trafił mi w obiektyw.

- Ale... - Córy przerywa, spoglądając na Kipa; ten przypomina sobie, jak powiedział jej, że Dayan zamierzał przesunąć Rimshota bliżej nowego satelity komunikacyjnego.

- W której części nieba go zobaczyłeś? - pyta chłopca.

Pao wskazuje na południowy wschód.

- Tuż nad horyzontem był pas czystego nieba.

- Co nasunęło ci myśl, że to krążownik Patrolu? - pyta go Córy.

- Cóż, to oczywiste - zaczyna raczej wyniośle Pao. Potem dociera do niego malująca się na twarzach Korsów powaga i jego zachowanie ulega błyskawicznej zmianie. - Tylko domysły - odpowiada uważnie. - Wiedząc, że statek Patrolu jest w pobliżu, kiedy ujrzałem coś, co wyglądało jak statek, sam dopowiedziałem sobie resztę. Czy mogę zapytać, skąd to zainteresowanie?

- To nie jest normalna orbita Patrolu - informuje go Córy.

- A tutaj na Obrzeżu ruch nie jest tak gęsty, jak w Fed-Centrali.

Statki pojawiają się rzadko, bardzo rzadko. Czy to, co zobaczyłeś, mogło być wyrwanym z orbity asteroidem albo satelitą?

Pao zastanawia się.

- Mało prawdopodobne. Kiedy stwierdziłem, że nie potrafię ponownie go odszukać, wprowadziłem moją ocenę jego pozornej jasności i szybkości do komputera teleskopu. Założyłem, że porusza się prostopadle do mojej linii wzroku, z tolerancją piętnaście stopni w obie strony. Och, założyłem też, że świecił światłem odbitym. Zestawienie parametrów wskazało na ciało wielkości statku

. w odległości dwustu tysięcy kilometrów, plus minus pięćdziesiąt.  
Eee, jest stanowczo zbyt duże jak na skałę, ma rozmiary jak sztuczny satelita. Mniejsza zaś odległość oznacza okropnie małą szybkość. Tak więc uznałem, że był to statek. Kierował się na północ, i nawiasem mówiąc; kąt względem horyzontu oceniłem na czterdzieści stopni.

- Dobra robota, księżę.

Kip i Córy patrzą na siebie przez krótką chwilę, podczas gdy ona bierze do ręki mikrofon i uruchamia stary nadajnik. Na jej twarzy pojawia się c-skipowa mina, używając określenia Kipa; zastanawia się, czy ta informacja jest wystarczająco paląca, by usprawiedliwić przygotowania do olbrzymiego wydatku energii wymaganego na przekazanie jej do Bazy przy pomocy c-skipu. Błyskawiczny transfer informacji wymaga, między innymi, schłodzenia anteny do granicznie niskiej temperatury, aby zakłócić lokalną konfigurację pola grawitacyjnego. Dla nich to już nie pierwszy raz.

-- Posłuchaj, Cór. Zmarnujesz połowę zaoszczędzonego czasu na rozruch nadajnika z tego sprzętu. - Wskazuje na starą konsolę.

- A na górze nie chcesz chyba tego robić - zanim antena się schłodzi, gwiazda zdąży wzejść. Nie chcesz chyba wtedy nadawać, co? A ten statek nie ma się tu gdzie zgubić, przynajmniej jeszcze nie przez parę dni. Chyba że dysponuje skipem, a w takim razie to statek oficjalny. Prawdopodobieństwo jest jak sto do zera, że to jakiś palant, który schrzanił skok i sam szuka FedBazy. Pamiętasz Golana?

Córy pochrząkuje; przed laty przesłała c-skipem ostrzeżenie o zaobserwowaniu nie zidentyfikowanego statku - który okazał się oficjalnym gościem, nie zapowiedzianym przez Bazę.

- Nadaj zwykłe przesłanie zaopatrzone w klauzulę pierwszeństwa. Dotrze na miejsce w sto minimów - i niech Baza się zastanawia, czy przekazać to Dayanowi.

Przytakuje głową, ustępując niechętnie.

- Na całe szczęście przeciągnęłam tu łącze głosowe.

Baza Federalna Dziewięćdziesiąt Sześć to wielka, wolno orbitująca skała odległa o jakieś sto minimów świetlnych, wyposażona z przepychem, jak na standardy kosmosu, by zrekompensować załódze nudną służbę na Obrzeżu. Klauzula pierwszeństwa sprawi, że jej wiadomość trafi do dowództwa zaraz po odebraniu - o ile druciki nie grają sobie w ping-ponga. Włącza automatyczny dyktafon, który powtarzać będzie w kółko jej wiadomość, i podkręca nadajnik na maksa, by przebić się przez pole statyczne gwiazdy. Kiedy wskaźnik gotowości zapala się wreszcie na zielono, zaczyna mówić cichym głosem.

Jedynie Bram i Linnix znajdują się w zasięgu głosu. Vovoka jest wyraźnie zaabsorbowany tym co się dzieje, uwaga zaś damy Pardalianches podzielona jest między siostrę a zasłony Zanneza.

Mały księżę Pao obserwuje jej działania rozpalonym spojrzeniem. W pewnej chwili Córy przerywa, by zapytać go o czas obserwacji, a kiedy wznawia nadawanie, Kip przechwytuje słowa "inteligentny amator". Pao kiwa głową, wygląda na zadowolonego.

Przypominając sobie, że zamierzał zaopatrzyć się w latarkę,

Kip przywołuje chłopca do siebie.

- Czy zechciałbyś wyświadczyć nam przysługę, książę? Powinienem być powiedzieć kolejną przysługę?

- Z przyjemnością.

- Wiesz, gdzie znajduje się mój warsztat. Moja latarka jest w ładowarce na tylnej półce i nie powinienem jej tam zostawiać.

Mógłbyś ją przynieść?

- Dwa minimy.

- Hej, poczekaj. Nasze trzy tochari też tam są. Zamierzałem podłączyć jednego do ładowarki dziś po południu. Nie umiesz przypadkiem naładować standardowej broni ręcznej klasy tochari?

- Och, tak. Ale wie pan co, jej tam nie ma.

- Nie ma ich?

- Nie. Myślałem, że to pan ją zabrał. Widziałem broń dziś rano, ale kiedy przed kolacją poszedłem naostrzyć mój scyzoryk - macie tam naprawdę fajną starą osełkę - spostrzegłem, że zniknęła.

Żołądek Kipa wykonuje powolny ślizg w kierunku stóp.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Naturalnie przyjąłem, że to pan.

- Nie, to nie ja. - Kip zmusza się do krzywego uśmiechu.

- To na pewno doktor albo Cór, zakładając, że były naładowane.

Ostatnimi czasy cierpimy tutaj na niewielki brak koordynacji. Ale naprawdę potrzebuję tej latarki, zanim na kogoś nadepnę, gdybyś był tak uprzejmy.

Pao przez cały czas obserwuje go uważnie. Teraz kiwa głową i rusza w stronę salonu.

Córy wyłącza nadajnik i odwraca się do Kipa.

- Biedny Dayan, nigdy mi nie wybaczy, jeśli jego ludzie stracą ten mecz.

- Córy, posłuchaj. Wskutek mojego niedbalstwa i głupoty ktoś zabrał nasze tochary, wszystkie trzy. Zostawiłem je do naładowania w otwartym warsztacie. Pao widział je tam wcześniej, a kiedy znowu tam wszedł wieczorem, już ich nie było. Małe szansę, że to Bram je wziął - sama wiesz. Widzę tylko jedną jaśniejszą stronę tej sytuacji, o ile można tu mówić o jaśniejszych stronach: zapomniałem też podłączyć je do ładowarki, więc są kompletnie wyczerpane. Tak więc ten, kto je zabrał, dysponuje jedynie kawałkami plastyku. Chyba że ma własną magiczną ładowarkę.

Kip cofa się i kryje głowę w dłoniach.

- Och, bogowie, Cór, co mam powiedzieć? Niedbalstwo, zbrodnicze niedbalstwo. Głupota - lenistwo - niechlujność. Ładny mi strażnik Dameii!! - mówi gorzko. - Musisz o tym zameldować, wiesz, Cór? Albo sam to zrobię.

Córy milczy przez kilka oddechów, przetrawiając to w myślach.

- Och, mój kochany - powiada rwącym się głosem. - Och, mój biedny, kochany mężczyzno. - Prostuje się. - Porozmawiamy o tym później. Teraz najważniejsza jest odpowiedź na pytanie kto.

- Hej, hej! - Za ich plecami rozlegają się kulejące kroki doktora Ochtera. - Powracam, niosąc wielkie wieści i drobny prezent.

Kip bierze się w garść i widzi, że mimo pogodnego tonu Och-  
tera jego twarz ściągnięta jest bólem i zmęczeniem; w szmarag-  
dowej poświacie wygląda upiornie. W ramionach ściska wielką,  
dokładnie zawiniętą paczkę oraz torbę podróżną. Kip szybko pod-  
suwa mu fotel.

- Proszę, doktorze, pomogę panu.

Ochter niemalże pada na fotel.

- Dziękuję, dziękuję. Muszę też do czegoś się przyznać, kiedy  
tylko złapię oddech. - Sapie przez chwilę, z wdzięcznością przyj-  
muje od Kipa szklanekę z wodą.

Podczas gdy dochodzi do siebie, pojawia się książę Pao z la-  
tarką.

- Czy jest coś jeszcze, co mógłbym zrobić dla pana i dla myr  
Córy? - pyta cicho chłopiec.

- Trzymaj oczy otwarte, tak jak to robiłeś do tej pory, książę.  
Hmm, właściwie jest jedna rzecz. Jeżeli Córy będzie rozmawiać  
przez nadajnik, a ty zobaczysz, że ktoś najwyraźniej stara się pod-  
słuchiwać, bylibyśmy dozwonnie wdzięczni, gdybyś mógł to prze-  
rwać. Wolno ci robić rzeczy, które mi nie przystoją. - Kip zmusza  
się do uśmiechu.

- Wiem. - Pao odpowiada uśmiechem i przechodzi wzdłuż  
budynku, by zasiąść za Zannezem, skąd obserwować może taras  
po obu stronach zastłony. Kip widzi, jak chłopiec pochyla się  
i uśmiecha aprobująco, niewątpliwie do Starcem.

Kip pragnie powiedzieć Baramjiemu o dziwnym statku i kra-



dzieży broni, lecz doktor Ochter odżył już i zaczyna opowiadać:

- Cóż - wszystko po kolei - zaczyna rzeźkim tonem karszełek. - Po przyjsciu do pokoju nie zapalałem swiatla i udalo mi sie obejrzeć wiekszą czesc arkad i terenu przed nimi. Zadnych Dameii, zadnych ludzi, nic. Od strony wejścia całkiem solidnie dmucha, wiecie; z tej strony tak tego nie czuć. Lecz oprócz wiatru wszystko wydawalo się nieruchome i ciche. Teraz bardziej ufam oczom niż uszom - dodaje przekornie.

- Tak więc, zaryzykowałem otwarcie drzwi i przekradłem się arkadą w stronę pokoju Yule'a i Hinera, trzymając się cienia, dopóki nie minąłem ich drzwi i nie byłem w stanie przyjrzeć się okolicy nadrzewnego domu. Gałęzie się kotysały, ale udało mi się dostrzec rozblyski zielonkawego fosforyzującego swiatla. Wydawalo mi się też, że spostrzegam tam na górze jakiś ruch, i przyglądałem się przez parę minimów, ale to mógł być tylko wiatr.

- Stamtąd widziałem tylko początek parapetu - sami wiecie, że pokoje są w głębi. Tak więc poszedłem za następny róg, skąd widoczny był już cały załom parapetu, znacznie dalej od miejsca gdzie myr Kip stracił z oczu latarkę rodziny Dameii. Nadal nic. Przekonałem się też, że taras jest pusty, oczywiście z wyjątkiem niewielkiego fragmentu bezpośrednio za motelem. Nie widziałem niczego, co mogłoby wskazywać na to, że wasi goście nie dotarli bezpiecznie do domu. Ale co z tymi dźwiękami, które słyszeliście; jak należało je wyjaśnić?

- Nasłuchując z wytężeniem, uchwyciłem stłumione echa ja-

kiegoś zamieszania w pokoju tych dwóch za moimi plecami. Wsze mury są chwalebnie grube; nawet kiedy cichł wiatr, niczego nie byłem w stanie zrozumieć. Lecz kiedy ruszyłem z powrotem ku ich drzwiom, nagle zaczął się nadzwyczajny harmider. Głośne przekleństwa, stuki, łomoty, a także odgłos, jakby jeden z nich jęczał, czy też szlochał na głos.

- Minim później drzwi otwały się gwałtownie tuż przede mną i na dwór wypadł myr Yule, a za nim myr, eee, doktor Hiner, ostro go strofując.

- Rozumiałem jedynie "muszę" albo "musisz", czy też "musimy" oraz "nie mogę" albo też "nie możesz" - bez ładu i składu, w wielkim podnieceniu. Przez otwarte drzwi widziałem olbrzymi bałagan, panujący w ich pokoju, pootwierane torby, porozrzucany sprzęt, zamknięta na siłę walizka z przytrzaśniętymi rzeczami.

- Hiner spostrzegł mnie zaraz po wyjściu; muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie widziałem człowieka naprawdę wywracającego oczy. W następnej chwili zostawił Yule'a i całkiem boleśnie chwycił mnie za ramię, poszarpując mnie i głośnym szeptem to żądając, to błagając, bym "pomógł Yule'owi".

- Początkowo zrozumiałem tylko tyle, że są wystraszeni.

Ochter przerywa, by napić się wody, i wzdycha.

- Wielkie nieba - czym? - pyta Córy. - Znowu coś związanego z owadami? Powinnam do nich pójść. Bram...

Ochter gwałtownie kręci głową, przetykając wodę.

- Nie, proszę poczekać. Czego się bali? Wszystkiego! Oczy-

wiście promieniowania i gwiazdy; ale także i tych uroczych latających liści, kamer myr Zanneza, ser Vovoki i biednej sparaliżowanej damy. Właściwie wszystkiego i wszystkich, nawet Dameii. Zwłaszcza Dameii! Yule ciągle mamrotał o "oczach w powietrzu" i wskakiwał do środka, by sprawdzić, czy drugie drzwi są zamknięte. Tymczasem zdążyłem zauważyć dwie otwarte butelki, a ich oddechy wyczuwalne były nawet mimo wiatru.

- Ale poważną stroną tego idiotyzmu było to, że Yule pragnął sobie zapalić. "Aby ich odpędzić", powiedział. Domyślam się, że jest po prostu nałogowym palaczem, któremu brakuje codziennej porcji nikotyny.

- Hiner powiedział, że położył temu kres, choć, jak sędzę, nie w czas. Skoro tylko o tym wspomniał, między podmuchami wiatru i oparami alkoholu wyczułem lekki zapach dymu. Przyszło mi też do głowy, że to ten epizod mógł wywołać słyszane przez was dźwięki.

- Jestem skłonny w to uwierzyć - mówi Kip. Córy przytakuje. Ochter wzdycha ponownie, sącząc wodę, i dodaje po namyśle:

- Nawiasem mówiąc, choć Hiner powierzchownie zachowywał się normalniej, wyglądało mi to na ten typ pseudokontroli - niewątpliwie spotkaliście się z tym fenomenem - który zaprowadzić może całkiem głęboko w świat iluzji, zanim rozsypie się na całego.

- W trakcie tej szarpaniny wymamrotał coś o szybie prowadzącym do baterii i, jeśli to prawda, może to być coś poważnego.

Ale to może poczekać. - Człowieczek przerywa, by zaczerpnąć tchu, po czym kontynuuje:

- Ciekawa sprawa, zastanawiało mnie to przez cały wieczór.

Ci rzekomo obcy sobie ludzie od niemalże jawnej wrogości przeszli do znacznej zażyłości - jeśli nie całkiem przyjaźni - z zaskakującą prędkością. Sami zaraz zobaczycie - zupełnie jakby odkryli jakąś łączącą ich, niezwykle nagłą potrzebę, która czyni ich osobiste różnice mało znaczącymi.

- Cóż. Aby szybko wytłumaczyć ten bałagan, powiem tylko, że po południu widzieli, jak robię sobie zastrzyk, i wzięli mnie za lekarza. Najpierw Hiner chciał, bym dał im coś - nazwał to, co dziwne, specjalnym zastrzykiem - co uspokoiłoby Yule'a. Potem chciał tego samego i dla siebie. Kiedy się wzdragałem, zaczęli mi grozić. Mieli przyjść tutaj i, cytując: "chrzanić myr Córy", zdemolować ambulatorium, jeżeli im nie pomogę.

Baramji, który podszedł bliżej, by posłuchać, chrząka złowieszczo.

Kip spostrzega to. Ochter jest naprawdę poruszony; źle interpretuje sobie chrząknięcie Baramjiego i pośpiesznie dodaje przeproszająco:

- Tak, oczywiście, powinienem był przyjść po pana, doktorze Baramji, i po myr Kipa. Ale bałem się zostawić tych dwóch bez opieki w takim stanie, a szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy będę mógł. Widzicie, w owej chwili wisieli już na mnie przed moimi drzwiami.

- I teraz muszę się do czegoś przyznać, myr Córy. Przypomniałem sobie, że moja klinika zaopatrzyła mnie w kilka zastrzyków

na wypadek bezsenności. Tak więc zaproponowałem Minerowi dwa, w cudzysłowie, specjalne zastrzyki, pod warunkiem że oddadzą mi cygara Yule'a. Wiecie co, naprawdę mi ulżyło, kiedy się zgodzili.

Uśmiecha się nieśmiało.

Kip prychnął pogardliwie, wyobrażając sobie biednego staruszka opadniętego przez tych dwóch młodych brutalnych. Widzi, że na czole Córy pojawiają się urzędowe zmarszczki: takie rzeczy nie powinny mieć miejsca w jej motelu.

- Aby nadać sprawie pozory autentyczności - ciągnie Och-ter - zdołałem wykonać niepozorny, tajemniczy znak na niektórych strzykawkach, podczas gdy je wyjmowałem. - W jego oczach na powrót pojawił się dawny błysk, zabarwiony przewrotnością, co przekonuje Kipa, że w skrytości ducha ta mała przygoda sprawiła mu wiele przyjemności.

- Co skwapliwie pokazałem Minerowi, by udowodnić mu, że są w istocie "specjalne". Wydawał się tym usatysfakcjonowany.

Oczywiście ja sprawdziłem etykiety - kończy poważnie Och-ter.

- W każdej trzy mililitry dwudziestoprocentowego roztworu wódzianu ambeżyny. Doktor Baramji lepiej ode mnie objaśni wam właściwości tego specyfiku. Zawsze wiedziałem, że to nieszkodliwa substancja, wyjąwszy jej nasenne działanie, ale obawiałem się skutków zmieszania jej z alkoholem.

- Czy zrobiłem coś złego, doktorze?

Baram porusza się. Wszyscy w pobliżu - oprócz Vovoki - są

zafascynowani opowieścią Ochtera, mimo rozwijających się na niebie cudów.

- Żaden kłopot, Ochter. Choć osobiście byłbym bardziej skłonny podać im solidny środek przeczyszczający, poprzedzony solidnym kopem w tyłek. Ale nie, nie zrobił pan nic złego.

- Pański werdykt bardzo mnie cieszy - Ochter wzdycha raz jeszcze, tym razem z ulgą, i zaczyna grzebać po kieszeniach, nie wypuszczając swego pakunku. - Zwłaszcza że zadziało szybciej niż zwykle. Yule rzucił się na łóżko, kiedy tylko wrócili do pokoju, i miał trudności z powiedzeniem Hinerowi, by zamknął za mną drzwi. Hiner zresztą nie zadał sobie nawet tyle trudu. Tak więc - och, niemalże zapomniałem wam to oddać.

Wręcza Kipowi dwie smukłe paczki cygar. Kiedy Kip bierze je do ręki, rozpoznaje swą ulubioną, starą markę z czasów Federacji i czuje krótkotrwałą tęsknotę. Przez moment nie zauważa, że Ochter podaje mu torbę, najwyraźniej chcąc, by i ją zabrał.

- W całym tym zamieszaniu skorzystałem ze sposobności, by je zabezpieczyć - informuje ich Ochter, ścisząc głos. - Może rano wystawicie pokwitowanie? Tak przy okazji, sakwa należy do mnie. Zajrzałem do otwartej torby i uznałem, że jak najszybciej powinny trafić do pańskich rąk. W końcu samo wwieszenie ich tutaj to poważna sprawa. Choć w tym przypadku na pewno nie mieli złych zamiarów.

Skonfundowany Kip zerka do środka. Jego oczy rozszerzają się, na moment wkłada dłoń do torby, a potem przekazuje ją Córy tak

szybko, jak tylko pozwalają mu na to rozdygotane ręce.

Córy nie zagląda do środka, lecz jedynie obmacuje torbę z ciekawieniem, obserwując Kipa. Tylko on słyszy jej ciche westchnienie. Kip kiwa głową.

- Trzy tochari - oznajmia półgłosem.

XI

30 minut do kontaktu:

Królewska eglantyna

Córy oddaje Kipowi torbę, nawet jej nie otwierając.

- Umieść je w bezpiecznym miejscu, Kippo. - Potem zwraca się poważnym tonem do Ochtera: - Myślę, że jesteśmy pana dłużnikami, doktorze. Co do Yule'a i Hinera, chociaż zwykle przeciwna, jestem robieniu innym czegokolwiek bez ich pełnej zgody, w tym wypadku dosłownie sami się o to prosili, prawda? W końcu nie domagali się żadnej konkretnej substancji, nie wymienili żadnej nazwy. Chcieli poczuć się lepiej i jestem pewna, że tak się stało.

Ale czy nie pochorują się o świcie, Bram?

- Jedynie wskutek nadużycia alkoholu - odpowiada Baram.

- Ale tak przy okazji, Cór, czy nie wydaje ci się dziwne, że dwaj podobno zdrowi młodzi ludzie domagają się zastrzyków? Młody ludzki samiec to zwykle mój najbardziej niechętny pacjent, jeśli chodzi o igłę i strzykawkę.

- Jeżeli dobrze pana rozumiem, doktorze - odzywa się Ochter - parę innych drobiazgów zwróciło i moją uwagę. Najpierw

owa dziwnie nagła zażyłość, o której już wspominałem. Potem Hiner nalegał, by własnoręcznie zrobić zastrzyk sobie i Yule'owi, i odprawił przy tej okazji cały rytuał. Do tego obrócił się tak, bym nie mógł ujrzeć ich ramion. Ale wszystko to pozostaje jedynie w sferze zawistnych przypuszczeń. Wolę, żeby już tak pozostało.

- Chyba że nie jest to koniec tej sprawy - odpowiada z namysłem Córy. Myśli, że przecucie Zanneza być może miało oparcie na solidnej podstawie - jeśli ci dwaj okażą się narkomanami, a na domiar złego złodziejami broni. Do czego potrzebowali pistoletów? Włamanie do ambulatorium Barama wydaje się bardziej prawdopodobne od polowania na "Gwiezdne łzy". - Bram, przyjacielu, lepiej będzie, jeżeli przedsięwzięmiesz pewne środki zapobiegawcze. Pamiętasz plan, jaki sobie przygotowaliśmy, kiedy Daryan zrobił nam szkolenie?

- Och, niech to diabli - marudzi Baramji. - Masz rację, Cór, oczywiście. Ufff, ale nie ma się co spieszyć, dawki, jakie zaaplikowali sobie ci młodzieńcy, powinny utrzymać ich z dala od kłopotów przez dłuższy czas. Mogę to zrobić rano. A może mają własne zapasy, których nie mogli znaleźć w zamieszaniu, może to tego szukał Hiner? Na razie powinniśmy o tym zapomnieć i cieszyć się gwiazdą. - Odwraca się do Linnix, która uprzejmie ignorowała całą rozmowę. - Och, spójrzcie, jak się zmieniła w trakcie rozmowy.

- Czyli zostało mi wybaczone? - Ochter pyta Córy.

- W rzeczy samej, doktorze Ochter, i stokrotne dzięki.



Rozpromienia się.

- Ale ja nigdy sobie nie wybaczę, jeżeli nie ofiaruję pani tego drobnego prezentu przed wschodem gwiazdy. - Dźwiga się z fotela i eleganckim gestem wręcza Córy dużą, zawiniętą w papier paczkę. - Mam nadzieję, że sprawi to pani przyjemność.

- Och, dziękuję! Ale doktorze Ochter, nie musiał pan. - Siedzi uśmiechnięta, jak mała dziewczynka, dosyć bezradnie ściskając nieporęczny podarunek. - Kip, kochanie! Czy zechciałbyś? Nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze, że on to rozpakuje?

- W żadnym wypadku. Że też nie pomyślałem!

Kip porzuca rozmyślenia i stwierdza, że ściska torbę podróżną tak mocno, że aż boli go dłoń. Krótką chwilę zajmuje mu zrozumienie tego, o co prosi go Córy.

- Nie ma sprawy. O, położę to na konsoli, tak byś mogła mieć to na oku, kochanie. A teraz zobaczmy...

W tejże chwili światła za zasłonami Zanneza gasną, wychodzi zza nich sam kamerzysta, ten jeden raz bez kamery. Osusza swą lśniąca czaszkę, monokl zwisa mu u boku, biały strój lekarza jest poplamiony i wygnieciony, wygląda na skonanego.

- Ufff! Czy możemy powrócić do cywilizacji, myr Córy?

Mam na kasetach wszystko, czego nam trzeba, i jeszcze trochę, a automaty same poradzą sobie z filmowaniem nieba. Powiedziałem dzieciakom, żeby poubierały się przyzwoicie i też tu przyszły. Zgoda?

- W rzeczy samej, myr Zannez. Proszę się rozgościć. Może

ma pan ochotę coś przekąsić? Albo pańscy aktorzy? - Wyciągnięte w uśmiechu wargi drżą lekko, gdy spostrzega kontrast między swymi formalnymi słowami a "aktorstwem", które musiało ich tak zmęczyć.

Zannez wyczerpany macha ręką i wskakuje na najbliższy fotel.

- Och, dziękuję, wystarczy, jeśli pokaże pani Hanny, gdzie jest pojemnik z jedzeniem, hmm, po zastanowieniu wydaje mi się, że Bridey będzie bezpieczniejszym wyborem. Marzę o odrobinie laanguy, ale tak naprawdę chciałbym popatrzeć na to niebo inaczej niż przez obiektyw. Och! Hej, dzieciaki! - woła - na miłość boską uważajcie na te artefakty! Nie próbujcie ich przenosić, zostawimy zasłony, tak jak są, to powinno być wystarczającym zabezpieczeniem. Słyszycie?

Za barierą rozlega się chóralne przytakiwanie.

Kip widzi, jak księżę Pao rozkłada dwie połyskujące, delikatne szaty, jedną srebrną, drugą złotą, które udało mu się gdzieś zachomikować. Chłopiec ostatni przebiega po nich krytycznym wzrokiem, a potem znika z nimi za przegrodą.

Przy parapecie dama Pardalianches wciąż jeszcze podgląda przez swoją szparę. Nagle prostuje się, wydaje z siebie cichy pisk, jej oczy otwierają się szeroko. Zannez zauważył ją i mruga znacząco do Kipa. Potem woła ostro:

- Snake!

- Tak, szefie - słyszy głos Snake'a. '

- Uspokój się - albo cię wytnę.

- Rozkaz, szefie!

Dama odwraca się i energicznie zabiera się za rozmasowywanie ramion i dłoni swej nieprzytomnej bliźniaczki. Jej twarz jest uważalnie zaczerwieniona.

Na boku Zannez zwraca się do Baramjiego:

- Proszę mi jutro przypomnieć, by Snake pokazał panu, skąd wzięło się jego imię. To coś wartego opisanie w encyklopedii. -

Chichocze, osuszając głowę i kark; potem zerka nieobecny wzrokiem na chustkę - purpurowy pas od pończoch - i wypycha ją do kieszeni.

Tymczasem Kip poradził już sobie z zewnętrzną warstwą opakowania na prezencie Ochtera. Teraz widać, że jest to duża butelka o wysmukłej szyjce, do której przymocowana jest mała paczuszka. Kip ostrożnie odczepia ją i odkłada na bok, a potem rozcina kosztującą krocie wewnętrzną warstwę, utrzymującą stałą temperaturę i zabezpieczającą przed wstrząsami. Pracuje coraz uważniej, od czasu do czasu spoglądając z ciekawością na Ochtera.

- Bogowie słońca!

Rozwijają się ostatnie warstwy, odsłaniając okazałą, kanciastą butelkę, ozdobioną wyszukаныmi napisami i zapieczętowaną złotem. Jej zawartość połyskuje głęboką purpurą w przemieszonym szmaragdowo-turkusowym blasku nieba. Zannez, Baram i Linnix wpatrują się jak urzeczeni; Córy i czworo młodych aktorów, którzy właśnie dołączają do reszty, przeskakują pytającym wzrokiem od królewskiej butelki do swych towarzyszy.

- Jeżeli to jest to, co... - zaczyna Kip i zaraz przerywa, by zwrócić się do damy. - Damo Pardalianches, pochodzi pani z Krańca Tęczy - czy aby nie wygląda to pani znajomo? Tam chyba się to produkuje?

Dama podnosi wzrok.

- Ależ tak, to zwykła eglantyna, nieprawdaż? Albo nielegalna podróbka, tyle ich teraz wszędzie. Och, doktorze Bram, jej mięśnie wydają się dzisiaj takie, takie inne.

Książę Pao staje za plecami Kipa i przygląda się butelce.

- To nie podróbka - stwierdza. - My wiele tego pijamy.

Widzicie te cyfry na pieczęci Federalnego Monopolu Spirytusowego? Tak czy owak, zapach prawdę nam powie, jak głosi stara maksyma. Jego nie sposób podrobić.

- Raz to wahałam - oznajmia dumnie Starcem. Wygląda niemalże olśniewająco, cudowne dziecko księżycy w przyniesionej przez Pao szacie ze srebrzystej koronki, idealnie harmonizującej z jej naturalnie platynowymi włosami. Bridey, skulona na parapacie i wymachująca jedną wspaniałą nogą, to dziecko słońca w efektownej złotej koronce. Ale ser Vovoka, stojący za nimi, zwraca uwagę wyłącznie na niebo.

- Ja tam ledwie co słyszałam o eglantynie. - Bridey uśmiecha się ciepło do Starcem. - To dużo mówi o pochodzeniu moich przyjaciół.

- Ależ doktorze Ochter - zaczyna Córy, lecz jej słowa zagłusza Zannez, piorunujący wzrokiem damę.

- Zwykła eglantyna, co? Zwykła królewska eglantyna - warta zaledwie swoją wagę w zeranavethach, zgadza się? Pensja kameryzysty nie starcza na "zwykłą eglantynę". Ale próbowałem jej parokrotnie u koryta bogatych - o rany!

- Pensja federalna także nie starcza - przytakuje Kip. - Ale rozpoznać ją potrafię. Zwykła eglantyna - o rany.

Skryci w cieniu Linnix i Baramji przytakują jednym głosem.

- Ani nawet pensje akademickie - promienieje Ochter. - Nigdy ani jej nie próbowałem, ani nie wąchałem; w rzeczy samej nigdy o niej nawet nie słyszałem, dopóki moi-studenci nie podarowali mi jej, kiedy odchodziłem na emeryturę. Nie wiedziałem, co z nią począć, dopóki przyjaciel nie zaoferował się, że przechowa ją w swej piwnicy z winem. Kiedy zdecydowałem się na tę podróż i usłyszałem o was, zainteresowałem się tą sprawą i dowiedziałem się, że cieszy się powszechną popularnością. Wydawała się odpowiednim prezentem dla myr Córy.

- Bardzo dobrze - mówi Pao.

- Ależ doktorze Ochter! - Córy nareszcie dochodzi do głosu.

- Wydaje mi się, że to potwornie ekstrawagancki prezent. Jeden tyk wystarczyłby w zupełności. Ale zaczynam sądzić, iż ten dar wykracza poza definicję prezentów, jakie wolno nam przyjąć. Proszę nie myśleć, że jestem nieuprzejma. Nie chciałabym za nic w świecie krytykować pańskiego wspaniałego podarunku, ale...

- Żaden problem, jak powiedziałyby nasz dobry doktor. -

Ochter unosi w górę palec, jak podczas wykładu. - Może pani

sprawdzić, że przepisy nie dotyczą - cytuję - trunków i artykułów spożywczych, którymi dzielić się mają wszyscy obecni, zwłaszcza podczas szczególnych okazji. Wypowiedź zaczerpnięta wprost z ust federalnego radcy prawnego. Prawdę powiedziawszy, człowiek ów wysunął zastrzeżenia wobec błyskotki z mej rodzinnej planety, która była moim pierwotnym zamiarem. Ach, coś mi się przypomniało! Wszyscy, z którymi rozmawiałem, nalegali, bym uprzedził was o efekcie solonych fistaszków.

- To znaczy, że jest słona? - pyta Córy.

- Och, bogowie, nie, myr Córy. To jedynie stary fenomenologiczny termin ze starożytnych czasów, oznaczający coś, co trudno jest odstawić po zjedzeniu jednego kawałka czy wypiciu jednego łyku. Dzisiaj powiedzielibyśmy "pikantne jagody" albo te małe herbatniczki, zapomniałem, jak się nazywają. Najwyraźniej eglantyna również posiada tę właściwość.

- No, tak! - mówi Córy. - Smakoszki! Ale jakież to zabawne!

- Nie takie znowu zabawne, jeżeli pragniesz zostawić sobie trochę na później, Cór - odzywa się Kip. - Ponadto to bardzo mocny trunek.

- Wszyscy wiedzą, że eglantyny nie pije się w pojedynkę - stwierdza surowo Pao. - Miałem stryjecznego dziadka, który puścił tym sposobem z dymem sałę myśliwską.

- Słusznie - przytakuje Zannez. - Nie wolno wam, powtarzam, nie wolno zostawić tej butelki otwartej w pobliżu kogoś, ko-

go nie macie przez cały czas na oku. Włączając w to mnie, was i najtwardszego abstynenta, jakiego znacie. Pociąg gaśnie po pięciu do dziesięciu minimach, szybciej, jeżeli oczekiwanie spędza się na rozmowie. Nie żartuję - zostałem poinstruowany przez Komisję Win na Gridworldzie, kiedy kręciłem taki jeden dokument. Ale wtedy używaliśmy - fuj! - zimnej barwionej herbaty.

- Bogowie! Może nie powinniśmy jej otwierać - mówi Córy.

Zannez wydaje z siebie jęk.

- Ależ oczywiście, że tak - zapewnia ją Ochter. - Powiedziano mi dokładnie, jak należy to zrobić. Wszyscy nalewamy sobie po kieliszku - są w tej małej paczuszce. Ale zanim ktokolwiek się napije, dwóch albo trzech ludzi wyniesie butelkę do sąsiedniego pokoju lub do innego dobrze oświetlonego pomieszczenia, do którego, przez następne kilka minimów, nikt nie będzie w stanie niepostrzeżenie się zakraść. Potem wszyscy wypijemy jednocześnie, jak przy toaście. A kiedy nadejdzie odpowiednia pora na następny kieliszek, po prostu przyniesiemy butelkę i wszystko powtórzymy od nowa. Czyż nie tak to się robi, książę?

Chłopiec otwiera usta - a potem zamyka je gwałtownie. Kipowi przychodzi do głowy, że domowe posiłki księcia niewątpliwie wymagają obecności podczaszego i innych pomocników w liberiach. Moment później młodzieniec znajduje taktowną odpowiedź:

- Zasada jest prawidłowa. A samo składowanie nie nastrocza najmniejszego problemu; to zupełnie zwyczajny trunek, chyba że właśnie się go skosztowało.

- Cóż, to będzie całkowicie nowe doświadczenie! - śmieje się Córy. - Pięknie dziękujemy, doktorze Ochter. - Och! Spójrzcie w górę, wszyscy, nareszcie naprawdę się zaczyna! Kip wraz z pozostałymi patrzy na niebo, wiedząc już, co zobaczą.

Etap "zielonych paluchów" zakończył się podczas wizyty Dameii, ustępując miejsca rozległemu i ciągle zmieniającemu się pokazowi zórz w górnych warstwach atmosfery. Niebo na wschodzie, za mrocznymi drzewami znaczącymi horyzont, zieleni się jaskrawo, przecięte kilkoma poziomymi czarnymi pasmami; to spóźnialskie chmury, którymi Kip gryzł się w skrytości ducha. Teraz, między czarnymi czubkami drzew, na wschodnim nieboskłonie wybuchają rozrzucone garściami diamenty. Na oczach obserwatorów diamenty unoszą się w górę, łączą się, aż wreszcie cały staje się jednym długim płomieniem. Blask wzrasta nad drzewami, mija chmurę czy dwie i strzela w górę szerokim łukiem białego światła, na którym pojawiają się i znikają błyski rozszczepionego światła, niczym przelatujące niebiańskie ptactwo.

Przez moment ta ognista zjawia wydaje się fragmentem samej gwiazdy i wielu obserwatorów wita ją okrzykiem; lecz Kip wie lepiej. Tak jak się spodziewał, gdy krawędź łuku sięga zenitu, jego nasada poczyna ciemnieć. Ciemność rozprzestrzenia się szybko, staje się wewnętrznym klinem, rozległa zaś krzywizna jasności staje się łukiem, fragmentem pierścienia albo aureoli, której centrum znajduje się poniżej linii horyzontu.



Łuk rozprzestrzenia się ku górze i na boki, rozprasza się, zmienia, cały czas towarzyszy temu gra kolorów w jego wnętrzu - i kiedy się rozprasza, diamenty kolejnego łuku zapalają się wśród drzew na wschodzie. Jest zupełnie tak, jakby nadciągająca gwiazda zrzuciła z siebie olbrzymie aureole.

Na tarasie motelu ludzie wypuszczają z piersi powstrzymywane odruchowo powietrze. Gdy wschodzi drugi łuk, podążając swym uroczystym, upiornym kursem, po to tylko, by ustąpić miejsca następnemu - i kolejnemu - Kip wyjaśnia:

- Tak naprawdę to tylko powłoki - informuje obserwatorów
- cienkie zewnętrzne warstwy, częściowo w niższych częstotliwościach, widzialnych dla ludzi. Pozornie pusta przestrzeń między nimi zawiera piekielną mieszaninę fal krótszej długości, nic groźnego. Ostatnim razem było ich jakiś tuzin, zanim doczekaliśmy się maksimum, szczytu gęstości nowej, którą nazywamy gwiazdą. Z przykrością muszę was poinformować, że jakaś poetyczna dusza ochrzciła je mianem "kótek z dymu".

Ktoś rozpaczliwie jęczy.

- Patrzcie, wszystko migocze! A może mi to coś padło na oczy? - To młody głos Bridey.

- Nie, to nie ty - chichocze Kip. - Tak naprawdę to migoczące, tańczące zjawisko trwa od, hmm, przedobiedniej pory, tyle że zauważa się je dopiero po wschodzie pierścieni. Widzicie, są stabilne. Później te ciągłe zmiany natężenia mogą czasem doprowadzić człowieka do szaleństwa; ma się wrażenie, że nie można

się na niczym skupić. Nie wiemy też, co jest tego powodem.

W rzeczywistości, jak myśli, to pulsowanie i rozbłykiwanie niebios już jest odrobinę męczące. Sprawia, że wszystko staje się nierealne. Oczy szukają ulgi w jaskrawych łukach, które wydają się odporne na to zjawisko.

- Może powinniśmy się pospieszyć - sugeruje mały Ochter, zerkając na wciąż zamkniętą butelkę spoczywającą w rękach Kipa.
  - Słusznie. - Kip na powrót zabiera się za przecinanie grubych drutów, obejmujących korek eglantyny. Ochter sięga po paczuszkę, którą Kip odłożył na bok, i otwiera ją, wyciągając ze środka dwadzieścia elfich pucharków, kruchych, niczym bańki mydlane.
  - Bardzo stosowne - chwali Pao.
  - Są takie małe - mówi Ochter - że aż się zdziwiłem. Ale wszyscy zapewniali mnie...
  - Bez obaw. Zobacz pan.
  - Ile? - Ochter liczy obecnych. - Dwa i pięć, i jeden, i dwa, ty i ja - zakładam, że skusisz się na odrobinę, książę?
  - Przy mojej masie ciała wystarczy pół kieliszka na razie, razem dwanaście.
  - A damy podzielę się zawartością jednego kieliszka?
- Dama Pardalianches ze smutkiem kiwa głową.
- Zwilżę jej usta zawartością mojego.
  - A więc trzynaście, mój młody komputerku.
  - Ustawię je tu na półce - proponuje Pao - i będę ich pilnować, podczas gdy pan będzie chować butelkę, oczywiście jeżeli

chcecie.

- Wyśmienicie, wyśmienicie. - Ochter odlicza trzynaście delikatnych pucharków.
- To znaczy, że wszyscy trochę dostaniemy? - pyta Snake Smith.
- Ależ naturalnie! - Córy jest zaszokowana.
- Och, proszę pani, to cudownie. Bardzo pani dziękujemy - wtórują mu pozostali. - To wspomnienie pozostanie z nami na zawsze - dodaje Starcem.
- E-e-e-p! - Wysiłki Kipa uwieńczone zostają cichym pyknięciem. Kiedy tylko wyciąga korek, na tarasie rozprzestrzenia się winny zapach niezrównanej delikatności i bogactwa. Książę Pao kiwa usatysfakcjonowany głową.
- Ojej! - Mały doktor pociąga z aprobatą nosem. - Głęboko wierzę, że moi doradcy mieli rację. Myr Kip, zechce pan nalać? Te stare łąpy są ociupinkę zbyt roztrzęsione na taki ładunek.
- Jasne. - Kip ostrożnie niesie królewską eglantynę w kącie tarasu, gdzie Pao ustawia równym rzędkiem maleńkie kieliszki, swój odsunąwszy na bok.
- Chyba zaniosę butelkę do pańskiego ambulatorium, doktorze, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu - mówi z namysłem Ochter. - Zawsze to odrobinę bezpieczniej, jeżeli wszystkie te opowieści są prawdziwe.
- Nie ma sprawy - odpowiada Baram. - Pójdę z panem.
- Nie. Z całym należnym panu szacunkiem, doktorze, już wy-

brałem moją eskortę podczas tej misji. - Ochter podnosi głos.

- Myr Starcem, myr Eleganza, czy zechcecie towarzyszyć mi do królestwa doktora Baramjiego, kiedy nasz gospodarz zakończy rozlewanie trunku? Widzicie, mam w tym swój ukryty cel - dodaje łobuzersko staruszek, wywołując powszechny śmiech.

Dwie piękne dziewczyny wstają z miejsc i, wiedzione długotrwałym przyzwyczajeniem, po królewsku pokonują te kilka metrów po tarasie - Bridey królowa złotego ognia, Starcem królowa srebrnego śniegu. Kip widzi, że nie potrafią oprzeć się pokusie jeszcze jednego zawirowania suknią, wygładzenia materiału w talii, zdradzającej ich zachwyty nowymi, pięknymi szatami. Ochter z wysiłkiem podnosi się na ich spotkaniu, kłaniając się skrzypliwie.

Kip czuje niewielką grudkę w gardle. To jeszcze dzieci. Ile Starcem ma lat? Piętnaście, może mniej? A Bridey-Eleganza niewiele więcej. Jakie to dla nich życie? Nie myśl o tym: może inne opcje były jeszcze gorsze. W federalnej przestrzeni także jest kilka mrocznych ludzkich światów. Może te dwie miały dużo szczęścia. Napętnia do połowy kieliszek Pao i na powrót korkuje eglantynę. Teraz w jaśniejącym blasku bije od niej ciepła rubinowa poświata.

- Proszę pozwolić mi to zanieść - mówi Bridey. - Pan niech prowadzi. Jeśli się potknę, może pan kazać Dameii unieść mnie pod chmury i zrzucić na ziemię. Proszę. - Zgarnia luźne fałdy sukni i zatyka je za pasek, tak wysoko, że Kip widzi, gdzie powinna się znajdować purpurowa koronka, schowana do kieszeni przez Zanneza. Starcem pospiesznie poprawia sukienkę, podczas

gdy Ochter taktownie odwraca wzrok.

Baramji wstaje, by otworzyć przed nimi drzwi i zapalić światło w szpitaliku, Kip oddaje eglantynę, po czym mała procesja rusza z miejsca. Kiedy Starcem zamyka za nimi drzwi, księżę Pao, szeroko uśmiechnięty, przyjmuje niebywale wojowniczą pozycję, jako wartownik przed rzędem maleńkich rubinowych światełek.

- Później robi się znacznie poważniej - oznajmia. - Będziemy musieli namówić damę Paralomenę, by zajęła moje miejsce - przepraszam, pani.

Dama Pardalianches odwraca się do niego, jej twarz wykrzywia wściekłość.

- Ty, ty okrutny chłopcze! Och!

- Uniżenie proszę o wybaczenie, pani. Nie zamierzałem okazać braku szacunku.

Kłania się jej, upierzoną czapkę przyciska do piersi. Lecz Kip, mogący dostrzec jego twarz, wyczuwa, że szykują się kłopoty, więc w głębi serca modli się, by dama zechciała się zamknąć. Nagle nachodzi go natchnienie.

- Och, spójrzcie! - Wyciąga rękę. - Twoja siostra, pani.

Chyba widziałem, jak się poruszyła!

W mgnieniu oka przypada do łóżka, zapominając o Pao. I ku zdumieniu, tak Kipa, jak i pozostałych, rzeczywiście widać tam jakieś poruszenie. Błyszczące nakrycie na nogach nieprzytomnej kobiety unosi się raz, drugi, jak gdyby Paralomena próbowała zgiąć oba kolana. Jej siostra wyrzuca z siebie zdyszane:

- Doktorze!

Doktor Baramji już jest po drugiej stronie łóżka, przyciskając ucho do piersi inwalidki. Podgięte nogi opadają, podczas gdy nasłuchuje. Żołądek Kipa wyczynia akrobacje. Czyżby byli świadkami śmiertelnych konwulsji biednej istoty? Jego umysł zwraca się ku ponurym procedurom składowania i przewozu zwłok - Momowie słyną ze swej niechęci do transportowania zmarłych. Lecz Baramji podnosi głowę, pocieszająco kiwając nią w stronę markizy. Potem schyla się pod łóżko i reguluje coś niewidocznego dla Kipa.

- Trochę więcej tlenu i cukru we krwi - wyjaśnia Baram

- jeżeli zamierza dalej być taka aktywna.

- Och, doktorze - och, doktorze, moje kochanie żyje, będzie znowu żyła, zawsze wiedziałam!

- Możemy jedynie pozwolić, by czas uczynił to, co zechce, moja droga. - Baramji wyciąga z zanadru kolejne dwie duże, niebieskie kapsułki. - To ułatwi ci cierpliwe wyczekiwanie. Ach, dziękuję, Linnie. - Odbiera podaną przez Linnix szklanekę i wciśka ją markizie do ręki. - Nalegam, byś zażyła to jak najszybciej, moja droga. Wiele zależeć może od stanu twoich nerwów.

- Och!

Kip widzi, że ręka jej drży, gdy sięga po kapsułki. Linnix czuwa u jej boku, przytrzymując szklanekę, podczas gdy markiza pije.

- Pięknie. Teraz sugerowałbym lekki - bardzo lekki - masaż tych nóg, o ile masz dosyć sił. - Baram klepie damę po ra-

mieniu. - Wiesz, że jestem tuż obok. - Prowadząc ze sobą Lin-  
nix, wraca na swój fotel przy oknie szpitalika. Markiza już wzięła  
się do pracy - masuje swoją siostrę, szepcząc i gruchając do niej  
czule.

Kip przechwytuje spojrzenie Barama i patrzy na niego pytająco.  
Doktor wzrusza ramionami, opuszczając ręce na znak całkowitej  
bezradności.

W tym samym momencie gaśnie główne oświetlenie w ambula-  
torium i na taras powraca Ochter wraz z towarzyszącymi mu nimfami.

- Ustawiliśmy butelkę przy nocnej lampce, doktorze - o-  
znajmia mały człowieczek. Robi wrażenie zmęczonego i kuśtyka  
prosto do swego fotela.

- Znalezienie jej w tym niesamowitym oświetleniu zajęło  
nam wieki - śmieje się Bridey, potrząsając swą piękną głową.

- Od razu można też było zauważyć, że mieszka tam kawaler.

Zawsze przechowuje pan mydło w butach, doktorze Baram?

- Ach, czyli tam mi wpadło - odpowiada z roztargnieniem  
w głosie Baramji, nie spuszczać wzroku z łóżka.

- Myr Kip - woła Starcem - myślałam, że powiedział nam  
pan, że nie macie tu służących Dameii.

- Bo nie mamy - odpowiada Kip. - Skąd to pytanie?

- Hmm, kiedy byliśmy w środku, usłyszałam, jak ktoś solid-  
nie zmiata pod arkadą. Czy są tu jeszcze jacyś ludzie?

- Nie, przynajmniej mam taką nadzieję.

- Ja też zwróciłem na to uwagę - wtrąca Ochter. - Uzna-

łem, że to jedno z tych pierzastych drzew ociera się o zewnętrzną ścianę. Jak już mówiłem, od strony wejścia wieje zauważalny wiatr, chociaż tutaj się go nie odczuwa.

- To V'yrrre, wiatr pory suchej - chichocze Kip. - Na pewno nie dysponujemy żadnymi małymi pomocnikami - a chcielibyśmy ich mieć, nie, Cór?

- Ja prosiłbym o pielęgniarza, skoro już o tym mowa - dodaje Baramji, mocując się z opuszczanym oparciem fotela Linnix. Kip bez słów przywołuje go do konsoli.

- Bram - mówi cicho, spoglądając na Córy -- chciałbym, żebyś jak najszybciej umieścił to w sejfie szpitalika. - Córy kiwa przytakująco głową. - To nasze trzy tochari. Ochtera znalazł je w bagażu Yule'a i Hiner. Są wyczerpane. Musiały zostać zabrane z otwartego warsztatu, gdzie, jak ostatni dureń, zostawiłem je do naładowania.

Czuje, jak cała uwaga Brama skupia się nagle tylko na nim, mimo że doktor patrzy gdzie indziej. Po krótkiej chwili Baram szepcze:

- Yule i Hiner?

- Jeden z nich, albo obaj, nie wiemy. Według Ochtera były w jednej z otwartych toreb.

- Hmm. Dobrze. - Baram wciska torbę pod ramię i rusza do szpitalika. - Muszę skoczyć na minim do siebie. Jeżeli ktoś obawia się, że zamierzam dobrać się do butelki, zapraszam ze sobą.

- Ależ ufamy panu, doktorze - odpowiada pobożnie Zannez, po czym, gdy Baram znika w szpitaliku, dodaje: - bo jeszcze pan



tego nie spróbował.

Wśród powszechnej wesołości Kip zabiera się za przegląd wskaźników konsoli, których miał pilnować. Na wschodzie dwa łuki białego ognia rozprzestrzeniają się teraz całkiem blisko siebie; niewidzialne centrum pierścieni - sama gwiazda - jest już najwyraźniej blisko horyzontu. Lepiej nie ociągać się z tym toastem eglantyną.

- Może ktoś będzie na tyle uprzejmy, żeby rozdać kieliszki?  
- rzuca przez ramię. - Wtedy będziemy mogli zacząć, jak tylko wróci Bram, a gwiazda wreszcie wzejdzie.  
- Słuchajcie! - Zannez podrywa się z miejsca. - Może ja i dzieciaki się tym zajmiemy? A skoro to jest na pani cześć, myr Córy, może uda się nam jakoś odciągnąć panią od tego komputera na pół minima, tak by i pani miała z tego trochę przyjemności?  
Linnix podnosi się z wygodnego fotela.

- Myr Kip, monitoruje pan wskaźniki bazowe, prawda? Mogę w tym pana wyręczyć, jeżeli pragnie pan zastąpić myr Córy.

- Sprzedane pierwszemu oferentowi - mówi Kip, mimo protestów Córy - z wyrazami wdzięczności od nas obojga. Cór ma za sobą ciężki dzień. W porządku, pani zarządco, kochanie. Pójdziesz sama czy mam cię zanieść? Szczerze mówiąc, wyszedłem trochę z wprawy.

Córy wstaje i przeciąga się, uśmiechając się z wdzięcznością do Linnix. Przy drzwiach salonu Ek wręcza Ochterowi rubinowy pucharek. Córy zwraca się do niego:

- Doktorze Ochter, może od razu się pan napije? W końcu to pański trunek i - proszę mi wybaczyć - wygląda pan tak, że niewątpliwie się to panu przyda.

- Nie, nie, dziękuję, myr Córy. To nie byłoby właściwe. - Staruszek ostrożnie bierze w dłoń drobny kieliszek. - Ale przyznaję, że jestem niezwykle ciekaw, czy to wszystko prawda, czy jedynie jeden wielki żart.

- Przekona się pan, doktorze, przekona się pan - stwierdza Zannez, wręczając kieliszek markizie. Ta przerywa masowanie nóg siostry, by objąć go obiema uklejnoconymi dłońmi.

- Och, dziękuję! Jestem taka zmęczona - wzdycha słodko. Taras przez cały czas ciemnieje, mimo blasku na wschodzie. Kip ledwie co spostrzega wychodzącego cicho ze szpitalika Brama. Doktor rozgląda się dookoła, orientuje się, że Linnix zajęła miejsce przy konsoli, a potem siada obok jej pustego fotela. Bridey również go zauważa i przynosi mu jego kieliszek.

- Wszystko gotowe na wschód gwiazdy - oznajmia. Głowy obracają się na wschód, po czym Kip słyszy okrzyki przerażenia. Podnosi wzrok i widzi, że to, co wziął za linię ciemnych drzew na horyzoncie, jest w rzeczywistości grubą warstwą niskich chmur, o krawędziach migoczących srebrnym blaskiem. Olbrzymia aureola diamentowego światła, powiększająca się tuż nad nimi, wskazuje miejsce wschodu gwiazdy - i właśnie w tym kierunku, na skrzydłach V'yrrre, posuwa się wielki czarno-srebrzysty język chmur.

- Ty przeklęta chmuro! - wybuchła Kip. - Na dziewięciu purpurowych szatanów, masz całe niebo do snucia się, dlaczego? Cóż, będziemy musieli poczekać, dopóki gwiazda nie wzejdzie ponad chmurami. Porusza się chyba dosyć szybko.

Obecny pierścień światła rozszerza się majestatycznie ku zenitowi; poniżej ciągnie się niezwykle szerokie pasmo czerni, zza warstwy chmur zaś wybiegają promienie nieco odmiennej natury - zewnętrzne krawędzie samej gwiazdy. Obserwatorzy na tarasie czują, jakby nadciągało ku nim coś przytłaczającego, obcego i nieznanego.

Córy siada na parapecie za swym partnerem. Kip ogląda się i chwytą, przeznaczony dla niego, kochający uśmiech. Jak zwykle, rodzi się z tego ciepła, złożona czułość. Odpowiada uśmiechem, w duchu myśląc, że nie całkiem na próbę, moja Córy.

Stałe związki są rzadkie i Kipowi - ani jego przyjaciółom - nigdy nie przyszło do głowy, by akurat on był zdolny do czegoś takiego. Córy i on są już jednak ze sobą znacznie dłużej, niż trwały ich poprzednie partnerstwa, i Kipowi coraz trudniej przychodzi wyobrazić sobie życie bez niej albo z kimś innym. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz jest całkiem pewien, że ich związek na Damianie przyniósł jej tyle samo szczęścia, co jemu. Uśmiecha się, przypominając sobie stary dowcip Kentera: "To wszystko i jeszcze pieniądze?"

Teraz uśmiech Córy jest zaskakująco zrelaksowany, niemalże rozmarzony. Cieszy się nieoczekiwaną swobodą i obserwacją

gwiazdy. W ich wspólnym życiu rzadko kiedy nie ma jakiegoś dodatkowego zajęcia czy troski. Widząc ją tak spokojną, po raz pierwszy żałuje, że nie potrafi przekazać jej choć odrobiny swej niefrasobliwości. Dobrze na nią wpływam, myśli sobie.

W tle, przy parapecie, mała Starcem namawia Vovokę do przyjęcia kieliszka eglantyny. Nieoczekiwanie, pochłonięty obserwacją nieba mężczyzna, ustępuje. Kip przesuwają się, by mieć lepszy widok, i widzi, jak Vovoka unosi i osusza kieliszek jednym haustem, najwyraźniej nieświadom ogólnego planu.

- No-o! - W głosie damy Pardalianches brzmi zgorzelenie.

Kip wpatruje się w cienie za Vovoką i dostrzega zarysy złotego łożka. Ta migotliwa kobieca plama obok niego to markiza. Kiedy tak obserwuje, białe ramię strzela ku górze spośród koronek. Mimo werbalnej dezaprobaty, dama najwyraźniej pozwala sobie na solidny tyk. Kip uśmiecha się.

Tymczasem Vovoka nie powrócił wzrokiem ku niebu, tak jak oczekiwał Kip. Miast tego pochyla się nad kieliszkiem, przygląda się mu uważnie, przechyla go, tak by ostatnia kropla spłynęła na język, a potem chamsko spluwa na drzewa poniżej tarasu. Potem, jak gdyby usatysfakcjonowany, wysoki mężczyzna odstawia szklaną banieczkę na parapet i z rozmysłem przygląda się wszystkim po kolei, dopóki nie znajduje Ochtera.

- To nie zadziała - zwraca się wprost do Ochtera, a potem wydaje z siebie lodowaty dźwięk, który w zamierzeniu miał być pogardliwym chichotem.

Wszyscy milkną. Vovoka przez parę długich uderzeń serca przypatruje się Ochterowi, człowieczek zaś patrzy bezwolnie w jego stronę, jak zahipnotyzowany.

Ta dziwaczna scena trwa wystarczająco długo, by Kip mógł się nad nią zastanowić. Dziwna uwaga Vovoki była tak rzeczowa, jakby odnosiła się do jakiegoś powszechnie znanego planu Ochtera. Szczególna zaś, prawie że paniczna reakcja Ochtera wydaje się potwierdzać to przypuszczenie. A jednak, o ile Kipowi jest wiadome, ci dwaj zamienili ze sobą zaledwie parę słów. Jak więc Vovoka może być wtajemniczony w zamiary Ochtera?

Albo - może Ochter i Vovoka znali się już wcześniej, lecz z jakiejś przyczyny nie przyznają się do tego? I co "nie zadziała" w związku z eglantyną? Może Vovoka wyobraża sobie w jakiś pokrętny sposób, że Ochter próbuje się wkupić w ich łaski swym eleganckim podarunkiem? I dlaczego? A może w mniemaniu Vovoki to doskonały żart? Jeśli tak, nic na to nie wskazuje. Napięcie między tymi dwoma jest wręcz namacalne.

W rzeczywistości ta scena przypomina Kipowi jeden ze starych programów gridowych, jakie oglądał jako smarkacz z kosmicznego zadupia, w którym czarny charakter odczytywał myśli innych ludzi wbrew ich woli. Był to oczywiście dziecinny nonsens; od stuleci wiadomo, że międzyludzka telepatia nie istnieje.

Odrzucając bezsensowne alternatywy Kip uznaje, że musi to mieć związek z jakąś wcześniejszą rozmową, przy której nie był obecny. Zapewne dla wszystkich oprócz niego cała ta sytuacja jest

idealnie rozumiała.

Gdy tak rozgląda się dookoła, wszędzie napotyka jedynie zdumione twarze, zwierciadlane odbicia jego własnej. Pytające spojrzenie Córy wędruje od Ochtera do Vovoki, od niego samego do Brama. A Bram ostrożnie obwąchuje swą nietkniętą eglantynę. Nawet w tym dziwnym oświetleniu Kip jest pewien, że widzi, jak brwi Brama wędrują ku górze podczas obwąchiwania.

Kip unosi swój kieliszek, by zrobić to samo, lecz w tejże chwili Vovoka przerywa bezruch.

- Nie mam czasu. Szkoda - mówi zwięźle, cały czas tym samym niedbałym tonem, po czym odwraca się plecami do grupy, podejmując obserwację nieboskłonu. Kompletna enigma, myśli Kip. Ochter głośno wypuszcza powietrze z płuc, jak gdyby przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Cóż! Bogowie! - powiada wstrząśnięty człowieczek. Sięga po staromodną chustkę i ociera sobie twarz. - Och, och!

Kip stara się sformułować taktowne pytanie, by dowiedzieć się, co miał na myśli Vovoka. Lecz zanim jeszcze otworzył usta, Ochter zdobywa się na uśmiech i odzywa się swym normalnym, pogodnym tonem:

- Cóż, jeśli wszyscy zostali już obsłużeni, może poprosimy myr Cór o wzniesienie toastu za gwiazdę? I wypijmy też zdrowie naszych gospodarzy.

Nie zanosí się na wytłumaczenie tego incydentu z Vovoką. Co tam, powiada sobie Kip, podczas gdy woń eglantyny łechce jego

powonienie, zapewne rzeźbiarz doprowadził biednego starego Ochtera na skraj zawału swymi dziwacznymi osobistymi uwagami, których znaczenie zna tylko on sam. Kip zerka na potężną postać artysty. Każdy, kto poznał niesamowitą siłę Vovoki i jego całkowicie samolubne postępowanie, ma prawo czuć się zaniepokojony nagłym zainteresowaniem z jego strony.

- Wszyscy gotowi? - Ochter unosi kieliszek ku rozszalałym światłom na niebie. - Myr Córy, zechce pani wywołać gwiazdę z kryjówki?

Wszyscy wznoszą swe maleńkie pucharki, spoglądając na Córy. Kip okręca się w miejscu z kieliszkiem w górze, stając twarzą do niej.

Przez ułamek chwili panuje cisza.

Córy unosi wino ku lśniącemu niebu.

- Za przejście gwiazdy!

I dokładnie wtedy, gdy jej wargi dotykają krawędzi kieliszka, wysoki, władczy głos mówi donośnie:

- Wstrzymajcie się na minim, wszyscy!

To mały książę Pao, unoszący swój puchar nie po to, by się napić, lecz by zbadać jego zawartość. Wszyscy wpatrują się w niego.

- Wiecie co - mówi Pao, wciąż przyglądając się kieliszkowi

- on może mieć trochę słusności, ten nasz światłorzeźbiarz. Aromat jest prawidłowy - mam na myśli eglantynę - ale wącham ją już od dłuższej chwili. Zwraca na siebie uwagę dziwny chemicz-

ny zapaszek, który nie pasuje...

Przerywa mu dźwięk, dochodzący od strony złotego łóżka, przy którym wygodnie spoczywa markiza. Jej eglantyna stoi w uchwycie przy fotelu, Kip dostrzega, że kieliszek jest prawie pusty.

Dźwięk rozlega się ponownie, tym razem nie sposób pomylić go z czymś innym. W niezwykle wyrafinowany, subtelny sposób dama Pardalianches chrapie.

Kontakt:

Kip przypomina sobie

Zaledwie minim zajmuje Kipowi powiązanie stanu damy z wartością kieliszka.

Tymczasem Baram zdążył do niej podejść i teraz próbuje ją rozbudzić. Na próżno; światło jest już tak intensywne, że Kip widzi, jak Bram podnosi powieki damy i sprawdza położenie języka, podczas gdy ona śpi dalej. W rzeczy samej nie jest uśpiona, lecz nieprzytomna.

Coś jest nie w porządku z tą eglantyna, to jasne. Na tarasie rozlegają się zaniepokojone szmery.

- Sugeruję, by nikt więcej nie próbował tego cudownego wina, dopóki nie odkryjemy, co jest nie tak - odzywa się pogodnie

Córy. - Zgodzisz się ze mną, doktorze Baram?

- Jak najbardziej. - Baram sięgnął już po swój podręczny zestaw i osłuchuje serce damy.

Mały doktor Ochter przykuśtykał do nich, na jego twarzy maluje się zgroza. Gdy Baram odrywa wzrok od pacjentki, pyta z obawą w głosie, tak głośno, że słyszą go wszyscy:



- Jak ona się czuje, doktorze? Oprócz oczywistego zatroskania przyszła mi do głowy nader niepokojąca myśl. Czy jest możliwe, że spożyła śmiertelnie truciznę?
- Śmiertelnie? - Baram spogląda na Ochtera ze zdumieniem. - W jej oddechu wyczuwam silny zapach wodzianu ambezykowego - to ten sam specyfik, który zaaplikował pan Yule'owi i Hinerowi, prosty środek nasenny. Nie wykryliśmy go w winie, gdyż jego szczególną cechą jest brak zapachu przed spożyciem. Wszystkie objawy wskazują na umiarkowaną dawkę. Ale śmiertelnie? Nie. Dlaczego?
- Och, jaka ulga! - Człowieczek raz jeszcze przeciera czoło.
- Oczywiście nie jestem w stanie zaoferować odpowiednich przeprosin myr Córy i jej gościom za sprezentowanie tak wątpliwego daru. Ale moją pierwszą myślą, oprócz zdziwienia, było pytanie jakim sposobem ten środek przedostał się do zapieczętowanej butelki. - Przerzywa i spogląda w tył, na Pao. - Zakładam, że zepsucie się eglantyny, albo zarażenie jej jakąś toksyczną pleśnią, wskutek niewłaściwego składowania, nie wchodzi w grę.
- W żadnym wypadku - odpowiada Pao. - Łatwiej ją składować niż większość win, a jeśli już komuś udałoby się doprowadzić do jej zepsucia, uzyskałby jedynie wyborny ocet.
- A więc specyfik musiał zostać wprowadzony z zewnątrz.
- Ochter wzdycha. - Jak już powiedziałem, pierwotnie po prostu przeklinałem własną naiwność. Dlaczego nie podejrzewałem, że niektórzy z tych zadziwiająco hojnych studentów postanowili wy-

kręcić numer swemu staremu profesorowi? Takie wypadki nie są nieznanne. Powinienem bardziej uważać.

- Później wszakże przypomniałem sobie, że ta butelka spędziła pięć lat pod opieką mojego przyjaciela, który działa czynnie w sądzie kryminalnym. Wiadome mi są dwa wypadki pogroźek pod jego adresem, ze strony żądnych zemsty skazańców, czy też ich współników. Jeszcze w zeszłym roku Wydział Specjalny przez kilka miesięcy trzymał jego dom pod strażą. A jeśli jakiś złoczyńca zakradł się do jego piwnicy i znalazł tę butelkę, sądząc, że należy do niego?

Potrząsa z zatroskaniem głową.

- Moi studenci mogli uważać mnie za nudnego, a nawet i szkaradnego. Ale w żartach na pewno nie posunęliby się do zabicia mnie. Z drugiej strony śmierć mojego przyjaciela stanowiłaby spełnienie marzeń rozwścieczonego, szukającego zemsty przestępcy - albo jego współników. A jeśli w grę wchodzi dwie grupy ludzi i dwa specyfiki? Jest pan pewien, doktorze, że stan damy nie wskazuje na obecność znacznie groźniejszej substancji, dając jej czas na działanie?

Baram marszczy brew.

- Rozumiem pański niepokój. Cóż, nie jestem toksykologiem, ale ksenomedycyna wtyka nos w najprzeróżniejsze miejsca. Nie - stwierdza z namysłem - nie słyszałem o żadnej ludzkiej truciznie, tak pozbawionej smaku, by śmiertelną dawkę można było nieświadomie spożyć w winie. Nie znam też żadnej, która w za-

bójącym stężeniu nie wywoływałyby żadnych symptomów - bólu, konwulsji, wewnętrznego krwawienia, nudności, arytmii serca, drgawek i tak dalej - przez tak długi czas, podczas gdy pacjent znajduje się pozornie w najzwyczajniejszej fazie D snu. Jest taka rzadka amanitotoksyna, alkaloid, który powoli rozpuszcza wątrobę, ale sam proces nie przebiega bezobjawowo, a do zatrucia potrzeba dużej ilości.

- Tak więc powiedziałbym nie. Nawet gdybyśmy założyli, że przy winie grzebały dwie różne osoby, muszę uznać, że dama spożyła jedynie prosty środek nasenny, być może o działaniu spotęgowanym tym - podnosi cyzelowaną złotem piersiówkę markizy i otwiera ją, a z jej wnętrza wydobywa się przyjemny aromat wytrawnego wina.

- Co do sposobu, w jaki soporyna dostała się do butelki z eglantyną - mówi dalej Baram w swój zwykły, nieformalny sposób - nasz Kip jest strażnikiem korka. - Dla Kipa to nowina; rozgląda się pospiesznie dookoła i przypomina sobie, że znajduje się on z powrotem w butelce. Będzie potrzebny przy śledztwie; kiedy następnym razem będzie szedł do motelu, znajdzie coś, co mogłoby go zastąpić.

- A kiedy go zbadamy - kończy Baram - założę się, że znajdziemy ślad po wkłuciu. Istnieją skomplikowane techniki wstrzykiwania cieczy przez szkło, lecz przebicie korka jest znacznie bardziej prawdopodobne, zwłaszcza gdy ofiara niczego się nie spodziewa.

Ochter chichocze gorzko.

- Ten opis pasuje do mnie jak ulał. A jednak, jaka szkoda.

Gdybym tylko mógł uświadomić tym młodym draniom, ilu ludziom zepsuli przyjemność. Jeżeli w ogóle się nad tym zastanawiali, zapewne wyobrażali sobie, jak otwieram butelkę w moim gabinecie w towarzystwie paru podobnych do mnie starych przyków.

Dwoje czy troje ludzi śmieje się bez przekonania.

- Posłuchajcie wszyscy - odzywa się ciepły głos Córy. -

Właśnie przypomniałam sobie o nader interesującej butelce "Lodowych kwiatów", którą dostaliśmy jakiś czas temu. Wytwarzają je pustelnicy na Lodowcu. Oczywiście to nie eglantyna, ale jeśli nigdy nie kosztowaliście "Lodowych kwiatów", powinniście to zrobić. Kiedy sytuacja trochę się uspokoi - wskazuje na konsolę - poszukam jej i przynajmniej będziemy mieli czym uczcić tę okazję.

- Och, proszę pani, nie powinna pani. To niepotrzebne. Och, jakie to miłe. Bomba!

Głosy brzmią różnie. Taras mrocznieje nagle, kiedy światło gwiazdy tonie całkowicie w chmurze, lecz jego efektowne strzępy umykają ku zenitowi, zapowiadając zbliżający się wspaniały spektakl.

Tymczasem gest Córy skierował uwagę Kipa z powrotem na wskaźniki, którymi miał się zajmować. Dłoń Linnix wskazuje na trzy - nie, cztery - odczyty, wykazujące bardzo wysokie średnie promieniowania gwiazdy przebijającej się przez chmurę. Kip musi szczegółowo je zanalizować, by upewnić się, że składowe wartości

szczytowe mieszczą się w granicach bezpieczeństwa. Zasiada do pracy dokładnie wtedy, gdy Ochter mija go w swej bolesnej wędrówce z powrotem na fotel. Twarz człowieczka wygląda żałośnie, myśli Kip. Biedaczysko, po tym, co stało się z jego wspaniałym prezentem. Ci studenci.

Podczas gdy ręce i oczy Kipa pracują, niemalże automatycznie, nachodzi go dziwna myśl: jakże dominującą pozycję zajął Ochter w wydarzeniach tego wieczoru! W rzeczy samej sposób, w jaki interpretują to, co dzieje się wokół nich od paru godzin, pochodzi wyłącznie od niego. Najpierw ci studenci, mityczni albo i nie, którzy doprawili wino-prezent od Ochtera. A wcześniej - Kip cofa się myślą w czasie - cała afera z Yule'em i Hinerem, ich zastrzykami nasennymi i tochari w ich torbie, i nawet - bogowie! - bezpieczny powrót Wyrry i jego rodziny. Jedynie Ochter za to zaręczył.

Palce Kipa zamierają na przełącznikach, podczas gdy w jego głowie odzywa się głos. To głos Pace'a Norberta, strażnika, którego zmienili na tym posterunku. Kip zarzucił mu kiedyś lekką paranoję. Na co Norbert wygłosił na jego użytek mały wykład.

- W całej Galaktyce - powiedział Norbert - tak długo, jak będziesz żył, będą wielcy dranie, mali dranie i samotne świry. Ludzie, i nie tylko, wymyślający sposoby dorwania się do "Gwiezdnych łez". To niby zbyt odrażające? Tylko w to czasem nie uwierz. Na Mrocznych Światach żyją ludzie-potwory, śliniące się na myśl o torturowaniu dzieci. A w każdej mijanej grupie ludzi kryją się

1 tacy, których jedyną reakcją na piękno jest pragnienie zmasakrowania go na krwawą miazgę.

Kip cofnął się wtedy z odrazą. Walczył na wojnie, ale wojna już się skończyła. O tych sprawach w ogóle nie chciał słuchać.

- I wszędzie - ciągnął bezlitośnie Norbert - są istoty, które uczynią wszystko dla bogactwa, pieniędzy, łupu, kredytek. Niech wreszcie do was dotrze, co przedstawiają sobą "Gwiazdne Łzy", których strzeżecie: czysty skarb. Góry kredytek. Warte więcej, niż ich waga w zeranavethach, bo pochodzenie zeranavethów można wytropić. Bogactwo, dla którego warto narazić się na każdy ból, warto snuć skomplikowane plany, warto zabijać dziesiątki ludzi. Jedna duża partia może uczynić przestępcę bogaczem na całe życie. I wie o tym cała Galaktyka. Czy myślicie sobie, że nikt się nad tym nie zastanawia?

- Dzięki federalnej straży zbrojny rajd skazany jest na niepowodzenie. Na planetę przedostać się trzeba ukradkiem i podstępem, strażników zaś zlikwidować ciosem w plecy. A każdy upływający spokojny rok osłabia naszą czujność. O, nie, któregoś roku, kiedy już o nim zapomnicie, diabeł pokaże wam swoją twarz. Powiedzmy, jako zagubiona astronautka - autentycznie miła dziewczyna. Potem zjawią się jej sympatyczni przyjaciele, poszukujący jej. Komu się będzie chciało ich zweryfikować, zanim zostanieie zabici, struci albo odcięci od środków łączności?

- Nie zaśnij, Kip.

Słodcy bogowie wszechświata, myśli teraz Kip, powoli wzna-

wiając obliczenia, czyżbym naprawdę zasnął? Nieszkodliwy kula-  
wy staruszek, taki pomocny i wyrozumiały. Oczywiście sam ni-  
czego by nie wskórał, ale oto zbiegiem okoliczności zjawiło się  
też dwóch młodych ludzi, z pominięciem zabezpieczeń i tak jawnie  
rozwścieczonych swym pobylem na Damiemie, że nawet nie przy-  
szło mi do głowy, by się nad tym zastanowić - a na wypadek  
gdyby komuś przyszło to do głowy, kochany staruszek gwarantuje,  
że obaj leżą we śnie, nafaszerowani chemią - i nawet zwraca skra-  
dzione przez nich pistolety - skoro okazały się rozładowane, na-  
wiasem mówiąc. I uprzejmie częstuje nas luksusowym winem, któ-  
re o mały włos nie zwałiłoby nas wszystkich z nóg!

Tak by się niewątpliwie stało, spostrzega Kip. Gdyby nie Pao  
- a kto mógłby się spodziewać, że wśród garstki turystów, pra-  
gnących ujrzeć pomniejsze zjawisko astronomiczne na planecie  
Obrzeża znajdzie się osoba obeznana z eglantyną? Nie wspomi-  
nając o takomej, prawie że równie obeznanej markizie?

W tych rozmyślaniach przeszkadza Kipowi natarczywe wspom-  
nienie incydentu z Vovoką i Ochterem. Dlaczego Vovoka nie padł  
nieprzytomny? Musiał wypluć więcej, niż się wydawało. Ale -  
chwileczkę - istnieje możliwe wytłumaczenie tego dziwaczego  
dialogu - a jeśli Vovoka był współnikiem Ochtera i postanowił  
się wycofać? "To nie zadziała" - to tłumaczyłoby także i prze-  
rażoną reakcję Ochtera.

Z drugiej strony, jeżeli Yule i Hiner są współnikami Ochtera,  
nie ma już żadnego dowodu na to, że są wyłączeni z akcji. Mogą

po prostu czekać, dopóki wszyscy nie stracą przytomności po wypiciu wina. Co do zbiegu okoliczności, który spowodował ich przybycie na Damiema - trudno to sobie wyobrazić, spoglądając w rozgwieżdżone oczy Linnix, lecz zamiana strzykawek nie sprawiłaby jej większej trudności. Miła dziewczyna. Albo też ktoś podmienił je bez jej wiedzy; Kip zauważył, że Ochter ma bardzo zręczne palce.

Kipowi wiruje w głowie; upłynęło zaledwie parę minimów, odkąd przemówiła Córy, a on czuje się tak, jak gdyby świat kręcił się niczym w kalejdoskopie, za każdym obrotem ukazując nowe, okropniejsze ewentualności. Ale - czy to rzeczywiście ewentualności? Podstawy do ich przyjęcia wydają się znikome; prawdziwą niemożliwością dla niego jest pojęcie ich rzeczywistego znaczenia, tego, że naprawdę stanowią one początek rajdu po "Gwiezdne tzy". Potrzebuje dowodów. A jedynym dowodem, jaki przychodzi mu do głowy, jest stan Yule'a i Hinera. Jeżeli Ochter skłamał w tej kwestii, jeżeli naprawdę są zdrowi i sprawni, wówczas cała reszta, być może jedynie częściowo, również może się ziszczyć. Lecz jeśli - bogowie, sprawcie, by tak było! - leżą pogrążeni w głębokim narkotycznym śnie, tak jak powiedział mały doktor, cała reszta staje się jedynie grą wyobraźni.

Na wpół podnosząc się z fotela, obraca go w kierunku Córy, otwierając usta, by poinformować ją o tym, że zamierza przejść się na koniec tarasu i sprawdzić, co słychać u tamtych dwóch. Zastaje ją pogrążoną w szeptanej rozmowie z Baramem. Zanim



udaje mu się coś powiedzieć, Córy uśmiecha się i mówi zdecydowanym tonem:

- Nie.

- Kip, kochany, myślę, że wiem, co chciałeś powiedzieć. -

Wygląda swą purpurową chustę. - Odpowiedź brzmi: nie wolno nam tego robić. Jeżeli to, co nieprawdopodobne, jest prawdziwe, wejdziesz prosto w pułapkę, a i nas zostawisz w dużym niebezpieczeństwie, wraz z tymi niewinnymi, nieuzbrojonymi, niczego się nie spodziewającymi ludźmi, za których odpowiadamy. Miałam rację? - Uśmiecha się kpiąco na użytek ewentualnych oberwatorów, Baram zaś wydaje z siebie zadziwiająco ożywiony chichot.

- Owszem - przyznaje Kip. - Chyba okazałem się trochę powolny.

- Och, nie, kochanie. Co trzy głowy to nie dwie. Ale nie powinniśmy rozmawiać zbyt długo, jeżeli jakaś część tego jest prawdą - a musimy się zachowywać w taki sposób, jakby tak właśnie było, dopóki się nie przekonamy. Baram właśnie mówił, że stoimy przed klasycznym dylematem: jeżeli niebezpieczeństwo jest realne, nie ma bezpiecznego sposobu na jego zweryfikowanie. Mój plan jest prosty: wystarczy pozwolić, by następny cykl "alarmu martwej ręki" dobiegł końca. Wyjaśniłam już Baramowi, że nie dysponujemy w tej chwili Maydayem.

- Mam nadzieję, że wyjaśniłaś, że to moje dzieło - mówi ponuro Kip.

- Odpowiedzialność spoczywa na mnie - ucina szybko,

uśmiechając się swym dobrym uśmiechem. - Uśmiechnij się na użytek publiczności, kochanie. Jeśli Dayan będzie marudził, że jego chłopcy stracą mecz, mówi się trudno. Nie wzywamy go jedynie na podstawie przeczuć; trzy znane nam fakty same w sobie usprawiedliwiają wystanie sygnału alarmowego - podnosi trzy szczupłe, opalone palce.

- Po pierwsze, dwóch nie zapowiedzianych, nie sprawdzonych gości - zbieg okoliczności numer jeden. A nawiasem mówiąc, kiedy sobie pomyślę o tym, co mogliśmy przeoczyć w tych torbach - i ile z tego, tak zwanego sprzętu do nurkowania mogłoby być użyte przy wspinaczce, robi mi się niedobrze. Zbieg okoliczności numer dwa: przypadkowo zaobserwowany zostaje obcy statek. I wreszcie poczęstowani zostaliśmy zatrutym winem, które - zbiegiem okoliczności numer trzy - w mgnieniu oka pozbawiłoby nas wszystkich przytomności. Jak idzie to stare przysłowie? Jeden raz to zbieg okoliczności, dwa razy to coś innego, trzy razy to działanie wroga.

- Musimy więc zadać sobie następujące pytanie; skoro numer z winem nie wypalił, co zrobią teraz? Co będzie dalej? Czy mają plan awaryjny?

- Na bogów, zapomniałem o tym statku - mówi Kip. -

A jeśli jest pełen drani czekających na sygnał, by wylądować i wziąć się do pracy nad Dameii? - Przeszywa go ostry ból; przez moment odczuwa przenikliwe, niemalże namacalne pragnienie upewnienia się, że Wyrre i Nyil nic nie jest.

- Ten statek równie dobrze może być ich środkiem ucieczki  
- wtrąca Baram. - Yule i Hiner mogą działać na własną rękę;  
więcej ludzi oznacza więcej chętnych przy podziale, nawet nie  
wspominając o większym ryzyku.

Podnosi się i opiera rękoma o konsolę, pozornie przyglądając  
się wydrukowi.

- Muszę wrócić na miejsce, zanim to zacznie przypominać  
naradę wojenną. Ale jedno muszę wam uprzytomnić z całym na-  
ciskiem - nie wolno nam wystraszyć ich do tego stopnia, by zmu-  
sić ich do zniszczenia naszych środków łączności. Ten kabel i te  
niewielkie siatki anten tam, w górze, to bardzo delikatna lina ra-  
tunkowa, jeżeli coś z naszych podejrzeń okaże się prawdą. Zgoda?

- Jak najbardziej.

Mijając Linnix, uprzejmie przyglądającą się pulpitowi, Baram  
poklepuje ją dłonią po rękę. Ku jego zdziwieniu jej druga dłoń  
szybko ją unieruchamia, zatrzymując go w miejscu.

- Doktorze Bram - szepce bardzo cicho Linnix - myr Kip,  
jeżeli pan mnie też słyszy. Mimo woli podsłuchałam ogólny sens  
waszej rozmowy i jest coś, co powinniście wiedzieć. Nie, proszę  
na mnie nie patrzeć, proszę spojrzeć na ten wydruk.

Przesuwa dłoń, wyciągając palec ku paru liczbom. Obaj po-  
chylają się we wskazanym kierunku.

- Ten człowiek, Ochter - szepcze - dobrze zna Hinera i Yu-  
le'a. Na pokładzie dali się uspić jako ostatni, spędzili razem jakieś,  
bo ja wiem, cztery godziny, rozmawiając na pokładzie widokowym.

Byli chyba w dobrej komitywie, dużo się śmiali. A potem, kiedy do mnie przyszedli, Hiner trochę marudził, a Ochter powiedział coś w rodzaju: "Żeby nie zaczął żałować, że ciebie wybrałem" - bardzo ostrym tonem. Wtedy myślałam, że chodziło mu o to, że pozwolił Minerowi zająć koję nad sobą - ładujemy od góry do dołu, więc sam nie mógł się położyć wcześniej, jak dopiero po Hinerze. I, moment, dodał: "Popatrz na naszego Mordy'ego".

- Zaczęłam teraz pojmować, że nie spodziewali się więcej mnie ujrzeć, wiecie? Więc pomyślałam, że myr Córy powinna o tym wiedzieć. Może wszystko mi się pokręciło, zapewne to nic takiego. I kiedy zasypiali, powiedzieli sobie do widzenia, jak gdyby planowali obudzić się jednocześnie, a może... chwileczkę, było chyba jeszcze coś dziwnego. Och, teraz wszystko może mi przyjść do głowy. Ale co do tej drugiej sprawy, proszę jej o tym powiedzieć.

- Wielki Aferionie, ja myślę - mówi Kip. - Słuchaj Baram, teraz nie możemy tak sobie chodzić w tę i we w tę. Będę musiał poczekać na odpowiedni moment, żeby podejść do niej bez zwracania zbędnej uwagi.

- Dobrzy bogowie. - Baram prostuje się. - Dzielna dziewczyna, Linnie.

- Czekajcie - mówi, wyężdżając pamięć. - Jeszcze jedno.

Kiedy od ciebie wyszłam, B-Bram spojrzałam na jezioro. Pływał w nim Hiner. Chodzi mi o to, że on chyba nie jest czystym akwamaninem - jest, jak to się mówi, zepsutym akwamaninem? Jego skrzela nie funkcjonują poprawnie. Wypląnął na powierzchnię

1 dyszał, dyszał i dyszał. Biedak. Nie sędzę, by mnie zauważył.

Kiedy inni zjawili się na tarasie, zaraz wyszedł na brzeg. Proszę!

Teraz to już wszystko.

Zabiera się za analizę dwudziestominimowego wydruku.

- Bogowie wszechświata - mruczy Kip, spoglądając w ślad za oddalającym się Baramem. - Ładna historia. - Teraz trzeba znaleźć właściwy moment, by powiadomić Córy, że rozkład prawdopodobieństwa uległ znacznej zmianie.

Myśląc o Cór, uśmiecha się lekko: jego dziewczyna - i do tego prawdziwa astronautka. Na pewno nie przeoczyła faktu, że jeśli w ich podejrzaniach kryje się choć cząstka prawdy, plan na pewno nie zakłada pozostawienia przy życiu świadków. Ale on nie odezwie się ani słowem, w żaden sposób nie przyzna się, że to wie. Nie, to część "odpowiedzialności za innych turystów". Cóż, miejmy nadzieję, że "alarm martwej ręki" zadziała. Miejmy też nadzieję, że to jeden wielki fałszywy alarm. Wiele dałby za to, by usłyszeć, jak stary Dayan wymyśla im od bandy nerwowych głupków! Dayan pierwszy zgodziłby się, że te trzy "przypadki" uzasadniają wysłanie sygnału alarmowego, nawet bez nowin Linnix.

Kiedy zwraca się na powrót do konsoli, przekonuje się, że Linnix opracowała dla niego dwa, spośród najgorzej wyglądających parametrów.

- Hej, dzięki. Mikrofalówka wciąż podkrecona na maksa, co?
- Owszem. Czy to niebezpieczne?
- Nie, chyba że nabierze dostatecznej intensywności, by prod-

kować energię ciepłą - a do tego nam jeszcze daleko.

- To dobrze. Nie zamierzam zostać wędzoną ostrygą.

Kip, chichocząc, zerka przez ramię na Ochtera, siedzącego przy głównym wejściu - i wstrząsa nim kontrast między ich wyobrażonym wrogiem Ochterem a tym wyglupionym, drobnym, kulawym staruszką, o zagubionej twarzy starego chochlika. Czyżby oszalał?

Kiedy zaczyna obracać się raz jeszcze do Córy, wszystkie powierzchnie na tarasie zapalają się nagle rozmigotanym srebrem, dziwnie zabarwione cienie gromadzą się u ich stóp.

Wszystkie spojrzenia kierują się ku górze.

Na skraju pasma chmur olbrzymi, wypełniający całe niebo diament oddziela się od ciemności i zielonych zórz, pnie się ku górze, odbijając się w tafli jeziora. W miarę jak przemieszcza się coraz wyżej, wydaje się przybliżać do nich, jego płaszczyzny miotają płatki coraz dziwniej i ostrzej zabarwionego światła, zlewające się w jaskrawą widmową biel. Ostatnia chwila za postrzępionymi skrajami chmur - i wielka zjawia się w swej kompletności, zalewając cały świat blaskiem.

Gwiazda wzeszła nareszcie.

A wraz z jej pojawieniem się, zmianie uległa sytuacja wszystkich ludzi na tarasie.

XIII

Wschód Nowej:

Eksplozja obcych

Ser Xe Vovoka, który do tej pory ignorował zachowanie pozostałych, niespodzianie odwraca się wprost na wschód i wyrzuca oba ramiona w górę, ku wzeszłej gwiazdzie.

- O piękna - woła niskim, ochrypłym głosem. - Zniewalająca! Promienna czarodziejko! Zabójczym światów obcego pochodzenia - nareszcie jesteś pomszczona. Avridar!

Z tymi słowami przykładą dłoń do czoła i z szybkością świadcząca o dużej wprawie zdziera skórę ze swej czerstwej twarzy i głowy - wraz z powiekami, ustami, uszami, podgardlem, włosami i całą resztą. To tylko sztywna maska o szkielecie z siatki. Odstonięta skóra ma wygląd wyschnięty, gruzełkowaty, szaropurpurowy.

- On nie jest człowiekiem! - krzyczy Starcem.

Dwoma szybkimi ruchami Vovoka obnaża swe dłonie i ramiona, zgniata wszystko w jedną kulę i rzuca na ziemię przy zastłonie. Wszystko to dzieje się tak szybko, że Kip, odwracający się od konsoli, ma czas jedynie na ogarnięcie zdumionym spojrzeniem ciemnoślizkowej skóry i długiego, pionowego nosa. Teraz dopiero zaczyna poznawać prawdziwego Vovokę: głowę ma węższą niż ludzie, lecz rysy twarzy nie są zbyt odmienne, z wyjątkiem jedynie wysuniętego ku przodowi czoła, które bez wyraźnej przerwy przechodzi w prosty, pozbawiony nozdrzy nos; długie usta o wąskich wargach; głęboko osadzone, wygięte ku dołowi, oczy pod grubymi łukami brwiowymi, które biegną w tył, bez zauważalnych skroni,

ku okrągłym uszom; blada, porośnięta szczeciną czaszka, która musiała zostać niedawno ogolona, charakteryzuje się dziwnym wzorem. Z twarzy Vovoki zniknęły wszelkie pozory jowialności, pozostawiając oblicze przepełnione powagą i smutkiem, a także niesprecyzowaną groźbą. Bez ludzkiej głowy można teraz spostrzec, że jego barki są nieproporcjonalnie szerokie i potężne, nawet jak na jego wzrost.

Obcy postępuje dwa ciche kroki wzdłuż parapetu ku fotelowi Córy. Córy siedzi w bezruchu, spoglądając na niego z enigmatycznym wyrazem twarzy. Kiedy jest już blisko, w jego prawej dłoni rozbłyskuje niewielki przedmiot - dłoń, która, jak zauważa Kip, jest nienormalnie duża i pięciopalcza.

Vovoka do tej pory posuwał się powoli i z rozmysłem. Teraz, tak szybko, że nie nadąża za nim spojrzenie Kipa, przykłada ów przedmiot do skroni Córy.

A ona wciąż nie porusza się ani nie odsuwa od niego, a jedynie spogląda uważnym wzrokiem.

Kip, siedzący za ich plecami przy pulpicie łączności, wyswobodził się z fotela i również ruszył ku Córy. Teraz zamiera w pół kroku, widząc przytknięty do jej głowy przedmiot.

- Odsuń się od mojej partnerki, Vovoka.

Vovoka zwraca się do niego równym, dziwnie zmęczonym głosem:

- To jest broń. Może wyrządzić dowolnie przeze mnie wybrany zakres szkód, a ona już nigdy nie będzie taka jak niegdyś. Ty



wrócisz teraz do konsoli i uruchomisz automatyczny odbiór napływających sygnałów. Jeżeli dokładnie wykonasz moje polecenia, twojej partnerce nie stanie się żadna krzywda. Ale nie próbuj żadnych podstępów. Dobrze znam ten sprzęt.

Nieoczekiwanie odzywa się Córy:

- Rób, co on ci każe, Kip. Wszystko jest w porządku. - I dodaje w stronę Vovoki: - Większość klawiszy z lewej strony jest martwa, ser Vovoka. Podłączyłam tylko kanał na częstotliwości Bazy i przeszukiwanie w szerokim paśmie. Cała reszta to dane z frontu nowej.

- Wiem o tym - odpowiada obcy i mówi do Kipa: - Ode-  
tnij dopływ energii do anteny modularnej, i to wszystko.

Kip niechętnie wraca do konsoli, przestawia dwa przełączniki, a trzeci przesuwają na pozycję zerową.

Obserwując go uważnie, Vovoka zwraca się do pozostałych, cały czas tym samym bezbarwnym tonem:

- Proszę, zachowajcie spokój i niczego się nie obawiajcie. Zapewniam was, że tylko jedna osoba, winna wielkiej zbrodni, ma powody do obaw. Ta broń przeznaczona jest wyłącznie dla tej osoby. Reszta z was jest całkowicie bezpieczna tak długo, jak pozostaniecie na swoich miejscach i nie wykonacie żadnych wymierzonych przeciw mnie posunięć. Jeżeli będziecie się upierać przy poruszaniu się, nie mogę zagwarantować wam bezpieczeństwa; a moje odruchy są o wiele, wiele szybsze od waszych.

W stronę Kipa dorzuca:

- Proszę wy zerować ten alarm, myr Kip.

"Alarm martwej ręki" uruchomił się tak niedawno, że sam Kip jeszcze nawet go nie zauważył. Zapewnienia Vovoki o jego czasie reakcji wydają się prawdziwe. Kip zeruje go ponuro, myśląc, że właśnie stracili cały jeden cykl.

- Mogę wrócić na fotel, ser Vovoka? - pyta Linnix. - Powinam być w pobliżu na wypadek, gdybym była potrzebna przy sparaliżowanej dziewczynie.

- Proszę bardzo.

Linnix ostrożnie przechodzi na swoje miejsce obok doktora Barama. Kiedy już siedzi, Vovoka spogląda na Starcem, podczas gdy jego broń pozostaje nieruchomo przy głowie Córy.

- Tak, mała kobieto - mówi subtelnym głosem w sposób bardziej teraz obcy i mroczniejszy od smutku - nie jestem człowiekiem. Jestem Ylyracochaninem, ostatnim z mej rasy. Pozostali oddali swe życie, swą esencję życiową, bym dalej mógł żyć samotnie, wypełniając nasze zadanie. Gdyż...

Tymczasem Kip zastanawia się, jak w imię siedmiu diabłów, Vovoka przeszmułował tę broń na statek Moomów i przeniósł ją przez kontrolę federalną. To pierwsze jest praktycznie niemożliwe, to drugie niewiarygodne. Sama broń wydaje się wariantem X5 daguerre'a, modelu rzadkiego, lecz nieobcego pilotom wojskowym. Jego główne zalety to dobra celność, przy tak niewielkich rozmiarach, i łatwość regulowania siły wiązki od ogłuszającej do śmiertelnej. Ale czy to aby naprawdę daguerre, a może tylko za-

bawka, nieszkodliwy kawałek plastynu dla dzieci, bawiących się w astronautów? To wyjaśniałoby jego obecność na planecie. Być może.

Teraz Vovoka zaczyna mówić. To oczywiste, że kiedy człowiek z bronią zaczyna wyjaśniać swe motywy, jego uwaga jest rozproszona w najwyższym stopniu. Obecnie jest najlepsza chwila do działania - o ile tylko Kip będzie w stanie cokolwiek wymyślić. Lecz nie potrafi - nie znając zamiarów. Vovoki - a, tak czy owak, Córy jest w zbyt wielkim niebezpieczeństwie. Ten daguerre może być prawdziwy.

W tymże momencie dostrzega nagłe drgnięcie czy też szarpnięcie uzbrojonej dłoni Vovoki i coś dzieje się przy drzwiach do salonu, tam gdzie siedział Ochter. Kip ogląda się i widzi opartego o drzwi Ochtera, trzymającego jedną dłoń w drugiej.

- Ostrzegalem pana - mówi beznamiętnie Vovoka.  
- Ale mój palec - protestuje Ochter. Na mgnienie oka unosi w górę ranną dłoń; Kip widzi, że wskazujący palec zniknął bez śladu. Kikut prawie nie krwawi, rana wydaje się wypalona. - To moja wina - mówi urywanym głosem człowieczek. - Chciałem tylko pójść do siebie, wziąć środek przeciwbólowy i trochę się położyć. Albo do szpitalika, jeżeli bardziej to panu odpowiada. Nie chciałem panu przerywać.

Ochter musiał rozumować podobnymi kategoriami co ja, myśli Kip. Dzięki bogom, że nie zaryzykował życia Córy.

Spostrzega niewielką nitkę dymu, snującą się z jednej z klamek

u drzwi, migoczącą w wielobarwnym blasku gwiazdy. Ochter musiał położyć tam rękę, gdy Vovoka odstrzelił mu palec. A Kip nawet nie zauważył, jak broń odsunęła się od Córy i wróciła na swoje miejsce, tak szybkie było posunięcie Vovoki! Och!

- Mogę teraz pójść do mojego pokoju? To oczywiste, że nie stanowię dla pana żadnego zagrożenia, a wiem, że nie jestem tym, kogo pan poszukuje.

- Proszę odejść.

Ochter oddala się, tym razem kuśtykając osrebrzonym przez gwiazdę tarasem, w stronę swego pokoju.

Ten postępek Vovoki wstrząsa Kipem. "Kogo pan poszukuje"

- podświadomie, jak pojmuje teraz, zakładał, że chodziło o Ochtera. Teraz oczywiste staje się, że tak nie jest. Bogowie, w takim razie - kto? Zannez? To mało prawdopodobne. Ale Baram to lekarz ksenolog, zajmował się wszelkiego rodzaju obcymi. Czyżby był to jakiś szalony dawny pacjent? Albo krewny? Och, bogowie wszechświata, błagam, byle nie Bram.

- Może skończymy z tym nonsensem? - wzdycha Vovoka.

- Nasze dochodzenie wykazało, że wbrew opowieści, której dzisiaj wysłuchaliście, pozostał jeszcze jeden, ostatni członek załogi.

Bardzo młoda osoba. Wygląda na to, że artylerzyści odmówili wykonania rozkazu swego szalonego dowódcy. Jedynie ta młoda osoba, niewiele więcej niż dziecko, zgodziła się wycelować i odpalić tego tak zwanego niszczyciela planet. - Wzdycha ponownie. -

Pochłonęło to wiele lat i ofiar, lecz nasi informatorzy zlokalizowali

w końcu ową osobę - tutaj, na Damianie.

Przez cały czas Córy wykazuje dziwny spokój i potulność, z którą od samego początku poddała się Vovoce. Lecz następne słowa obcego wstrząsają nią.

Vovoka spogląda na Kipa.

- A dziś wieczorem usłyszałem potwierdzenie naszej informacji z twych własnych, chełpliwych ust. Kiprugecie Korso, odrażający zbrodniarzu, gotuj się na śmierć.

- Nie! Nie! Nie! Nie! - krzyczy Córy. I ku zdumieniu wszystkich chwytą uzbrojoną dłoń Vovoki obiema rękoma i przyciska ją mocno do swej głowy.

- Nie! - Kip także krzyczy. - Nie rób jej krzywdy - ona straciła rozum! Dalej, zabij mnie, skoro już musisz kogoś zabić.

- Nie zamierzam skrzywdzić tej kobiety, chyba że mnie do tego zmusi - mówi Vovoka do Kipa. - Daję ci te kilka minimów na przygotowanie się, tak abyś umarł jak Ylyracochanin.

Córy bierze się w garść.

- Ser Vovoka, proszę mnie wysłuchać! Czy perspektywa zabicia niewłaściwej, niewinnej istoty i pozwolenia, by winowajca uszedł bezkarnie, wcale pana nie martwi? -• pyta. - Zwłaszcza jeżeli, jak pojmuję, jest to pańska ostatnia szansa?

- Owszem, martwi, i to bardzo - odpowiada powoli Vovoka.

- W takim razie proszę zapomnieć o Kipie. On nie jest tą osobą. Wiem to, ponieważ, ponieważ... - Jej słowa są urywane i rozmazane, niewidzące oczy spoglądają ku niebu, jak gdyby w jej

umyśle upiory usiłowały wyrwać się z grobu na świat.

- Ponieważ ja to zrobiłam! - krzyczy. - Tak - mówi

chrapliwym głosem - byłam majtkiem na Denebie. W tych ostatnich dniach Jeagerowi zostałam tylko ja. Zrobiłam to dla niego.

- Te słowa wydzierają się jej z gardła z olbrzymim wysiłkiem.

- Ja to zrobiłam. Wycelowałam i odpaliłam raketę. Ja jestem właściwą osobą, tą, której pan szuka. Musi mnie pan zabić.

Serce Kipa bije szaleńczo, szarpie się w piersi. W ogóle nie przyjmuje do wiadomości, nie dopuszcza do siebie tego, co mówi Córy, nie chce pamiętać tego, co wymknęło się jej w najwcześniejszych dniach ich związku, kiedy wspomniała, że po ostatniej wojnie przebywała w Rehabie. Co z tego? Wielu tam trafiło. Ale jest oszołomiony. Potrzebuje chwili spokoju, by pokrzyżować ten szalony, niebezpieczny pomysł Córy.

Niespodziewanie odzywa się Zannez:

- Ser Vovoka, czy moje dziewczyny mogłyby wstać i pójść po swoje rzeczy. W tej metalowej koronce jest im zimno. Proszę spojrzeć, jedna z nich aż drży.

Stareem i Bridey, odziane w swe nowe eleganckie stroje, siedzą w fotelach, obejmując się ramionami.

- Niech tak będzie - odpowiada poważnie Vovoka. - Nie zamierzam dopuszczać się niepotrzebnego okrucieństwa.

Dziewczęta podnoszą się i pospiesznie znikają za zasłoną. Kip posyła Zannezowi wdzięczne spojrzenie i na gwałt zaczyna snuć plany. Bridey i Stareem wracają w kusych strojach APK.

Kip śmieje się ostrym, szyderczym śmiechem.

- Niepotrzebnego okrucieństwa - powtarza. - Och, tylko nie to! - Czy będzie w stanie rozwścieczyć Vovokę do nieprzytomności? Nic z tego: obcy nawet na niego nie patrzy.

Córy pozostaje spokojna, lecz wciąż przyciska do czoła broń Vovoki. Na próżno - kiedy tylko zechce, jest w stanie bez trudu ją uwolnić.

- Pańscy szpiedzy nie mylili się, ser Vovoka - mówi ciężko.

- Zbrodniarz jest wśród nas. Lecz grozi panu zmarnowanie całego waszego wielkiego wysiłku, biorąc Kipa za mnie - jak to już się raz zdarzyło, prawda? Widzi pan, wiem o dwóch Davach Calto-sach. Ale w owym czasie byli jeszcze inni członkowie pańskiej rasy, władni naprawić taki błąd. Teraz mówi pan, że jest pan ostatnim z nich. Na pewno ma pan rację. A ja jestem w stanie udowodnić panu, że to byłam ja. Że to ja jestem poszukiwanym przez pana zbrodniarzem, nie Kip. To mnie musi pan ukarać.

- Zamilcz, kobieto. Twoje wysiłki, zmierzające do uratowania twego partnera są, zapewne, godne podziwu. Lecz bezcelowe.

Jeżeli żywiłem jeszcze jakieś wątpliwości, pozbyłem się ich, gdy usłyszałem chełpliwy i żartobliwy ton, jakim opowiedział tę historię - podczas przygotowywania jedzenia. Pozwól teraz temu zwierzęciu pogodzić się z nieuniknionym i umrzeć z taką godnością, na jaką go stać.

- Och, nie, nie - ten ton, to jego głupia słabość - kiedy ludzie, którzy go znają, słyszą go, wiedzą, że opowiada fałszywe

historie o tym, czego nie zrobił. Proszę pozwolić mi nakłonić go do opowiedzenia o rzeczach, które uczynił, a usłyszysz pan jego prawdziwy głos.

- Ach, ona próbuje tylko zbić pana z tropu, Vovoka. Proszę zaufać swoim szpiegom, zastrzelić mnie i skończyć z tym wreszcie.

- Ser Vovoka! Czy pańscy informatorzy podali panu płeć tego zbrodniarza? A może założono z góry, że musiał to być mężczyzna? Proszę posłuchać - potrzebujemy faktów. Ja mogę ich panu dostarczyć i udowodnić ich prawdziwość! Proszę pozwolić mi na dziesięć zdań - błagam pana z całego serca. Jeżeli odmówi pan wysłuchania tak niewielu słów, wielka misja pańskiego życia skończy się wstydem i pośmiewiskiem.

Teraz w oczach obcego zapala się gniew, lecz ryzyko, na jakie zdecydowała się Córy, okazuje się właściwie.

- Mów.

- Po pierwsze, Kip nigdy nie był na pokładzie, ani nawet w pobliżu Deneba. O całej tej okropnej sprawie wie tylko tyle, ile jak idiotka starałam się sobie przypomnieć podczas naszych pierwszych kilku lat. Stary - Deneb był stary - znacznie różnił się od innych krążowników klasy X. Pytanie czy dwa dotyczące szczegółów jego konstrukcji dowiedzie, że Kip nigdy nie był na Denebie. Lecz nie dysponujemy Denebem ani jego planami. Czy może był pan na jego pokładzie, zanim wysłano go na zniszczenie?

- Nie.

- Szkoda. To, co by pan zobaczył, rozstrzygnęłoby naszą



kwestię w mgnieniu oka. Być może nawet widziałby pan i mnie - byłam członkiem ostatniej szkieletowej załogi. Przedtem, oczywiście, byłam majtkiem na Denebie. To ja byłam tym młodym głupcem, który wciąż wierzył, że kapitan Jeager jest ostatnim wielkim bohaterem-bogiem. Tak więc, kiedy artylerzyści odmówili potraktowania naszymi niszczycielami planet klasy L tej "broni" wielkiej jak cała planeta, wyzwalam ich od tchórzy i buntowników. Przekonałam Jeagera, że nauczyłam się na pamięć wszystkich instrukcji obsługi - tak było - i że dla niego będę w stanie sama to zrobić. Gdybyśmy mieli czas, mógłby mnie pan zapytać o cokolwiek - stosunek masy do ciągu, ładownice grawitacyjne, oznakowania, procedurę uzbrajania pocisków, ustawienia przyrządów, miejsce trafienia - ale go nie mamy. Moment - to wszystko rozstrzygnie się za chwilę: Kip, kiedy, jak mówisz, odpaliłeś' pocisk, jaki był twój ostatni widok celu, zanim włączyła się automatyka, i co zobaczyłeś?

- Cóż, komputery wszystko sobie dokładnie obejrzały - Kip jest opanowanym hazardzistą - a ponieważ słońce było za celem, widziałem jedynie wielki sferyczny obiekt, robiący wrażenie nie wykończonego, i prace konstrukcyjne trwające na lśniącej krawędzi. A...

- Słyszał pan, ser Vovoka? Komputery. - Deneb nie dysponował komputerami zdolnymi zaprogramować pocisk klasy L! To ja wprowadziłam przeliczniki i samodzielnie wycelowałam główną wyrzutnię, kierując się własnym wzrokiem. Byliśmy wyposażeni w stary celownik artyleryjski AW-4 o prymitywnych nit-

kach. Jeagerowi za bardzo trzęsły się ręce, a byliśmy sami, więc to ja wycelowałam na wycucie i wystrzeliłam. Chociaż brzmi to niewiarygodnie. Lecz najstraszniejsze jest to... - Traci panowanie nad głosem; wydaje się, że przemocą wydziera słowa z krtani. - Och, ser Vovoka, ta głowa i twarz. Ta twarz uformowała się powoli, podczas gdy celowałam - pierwotnie jej tam nie było. Piękno. Transcendentalne - bez słów. A ja wycelowałam i strzeliłam prosto między oczy. Musiałam patrzeć, jak rozdyma się, okropnie zniekształca i rozpada. Chociaż byłam dzieckiem, wiedziałam, że uczyniłam coś potwornego. Ten straszny blask... - nikt, kto to kiedykolwiek... nie mógłby...

Cała rozdygotana bierze głęboki oddech. Wszyscy wpatrują się w nią jak zahipnotyzowani; Starcem bezgłośnie szlocha.

- Wciąż jeszcze ją widzę - bardzo cz-często. Za dnia jest najgorzej, widzę nitki celownika, przecinające się na niebie. Nigdy nie będę wolna. Ser Vovoka, czy uwierzy mi pan, że nie byłam nieszczęśliwa, kiedy wydawało mi się, że mnie pan odnalazł? Czy nie czuł pan tego?

- Lecz potem, kiedy przeniósł pan podejrzania na Kipa - och, mogę pana jedynie błagać, błagać, błagać - proszę nie popełniać błędu, zabijając biednego, niewinnego Kipa - i zostawiając mnie samą z tym...

Całkiem lekceważąc obecność broni w ręce Vovoki, na moment kryje twarz w dłoniach, a potem spogląda na partnera.

- Ukochany... ukochany, pozwól mi odejść. To będzie spr-

wiedliwe. A teraz już wiem. Tak będzie łagodniej.

Twarz Kipa wykrzywia się, lecz nie jest głupcem i dalej walczy o tę miłość.

- To podstęp! - woła do Vovoki. - Powinna zostać aktorką, próbuje pana sprowokować. Ja też widziałem twarz, o której ona mówi - to oczywiste, ja jej o tym opowiedziałem. Prześladowała mnie przez pewien czas. Lecz nasze rasy są takie odmienne, ser Vovoka. Co dla was było niemalże bogiem, dla mnie było jedynie piękną rzeźbą wokół bomby zdolnej rozsadzać słońca. A to, co odebrał pan jako "chełpienie się", to zaledwie przejaw tego, że dla mężczyzn naszej rasy jawne okazywanie uczuć jest czymś niewłaściwym, i im bardziej poruszający temat, tym bardziej niestosowne jest zdradzanie się z wywołanymi przezeń emocjami. Czy mi przykro? Oczywiście, że tak - niewypowiedzianie przykro. Przez jakiś czas zastanawiałem się nad odebraniem sobie życia.

Podczas tej przemowy Córy siedzi wyczerpana w milczeniu, spoglądając błagalnie na Vovokę, obiema roztrzęsionymi dłońmi wciąż przyciskając broń do czoła. Pozostali przyglądają się zafascynowani. Nad ich głowami olbrzymi diament gwiazdy rośnie, zmienia się, pulsuje, podczas gdy wszędzie dookoła światło zorzy migocze tak, że logiczne rozumowanie i argumentacja stają się coraz trudniejsze. Wspaniałość, od zwyczajnego przepychu, przechodzi w coś rodem z krainy niesamowitości.

Vovoka przygląda się im obojgu w milczeniu. Kip, odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie, nagle zdaje sobie sprawę ze swej

lekkiej dezorientacji i przypomina sobie, jak Vovoka przypatrywał się Ochterowi. Och, bogowie, nie - czyżby obcy czytał w ich myślach? Szybko, przerwij to - mów, powiedz coś!

Chwytając się kurczowo wspomnienia plotki, krążącej przed laty wśród pilotów, mając nadzieję wbrew nadziei, że odnosi się ona do Jeagera i że jego głos maskuje wzbierającą panikę, Kip mówi:

- Ponadto, choć Cór utrzymuje, że była wtedy majtkiem, była przecież kobietą, zgadza się?

- Tak się składa - pańscy informatorzy będą w stanie potwierdzić to drogą radiową - że Tom Jeager nie cierpiał kobiet na swoim okręcie. Widzi pan, on był naprawdę szalony - choć być może żywił też na wpół racjonalną niechęć do emocjonalnych wybuchów takich jak ten, którego był pan właśnie świadkiem - wybac mi, Cór. Ale sam pomyśl, by pozwolić majtkowi na odpalenie ich - naszej - najpotężniejszej broni, i to ręcznie, to czysta fantazja. Nie przypominam sobie ani jednej kobiety na Denebie. Zazwyczaj udawało mu się znaleźć jakiś pretekst, by pozbyć się ich w pierwszym porcie, do którego zawijaliśmy.

- Bzdura - mówi słabo Córy. - Bz-zdura!

Vovoka wydaje z siebie wieloznaczny dźwięk. Ostrożnie uwalnia dłoń z uścisku Córy i z wewnętrznej kieszeni swej tuniki wyciąga niewielki plik pociętych ukośnie papierów. Zapewne wydruk z komputera obcych, myśli Kip. Serce w nim zamiera, podczas gdy Vovoka przegląda stronę po stronie z szybkością błyskawicy.

- Czy Irien to u ludzi imię męskie czy żeńskie?

- Żeńskie - odpowiada z determinacją w głosie Córy.
- Męskie - stwierdza Kip.
- A Glynnis?
- Trudno orzec.
- Albo albo - mówi cicho Córy. Dłonie trzęsą się jej jak galareta; delikatnie wypuszcza także i uzbrojoną dłoń Vovoki. Obcy stoi, celując prosto w niego i czyta dalej:

- Lee?
- Męskie - mówi Kip.
- Chyba że p-pisze się je przez "i", "Li" - wydusza z siebie Córy.

Również i dłonie Kipa dygoczą, serce bije jak oszalałe. Czyżby naprawdę wygrał? Czyżby to naprawdę o Jeagerze Kenter uczynił ową zdawkową uwagę dwadzieścia lat temu? Na to wygląda? Przez moment triumfuje, nie przejmując się tym, że "zwycięstwo" może oznaczać jego śmierć.

Wtedy Vovoka odzywa się:

- Nie przypominasz sobie żadnych kobiet na pokładzie De-neba. A jednak, nawet po odjęciu tych niejednoznacznych przypadków, lista załogi zawiera trzydzieści dwa imiona, które w moim mniemaniu należą do kobiet.

A więc Kip mimo wszystko przegrał. Świat rozsypuje się wokół niego, lecz zmusza się do odpowiedzi równym i zaczepnym głosem:

- Na przykład? - pyta.

Obcy wzdycha i zerka na swój przekłęty wydruk. Spojrzenie

Kipa wędruje ku efektownej gwiazdzie, potem niespiesznie i znacząco przesuwa się po twarzach Zanneza i jego grupy. Zaskoczenie, przewaga liczebna, to jedyna nadzieja, jaka im pozostała.

- .. cztery, Kara, dwie - mówi Vovoka - Marye, trzy, Rhealune i Realune, pięć, Aytha, dwie.

- Och, niech ci będzie - mówi Kip, spokojem maskując desperację - to wszystko, proszę o wybaczenie, imiona typowe dla zwykłych niewykwalifikowanych robotnic. Kobiet z planet takich jak Shoofly, gdzie nikt nie dba o ich wykształcenie. To mogły być jakieś kucharki czy magazynierki, kobiety z obsługi, pracujące nocami albo w zamkniętych obszarach, gdzie nigdy się nie wchodzi. Wciśnięte Jeagerowi przez stare ustawodawstwo o równouprawnieniu.

Kątem oka Kip widzi, jak Snake rozwiązuje szlafrok, podczas gdy Zannez zaciąga swój.

Vovoka raz jeszcze spogląda na listę i ostatecznym tonem stwierdza:

- Komandor porucznik Tali Temarovna, oficer łączności.

Bez widocznego ostrzeżenia Kip rzuca się całym ciałem na wysokiego obcego, obiema rękoma blokując uzbrojone ramię Vovoki, podczas gdy nogami przyciska jego drugą rękę do torsu. Ciało obcego jest twarde niczym kamień.

- Łap za broń, Cór! Broń, broń!

Ale Córy nie wykonuje żadnego ruchu.

Jego słowa niemalże zagłusza nagły zryw - Zannez i Snake

pędzą ku nim przy parapecie, Ek i Bridey obiegają łóżko, by zaatakować Vovokę z drugiej strony, nawet mała Starcem, kompletnie naga, gna w jego stronę. Masa ciał, zdolna wyrzucić robota, kieruje się ku obcemu.

Doktor Baram łapie Linnix za pas, kiedy dziewczyna rzuca się na pomoc, pociąga ją na powrót na fotel obok siebie. Sam dalej siedzi czujnie przy łóżku. Mały księżę Pao postępuje jeden krok w stronę Vovoki, potem zatrzymuje się i, marszcząc czoło w zamysleniu, cofa się, by stanąć u boku Barama.

Brakuje jeszcze tylko paru milisekund - ale w tej sytuacji wystarczają. Kip stwierdza, że jego dłonie ściskają powietrze - Vovoka jednym szarpnięciem uwolnił swoją uzbrojoną rękę równie łatwo, jak gdyby wyciągał ją z wody. Kip rzuca się, by ją pochwycić, lecz wtedy słyszy szybkie szczęknięcie broni - zmiana ustawienia - po czym Vovoka omiata nadbiegających syczącym promieniem. Czworo ludzi w pół kroku staje się bezwładnymi - padają, wywracają się, toczą, zatrzymują w plątaninie rąk i nóg przy konsoli. Jedynie Snake pozostał nietknięty, wciąż zbliżając się po parapecie. Obcy wstrzymuje ogień i nagłym skokiem zmienia pozycję - gdyby teraz strzelił, chłopak bez wątpienia spadłby między drzewa w dole.

- Są jedynie ogłuszeni - mówi Vovoka do Córy. Jego słowa rozlegają się tak szybko, że brzmią piskliwie, są ledwie zrozumiałe, niczym odtwarzane ze zwiększoną prędkością. Kip, łapiąc za twardą jak granit szyję obcego, pojmuję, że Vovoka dysponuje jakimś superwysokim biegiem, na który może przestawić swe ciało.

Porzucając wszelkie konwencje, Kip niczym szaleniec uderza w oczy obcego. Chronione są twardą, przezroczystą skorupą; Vovoka jedynie mruga w zniecierpliwieniu. Kip wyszarpuje swój nóż, by tnąc wokół oka, dostać się do gałki ocznej, o ile dźgnięcie nie przebijie osłony.

Obcy uprzedza go, zanim jeszcze rozprawia się ze Snake'em.

Kip wyczuwa jedno niewiarygodnie szybkie i potężne napięcie mięśni, czuje, że zostaje złapany za nogę i rękę - oderwany od Vovoki - i ciśnięty przez taras.

Ląduje twardo, podgiętą nogą uderzając o kant ciężkiego stołu, w głowie huczy mu od ciosów. Obraz faluje mu przed oczyma, wiedziony odruchem, gramoli się na nogi, w niewyraźny sposób świadom ciał poruszających się wokół konsoli, kiedy noga ugina się pod nim, a wtedy z powrotem pada ciężko na ziemię.

Dźwiga się raz jeszcze, trzymając się fotela i próbując zmusić swą zdrową nogę, by podparła całe jego ciało. Taras jest ciemno-srebrzystym chaosem bólu i cierpienia, w który próbuje wkroczyć - by upaść jeszcze raz, uderzając czołem o fotel.

Moment oszołomienia, który wykorzystuje, by krzyknąć: "Cór, kocham cię!" - a potem świat gaśnie i nie powraca.

Gdy Kip upada, doktor Baramji cicho wstaje z miejsca.

Spogląda na Kipa, na Córy - która przez cały ten czas jedynie poruszyła głową, śledząc poczynania Kipa - a potem na obcego.

Vovoka stoi przy konsoli, dopiero co zablokowany obunożny cios karate Snake'a, ściągnąwszy go bez jednego zadrapania na



ziemię i ogłuszywszy go swoją bronią.

Pod maską opanowania Baramji wiję się w męce. Mięśnie bolą go od wysiłku, z jakim stara się powstrzymać przed samobójczym atakiem na tego obcego, który zranił Kipa i grozi - co niewiarygodne - zniszczeniem Córy. To niewiarygodne - lecz aż nadto przekonujące dla Barama, który od dawna wyczuwał cień pod pogodą ducha Córy. Pierwsze słowa jej wyznania natychmiast zabrzmiały prawdziwie; przerażony zrozumiał, że tego szoku żaden Rehab nie był w stanie wymazać z jej młodego umysłu.

A jednak, żeby to przydarzyło się Cór! Córy, którą tak głęboko kocha, Córy, która była dla niego ostatnią deską ratunku, kiedy odeszła jego własna partnerka - tylko jeden nieubłagany fakt może powstrzymać go przed próbą rzucenia się jej na pomoc.

Jego obowiązek. Wiąże go obowiązek; jest zaprzysiężonym strażnikiem Dameii, w imieniu ludzkości; najprawdopodobniej jedynym, jaki pozostał. A Dameii prawdopodobnie są teraz w niebezpieczeństwie.

Wydarzenia minionych godzin ułożyły się Baramjiemu w kompletny obraz - nawet jeszcze szybciej niż w przypadku Kipa -• pogłębiające się przekonanie, że zagraża im niebezpieczeństwo ze strony Ochtera, Hinera i Yule'a. Nie podparte dowodami, ale nie do obalenia w racjonalny sposób. Dopóki się nie upewni, że Dameii są bezpieczni, samotny strażnik nie może poświęcać się dla przyjaźni czy jakiegokolwiek osobistej troski. A teraz do jeszcze innego postępowania zmusza go poczucie obowiązku lekarskiego - rozdzierający potrójny dylemat.

Zwraca się do obcego, rozpaczliwie poszukując jakiegoś wyjścia, wszystko jedno jakiego - czegokolwiek - czego mógłby spróbować.

- Ser Vovoka, czy jako lekarz mogę podejść do Kipa? Wyraźnie złamał nogę i wydaje się też, że odniósł i inne obrażenia.

My r Linnix będzie też musiała pójść ze mną do szpitalika po łupki i środki opatrunkowe.

- Zrób to. - Przyspieszony głos Vovoki zwalnia i obniża barwę w trakcie mówienia. - Żałuję... Czy to dlatego nie przyłączyłeś się do ataku na mnie?

- Nie. Uważałem, że muszę być w formie, i to nie tylko ze względu na zamieszanie spowodowane przez pana, a i szansę powodzenia wydawały się nikłe.

- Mądrze.

- Proszę mi powiedzieć, czy ci nieprzytomni ludzie doznali uszkodzenia mózgu albo innych obrażeń, oprócz tych widocznych gołym okiem? Będą potrzebowali mojej pomocy?

Vovoka zdążył się już odwrócić; teraz obraca się zniecierpliwiony.

- Nie. Obudzą się za jakąś godzinę, równie zdrowi co przedtem, tyle że zapewne posiniaczeni. Teraz, doktorze, bierz się za wypełnianie swych obowiązków.

Nagle Baram zauważa możliwe wyjście.

- Ale co z pańskim obowiązkiem, ser Vovoka. Czy zignoruje pan ten szczytny obowiązek, tak wyraźnie spoczywający na pań-

skich barkach?

Oczy obcego posyłają mu pogardliwe spojrzenie - lecz Vovoka zatrzymuje się.

- Unieszkodliwił pan już jednego strażnika Dameii. W imię gwiazdnej sprawiedliwości nie wolno panu unieszkodliwiać drugiego przed nadejściem wsparcia. Niewinni Dameii wycierpieli przynajmniej tyle samo, co Ylyracochanie - mówi twardo Baram, gdy w oczach Vovoki zapala się ogień - są i gorsze rodzaje śmierci. Apeluję do pana, by odłożył pan swą pomstę na myr Córy. Jak pan sam widzi, ona poczeka.

Vovoka spogląda w bok, na Córy, która sprawia wrażenie, jakby ich nie słyszała; jej spojrzenie ani na moment nie odrywa się od Kipa.

Vovoka zwraca się na powrót do Baramjiego. Wydaje się stawać bardziej obcy z każdym upływającym minimem, jakby miał problemy ze zrozumieniem ludzkiego apelu.

- Odłożył? - mówi z wysiłkiem. - Żałuję. Spośród wielu powodów... Wkrótce umrę.

Nadzieja Barama również umiera. Czyżby czekał zbyt długo ze zwróceniem się do Vovoki?

- W takim razie pańskim obowiązkiem jest powiedzenie mi przynajmniej jednego - ciągnie rozpaczliwym tonem. - Czy wie pan o jakimś spisku wymierzonym przeciw Dameii? Czytał pan nasze myśli - czy odczytał pan u kogoś groźbę pod adresem Dameii? Odczytał pan?

Twarz Vovoki zdradza dziwny, jakby marzycielski brak sku-

pienia.

- Avra ki, avra koi - mówi w języku nieznanym Baramowi.

Potem ostatecznie się odwraca.

Baram przeklina sam siebie, choć nie widzi za bardzo, jak inaczej mógłby postąpić. Podchodzi do Kipa. Linnix zrobiła, co było w jej mocy, by ułożyć go jak najwygodniej.

Szybkie oględziny ujawniają proste złamanie prawej piszczeli i strzałki, rozbabrane przez Kipa podczas prób wstania na nogi, oraz wstrząs mózgu nieznanego stopnia. Normalnie Baram natychmiast zabrałby go do szpitalika na kompleksowy skan mózgu, lecz teraz musi pozostać na tarasie i wypatrywać ewentualnej okazji, by pomóc Córy, jakkolwiek mało prawdopodobne by to było. Poza tym dobrze by było złożyć tę nogę, dopóki Kip jest jeszcze nieprzytomny.

Zabierając ze sobą Linnix w charakterze tragarza, zagląda szybko do ambulatorium, by przynieść z niego przenośny skaner i apteczkę. Otwiera sejf, używając jego podświetlonej tarczy, kiedy dłoń Linnie klepie go po ramieniu. Obraca się i widzi niewielki cień wślizgujący się przez drzwi szpitalika. Rozlega się ciche skrzypnięcie.

Pao! Chwileczkę - może to właśnie ta sposobność?

- Książę, słyszysz mnie? - woła cicho Baram.
- Nie musi pan krzyczeć - odpowiada zza ich pleców Pao.
- Muszę poprosić cię o coś, co może być niebezpieczne. Masz absolutne prawo mi odmówić.

- O co chodzi? - pyta Pao praktycznym tonem.
- Czy myślisz, że byłbyś w stanie przekraść się nie zauważony do pokoju Hinera i Yule'a i sprawdzić, czy śpią, jak powiedział Ochter, czy też ich tam nie ma albo są w pełni przytomni i coś knują? Jeżeli śpią, świetnie - problem nie istnieje. Jeżeli zniknęli albo coś knują, wszyscy mamy wielkie kłopoty. Tu właśnie kryje się niebezpieczeństwo - mogli wystawić wartownika albo zastawić pułapkę. Nie zwracałbym się z tym do ciebie, gdyby był jakiś sposób, bym sam mógł się tym zająć, a ponadto nie wypada prosić
- Baram w ostatniej chwili powstrzymuje się przed powiedzeniem "chłopca" i kończy - gościa o wykonywanie za nas czarnej roboty. Jego takt okazuje się niepotrzebny.
- Mój młodszy brat służy w naszej służbie patrolowej - informuje go chłodno Pao. - W naszej opinii większość dorosłych mężczyzn nie nadaje się do pełnienia służby zwiadowczej. W jaki sposób mam panu zasygnalizować o sytuacji, kiedy już powrócę?
- Hmm - mówi Baram. Kątem oka przechwytuje intensywne spojrzenie Linnix.
- Jeśli wszystko jest w porządku, po prostu tak powiem - odpowiada za niego Pao. - Tak samo, jeśli nie ma ich w pokoju, a pan będzie sam. Jeśli Ochter - zakładam, że to pana niepokoi
- jeśli on tu będzie, wydam z siebie burkot, taki jak ta jaszczurka, która się tu pętała. - Przerzywa i moment później za nimi rozlega się metaliczny tryl nocnego śpiewaka. - Jeden, jeśli ich nie ma, dwa, jeśli są w okolicy i coś knują. Zapamiętał pan?

- Jeden oznacza, że zniknęli, a dwa, że są w pobliżu - powtarza Baram w stronę nocnych ciemności.

- Dokładnie tak. Aha, przy okazji, jeżeli w sejfie chował pan wasze tochari, czy mógłbym wziąć jednego? Wiem, że są radowane.

Chłopak niewiele przepuszcza; Baram wyciąga tochari z otwartej skrytki i podaje go ciemnościom.

- Dziękuję. - Głos oddala się. - Czy zauważył pan, że główne drzwi do salonu są zaspawane na amen? To robota broni Vovoki. Cień przesłania na moment drzwi do ambulatorium, a potem znika.

- Zdziwiający chłopak. - Baram zapala światło i widzi, że Linnix uśmiecha się szeroko. Zaraz wszakże poważnieje.

- Doktorze Bram, naprawdę sądzisz, że ci dwaj i doktor Och-ter mogliby, mogliby...

- Nie wiem, Linnie. O, tu są duże łupki. Istnieje możliwość, że Och-ter jest bardzo niebezpieczny. Bez cienia wątpliwości, gdyby wydarzenia potoczyły się zgodnie z jego scenariuszem, wszyscy bylibyśmy teraz nieprzytomni. Ale równie dobrze może być całkowicie nieszkodliwy, tak jak wskazywałby na to jego wygląd.

W każdym razie chcę, żebyś trzymała się od niego z daleka, dopóki się tego nie dowiemy. - Delikatnie potrząsa jej ramieniem. - Słyszysz mnie?

- Tak. Tak. To znaczy, że oni... sprawa "Gwiezdných łez".

Och, nie!

- A cóż by innego? Podaj mi, kochanie, tamten specyfik.

A teraz wynieśmy to wszystko. Ja wezmę też te koce.

Linnix sięga po środki przeciwbólowe. Jej brwi marszczą się, kiedy gasi lampę.

- Yule i Hiner - szepcze. - Czyli lodousypiacz...

- Mógł zostać podmieniony. Tak. Chodźmy już.

Ale zatrzymuje się jeszcze na moment.

- Ja, ja nie chciałem cię wystraszyć, kochanie. - Choć miał właśnie wykrztusić z siebie: "Ja cię Kocham".

j

- Nie wystraszyłeś, tato. - Posyła mu ledwie widzialny, zza dźwiganej przez nią sterty pościeli, łobuzerski uśmiech.

Kiedy wracają na taras, Córy schyla się nad głowę Kipa, całując i głaszcząc nieprzytomnego mężczyznę. Ser Vovoka stoi za jej plecami. Kiedy Baram jest już blisko, wyniosły obcy ujmuje ją delikatnie za ramiona i na wpół odciąga, odwracając w swoją stronę.

Córy opiera się tylko symbolicznie.

Baram i Linnix obchodzą ich i zabierają się do pracy przy nodze Kipa.

- Będziesz miała czas na pożegnania dowolnie długie i na osobności - mówi Vovoka. Wydaje się, że przy Córy odzyskał umiejętność wystawiania się po ludzku. - Przysięgam na mój honor. - Rusza z nią w stronę jej fotela.

Ku przerażeniu Barama, Linnix niespodzianie staje im na drodze.

- Proszę, niech pan nie robi krzywdy mojej córce - błaga. -

To taka dobra osoba. Cokolwiek uczyniła, będąc dzieckiem, zrobiła to z lojalności. Proszę ją oszczędzić, ser Vovoka, proszę.

Uzbrojona dłoń Vovoki unosi się złowieszczo, lecz Linnix nie ustępuje. Kochana, odważna, mała idiotka! Baram rusza, by stanąć między nią a Vovoką. A jednak obcy znajduje w sobie dość cierpliwości, by odpowiedzieć:

- Młoda kobieto, czy nie słyszałaś co powiedziała do swego partnera, gdy prosiła, by pozwolił jej odejść? "Tak jest zarówno • sprawiedliwie, jak i łagodnie". Mówiła prawdę, choć nigdy nie poznasz powodu. A teraz czy zadowala cię to, czy też cię także będę musiał powstrzymać?

U jego boku Córy przytakuje mu bez słów.

Linnix zakrywa dłonią zalane łzami oczy i pozwala Baramowi odciągnąć się na bok. Vovoka podprowadza Córy do fotela. i

Kiedy jest już usadowiona, mówi do niej:

- Spójrz w górę.

Linnix i Baramji przerywają opatrywanie Kipa, by również popatrzeć.

Miejsce wielkiego diamentu na niebie zajmuje teraz wielka, kolistą tęczą, otoczona pomniejszych łukami, parhelionami o barwach i lśnieniach, jakich nigdy nie posiadały normalne tęcze - wymykające się wszelkim próbom opisu. Jej zewnętrzna krawędź błyszczy niesamowitymi strumieniami barw i powoli przemieszczającymi się wachlarzami światła, omiatającymi horyzont.

Dowolna część tego wspaniałego spektralnego cudu mogłaby



śmiało pretendować do miana klejnotu, symbolu urzeczenia. Jako całość jest on niepojęty, nie do wyobrażenia, a jednak namacalnie obecny.

W samym jego centrum obraca się bezładny wir perłowych kolorów. Na ich oczach zaczyna nabierać kształtu, lecz ani Baram, ani Linnix nie są w stanie go nazwać. To głowa, być może twarz. Rozpływa się, materializuje na nowo i ponownie rozpływa zwodniczo.

Od strony Córy rozlega się chrapliwy dźwięk; ma problemy z oddychaniem. Siedzi z twarzą zadartą do góry; rozwiera szeroko oczy, jak gdyby rozpoznając ten widok. Obok niej Vovoka opiera się o parapet, także wpatrzony w riebie, jego obcą twarz przykrywa maska smutku.

- Ostatnia. - Córy łapie ciężko oddech i mówi dalej: - Byłam ostatnią, która widziała ją całą i nietkniętą, opromienioną swym pięknem. Ostatnia. - Milknie, jej oczy to rozwierają się szeroko, to zaciskają kurczowo, jak gdyby obraz ten był dla niej nieznośny, acz nieodparty. Nieutulony żal zniekształca jej niegdyś radosną twarz.

Vovoka spogląda na nią, na jego obcej twarzy pojawia się coś, czego dotąd jeszcze tam nie widzieli, cień współczucia.

- Może oszczędziłbym cię, gdybym mógł - mówi do niej.

- Nie. - Córy wciąż patrzy w niebo. - Nie teraz, nie teraz, skoro już wiem...

Obawiając się tego, co zaraz się stanie, patrzą bezradnie, jak Vovoka sprawdza broń i zmienia jej ustawienie, a potem przysta-

wia ją do jej głowy. Córy uśmiecha się blado, jak ktoś, kto czuje dotyk chłodu wśród palącego gorąca.

Linnix ściska ramię Barama; dziwna potulność, niemalże skwapliwość Córy sprawiła, że dalsze protesty stają się bezcelowe.

- Nie wiem, czy jest to litościwsze, czy też okrutniejsze - mówi obcy. - Wiedz, że moją intencją jest okazanie miłosierdzia. Wierzę, iż zasługujesz na kilka godzin pokoju i wolności, jakich nigdy nie zaznałem ani ja, ani nikt z moich pobratymców.

Broń wydaje z siebie cichy szmer. Potem Vovoka cofa ją ostrożnie od jej połyskujących włosów.

Po Córy nie widać żadnej zmiany, wciąż siedzi na swoim miejscu, spoglądając uważnie to na niego, to na nadprzyrodzony przepych na niebie.

Baram jest zbyt oszołomiony, by odczuwać radość. Co się stało? Czy z nią... Czy wszystko mogłoby być w porządku? Tuzin wyjaśnień przebiega mu przez głowę. Vovoka oczywiście nie spudłował - wygląda na zadowolonego, jak gdyby nie oczekiwał innego rezultatu. Więc niemożliwe jest, by jakiś niesamowity przypadek sprawił, by promień - czy też to, co ta broń z siebie emituje - przeciął jedynie, powiedzmy, spoidło wielkie. Nie, wylot skierowany był pod kątem w dół, w stronę rdzenia, przypomina sobie Bram. By wywołać jak największe uszkodzenia.

Chwileczkę, a może ten "strzał" był czysto rytualną "egzekucją", tak jak ów zwyczaj na Kaiters, kiedy to ludzie ginęli od symbolicznych kar? Może efekty objawiają się później, zastanawia się.

Jego myśli rozjaśnia promyczek nadziei - skoro tylko uda mu się do niej dotrzeć, prawdopodobnie będzie umiał temu zapobiec.

Teraz Córy nawet się odzywa ledwie słyszalnym głosem:

- Dziękuję. Myślę, że trochę rozumiem. Szkoda, że nie mogę tego dzielić z panem.

Vovoka uśmiecha się z wielką goryczą i rozpaczą, spojrzenie na powrót kierując ku gwieździe.

- Powinna pani wiedzieć, myr Córy, że wasz szalony kapitan miał w sumie rację. - Wygląda na to, że pragnie porozmawiać przez chwilę z jedynym człowiekiem, który jest w stanie go zrozumieć. - To była broń. Tyle że samoistnie powstała. Nasienie z kosmosu, zarodek słońca, kto wie? Najpierw objawiła się w naszych chmurach. A potem jedna czy dwie z naszych najwyższych gór zaczęły się zmieniać. Miało to miejsce wiele, wiele pokoleń temu - dziewięćdziesiąt, sto. Nasza cywilizacja była już wówczas bardzo rozwinięta. To coś przyniosło ze sobą piękno, jakiego nikt dotąd nie widział ani sobie nie wyobrażał. I pod wieloma postaciami. Nawet w drzewach, chwastach, kamieniach, takich jak te tutaj.

Mówiąc, zmienia raz jeszcze ustawienie broni, trzymając ją luźno w opuszczonej ręce. Bram nie widzi niczego, co mogłoby obrócić tę sytuację na ich korzyść.

Vovoka ciągnie dalej:

- Lecz ten cud żywił się duszami podziwiających. Kto zbyt długo wystawiony był na działanie tego piękna, stawał się w dziwny sposób niezdolny do nadziei, a jednak prześladowany niena-

zwanym pragnieniem, którego nie sposób było zaspokoić. Ty jedna spośród innych ras wiedziałaś coś o tym. Lekarze Federacji mówili o zmęczeniu komórek, lecz my wiedzieliśmy lepiej od nich.

- A kiedy to coś zgromadziło już dosyć pożywienia, i prawie skończyło z nami, zmusiło nas do zbudowania tego, co sama widziałaś. Raz jeszcze, na przestrzeni wielu pokoleń. Tak, by mogło wyruszyć przez Galaktykę, karmiąc się, rozmnażając. - Spogląda na gwiazdę, potem w dół, na kobietę.

- Zapewniam cię, nie uczyniłaś niczego złego.

Potem wyraz jego twarzy zmienia się raz jeszcze. Szybko kiwa głową w stronę Córy, a gest ten wyraźniej niżli słowa mówi "żegnaj", po czym odwraca się po raz ostatni. Jego wzrok wędruje z powrotem ku Gwieździe.

Podczas jego przemowy zmieniła się jeszcze bardziej. Kształty rozpadają się i krystalizują w odmiennych formach na całym niebie. Przez czerni nocy przepływają niematerialne wodospady i fale kolorów. Cały mrok horyzontu zniknął przegnany tą bezdźwięczną, zapęnlającą całe niebo burzą światła. Czy gwiazda dotarła już do nich, otacza ich ze wszystkich stron? Czy istotnie znajdują się teraz w jej wnętrzu?

Vovoka zerka pobieżnie na odczyty z konsoli i kiwa głową.

Baram słyszy, jak bierze głęboki oddech.

Potem wyrzuca obie ręce w górę, jak wtedy gdy pierwszy raz zwrócił się do gwiazdy. Tym razem w jednej z nich trzyma broń.

- Do końca wypełniliśmy two polecenie, o świetliście okrut-

na. Nie pozostał nikt oprócz mnie, a i ja odejdę wkrótce. A twa pomsta stała się naszą, o nienasycona. Twa ambicja była zbyt chętna, twa nienawiść do tych, którzy cię skrzywdzili, zbyt absolutna.

- Tak więc teraz staniesz się na powrót tym, czym byłeś tak dawno temu - niczym, nasieniem gnany wicherami kosmosu, skąd pochwyliśmy cię na naszą zgubę. Averane!

Powoli opuszcza ramiona.

Kiedy broń mija jego głowę, odzywa się ponownie, krótkim, delikatnym brzęczeniem. Jest ono tak ciche, a zachowanie Vovoki tak spokojne, że przez mgnienie oka trójka obserwatorów nie zauważa, iż jego głowa po prostu zniknęła. Jego szyja kończy się gęstą szaropurpurową mgiełką, rozpraszającą się w powietrzu. Nie ma strumienia krwi; kikut szyi wydaje się dokładnie skauteryzowany.

Przez moment bezgłowe ciało stoi oparte o parapet, potem wolno osuwa się na płyty tarasu. Z metalicznym brzękiem broń wypada z martwej dłoni i odsuwa się w cień.

#### XIV

Nowa rośnie:

Algotoksyna

Pełna zadumy cisza zapada na tarasie po apokaliptycznej śmierci obcego.

Jest tak spokojnie, w niesamowitym blasku padającym z nieba, że Baram, wykańczający tymczasowe łupki unieruchamiające nogę Kipa, słyszy szmer gałęzi drzew po nawietrznej stronie motelu,

a potem cichy jęk wiatru, który z niewytłumaczalnego powodu niepokoi go. Linnix, pomagająca mu z drugiej strony, chyba również go słyszy, i marszczy czoło.

Ten bezruch brutalnie uświadamia Baramowi, że spośród tuzina obecnych tu ludzi jedynie on, Linnix oraz Córy są przytomni - a Córy być może została poważnie ranna. Wciąż jeszcze siedzi tam, gdzie zastał ją upadek Vovoki, lecz obróciła się, by patrzeć na Barama zajmującego się Kipem. Robi wrażenie świadomej tego, co dzieje się wokół niej, lecz raz czy dwa Baram przyłapuje ją na wpatrywaniu się w nicłość z takim wyrazem twarzy, który aż za bardzo przywodzi mu na myśl pacjentów, którym przekazać musiał najgorszą wiadomość.

A młody Pao - gdzie podział się jego mały zwiadowca? Powinien był wrócić dawno temu. Może wpadł na Yule'a i Hinera i teraz ma kłopoty? Czyżby on sam, Baram, postąpił najgorzej, jak tylko mógł, wysyłając chłopca z taką misją?

Ktoś powinien natychmiast pójść go poszukać. I ktoś, jak najszybciej, powinien udać się do kwatery Yule'a i Hinera, by rozstrzygnąć najbardziej naglący problem: czy są pogrążeni w sztucznie wywołanym śnie, co oznacza, że Ochter rzeczywiście jest tym nieszkodliwym, przyjaznym, starym człowieczyną, na jakiego wygląda; czy też opowieść o ich uśpieniu jest kłamstwem, Ochter zaś niebezpiecznym przeciwnikiem, działającym w zмовie z nimi?

Nie wolno mu jednak zostawiać Córy ani Linnix bez opieki, podczas gdy ci trzej przebywają bogowie jedni wiedzą gdzie. I ktoś

powinien też sprawdzić wreszcie wskaźniki promieniowania, pozostawione bez opieki stanowczo zbyt długo, skoro objęła ich ta nowa, wielka fala promieniowania. A Baram powinien natychmiast zbadać Córy, nie wspominając nawet o oględzinach pozostałych. Sprzeczne pragnienia, przebiegające mu przez głowę, przerażają Barama. Od wojny upłynęło wiele czasu, myśli sobie. Wiele czasu, odkąd młodszy Baramji dawał sobie radę z kilkunastoma naraz sprawami życia i śmierci. Może zbyt wiele czasu, odkąd ostatni raz zmuszony był wziąć pod uwagę ludzkich wrogów miast mikroskopijne patogeny. Zaciąga ostatnie wiązanie i nagle przypomina mu się coś o kluczowym znaczeniu.

- Tu już skończyliśmy, Linnie. Zechcesz przejść się po tę broń, którą upuścił Vovoka? Słyszałem, jak upadła po tej stronie.

- W porządku, i zadbam też o wymogi przyzwoitości. -

Ściąga koc z zasłony Zanneza i podchodzi do parapetu niedaleko od Córy, tam gdzie spoczywa, pogrążony w śmiertelnym śnie bezgłowy ser Xe Vovoka, ostatni z wielkiej rasy Ylyracochan.

Córy podnosi się i kieruje w stronę Barama i Kipa. Baram wie-dzie za nią wzrokiem. Porusza się całkiem normalnie, lecz z wielkim znużeniem - co raczej zrozumiałe - nie dostrzega też żadnych zewnętrznych obrażeń. Niemniej jednak jego lekarskie przecucia nie zamierzają dać się uciszyć; ta broń wypaliła prosto w jej mózg.

- Córy, kochana, co on ci zrobił? Pozwól mi spojrzeć.

- Jak mocno Kip oberwał, Bram?

- Nie tak bardzo. - Próbuje zmierzyć jej puls, lecz Córy wyrywa mu nadgarstek.
- Na razie nic mi nie jest. - Jej głos nabiera mocy. - Bram, kochany, przestań patrzeć na mnie tak, jakbym zaraz miała paść trupem, i powiedz mi, co z Kipem. - Siada przy głowie nieprzytomnego. Linnix udaje się podsunąć jej zdjętą z fotela poduszkę.
- Kipowi też nic nie jest, a przynajmniej nic nie będzie za parę dni. - Zapoznaje ją ze szczegółami, jednocześnie oglądając jej lśniąca, brązową głowę, teraz oświetloną pełnią blasku gwiazdy. Nadal nie potrafi znaleźć żadnych obrażeń, nawet zaburzenia starannie ułożonej fryzury, no, chyba że byłoby nim to cienkie pasemko srebra na lewej skroni. Z pewnością było tam już od jakiegoś czasu. Kobiety ukrywają takie rzeczy. Nic więcej - tyle tylko, że jej blask wydaje się w jakiś sposób przytłumiony, jak gdyby przyglądał się jej przez mgiełkę kurzu albo delikatną, popielatą zasłonę. Zmęczenie? Gra świateł?
- Kip może się rzucać i ktoś będzie musiał go przytrzymać, kiedy zacznie odzyskiwać przytomność - kończy Baram. - Mamy też inne problemy, pilnie wymagające naszej uwagi Córy, kochanie - byłaś raczej, eee, uwiązana i nie mogłaś...
- Nie - wydaje z siebie cień dawnego, kpiącego chichotu.
- Och, Bram.
- Poczekaj, Cór. Najpierw powinnaś wiedzieć, że podczas gdy ty... jakiś czas temu skorzystałem z nadarzającej się sposobności, by posłać małego Pao z zadaniem sprawdzenia pokoju Yu-



le'a i Hinera. Powinien był już dawno wrócić. Mam nadzieję, że nie zrobiłem niczego złego, pozwalając mu tam iść; twierdził, że jest dobrym zwiadowcą.

- Najlepsze, co mogłeś zrobić. - Jej spojrzenie wędruje z powrotem do Kipa.

- Ponadto, jeżeli Ochter miał nadzieję uśpić nas wszystkich swoim winem, Vovoka wykonał za niego większość pracy. Pozostaliśmy tylko ty, ja i Linnix. A, jak być może sobie przypominasz, Vovoka wyzerował poprzedni cykl alarmu. Jeżeli wciąż myślimy o tym, co przedtem, zakładam, że zamierzasz poczekać na koniec kolejnego cyklu? A może chcesz już teraz zaalarmować Bazę? Jej spojrzenie wraca ku niemu, z jakąś częścią dawnego zdecydowania.

- Nic znaczącego się nie zmieniło - mówi w zamyśleniu - tyle tylko, że znajdujemy się w znacznie gorszej pozycji dla odparcia jakiegokolwiek ataku z użyciem siły. Wciąż nie wiemy, czy mamy do czynienia z dwoma śpiącymi lumpami i sympatycznym staruszką, czy też ze śmiertelnie niebezpiecznym przestępcą i jego dwoma współnikami, którzy być może dokładnie teraz atakują albo planują zaatakowanie Dameii. I nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć tego dylematu, nie ściągając nam i innym na głowy potencjalnie śmiertelnego zagrożenia, jeżeli gorszy scenariusz jest prawdziwy.

- Co więcej, jeżeli gorszy scenariusz jest prawdziwy i ktoś usłyszy, jak informujemy o tym Bazę, mam takie przeczucie, że bandyci polujący na "Gwiazdne Łzy" wykorzystają wszystkich

w charakterze zakładników, a potem zapewne dokonają zbiorowego mordu, zanim sami dadzą się pojmać. Z pewnością nie zostawiliby przy życiu żadnych świadków. A nie ma jak oszacować prawdopodobieństwa poszczególnych wariantów - dysponujemy jedynie podejrzanymi zbiegami okoliczności. Dlatego najmądrzej będzie postępować tak, jak gdyby najgorszy scenariusz był prawdziwy, dopóki nie będziemy pewni, że tak nie jest.

- Tak więc uważam, że jedynym bezpiecznym wyjściem jest odczekanie na uruchomienie się automatycznego alarmu po upływie następnego cyklu; wszystko dzieje się bez jednego dźwięku. A tymczasem powinniśmy trzymać się z daleka od Ochtera i wszelkich sytuacji potencjalnie narażających nas na atak.

- Jest wszakże jedna wiadomość, którą chyba możesz nadać.

- Pochyla głowę i ściąga z szyi cienki łańcuszek z zawieszonym na nim mikroprocesorem zatopionym w plastycie; insygnia jej urzędu. Jej dłonie trzęsą się tak bardzo, że zahacza nim o ucho.

- Bram czuję się dziwnie. Chciałabym, żebyś oficjalnie przejął dowództwo. Rzeczą absolutnie normalną będzie zawiadomienie Bazy o tym, i o Vovoce. Zechcesz?

- Z przyjemnością. - Spostrzega, ile wysiłku to ją kosztowało; ogarnia ją na powrót tak wielkie znużenie, że budzi to jego niepokój.

- Przekaż im, że to tylko tymczasowo, zgoda? - Zmusza się do uśmiechu.

- Jak uważasz, Cór - to ich stary żart.

- W takim razie zgoda. Och, pilnij też wskaźników mocy wyjściowej, będziesz musiał się wydzierać, żeby przebić się przez to bagno.

- Jasne.

Podchodzi do konsoli, starając się przegnać z myśli troskę o zdrowie Córy i przypomnieć sobie przekazaną mu przez Córy wiedzę na temat obsługi tego sprzętu. Ma nadzieję, że jest ona wystarczająca.

Obchodzi uśpione ciała Zanneza i jego dzielnej trupy; Linnie jakimś cudem znalazła czas na rozplatanie i ułożenie ich w bardziej wygodnych pozycjach. Zannez i chłopcy leżą przed konsolą, między nim a Córy, Bridey zaś i Starcem za nią, przy parapecie. Nie dostrzega żadnych poruszeń, zwiastujących rychły powrót do życia; cóż, Vovoka powiedział godzina albo i więcej.

Kiedy udaje mu się uruchomić proces nagrzewania nadajnika, kilka wskaźników zmienia swe spektralne migotanie. Baram zerka na nie, upewniając się w miarę swoich możliwości, że żaden z nich nie wychylił się za czerwone linie zaznaczone przez Kipa. Przez podeszwy wyczuwa pulsującą energię, wypełniającą cały taras. Głęboko pod nimi bateria rozgrzewa się powoli, budząc do życia wielki nadajnik.

Tętnienie jest tak zauważalne, że na moment ogarnia go panika, i myśli, że przez pomyłkę uaktywnił olbrzymie siły konieczne do przekazu c-skipem. Wśród czynników niezbędnych do zakłócenia pola grawitacyjnego wymagane jest kompletne schłodzenie zamk-

zakładka

niętej anteny c-skipu, lecz gdy odszukuje na konsoli wskaźnik temperatury anteny, nie zauważa żadnych oznak zmiany. Chyba po prostu zbyt czule reaguje na normalny proces transmisji, którego od tak dawna już nie wykonywał. A cisza, towarzysząca przejściu gwiazdy, tylko wzmacnia to uczucie.

Aby się uspokoić, spogląda w górę.

Gwiazda wciąż jeszcze znajduje się we względnie spokojnej, środkowej fazie. Zauważyć jej już nie sposób, a jedynie gęsty, roztańczone, pulsujący srebrny deszcz, upstrzony mesmerycznymi czerwieniami, szkarłatami i zielonkawym błękitem, oznaczający, że skorupa gwiazdy, a raczej jej środkowa warstwa, otacza ich ze wszystkich stron. Przechodzą teraz przez jej gęstsze rejony. Pozostałe fale również charakteryzowały się tą fazą, choć efekty wizualne były znacznie mniej efektowne. Zwykle następował po niej ostatni wzrost aktywności, towarzyszący przejściu zawartości samego centrum.

Baram żegnają bez słów. Gwiazda jako taka nigdy już nie zostanie ujrzana z Damiema. Po drugiej stronie planety, gdzie teraz panuje dzień, gwiazdna zawieja konkuruje z blaskiem słońca. Kiedy tam zapadnie zmierzch, zza olbrzymiego, rozprzestrzeniającego się frontu eksplozji majaczyć poczną światła Galaktyki. Gdy zaś obracająca się planeta zaniesie motel z powrotem w noc, ujrzą jedynie ostatnie strzępy wewnętrznej warstwy, gazowe smugi na pustym niebie. Gwiazda odejdzie.

Baram przypomina sobie nagle narastającą radość Córy w ciągu ostatnich paru tygodni. Z jakim wytęsknieniem wyglądać musiała widoku nieba na zawsze wolnego od tej gwiazdy! Gwiazdy, którą, jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, sama unicestwiła się, i z którą była sekretnie złączona w tak straszny sposób. Tajemnice przeznaczenia.

Myśli Barama błąkały się jedynie przez kilka sekund; teraz powracają brutalnie do terażniejszości dzięki Linnix, która powstaje zza łóżka z szeroko rozłożonymi pustymi rękoma.

- Po prostu nigdzie nie mogę jej znaleźć. Może spadła między drzewa?

Baram zerka na korony drzew za zwieńczenie parapetu.

- Naprawdę myślałem, że upadła gdzieś tutaj. Jeśli poleciała tam, dzisiaj jej nie znajdziemy. Cóż, ani nikt inny, choć to nikła pociecha.

Wskazówka zbliża się wreszcie do pozycji oznaczonej napisem "nadawanie"; został jeszcze minim, może trochę więcej. Pośpiesznie rozgrzewanie sprzętu wydawało się Baramowi nieskończenie długie. I w cichości serca przeraża go fakt, że przez cały ten czas nie udało im się wezwać pomocy. Czy rozmowienie Córy jest słuszne? Ze zwykłą dla siebie precyzją określiła mianem "przecucia" przekonanie, że niebezpieczne mogłoby okazać się podsłuchanie tego wezwania przez niepowołane osoby. Zasadniczo przyznaje jej rację - lecz odczuwa wielką chęć złapania za staroświecki mikrofon i sprowadzenia Rimshota głośnym wrzaskiem.

Istnieje kod cyfrowy, z którego mógłby skorzystać, tyle że go nie zna; być może byłoby lepiej, gdyby oderwał się na trochę od badań nad kwasem moczowym Dameii i nauczył się jego zasad - Córy poinstruowałyby go, gdyby ją o to poprosił. Jest całkiem pewien, że nie wspominała o tym z bardzo prostej przyczyny - to jedynie standardowy kod gwiazdny, a jeśli ci ludzie są wyrafinowanymi przestępcami, na pewno postarali się o klucz do niego. Myśli krążą leniwie w jego głowie; ciężko mu się skupić w migoczącej poświacie gwiazdy, w towarzystwie śpiących cicho postaci; trudno uwierzyć w realność drobnych ludzkich knowań, mając nad sobą kosmiczne piękno nieba - a nieustępliwy pulsujący rytm światła przeszkadza w zebraniu myśli.

- Linnie - woła. - Podgrzałem dla nas dzbanek kaffy. Możesz go przynieść ze statywu chirurgicznego? Cór też się przyda parę tyków.

- Świetna myśl. - Znika w ambulatorium.

Wskazówka doktyka już prawie pozycji "nadawanie".

Dokładnie wtedy migotanie w powietrzu przybiera na intensywności, całe niebo niespodzianie robi się czarne. Potem białe migotanie - i ponownie czarny błysk. Baram mruga, słysząc własny głos, mówiący "Cór też się przyda parę tyków".

- Świetna myśl - mówi odziana w biel postać, stojąca w drzwiach do szpitalika, a potem nakłada się na to zawirowanie cieni.

Marszczy czoło i uderza się w głowę, by przegnać halucynacje.

Jest na to nazwa, nie de ja vu, ale coś nieprzyjemnego, co atakuje ośrodki synchroniczne w mózgu; coś padaczkopodobnego. Och, nie.

- Nie teraz - jęczy nonsensownie, widząc z przerażeniem, jak nieruchome ciała wokół niego wydają się poruszać i zmieniać, stają się cieniami, przemieszczającymi się tam i z powrotem. Bezcielesne zjawy - ludzie, fotele, koce - wyłaniają się mrocznie z niebytu i zaraz znikają, niczym wadliwy hologram. Wszystko migocze, a na to nakłada się odśrodkowe zawirowanie, przepływające mu przed oczyma, uszy wypełnia mu szeleszczący dźwięk, dudniący odgłos biegnących stóp, zderzeń, upiorny krzyk. Linnix zniknęła.

Z zadziwiającą trudnością Baram obraca się w fotelu i widzi, że ciało Kipa staje się nie do rozpoznania, przechodząc niewyraźne przekształcenia. A Córy - gdzie podziała się Cór?

Odwraca się, poszukując jej, lecz widzi jedynie dalsze nierzezywiste obrazy - aż wreszcie chaos kondensuje się w czyste światło gwiazdy, oświetlające stojącą przy parapecie postać Vovoki - Vovoki o nietkniętej głowie, Vovoki żywego! Obcy spogląda na brązowowłosą sylwetkę skuloną na fotelu obok niego.

Baram patrzy rozpaczliwie na żywe, materialne postaci na tle migotliwego jeziora, teraz odbijającego tęczowe łuki, słysząc, jak Vovoka mówi:

- ...o zmęczeniu komórek, lecz my wiedzieliśmy lepiej od nich.

I - bogowie! - wreszcie pojmuje.

To nie oczy czy umysł Barama, to tak zwane zawirowanie cza-

sowe! Ostatnim razem przebywał z Dameii pod osłoną; nigdy przedtem ich nie doświadczył - fascynujące!

Miotany ulgą i podnieceniem, przez sekundę czy dwie przygląda się rozwijającej się przed jego oczyma scenie z przeszłości.

Przychodzi mu do głowy to, o czym mówił Pao - zrobienie jakiegoś znaku, odmienienie przeszłości. Czy to możliwe?

Unosi dłoń, by przesunąć pióro Córy, leżące na konsoli. Czuje się tak, jakby jego mięśnie były odcepione od kości, drobne, słabe; samo powietrze wydaje się stawiać mu opór. Przypomina sobie słowa Córy o uczuciu "kleistości". Lecz nie ustępuje, i właśnie kiedy udaje mu się przetoczyć pióro, pojawia się słaby błysk, scena przed jego oczyma traci wszelkie pozory materialności, wszystko rozmywa się na powrót w plątaninę ruchomych cieni.

Teraz czas biegnie we właściwym kierunku - ciało Vovoki osuwa się w dół, biegnące postaci zatrzymują się w odpowiednich miejscach i padają na ziemię, Baram, obracając się, widzi kształty Kipa i Córy wynurzające się w blasku gwiazdy, tak jak widział je ostatni raz w rzeczywistym świecie. Widzi też, że Cór zaciągnęła Kipa w ochronny cień zadaszania.

- Świetna myśl. - I prawdziwa Linnix znika za drzwiami.

Baram wpatruje się w pustą obudowę konsoli; stara się sobie coś przypomnieć, lecz wspomnienie to umyka jego wysiłkom.

Zapala się dioda nadawania. A przeciwności, których tak bardzo się obawiali, wciąż jeszcze się nie zmaterializowały. Gdzie jest Ochter? Na pewno może teraz wysłać każde krótkie SOS, jakie



tylko przyjdzie mu do głowy, nie będąc podsłuchanym. Czy powinien? Córy przekazała mu dowodzenie.

Kiedy się tak waha, obracając w palcach stary mikrofon, jego uwagę rozprasza nikły dźwięk, dobiegający od strony cienia. Obraca się i widzi, że Córy siedzi skulona, twarz kryje w dłoniach, jej ramiona dygoczą. Córy płacze?

Nie może do niej teraz podejść, nawet gdyby tego pragnęła, a najwyraźniej tak nie jest. Zdławią narastający w nim żal - żal i strach; Córy może wiedzieć więcej o tym, co się z nią dzieje, niż on sam zgaduje. Wciąż jeszcze okrywa ją szarość zmęczenia. Nawet biała smuga we włosach, błyszcząca w świetle gwiazdy, wydaje się być szersza.

Kubek parującej kaffy przestania mu widok - stoi nad nim Linnix, również przypatrując się Córy. Jej cudowne oczy, błękitne nawet w tym oświetleniu, zwracają się ku niemu, wilgotne ze współczucia.

- Napij się. Przyniosłam też dla niej. Potem zapalę więcej lamp, by stłumić to upiorne migotanie. Zgoda?

Skarb, nie dziewczyna, myśli Baram, wciskając kciukiem przycisk nadawania. Czysty zeranaveth. Szum i potrząskiwania wyładowań energetycznych wypełniają powietrze.

- Dam ciem do Bazy - mówi, wciąż rozważając wysłanie SOS. Ale kiedy identyfikuje nadawcę, przypomina sobie ostrzeżenie Córy o generowanych przez gwiazdę zakłóceniach i sprawdza ustawienie przyrządów. A jakże, jego słowa nie mają szansy

się przez nie przebić. Podregulowuje wszystko, co tylko przychodzi mu do głowy, po czym powtarza frazę wywołania, zmuszony niemalże do krzyku.

- FedBaza 96, transmisja priorytetowa - powtarza głośno i wyraźnie, pilnując wychylonej igły wskaźnika-). Czeką go duży wysiłek; mówienie co sił w płucach nie jest czymś naturalnym dla Barama. I częściowo z tego powodu, częściowo przez lojalność wobec Cór i troskę o nią, częściowo powodowany niezliczonymi, nie powiązаныmi ze sobą cieniami podejrzeń, zmienia swój pierwotny zamiar.

- Zarządca Corrisón Estreel-Korso odniosła niezdiagnozowane obrażenia głowy - wykrzykuje - w starciu z obcym przebrany za turystę, wchodzącego w skład dzisiejszej grupy gości. Jej zastępca, Kipruget Korso-Estreel, doznał złamania nogi i lekkiego wstrząsu mózgu podczas tego samego incydentu.

Dłoń Linnix, wskazując na coś, pojawia się w polu widzenia.

Wstrzymując oddech, podnosi wzrok znad konsoli i widzi, że dziewczyna przechyla głowę i przykładą zwiniętą drugą dłoń do ucha. Co takiego słyszają te młode, czułe uszy?

Wskazująca kierunek dłoń zaczyna wybijać rytm, podczas gdy sama Linnix kieruje wzrok ku kwaterze Ochtera. Nierówny rytm - długi, krótki, długi, krótki. Nie, to nie jest dźwięk, którego się obawiał, odgłos dwóch par męskich stóp. To - oczywiście! - kuśtyk-kuśtyk kulejących kroków Ochtera.

Doktor Ochter kuśtyka w ich stronę, jest naturalnie w zasięgu

wykrzykiwanych przez Brama słów. Bogowie byli po jego stronie, bez dwóch zdań. Zakładając, że Ochter jest ich przeciwnikiem, usłyszałby każde słowo ewentualnego SOS. Uff!

Baram bierze następny oddech i woła dalej:

- Zastępca jest nieprzytomny, natomiast zarządca jest w pełni władz umysłowych i przekazała swoje pełnomocnictwa mówiącemu te słowa starszemu oficerowi medycznemu Balthasarowi Baramjiemu ap Bye. Z zaobserwowanych objawów należy wnioskować, że obrażenia zarządcy traktować trzeba jako potencjalnie zagrożające jej życiu, niniejszym więc zarządzam...

Kuśtyk-kuśtyk... teraz i on słyszy już cichy dźwięk, nie do końca zagłuszany szumem spod tarasu. Nasłuchuje na tyle, na ile jest w stanie, jednocześnie wymieniając specyfikacje sprzętu i nazwisko neurologa, którego Rimshot powinien dostarczyć jak najszybciej na Damiema. Kroki wydają się zwalniać, w miarę jak zbliżają się do niego.

- Odpowiedzialny za te wydarzenia obcy, używający na liście pasażerów nazwiska ser Xe Vovoka, zginął z własnej ręki. Kilku turystów zostało ogłuszonych wyładowaniami z jego broni, która nie została jeszcze odnaleziona; obecnie pozostają nieprzytomni, lecz przypuszcza się, że poza tym wyszli z tego bez żadnego szwanku.

Kuśtyk-kuśtyk... Baram okręca się, by mieć pod obserwacją miejsce, w którym Ochter wyłonić się powinien na oświetloną część tarasu, nagle świadom tego, że stanowi idealny cel, jeśli tamten jest uzbrojony. Przeszukuje pamięć w poszukiwaniu dwuznacznych

określić; dlaczego, och, dlaczego nie nauczył się tamtego kodu?  
Kuśtyk-kuśtyk... cisza. Tuż poza kręgiem światła Ochter za-  
trzymał się. Pod siwą grzywą Baram czuje lekkie świerzbiecie skóry.  
Nagle, ku jego przerażeniu, Linnix z rozmysłem wkracza mię-  
dzy niego a Ochtera i opiera się niedbale o róg konsoli. Niech szlag  
trafi tę kochaną dziewczynę - gdyby mógł jej dosięgnąć, zno-  
kautowałby ją bez wahania.

- Uciekaj stąd! - syczy. Linnix tylko uśmiecha się błogo.

Cóż, będzie musiał być teraz podwójnie ostrożny.

- W świetle różnych wydarzeń i okoliczności, spośród któ-  
rych niektóre zgłoszone zostały już wcześniej - mówi, przery-  
wając co parę słów - jak i stanu zarządcy, zalecam też - oho,  
wreszcie przypomniał mu się jeden z potrzebnych terminów - by  
kapitan Dayan traktował to jako sytuację o pierwszeństwie kate-  
gorii P. Proszę także, by nawiązał z nami łączność głosową za dwie  
standardowe godziny.

Kategoria P w starym kodzie z czasów wojen pogranicznych  
oznacza przemoc, lecz Ochter ma małe szansę, by o tym wiedzieć.  
Dayan bez wątpienia przypomni sobie o tym i powinien się do-  
myślić, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Uruchamia automa-  
tyczne nadawanie i wyłącza mikrofon.

Kuśtyk-kuśtyk, kuśtyk-kuśtyk... Ochter wznowił swą bolesną  
wędrówkę.

Ledwie pobór mocy opada do dawnej wartości, Baram orientuje  
się, że pokpił sprawę pod więcej niż jednym względem. Skąd niby

Dayan miałby wiedzieć, czy kategoria P oznacza prośbę o natychmiastową pomoc, czy też powinien najpierw zaczekać na zamówiony sprzęt i neurologa, skoro na planecie zaistniał kryzys natury medycznej? Dotarcie do doktora Schehla może mu zająć dzień albo dwa. A prośba o potwierdzenie kontaktu za dwie godziny może zostać odczytana jako informacja, że wcześniej nic złego się nie wydarzy. Cóż, przynajmniej dzięki temu udało mu się zagwarantować, że ktoś będzie w stanie nawiązać łączność z Rimshotem za dwie godziny - nie, za trzy, wzięwszy pod uwagę opóźnienie. Są tak żałośnie bezbronni. Kuśtykający ku nim człowiek jest w stanie załatwić ich wszystkich, jeżeli uzbrojony jest choćby w dziecięcy miotacz rakiet.

Kuśtyk-kuśtyk...

W krąg światła wkracza, kulejąc, mała, stara, krucha postać odziana w wygniecioną koszulę nocną i o rozczochranych siwych włosach; doktor Aristrides Ochter.

Jego prawą dłoń zakrywa niezdarny opatrunek.

Baram, tak jak wcześniej Kip, przeżywa brutalny wstrząs, porównawszy złowrogiego, śmiertelnie groźnego Ochtera z ich wyobrażeń z tym nieszkodliwie wyglądającym staruszkim, któremu chora noga wydaje się sprawiać ciągły ból.

Czy cały tok ich rozumowania to jedno wielkie szaleństwo?

Ochter zatrzymuje się i mrugając, wiedzie wzrokiem po leżących nieruchomo ciałach, całe jego ciało zdradza przerażenie, przemieszane ze zdumieniem.

- Ojej - woła. - Tak mi się wydawało, że słyszę coś nie-dobrego, i dlatego... Ale ci biedni ludzie, czy...

- O ile nam wiadomo - odpowiada Baram, - są jedynie chwilowo nieprzytomni - z wyjątkiem ser Vovoki, który nie żyje.

- Nie żyje! - Ochter wpatruje się w niezgrabny całun, nie całkiem skrywający stopy Vovoki. - M-mogę?

Baram kiwa głową.

Człowieczek, kuśtykając, obchodzi konsolę i zbliża się do spoczywającego przy parapecie ciała obcego. Dopiero teraz wydaje się zauważyć Córy, skrytą w cieniu zadaszienia obok Kipa. Córy uniosła głowę, by go obserwować. Ochter kłania się jej uprzejmie, najwyraźniej rozumiejąc, że nie ma ochoty na rozmowę.

Córy odpowiada mu bez słów i powraca do swego prywatnego, absorbującego zajęcia, przedstawia sobą posąg smutku o wzroku utkwionym w Kipie.

Ochter spogląda na nią poważnie przez minim czy dwa, potem przenosi swą uwagę na zwłoki u swych stóp. Nieśmiało unosi róg koca tam, gdzie leżeć powinna głowa Vovoki. Na widok stanu, w jakim znajduje się ciało, szczęka opada mu na piersi.

- Och, och, bogowie - mówi, spoglądając w dół. Potem opuszcza całun i rozdygotany opada na najbliższy fotel.

Linnix podchodzi do niego, staje blisko, lecz nie za blisko, jak konstatuje z zadowoleniem Baram.

- Chciałby pan trochę wody albo czegoś mocniejszego, doktorze?

Ochter spogląda na nią zza swych staromodnych okularów, oszołomiony, lecz przepelniony wdzięcznością.

- Och, dziękuję, myr Linnix. Odrobina wody wystarczy. Cieszę się, że pani najwyraźniej nic się nie stało. Doktorze Baramji, o ile nie jest pan zbyt zajęty, czy zechciałby pan poinformować mnie, co tu się wydarzyło?

- Oczywiście. Cóż, pomyślmy - był pan przy wielkiej de-maskacji Vovoki, prawda?

Ochter unosi zabandażowaną dłoń, uśmiechając się ponuro. [

- Byłem.  
j

- Naturalnie, przepraszam, pamięć mnie dzisiaj chyba trochę i zawodzi. Chciałby pan, żebym to obejrzał albo zrobił mniejszy' opatrunek? Bandażowanie własnej dłoni jest trudne.

Gdy Baram spogląda na ten niezdarny opatrunek, przychodzi mu do głowy, że pod bandażami Ochter ukryć mógł niewielką broń albo bogowie wiedzą co jeszcze. Lecz z drugiej strony utrata palca zapewne sprawia mu jeszcze zbyt wiele bólu.

- Bardzo pana boli, doktorze? Mógłbym panu pomóc.

- Och, nie, nie - mówi zdecydowanym tonem Ochter. -

Mam trochę lokalnych środków przeciwbólowych i wreszcie udało mi się wszystko ułożyć w miarę wygodnie. Może po prostu zostawimy to tak do rana, choć wiem, że nie jest to estetyczny widok?

- Jak pan sobie życzy. - Najwyraźniej Baramowi nie będzie dane zajrzeć pod bandaż. - W takim razie, co też było potem:

Vovoka stwierdził, że jego zadaniem jest zemścić się na myr

Córy za czyn z dawnych, wojennych dni. Kip próbował ją obronić, złapał Vovokę, a ten rzucił go tutaj; ma niewielki wstrząs mózgu. Tych pięciu skoczyło ku Vovoce, by pomóc Kipowi, a on ogłuszył ich swą bronią. Podobno to przejdzie - Baramowi pozostaje jeszcze na tyle czujności, by mówić wieloznacznie - do rana. Vovoka zrobił też coś Córy przy użyciu tej samej broni, jeszcze nie wiemy co. A potem odstrzelił sobie głowę.

- Pozostaje więc dama P. Z przykrością muszę pana poinformować, że jeszcze nie otrząsnęła się z głębokiego uśpienia, w jakie zapadła po wypiciu eglantyny.

- Ojej! Ojej! - Ochter rozmyśla przez moment, potrząsając głową. - Co do roli mego wina w tej okropnej historii, wciąż nie przychodzi mi na myśl żadne inne wyjaśnienie jak to, o którym już rozmawialiśmy: praktyczny kawał moich studentów. Sądzę, że nie miało to nic wspólnego z wami. Ale, och! - mówi dalej, z pewnym zapałem - gdybym tylko mógł wbić im do głów, że próbując zepsuć mi wieczór, w rzeczywistości popsuli szczęśliwą chwilę paru uroczym i niewinnym młodym ludziom - a dla niektórych wydawała się ona mieć wielkie znaczenie - na odległym Damiemie. Wysłuchaliby czegoś więcej niż tylko rozważań o asymetrii informacyjnej!

Człowieczek potrząsa gwałtownie głową z zaskakującą werwą.

Baram chichocze pod nosem, całkowicie przekonany.

- I muszę też przyznać, iż mieliśmy niebywałe szczęście, że nasz młody szlachcic zdołał nas ostrzec. Nieoczekiwana i zapewne raczej pokaźna dawka mogłaby wyrządzić wiele złego - nie myślę



się, prawda, doktorze?

- Nie, w pewnych warunkach i u pewnych ludzi mogłaby wywołać niepożądaną reakcję - przyznaje Baram.

Ochter pochrząkuje parę razy, niczym uspokajający się niewielki wulkan, a potem pyta:

- Przy okazji, gdzie jest ten nieoceniony młodzieniec? Cieszy mnie to, że nie widzę go wśród śpiących.

- Nie - odpowiada Baram. Czuje się jak kompletny głupiec, trzymając się kurczowo swych podejrzeń, lecz nagły nawrót obaw o Pao - doprawdy, powinno się coś zrobić, by go odszukać! - w połączeniu ze starymi nawykami płynącymi z poczucia obowiązku, sprawia, że mówi: - Wydaje mi się, że Pao wrócił na swoją wieżę. Przytapałem go parokrotnie na ziewaniu, mimo całego zainteresowania gwiazdą. Dni są tu długie, a Księżę to wciąż jeszcze dziecko. Wierutne kłamstwo. Baram zerka na Linnie, sprawdzając puls Hanny'ego z twarzą odwróconą od Ochtera. Dziewczyna spogląda na niego kątem oka, a raczej na jego dłoń. Jej twarz przybiera dziwny, wręcz rozbawiony wyraz. Baram zerka na wyjętą z obudowy płytkę, przykrywającą normalnie przełączniki, którą obraca od niechcenia w dłoniach, lecz nie spostrzega niczego nadzwyczajnego.

Ochter zrywa się nagle i uderza się dłonią w czoło.

- Wielkie nieba, naprawdę dopada mnie skleroza. Prawie zapomniałem powiedzieć panu o tym, z czym popędziłem do was, skoro tylko usłyszałem, że nadajecie. Pozwolę sobie zapytać się,

czy aby nie nadawaliście c-skipem?

- Nie - odpowiada zwięźle Baram, zastanawiając się, do czego to prowadzi.

- To dobrze. Chociaż wibracje i tak mnie zaniepokoiły. Czy nie zauważył pan nienormalnego pulsowania i napięcia w powietrzu, jak gdyby zużywane były wielkie ilości energii? A może wasz sprzęt normalnie tak działa?

- Skoro już pan o tym wspomniał - mówi ostrożnie Baram,

- w rzeczy samej pomyślałem sobie, że efekty towarzyszące transmisji są raczej nietypowe. Lecz sama transmisja odbyła się zupełnie normalnie, o ile znam się na tych sprawach.

- Cóż, w takim razie być może na coś to się przyda. Chyba wspominałem już, że podczas zamieszania w ich pokoju, zanim zupełnie stracili kontakt z rzeczywistością, Hiner mamrotał o czymś, co znalazł po południu pod wodą. Doprawdy powinienem był poinformować was o tym wcześniej, ale tak wiele... Cóż, jak pan wie, Hiner poszedł sobie ponurkować, podczas gdy my wszyscy podziwialiśmy waszą bajkową wioskę, i badał teren wokół wylotu szybu waszej baterii. Sam otwór wylotowy położony jest na głębokości ponad stu metrów - to niewiarygodne, że człowiek może sobie tam spacerować, niczym my po łące, prawda?

- Mówiąc poważnie, najwyraźniej odkrył tam, że jakieś wodne stworzenie zbudowało konstrukcję z twardej gliny i kamieni wokół odpowietrznika szybu -- nie samego wylotu szybu, rozumiecie, tylko odpowietrznika, niezbędnego do prawidłowego funkcyjono-

wania całego systemu. Powiedział, że otwór jest całkowicie zablokowany i że pierwszy większy przepływ energii, na przykład taki, jaki wymagany jest do transmisji c-skipem, doprowadzić może do eksplozji samej baterii. Trochę już bełkotał, ale w kwestii zablokowania otworu wentylacyjnego i ewentualności eksplozji wypowiadał się jasno - wciąż powtarzał "bum! bum!" z dziecięcym wręcz entuzjazmem. Oczywiście, być może fantazjował. Rozumie pan, żaden ze mnie ekspert, ale myślę, że zablokowanie odpowietrznika mogło spowodować owe niezwykle działanie baterii przy zwyczajnym poborze energii.

- W każdym razie, skoro tylko sobie o tym przypomniałem, pomyślałem, że powinienem niezwłocznie wam o tym powiedzieć. Wiecie co, naprawdę mi ulżyło po drodze tutaj, jak tylko przekonałem się, że nie przygotowujecie się do transmisji c-skipem. To "bum, bum" solidnie mną wstrząsnęło - chichocze. - Według niego cały motel i wszystko w jego pobliżu miałyby wylecieć w powietrze i spaść na ziemię w wielu drobnych kawałkach. Nie uważa pan, doktorze, że niezgorszym pomysłem byłoby poproszenie jakiegoś wykwalifikowanego akwamanina, żeby to wszystko obejrzał? Nasz przyjaciel Hiner nie za bardzo pasuje do tego opisu, ale być może udzielił nam trafnego ostrzeżenia. Choć jestem pewien - dodaje uprzejmie - że te niezwykle wibracje i cała reszta

1 tak wkrótce by pana zaalarmowały.

- Nie muszę mówić, że zgadzam się z panem kompletnie - odpowiada Baram. - Wielkie dzięki za przekazanie nam tej in-

formacji - mówiąc, zastanawia się intensywnie, przypominawszy sobie opowieść Linnie o tym, jak to Hiner "dyszał, dyszał i dyszał". Przecież odrobina zwiedzania, zwykła kąpiel, nie byłaby chyba tak wyczerpująca? Z drugiej strony, jeśli Hiner własnoręcznie bloko- wał ten odpowietrznik, musiał się niełicho napracować. Posapy- wanie byłoby jak najbardziej na miejscu.

Ale dlaczego miałby blokować otwór wentylacyjny? Z czystej złościwości? A może to część dalekosiężnego planu, mającego za zadanie pomyślnie doprowadzenie do końca ich zamierzeń - zni- szczenia motelu, zabicia pozostałych gości, strażników, może na- wet i ich ofiar Dameii - tak by pozostały jedynie nie dające się zidentyfikować szczątki?

Oto, niewątpliwie, idealny mechanizm dla przeprowadzenia "zbiorowego mordu", którego tak obawiała się Córy, a który sta- nowić miał ostatnią deskę ratunku dla przestępców, gdyby zostali przyparci do muru. Hiner, Yule czy Ochter musieliby jedynie uru- chomić procedurę rozruchu nadajnika c-skipu; mieliby nawet dosyć czasu na bezpieczną ucieczkę.

A taki wybuch skutecznie ukryłby fakt, że oni sami przeżyli; co najmniej zaś unieszkodliwiłby wszystkich, którzy mogliby ich zidentyfikować i którzy wiedzieliby o ich zbrodniach. Przy odro- binie szczęścia udałoby im się nawet ukryć to, że jakakolwiek zbrodnia miała w ogóle miejsce.

Dameii słyną ze swojej niechęci do kontaktów z ludźmi; ci, którzy by przeżyli, po prostu przenieśliby się w inne miejsce, co łatwo można

by złożyć na karb eksplozji. Samą zaś eksplozję przypisano by zapewni wiarygodnie wyglądającym efektom działalności zwierzęcej, o jakie postarał się Hiner. Bardzo zgrabnie, w rzeczy samej.

Spróbujmy raz jeszcze - całkowicie hipotetycznie! Oprócz opowieści Linnie o zmęczeniu Hinera, nie istnieje żaden powód, by nie wierzyć wersji Ochtera i by nie uznać jej za akt wielkiej życzliwości. Stan Hinera zaś wytłumaczyć można by dokładnie tak, jak sama pomyślała, a mianowicie, że jest jednym z nieszczęślików, których układ skrzelowy nie rozwinął się w pełni. Braki są czasem tak subtelne biochemicznie, że nie sposób ich wykryć prostym testem. Sam Hiner z pewnością by się do nich nie przyznał - "zepsuci" akwamanie zaliczni są do najbardziej drażliwych spośród wszystkich ludzkich niepełnosprawnych.

Jeszcze jedna przekłeta niejednoznaczność! Umysłem Barama szarpną przeciwstawne myśli.

By zamaskować swe zaabsorbowanie, Baram wstaje i pośpiesznie obchodzi swych pacjentów. Wszyscy wciąż jeszcze nie reagują na bodźce, z wyjątkiem Zanneza; Baram przechwytuje ukradkowe spojrzenie. Dobrze - ukryty sojusznik. Ale w walce o co? Jak na razie Ochter nie uczynił niczego, co stałoby w sprzeczności z jego pozornie idealną niewinnością - ani też niczego, co zdradzałoby potencjalnie zbrodnicze zamiary.

Na zakończenie raz jeszcze starannie sprawdza pracę serca damy Pardalianches. Gorące wspomnienia poranka pobudzają go leniwie, gdy przyciska stetoskop do jej wonnej piersi.

- Wszystkie objawy wskazują na prosty środek nasenny - informuje Ochtera. - Jak pan widzi, nie czynimy żadnych szczególnych starań, by ją obudzić; takie próby uczyniłyby więcej złego niż dobrego. Nie zaaplikowałem jej także płukania żołądka; byliśmy ociupinkę zajęci. Lecz jeśli nie zaobserwujemy u niej normalnego REM i jeśli nie będzie reagować na mocne bodźce, skoro już dopilnuję wszystkiego, poddam ją kompleksowemu odtruciu. Wtedy poznamy odpowiedź na sugerowaną przez pana możliwość obecności trucizny w winie.

- Biedna kobieta. - Staruszek także się podniósł i teraz opiera się o złoty bok łóżka. Z zaciekawieniem zerka na milczącą siostrę, uroczą, drobną damę Paralomenę pogrążoną we śnie bez końca, i bez słów potrząsa głową. Potem ostrożnie siada w najbliższym fotelu.

Kątem oka Baram uważnie obserwuje poczynania Ochtera. Ludzie symulujący kuśtykanie prędzej czy później popełniają błąd. Lecz utykanie i drobne gesty Ochtera są wręcz podręcznikowe. Ta chora noga robi wrażenie boleśnie prawdziwej, biedak.

Baram powraca do konsoli, czując tak głębokie wyrzuty sumienia wobec Ochtera, że aż go to niepokoi. Zaczekaj minim, karci sam siebie, to również nie jest racjonalna reakcja. Przeskakuje z wrogości w łatwowierność, ze strachu w ślepe zaufanie, niczym dziecięca zabawka. Lecz nic nie uległo zmianie, z wyjątkiem sposobu, w jaki on sam postrzega Ochtera. Rozumując obiektywnie, wszystkie reakcje Ochtera mogą świadczyć tak o jego niewinności,

jak i o winie i przewrotności. Baram potrzebuje jednoznacznego testu. Nie widzi jednak żadnego wyjścia, niczego, co Ochter powiedziałby jedynie, gdyby zamierzał ich uśpić, a nie powiedział, gdyby tak nie było, czy na odwrót. A jeśli Baram będzie czekał za długo, Ochter zaś ma wrogie zamiary, za długo może zmienić się w za późno.

Z drugiej strony zaś, co może zdziałać ten człowieczek w pojedynkę? Jeżeli ma broń, już by jej użył - gdyby żywił taki zamiar. A jeśli Yule i Hiner są w to zamieszani, niewątpliwie nie dają po temu żadnych oznak - chyba że nieobecność Pao jest tego oznaką? Z drugiej strony, Pao jest jedynie bardzo małym chłopcem, łatwo jest rozproszyć jego uwagę - przekleństwo na pulsujące światło gwiazdy! Gdyby tylko mógł zebrać myśli.

- A tak przy okazji - mówi Ochter - co też stało się z tą niesamowitą bronią ser Vovoki? Wydaje się zdumiewająco wszechstronna. - Spogląda żałośnie na swą zabandażowaną dłoń. - Szczerze mówiąc, nigdy przedtem nie słyszałem o czymś takim.

- Ja także nie - odpowiada Baramji, myśląc, że gdyby to pytanie zadane zostało wcześniej, zapewne przyznałby się, że szukał jej dokładnie tam, gdzie teraz siedzi Ochter.

- Zakładam, że przyjrzał się jej pan? - pyta Ochter. - Nie skrywam, że korci mnie, by ją obejrzeć, jako że zupełnie nie znam się na tych sprawach. A jednak można by powiedzieć, że za sposobność pobieżnego zapoznania się z jej możliwościami zapłaciłem własnym palcem. - Uśmiecha się, skryte za okularami oczy po-

błyskują, ot, przewrotnie dowcipny karzeł. - Mógłbym?

- Z przyjemnością, ale dopiero rano. Niestety, Vovoka - a raczej jego bezgłowy korpus - cisnął, bądź też upuścił ją za parapet, padając. Przed wschodem słońca nie ma nawet sensu szukać jej tam wśród drzew.

Ochter wzdycha.

- Tyle przemocy, przyznaję, że... - Jego głos słabnie, wygląda nagle, jakby miał zaraz zemdleć, jak gdyby coś kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Być może ustaje działanie środka znieczulającego.

Opada ciężko z powrotem na fotel, spoglądając w stronę skąpanego w świetle jeziora i nieba. Potem przenosi spojrzenie na skrytą w cieniu postać Córy. Linnix nakłania ją właśnie do wypicia jeszcze trochę kaffy; Kip najwyraźniej nie odzyskał jeszcze przytomności.

- Sądzi pan, że ta zdesperowana istota zrobiła myr Córy coś złego? - pyta Ochter. - A przecież nie zauważam żadnych zmian, poza zrozumiałym zmęczeniem i smutkiem.

Baram przytakuje skinieniem głowy.

- Tak. Lecz Vovoka wypalił z tej broni wprost w jej głowę, a potem robił wrażenie usatysfakcjonowanego. Coś musiało się stać.

- Hmm. Zastanówmy się. Najbliższa Baza Federalna znajduje się jakieś sto minimów świetlnych stąd. Ile czasu zajmie pańskiemu ekspertowi dotarcie do nas, zakładając, że Patrol mu w tym pomoże?



Niewinne pytanie - o wielkim znaczeniu również i dla prze-  
stępców. Baram rezygnuje z odpowiedzi, której miał pierwotnie  
udzielić, i stwierdza, że neurolog prawdopodobnie wyruszy nie  
z Bazy, lecz z centrum medycznego w Hyades.

- Człowiek, którego potrzebuję, najlepszy specjalista od cen-  
tralnego układu nerwowego, to Mausbridge Schehl. Słynie z tego,  
że trudno go zlokalizować. Odwiedza pacjentów na asteroidach,  
o których nikt nigdy nie słyszał. Znalezienie go zajmie trochę cza-  
su, ale nikt inny nie dorasta mu nawet do pięt.

Wygląda na to, że Ochter chce jeszcze o coś zapytać, lecz tylko  
wzdycha ponownie i w milczeniu wpatruje się w przestrzeń. Świat  
wygląda wspaniale, pogrążony w opalizujących, migotliwych opa-  
rach gwiazdy. A jednak Baram wyczuwa uciążliwe, wzrastające  
niepostrzeżenie napięcie. Trochę jonów, bez wątpienia, uspokaja  
sam siebie, zerkając na wskazania przyrządów. Wysokie, lecz  
wciąż poniżej granicy bezpieczeństwa, o ile jest w stanie to stwierdzić.

Ochter porusza się.

- Naprawdę myślę, że powinienem się położyć - oznajmia  
smutnym głosem. - Miałem nadzieję ujrzeć, jak dama - i wszys-  
cy ci biedacy - dochodzą do siebie, i jeszcze trochę nacieszyć  
się gwiazdą, lecz czuję, czuję... - Podnosi się ociężale, z zauwa-  
żalnym wysiłkiem.

Linnix mija go po drodze do szpitalika.

Niespodzianie nogi staruszka nie wytrzymują obciążenia. Och-  
ter zaczyna się wywracać, chwytając za oparcie fotela, ponownie się

potyka, udaje mu się złapać prostego krzesła i pada na nie ze stłumionym cichym krzykiem bólu. Jego okulary grzechoczą na płytach tarasu.

Linnix jest już przy nim, pomaga mu usiąść wygodniej. Podnosi też okulary.

- Gdybym mógł tu chwileczkę posiedzieć, zanim znowu spróbuję - dyszy, starając się usiąść głębiej.

- Oczywiście. - Linnix staje za nim i chwyta go pod pachami. Podciąga go w górę i ku sobie, Ochter jęczy ponownie. - Proszę bardzo.

Z opóźnieniem Baram przypomina sobie o swym wcześniejszym ostrzeżeniu pod jej adresem. Teraz wydaje się nie mieć zastosowania, lecz tak czy owak, woła cicho:

- Uważaj, Linnie!

Oboje zerkają na niego. Baram uświadamia sobie, że mogło to wyglądać tak, jakby jego ostrzeżenie wywołane zostało bolesnym jękiem Ochtera.

- To takie krępujące. - Ochter usiłuje się uśmiechnąć. -

Ale czy mógłbym nakłonić panią do pomocy przy rozpięciu tego?

Moje lekarstwa - gmera przy pasie kurtki, zabandażowana dłoń tylko mu przeszkadza.

- Oczywiście.

Linnix obchodzi go, delikatnym gestem odsuwa jego rękę i rozwiązuje węzeł. By to uczynić, zmuszona jest przykłęknąć na jedno kolano; Baram czuje ukłucie zaniepokojenia. Ale Ochter sięga je-

dynie zdrową ręką do kieszeni kurtki i wyciąga z niej małą fiolkę.

Baram rozpoznaje złotą barwę xyatonu, standardowego szybko działającego - i uzależniającego - środka przeciwbólowego.

Linnix pomaga staruszkowi rozłamać ją i podnieść dwie kapsułki do ust.

Po chwili Ochter prostuje się nieco.

- Myr Linnix, stokrotne dzięki, teraz może mnie pani wyprawić w drogę, jeżeli pozwoli mi pani zrobić tak, jak uczyli mnie w klinice - a więc, czy mogę uchwycić się pani ramienia? Te fotele są takie niskie.

- Jak najbardziej.

Ochter wsuwa zdrową dłoń pod jej ramię; Linnix pochyla się ku niemu, on zaś zgina rękę, tak że jego dłonie spotykają się na jej ramieniu, przy szyi.

- Podobno uchwyt na łokciu jest zbyt niski, wymaga zbyt wielkiej siły - wyjaśnia na użytek Barama. - Teraz podnieś się, moja kochana ratowniczo - chyba że jestem dla pani zbyt dużym obciążeniem?

- Bogowie, nie. - Uśmiecha się, wstając płynnym ruchem i pociągając za sobą Ochtera. Gdy staruszek niezdarnie uwalnia zbandażowaną dłoń, Linnix podskakuje nagle i wydaje cichy okrzyk.

- Ojej, to agrafka. - Ochter pospiesznie rozmasowuje jej mięsień trójgłowy zdrową ręką. - I pogmiotłem ci kołnierz, tak mi przykro.

Jego głos jest subtelnie zmieniony.

- Nic takiego. - Linnix uśmiecha się i dotyka dłonią kołnierza, wyglądając na odrobinę zbitą z tropu.

- Teraz zaś - Ochter prostuje się - doktorze Baramji, jest coś...

W tejże chwili nocny śpiewak odzywa się głośno wśród poszycia dachu. Ochter podskakuje jak oparzony i zaczyna rozglądać się nerwowo.

- To tylko okaz naszej lokalnej nocnej fauny - uspokaja go Baram, podczas gdy stworzenie powrzaskuje ponownie. Dwa inne odpowiadają mu spomiędzy drzew wokół jeziora. Dlaczego Linnie tak się w niego wpatruje?

Och! - bogowie śmierci!

I świat Barama rozsypuje się na przerażające fragmenty, które krążą i grupują się wokół głosu Pao: "Dwa, jeśli są w okolicy i coś knują". Okrzyk rozległ się dwukrotnie. Ale czy to był Pao? Dźwięk był niezwykle naturalny. Prawdziwy nocny śpiewak odpowiedziałby na zew znad jeziora, a ten milczy. A to oznacza, że... że Yule, Hiner, Ochter...

Od chwili olśnienia mija zaledwie mikrominim, lecz wydaje się, jakby to była godzina. Nawet jego usta poruszają się z nieznośną powolnością, by wyartykułować następne słowa:

- Linnie! Podejź do Córy, szybko! Ma, ma problem z Kipem.

Powoli, powoli, jak mu się wydaje, Linnix uwalnia się z uchwytu Ochtera i kieruje się ku Córy. Ochter bezwolnie pozwala jej odejść, wpatrując się w napięciu w Barama.

W tej właśnie chwili Baram zauważa coś niebywałego, a mianowicie, że nie przygotowali żadnego planu akcji, na wypadek gdyby najgorszy scenariusz okazał się prawdziwy - wszyscy musieli podświadomie uważać go za zbyt nierealny, zbyt nieprawdopodobny. Pozostaje im jedynie zasada niewysyłania sygnału alarmowego. Czy wciąż jeszcze obowiązuje? To bez znaczenia, jako że jego najbliższe posunięcie jest oczywiste - pojmać Ochtera i zmusić go do odwołania swych oprawców.

Wygląda na to, że bandyci oddali Baramowi własnego zakładnika, małego Ochtera - a raczej to on sam wmanewrował się w tę sytuację. I tak łatwo go teraz obezwładnić - więc dlaczego? Kiedy Baram wstaje i rusza ku drobnemu człowieczkowi, coś w pozornie ogromnej słabości i bezbronności Ochtera wzbudza jego podejrzania. Po prostu nie mógł wkroczyć między nich, tak otwarcie mając na uwadze ewentualne zdemaskowanie i pojmanie. Musi mieć przy sobie jakąś broń. Albo sojuszników - czyżby Yule i Hiner czaili się w pokoju Córy, gotowi wyskoczyć na taras w obronie swego przywódcy? Bo przecież Ochter jest chyba ich przywódcą? O, tak - ale pomysł, że pozostali strzegą go z ukrycia, jest raczej bezsensowny.

Musi mieć przy sobie jakąś broń. Dlaczego ten człowiek w ogóle tu przyszedł?

Baram znajduje się już prawie na wyciągnięcie ręki od Ochtera, lecz Ochter nie zdradza najmniejszych oznak strachu. Ani też nie sięgnął po żadną broń. W rzeczy samej, stoi tak spokojnie, spo-

glądając na Barama, że Baram nie potrafi zdobyć się na zaatakowanie go z zaskoczenia i użycie wobec niego siły. Czy istnieją podstawy do przypuszczeń, że Ochter zamierza dalej ciągnąć swą grę?

- No, dobrze - mówi szorstko Baram. - Koniec przedstawienia.

- Och, zgadzam się całkowicie - odpowiada Ochter. - Lecz zaklinam cię, Baramji, byś się zastanowił, zanim uczynisz coś pochopnego! Są trzy fakty, które musisz poznać, jeżeli w najmniejszym choćby stopniu zależy ci na życiu myr Linnix.

Baram ledwie to słyszy.

- Życzę sobie, żeby twoja słodka dwójka, Yule i Hiner, zjawili się tutaj natychmiast, jeżeli zależy ci na twoim bezpieczeństwie.

- Życie myr Linnix - powtarza głośniejszym głosem Ochter. - Jeżeli mnie zaatakujesz, zadam jej niewypowiedziany ból, który ją zabije, Baram. Zabije! Informuję cię, że życie myr Linnix związane jest drogą radiową z przyrządem w mojej prawej dłoni - jeżeli łączność zostanie przerwana, lub też jeśli zostanę ranny lub zabity, ona umrze.

Baram patrzy na niego w milczeniu, lecz zatrzymuje się.

- Powiedziałem ci, że powinieneś dowiedzieć się o pewnych faktach. Jeżeli jesteś już gotów do ich wysłuchania, oto fakt numer jeden: algotoksyna została ponownie zsyntetyzowana.

Jako że na twarzy Barama pojawia się czyste niedowierzenie,

Ochter powtarza, jakby miał do czynienia z dzieckiem:

- Algo-toksyna. Od algos, ból. Trucizna, której jedynym przeznaczeniem jest zadawanie bólu i śmierci. Nie opowiadaj mi, że nie słyszałeś o tym zakazanym specyfiku, doktorze.

Baram spogląda na niego, marszcząc brwi; mdlący strach ścina mu wnętrzności.

- Nie - mówi.

- Ależ tak! Wątpisz? Proszę patrzeć. Och, myr Linnix - Ochter woła przez ramię w kierunku Linnix, stojącej obok Córy i Kipa w półmroku zadaszania - szczerze przepraszam za to, czego pani za chwilę doświadczy.

Unosi w górę zabandażowaną dłoń.

- Widzisz, Baram, drugim faktem, jaki powinieneś poznać, jest nadajnik radiowy trzymany w tej dłoni, który z kolei swym sygnałem zamyka - zamyka - szczególnego rodzaju zdalnie sterowaną, napędzaną sprężyną podskórną igłę. Skoro tylko moja dłoń rozluźni się, igła się otworzy i uwolni swoją zawartość. Albo też, jeśli sygnał zostanie w jakikolwiek sposób zablokowany, zastrzyk również zostanie wykonany.

- Trzecim zaś faktem, który musisz poznać, jest to, że owa podskórna igła, zawierająca dwa DS-y - czyli dwie dawki śmiertelne - algotoksyny, zagłębiona jest teraz w pięknym karku myr Linnix.

XV

Szczyt Nowej:

Pod kontrolą

- Przypatrz się!

Baram, zmrożony przerażeniem, choć jeszcze wciąż nie do końca przekonany, wpatruje się we wzniesiony zwój bandaży, będący zranioną dłonią Ochtera. Zauważa lekkie drgnięcie ścięgien, a potem

- Aaaa! Aaaa! - przeraźliwy wrzask, dobiegający skądś z tyłu

cichnie równie szybko. Baram nie słyszał takiego wstrząsającego, niemożliwego do zapomnienia krzyku cierpienia od czasu okropnych dni wojny.

Okręca się w miejscu; Linnix kuca skulona, obiema dłońmi

ściska szyję tam, gdzie splatały się dłonie Ochtera. Patrzy na nich oczyma tak rozszerzonymi adrenaliną, że ich białka wyglądają jak wąskie pierścienie, kurczowo zaciska szczęki, by nie krzyknąć ponownie. Ledwie Baramowi udaje się zmusić do spojrzenia na nią, ból przewycięża jej samozaparcie i nabrzmiąle cierpieniem "Aaaa!" wrywa się spomiędzy jej zaciśniętych zębów.

- Przestań! Przestań! - ryczy Baram, pochylając się złowiesz-

czo nad Ochterem. Do szaleństwa doprowadza go wewnętrzne rozdarcie między brutalną chęcią złapania i obicia tego małego diabła a obawą przed tym, co Ochter mógłby zrobić Linnie.

Człowieczek cofa się zgrabnie.

- Już przestałem, Baramji. Działanie algotoksyny nie ustępuje

tak od razu. To była minimalna dawka, absolutnie najmniejsza porcja, jaką byłem w stanie uwolnić, daję ci słowo. I na miłość boską, nie groź mi, jeżeli zależy ci na myr Linnix!

Rozkłada jednym potrząśnięciem zaopatrzoną w monogram



chustkę i ociera czoło.

- Musisz nad sobą panować, Baramji.

Głos Ochtera jest silny i wyraźny, zachowuje się teraz jak ktoś znacznie młodszy. Emerycki figlarny błysk w oku należy już do przeszłości.

Baram dobywa z gardła nieartykułowany warkot i wraca z powrotem do Linnix, dygoczącej w cieniu zadaszenia. Córy wstała i objęła dziewczynę ramionami. Baram nie jest w stanie obejrzeć z tego miejsca jej szyi, dostrzega jedynie metaliczny błysk pod rozdartym białym kołnierzem.

Linnix po prostu patrzy na niego bez słów, spojrzeniem wyrażając miłość - i jeszcze coś nie do odczytania, głębokiego i mrocznego.

- Daj mi to obejrzeć, Cór.

- Nie próbuj jej dotykać, Baramji! - rozlega się nasycony groźbą głos Ochtera.

- On mówi prawdę, Bram - odzywa się Córy. - Widziałam dosyć, by rozpoznać napędzaną sprężyną strzykawkę, utrzymywaną w stanie naciągniętym jakimś sygnałem radiowym, zapewne z nadajnika ukrytego pod jego bandażem. Nie ma jak sięgnąć głównego zbiornika, jest osłonięty. Może gdybyśmy mieli wąskie nożyce do drutu i dużo czasu. Ale wszystko sprowadza się do tego, że jeśli sygnał ulegnie zakłóceniu, sprężyna rozkręca się, wprowadzając truciznę do krwiobiegu. - Wzdycha z wysiłku, jaki kosztowało ją tak dokładne scharakteryzowanie sytuacji.

- Najwyraźniej nadajnik jest przez cały czas włączony; jeżeli

Ochter rozluźni uchwyt, albo się zmęczy, igła wstrzyknie truciznę.

Uruchomi ją także wszystko, co mogłoby zablokować sygnał -

na przykład kask antyradiacyjny. - Jej głos przechodzi w szept.

- Moglibyśmy nad tym zapanować, gdyby udało się nam skopiować sygnał. Lecz nie muszę ci mówić, że do tego trzeba czasu i szczęścia, a zapewne także i współpracy z jego strony, a pomyłka byłaby może i zgubna w skutkach...

Drżące słowa cichną. Nie potrafi już dalej walczyć z nienaturalnym, śmiertelnym znuzeniem.

- Usiądź, Cór - mówi delikatnym tonem Baram. - Linnie najdroższa, czy rozumiesz, że muszę cię zostawić i spróbować uporać się z Ochterem?

- Pewnie. - Uśmiecha się dziwnie, bierze głęboki oddech.

- A ty, Bramie kochany, czy ty rozumiesz, że być może będziesz musiał mnie zabić?

Te groteskowe słowa, tak chłodno wypowiedziane pośród migotliwego deszczu padającego z nieba, poruszają go niewypowiedzianie.

- Co takiego?

- Tak, chyba że stanie się cud. A może pozwolisz, by to świństwo mnie zabiło? Nie miałeś czasu na zastanowienie; ja tak. Klasykna sytuacja pola bitwy. Kiedy to sobie przemyślisz...

- Baramji! Wracaj tutaj! - woła Ochter.

- Nie ma teraz czasu - mówi Linnix. - Powiedz mi tylko jedno - będziesz w stanie, prawda? Mogę na to liczyć?

- Jeśli... jeśli... jeśli... ale - och, moje kochanie, moja ko-

chana dziewczyno

- Baramji, kiedy cię wołam, masz zaraz przyjść. Potrzebujesz lekcji?

- Powiedz mi, że będziesz w stanie - nalega nieubłaganie.

- Żadnych "jeśli, ale". Poderżnij mi gardło albo zrób to, co będzie najlepsze. Będziesz w stanie?

Baram patrzy w jej błękitne oczy, widzi głębię ich wymowy.

Nagle pojmuję, że zbyt długo już był człowiekiem zdominowanym przez „jeśli” i „ale”, zanadto oddalonym od prawdziwej akcji, zamkniętym w szpitalu.

- Tak, będę - mówi powoli. - I mam po temu środki. -

Dotyka skrytego w kieszeni skalpela.

- Aaa, to dobrze. Liczę na... och! Aaaaeee!!!

Najwyraźniej Ochter dobrał o wiele mniejszą dawkę; tym razem cierpienie trwa krócej - lecz patrzeć, jak zęby bólu szarpiają niczym kły drapieżnika swą zdobycz - nie. Nie mógłby pozwolić jej tak umrzeć.

- Baramji, to zaledwie przedsmak. Wracaj do konsoli.

Córy podnosi się na nogi, by ponownie przytulić dziewczynę.

Baram odrywa dłonie Linnie od strzykawki, całuje je, po czym odchodzi.

To, co zastaje po powrocie do konsoli, sprawia, że oczy wychodzą mu na wierzch: Ochter właśnie uwalnia się z plątaniny rzymków, uprząży skrywanej pod nocną koszulą. Po południu Baram dostrzegł ją przelotnie pod kurtką Ochtera i wziął za szelki. Teraz

widzi, co to jest - źródło nienagannego kuśtykania Ochtera. Mały drań jest perfekcjonistą, żeby skazywać się na coś podobnego. Ochter prostuje się, wzdychając z ulgą. Nie spuszczaając oczu z Barama, zrzuca pantofel i podnosi go. Z łoskotem wypada z niego kamyk, Baram może jedynie przeklinać się gorzko w myślach: naiwny, wykpiony - kompletny frajer.

Teraz spostrzega coś jeszcze - matowy, jakby polakierowany połysk na paznokciu i serdecznym palcu zdrowej ręki Ochtera. Mały potwór nie jest taki znowu bezbronny, na jakiego wygląda; ta warstwa skrywa tak zwany "pazur śmierci", prawie niewidoczną, chirurgicznie ostrą igłę wypełnioną starannie dobraną trucizną. Jakie to słodkie.

Ochter pieczołowicie otrzepuje z brudu kolano, na które upadł uprzednio, zawiązuje zwisający luźno koniec bandaża i odkłada okulary. Posyła Baramowi jeden ze swych figlarnych uśmieszków i mówi poufałym tonem:

- Człowiek wygląda na tak bezradnego w bryłach i z niestarannym opatrunkiem. Myślę, że prawie warto było poświęcić ten palec.

Lodowato niebieskie oczy Barama obserwują go, niczym zarościały szankier.

- Czemu to wszystko ma służyć, Ochter? Dlaczego torturujesz myr Linnix, która pomogła ci, kiedy myślała, że cierpisz?

Ochter mierzy Baramjiego wzrokiem od stóp do głów i wzdycha:

- Przecież to chyba jest dla ciebie jasne, doktorze Baramji?

Albo takim będzie po odrobinie zastanowienia, biorąc pod uwagę to, na jakiej planecie się znajdujemy? Nie pragnę torturować myr Linnix. Tak naprawdę, jako człowiek wrażliwy, ubolewam nad koniecznością uciekania się do takich metod. Moje, hmm, środki zapobiegawcze mają na celu wyłącznie zapewnienie tego, że nikt mnie nie zaatakuje, ani nie przeszkodzi w moich działaniach.

A przede wszystkim uzyskanie twojej pomocy, jako że jesteś znacznie większy i silniejszy ode mnie.

- Mojej pomocy? Zwariował pan?

- Nie. I udzielisz mi jej, kiedy tylko przekonasz się, jak niewiele od ciebie żądam.

- To znaczy czego? Proszę mówić wprost, jeżeli pan to w ogóle potrafi.

- Niczego! To jest właśnie najśmieszniejsze. Chcę, żeby ci wszyscy ludzie nie robili absolutnie niczego - ewentualnie mogą spać, spokojnie spać. Tak jak - przynajmniej w większości - zerka przewrotnie na Barama - robią to teraz. A ty będziesz moim osobistym strażnikiem - tak, tak - ponieważ tobie najbardziej zależy na myr Linnix. Przeszkodzisz wszystkim, którzy mogliby nie zrozumieć swojego położenia, zaatakować mnie i zmusić do zadania jej owego okropnego bólu i śmierci. Widzisz, ona jest w stanie dojść do siebie nawet po kilku małych dawkach, lecz w pewnym momencie, który jest, niestety, nie do określenia, ich efekt kumuluje się i nie można go już odwrócić.

Podczas tej przemowy Baram krok po kroku manewrował tak,

by znaleźć się na wyciągnięcie ręki od zwoju bandażu na dłoni Ochtera. Lecz niespodzianie Ochter robi krok do tyłu, unosząc zdrową rękę.

- Ee. Ty też pragniesz śmierci myr Linnix? Ona naprawdę umrze, wiesz, jeżeli na ułamek sekundy zapomnę zaciskać sprężynowy wyzwalacz skryty w mojej dłoni. A - uderza bandażem o konsolę, rozlega się ostry, pusty dźwięk - moją dłoń i wyzwalacz otacza bardzo twarda skorupa, tak by nikt nie mógł mnie schwycić i utrzymać wyzwalacz, zaciskając moją dłoń. Po prostu nie przechytrzysz mnie na tak krótką metę, Baramji. - Uśmiecha się pogodnie.

Podczas gdy Ochter mówił, Baram wpatrywał się w Linnix, siedzącą pod zadaszeniem za jego plecami w towarzystwie Córy i Kipa. Po wysłuchaniu końcowych słów Ochtera, dokładnie opisujących jego własny plan, fala bezsilnej wściekłości zalewa go tak nagle, że prawie gryzie się w język, by się z tym nie zdradzić. Przez moment jest ślepy, a potem, kiedy znów może widzieć wyraźnie, spostrzega poruszenie na skąpanym w poświacie gwiazdy zadaszeniu ponad głową Linnix.

Przybiera on kształt drobnej, ciemnej sylwetki, sunącej ku krawędzi dachu, niedaleko miejsca, skąd odzywał się nocny śpiewak

- Pao. Bram pospiesznie odrywa od niej wzrok, odzywając się rozpaczliwie:

- Ale dlaczego, Ochter? Dlaczego? Pomyśl, co ryzykujesz.

Motywy Ochtera nic go nie obchodzą, pragnie jedynie utrzymać uwagę wroga na sobie, a z dala od dachu. Kątem oka widzi,

jak cień wielkości chłopca wycofuje się na powrót w górę dachu

- dobrze.

Ochter mówi:

- Baramji, posłuchaj mojej rady i przestań zawracać sobie głowę powodami i przyczynami. Zamiast tego zajmij się czymś mającym znacznie bliższy związek z obecną sytuacją, na przykład charakterystyką algotoksyny. To naprawdę fascynująca opowieść, wiesz.

- Słucham. - Baram ledwie wie, co mówi. Pao pojawił się ponownie na dachu, tym razem nad rynną, która zbiega na taras za ciemnymi teraz zasłonami Zanneza.

Och, nie, nie, zostań tam na górze, błaga w duchu Baram, nie śmiejąc spojrzeć. Nie próbuj tego - och, bogowie - Pao pełźnie naprzód aż nadto wyraźnie, szykując się do spróbowania akrobacyjnego wyczynu, polegającego na spuszczeniu się z dachu po rynnie. Nawet jeśli mu się powiedzie, będzie widoczny, jak na dłoni, dopóki nie zsunie się za zasłony.

- Słucham, naprawdę - powtarza Baram, zmuszając się do skupienia uwagi na Ochterze. - To oczywiste, że w tej strzykawce masz coś, co powoduje ból - z miejsca mogę wymienić kilka takich substancji - lecz twoje zapewnienie by to miała być algotoksyna, przyjmuję za sprytną bajeczkę. Algotoksyna od dziesięcioleci należy do historii. Nie lekceważę twoich możliwości, Ochter. Samo poznanie jej nazwy i wykorzystanie obaw z nią związanych to wyczyn godny podziwu. Ale wątpię, byś miał tam oryginalny produkt.

Słowa Barama kończą się zdławionym jękiem, zaraz obróconym w słaby chichot. Starając się skupić wyłącznie na Ochterze, tak czy owak widzi drobne kończyny odrywające się od okapu i łapiące się odpływu wśród wierzgania kończyn. Jeszcze moment i staje się zaledwie plamą, ciemnym zgrubieniem, sunącym w dół rynny, by zniknąć za parawanem.

Ochter wzdycha:

- Obyś nie zmusił mnie do udowodnienia tego, Baramji. Byłbyś najsmutniejszym człowiekiem w całym kosmosie. Zaryzykuję stwierdzenie, że dosyć pospiesznie odebrałbyś sobie życie, by pozbyć się wspomnień tego, czego stałbyś się tutaj świadkiem. Może, skoro poznasz jej pochodzenie, przynajmniej się zawahasz? Czas nas nieco nagli, ale w ostatecznym rozrachunku, jeżeli mi uwierzysz, trochę go dzięki temu zaoszczędzimy.

Baram wpatruje się w niego w milczeniu. Pao bezpiecznie dotarł na dół. Teraz nadeszła pora podejmowania szybkich i trafnych decyzji. Niech Ochter sobie gada, może przynajmniej więcej ludzi się ocknie. A skoro ten potwór pragnie odkryć karty, może się to okazać nawet użyteczne.

- Jak bez wątpienia wiesz, Baramji, algotoksyna odkryta została przez kobietę poszukującą leku na chorobę Kratera. Algotoksyna jest bezużyteczna na Kratera, tak jak i na wszystko inne, lecz uznano to odkrycie za godne wzmianki w raporcie. Pierwsza osoba, która go przeczytała, przesłała to Wydziałowi Specjalnemu. Kiedy federalni zorientowali się, co do nich trafiło, z miejsca wkroczyli



do akcji - zniszczyli wszystkie kopie raportu i jej notatki, usunęli wszelkie możliwe wzmianki dotyczące procesu, prowadzącego do jej syntezy, a wszystkich, którzy choćby niejasno wiedzieli o jej istnieniu, przepuścili przez Rehab, by zlikwidować te wspomnienia. Mogę w tym miejscu dodać, że wszyscy zainteresowani wykazali gorącą chęć do współpracy. Niewątpliwie dowiedziałeś się o tym przez któregoś ze starszych stopniem kontrolerów medycznych, wprowadzonych w sprawę przez Federację i pilnujących, by ponownie nie ujrzała ona światła dziennego.

Baram powoli kiwa głową, zainteresowany mimo ogarniającej go odrazy. W rzeczy samej to kierownik wydziału patologii opowiedział mu o algotoksynie, dawno temu. Wciąż jeszcze pamiętał nagłą zmianę, jakiej uległ normalnie jowialny głos starego doktora Ismaya: "Baltasarze Baramji: zapomnij o tym, co ci teraz powiem. Zapomnij o tym kompletnie do chwili, która, mam nadzieję - modlę się o to - nigdy nie nadejdzie, a kiedy to pamięć o moich słowach okaże się konieczna. Istnieje związek o nazwie algotoksyna..."

Teraz tamte słowa powracają do niego.

- Algotoksyna nie ma absolutnie żadnych pożytecznych właściwości. U ludzi jedynym skutkiem kontaktu z nią jest ból. Algos oznacza ból. Ból jest szkaradny, nieubłagany i nie ustępuje aż do śmierci.

"Aż do śmierci"; to dziwne, formalne określenie zmroziło Barama. A potem nadszedł prawdziwy szok.

- Tego bólu nie sposób złagodzić żadnymi znanymi człowie-

kowi środkami. Wszystkie zostały wypróbowane. Nawet pozbawienie ofiary przytomności nie przytępia tego strasznego bólu. Ofiary wydierają sobie gałki oczne, żyły i nerwy, obgryzają ciało ze swych kości przed ostatecznym końcem.

- Natura jej zabójczego działania, jak i wielkość śmiertelnej dawki nigdy nie zostaną ustalone. Wszystkie dane zebrane zostały od pięciu przypadkowych ofiar. Eksperymenty w tej dziedzinie byłyby odrażające moralnie.

Lecz Ochter powiedział, że igła na karku Linnix zawiera "dwa DS-y". Czyżby ktoś przeprowadził konieczne eksperymenty? Powraca do teraźniejszości w chwili, gdy Ochter opowiada mu, jak to samotny badacz, szaleniec szukający zemsty za niepowodzenie na egzaminie wstępnym na akademii medycznej, postanowił odtworzyć algotoksynę.

- Postawił sobie za cel przeczytanie wszystkich publikacji na temat choroby Kratera. Zajęło mu to dekadę, Baramji, lecz w końcu natrafił na przeoczone pół strony; tam skrywały się biochemiczne wskazówki oraz pojedyncza wzmianka o bólu.

- To wystarczyło, Baramji, ledwie wystarczyło. Wynajął za-robaczone pomieszczenie na jednym z Mrocznych Światów. Nie obchodziło go, kto dostarcza mu drobnych sum na przeżycie i kontynuowanie pracy - i tym sposobem dowiedzieli się o nim pewni ludzie. Musiał zgadywać, jakimi ścieżkami kierowały się badania jego poprzedniczki. Stracił na to kolejną dekadę - wydaje mi się, że w rzeczy samej znalazł lekarstwo na Kratera i wyrzucił je do

kosza - lecz dopiął swego, Baramji. Algotoksyna albo związek tak jej pokrewny, że nie robi to najmniejszej różnicy, ponownie jest wśród żywych.

Głos i postawa Ochtera podczas tej opowieści ulegają diametralnej zmianie; coś w tej szalonej tragedii budzi w nim podziw i zadziwienie, niemalże miłość. Baramji pojmuje, że mają do czynienia z niebezpiecznym zwierzęciem - artystą zbrodni. Szalonym, sadystycznym artystą. Jak przystało na artystę, zapewne pragnie, by świat poznał głębię jego sprytu. Czy jest możliwe, by przedkładał rozmowę o swych czynach nad nie same? Czy to bogactwo, płynące z handlu "Gwiazdowymi łzami" stanowi przyciągający go magnes - a może dokonanie niemożliwego? Czy ta słabość mogłaby się na coś przydać? Z pewnością ten człowiek i jego ego wymagają obchodzenia się z nimi w rękawiczkach.

- Nieważne, jaką drogą algotoksyna trafiła w moje ręce. Nie było to ani tanie, ani łatwe; prawdę mówiąc, wystawiłem się wówczas na pewne niebezpieczeństwo. Uznałem je wszakże za adekwatne do osiągniętego sukcesu. - Ochter uśmiecha się z dumą.

- Piękna historyjka, doktorze. - Baram naśladuje styl mówienia Ochtera. - Proszę mi wybaczyć, że wciąż jeszcze żywię wątpliwości. Ale szalony naukowiec...

Ochter przerywa mu ostro:

- Przeprowadzone zostały odpowiednie testy, Baramji. Nalegałem na to. Czasami naprawdę tego żałuję -jako człowiek wrażliwy wciąż jeszcze pamiętam wstrząs wywołany tym, czego mu-

siałem być świadkiem. Ale tak, to jest algotoksyna. Nie miej złudnych nadziei.

Baram odczuwa mdłości, uświadomiwszy sobie, że ktoś naprawdę przeprowadził stosowne eksperymenty. Lecz nie żywi złudnych nadziei. Wręcz przeciwnie, jako że miał minim na zastanowienie się, nie daje ani sobie, ani Linnix zbyt wielkich szans na przeżycie, a i pozostali nie są w o wiele lepszym położeniu.

Z miejsca zrozumiał jasno, że życie dziesięciu niewinnych ludzi trzymane jest w szachu bólem, jaki Ochter jest w stanie zadać Linnie, oraz jego własną reakcją na ten ból. Baram, przymuszony groźbami Ochtera pod adresem Linnix, ma pomóc Ochterowi w naszpikowaniu pozostałej dziesiątki środkiem nasennym, po czym Ochter będzie mógł zabić ich, kiedy mu przyjdzie ochota. A sam Baram - nie ma co żywić złudnych nadziei - niewątpliwie otrzyma swój zastrzyk, skoro tylko skończy się jego użyteczność. Zostanie zgładzony w swoim czasie, podczas gdy Linnix być może skona w potwornych męczarniach zadanych wstrzykniętą w kark algotoksyną.

Więc Baram nie może, nie wolno mu przyłożyć ręki do tego dzieła. Po pierwsze dlatego, że próba ratowania życia swego i Linnix przez zabicie dziesięciu innych ludzi jest niewyobraźalnie niemoralna. Po drugie, byłoby to głupie; oni również nie zostaliby oszczędzeni. Po trzecie i najgorsze, dopuszczenie do tego, by Ochter swym szantażem osłaniał Yule'a i Hinera, stanowi pogwałcenie potwierdzonego przysięgą zobowiązania, jakie przyjął na siebie jako strażnik Dameii - i do tego w obecnej chwili jedyny sprawny

strażnik.

Lecz jak przeszkodzić Ochterowi w uspianiu pozostałych?

Jeśli tylko Baram spróbuje się opierać, Ochter po prostu podda Linnix torturom, dopóki Baram nie będzie w stanie dłużej tego znieść - a nie żywi złudzeń, by potrafił przyglądać się beczynnie jej śmierci, umieraniu w tak potworny sposób. Ochter postąpi podobnie, jeżeli Baram spróbuje skontaktować się z Bazą.

Tak więc albo ten upiorny przedmiot zostanie usunięty z karku Linnie, albo Ochter zginie. Lecz jak tego dopiąć, nie zabijając Linnie? Baram jest zupełnie pewien, że potrafiłby szybko zabić małego człowieczka, jeżeli tylko byłby gotów na śmiertelną ranę zadaną "pazurem śmierci" czy też jakąś inną zabójczą zabawką.

W tej chwili perspektywa własnej śmierci nie niepokoi Barama - problem polega na tym, że martwa czy też konająca dłoń Ochtera wprowadziłaby podwójną śmiertelną dawkę algotoksyny do ciała Linnie, on zaś nie byłby w stanie skrócić jej agonii. Śmierć od algotoksyny jest zbyt potworna, by w ogóle brać ją pod uwagę; a on tak jakby obiecał jej, że ją przed nią uchroni; jego uczucia by go do tego zmusiły. Gdyby tylko ta ohydna strzykawka mogła zostać odcięta. W tej chwili Baram sprzedałby duszę diabłu w zamian za szczypcę do drutu i minim przewagi nad Ochterem.

A pozostali ludzie, wciąż jeszcze nieprzytomni, muszą mieć czas na przebudzenie się i wysłuchanie ostrzeżenia. Nie wiedzieli przecież, że Ochter i tamci dwaj są ich wrogami. Lecz jeśli Baram rozprawi się z Ochterem, ma pewność, że Zannez i jego chłopcy

zrobią wszystko, by powstrzymać Hinera i Yule'a - którzy być może w tej właśnie chwili zadają niewyobrażalne cierpienie jakiemuś pojmanemu przez siebie Damei.

Czy mogliby po prostu zignorować Ochtera i zająć się schwytaniem jego opryszków? Nie - nie wolno pozostawić Ochtera samemu sobie, tak by mógł wyładować swe sadystyczne skłonności na Linnie i innych bezbronnych ludziach. Pomińcie Ochtera oznaczałoby pozostawienie ich wszystkich na pastwę straszliwej śmierci. Ochter musi zostać usunięty z drogi pierwszy - ale jak tego dokonać, nie zabijając przy tym Linnie?

Wszystko zależy od unieszkodliwienia tej strzykawki. Jeżeli nie potrafi tego zrobić, czeka go spełnienie ponurego i oczywistego obowiązku. Linnix zrozumiała to, kiedy użyła określenia "pole bitwy". Z jej śmiercią znika cała moc Ochtera. Lecz, och, bogowie, czy ona jest już stracona? Może, tylko może, istnieje sposób usunięcia tego diabelskiego przyrządu bez zabicia jego dziewczyny?

Baram spogląda w roztargnieniu na Ochtera przez te kilka mgnień oka, jakich potrzebuje na doprowadzenie tego toku myśli do końca, i nagle spostrzega, że karzełek odpowiada mu spojrzeniem podobnym do tego, jakim obdarzył "kiedyś Vovokę. Hej - nasz mały rzeźnik jest wystraszony! Wylczenia Ochtera upewniają go, że jest bezpieczny, lecz hormony mają odmienne zdanie na ten temat, czyżby ujrzał zapowiedź swej śmierci w oczach Barama? Jego reakcją jest podkreślenie swej władzy nad nimi i instynktownie z miejsca trafia w samo sedno.

- Tak przy okazji, doktorze Baramji - mówi z wystudiowanym chłodem - ufam, iż pojmuje pan, że bezużyteczne jest rozumowanie, tak jakby chodziło o zwykłą strzykawkę, którą można przeciąć? Przyprowadzę myr Linnix bliżej, tak by pan sam zobaczył. Oczywiście nie będzie pan próbował jej dotknąć. Myr Linnix! Baram sztywnieje od dławionej wściekłości na tę gnidę, która pozwala sobie pomiatać jego dziewczyną.

Linnix podchodzi do nich beznamiętnie, jedynie odrobinę blada w kontraście ze wspaniałymi włosami. Jej spojrzenie mija Ochtera tak, jakby nie istniał, i zatrzymuje się na Baramie. Ich oczy spotykają się w komunii bez słów - serce Barama usiłuje przeskoczyć po linii wzroku i osłonić ją przed złem w mocnym uścisku. A jednak - palcami dotyka stali skalpela - nie potrafi jej obronić, miast tego być może będzie zmuszony uczynić jej straszną krzywdę. Najlepszym wyjściem, jakie będzie w stanie jej zaoferować, może być czysta śmierć z kochającej ręki. Zabić swą dziewczynę. Jak szybko to zrozumiała, jak surowo uświadomiła mu, że się na to godzi. Nawet wyczekuje tego, byle tylko nie zaznać bólu algotoksyny ani nie współuczestniczyć w odrażających uczynkach Ochtera. Och, moje kochanie, moje serce, moja dzielna, dzielna, dziewczyno.

Linnix odwraca się tak, by Baram mógł przyjrzeć się prawej stronie jej szyi. Kołnierz jest rozdarty i przekrzywiony, odsłaniając delikatne gardło - czy to tam będzie musiał ciąć? - i Baram czuje przerażenie na widok przyrządu, wyglądającego jak tłusty, odpychający, wielonogi owad przyssany do jej mlecznobiałej skóry.

Ma około czterech centymetrów długości. Po dokładniejszych oględzinach Baram spostrzega przezroczysty, centralnie usytuowany "brzuch" zawierający błękitną ciecz; milimetr, może więcej, szacuje na oko. Niebezpiecznie blisko tętnicy szyjnej.

- Na niektórych mrocznych planetach znany jest jako "skorpion" - mówi profesorskim tonem Ochter. - Ponieważ gryzie nawet po śmierci. Te ochronne nogi wokół centralnego zbiornika zrobione są z supertwardego metalu, na wypadek gdyby zaczęły ci przychodzić do głowy jakieś pomysły. To, co myr Linnix odebrała jako ukłucie szpilką, było silnym, szybko działającym miejscowym środkiem znieczulającym, umożliwiającym wprowadzenie pod skórę wylotu zbiornika.

- Tyle że nie jest to zwykła igła podskórna, Baram. Nie została zaprojektowana z myślą o jej wyciągnięciu. Nigdy. Kończy się długimi, potrójnymi szponami, które rozłożyły się w jej ciele. Ten skorpion, naturalnie, również został przetestowany - jego uśmiech ocieka czystym złem.

- Naturalnie. - Baramji naśladuje go z wściekłością, mdli go z odrazy. Ta jadowita strzykawka wygląda na niezniszczalną, nie do wyciągnięcia z żywego ciała. Baram dygocze ze złości i rozpacz. Lecz nie wolno, nie wolno mu sprowokować Ochtera, żeby nie wyładował swego gniewu na Linnie.

Ochter posyła mu złe spojrzenie, a potem, stając się znowu uprzejmy, poleca Linnie powrócić w pobliże Córy.

- Albo nie, po namyśle - mówi - wolę, żebyś usiadła tu,



w tym fotelu, gdzie doktor Baramji będzie cię dobrze widział, na wypadek gdybym musiał go ukarać.

Linnix z obojętną miną wyciąga się wygodnie - i kiedy to robi, ku pełnemu zdumienia zachwytowi Barama, posyła mu znaczące, niepowtarzalne mrugnięcie.

Szlachetne dziecko, myśli, starając się uśmiechnąć w odpowiedzi mimo dławienia w gardle. Uczy mnie odwagi. Dopóki żyjemy, żyjemy.

Ochter obserwuje ich uważnie, jak gdyby układali jakiś plan.

Dla tchórza, myśli Baram, prosta odwaga stanowi głęboko podejrzaną zagadkę.

W tej samej chwili mroczne migotanie przemyka szybko przez rozświetlone powietrze. Linnix zadziera głowę do góry, jak gdyby chciała przyjrzeć się czemuś mknącemu wprost na nią. Lecz niczego tam nie ma, jedynie chwilowy cień. Baram również odczuwa trwającą sekundę dezorientację i pociera oczy. To wina jonizacji, być może. Kolejny dziwaczny produkt gwiazdy. Otrząsa się z tego.

Ochter również trzęsie się lekko, wygląda na odrobinę poruszonego.

Potem człowieczek wyciąga z kieszeni mały, gruby, ciasno zwinięty pakiet.

- Teraz zabierzemy się do pracy - oznajmia, przechodząc zwa-  
wo do złotego łoża Lomeny. Boczne barierki są opuszczone. Ochter  
kładzie paczkę przy nieruchomych stopach i operując niezdarnie lewą  
ręką, rozwija ją; jej wnętrze mieści równy rząd strzykawk le-  
karskich, migoczących wielobarwnie w blasku gwiazdy. Przez cały

ten czas prawie nie odrywa oczu od Barania i Linnix. Teraz zaczyna nucić starą, popularną wśród pilotów piosenkę, "Sen", jednocześnie wybierając różową strzykawkę, którą Barani identyfikuje jako jeszcze jedną porcję soporyny - o ile nikt przy niej nie majstrował.

Tymczasem Linnix obserwuje wszystko uważnie, od czasu do czasu delikatnym dotykiem, badając ową ohydną rzecz na swej szyi.

Podczas gdy Ochter zwija na powrót paczkę ze strzykawkami, Linnix korzysta z okazji, by wyszeptać do Barama:

- Córy mówi, że następny cykl "alarmu martwej ręki" wkrótce się skończy.

Baram przez moment jest zmieszany w nieco kłopotliwy sposób. Faktem pozostaje to, że zapomniał o automatycznym sygnale alarmowym - jako że dla Linnix i dla niego samego nie ma to żadnego znaczenia. Odpowiedź - Rimshot - powinna nadejść na czas, by uratować Dameii i pozostałych ludzi, zwłaszcza tych, którzy mogliby mieć kłopoty po walce z Yule'em i Hinerem. Lecz w żaden możliwy sposób nie jest ona w stanie przynieść na czas pomocy dla niego i Linnix. A to dlatego, że muszą odmówić współpracy przy usypianiu pozostałych: w przeciwnym razie dziesięć ciał spoczywać będzie bezbrinnie na tarasie, zdanych na łaskę tych zbrodniarzy, kiedy ci odkryją, że czeka ich pojmanie przez Patrol. Nie; dramat jego i Linnix skończy się, zanim pojawi się Rimshot. Uśmiecha się jednak, dziwnie się przy tym czując, i widzi, że

Linnix również ma inną minę; wygląda na to, że przynajmniej dla większości zagrożonych nie wszystko jest jeszcze stracone, nawet jeżeli im dwojgu to nie pomoże.

- Baramji! Głuchy jesteś czy zasnąłeś? Ile upomnień potrzebuje myr Linnix?

- Ach, tak, tak, przepraszam - mówi idiotycznie Baram i podnosi się. Dokładnie kiedy wstaje, na konsoli zapala się światełko. To nie "alarm martwej ręki" lecz dwa osobne wskaźniki przekraczające ustalone dla nich maksymalne wartości. To oznacza, że powinien przestawić je na skan w szerokim paśmie, by sprawdzić, czy te wskazania są prawdziwe, czy też wynikają jedynie ze zsumowania się różnych składowych odczytów. Nie ma w tym wprawy.

Tymczasem Ochter mówi:

- Gotów, Baramji? Jak już ci powiedziałem, podejdziesz i przykłękiesz przy - Ochter zerka na najbliższą przykrytą kocem postać - myr Starcem. Ściągniesz z niej koc i unieruchomisz jej nogę, podczas gdy ja zrobię jej zastrzyk w udo. Twoim jedynym zadaniem jest dopilnowanie, by nie szarpnęła mnie za prawą rękę.

- Unosi zabandażowaną pięść. - Zrozumiałeś?

Baram doskonale go rozumie. Ze smutkiem pojmuje, że byłby gotów mocować się z tym biednym dzieckiem, byle tylko powstrzymać ją przed skrzywdzeniem Linnix. Jest też świadom tego, że dzięki łutowi szczęścia albo też dobremu planowaniu Ochter na pierwszą ofiarę wybrał tę jedyną osobę, która najmniej by się

przydała w walce wręcz, wrażliwe dziecko, dla której najlitościwszym rozwiązaniem byłoby przespanie wszystkiego, co może ich jeszcze czekać. Wygodnie śliski brzeg moralnego bagna, w które Ochter stara się go zepchnąć.

- Och, Bram, nie - mówi Linnix, podczas gdy Ochter burczy złowieszczym tonem:

- Baramji, czekam na ciebie.

- Doktorze Ochter - mówi wolno Baram, nie bardzo pewien, jak wiele jest w stanie wymyślić - nie, żebym powątpiewał w pańskie słowa. Całkowicie mnie pan przekonał, że powinniśmy uwierzyć w pańskie intencje. Lecz całe swe życie spędziłem jako lekarz. Zanim pomogę panu w ogólnym znieczuleniu nieprzytomnej osoby, zanim wypełnię tę funkcję, muszę wiedzieć, co będziemy wstrzykiwać. Nie powiedział mi pan tego, wie pan?

Czy prawidłowo wybrał? Obserwuje Ochtera, na twarzy którego odmalowuje się najpierw gniew, potem zniecierpliwienie, satysfakcja, wreszcie lekka irytacja człowieka, który zapomniał o wykonaniu jakiejś trywialnej czynności.

- Och, proszę bardzo, proszę bardzo - wzdycha Ochter. -

Ujmijmy to tak, że jestem to winien bogom medycyny. Substancja w tych strzykawkach to wodzian ambezyny, czyli soporyna, ten sam specyfik, którego obecność wykrył pan w winie i który, jak panu powiedziałem, otrzymałem z kliniki jako lek na bezsenność.

- Jego usta wykrzywia pogardliwy grymas.

- I który według pańskich słów podał pan Yule'owi i Hine-

rowi? - Baram wyciąga przed siebie otwartą dłoń.

- I który według moich słów podałem Yule'owi i Minerowi
- odpowiada Ochter z kamienną twarzą. - Proszę bardzo. -

Wkłada różową strzykawkę w dłoń Barama.

Baram zużywa tak wiele czasu, ile tylko może, na oględziny małej fiolki. Wygląda na nietkniętą. Bo i czemu nie? Na tym etapie Ochter potrzebuje jedynie tego, by jego ofiary pogrążone były we śnie. Baram już dawno temu wydedukował, że ta potworna ekipa zamierza spędzić tu tyle czasu, ile się tylko da, a więc na miejscu zaaranżowanej przez siebie końcowej katastrofy potrzebne im są świeże trupy.

Chwila nieuwagi kosztowała go utratę wyrozumiałości Ochtera.

- Na tym wyczerpuje się moja cierpliwość, Baramji. Oddaj mi strzykawkę, siadaj i rób to, co ci każę, bo w przeciwnym razie konsekwencje będą poważne.

Linnie wydaje z siebie zduszone westchnienie. Spodziewa się, że Baram teraz poderżnie jej gardło czy co? Baram posyła jej błagalne spojrzenie i przykłęka przy Starcem. Teraz opór jest bezcelowy, a pozostali śpiący potrzebują czasu.

Delikatnie ściąga koc z gołych pośladków małej Starcem i kładzie dłoń na nodze, którą mogłaby uderzyć rękę Ochtera. Ochter jest zręczny; zastrzyk zajmuje mu mniej czasu, niż Baram oczekiwał, a Starcem nawet nie drgnęła. W kilka sekund Ochter ponownie stoi i przywołuje Baramjiego do następnej uśpionej postaci.

To Bridey, biedna mała myr Eleganza, wciąż jeszcze w swym zło-

tym stroju pod kocem.

Linnix pochyła się do przodu, w błękitnych oczach goreje wymówka.

Wstając, Baram zerka w pozornie naturalny sposób na pulpit konsoli i produkuje zaskoczone chrząknięcie.

- Co to? Poczekaj, Ochter, coś się dzieje. To nie podstęp.

Podchodzi do urządzenia i spogląda na sięgające szczytu wskaźniki tak, jakby nigdy przedtem ich nie widział. Panel wygląda teraz nieco inaczej; między innymi jego uwagę przywołuje trzeci wielki niebieski wskaźnik.

- Pospieszę się, jak tylko się da - mówi Baram bez rozglądania się na boki i siada w fotelu przy konsoli, by zanalizować dane.

Niespodziewanie odzywa się Linnix:

- Znam ten stary sprzęt - zwraca się do Ochtera. - Mie-  
liśmy coś takiego na statku Swainów. Jedynie sumują napływające dane i jeżeli wynik wskazuje na niebezpieczeństwo lub coś znaczącego, nie sposób stwierdzić, czy to prawdziwe wskazanie, bez rozbicia go na komponenty. Ale trzy od razu to trochę dużo, jak na zwykłą sumę. - Spogląda w górę i na boki, jak gdyby była prawdziwie zdenerwowana - i szczęśliwym zbiegiem okoliczności niebiosy wykazują chęć do współpracy.

Kilka dziwnych, przypominających pszczele roje, rozmazanych kłębowisk iskier, wiszących w nieokreślonej odległości nad jeziorem, niespodzianie zaczyna obracać się powoli i rozpraszać - a te, któ-

re kierują się w stronę tarasu, okazują się gigantycznych rozmiarów. Jeden przechodzi nad nim - a może przezeń - pochłaniając go kompletnie, a wówczas strumienie zimnych ogni św. Elma zapalają się na pustych fotelach i antenach na dachu. Zjawisko najwyraźniej przenosi się na drugą stronę motelu i do garażu, towarzyszy temu przerażający, niespodziewany ryk klaksonu transportera.

- No, no! - Linnix w popisowy sposób odgrywa rolę kogoś, kto jest śmiertelnie przerażony, lecz stara się tego nie okazywać, i dzięki temu wszystkich wyprowadza z równowagi; prawdę mówiąc, sam Baram daje się nabrać przez moment, dopóki nie przypomina sobie, z kim ma do czynienia.

Linnix chichocze niezwykle nerwowo.

- Sprzęt na statku Swainów sumował tak, że można było dostać obiady na tydzień dla całej załogi, zamówiwszy szklankę wody.

A raz, raz, och, może lepiej nie będę wam teraz o tym opowiadać.

- Chichocze ponownie i milknie, przyglądając się pracującemu Baramowi.

A potem, nagle, odzywa się ponownie - lecz tym razem mówi to prawdziwa Linnix. Bardzo dziwnym tonem pyta:

- Doktorze Bram, czy naprawdę myśli pan, że to jest w porządku? Jest pan pewien, że musimy to wszystko robić?

Zmiana jest tak gwałtowna, że Baram obraca się ku niej i przechwytuje spłoszone, ostrzegawcze spojrzenie - które zaraz znika, skoro tylko Ochter odwraca się w jej stronę. Co? To nie ma sensu, lecz domyśla się, iż Linnix pragnie, by odszedł od konsoli.

Cóż, tak będzie lepiej; wie więcej od niego o tych rzeczach.

Gotując się do powstania, ostatni raz rozgląda się po przyrządach.

Jeszcze parę szczytowych wartości, a jedna z tych, które były tam poprzednio, teraz znika, parę światła, w tym jedno czerwone, wyglądające na coś nowego - raczej rzucające się w oczy - które przywołuje wspomnienie wysokiego, dziecięcego głosu pytającego: "To wielkie czerwone - czy ono coś ci mówi?" I...

Och, bogowie, bogowie, bogowie, bogowie!

Kręcił się przy "alarmie martwej ręki" dokładnie wtedy, kiedy ten się uruchomił. Zwracając na niego uwagę Ochtera akurat wtedy, kiedy potrzebuje czasu, czasu i spokoju, by zadziałać - czyżby jego głupota zdradziła ich wszystkich?

Tak beztrosko, jak tylko potrafi, wstaje, przerzucając przypadkowy przełącznik, i podchodzi do Bridey. Jakie znaczenie ma jeszcze jeden uśpiony turysta, jeżeli zrobienie jej zastrzyku zaprzętnie uwagę Ochtera wystarczająco długo, by sygnał alarmowy został nadany?

- Gotów, Ochter? - Och, bogowie, znowu przedobrzył. Ochter posyła mu zdziwione spojrzenie przed otwarciem paczki ze strzykawkami.

- Wskazania przyrządów cię zadowolily, Baramji?

- Tak. - Improwizuje pospiesznie. -- W sumie to tylko sygnał od sondy, że promieniowanie wkrótce osiągnie szczytowe natężenie. Przed nami musi już rzednąć.

- Hmm. - Ochter wyjmuję kolejną różową soporynę, spog-



łądając to na Barama, to na Bridey. - Jesteś gotów do pomocy przy robieniu zastrzyku myr Eleganzy, Baramji?

- Jak najbardziej.

A Bridey, leżąca na posadzce, porusza się. Niezdarnie zaciska w dłoniach koc i mamrocze:

- Hnn... hni... nie!

Ochter odruchowo odskakuje krok w tył.

- Baramji!

Baram klęka przy dziewczynie, starając się ją uspokoić, starając się uwolnić koc z jej uchwytu, odsłonić ramię.

- Przygotuj się, Ochter.

- Nnie! - To Bridey.

- Pomogę ci, Bridey! Słyszysz mnie? - To Linnix, wołająca

do niej z fotela. Bardzo wyraźnym, chłodnym głosem mówi: -

Ochter, jeżeli spróbujesz zrobić jej zastrzyk, przepchnę tego twojego skorpiona przez moje żyły i tętnice i umrę! Tu i teraz. A wtedy

Baram cię zabije. Słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Obie dłonie zaciska na okropnym urządzeniu na swej szyi.

- Odważne słowa, myr Linnix. - mówi Ochter pogardliwym

tonem. - Szkoda, że istnieje ból, którego nie jest w stanie znieść nawet największa ludzka odwaga. Kiedy...

- Kiedy poczuję ból, będzie już za późno - mówi lodowato

Linnix. - Nikt nie będzie w stanie cofnąć mojego posunięcia, chy-

ba że ktoś zechce skrócić me cierpienie. - Uśmiecha się ukrad-

kiem, a Baramowi włosy stają dęba na karku z przerażenia. Jest

w stanie to zrobić, potrafi uczynić to, co uczynić musi - ale przyjdzie mu to z trudem, z trudem.

- Baramji, myślę, że będziemy zmuszeni przywiązać ręce myr Linnix do fotela. Pragnąłem oszczędzić jej upokorzenia.

- A jak proponujesz unieruchomić moje ręce, zanim szarpną twoim robalem? - pyta szyderczo Linnix. - Pierwsza osoba, która poruszy się w moją stronę, wyda na mnie wyrok śmierci, nawet ty, doktorze Bram.

- Ale dlaczego, Linnie, dlaczego teraz?

- Prosta arytmetyka. Moje życie - zawsze zamierzałam to uczynić - to zapłata za wystawienie Starcem na niebezpieczeństwo. Ale jedno życie nie może zapłacić za dwa.

- Och, kochana Linnix, nie - mówi Bridey. - Nie rozumiem...

- Zabiją cię, jeśli tylko będą mogli - odpowiada Linnix. - Pomys'1 tylko. Ten człowiek oraz Yule i Hiner pragną "Gwiezdných łez". Będziesz świadkiem potworności, jakich ten człowiek zamierza się dopuścić na Damei. Jesteś w stanie ich zidentyfikować. To niemożliwe, by dobrowolnie pozostawili cię przy życiu - to samo odnosi się i do pozostałych.

- Och!

Ochter podnosi się i rusza w stronę łóżka.

- Zostań przede mną, tak bym mogła cię widzieć - rozkazuje Linnix. - Ale nie bliżej niż trzy metry.

Ochter posłusznie odwraca się i wraca wzdłuż parapetu do kon-

soli, spoglądając w zamyśleniu na Linnix i Barama. Wyraz jego twarzy wcale nie podoba się Baramowi. Tymczasem Bridey podnosi koc i niepewnym krokiem udaje się na dawne miejsce Barama. Wygląda tak, jakby miała zaraz zwymiotować. Linnix po prostu siedzi, czujnie ściskając strzykawkę na swej szyi. Baram stara się stanąć na drodze Ochtera między nim a konsolą, nie zwracając przy tym na siebie jego uwagi. Każdy upływający minutą działa na ich korzyść; wkrótce, wkrótce wysłany zostanie sygnał alarmowy. Ochter zatrzymuje się; wyraźnie doszedł do jakichś wniosków.

- Coś się zmieniło - mówi.

Obraca głowę, metodycznie sprawdzając po kolei wszystkie miejsca, w których poprzednio się znajdowali. Gdy wzrok jego dochodzi do konsoli, unosi znacząco zabandażowaną dłoń i mija Barama, by dokładnie obejrzeć cały pulpit. Trzymając bandaż w górze, kontroluje światła i tarcze zegarów. Jedno czy dwa migoczą podczas oględzin, lecz nie wielkie czerwone światło, na które Baram zawzięcie stara się nie spoglądać.

W cieniu zadaszania Córy wydaje z siebie całkiem słyszalny pomruk. Brzmi zupełnie jak - i rzeczywiście jest to - jadowne przekleństwo skierowane na własną głowę. Czego nie wie Baram, przeklina nie siebie z chwili obecnej, lecz lekkomyślną Córę sprzed tak niewielu godzin, która bez zastanowienia podwoiła czas oczekiwania alarmu, tak by nie musiała do niego pędzić w nieodpowiednim momencie. Ile ludzkich istnień naraziła na niebezpieczeństwo tym beztroskim posunięciem? I, och, zamiast narzekać na kłopot, z jaką radością zabrałaby

się za instalowanie opcjonalnych wyzwalaczy i możliwości kasowania tego przeklętego czerwonego światła! Teraz już za późno. Potworny, metodyczny umysł Ochtera trafił na właściwy trop.

- Co to za czerwona lampka, Baramji?

Baramowi robi się ciemno przed oczyma. Nawet jego głos wydaje się brzmieć bezsilnie.

- Nie wiem. Gdzie?

Ochter zastanawia się przez minim.

- Wyłącz ją.

- Nie wiem jak - odpowiada zgodnie z prawdą Baram. Jak, jak mógł być takim głupcem? Ochter wykazuje czujność paranoika; potrafi wywęszyć nadzieję u swych ofiar. Baram zdradził ich wszystkich.

Diabeł odwraca się do siedzącej nieruchomo przy Kipie Córy,

- Myr Córy, czerwone światło, które musiała pani wyłączyć, kiedy odwiedziło nas dziecko Dameii, i które ser Vovoka nazwał alarmem, zapaliło się ponownie. Życzę sobie, by natychmiast tu pani podeszła i je zgasła.

- Jest zbyt chora - protestuje Baram. - Strzał Vovoki, ale to nie wszystko, ona ma też problemy z sercem. Czy twój informator nie doniósł ci, że dziś po południu przyszła do szpitalika na badanie serca? Jej zastawka dwudzielna pracuje przy wielkim obciążeniu. Czy wie pan, co to oznacza? Co panu przyjdzie z tego, że tu nam zemdleje?

- Wiem, co chciałbyś mi wmówić, Baramji - mówi Ochter

wrednym głosem. - I wiem też, że personel naziemny musi z pozytywnym wynikiem przejść badania lekarskie przed każdym okresem służby. Wiem także, że myr Córy właśnie zaczyna swój piąty okres służby, Baramji. Teraz...

- W takim razie być może wiesz również... - przerywa mu bezceremonialnie Baram. Czas - czas jest wszystkim, czego im trzeba; niech sobie drań gada.

- Poczekaj, Bram. - Z cienia dobiega głos Córy. - Mogę to zrobić, Ochter. Ale nie ma takiej potrzeby. Rozłączyłam wszystko oprócz wskaźnika, kiedy - kiedy był tu jeszcze Vovoka. Miałam z tym zbyt wiele kłopotu.

-- Niemniej jednak życzę sobie, żeby zostało bezzwłocznie wyłączone.

- Ale to skomplikowane - wzdycha Córy. - Dlatego wtedy pozostawiłam to na później. Muszę dostać się pod płytę konsoli. Zostawmy to w spokoju - będzie się tylko nieszkodliwie włączać i wyłączać przez całą noc. - Doskonale rozumie morderczą grę, w jakiej biorą teraz udział.

- Pragnie pani jeszcze raz usłyszeć krzyk myr Linnix?

- Nie! Och, nie. Proszę bardzo - wzdycha ponownie. - Ale powtarzam panu, że jest ono podłączone tylko do zegara.

Ochter w niemej groźbie unosi swą zabandażowaną dłoń.

Córy pojękuje w proteście, lecz podnosi się powoli i rusza w stronę konsoli. Kiedy wchodzi w krąg światła, Baram jest wstrząśnięty widokiem jej ściągniętej i obwisłej twarzy, ciemnymi workami pod

pomarszczonymi powiekami, dziwnie przygarbionym, nierównym krokiem. Córy siada w podsuniętym przez niego fotelu, pomagając sobie drżącymi rękoma w utrzymaniu równowagi. Kiedy jednak się odzywa, jej głos nabiera mocy.

- Usiądź tam, Bram, i mów mi, jeżeli wyłączy się któryś z zegarów. Och, bogowie, co wy, mężczyźni, wyprawialiście z moją konsolą? - Jej chichot jest niesamowitym echem niegdysiejszego żartobliwego śmiechu.

- Myr Córy, raz już panią ostrzegałem!

Córy chrząka i, ku zdumieniu Brama, obiema dłońmi chwyta za konsolę. Klik! Zewnętrzna krawędź panelu odchyła się na zawiasach, odsłaniając płataninę kabli - oraz schowek na narzędzia, w którym spoczywają lśniące nowe szczypce do drutu o wąskim niczym igła czubku. Dokładniej rzecz ujmując, dwie sztuki szczypiec: obok tych leżą jeszcze drugie, mniejsze.

Niech cię bogowie błogostawią, Cór!

Zorientowała się, jakie narzędzie mogłoby mu pomóc, zlokalizowała je i zaprowadziła go wprost do niego. Teraz jemu pozostaje tylko nie zauważone wsunięcie go do kieszeni i znalezienie sposobu jego użycia, zanim Ochter zdąży puścić wyzwalacz. Czysta radość, płynąca z ujrzenia tych szczypiec, z wyobrażenia sobie, jak przecinają zabójczy zbiornik, sprawia, że na moment zapomina o diabelsko skomplikowanej reszcie planu - całą sytuację postrzega jako wielki skok na drodze od niemożliwego do choćby śladowo możliwego.

Córy wzięła do ręki małe szczypce i zaczyna gmerać pod pul-

pitem na wysokości czerwonej lampki.

Ochter obserwuje ich w napięciu.

Baram całą swą uwagę koncentruje na powolnym ruchu, maskującym przygotowania do próby schwycenia szczypiec, kiedy niemalże przepuszcza swą szansę: ramię Córy zatrzymuje się bezpośrednio nad schowkiem, gdy postukuje w jeden z zegarów.

- Pilnuj jego wskazań, Bram.

- Wyglądają... wyglądają na odrobinę za wysokie, jak na mój

gust. - Bram wsuwa szczypce do kieszeni. Teraz - teraz ma

szansę uratować Linnie!

Cór, by zmarnować trochę czasu, opowiada jakieś bzdury o wzroście niektórych parametrów.

Ochter otwiera usta, lecz Córy go uprzedza.

- Ochter, ciebie może niewiele obchodzić, czy mózg ci się usmaży czy nie, ale tu mamy do czynienia z mikrofalami theta.

- Podnosi głowę i spogląda na niego zmęczonymi oczyma. -

Wszyscy ci ludzie powinni nosić osłony na głowach. Ty również, chociaż powiedzenie tego nie sprawia mi przyjemności.

Przez ułamek sekundy Baram sądzi, że wybieg zadziałał; Ochter waha się, przygryzając wargę. Lecz potem, ku przerażeniu Barama, człowieczek staje za ich plecami i spogląda na panel kontrolny.

- Być może zdziwi was fakt, że potrafię odczytywać wskazania prostego detektora strumieniowego - oznajmia jadowitym tonem. Potem zaciska usta. - Dokonaliście złego wyboru. Poza tym nie sądzę, by te manewry z pulpitem były w ogóle konieczne.

- Mówiłam już, że rozłączyłam instalację alarmową.
- Ach, teraz sobie przypominam. Tak! - Pochyliła się szybko nad płytą, jego lewa ręka wsuwa się między nich i przesuwa nieoznakowany przełącznik, zanim się wycofuje.

Czerwone światło alarmu gaśnie.

Wściekłość ściąga twarz Ochtera.

- Wróć na swoje miejsce, myr Córy. Nauczę cię, do czego prowadzą próby oszukania mnie.

Córy podnosi się powoli, z wyraźnym bólem, i kiedy się odwraca, napotyka spojrzenie Barama, więc ledwie zauważalnie sygnalizuje mu zaprzeczenie. Źle - źle; nie ma już nadziei, opóźnienie nie było wystarczające. Sygnał alarmowy nie został wysłany.

Ich odrażający wróg znacząco unosi zabandażowaną dłoń.

- Nie! - woła Baram. - Ochter, w imię... Wyładuj się na mnie, cholera jasna!
- To właśnie robię. - Na twarzy Ochtera maluje się krzywy, chętny uśmiech. - Będziesz miał o czym myśleć, kiedy następnym razem przyjdzie ci ochota na tanie gierki.
- Przestań! Nie - proszę, dziabnij mnie, musisz mieć tego więcej. - Ochter wycofuje się dalej, odsuwając od niego prawą pięść.
- Nie szkodź... - zaczyna Linnix, lecz jej słowa przechodzą w krzyk bóleści, rozdzierający serce Baramowi. Obie dłonie przyciska do ust, starając się go zdusić - Baram widzi, jak naprawdę próbuje zamknąć sobie usta. Lecz ból jest zbyt okropny - jej stopy



dygoczą, ciało wygina się w bolesny łuk, krzyk narasta do prze-  
rażającego, skowyczącego wrzasku.

Ignorując Ochtera, Baram doskakuje do niej. Pada na kolana,  
obejmuje jej miotane konwulsjami ciało, próbując powstrzymać ją  
przed zrobieniem sobie krzywdy i starając się przycisnąć ucho do  
wijącej się klatki piersiowej. W swym cierpieniu Linnix niemalże  
stacza się z fotela, podrzucając ich oboje.

- Przestań, Ochter! - przekrzykuje jej wrzaski. - Zabijesz  
ją, ona przestanie oddychać - układ oddechowy przestanie pra-  
cować! Nie, kochanie, kochanie, nie próbuj tego wyciągnąć, rozer-  
wiesz sobie tętnicę.

Przytrzymuje jej dłoń szarpiącą skorpioną - silną dziewczyną.

Lecz jej krzyki słabną na sile, gdy zaczyna brakować jej powietrza.

- Oddychaj, kochanie, nabierz powietrza - mówi do Linnix,  
po czym wywarkuje do Ochtera. - Jeżeli ona umrze, jesteś tru-  
pem, Ochter, trupem! Wsadzę ci ten zatruty pazur do gardła i urwę  
ci łeb. Wiesz o tym?

Ochter wygląda na odrobinę zamyślonego.

- Już dawno przestałem - odpowiada z rozdrażnieniem. -

To jedynie efekty następce. Dalej, Baramji, uspokój swoją uko-  
chaną i wracaj tutaj, masz dużo pracy.

Baram charczy. Płytkie, pospieszne, zdławione oddechy Linnix  
gubią rytm, łapią go ponownie, gubią raz jeszcze; u niektórych pa-  
cjentów przenikliwy ból niebezpiecznie wyczerpuje wszystkie  
ośrodki nerwowe. Na koniec nie będzie trzeba długo czekać. Musi

się jakoś do niej przebić, na nowo uruchomić maszynę jej życia.

- Oddychaj, moja dzielna dziewczyno - oddychaj! Wytrzymaj jeszcze troszeczkę. Oddychaj, kochanie, nabierz powietrza.

Postanowienie, którego do końca jeszcze nie sformułował, przejmuje władzę nad jego językiem. Mówi wprost do jej ucha:

- Posłuchaj, Linnie, naprawdę jesteś moją dziewczyną. Moją córką. To ja jestem tym lekarzem, którego poszukujesz. Ja to zrobiłem. Byłem na Benebornie, twojej rodzinnej planecie - byłem.

Teraz sobie przypomniałem.

Oddech urywa się ponownie; Baram ma nadzieję, że go wysłucha.

- Linnie, to prawda! Byłem tam, na Benebornie. Pamiętasz ten wielki złoty budynek nad wodospadem? Już sobie przypomniałem. Kochanie, staraj się mnie wysłuchać - to ja to zrobiłem, Linnie. Jesteś moja.

Ostateczność swego uczynku ściska go w gardle, żegnaj, żegnaj, moje marzenie - ale musi to powiedzieć. Na moment zapomina, że marzenie to i tak skazane jest na zagładę, i po prostu oplakuje je.

- Jestem twoim ojcem, Linnie. Jesteś moją dziewczynką. Moim, moim dzieckiem.

To do niej dociera. Przerwa, potem dwa wielkie, rwane hausty powietrza. Z krzyku pozostał już tylko przeciągły jęk.

Powoli, ostrożnie Baram kładzie ją z powrotem na fotel, szepcząc:

- Pomyśl sobie o tym, moja miłości, moja dziewczyno. Teraz oddychaj, słyszysz? Trzymaj się, oddychaj. Wyciągnę cię z tego. Kiedy rozdziela oplatające go ramiona, Baram w pełnym blasku gwiazdy wyraźnie widzi upiorną strzykawkę. Tak, między "nogami" jest dosyć miejsca, by wsunąć czubek szczypec i przeciąć centralnie usytuowaną igłę. Szcypce palą mu kieszeń, lecz nie śmie teraz próbować - Linnix całym ciężarem leży na kieszeni, Ochter zaś nie odrywa od niego oczu. To potworne zwierzę, potraktowałby ją kolejną porcją trucizny, zanim Baram zdążyłby odpowiednio ustawić szczypcę - a zarazem ryzykowałby też ich utratę. Musi poczekać, dopóki coś innego nie odwróci uwagi Ochtera. Dzięki okrucieństwu Ochtera fotel Linnie stoi niedaleko niego. Czy może sobie wreszcie pozwolić na odrobinę nadziei?

- Baramji! - Ochter stoi teraz nad Bridey.

- Och, nie - woła słabym głosem Linnix.

Nie wiedząc, co począć, Baram robi parę kroków i podnosi upuszczoną przez Ochtera pustą strzykawkę, jak gdyby zamierzał dokładniej ją obejrzeć.

- Oddaj mi to, Baramji. No, dobrze, jako doktor daruję ci jeszcze krótką chwilę na uspokojenie swego sumienia. Przekonasz się, że to jedynie najczystszy w świecie usypiacz.

Czarna plama przesuwają się przed oczyma Barama, kiedy podnosi strzykawkę do nosa. Zwykła soporyna nie mogłaby tego spowodować.

- Co jeszcze wsadziłeś do tej strzykawki, Ochter? - pyta wyzywająco, stając nad Starcem. - Przyszło ci może do głowy,

że jako lekarz - albo jako człowiek - nie mam prawa skrzywdzić  
ani zabić tuzina ludzi dla uratowania jednej osoby?

Ochter patrzy na niego dziwnie, ewidentnie prawdziwie zasko-  
czony. Baramowi ponownie robi się ciemno przed oczyma, blask  
gwiazdy gaśnie. Dobrzy bogowie, do jakiej potworności dopuścił,  
co takiego zrobił małej Starcem?

- Ach, arytmetyka moralności - mówi mgliście Ochter. -

Aczkolwiek uważam, iż kolejna demonstracja na myr Linnix mog-  
łaby zmienić rozłożenie szans. - Jego głos rozmywa się dziwnym  
echem, gdy fala niewyraźnych poruszeń, wcale nie będących po-  
ruszeniami, przesuwa się przez taras.

Baram wreszcie zaczyna trzeźwo myśleć.

Migotanie wcale nie jest wywołane zawartością strzykawki, to  
początek kolejnego zawirowania.

A głęboko, głęboko - trzepotliwe wsteczne migotanie trwa da-  
lej, wystarczająco długo, by ujrzeć dziwne, wielokrotne palimpse-  
sty Ochtera, kompletnie zmieszany wyraz jego twarzy - czyżby  
było to pierwsze zawirowanie czasowe, w jakim się znalazł? Wy-  
starczająco długo, by spojrzeć na znieruchomiłe kształty Kipa  
i Córy pod zadaszeniem i przypomnieć sobie, że dla nich ten ciąg  
wydarzeń nie istnieje. Wystarczająco długo, by odwrócić się do  
Linnix, spoczywającej w centrum rozmazanej ruchem plamy,  
i usłyszeć jej odległy krzyk minionego bólu. Czy boi się zawiro-  
wania? Czy ponownie cierpi? Musi do niej podejść.

- Linnie, Linnie, wszystko jest w porządku - usiłuje krzyk-

nać, słysząc, jak jego głos rozplywa się w niesamowite echo -  
rządu-ądku-ądku-uuu.

Wytężając wszystkie siły, pochyla się, unosi stopę, porusza się.  
Jak gdyby przeciskał się przez klej - i udaje mu się, chociaż jego  
własne przeszłe ruchy szarpią nim w dziwny sposób do przodu  
i do tyłu. Czy to przeszły-on czeka tam na niego, schylony przy  
byłej-Linnix? Nie chce tego wiedzieć, pragnie jedynie przesunąć  
najpierw jedną stopę, potem drugą, pojedyncze kroki zbliżają go  
do niej. I oto Baram - albo jakieś jego odbicie - dokonuje tego,  
niczym we śnie na jawie, podczas gdy scena zwalnia biegu i sta-  
bilizuje się.

W końcu jest już dostatecznie blisko:

- Linnie - (Linnie-innie-in-n, zawodzi echo). Dziewczyna,  
albo jej przeszłe odbicie, spogląda na niego. Czy budzi w niej  
strach, mającąc tak wśród szaleńczych rozbłysków? A może jest  
niewidzialny? - Linnie. To ja, Bram - (Bram-ram-am-m-m).

- Bram! Och, Bramm. - Nie jest wystraszona. Wyciąga ku nie-  
mu ramiona, nie zważając na potworne urządzenie uczone jej szyi.

Przykłęka na jedno kolano. Teraz! Może użyć szczypiec, może  
ją uwolnić! Jestem niczym gwiazda, myśli. Próbuję powrócić do  
przeszłości, by ją zmienić.

Jego myśli uspokajają się na tyle, by przypomnieć sobie o trud-  
ności i delikatnej naturze czekającego go zadania, przerażającego  
niebezpieczeństwem, czyhającego na nią w razie jego niepowodzenia.

- Nie ruszaj się, kochanie-anie. - Zanurza dłoń w kieszeni.

Lecz - och, bogowie, och, przekłęci bogowie!

W kieszeni nie ma żadnych szczypiec!

Nic - Tylko cholerna chustka. Niemalże przewraca fotel, przetrząsając wszystkie kieszenie, usiłując uniknąć oczywistego, przekłętego faktu: w prawdziwej przeszłości, w tym punkcie oryginalnego biegu wydarzeń jeszcze ich nie miał!

Szczypce znajdują się "teraz" zapewnię z powrotem w schowku, gdzie je znalazł albo też znajdzie. Czy ma szansę wrócić po nie odpowiednio szybko?

- Bogowie, Linnie, zawiodłem cię. Zaczekaj, spróbuję. -

Lecz gdy zaczyna się podnosić, scena rozmywa się, blask gwiazdy migocze i przyspiesza pulsowanie, stając się rwącym, niematerialnym potokiem i plątaniną cieni. Tyle że teraz biegną one ponownie ku przyszłości.

Całkowicie zaprzepaścił swą szansę.

Może jedynie mocno ją objąć - tak, jest materialna, ciepła i rzeczywista - i ścisnąć ze wszystkich sił, tak że zmuszony jest nieco rozluźnić uścisk, by nie zrobić jej krzywdy. Cały dygocze; ona również go obejmuje, nie dbając o usadowione na swej szyi zagrożenie. Dzikie pomysły związane z łamaniem praw czasoprzestrzeni przebiegają mu przez głowę, lecz umykają przed bardziej racjonalnym strachem: wpływ rzeczywistości na tę dziwną, stworzoną z anomalii krainę może być niebezpieczny. Próba sprzeciwienia się jej sił może doprowadzić do fizycznego rozdarcia - albo, co gorsza, do zaburzeń osobowości.

- Uważaj, Linnie. Och, kochanie, musimy się puścić.

Powoli opuszczają ramiona; jedynie oczyma trzymają się nawzajem mimo wirujących cieni czasu. Linnix szepcze - szeptem kochanki. Lecz jej słowa to "ojcze, tato!" Ranią serce Barama.

Zmrożony pozwala, by uderzenie rzeczywistości i świata nierzywistego szarpnęło, pociągnęło go, albo ten jego aspekt, który rzucił wyzwanie czasowi.

I kiedy wirujące migotanie zaczyna ustawać, Baram wciąż jeszcze klęczy przy niskim fotelu Linnix, zerka obok jej nóg na obwieszone złotem szpitalne łóżko i dostrzega cień ruchu w draperiach zaścielających taras pod nim. Ochter poprzesuwał zasłony, pozostawiając szczelinę - i w tej szczelinie majaczy sylwetka małego chłopca skulonego wśród podtrzymujących życie pacjentki rur i kabli.

Pao!

Chłopiec ma opuszczoną głowę, przepatruje posadzkę; coś wydaje się też rozpraszać jego uwagę. Na oczach Barama Pao podnosi rękę, by pomacać się po plecach, a potem opuszczają z powrotem.

Potem scena rozmywa się - Baram odkrywa, że jakimś cudem stoi teraz na nogach, zataczając się do tyłu - lecz wcześniej jego oczom ukazuje się przedmiot, którego szukali, a który najwyraźniej tropi teraz Pao.

W zagięciu sięgających podłogi zasłon spoczywa broń Vovoki.

Lada moment Pao musi ją dostrzec, jeżeli dalej będzie posuwał się w tym kierunku!

Baram wstrzymuje oddech, zatacza się jak uderzony obuchem

- nagły przyptyw prawdziwej, bezwarunkowej nadziei po tak długim czasie to jak cios w splot słoneczny.

Próbuje się pochylić, wypatrzeć chłopca i dać mu sygnał, lecz nie kontroluje już swego ciała. Rozmazane nieprzedmioty ocierają się o niego i znikają w migoczącym blasku gwiazdy. Rozpędzone wirowanie czasoprzestrzeni na tarasie zanika, spowalniając i nabierając realności. Stoi teraz przy konsoli, odczuwając dziwny nawrót jednolitości. Jego umysł w pełni wraca do terażniejszości, rzeczywista natura ostatnich posunięć wyparowuje mu z głowy. Pozostaje jedynie niebezpieczne, zapierające dech w piersiach uczucie radości.

- ...mogłaby zmienić rozłożenie szans - kończy Ochter, nieczym rozpędzająca się maszyna.

Barama dopada przyprawiająca go o zawrót głowy dezorientacja: na wpół zapamiętane wydarzenia z, z nie z przeszłości, lecz z czasu nie istniejącego; iluzoryczne chwile, które nielegalnie wcisnięte zostały w miarowy przepływ czasu - wydarzenia, uderzenia serca, minimy, nie istniejące dla Cór i Kipa skrytych pod osłoną zadaszania. Czy to naprawdę tylko złudzenia? A może Linnix prawdziwie je z nim dzieliła? Gdyby tylko mogli teraz porozmawiać!

Jego dłoń trafia na skryte w kieszeni nożyce do drutu! Jak mógł sobie wyobrazić, że wyskoczyły z niej - i wróciły z powrotem?

Złudzenie.

Ale chwileczkę.

Nie może znaleźć chusteczki. Chusteczki, którą w czasie nie



istniejącym rzucił obok fotela Linnix! Powinna spoczywać w jego kieszeni.

Gdy sprawdza ponownie, jego siwe włosy rozwiewa podmuch powietrza, bez wątpienia zawirowania nocnej bryzy znad dachu.

W tej samej chwili spostrzega jakieś poruszenie na tarasie niedaleko Linnix. Przygląda się.

To jego chustka, opadająca teraz na ziemię. Wygląda na to, że powiew przesunął ją o jakiś metr w jego kierunku.

Mrówki wędrują Baramowi po plecach, pierwotne dreszcze wstrząsają jego ciałem. Gdyby był swym dalekim futrzastym przodkiem, futro owo zjeżyłoby mu się teraz na grzbiecie, w groźbie będącej reakcją na strach. Niewątpliwie widzi dłoń samej rzeczywistości - a raczej nieskazitelnie subtelny palec rzeczywistości - czubek potęgi tego, co istnieje i co nigdy nie stanie się niczym innym. Jeszcze jeden czy dwa delikatne powiewy i wszystkie ślady jego działalności podczas regresji czasowej znikną - nierealne, iluzoryczne, znikną. Drży cały.

Ale jest sprawa znacznie ważniejsza od tego strachu: czy Pao i broń Vovoki naprawdę tam są - teraz? Jeśli tak, istnieje prawdziwa nadzieja, że pomoc nadejdzie. Baram nie śmie prowokować losu - ani Ochtera - ponownym spojrzeniem w tamtą stronę.

Tamten widok trwał tak krótko, w cieniu, tak łatwo mógł sobie po prostu wyobrazić to, co pragnął ujrzeć. Och, bogowie gwiazdnej sprawiedliwości, oby to także nie uległo wymazaniu!

Tymczasem Ochter kontynuuje swą przemowę, przynaglając

Barama do pośpiechu. Człowieczek robi jednak teraz wrażenie odrobinę przygaszonego. On również znalazł się w obrębie zawirowania czasu; cóż takiego robił, czuł, próbował? Jeżeli to jego pierwszy raz, zapewne po prostu dał się ponieść wydarzeniom. Baram przypomina sobie swe własne zdumienie - a przecież mógł wesprzeć się opowieściami Kipa i Córy.

Od głównego wejścia do salonu dobiega gwałtowny łomot i trzaśnięcie - ktoś dobija się z drugiej strony, nie wiedząc, że zamek został zaspawany. To musi być Hiner, Yule albo obaj. Na tarasie wszyscy przytomni ludzie odwracają głowy w tamtą stronę - włącznie, jak zauważa z radością Baram, z Kipem. Leży z podniesioną głową, rozcierając oczy. Jest dobrze.

Jaka nowa katastrofa zmierza w ich kierunku?

Baram z rozpaczą obraca w palcach ukrywane w kieszeni skalpel i szczypcy. Dopóki Pao nie znajdzie czegoś lepszego, pozostają ich jedyną bronią. Linnie powinna dostać skalpel, myśli sobie, jest skuteczniejszy na wroga i nie powoduje pokusy, by spróbować przeciąć igłę strzykawki, której nie jest w stanie ani ujrzeć, ani wyczuć.

Kiedy rusza ku niej, drzwi szpitalika otwierają się na oścież; ktokolwiek to jest, najwyraźniej zrezygnował i znalazł inną drogę. Na taras wychodzi postać tak rozdygotana, tak usmarowana, wybrudzona i rozmemłana, że trudno w niej rozpoznać Yule'a. Kieruje się ku Ochterowi, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe narzekania.

Wraz z nim na taras wdziera się dźwięk.

Bridey i Linnix słyszą go pierwsze - nikłe, bardzo wysokie zawodzenie, prawie poza zasięgiem słuchu Barama. Jest jak żywe, przeraźliwie rozdziera serce; jest nie do zapomnienia. Baram słyszał je już dwukrotnie, raz z ust potwornie poparzonego młodego samca, potem z ust rodziców, których dziecko utonęło.

To głos Damei krzyczącego w nieznośnym cierpieniu.

Damei nie potrafi krzyczeć ani artykułować dźwięków, jak człowiek; jedynie in extremis wydziera się z ich płuc ten cichy, mrozący krew w żyłach, szepczący krzyk czy też skrzek, zdający się dobiegać zewsząd i znikąd zarazem.

Prawie natychmiast po tym, jak Baram go rozpoznaje, dźwięk urywa się nagle, jak gdyby wydająca go cierpiąca istota została zakneblowana. Przerazony Baram pojmuje, że Hiner i Yule oddają się swej krwawej zbrodni, nie w wiosce, lecz gdzieś w pobliżu albo i w samym motelu.

To zaś oznacza, że ofiarami muszą być... Nie potrafi dokończyć tej myśli, słyszy jedynie płaczliwy okrzyk Linnie: "Oni torturowali dzieci takie jak Nyil".

Oraz pogodną odpowiedź Kipa: "Po to tu jesteśmy". Kipa, który leży teraz ze złamaną nogą, ledwie przytomny, podczas gdy przestępcy dokonują zbrodni.

Och, Pao, błaga w milczeniu Baram, jeżeli istniejesz - musisz istnieć - przynieś mi tę broń. Przecież chłopiec do tej pory na pewno już ją znalazł. Ale jak ma się zbliżyć do Barama? Spojrzenie

Barama poczyna kontrolować ewentualne trasy podejścia, ustalając, gdzie on sam winien stanąć.

- Mordecai! Co się stało? - pyta Ochter, gdy Yule, zataczając się, podchodzi do złotego łoża. - Dlaczego nie pracujesz?

- Co się stało? Wszystko się stało - Yule przeciera umazaną twarz zakrwawionym rękawem. - Posłuchaj, powiedziałeś, że twój zastrzyk mnie ustawi, że wszystko będzie zabawą. Cóż, to żadna zabawa. No, Nat jest zachwycony, myśli, że zabija robale.

Ale to fuj! Brudna robota! Najpierw trzeba było czekać wieczność, żeby robale się ocknęły, a są zbyt duże, żeby je ukryć; a powiedziałeś, żeby przynieść je tutaj, wszyscy będą naćpani, a potem - hej, co tu się dzieje? Ci dranie wcale nie są naćpani, ani ten, ani ta, ani...

- To nie powinno cię obchodzić - przerywa mu Ochter. - Są pod odpowiednią kontrolą. Ale czy wy zbieracie towar?

- Trochę. Ale nienawidzę tego. Mówiłeś o zabawie.

Ochter uważnie przyjrzał się swemu pomocnikowi, wyraźnie zdeglustowany jego stanem. Lecz jego głos staje się balsamiczny, kojący.

- Biedny chłopcze. Nie martw się, Mordy, naprawdę możemy zrobić z tego zabawę. Oczywiście potrzebujesz pełnej dawki. Wiesz, poprzednio dałem ci tylko połowę, wyglądałeś na tak, hm, opanowanego. Proszę, od razu. - Wybiera strzykawkę. - Podaj mi ramię. Zdejmij to świństwo.

Baram ledwie może tego słuchać. Ze swej nowej pozycji widzi

opadającą na ziemię zasłone łóżka - i wyłaniającą się spod niej szybką chłopięcą dłoń, kierującą się po omacku ku zagięciu, w którym spoczywa broń Vovoki. Jest realna. Pao także jest realny i zaraz jej dosięgnie!

Yule ściąga swą mokrą, poplamioną sportową kurtkę. Zdegustowany do głębi Baram rozpoznaje szkarłat krwi Damei i jaśniejsze, oleiste smugi, będące niewątpliwie wydzielinami gruczołów plecowych, surowymi "Gwiezdnymi łzami". Nawet ze swego miejsca czuje ich słaby, słodkawy zapach.

- Pamiętaj, Mordy - mówi teraz Ochter surowym tonem - trochę się pospieszyłeś z tymi fajkami. Mówiłem ci, że ze względów bezpieczeństwa nie zamierzamy zaczynać od tutejszych obcych. A potem o mały włos nie zadymiłeś ich na śmierć! Tylko siebie samego możesz obwiniać za oczekiwanie i niewygody.

- Mój dobry płaszcz - mruczy Yule. - A ten wielki bydlak zwymiotował mi na buty. Zwierzęta!

- Takie podejście mi się podoba! - Ochter chwyta muskularne ramię Yule'a i wprawnie robi mu zastrzyk z czerwonej strzykawki, której Baram nie potrafi zidentyfikować. - A teraz, Mordy, za dwie minuty poczujesz się cudownie. Tymczasem wyrzuć to świństwo, wkrótce będziesz miał dosyć kredytek, by codziennie kupować sobie nowy strój. Albo co godzina, jeżeli przyjdzie ci na to ochota. Pozbądź się tego.

Mamrocząc, Yule ciska kurtkę na podłogę obok Linnix, ze zmarszczonym czołem oglądając swe buty. Pod łóżkiem dłoń wciąż po-

szukuje po omacku, rozpaczliwie nieświadoma tego, co jest tak blisko.

Pospiesz się, Pao, modli się Baram, niespokojnie usiłując pa-  
trzeć gdziekolwiek, byle tylko nie na zasłony łóżka. Pospiesz się.

Och, bogowie, potworna myśl przychodzi mu do głowy; może  
powinien teraz skoczyć na Yule'a, by dać Pao czas na odnalezienie  
broni? Ale to oznacza torturę dla Linnix - Ochter użyje skorpiona,  
by go powstrzymać. A może i nie będzie to konieczne.

Ale jest.

Było.

Za późno, widzi, jak Yule niespodzianie pochyła się nisko, mó-  
wiąc z irytacją:

- Co, kurczę, z tobą, doktorku? Kurde, nie myślę, by to po-  
winno tak się tu walać.

Baram wstrzymuje oddech.

- O co znowu ci chodzi? - pyta Ochter.

- O to. - Yule się prostuje.

Wolno kołysząc się, na jego tłustym palcu coś rozbłyскуje: pis-  
tolet Vovoki.

Sześć, siedem par oczu wpatruje się bezsilnie w przedmiot zwi-  
sający z dłoni Yule'a: w broń, która mogła być ich ocalić. Ocalić  
także i Dameii.

Po godzinach bólu, gróźb, potwornych perspektyw, rozpaczli-  
wie obmyślanych przeciwdziałań, zawodzących, zawodzących jed-  
no za drugim - zmarnowany "alarm martwej ręki", nie wykorzys-  
tane szczypce do drutu - a potem ten nagły, nieoczekiwany cud

mogący ich uwolnić, niemalże sam wpadający im w ręce - Baram jest lekko zdziwiony, że wciąż jeszcze jest w stanie odczuwać ból, który przeszywa go na widok brudnych palców Yule'a zaciskających się na broni; na widok oznaczający ostateczną utratę nadziei.

XVI

Gwiezdna burza:

Baramji przyzywa martwych

Przepętnione rozpaczą milczenie ogarnia wszystkich na jaskrawym od blasku gwiazdy tarasie. Nawet pulsujące, rozdygotane piękno otaczających ich zewsząd ławic światła robi wrażenie zimnego; wkrótce stanie się dla nich światłem śmierci. Wobec tej broni w dłońiach ich przeciwników nadziei nie daje przewaga liczebna, zaskoczenie ani odwaga - nie ma rady, nie ma żadnej nadziei.

Yule, wyglądający na zadowolonego z siebie, bawi się bronią

Vovoki. Ochter podnosi wzrok znad swej paczki ze strzykawkami.

- Oddaj mi to.

- Nie widzę powodu. - Yule jeszcze przez minim bawi się bronią z ponurą miną, lecz potem przekazuje ją Ochterowi.

Podczas gdy Ochter bada ją uważnie, Baram ostrożnie rozgląda się dookoła. Spogląda w zmrużone oczy Kipa; coś wciąż jeszcze jest nie w porządku, zapewne Kip ma kłopoty ze zogniskowaniem wzroku. Dotarli już jednak do niego ogólne zarysy ich położenia. Córy siedzi obok niego z opuszczoną głową, jak gdyby kompletnie wyczerpana; okryła się woalką Dameii. Bridey, skulona nieopodal, ochronnym gestem dzieli swój koc z nieprzytomną Starcem. Znik-

nęła królowa słonecznego blasku, jej oczy są fiołkowymi sadzawkami przerażenia.

Zannez, koło swych dwóch chłopaków, także oszacowuje sytuację, kiedy tylko spojrzenie Ochtera nie kieruje się w jego stronę. Baram dostrzega chłodnie czujny, spekulacyjny wyraz na twarzy tysego mężczyzny, który staje się coraz bardziej ponury. Baram zgaduje, że pojmuje on już, w jaki sposób broń ta wykorzystana być może do zapanowania nad nimi, skoro dotychczasowa władza Ochtera nad Baramem traci na użyteczności. Ta broń pozwoli mu na unieszkodliwienie ofiar bez konieczności natychmiastowego ich zgładzenia - powiedzmy, przez odstrzelenie dłoni czy rąk - nie pozostawiając zarazem żadnych śladów, które zaalarmowałyby grupę dochodzeniową.

Hanny Ek i Snake również rozglądają się ukradkiem, zapewne niecierpliwie wyglądając kogoś, kto objąłby nad nimi dowodzenie. Mały Pao, niewidoczny pod łóżkiem, musi już być na granicy wytrzymałości. Linnix zaś, posławszy jedno wstrząsające spojrzenie w kierunku Yule'a, zwróciła się ku Baramowi, a jej oczy płoną samobójczą determinacją.

Baram jest już nareszcie gotów. Znalazł odpowiedzi na nurtujące go pytania, a raczej znaleziono je za niego, i otrzymał także nauczkę - teraz nie marnuje więcej niż sekundy na żal, że nie skoczył na Yule'a, zanim ten spostrzegł broń.

Sytuacja uległa jedynie nieznacznej zmianie. Założywszy, że Ochter zatrzyma broń, podczas gdy Yule powróci do salonu, Och-



ter dysponować będzie teraz kolejnym środkiem samoobrony, i to zabójczo skutecznym. Lecz by z niej wystrzelić, musi użyć swej zdrowej, lewej dłoni, a jeśli zechce ponownie posłużyć się strzykawką, zmuszony będzie ją odłożyć.

A Ochter nie użyje teraz broni przeciwko nim; zbyt wielu odzyskało przytomność i stanowiłoby ruchome cele. Z łatwością mógłby przez pomyłkę kogoś zabić, mógłby dojść do szamotaniny nad bronią, a niewielki pistolet zawiera jedynie ograniczony ładunek - mógłby się wyczerpać. I na pewno nie pozwoli Yule'owi się nim posłużyć.

Nie; będzie trzymał się swego pierwotnego planu uśpienia ich wszystkich, jak poprzednio, odwołując się do mieszaniny gróźb i manipulacji. Chyba że zdołałby ogłuszyć ich wszystkich jedną szeroką serią, tak jak Vovoka.

Ta sprawa natychmiast zostaje rozstrzygnięta.

- Nie baw się tym - ostrzega Ochter Yule'a, podnosząc wzrok znad badanej przez siebie broni. - Ustawienie mocy ładunku oznaczone jest w obcym piśmie, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Wygląda na wyrób ludzki, ale bez wątpienia nim nie jest. Wiemy tylko tyle, że w obecnym ustawieniu odstrzeliła Vovocę głowę. Teraz wracaj do pracy.

Odkładają na łóżko obok otwartego pakunku ze strzykawkami.

Baram zaciska zęby; broń zapewne leży jedynie parę centymetrów nad głową Pao. Równie dobrze mogłaby być oddalona od niego

0 rok świetlny.

Bardzo dobrze. Skoro tylko Yule odejdzie kontynuować swą diabelską pracę w barze, a Ochter powróci do żonglerki strzykawkami, Baram skorzysta z pierwszej nadarżającej się okazji - może kiedy będą się nad kimś pochylać - by po prostu chwycić Ochtera i poderżnąć mu gardło. Albo skrócić mu kark; Baram z satysfakcją spogląda na swe nadal jeszcze mocne ramiona i dłonie. Linnie kosztować to będzie trochę bólu, a jemu samemu bez wątpienia przyniesie śmiertelną ranę od ciosu "pazurem śmierci".

Jest jednak pewien, że przeżyje wystarczająco długo, by dostać się do Linnie i podarować jej lepszą śmierć; Ochter nie nafaszerowałby pazura niczym o natychmiastowym działaniu - zbyt łatwo mógłby sam się zadrapać.

Potem pozostali będą musieli zlikwidować Hinera i Yule'a.

W tym pomoże im broń, chyba że zdarzy się coś niezwykle niepomyślnego.

Nie może najpierw podbiec do Linnie i - och, bogowie, myśli z niedowierzaniem - i zabić - zabić ją - zabić Linnie - zanim Ochter ją skrzywdzi, gdyż Ochter zdążyłby go załatwić z pistoletu. Niech więc tak będzie - lecz przez krótką chwilę Baram może jedynie oddychać ciężko, z duszą zboląłą od niewyobrażalnych czynów i myśli, do jakich zmusza go rzeczywistość.

Podczas gdy myślami przebiega tę posępną drogę, widzi, jak Yule rozgląda się nerwowo, po czym mówi do Ochtera:

- I jeszcze jedno. Nat chce wiedzieć, gdzie do jasnej cholery jest ten statek. Ta Kometa. Ja również. Race się spóźnia, powinien

był już się pojawić. Chcemy, żebyś go wezwał. Użyj tego. -

Wskazuje w stronę konsoli. - Ich krążownik, czy cokolwiek to jest, może przylecieć wcześniej; chcemy, żeby Race już tu był.

- I w ciągu godziny ściągną nam na głowy federalnych? -

pyta jadowitym tonem Ochter.

Tymczasem znaczenie tych słów dociera do Barama - mają przygotowany statek, na którym planują uciec, na bogów. Niewątpliwie statek, który zaobserwował Pao. Jedna za drugą sprawdzają się ich najgorsze hipotezy.

Ochter wzdycha i mówi zmęczonym głosem:

- Och, Mordy, rusz głową - nie, z drugiej strony nie rób tego, to moja działka. I powiedz Natowi, żeby przestał się martwić, to także moja działka. Kometa się nie spóźnia. Zjawi się, kiedy będziemy jej potrzebować. A to dlatego, że Race potrzebuje naszych kredytek, w przeciwnym razie straci Kometę. Dopilnowałem tego na samym początku.

- To dlaczego się z nim nie połączysz? Po prostu wywołaj Kometę, to może przecież być jakikolwiek prywatny statek.

Ochter wzdycha ponownie.

- Mordecai Yule, nie potrafisz wbić sobie do głowy tego, że jesteśmy na samym Obrzeżu? Tu nie ma żadnych prywatnych statków, w ogóle żadnych. Jedna transmisja na Kometę poinformuje FedBazę, że nie zarejestrowany statek zmierza w stronę Damiema.

Podczas ich rozmowy Baram szacuje odległość dzielącą ich od

broni na łóżku. Yule odchodzi aż tak daleko, że częściowo odrzuca kopniakiem koc ze Starcem, lecz w miarę jak Ochter prawi mu swe kazanie, zapomina o niej.

- W porządku, w porządku, doktorku - mówi ponuro. -

Ale myślałem, że Kometa to stary okręt Patrolu. Dlaczego nie może przejść na NS?

- Ponieważ na wszystkich statkach Patrolu zagwaźdża się napęd nadświatlny, zanim zostaną odsprzedane w prywatne ręce - wyjaśnia Ochter. - A Kometa...

Kiedy Ochter strofuje Yule'a, spojrzenie Barania przyciąga dziwne zjawisko za ich plecami. Jaskrawy blask atłasowej pościeli zmienia się bardzo nieznacznie, nienaturalnie. I to nie po raz pierwszy, przypominają sobie jego oczy. W nagłym olśnieniu dostrzega znaczenie tej obserwacji: pod tą pościelą mała dama Lomena porusza kończynami!

Jedynie śladowo, lecz konsekwentnie. I - o, znowu, podczas gdy zniecierpliwiony Ochter tłumaczy Yule'owi, dlaczego nie można wymienić c-skipu na Komecie. Sparaliżowane ciało porusza, rozjaśnionymi blaskiem gwiazdy, jedwabnymi fałdami. I wydaje się, że ma to miejsce za każdym wypowiedzeniem słowa Kometa.

Czegóż jest świadkiem?

Jeszcze dziś rano stał przy nim w pokoju markizy, nareszcie czując częściową ulgę w obolałych łędźwiach, słuchając markizy, na wpół nagiej, w ujmujący sposób opowiadającej o strasznym wypadku swej bliźniaczki. Jak to Lomena została poobijana, skacząc

na grzbiecie swego ukochanego srebrnego konia o imieniu, imieniu

- tak! Kometa! Kometa! I jak, będąc nieczuła na wszystkie inne bodźce, okazywała coś na kształt śladów sprzeciwu, gdy jakiś dureń powiedział przy niej, że Kometa zostanie zabity. Tak!

Czyżby ta reakcja przetrwała w szczątkowej formie?

Czy można ją wywołać? Wzmocnić?

Baram nieledwie zachłystuje się wciągany w płuca powietrzem; granicząca z nieprawdopodobieństwem nadzieja spada na niego tak nagle, że musi wyżyć wszystkie siły, by zachować pozorną obojętność. Wahanie między nadzieją a rozpaczą stało się fizycznym bólem. Nie śmie nawet się zastanawiać, co się stanie, jeżeli to zadziała? Czy młody Pao tam będzie, czy będzie w pogotowiu? Czy pokpi tę okazję? Czy inni się wtrąca i mu przeszkodzą? Czy - przed jego oczyma rozwija się setka równoległych, jednak katastrofalnych rozwiązań - lecz Baram nie chce nawet na nie patrzeć. Z pewnością jeśli to zawiedzie, pozostanie mu jedynie samobójczy atak; nie ma najmniejszej szansy na to, by on i Linnix przeżyli ewentualne fiasko. Nie myśl o tym teraz, skoncentruj się na tej jednej, jedynej, niewiarygodnej szansie.

Pierwszym niezbędnym warunkiem jest przyciągnięcie uwagi

Ochtera. Szaleńczy pomysł kształtuje się i rozrasta, podczas gdy

Ochter mówi:

- Teraz czujesz się już lepiej, Mordy. To widać. Pomysł lepiej

O pognaniu z powrotem do pracy, pomysł o zbitcu fortuny-fortuny-fortuny!

Yule mruży oczy.

- Hej, rzeczywiście czuję się inaczej. -Oblizuje wargi

1 szczyrzy zęby w uśmiechu. - Stary dobry doktorek. - Ze swym obnażonym torsem wygląda obscenicznie, niczym oprawca z kart odległej historii.

- Świetnie! W takim razie pędem do roboty! - Ochter klepie go przyjacielsko po plecach i popycha w stronę drzwi szpitalika.

- A stary dobry doktorek ma jeszcze trochę do zrobienia, zanim do was dołączy. - Odwraca się. - Baramji!

Młodzieniec oddala się, powłócząc nogami, gdy Baram zwraca się do Ochtera pewnym siebie, prawie normalnym głosem:

- Ochter, jestem naprawdę zdumiony, że nie widzisz oczywistego rozwiązania twego problemu. Polegać na tym typie! Tych dwóch słodkich typkach, którzy bez wątpienia zamierzają cię zabić, skoro tylko dostaną pierwszą wypłatę.

- Potrzeba matką wynalazków - odpowiada Ochter w roz-targnieniu, kierując się ku Bridey i jednocześnie przegryzając opakowanie strzykawki.

- Jaka potrzeba? - pyta Baram. - Żadna. Całkowicie żadna.

Dlaczego choćby nie sprawdziłeś najłatwiejszego i, że tak to ujmę, najbardziej dochodowego źródła?

Ochter zerka na niego.

- Baramji, nie będę tolerował dalszego grania na zwłokę.

Czyżby myr Linnix potrzebowała kolejnego upomnienia? Podejdź tu zaraz.

p..

Baram chichocze w całkiem naturalny sposób, mając nadzieję, że Linnix się nie poruszy.

- Nie pojmujesz, do czego zmierzam? Może stanie się to dla ciebie jasne, jeżeli zechcesz przypomnieć sobie, na jakiej to planecie jestem lekarzem ksenologiem. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że człowiek, siedzący na górze potencjalnych kredytek, nie będzie chciał do końca życia pozostać felczerem na jakimś planetarnym zadupiu?

Jęk Linnix. Baram przeszywa ją nieugiętym wzrokiem, próbuje myślą zamknąć jej usta.

- Do czego zmierzasz, jeżeli w ogóle do czegoś zmierzasz?

- pyta zirytowany Ochter.

Uśmiechając się, Baram mówi powoli i wyraźnie, jak gdyby rozmawiał z dzieckiem:

- Jedynie do tego, że zgromadziłem ponad półtora litra surowca "Gwiezdných łez" najwyższej jakości, w pewnym miejscu. I kiedy mnie zabijesz, co nader oczywiście zamierzasz uczynić, wiedza o jego lokalizacji umrze wraz ze mną. A ty nie będziesz w stanie wydrzeć jej ze mnie, torturując myr Linnix - albo mnie - gdyż oboje umrzemy wkrótce z własnego wyboru, nie twego.

Oczy Linnix rozszerzają się nie do opisania, gdy na niego spogląda; na całym tarasie zapada taka cisza, jak gdyby wszyscy przestali oddychać.

- Litr? - powtarza matowym głosem Ochter.

- Półtora litra, doskonałej jakości. Udało mi się przesłać jeden mililitr poza planetę, do przetestowania. Doskonały! I pozwolę sobie dodać, że uzyskano go bez całego tego bałaganu z torturami, łamaniem prawa i współnikami. Zainteresowani Dameii współpracowali ze mną dobrowolnie. - Do jego głosu wkradają się refleksyjne nutki. - Istniał wszakże problem pozbycia się tego z zyskiem, tak by jednocześnie nie uniemożliwić sobie dalszego zbioru, Chciałem zaczekać, dopóki nie będę dysponował dekalitrem.

- De-dekalitrem. Baramji, blefujesz.

- Ponadto - ciągnie Baramji, ignorując go - polubiłem dwójkę moich towarzyszy strażników. Miałem nadzieję, iż znajdę sposób na podzielenie się z nimi moją zdobyczą, jako że nie wiążą się z nią żadne złe postęпки. Jeżeli uważasz, że blefuję, Ochter, tym większy z ciebie głupiec. Ale być może mam jeszcze gdzieś raport z badań mojej próbki - chociaż takich rzeczy nie zostawia się na wierzchu.

- Jesteś kłamliwym głupcem i powinienem cię ukarać. Chodź tu natychmiast.

- Jak chcesz. - Baram nie wykonuje najmniejszego ruchu, by podnieść się ze swego fotela za konsolą. - Kiedy zabijesz mnie albo myr Linnix, sprawa ta stanie się bezprzedmiotowa.

- Nie martw się - mówi ponuro Ochter. - Przetrzęsnię to twoje laboratorium, Baramji. Jeżeli butelka z surowcem istnieje, zapewne będzie stała na najwyższej półce - zaopatrzona w etykietę.

Ochter tak nieznacznie mija się z prawdą, że Baram ma kłopoty



z udzieleniem chłodnej odpowiedzi.

- Proszę bardzo. Małe odkurzanie tam nie zaszkodzi. Ale nie, Ochter, nie uznałem motelu za wystarczająco bezpieczną skrytkę; baterie energetyczne czasami wybuchają same z siebie. - Przyciągnął już uwagę małego człowieka; pora zaczynać. - Ale jeśli myślisz, że blefuję, wkrótce przekonasz się, że wiem, gdzie jest Kometa - akcentuje nazwę - i dlaczego Kometa tu nie dotrze.

FedBaza poinformowała mnie o wszystkim, ale nie miałem czasu, by przekazać to pozostałym. Biedna Kometa! Miłego oczekiwania. Wywołane przez gwiazdę napięcie w oślepiająco jaskrawym powietrzu wydaje się narastać; Baram niemalże podskakuje, dostrzegając poruszenie na złotym łożku. Czyżby paczka ze strzykawkami obsunęła się odrobinę? Ochter jest zbyt zajęty, by to dostrzec.

- To niemożliwe, Baramji. Słyszałem każde słowo, jakie wypowiedziałeś do tej Bazy.

- W takim razie musiałeś zwrócić uwagę na moje milczenie pod koniec - odpowiada płynnie Baramji. - Kiedy włączyła się taśma z alarmem dla wszystkich baz nagrana przez Pomę, informująca o jej posunięciach w sprawie Komety. Zazwyczaj nie rozmawiam z taśmami.

Wszystko to brzmi namacalnie fałszywie; Baram, jak wielu prawych ludzi, nie ma pojęcia, jak wiarygodnie i twórczo brzmieć mogą słowa kłamcy - z wyjątkiem jednego drobiazgu.

Ochter marszczy brwi i pyta z ociąganiem:

- Utrzymujesz, że twoja Baza skontaktowała się z Kometą?

- Twoja Kometą skontaktowała się z Bazą. Widzisz, Race się zgubił. Okazało się, że próbował odgwoździć napęd nadświatlny Komety. To nie jest nielegalne, jako że jest to niemożliwe. Baza tylko go wyśmiała. W rezultacie zyskał nieco prędkości w zamian za połowę sytemów nawigacyjnych. Miał szczęście - Kometą mogła wyskoczyć poza Galaktykę. Jeżeli będziesz kiedykolwiek leciał Kometą - a na to się w najbliższym czasie nie zanoszą - sugeruję, żebyś namówił Race'a do trzymania się normalnych szybkości. Wracając do rzeczy, odebrali sygnał Komety na granicy zasięgu nadajnika. Race prosił o koordynaty, miał do tego prawo. Biedna Kometą! Ze względu na Race'a, jeśli nie na siebie, naprawdę powinieneś spróbować uratować Kometą. Kiedy zjawi się Rimshot z moim ekspertem od centralnego systemu nerwowego - to chyba słyszałeś? - zdmuchnie Kometą niczym złapaną w sieć rybę. Ale ja będę już od dawna martwy. Szkoda.

Teraz Baram spostrzega, że popełnił błąd - Ochter robi krok w stronę łóżka i paczki ze strzykawkami dokładnie wtedy, gdy nogi łomy ponownie się poruszają. Czy dostrzeże to i zabezpieczy broń? Baram wstrzymuje oddech i, na szczęście, Ochter wydaje się tego nie zauważyć; zaczyna krążyć po tarasie, posyłając Baramowi ciężkie spojrzenia, najwyraźniej rozmyślając intensywnie. Baram zmienia na chwilę temat, by pozwolić mu odejść od łóżka.

- To jedna wielka szkoda. Gdybyś nie związał się z tymi dwoma pajacami, o morderczych skłonnościach, Race byłby idealnym kurierem - ja pracowałbym z tego końca, a ty zająłbyś się sprze-

dażą. Nie zamierzam się jednak nawet nad tym zastanawiać, dopóki w grę wchodzi ci dwaj.

Dookoła siebie słyszy westchnienia i szelesty. Linnix nie odrywa od niego oczu. Wydaje się, że zaczyna odczuwać ból wywołany szponami strzykawki; na jej twarzy maluje się napięcie, dłońmi często dotyka szyi.

- Och, zamierzam się ich pozbyć, skoro tylko zakończą swoją robotę - mówi Ochter nieuważnie. - Ale ciebie nie pojmuję, Baramji. Mam rozumieć, że masz dla mnie jakąś propozycję, zakładając, że coś z tego jest w ogóle prawdą? Raczej w to wątpię. Baram ciągnie dalej, jak gdyby wcale tego nie usłyszał.

- A ja nie zamierzam pozostawać przy życiu, jeżeli znowu zadasz Linnie ból. Och, tak! Będę martwy tak szybko, że nawet ty się zdziwisz, Ochter. - Potrząsa skalpelem i nożycami w kieszeni. - Tego nigdy się nie domyślałeś, co?

Zniecierpliwiony człowieczek rusza w jego stronę, oddalając się od łóżka. Świetnie, mówi sobie Baram. Teraz albo nigdy.

- Baramji...

- Lecz to nie rozwiązuje twego bieżącego problemu - przerwa mu Baram. - Gdzie jest Kometa? Zapominasz o Komecie?

Z każdym zmarnowanym minimem Kometa coraz bardziej schodzi z kursu. Tylko ja lub Córy jesteśmy teraz w stanie ją uratować.

Nie pragniesz uratować Komety, Ochter?

- O czym ty bredzisz, Baramji? Natychmiast mi to wytłumacz, bo...

- Z łatwością! - Uśmiecha się szeroko. - Widzisz, oni podali Komecie złe współrzędne. Wątpię, by było to celowe - ten sektor został ponownie opomiarowany w zeszłym roku. -. Baram improwizuje pospiesznie, mówiąc ponad Ochterem do ciała na łóżku. Nie widać teraz żadnej reakcji - i żadnej reakcji nie będzie, mówi sobie. Jest głupcem, głupcem. A jednak gada dalej, nie potrafiąc porzucić próżnej nadziei.

- Poma nie była na służbie; jakiś dzieciak z Bazy podał Komecie stare koordynaty. Kometa będzie szukać Damiema, dopóki nie skończy im się tlen - tego także im na Komecie brakowało, wiesz? Biedna stara Kometa!

Nagle coś niewątpliwie porusza się na łóżku. Ciało Łomy drga konwulsyjnie, ramiona przesuwają się; wydaje mu się, że odrobinę zmienia się nawet wyraz jej twarzy. Ale jemu potrzebne są nogi. Kiedy otwiera usta, by spróbować jeszcze jeden, ostatni raz, ze szpitalika wypada Yule, przedstawia sobą przerażający widok, unosząc skrwawione ramiona i pięści.

- Słyszałem to! A więc zamierzasz się nas pozbyć, ty mały gnoju. A Kometa ma kłopoty. Och bogowie - powinienem był wiedzieć.

- Bądź cicho! - wywarkuje Ochter, tak władczym tonem, że Yule autentycznie się zamyka, poruszając bezdźwięcznie ustami. - Mów dalej, Baram. Potrafisz udowodnić coś z tego? A jeśli jakimś cudem to prawda, jak możesz temu zaradzić?

- Pamiętasz ten dziwny statek, który zaobserwował wieczno-

rem nasz mały księżę? A może to też uszło twej uwadze? To była twoja Kometa. Twoja srebrna Kometa. - Głos Barama wzmaga się za każdym powtórzeniem tego słowa. - Kometa, podążająca swym kursem donikąd. Twoim najgłówniejszym zadaniem winno być uratowanie Komety. Ratuj Kometę! Nie pozwól im ostrzelać Komety - a jeśli Rimshot otworzy ogień do Komety? Kometa zginie! Nie pozwól im skrzywdzić Komety, Kometa to twoja jedyna szansa. Pomóż Komecie! Prześlij im właściwe współrzędne. I nie pozwól im odebrać ci Komety.

Podczas gdy jego słowa stają się coraz głośniejsze i obłąkańcze, na całym tarasie głowy podnoszą się i obracają w jego stronę, Yule i Ochter zaś, wytrzeszczając oczy, robią mimo woli krok do tyłu, w stronę łóżka. Wciąż jeszcze nikt nie zauważa drgającej i falującej jedwabnej pościeli. "Bram!", woła Linnix, podczas gdy Ochter i Yule próbują go zakrzyknąć. Lecz teraz nie może już przestać.

- Ratuj Kometę! - wrzeszczy przez barierę dwudziestu lat do martwych uszu dziewczyny. Nadal nic się nie dzieje. Jest głupcem.

- Możesz uratować Kometę! Wsiadaj na Kometę, ucieknij na Komecie!

A pod jedwabiami kolana małej damy łomy podrywają się do góry, podczas gdy wszystkie przedmioty zsuwają się z pościeli i znikają za łóżkiem.

Ochter jest najbliżej; okręca się w miejscu i schylony chwytą swą droгоценą paczkę ze strzykawkami, podnosi ją w zdrowej ręce - i nagle przeskakuje za róg łóżka, wrzeszcząc niezrozumiale

przez pręty na niewidoczne coś lub kogoś na podłodze. Moment później odchyła się do tyłu i prostuje - a potem, ku powszechnemu zdumieniu, gwałtownie maleje w miejscu.

Jego ciało opada wprost w dół, podbródek uderza o ramę łóżka - wywraca się do tyłu, trzępiąc ramionami, strzykawki lecą na boki, na pokryty tkaniną taras, i zaczyna krzyczeć.

W tej samej sekundzie po drugiej stronie tarasu rozlega się głośny trzask i zgrzyt na dachu, główna antena łamie się i osuwa między kable. Baram nie ma czasu na podziwianie przypadkowych uszkodzeń. Wie, co musi się teraz wydarzyć.

Zrywając się z miejsca, by dopaść Linnix, przelotnie dostrzega scenę, odsłoniętą upadkiem Ochtera.

Na podłodze, tam gdzie znajdował się Ochter, stoi para ludzkich nóg z obutymi stopami, zawinięta w opadające szczątki spodni. W miejscu kolan unosi się mgiełka czerwonego dymu.

Ten groteskowy widok utrzymuje się przez moment, tak bardzo przywodząc na myśl protezy, że Baram, starający się sięgnąć szczytami szyi Linnix, z trudem uświadamia sobie, iż muszą to być dolne części nóg Ochtera. Wówczas, przy akompaniamencie narastających wrzasków, jedna po drugiej wywracają się na dygoczące, niemalże beznogie ciało Ochtera. Jego kolana po prostu zniknęły.

Kiedy Baram ponownie podnosi głowę, wolna, uzbrojona w "pazur śmierci" dłoń zamienia się w nicość, pozostawiając jedynie wymachujący kikut nadgarstka; teraz i zabandażowana dłoń przestaje istnieć w obłoczku dymu - a wraz z nią przełącznik powstrzymujący

morderczą strzykawkę na szyi Linnix. W ogóle nie ma krwi. Krzyki Ochtera przechodzą w jeszcze dziksze wrzaski, wymachuje przed swoją twarzą pozbawionymi dłoni nadgarstkami.

Yule kuca sparaliżowany przy łóżku, wpatrując się głupio w szczątki swego pracodawcy. Za nim zaś Baram - z uszami wypełnionymi krzykami Linnix, próbując przy trzymać jej ręce - dostrzega coś na kształt wzbierającej fali jedwabiu, zwieńczonej ślepą dziewczęcą głową. Loma unosi się z wysiłkiem, sięgając bogowie jedni wiedzą po co, a potem przetacza się przez brzeg łóżka, wydając z gardła ochrypty, ogłuszający dźwięk.

Gdy jej długie włosy omiatają go, Yule podnosi wzrok, ryczy ze strachu i rusza pędem w stronę drzwi do szpitalika. Za jego plecami Loma pada i zwiesza się głową w dół przez krawędź łóżka, jej nagie plecy są nie do rozpoznania pod kłębowiskiem poprzerwanych kabli, przewodów, rurek tryskających krwią i powietrzem - sprzętem, który utrzymuje ją po przy życiu, teraz na zawsze zniszczonym.

Szamocząc się z Linnix, Baram kątem oka widzi, jak młody Pao wyskakuje spod podartej złotej zasłony, by starannie wycelować w Yule'a, który dociera właśnie do drzwi szpitalika. Z ostatnim okrzykiem Yule pada na ziemię, między łopatkami pojawia mu się nagle dymiąca dziura wielkości ludzkiej głowy.

Wtedy mrożące krew w żyłach krzyki Linnix i jej bolesna szarpanina przeganiają wszystko inne z głowy Barama. Całym jej ciałem wstrząsają konwulsje, kolana przyciska do piersi, potem pros-

tuje je sztywno, wyginając się do tyłu w delikatnym fotelu. Lecz wciąż oddycha. A wręcz hiperwentyluje - być może zanosi się nawet na Cheyne'a-Stokesa. Baram zmuszony jest usiąść na niej okrakiem, by unieruchomić jej ramiona i szyję, oddziera górną część jej uniformu, by dostać się do upiornego skorpiona-strzykawki. Jego wnętrzności nie są jeszcze całkowicie opróżnione, spostrzega Baram. Usiłuje wepchnąć pod niego zakończenie szczy- piec, jednocześnie odpychając jej dłonie. Może mechanizm strzykawki zawiódł, może Ochter nie był w stanie całkowicie roze- wrzeć uchwytu. Ale według jego słów w środku była "dwukrotna dawka śmiertelna". Więcej niż połowa z tego znajduje się już w niej.

Umysł Barama otula Linnix chłodną ciszą, jaka nachodzi go za każdym razem, gdy umiera pacjent.

A jednak walczy, by przebić zbiornik skorpiona - dopóki straszliwy paroksyzm nie przewraca fotela i wrzeszcząca Linnix nie pada na taras. Zanim udaje mu się do niej doczołgać, dziewczyna obejmuje skorpiona obiema dłońmi i wyszarpuje go z całych sił. Jedyne zmiana zabarwienia krzyku zdradza nowe cierpienie, zadane haczykowatymi odnóżami przyrządu.

- Puść! Linnie, puść! - Krzyczy jej do ucha, usiłując roze- wrzeć jej pięści. Wtedy puszcza wreszcie, lecz jasnoczerwona, pul- sująca struga krwi wytryska spomiędzy jej palców, zalewając wszystko. Baram wie, co to oznacza - przebiła, bądź też roze- rwała, sobie tętnicę szyjną. Skrwawiona kurtka zasłania jej szyję,



skorpion zaś sterczy na wprost wyciągnięty z ciała, ukazując dwa ze swych ostrych haków.

Baram próbuje wepchnąć palce do rany, lecz podczas konwulsji jeden ze szponów zaczepia się o materiał kurtki i zanim ma czas ją uwolnić, jej krzyki przycichają, ciało wiotczeje. Niebo nad ich głowami przez moment zapala się na czarno. Fontanna krwi słabnie.

Gdy w końcu udaje mu się sięgnąć palcem rozerwanej błony tętnicznej, głęboko we krwi, ze zdumieniem spostrzega, że jej oczy rozwierają się. Linnix patrzy na niego z dziwnym spokojem, zupełnie jakby miała się uśmiechnąć - jak gdyby jakieś tajemnicze, słodkie wytchnienie ulżyło jej cierpieniu. Widywał już śmierć przychodzącą pod tą postacią. Palcami wyszukuje morderczy hak i wypycha go z naczynia. Puls zanikł już prawie kompletnie - jeszcze jedno słabe uderzenie, następne, spokój. Niebo migocze. Poczucie obowiązku jest jeszcze w nim na tyle silne, by unieść głowę i zawołać głośno:

- Zannez!
- Aha? - rozlega się odpowiedź. Ludzie podrywają się na nogi.
- Przejmij dowodzenie z łaski swojej. Dasz radę załatwić Hinnera?
- Nie ma sprawy. - Ten głos należy do Snake'a Smitha.
- I przenieście swoich ludzi pod osłonę, szybko.

Potem Baram, niegdyś strażnik Dameii, spojrzeniem i sercem wraca do swej umierającej dziewczyny. Linnix wygląda tak, jak

gdyby znajdowała się już tam, gdzie ból nie ma nad nią władzy;  
Baram bierze ją na ręce i przytula do siebie pod mroczniejącym  
niebem. I wkrótce Linnix umiera w jego drżących, skąpanych we  
krwi ramionach.

XVII

Jak to się robi na Gridworldzie

Zannez zrywa się na równe nogi wraz z pierwszymi wrzaskami  
Ochterera, uszczęśliwiony możliwością zmiany pozycji. Taras zmie-  
nia się w dom wariatów wypełniony krzykami i piskami. Obchodzi  
konsolę, by mieć lepszy widok, starając się zrozumieć to, co przy-  
darzyło się Ochterowi, i to, co zrobił Baram.

Kiedy zza zasłony wyłania się Pao, strzelając z broni Vovoki,  
Zannez uskakuje z powrotem i wpada na Hanno i Snake'a pędzą-  
cych w przeciwną stronę. Zawinięta w koc Bridey jest tuż za nimi,  
pochylając się, osłania leżącą na tarasie Stareem.

Wstrzymując oddech, wszyscy patrzą na śmierć Yule'a.

- Myślę, że ten sprzęt się wyczerpuje - szepcze Snake. -

Nie zrobił w nim dziury na wylot.

Zannez wzdryga się, lecz przyznaje Snake'owi rację. Jest rów-  
nież namacalnie świadomy narastającego w powietrzu napięcia,  
spowijającej ich obcej energii gwiazdy. Ma wrażenie, jak gdyby  
zmierzała ku jakiemuś szczytowi. Niczym wyrywający się spod  
kontrolni sensoryczny efekt specjalny, myśli sobie, lecz tego efektu  
nie stworzyła ludzka ręka. Pierwszy raz zaczyna naprawdę martwić  
się poziomem promieniowania. Powinni wycofać się pod osłonę,

decyduje: wracamy po dziewczyny.

W tej samej chwili Baram, mocujący się z Linnix pod pulsującym niebem, woła do niego, on zaś i Snake odpowiadają.

- Wydaje mi się, że Hiner jest w barze - mówi wtedy Snake do Zanneza. - Ze swymi... ze swymi Dameii. Damy sobie z nim radę.

- Najpierw Bridey i Star muszą znaleźć się pod zadaszeniem  
- odpowiada Zannez. - Doktorek mówi, że trzeba się schować.

Znowu zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Jeden raz nam wystarczy.

- Jeden raz, co? - pyta Hanny. Zannez przypomina sobie, że podczas wcześniejszych zawirowań czasowych obaj byli jeszcze nieprzytomni.

- Nieważne - po prostu ruszajcie! Udźwigniecie Star?

Bridey szlocha, kiedy do niej podchodzą.

- Ona nie-nie żyje! - Przytula się do piersi Zanneza. Szlochanie ucicha.

- Star? - Zannez opada na kolana, by obmacać falujące w spokojnym oddechu boki Starcem. Jest zwinięta we śnie, niczym srebrzysta kotka.

- Nie. Ta pani oficer, ta Linnix - widziałam, jak umiera-era

- Słowa Bridey zaczynają odbijać się echem, co bardzo nie podoba się Zannezowi. Spogląda na Barama, pochylonego nad bezwładną, białą jak kreda Linnix, lecz widok zaczyna się rozmywać.

Hanny schyla się, chwyta Starcem za ręce i przerzuca ją sobie przez plecy, tak jak to robił już ze sto razy przed kamerą, lecz

tym razem zatacza się - wszystko wygląda niczym na wysokich obrotach. Na moment robi się zupełnie ciemno.

- Pomóż mu, Snako. Bridey, łap mnie za ramię. Nie możemy, powtarzam, nie możemy dać się rozdzielić. Słyszycie-ycie-cie? -  
Znowu to echo.

Zapędza ich w stronę najbliższej położonego fragmentu zadaszienia. Na całym tarasie cienie zaczynają przesuwać się i falować, upiorny chór krzyków z przeszłości mruczy im do uszu. To zawirowanie nadciąga wolniej, zauważa Zannez. Może jest większe.

Prą, przepychają się do przodu.

Wtedy właśnie przypomina sobie o Pao. Bogowie - co za dzieciak! Superchłopak!

- Zapomniałem o księciu - jest już tylko w stanie szeptać.

Snake wskazuje z wysiłkiem przed siebie, a wtedy Zannez dostrzega małą postać Pao; wydaje się zmierzać na prawo od nich, tam gdzie siedzą Córy i Kip. To dłuższa droga.

- Nic żywego za bardzo tam nie widać-ać - sapie Hanny.

- Co z doktorkiem?

Zannez chrząka ponownie. Jeżeli doktorek pragnie pozostać ze swoją martwą dziewczyną albo umrzeć wraz z nią, jego sprawa.

A dama P? Szkoda. Sama się tak urządziła. Nie mogą zrobić niczego więcej poza tym, co właśnie robią. Wszystko zaczyna się rozmazywać, każdy krok naprzód staje się walką.

Wysiłek, związany z przejściem ośmiu metrów przez równy taras, pochłania wszystkie ich siły. Dwukrotnie omijają widmowe

fotele tylko po to, by wpaść na coś materialnego, czego nie dostrzegają. Zaczyna się wirujący, pospieszny taniec cieni, lecz tylko powoli, jakby niezdarnie. I dzięki bogom za to. Czy idąc tak pod prąd, walczą z samym czasem? Zannez nie chce się nad tym zastanawiać. Tak czy owak, mają do czynienia z wypaczonym czasem - to jedno ze zwariowanych zjawisk towarzyszących gwieździe. Upiorne dźwięki stają się głośniejsze. Do przodu.

Kiedy z pełnym impetem uderza w nich wsteczny bieg czasu, wracają w prawdziwy mrok, zasnuwający taras pod zadaszeniem, i potykając się na wpół wpadają pod jego osłonę i nagle zewsząd otacza ich czyste, milczące powietrze stabilnego świata. Zdezorientowani, dysząc i sapiąc, spoglądają za siebie, na taras, przez którego ciemność przebili się z takim trudem. Jest jaskrawo rozświetlony blaskiem gwiazdy, spokojny i pusty. Baram i Linnix zniknęli. Nie ma prawie żadnego śladu przemocy, z wyjątkiem tragicznego, drobnego ciała Łomy, zwisającego przez brzeg jej łoża śmierci, oraz karykaturalnej sylwetki Ochtera na ziemi. Za łóżkiem falujące pasmo błyszczącego fioletowego muślinu, z odwróconego do nich tyłem fotela, znaczy miejsce, w którym dama Pardalianches bezpiecznie wszystko przespała - albo i nie. Ciało Vovoki wciąż jest jedynie wzgórkem przykrytym kocem przy odległym parapacie. Zannez przypomina sobie o jeszcze jednych zwłokach - Yule'a, poza zasięgiem ich wzroku, gdzieś pod ścianą niedaleko drzwi do szpitalika. Ale wirujący chaos cieni, echa, wszystko zniknęło. Zupełnie jak po zakończeniu zdjęć. Migotliwy gwiazdny deszcz

także wydaje się nieco zelżeć.

- Dziwnie się czuję - stwierdza Hanny, poprawiając położenie Starcem, tak by tym łatwiej było mu nieść ją na ramieniu; przez sen dziewczyna wtula nos w jego szyję. - Jak gdyby część mnie wciąż jeszcze była tam, na zewnątrz.

- Chwyć mnie za rękę - odpowiada Snake, śmiertelnie poważnie.

- Wiem, też to poczułem - mówi do nich Zannez. - Wytrzymajcie, to zaraz przejdzie. Pora ruszać, dzieciaki. Tam w salonie Hiner wyprawia potworne rzeczy z tymi biednymi skrzydlatymi ludźmi. Doktorek powierzył nam powstrzymanie go. - To zupełnie jak planowanie szybkiego programu na żywo. Czuje się świetnie, ma dobry zespół i zadanie do wykonania. Nie ma też mowy o samobójczych szarżach. Wszyscy jego ludzie wrócą z tej misji żywi. Przez całe życie będę pamiętał, myśli sobie, że przez parę minut dowodziłem obroną całej planety.

- To okna kwatery Korsów - informuje Snake. - Są tam drzwi do salonu.

- Świetnie. Ale najpierw odmeldujemy się u Korsów. Wydaje mi się, że coś złego stało się szefowej, kiedy byliśmy stuknięci, a Kippo złamał sobie nogę. Muszą wiedzieć, co się święci.

- Podrzucę im Star - dodaje Hanno.

- Zrób to.

Przyciskają się do muru, by ominąć miejsce, w którym poszycie dachu zapadło się nieco. Znad krawędzi zwiesza się wielka plą-

tanina połamanych anten.

- Hej, spójrzcie, możemy nie mieć łączności - zauważa Snake.

- To robota broni Pao - ocenia Zannez. - Podczas strze-  
lania do Ochtera. Widzicie, jakiego wielkiego kawałka brakuje?

- Dzięki bogom, że mierzył w górę.

Przesuwają się przez cień przed salonem, kierując się ku miej-  
scu, gdzie za wielkimi drzwiami siedzą Kip i Córy. Gdy je mijają,  
słyszą dobiegające z wewnątrz nikłe dźwięki.

- Myślałam, że to liście - odzywa się Bridey rwącym się  
głosem. - To... to skrzydła. Pióra.

- Szybciej!

- Skoczmy na niego? - zastanawia się Snake. - Mamy  
cztery wejścia z boków: pokój Korsów, szpitalik, drzwi w arkadzie.

A jeśli wyjdzie od frontu? Chcemy, by był w środku czy na ze-  
wnątrz? W środku.

- Jaką bronią dysponuje? - pyta praktycznym tonem Hanny.

Mały księżę Pao, śpieszący im na spotkanie, słyszy to pytanie.

- Ma coś wrednego na kształt harpuna - odpowiada Pao.

- Jak gdyby kuszę. Była zamaskowana, udając podwodną broń  
przeciwko drapieżnikom. Miota zębate bełty prawie z szybkością  
pocisku. - Zachowuje się poważnie, jak przystało na kogoś, kto  
dopiero co zabił innego człowieka. - Można podejrzewać, że są  
zatrute.

- Słodki chłoptaş - komentuje Zannez. - Hej, księżę, dobra  
robota! I dzięki od nas wszystkich. - Pozostali chórem wyrażają

swoją wdzięczność.

- Proszę bardzo - odpowiada ponuro chłopak. - Miałem szczęście, że broń wpadła mi do ręki. Po mojej niewybaczalnej gafie, przez którą zostaliście bezbronni.
- Gafie? Jakiej gafie? Och, masz na myśli anteny?
- Nie, to było nieuniknione. - Pao urywa, skoro tylko stają przy Córy i Kipie. Córy zawinęła się w tkaninę Damei; sądząc z tego, co są w stanie zobaczyć, wygląda inaczej. Ale jej głos jest nadal przyjemny i prawie nie zmieniony.
- Myr Zannez i pańscy aktorzy. Czy tej dziewczynce nic nie jest? Baram powiedział, że została jedynie uśpiona.
- Tak przypuszczamy, myr Córy, proszę pani. - Zannez kłania się, a w ślad za nim reszta. Hanny kończy swój ukłon, składając Starcem w pobliskim fotelu, potem starannie rozprostowuje jej kończyny. - Podaj mi swój koc, Bride.
- Hmm, weź ten. - Bridey zdejmując inny z pobliskiego ciągu parawanów.
- A myr Kip? - pyta Zannez.
- Och, przeżyję. - Kip zmusza się do uśmiechu. - Ale jestem bezużyteczny. Nie mogę niczego wyraźnie zobaczyć; doktor twierdzi, że to przejdzie. Ale jak w imię... - Szarpnięciem głowy wskazuje na ścianę salonu za ich plecami. - Każdy minim, kiedy on może... wybrałem sobie porę na...
- Doktor poprosił mnie, żebym zajął się Hinerem - oznajmia raczej formalnym tonem Zannez. - Uważamy, że jesteśmy w stanie



to zrobić. Za waszym pozwoleniem zaraz się do tego zabierzemy.

Hmm, tak jak to się robi na Gridworldzie. - Uśmiecha się zawzięcie.

Blask gwiazdy, odbijający się na jego łysej głowie i czerwonym kombinезonie nadaje mu wygląd starożytnego demona.

- Jesteście w stanie?

- Potrzebny nam będzie ktoś, kto otworzy drzwi. Może ty, książę? Potrafisz otworzyć drzwi zupełnie bezszmerowo?

- Tak sędzę. - Chłopiec uległ niewątpliwej przemianie. To chyba owa nieznana "gafa" raczej niż podwójne zabójstwo, jak można zgadywać. Mały dumny skurczybyk. Nie czas teraz na to.

- Musimy dokładnie wiedzieć, gdzie się zainstalował. Jeżeli trzyma tam skrzydlatych, pewnie sam będzie w centralnej części salonu, między schodami a barem. Ale...

- Tak właśnie jest - mówi Pao. - Zajrzałem do środka, z dachu. To raczej odrażające. - Pod formalnymi słowami chłopca daje się wyczuć wstrząs, jakiego musiał doznać. - Ma tam dwój... dwójkę dorosłych, przywiązał ich do baru, pochylonych, tak by mógł sięgnąć ich pleców. Sam jest przed nimi, przy schodach, z Nyil, z tą małą dziewczynką. Tnie ją, tnie ją po skrzydłach. A potem podbiega za nich i drapie. To potworne!

- Spokojnie, mały.

- Pana i pańskich ludzi czeka okropny widok, myr Zannez

- stwierdza Córy. - Żałuję, że książę też to widział.

Kip chrząka złowieszczo, lecz mówi tylko:

- Broń? Przez moje... - i cichnie, skoro tylko Córy ściska

go za ramię zawiniętą w szal dłonią.

- A broń Vovoki kompletnie się rozładowała - raportuje księżę.

Snake kiwa twierdząco głową.

Hanno i Bridey naradzają się szeptem.

- Widziałam pudło - odzywa się Bridey. - Może jest ich więcej. Zapytam. - Zadaje swe pytanie Kipowi i Córy.

- To wszystko - odpowiada Kip. - Nie ma innych.

- Co oznacza, że musicie przedostać się przez osiem kroków terenu odkrytego, jak panna młoda w noc poślubną - komentuje Zannez. - Hej, może doktor ma parę? Myr Córy, możemy sprawdzić w szpitaliku? Nie będziemy ruszać...

- Zapytajcie Barama, jest w środku - odpowiada mu Kip.

- Na pewno już skończył zszywać. - Wszyscy spoglądają zdumieni na niego; Kip podnosi głos. - Szyje Linnix. Potrzebowała parę szwów. Bogowie śmierci, ten mały diabeł.

- Ale, ale ona - zaczyna protestować Bridey, kiedy z ciemności wyłania się drobna dłoń i zamyka jej usta. To Pao.

- Myślę, że należy uważać na to, co się mówi - tłumaczy, zabierając dłoń. - Podczas pobytu na tej planecie.

- Och - zaczyna Bridey, lecz tylko powtarza - och.

- Nieważne - Zwraca się Hanny do Kipa. - To jedno pudło starczy.

- Uwaga, narada nad scenariuszem - jeden minim. - Zannez przywołuje ich do siebie. - Pamiętajcie "Młodych Kanibali",

trzy sezony temu? I "Gwałcicieli zwłok"?

Pamiętaj.

- To nie zapominajcie. Teraz pozycje. Pao zaczyna ze mną i Snake'iem przy drzwiach Korsów, a potem przebiega, jak ugryziony w pośladek, do szpitalika, do Hanny'ego i Bee. Potem...

Mówi szybko, wydając precyzyjne polecenia. Przepelnia go uniesienie, pewność siebie. Od tak dawna nie korzystał w pełni ze swych uzdolnień! Teraz żyje życiem, jakiego nigdy nie znał na Gridworldzie - a jednak korzystają z nabytych tam umiejętności.

- Tak naprawdę to przydałoby mi się parę tych jaskrawych złotych zasłon - mówi Snake, kiedy kończą. - Tyle że dostaję gęziej skórki na myśl o wyjściu z powrotem na zewnątrz.

- Żaden problem - odpowiada Pao. - Widzisz? - Lekkim truchtem wybiega z cienia i wraca do nich. - Ma się rozumieć, to tylko terażniejszość. Zawirowania zawsze znajdują się w przeszłości. Mogą cię porwać jedynie wtedy, gdy staniesz na ich drodze, kiedy zaczynają się formować; wszystko już sobie przemyślałem. - Najwyraźniej odżyła w nim jakaś część dawnego Superchłopaka.

- Bombowo! - Snake podbiega do łóżka i zaczyna drzeć pościel.

- Cieszę się, że ktoś sobie to wszystko obmyślił - stwierdza Bridey. Razem z Hanny znika w szpitaliku.

- Ja natomiast potrzebuję tego. - Zannez kroczy zdecydowanie w stronę ciała Ochtera. - Myr Córy, może lepiej niech pani

na to nie patrzy. - Zanim podnosi Ochtera, poprawia swój czerwony kombinezon, stawia kołnierz i rozciera sobie twarz.

Potem z okrzykiem: "Do dzieła, Pao!" wielkimi susami rusza ku pokojowi Korsów, jak gdyby z jakiegoś nieznanego źródła za-  
iWfwTJJ ')

czerpnął świeżych sił. Przed sobą niesie sztywno Ochtera, niczym groteskową lalkę. Użył swej aktorskiej magii, przemieniając swą twarz i ciało; wygląda teraz przerażająco, niczym starożytna podobizna Władcy Zła, niosącego przeklęte dusze do piekła.

Poprzedzany przez mknącego jak rakietą Pao i, mając za plecami wlokącego za sobą złotą materię Snake'a, znika za drzwiami Korsów.

Hanno i Bridey pospiesznie wskakują do szpitalika, mijając Barama pochylonego nad stołem operacyjnym, na którym spoczywa Linnix.

- Przepraszamy, doktorze, nie mamy czasu. Idziemy po Hinnera. - Hanno zaczyna wyplątywać się ze szlafroka, a Bridey zrzuca z siebie koc.

Jej głowa obraca się gwałtownie na widok Barama, pomagającego Linnix usiąść i spiąć jej podartą białą kurtkę. Linnix uśmiecha się do niej. Bridey oszołomiona przypomina sobie ostrzeżenie Pao i odmachuje do niej ręką.

Potem, podczas gdy do pomieszczenia wbiega Pao, Baram chwytą przenośną kamerę Zanneza i, ku zdumieniu Bridey i Hanno, zaczyna niezgrabnie filmować Linnix, chwytając ich wszystkich

w tle.

Ale na więcej nie ma czasu; z salonu dobiegają ryki Zanneza,  
Pao zaś bezszelestnie otwiera drzwi, wiodące ze szpitalika do baru.

Nadzy - ciemna postać poprzedza jasnoskórą - skulają się  
nisko i ukradkiem wsuwają się na salę, gdzie wita ich widok po-  
tworny i groźny zarazem.

Spoglądając ponad ich głowami, Baram i Pao widzą Nathaniela  
Hinera zamartłego niczym kamienny posąg nad swymi ofiarami,  
obnażonego do pasa, z wielkimi, błoniastymi, czerwonymi skrze-  
lami nastroszonymi w przyptywie rozpaczliwej wściekłości, z na-  
biegłą krwią krezą, ciągnącą się od uszu po piersi, podczas gdy  
w głębi pomieszczenia, absorbując całą jego uwagę, kroczy, wiruje  
i wyje demon zemsty i przerażenia. Wszystko zbryzgane jest krwią  
i strzępami piór; wielkie, rozłożone skrzydła, brutalnie związane  
i unieruchomione, niemalże zakrywają bar, ku któremu kierują się  
szybko i bezgłośnie nadzy: chłopak i dziewczyna.

Mały Pao delikatnie zamyka za nimi drzwi, zostawiając szparę,  
by móc się przyglądać. Za jego plecami Baram odłożył kamerę i wy-  
prowadza Linnix na taras, zamierzając dołączyć do Córy i Kipa.

To nasuwa Pao pewną myśl. Na moment odwraca się od drzwi.

Kiedy powraca na dawne miejsce, wrzeszczący, krwawoczer-  
wony potwór tańczy po salonie, z wyciem, doskakując co parę kro-  
ków do Hinera. Zannez wpadł do salonu, skacząc, wirując, zygza-"  
kując i wymachując okaleczonym ciałem Ochtera z zadziwiającą  
siłą, podczas gdy z jego gardła wydobywa się taka kakofonia sko-

wytów, warkotów, prychnięć, przerażających wybuchów diabelskiego śmiechu, że Pao nie wyobrażał sobie nawet, by ludzkie gardło było w stanie wydać z siebie podobne dźwięki w naturalny sposób.

- Oto twój szef, Nacie Hinerze! Poznajesz swojego szefuńcia? - Zannez zanosi się szaleńczym chichotem, poruszając kikutami nóg Ochtera. - Przywitaj się ze swoim kumplem Natem, Ari Ochterze! Czółko, Natuś, czółko! - Bezlitośnie zmusza pozbawione dłoni ręce Ochtera do radosnej gestykulacji.

Ochter nie jest martwy, zauważa Pao - wije się w uchwycie Zanneza, krzycząc słabo, jeszcze potęgując przerażający efekt.

- Nie wiedziałeś, że tu są bogowie, Hiner! - wrzeszczy Zannez, przy wtórce chaotycznych skowytów. - Widzisz, co zrobili z twoim kołosem? I Yule'em - Mordy Yule jest teraz kupą tych kawałków. Ha, ha, ha! - Zannez zanosi się wyciem, tańczy, poruszając się na boki, w przód i tył, żadna część jego ciała ani na chwilę nie nieruchomieje.

Hiner, chwilowo sparaliżowany, pochyla się z nożem w dłoni nad tragiczną płataniną pierza, krwi, drobnych kończyn, kabli i sznura, na którą Pao nie jest w stanie patrzeć. Potem, przy wtórce dziwnego rżącego dźwięku, Hiner, nie mierząc, ciska nożem w Zanneza i sięga po kuszę. Celuje jednorącz w swego prześladowcę, drugą dłonią usiłując wepchnąć pod kurtkę okrwawioną butelkę, w czym przeszkadzają mu wachlujące szaleńczo skrzela. Pstryk! Brzęk! Bełt rozbija vitrex nad głową Zanneza, kolejny uderza w schody za jego plecami. W tejże chwili, jakby wirująca złocista kometa wpada do salonu

za Zannezem, emitując piski i wycia, od których pękają bębunki.

Hiner odpala jeszcze jeden bett, który grzęźnie w kurtce Zanneza, po czym rzuca się biegiem do drzwi frontowych.

Ociekająca złotem rzecz dopada ich pierwsza, obraca się, by odpędzić go od drogi ucieczki. Wśród orgii młynków, salt, skoków i stójek Pao rozpoznaje w końcu Snake'a; jego ciało jest prawie niewidoczne pod wirującymi złotymi tkaninami, utrzymanymi w rękach, zębach i stopach - pokaz mogący przerosnąć zawodowego akrobatę, jakim przecież jest. Zarówno on, jak i Zannez występują teraz w przedstawieniu, którego stawką jest ich życie.

Jeszcze minim i Hiner zorientuje się, że są niegroźni, lecz nie ma na to czasu. Zannez podbiega bliżej. Kiedy Hiner obraca się, Zannez potężnie ciska nieszczęsnym Ochterem prosto w niego i uskakuje na bok, wyjąc falsetem:

- Idą po ciebie, Natuś, dopadną ciebiiiiie! Ha, ha, ha, ha, ni, hi, uuu!

Snake dołącza się do harmidru.

- Nat! Nat! Pomóż mi! - Ochter przekrzykuje hałas, osuwając się po ciele Hinera, obejmując zakończonymi kikutami rękoma jedną z jego nóg.

- Puszczaj! Zostaw mnie, zostaw! - Hiner wyrывa się mu brutalnym wierzgnięciem i nagle spostrzega Hanno i Bridey, nurkujących za skrępowanymi Dameii. Posyła w ich stronę następne dwa befty; oba uderzają w lustro nad barem.

Tymczasem Zannez pochwycił rzucony przez Hinera nóż i ru-

sza ku niemu, robiąc wypadki i uniki niczym szermierz. Hiner strzela raz jeszcze, pocisk o włos mija głowę Zanneza, potem zaś, ku bolesnemu przerażeniu Pao, pochyla się i z płątaniny na podłodze podnosi drobne ciało, trzymając je przed sobą niczym tarczę.

To Nyil: jedno z jej małych złotych skrzydeł zwisa bezwładnie złamane, zamiast drugiego na jej plecach widnieje potworna rana. Przyciskając ją do piersi, Hiner mierzy wolną ręką w Zanneza, zerkając zza ciała dziecka.

Pao wstrzymuje oddech na mgnienie oka, kiedy blady kształt podnosi się i opada za barem, mniej więcej w jego centralnej części.

I niespodzianie metalowa rękojeść wyrasta z oczodołu Hiner.

Akwamanin upuszcza dziecko i wrzeszcząc, przyciska obie dłonie do twarzy. Kolejny nóż znika w jego otwartych ustach, następny rozdziera skrzela i zagłębia się w piersi.

Bridey i Hanno dotarli do leżącego przy piecu otwartego pudła z nożami.

Hiner zatacza się do tyłu i obraca pod gradem noży. Rękojeści noży wystają mu równymi rzędkami z brzucha i boków, nowe uderzenia wydają się go prostować. Za barem jasne i ciemne ramiona unoszą się i opadają równym rytmem. Zannez i Snake milkną. Wtedy Hiner pochyla się do przodu i pada z rozrzuconymi ramionami, z dala od Nyil.

I jest po wszystkim.

To naprawdę nareszcie koniec.



Hanny przeskakuje przez bar i zabiera się delikatnie za uwalnianie Wyrry i Juiyn, podczas gdy Zannez, rykiem wzywając doktora Barama, wraz ze Snake'iem zatrzymuje się nad łamiącą serca postacią Nyil.

Lecz Bridey opętała żądza zabijania. Jej młode, nagie ciało usadawia się na barze, białe ramiona błyskają, niczym niosące pomstę błyskawice, i tak śle stalowe pociski w Hinera i Ochtera, sprawiając, że ich ciała dygoczą i miotają się konwulsyjnie.

- Przerwijcie jej! Przerwijcie jej! - woła ochryłym głosem Zannez.

- Cicho, cicho, słodka. - Hanny Ek ostrożnie wyciąga do niej rękę. - Bee? Bridey? Już po wszystkim. - Kładzie dłoń na jej ciskającym noże ramieniu. - Musimy zostawić z nich tyle, by dało się ich zidentyfikować, kochanie. Złotko? Już po wszystkim, spisałaś się na medal, Bridey, aniołku, brawo.

Bridey powoli wychodzi z szoku i pozwala mu zsadzić się z baru, najwyraźniej dopiero teraz całkowicie zauważając Dameii.

- Ale zobacz, co oni im zrobili. - Łka, do oczu napływają jej łzy wściekłości.

Hanny odsuwa resztę noży z dala od niej.

- Już nie żyją, kochanie, zabiliśmy ich na amen. Byłaś po prostu wspaniała, Bee, nie zahaczyłaś nawet jednego piórka.

- Och, ty, Bridey! - Snake doskakuje do niej tanecznym krokiem. - Gdybyś była mężczyzną, ożeniłbym się z tobą!

- Och. - W naturalnej reakcji załamuje się, szlochając Sna-

ke'owi na piersi, potem odsuwa się od niego, by zwymiotować do zlewu.

Doktor Baram pochyla się nad Nyil ze ściągniętą twarzą.

- Jeszcze żyje, ledwie co.

Od drzwi Córy obserwuje ich beznamiętnie spod swej zasłony.

- Jak wam się spodobało załatwienie spraw tak, jak to się robi na Gridworldzie? - Zannez nie może się powstrzymać przed zadaniem tego pytania całemu światu. Bola go ręce i nogi, był zadrasnął go po żebrach, całe ciało mu sztywnieje ze zmęczenia, a jego głos jest zaledwie słyszalny, lecz czuje się wspaniale. Zrobił, co do niego należało, a jego ludzie są cali i zdrowi.

- Fantastycznie. Aż cały się trzęsę - odpowiada Baram. -

Ale teraz muszę szybko zabrać się za Dameii. - Podaje swe nożyce do drutu Hanny i zaraz dwoje dorosłych Dameii osuwa się na podłogę; są tak bliscy utraty przytomności, że jedynie mgliście dociera do nich to, że są wolni. O ile można tak stwierdzić, wyłączywszy skatowane plecy, żadne z nich nie odniosło obrażeń natury fizycznej.

- Nałóż na nich tę maść. - Baram podaje ją dalej. - I powiedz swoim chłopakom, że większość z tych tak zwanych piór jest unerwiona, więc niech będą bardzo delikatni. - Mówi kilka słów w starannym damei, lecz Wyrri i Juiyn nie reagują. - Ja zajmę się Nyil. Och, bogowie. - Wyrri mu się, gdy dokładniej ogląda jej zmalretowane ciało. Potem do głowy przychodzi mu desperacki pomysł.

- Książę?

Chłopiec staje u jego boku, na jego twarzy odmalowuje się bu-  
rza sprzecznych uczuć.

- Możesz wziąć na siebie jeszcze jedno niewielkie zadanie?

Wyjdź proszę na taras i przy pierwszej zapowiedzi zawirowania  
czasowego - no, wiesz, to mroczne migotanie - przy pierwszym  
podejrzeniu pędź zaraz do szpitalika i zawołaj mnie. I pamiętaj,  
lepiej się pomylić, niż spóźnić.

- Jasne. - Książę salutuje i wychodzi pospiesznie.

- Och, bogowie miłosierni, myr Zannez, proszę posłuchać, je-  
żeli pańscy ludzie są w stanie to zrobić, czy mógłby pan poprosić  
ich o odszukanie w tym śmietniku, eee, części ciała? Palców,  
zwłaszcza palców Nyil, tej małej dziewczynki. Palców od nóg.  
Również dorosłych. - Boleśnie zaciska szczęki. - Każdy skra-  
wek ciała. I dłuższych piór, takich, które wyglądają na ukrwione,  
wszystko proszę od razu przynosić do mnie. Zabierzemy wszystko  
do szpitalika, ciała Dameii goją się zadziwiająco szybko. Przyszyłem  
raz dłoń, która pół dnia przeleżała bez schłodzenia, a teraz jest w pełni  
funkcjonalna.

Bierze Nyil w ramiona, odrąbane skrzydło w dłoń, trzymając  
ją twarzą w dół, by oszczędzić bólu jej plecom. Zannez pomaga  
mu przejść przez drzwi szpitalika. Ku jego zdziwieniu, gdy Baram  
kładzie ją na wznak na wyściełanym stole, jej szyja wydłuża się  
i odchyła daleko do tyłu, a jej drobny podbródek w naturalny spo-  
sób przesuwa się w miejsce, gdzie u człowieka znajdowałoby się

czoło. Efekt przystosowania się do skrzydeł, myśli, przyglądając się jej ze ściśniętym gardłem; w przerażający sposób przypomina brutalnie oskubanego, na wpół zakatowanego ptaszka - który jeszcze parę godzin wcześniej był pełen życia i radości.

- Może pomógłbyś tamtym dwojgu? - mówi przez ramię

Baram. - I przyprowadź Kipa, będzie dla ciebie tłumaczył - powiedz mu, że kazałem ci przyciągnąć go tu na kocu. Zgoda?

- Zgoda. - Zannez rusza w kierunku baru. Triumfalny nastój całkowicie go opuścił. Bezsilna, mdląca wściekłość, jaka wezbrała w nim na widok Nyil, przepętione bólem współczucie dla Wyrri i Juiyn, wstyd wywołany faktem, że to ludzie dopuścili się tej nieodwracalnej potworności, powracać będą, jak się obawia, w koszmarach po kres jego dni.

XVIII

Przejście Gwiezdnego Ognia

Gdy Zannez wychodzi ze szpitalika, do środka wbiega księżę Pao.

- Zaczyna się! Jestem pewien. Mogę pomóc?

Baram przeciska się obok chłopca, niosąc Nyil w ramionach.

Jest zagorzałym ateistą, lecz w tej chwili modli się w milczeniu z taką żarliwością, że ledwie słyszy słowa Pao. Och, bogowie, boże Asklepiosa, boże Galena, Pasteura, niech to zadziała! Ten jeden ostatni raz, och, bogowie, niech to zadziała!

Na głos zaś mówi pospiesznie, nie odrywając wzroku od blasku gwiazdy, od migoczącego nieba na zewnątrz:

- Tak. Wyprowadź na taras Wyrre i Juiyn. Ale... - Uświa-

damia sobie, że nie zdecydował jeszcze, czy rodzice Nyil powinni przez to przechodzić: czy okażą się pomocni? Wspomnienie krzyków Linnie decyduje za niego. Nyil będzie musiała przejść ponownie przez tortury i przerażenie; lepiej by tego nie widzieli.

- Ale niech zostaną tutaj, pod zadaszeniem - kończy, wychodząc na krawędź cienia, z Pao biegnącym u jego boku. - Myślę, że w czasie rzeczywistym wrócę dosyć szybko. - Przychodzi mu na myśl, że ta nadzwyczajna fala zawirowań czasowych znajdować się musiała w ostatniej i najbardziej centralnej sferze gwiazdy; musi ona stanowić wielkie skupienie niezwykłych energii gwiazdy, jej "pragnienie" powrotu, powrotu do czasu sprzed Deneba. Poprzednie fale nie były podobne do tej w najmniejszym nawet stopniu.

- Jasne. - Pao rusza z miejsca, lecz chłopiec w jego wnętrzu nie potrafi oprzeć się pokusie odwrócenia się w drzwiach i dodania

- Niech pan uważa, żeby cofając się, nie spotkał pan samego siebie!

Potem znika.

Tak naprawdę to całkiem dobra rada, myśli Baram, ostro skracając w lewo i niosąc Nyil ku najjaśniejszej plamie światła gwiazdy. Musi pamiętać, by obrać inną drogę, wracając, wracając z czym w ramionach? Tym samym, rozdzierającym serce ciężarem, czy też cudem?

Nie łudź się, ostrzega sam siebie. Szczyt natężenia energii gwiazdy już ich mija. Powietrze wciąż jeszcze robi wrażenie naładowanego, lecz już nie z tą samą wściekłą intensywnością, jak wtedy, gdy uczyniło cud z Linnie.

Wtedy wsteczny bieg czasu gwiazdy podążał wartkim strumieniem. Szybko poniósł Linnie z objęć samej śmierci, przez agonię, w niedawną przeszłość, kiedy to owa nieszczęsna arteria nie była jeszcze przerwana, a krew wypełniała jej bijące serce, i oto żyła ponownie. Żyła!

Wiedział jednak, że jeśli zawirowanie zabierze ją z powrotem ku terażniejszości, umrze ponownie, i nieodwołalnie. Musiał wynieść ją żywą z potoku czasu, dosłownie wyrwać ją z przeszłości w terażniejszość, istniejącą tak niedaleko od nich, w cieniu osłoniętym przed działaniem gwiazdy. Tak blisko - a tak boleśnie daleko, zważywszy na wysiłek. Całą jego siłę pochłonęło poruszenie jej, uniesienie, zaciągnięcie i pchanie naprzód. Skończył, pełznąć na kolanach, dokładnie kiedy strumień czasu zmienił kierunek, ciągnąc ją za sobą za splecione wokół jego szyi dłonie, tak jak kiedyś wynosił spod ognia rannych na wojnie - i mdliło go z przerażenia na myśl, że mu się nie udało, że zbyt otwarcie przeciwstawił się potędze czasu - a potem przetoczyli się przez granicę cienia i mógł już być pewien, że Linnie będzie żyć. Tak, żyła na powrót - Linnie żyła!

Jeszcze szalał ze szczęścia, a już przeklęty potrójny hak Ochtera zaplątał się w jej włosach, tak że ledwie zdążył go złapać, kiedy zaczął przesuwać się w poprzek jej gardła.

Wspomnienie chustki, gnanej wiatrem po przejściu wcześniejszego zawirowania, wróciło do niego i przeraziło do nieprzytomności. Czy ten potworny hak wróci przez cały kosmos, by utwierdzić

realność śmierci, zabijając ją ponownie?

Zatrzasnął go w sejfie i z rozpaczliwym pośpiechem zabrał się za urealnianie tej rzeczywistości - rzeczywistości z żyjącą Linnix. Zmusił ją do rozmowy z Kipem i Córy, do podawania im różnych przedmiotów, przesuwania foteli - wszystkiego, co wprowadzałoby żyjącą Linnix do pamięci innych, dzięki czemu zostawić mogła swój ślad w tej terażniejszości.

To wtedy przyszło mu do głowy utrwalić jej obraz na filmie (dygocząc ze strachu, że kadr mógłby okazać się pusty) i wymieścić go ze scenami z tej terażniejszości. To również wtedy zrozumiał cenę, jakiej wymagał ten cud; lecz wówczas uważał ją za niewartą wzmianki.

A teraz musi mieć nadzieję, że to ostatnie zawirowanie zaniesie Nyil jeszcze dalej wstecz, do chwil przed rozpoczęciem tego niewypowiedzianego okaleczania - i że ma dosyć siły, by wynieść ją stamtąd, raz jeszcze walczyć o nią z samym czasem, zanim wsteczny bieg utraci pęd i wróci ją do żałobnej terażniejszości.

Jeśli mu się uda - czy coś tam zostanie? Nie myśl o tym.

Nie walczy się z rzeczywistością, nie odnosząc ran. Był wystarczająco szalony, by walczyć o życie Linnie. Teraz domaga się kolejnego cudu.

Niech tak będzie, myśli, starannie wystawiając ledwie żywe drobne ciało na światło gwiazdy. Nie ma innego sposobu. Najwprawniejsza ludzka ręka nie potrafiłaby naprawić okropieństw wyrządzonych Nyil - ten potwór, Hiner, nie tylko pociął, lecz

posiekał, zmiażdżył dziecku delikatne skrzydła, dłonie, ramiona. Baram nie potrafi znieść myśli o tym, co musiało się tam dziać; żadnych czystych cięć, jedynie postępujące niszczenie ciała, czas oferuje szansę odwrócenia uszkodzeń. Och, że też nie mogli zadziałać szybciej - i nie może powstrzymać się przed dodaniem, och, gdyby tylko mógł dostać w swe ręce żywego Hinera! To zawirowanie czasowe jest dla niego ostatnią, rozpaczliwą deską ratunku.

Odwagi, powtarza sobie, mamy gwiazdę po naszej stronie.

Wznosząc Nyil pewnym chwytem ku migoczącemu czarno niebu, przygotowuje swój umysł, by uwierzyć. Wstecz - zabierz nas wstecz!

Wpływ gwiazdy jednak słabnie. Aktywny składnik, bez względu na to, jaka pozagalaktyczna istota nadaje mu jego niesamowitych mocy, mija Damiema, Baram widzi wyraźnie, jak powoli zbliża się to zawirowanie; wolno, tak wolno, że dopiero teraz nachodzi go to niesamowite uczucie, ruch w bezruchu, klekot przemieszczanych przedmiotów, ludzie-widma.

Wstecz, nakazuje myślą, zanieś ją wstecz! A potem ku jego zgrozie drobne ciało w jego ramionach zaczyna wić się i szamotać, jej jęk na granicy słyszalności przeszywa mu uszy. Och, bogowie, ona znowu - wpadła w szpony Hinera. Czy wsteczny bieg czasu zanieś ją dalej, ku chwili, kiedy była jeszcze cała i nietknięta? Wstecz, przywróć ją, modli się do wszechświata. Przywołując całe swoje umiejętności, wyśpiewuje w damei do niej:



- Już po wszystkim, Nyil kochana, wkrótce poczujesz się lepiej. Jesteś wolna, Wyrra i Juiyn są wolni. Źli ludzie odeszli. Trzymaj się, zaraz poczujesz się lepiej.

Te słowa wydają się jej nieco pomagać; mimo całego swego cierpienia posyła mu jedno czyste spojrzenie.

Lecz jej nogi i szczątki skrzydeł poruszają się specyficznym, rozrętnionym drganiem; rozpoznaje w nim typową reakcję Dameii na wielki ból fizyczny albo psychiczny. Przychodzi mu na myśl, że to wielkie trzepoczące skrzydła Wyrry i Juiyn, małe aktoreczki wzięły za odgłos zamiatania. W przypadku Nyil obawia się jednak, że może to przeszkodzić cudowi, jakiego oczekuje.

Jest takie miejsce między skrzydłami, którego uciśnięcie czasami wycisza ten odruch. U Nyil jest tam tylko krwawa miazga, lecz naciska mocno palcami i dygotanie zanika. I kiedy trzyma ją tak, czuje coś - coś - co ociera się o jego palce tam, gdzie przedtem była pustka.

Och, miłosierni bogowie - czy może to jej odrastające utraczone skrzydło? Czyżby cofali się w czasie do momentu, kiedy była jeszcze nietknięta?

Zerka w dół, lecz w mrocznie falującym powietrzu niczego nie widzi wyraźnie. A może jednak są tam jakby przezroczyste kontury dwóch małych, złocistych skrzydeł, rozkładające się i nieruchomiejące, gdy uciska splot nerwowy? Jeszcze nie materialne, ale zauważalne?

A teraz pod palcami wyczuwa, nabierające z każdą sekundą

realności normalne ciało, nawet porośniętą puchem skórę. Inne rany też się goją, żalosalne kikuciki będące jej dłońmi kończą się teraz widmowymi palcami.

Czy proces ten trwać będzie dalej? A może słabnąca energia gwiazdy wyczerpie się zbyt wcześnie i strumień czasu poniesie ją z powrotem ku męce i zniszczeniu? Dalej, dalej, dalej, modli się, jak gdyby nic nie znacząca wola jednego człowieka mogła pomóc gwiazdzie.

I oto jednolitość narasta, konsoliduje się - skrzydła wachlują raz, zauważalny podmuch powietrza owiewa jego twarz. Leczą czy to uzdrowienie jest wystarczająco realne? Czy śmie teraz ją wynieść?

Niezdecydowanie doprowadza go na skraj szaleństwa: przerwać zbyt wcześnie albo też ociągać się zbyt długo - jedno i drugie niesie ze sobą ryzyko utraty wszystkiego. Oczywiście, uszami, całą skórą wyszukuje pierwszych oznak zawracającego biegu czasu.

Jest nieświadom otaczających go niesamowitości, nawet czegoś, co być może jest jego widmowym cieniem z Linnix, tam, po drugiej stronie - nie wolno mu ani na moment oderwać uwagi od otaczającego go powietrza.

Wtedy przypomina sobie: wynoszenie Nyil pod osłonę potrwa.

Niemalże nie chcąc tego, zaczyna się posuwać. A przynajmniej próbuje - napotkana trudność przeraża go. Cofnęli się głęboko, głęboko. Całe jego jestestwo koncentruje się na ekstremalnym wysiłku, wiążącym się z dźwiganiem dziewczynki. Przekracza już

punkt wyczerpania, niosąc ciężar zbyt wielki, by go udźwignąć.

Przez jakiś czas z rozpaczą rozważa ewentualność niewydostania się na czas. Dzika radość dodaje mu sił - drobny kształt w jego ramionach jest cały i nie naruszony, dwa błyszczące skrzydła lśnią, raz nawet wykręca się, by postać mu, co niewiarygodne, uśmiech. Później niewiele pamięta z walki o każdy krok; pokonanie tych paru metrów tarasu pozbawia go nawet rezerw, o których istnieniu nie wiedział. Pamięta jedynie ten uśmiech i zmianę ułożenia Nyil, kiedy tylko znaleźli się blisko cienia, tak by można było przekazać ją rodzicom. Nauczył się to robić - stawia jej stopy na jednej dłoni na wysokości piersi, drugą dłonią podtrzymując jej szczupły korpus, przekładając skrzydła przez swe ramię. Radość przywróconego jej życia przenika ją dreszczem, zupełnie jakby trzymał ożywioną błyskawicę.

Kiedy Nyil spostrzega Wyrre i Juiyn przez pulsujący półmrok na skraju cienia, uderza go skrzydłami po głowie i skoro tylko są bezpieczni, wzbija się w powietrze przy wtórze głośniego trzepotu i przelatuje ostatnie parę kroków wprost w ramiona ojca.

Baram, widząc, że nic już jej nie grozi, pozwala sobie wreszcie na osunięcie się na kolana. Jak raz już to uczynił, chwiejnie wyczouguje się z przeszłości w nagłą ciszę czasu terazniejszego pod zadaszaniem. Jest mgliście świadom grupy ludzkich nóg; wokół trójki Dameii ktoś posadził też Kipa w fotelu na kółkach.

Gdy usiłuje podźwignąć się na nogi, spostrzega, że nie wszystko jest jeszcze w porządku. Nyil przechyla się przez ramię ojca, by objąć

głowę matki. Nagle jej oczy zamykają się i zwisa bezwładnie.

Baram jest tak osłabiony, że musi trzymać się oparcia fotela, by sięgnąć dłonią jej piersi, podczas gdy Wyrra kładzie ją twarzą ku niebu w swych ramionach. Silny, płynny dygot centralnego ganglionu, odpowiednik tętna u Dameii, jest niewyczuwalny.

Baram nauczył się go przywracać, niczym pracę ludzkiego serca, gwałtownym, silnym, podwójnym ściśnięciem. Przy pierwszej próbie wibracja odradza się i Nyil znowu żyje.

Tyle że na jej twarzy maluje się dziwna ciemność, myśli Baram.

Znika, kiedy Nyil się uśmiecha, lecz między uśmiechy a pełne miłości poszepty wanie z rodzicami wkrada się grymas, jakiego nigdy dotąd jeszcze nie widział.

Cofa się, by zamienić parę słów z Kipem, obserwującym całą scenę u boku wciąż skrytej pod zasłoną Córy.

- Oni się żegnają - informuje go cicho Kip. - Bram, co jest? Trik z czasem nie podziałał?

- Podziałał - odpowiada ponuro Bram. - Ale... - Nie wie, jak to wyrazić, by nie wydać się mu obłąkanym. Nyil odzyskała skrzydła, ciało: co mogła zostawić na tarasie? Życie?

- Ale jest za to cena - kończy za niego Córy poważnym głosem.

- Kosztowało to ją zbyt wiele - o to chodzi? - dopytuje się Kip.

W tejże chwili Baram widzi, jak Nyil ponownie omdlewa, i posuwa się w stronę Wyrri. Lecz gdy jego dłoń dotyka jej piersi,

wyraźnie odczuwa sprzeciw obojga rodziców. Uciska tak delikatnie, jak tylko potrafi. Zbyt delikatnie: musi powtórzyć procedurę, zanim jej ciało przejmuje inicjatywę.

- Nie, nie - mówi Wyrre po galaktycku. Juiyn, wyglądająca na poruszoną, wyrzuca z siebie długi ciąg wyrazów w damei, których Baram za nic w świecie nie jest w stanie pojąć.

- Czy oni nie rozumieją? - Baram pyta Kipa. - Nie wiedzą, że robię to, by utrzymać ją przy życiu?

- Rozumieją - zapewnia go Kip. Zadaje melodyjne pytanie w damei Wyrre, a oboje rodzice Nyil odpowiadają natychmiast, sama Nyil też się dołącza, lecz po krótkiej chwili opada wyczerpana w ramiona ojca.

Zanim Kip ma czas rozpocząć tłumaczenie, Nyil odwraca twarz do Barama i zagiętymi palcami - palcami! - przywołuje go bliżej. Pochyliła się nad nią w ramionach Wyrre.

I właśnie kiedy to robi, Nyil bierze dwa słabe oddechy i jej dygocząca pierś nieruchomieje. Baram unosi jedną rękę, by usztywnić jej plecy, tak by mógł uchwycić ją w okolicy mostka. Nyil dobywa z prawie pustych płuc cichy, błagalny okrzyk, wolna dłoń Wyrre szarpie Barama za rękę. Ale lekki doktyk Damei nie jest w stanie przerwać skupienia doktora; palce Barama zaciskają się gwałtownie, dwukrotnie. Nyil oddycha - i pulsowanie życia znów wypełnia jej ciało. Kiedy upewnia się, że wszystko funkcjonuje należycie, Baram spogląda na Wyrre.

- Życie - mówi w łamanym damei. - Jej życie, nie śmierć,

nie umieranie. - Naśladuje ucisk dłonią. - Potrzebne do życia.

Wyrra powoli przechyla głowę w bok, co u Dameii oznacza

"nie", i odzywa się swym kiepskim galaktycznym:

- Ból - mówi. - Za dużo bólu. Mieć złe sny, mówić.

Pierwsza myśl Barama, że Wyrra daje mu do zrozumienia, iż

reanimacja sprawia zbyt wiele bólu, zmienia się, skoro słyszy sło-

wo "sny". Czy chodzi o to, że dziecko przeszło przez zbyt wiele

i więcej już nie znieś? Bezradnie zmieszany Baram może jedynie

powtarzać: "Życie. Nie umierać" w odpowiedzi na niezrozumiałe

zaprzeczenia Wyrry.

Baram zwraca się na powrót ku Kipowi.

- O co chodzi? Co jest nie tak? Nie wierzą, że przeżyje?

Nyil ponownie przywołuje go ku sobie i odzywa się pierwsza:

- Ratujesz, uratowałeś mnie - mówi starannie, cicho, ale

wyraźnie, lecz przerywa, by uśmiechnąć się do niego czarująco.

- Uratowałeś mnie, dlatego, nie, dlatego - poprawia się z oczy-

wistą dumą - teraz mogę umrzeć dobra; niepoprawnie, dobrze.

- Ale nie musisz umierać, kochanie - wybucha Baram. -

Teraz możesz żyć!

Nyil przechyla głowę. Nie.

- Nie. Muszę umrzeć. Ale dobrze; teraz jest już dobrze. La-

tam! Zanim mnie uratowałeś, było na nic. - Jej głos drży. -

Bardzo, b-bardzo źle.

- Tak. - To przynajmniej rozumie. I najwyraźniej dla tych

istot uniknięcie śmierci po torturach, w okaleczeniu, bez skrzydeł

jest bardzo ważne.

- Ale nie mogę pozwolić ci umrzeć, kochanie. Być może musimy to zrobić - wykonuje w powietrzu gest uciskania -jeszcze parę razy, ale teraz jesteś gotowa żyć. Czy nie chcesz żyć? Twój rodzice - Wyrza, Juiyn, oni pragną, żebyś żyła.

Drobna główka przechyla się, kiwa się dla podkreślenia swej decyzji. Wzdycha:

- Nie, nie. Zrozumieć tru-trudno. Wiem, ty dobry, doktorze Baram. - Znowu topiący serce uśmiech, tym razem zabarwiony niewiarygodnym odcieniem przekornej mimiki. - Do widzenia, kochany.

Jej spojrzenie przenosi się na rodziców, mówi parę słów w dąbie

- a potem Baram widzi, jak falowanie jej piersi słabnie i ustaje.

Kiedy unosi ręce, by pobudzić ją do ruchu, twardy uścisk obejmuje jego prawy nadgarstek i odciąga go gwałtownie w tył. To Juiyn, górująca nad nim ze wzniesionymi skrzydłami. Wydaje z siebie ostry dźwięk, u Dameii oznaczający zdecydowane przeczenie, trzymając go za rękę z niemalże ludzką siłą.

Bezradnie pozwala się jej odciągnąć.

Oczy Nyil zamknęły się na moment w grymasie bólu. Teraz otwierają się szeroko. Patrzy na otaczające ją twarze spokojnym, czystym wzrokiem, uśmiecha się, jej twarz przestania ledwie dostrzegalny cień czegoś, co może być strachem. Następnie zwraca oczy ku Juiyn i Wyrze, a potem zamyka je.

Jest cała, uskrzydłona, nie okaleczona; wygląda jak pogrążone

w spokojnym śnie dziecko. Dziecko, które już nie oddycha.

Nikt się nie odzywa. W ciszy dwoje wysokich Dameii, pięknych nawet w swym obecnym, opłakanym stanie, odwraca się ze swym ciężarem. Opuszczają krąg ludzkiego światła, wkraczając w srebrne mgły, spowijające taras poza zasięgiem lamp.

Gdy niemalże przekraczają granicę widoczności, Baram spostrzega, jak Wyrri przekazuje ciało córki Juiyn, a potem wraz z nią kierują się w stronę parapetu. Baram rozumie ich. Przerazenie, płynące z perspektywy zbliżenia się do pomieszczeń na końcu skrzydła budynku jest tak wielkie, że przemogło nawet niechęć Wyrri do okazywania swego kalectwa w locie. Moment później rozlega się łopot jego chorego skrzydła i oboje wzbijają się w powietrze.

Baram także nie potrafi chłodnym umysłem objąć tego, co musiało wydarzyć się w tamtych pomieszczeniach i w ich pobliżu.

Wkrótce zostanie do tego zmuszony, jutro niewątpliwie rozpocznie się dochodzenie. Później te pomieszczenia - być może cały motel - zostaną po prostu zlikwidowane. Zniszczone, wyburzone. Szkoda, być może, ale nie sposób wyobrazić sobie innego rozwiązania.

Ze zmarszczonym czołem spogląda bezmyślnie w stronę, gdzie zniknęli Dameii. Teraz uświadamia sobie obecność Linnie delikatnie trzymającej go za ramię i przyciskającej je do swego ciepłego boku, jak gdyby chciała pocieszyć ich oboje. Spogląda w jej modre oczy. Dostrzega, że na powrót nabierają nieco wyrazistości, to pożądana odmiana po pustym wzroku, który tak bardzo go przeraził.

- Przypominam sobie, znałam tę małą, tę dziewczynkę - od-



zywa się łagodnie.

Baram kiwa głową, uśmiecha się do niej.

-- Zgadza się.

Potem rozgląda się, z rozmysłem patrząc pozostałym w oczy.

Już pora. Linnie mówiła cicho, lecz nie aż tak cicho, by jej nie usłyszeli.

Zannez stoi najbliżej, obejmując ramionami Hanny i Bridey, na jego twarzy maluje się staranna neutralność. Hanny, kiedy tylko dociera do niego dziwaczność uwagi Linnix, wygląda na coraz bardziej zaintrygowanego; fioletowe oczy Bridey są szeroko otwarte. Snake, szybszy od Hanny, wbija wzrok w ziemię.

Nawet Kip, usadowiony w lekarskim fotelu na kółkach, przerwał rozcieranie oczu i mrużąc je, patrzy na Barama. Za nim Córy opiera się o ścianę; jej twarz ma pod zasłoną enigmatyczny wyraz, lecz Baram dostrzega, że pod tkaniną jej włosy są kompletnie siwe. Serce Barama zamiera na jedno uderzenie, gdy spogląda na nią, lecz problem Linnix jest bardziej naglący. Chłopiec Pao siedzi w pobliżu ze skrzyżowanymi nogami, obok Stareem. Z zadartą głową przygląda się Linnix. Jedyne mała Stareem, zwinięta we śnie na opuszczonym przez Kipa grubym kocu, jest spokojnie nieświadoma wszystkiego.

- Linnie, kochana - mówi Baram - wszyscy ci ludzie są twoimi przyjaciółmi i musimy im powiedzieć, że przytrafiła ci się utrata... chwilowy zanik pamięci.

Przytakuje mu. Jej reakcja jest dziecinna, potulna, lecz o lata

światłne oddalona od pustki, jaką ujrzał poprzednio. To wtedy stanął przed potworną ewentualnością, że wydostał z przeszłości jej ciało - bez umysłu.

- Możemy nazwać ten stan traumatyczną amnezją - informuje pozostałych. - Nie wiemy jeszcze, czy to sprawa trwała czy przejściowa, ani też czy jest rozległa, czy też niewielka i nieciągła. Po prostu nie wiemy. Więc nie bądźcie zdziwieni, jeżeli nie będzie pamiętać waszych imion. - Uśmiecha się, lecz zaraz poważnieje.

- Później będzie mnóstwo czasu na prezentację, jeżeli będzie to konieczne. Teraz musimy zająć się pilniejszymi sprawami.

- Bridey, pozwolisz, że zostawię Linnie pod twoją opieką? Zechesz też pomagać myr Córy i Kipowi, gdyby czegoś potrzebowali? Muszę sprawdzić, jak czuje się markiza.

- Och, bogowie. - Bridey przesuwa się bliżej Linnix. - Biedna dama P. Zupełnie o niej zapomniałam! I - och! - Przykłada dłoń do ust, zerkając znacząco w stronę łóżka. - Cóż, oczywiście, doktorze B. Postoję tutaj, jeżeli myr Linnix zechce mi towarzyszyć. Och, jestem Bridey. Cześć.

- Cześć - reaguje z zainteresowaniem Linnix. - Jestem Linnix, tak mi się wydaje.

- Co do pana, myr Zannez - ciągnie Baram - czy myśli pan, że pan i pańscy chłopcy jesteście w stanie wykonać jeszcze jedną brudną robotę? Wydaje się, że mamy tu w nadmiarze. - Wskazuje na skryte pod kocami wzgórkę, niegdyś będące Yule'em i Vovoką, oraz na łóżko, na którym wśród poduszek spoczywają

zwłoki Łomy. - A może Snake i Hanny mają już dosyć?

Zannez ściska ramię Hanny'ego.

- Posłuchaj - ty, Bridey, też - pamiętacie, co mówiliśmy o rekwizytach? Teraz powtarzajcie sobie, że to tylko rekwizyty - to prawda. A widzieliście już milion gorszych, dzieciaki. Trzymajcie się tej myśli - rekwizyty.

- Vovokę można złożyć w jego pokoju - mówi Baram - te zaś trzy bydłeta u Ochtera Uważajcie, żeby niczego tam nie poruszyć. Ludzie z Bazy będą chcieli wszystko obejrzeć. Natomiast łóżko z biedną Lomą można wstawić do szpitalika. Może od tego zacznijcie. Zannez i jego trójka poruszają łóżko z miejsca, Baram zaś omija ich, by stawić czoło temu, co przyrafiło się damie.

Pierwszy rzut oka przekonuje go, że dama nie tylko żyje, lecz wręcz odzyskuje przytomność. Rzuca się niespokojnie w fotelu, mamrocząc:

- Gdzie jest Loma? Loma! - z zamkniętymi oczyma, co stanowi uroczy widok nawet mimo jej opłakanego stanu.

Teraz trzeba powiedzieć jej, że Loma nie żyje, a dzieło jej życia spełzło na niczym. Baram znajduje w kieszeni jeszcze kilka niebieskich pigułek uspokajających i nalewa trochę wody do szklanki.

Pięć minut później żałuje, że nie ma pod ręką jednej ze strzykawek Ochtera. Już od dziesięcioleci nie miał do czynienia z napadem czystej, szaleńczej histerii u przedstawiciela gatunku ludzkiego. Po jego pierwszych słowach dama rzuca się z krzykiem za łóżkiem do laboratorium i wśród wściekłych jęków i nawoły-

wania za Lomą usiłuje się na nie wspiąć. Mimo jej kobiecości jest silna niczym dzikie zwierzę.

Baram odwołuje Zanneza i jego młodziaków od pracy i wspólnymi siłami udaje im się zawlec biedną markizę do jej pokoju, położyć do łóżka, a potem nafaszerować środkami uspokajającymi.

Ona jednak nie uspokaja się, dopóki łóżko z nieruchomą zawartością nie zostaje zatoczone do jej pokoju.

- Nic lepszego nie jesteśmy w stanie dla niej zrobić - stwierdza Baram. - Złożę ciało do trumny i zajmę się siostrą, jak potrafię najlepiej, kiedy już załatwimy problemy żywych. Chyba mógłbym skontaktować się z lordem protektorem Krańca Tęczy, by czekał na nią w Centrali, jeżeli sprawy w ogóle posuną się tak daleko.

Kiedy to mówi, jego uwagę zwraca mieszanina dźwięków dobiegających skądś i zewsząd zarazem.

Częściowo jest to łagodne, piskliwe zawodzenie. To zapewne Dameii, śpiewający albo też recytujący wokół domu Nyil. Ich ceremoniał żałobny nie jest mu obcy.

W tle rozlega się jeszcze jeden basowy odgłos, tak niski, że jest bardziej drzeniem niż dudnieniem. Zna go - lecz rozprasza go widok Linnix prostującej się gwałtownie i wygładzającej mundur, najwyraźniej po raz pierwszy zauważając rozdarcia i krwawe plamy na swej piersi. Oczywiście.

Dudniący bas narasta, aż w końcu zagłusza jego słowa. Nowe światło zapłonęło na zamglonym gwiazdą niebie, nad dachem motelu. To ognie wylotowe statku kosmicznego.

Ktoś podchodzi do lądowania.

Baram najpierw myśli, że jest to ładownik Rimshota - lecz dlaczego Dayan miałby pojawić się tak wcześnie, bez wezwania SOS czy odbycia zleconej przez niego rozmowy? Ponadto nie zdążyłby tak szybko wziąć na pokład eksperta od neurologii. Poza tym ten dźwięk nie przypomina ładownika ani promu ze statku Moomów. To raczej większy okręt Patrołu zdolny do lądowania na powierzchni planety.

Taki, jakim rzekomo miała być Kometa.

Kometa zaś - chwileczkę!

Wciśnięta Ochterowi przez Barama opowieść o tym, jak to Kometa zesłała z kursu i Race skontaktował się z FedBazą, była całkowitym zmyśleniem. Wygłosił ją jednak z takim wysiłkiem i przekonaniem, że ostatecznie sam w nią uwierzył. W rzeczywistości nie wie niczego o Komecie i nie istnieje żaden powód pod słońcem, by nie był to kapitan Race podprowadzający swój statek do lądowania, by odebrać regulaminowo opłaconych pasażerów.

Swych sownie opłaconych pasażerów.

Jak zareaguje na wieść o tym, że jego pasażerowie nie żyją, obiecana zapłata uleciała z wiatrem - on sam zaś wylądował na planecie obłożonej interdyktem i, jeśli dowie się o tym FedBaza, zostanie zatrzymany?

Baram wie o kapitanie tylko tyle, że jest awanturnikiem, któremu nie przeszkadza ryzyko i któremu zależy na zdobyciu kredytek na utrzymanie statku.

Te myśli przebiegają Baramowi przez głowę, podczas gdy wszyscy zamierają w bezruchu, nasłuchując. Po nich formuje się jeszcze jedna.

Nieuzbrojony statek wciąż jeszcze dysponuje pewnym potencjałem ofensywnym: jeżeli jego system sterowniczy małych wysokości jest dobry - a były eskortowiec Patrolu ma to jak w banku - dysze wylotowe i rakiety pomocnicze użyte być mogą w charakterze latających pochodni, by posiać zagładę i zniszczenie na powierzchni.

A Race'owi powiedziano, że jego trzech pasażerowie planują nieźle się tu wzbogacić.

Jakie są szanse tego, że dodał dwa do dwóch i jako wynik równania otrzymał "Gwiazdne Łzy"? A przynajmniej nowo odkryte złoża szlachetnych kamieni? Bardzo duże. I ma do swej dyspozycji dosyć, by groźbą wymusić od stacji swą zapłatę bądź też jej część. Już pogwałcił prawo; dlaczego miałby się przejmować kolejnymi wykroczeniami?

Och, bogowie. Baram nagle czuje się zmęczony, zmęczony i stary. Przez całą noc stawiał czoło nie kończącemu się ciągowi przerażających gróźb, cierpienia, dylematów i ataków i myślał, że wszystko to nareszcie się skończyło. Oto kolejne do kolekcji. Pierwszy raz w głębi serca czuje się tak staro, jak sugerują jego siwe włosy. Spogląda w górę, na obcy statek; jego lot zdaje się odrobinę nierówny, jakby pilot rozglądał się po okolicy. I bez wątpienia nie jest to ładownik Rimshota.

Kiedy opuszcza wzrok, spostrzega skierowane na siebie uważne spojrzenie Zanneza.

- Kolejne kłopoty?

Baram przywołuje go do siebie, samemu zatrzymując się przy Córy i Kipie, po czym wyjaśnia sytuację. Córy słucha go, lecz mówi tylko:

- Na tym statku będzie nadajnik nie nadświetlny, ale coś lepszego niż... - Wskazuje na zrujnowane anteny.

Kip w szybkim tempie dochodzi do siebie, choć wciąż jeszcze mruży oczy.

- O ile uda nam się dotrzeć do ich kabiny telekomunikacyjnej.

Race nie będzie rwał się do tego tylko po to, byśmy mogli na niego donies'ć - mówi ponuro, a potem wybucha nagle: - Amesha Spentas! Ze wszystkich przeklętych wciąż jeszcze nie naładowałem naszych tochari. Cór, dysponujesz jednym durnym, ślepym, kulawym zastępcą, jednym przepracowanym pigularzem i naszym kolegą Zannezem - oraz dwoma chłopakami i jedną dziewczyną uzbrojonymi w noże kuchenne!

Córy kładzie spowitą w mglistą materię dłoń na jego ramieniu.

Przez cały czas Pao przysłuchiwał się im ze swego miejsca na podłodze.

- Myr Kip, włożyłem jednego z pańskich tochari do ładowni; powinien być już prawie pełen. Pomyślałem, że może nam się przydać. Sam pan mi to zlecił.

- Och, bogowie. Przynies'ć - nie, zabierzemy go z garażu po

drodze.

- Superchłopak - mówi Zannez.

- To ja - chodzący czynnik zaskoczenia. - Pao uśmiecha się do Zanneza.

- No, no, no! - Baram jest szczerze zdumiony dobrymi nowinami.

Kip gramoli się w podnieceniu na nogi, marszcząc czoło.

- A jeśli zakleimy diody na dwóch pozostałych, będą wyglądały na w pełni sprawne. - Szczerzy zęby w uśmiechu. - A więc naładowany pistolet dajemy najlepszemu strzelcowi - mamy wybór między tobą, Bram, a Zannezem. A może którymś z chłopaków? Naszym celem jest podporządkowanie sobie Race'a i jego załogi, albo na statku, albo na planecie, na wypadek gdyby coś głupiego strzeliło mu do głowy, podczas gdy będziemy korzystać z jego nadajnika. Jak to brzmi, Cór?

- W porządku. Ale oczywiście - dodaje zmęczonym głosem Córy - może okazać się całkowicie spokojny.

- A my musimy się postarać, aby już takim został. Zastanówmy się: ilu członków załogi musiał mieć na przewóz trzech pasażerów? Możemy chyba założyć, że nie wydaje na pensje więcej, niż musi.

- Słuchajcie - wtrąca Zannez. - Przewaga liczebna to nie wszystko. A może weźmiemy ze sobą dziewczynę? Bridey będzie miała największą szansę na otrzymanie zaproszenia.

- Ze sztucami czy bez? - pyta Baram. On też czuje się



znacznie lepiej.

Bridey muska palcami kieszenie firmowego szlafroka APK

i uśmiecha się.

- Najlepiej wsadźmy jaw ten złoty ciuch od Pao - proponuje

Zannez. - Możesz schować nóż w rękawie, tak jak cię uczyłem.

Snake uśmiecha się srośnie.

- Ten strój otworzyłby przed nią drzwi kazamatów Wydziału Specjalnego.

- Pora ruszać! - Kip wskazuje ku górze. Wszyscy szczerzą zęby jak szaleni.

Nieznany statek zbliża się szybko. Towarzyszący mu huk, narasta nagle do wstrząsającego horyzontem ryku, kiedy włączają się silniki hamujące, potem cichnie.

- Bogowie, czy tu nigdy nie jest spokojnie? - Zannez usiłuje się zastanowić. - Słuchajcie, potrzebujemy paru tunik czy czegoś innego, co mogłoby ująć za stroje podróżne.

- Przyniosę nasze - oferuje się Hanny.

- A ja odzukam twoją, Kippo. - Córy kieruje się w stronę ich kwatery, krocząc prosto i szybko.

- I potrzebujemy też - bogowie, prawie to przegapiłem - paru fałszywych waliz. Snako - możesz błyskawicznie przygotować parę naszych?

- Już się robi. - Snako oddala się.

Baram galopem popędził po swoją doktorską kurtkę i teraz przechodzi przez salon, by pomóc Gór.

Po paru minutach cała grupa zbiera się ponownie, wyglądając zaskakująco odmiennie.

- Pora się ruszyć - stwierdza Kip. - Moje oczy są nadal do niczego, ale z pustego pistoletu nikomu nie zrobię krzywdy.

Posadźcie mnie z tyłu, dobra?

Pao obserwuje ich w podnieceniu.

- Ty tu teraz rządzisz, książę - mówi Kip. - Nie zostawiamy zbyt wielkich sił. Dasz sobie radę?

- Nie ma sprawy! - odpowiada mu Pao.

- Postaramy się dać ci znać - dorzuca Baram.

Bridey delikatnie całuje Córy, podczas gdy pozostali podnoszą swe "bagaż".

- Naprawdę wyglądacie na podróżników - stwierdza Córy, zduszając kaszel.

- Jesteśmy nimi - odpowiada od drzwi Zannez, uśmiechając się szeroko. - Jesteśmy nimi bez dwóch zdań!

XIX

Na Rampie

Transporter wiozący Zanneza, Snake'a, Hanny, Bridey i Kipa, a prowadzony przez Barama, wjeżdża na lądowisko dokładnie w chwili, gdy obcy statek zapala swe reflektory. W ich blasku Zannez dostrzega plątaninę napisów na jego burcie, z których najwyższy położony brzmi Kometa II.

- Zatrzymaj się - mówi Kip. - Jeżeli jesteśmy tam, gdzie sądzę, że jesteśmy, wystarczy trochę obrócić pojazd, a będziemy

w stanie zablokować drogę. Nie chcemy, żeby po prostu przemknęli obok nas.

Baram stosuje się do tej sugestii. Statek dysponuje napędem międzygwiazdowym, lecz to rakiety hamujące zapaliły poszycie. Stoi też bliżej drogi, niż zwykł lądować statek Moomów.

Gdy ognie wypalają się, Zannez podnosi wzrok i wśród gałęzi nad ich głowami spostrzega wielkie, białe skrzydła lądującego Damei. Szturcha Barama w bok, by zwrócić jego uwagę.

- Kip! Jest tu jeden ze starszych.

- Nie ma czasu. - Kip wykrzykuje coś w damei. Skrzydła składają się i pozornie znikają.

Ten Damei pozostaje naprawdę blisko ognia, myśli Zannez.

Ciekawski? A może ma do powiedzenia coś ważnego?

Lecz to, co dzieje się przed nimi, jest ważniejsze. Ogień ustąpił już miejsca rozżarzonym popiołom. Od strony statku rozlega się szcęk mechanizmu śluzy. Nagle w dół zjeżdża rampa pasażerska.

- Odniosłem wrażenie, że słyszałem też otwierany luk towarowy - odzywa się Kip. - Zostańmy, gdzie jesteśmy, Bram.

Niska, szczupła, wyprostowana sylwetka pojawia się we włazie, coś trzyma w dłoni. Kapitan Race? Gdy oficer rusza naprzód, zza jego pleców wychodzi raczej dobrze zbudowany członek załogi i zbiega w dół po trapie.

- Jeden - oznajmia Zannez. Kip z wysiłkiem mruży oczy.

Rozlega się uprzejmy, melodyjny sygnał, po czym nosowy głos odzywa się przez megafon:

- Tu prywatny statek kosmiczny Kometa II, przybywający,  
by zabrać czarterem troje pasażerów do Centrali Federalnej. Jesteśmy gotowi na rozpoczęcie procedury zaokrętowania. - Po chwili przerwy głos dodaje: - Bagaże zostaną wniesione ręcznie. Proszę podawać swe rzeczy czekającemu członkowi załogi.

- I co teraz. Nie... - zaczyna Baram.

Ku zadziwieniu Zanneza, Kip zaczyna zachowywać się tak, jakby postradał zmysły. Pochylił się i teraz ściska Hanno, Snake'a i Bridey, próbuje uściskać również i jego, wydając przy tym dziwne, rżące dźwięki.

- Ten głos - wykrztusza z siebie. - Och, ten akcent. -

Gdyby tylko Cór tu była! Upiętywa dobry minim, zanim uspokaja się na tyle, by powiedzieć:

- Ludziska, nie wiem jak ani dlaczego, ale to nie jest żaden kapitan Race. To kapitan Saul Scooter Dayan z krążownika Patrołu Federalnego Rimshot - nasz przyjaciel! Walnij w ten klakson, Bram!

- Przyjaciele? - wybucha Zannez. Przechyliła się przez ramię Barama i zaczyna wygrywać na klaksonie hymn Federacji.

- Musiał jakimś cudem przejąć Kometę i jest tutaj, by zwabić w pułapkę Ochtera i jego ludzi. Och, musimy powiedzieć o tym Cór!

- Och, bommmbowo! - wzdycha Bridey, raz jeszcze gorejąca blaskiem w swej koronkowej szacie królowej ognia.

- Ruszajmy!

Wszyscy łąpią się, czego popadnie, podczas gdy transporter gna

po dymiącej murawie w stronę statku. Znajomy horseheadzki akcent z luku powtarza komunikat, tym razem wydaje się odrobinę zmieszany, a zarazem bardziej stanowczy.

Bach! Ba-bach! Dwie opony pękają, gdy są już niedaleko. Baram na obręczach podjeżdża do podstawy trapu.

- Saul! Saul! Scooter - to my! - ryczy Kip.

Kapitan Dayan ostrożnie schodzi do połowy trapu, przyglądając się im.

- Myr Kip i doktor Baramji, zgadza się? Cieszę się, że dobrze wyglądacie. Ale musimy zaczekać, dopóki nie stanie się zadość pewnym wymogom natury formalnej i nie ustalimy pewnych faktów, zwłaszcza tego, że jesteście tymi, na kogo wyglądacie. I kim są wasi przyjaciele?

- Och, chrzanić formalności, Scooter! Przez całą długą noc walczyliśmy z bandytami - dopuścili się okropnych rzeczy - i utłukliśmy paru. - Zaraz jednak milknie. Nawet na dalekim Damiemie słyszeli o technikach SK rodem z Mrocznych Światów - technikach stymulacji i kontroli.

Potężny żołnierz ma już towarzystwo, sierżanta obładowanego sprzętem elektronicznym.

- Ma tam skaner siatkówkowy - mówi półgłosem Baram.

- Przy okazji namówię go, żeby zbadał ci oczy, Kip.

- Dobra, Saul, dobra. - Kip ustępuje kapitanowi. - Ale posłuchaj, nadaj sygnał do Córy, że tu jesteście. Nie jest w najlepszej formie, a mamy za sobą ciężkie chwile. Nie, zaczekaj - nasza

antena jest w kawałkach, będziesz musiał kogoś posłać.

- Nie możesz poprosić o to któregoś ze swoich skrzydlatych przyjaciół? - Dayan już sprawdza Kipa, myśli sobie Zannez.

- Nic z tego, przecież wiesz o tym, Scooter. I mówię ci, dzieją się tu okropne rzeczy.

- No, dobrze - mówi niechętnie Dayan. - Ale to wbrew zasadom.

- Gdyby zechciał pan tu podejść, myr Korso - odzywa się sierżant.

- Podejść nie jestem w stanie, ale mogę do pana podskoczyć, jeżeli pomoże mi pański kumpel.

Podczas gdy żołnierz pomaga Kipowi wysiąść, otwiera się luk towarowy, wypuszczając na zewnątrz trzech marines w pełnym umundurowaniu polowym, dźwigających człokoloty. Przypinają się do nich i odlatują z gwizdem nad koronami drzew w stronę motelu.

Badanie jest dokładne, ale szybkie; wkrótce Kip i Baram stoją już na trapie i na nowo zaczynają się uściski i poklepywania, obaj fragment po fragmencie zaczynają chaotycznie zdawać relację z wydarzeń ostatniego dnia.

- Bogowie, ale się cieszymy, że tu jesteście! - powtarza Kip.

- Ale jakim cudem, na wszystkie gwiazdy Galaktyki, tu się zjawiliście, i to na tym czymś? - Uderza w burtę Komety. - Gdzie podział się kapitan Jakmutam, Race?

- W Bazie.

Zannez, wciąż jeszcze czekający u wejścia na trap, spostrzega, że Dayan w trakcie rozmowy jednym okiem dogląda krzątania na lądowisku.

- Race obejrzał sobie waszą planetę - powinniście zobaczyć Damiema z kosmosu. Wykoncypował sobie, że wszyscy się uśmieją. Tak więc poleciał do nas, do Bazy, by dowiedzieć się, co jest grane. Oficer dowodzący usłyszał, że zmierza na Damiema, i tak sobie myślę, że Race wciąż jeszcze nie skończył się tłumaczyć. Tymczasem zdecydowaliśmy, by podprowadzić Kometę na spotkanie Rimshota, a wtedy przeokrętowałem się na nią razem z paroma chłopakami i skierowałem się tutaj, by obejrzeć sobie tych zacarterowanych pasażerów.

- Uroczo.

U stóp trapu Zannez ze wzrastającym podziwem obserwuje pomysłowe metody sierżanta, mające za zadanie pokrzyżowanie prób podsłuchu i uniemożliwienie wzięcia zakładników przez ewentualnego przeciwnika. Miły posmak autentyzmu dla dokumentu, myśli sobie - i, powodowany niemłą myślą, pyta:

- Czy coś z tego nie jest aby objęte tajemnicą wojskową?

- Tak, proszę pana - mówi sierżant, nie uśmiechając się.

- I nie przypadkiem. Zaraz dojdziemy i do tego.

I wkrótce Zannez składa przysięgę na wierność Federacji, że wszystko, co widział, zachowa dla siebie. No cóż, jest w tym sens.

Kiedy przychodzi pora na sprawdzenie obu chłopaków, Hanny jest w stanie wydać z siebie jedynie ochrypy szept.

- Co mu jest? - Zannez pyta Snake'a.
- Nigdy przedtem nie widział z bliska prawdziwego żołnierza Patrolu - wyjaśnia Snake. - To właśnie jest ten problem, o którym miałem ci powiedzieć. Niedobrze było już w towarzystwie ludzi z Armii. Ale teraz zjawił się tu Patrol. On naprawdę tego chce, wiesz? To boli.

Zannez przypomina sobie: Patrol Kosmiczny nie zatrudnia zwierząt. To przez pornografię. Cholera. Koncentrację utrudnia mu narastające nieprzyjemne uczucie w lewym boku, tam gdzie uderzył belt Hinera.

- Hej, panie Myr-w-czerwonym-kombinezonie. - Od strony trapu dobiega kobiecy głos. Zannez podnosi głowę i spostrzega wysoką, długonogą kobietę w białym stroju lekarza, stojącą obok doktora Barama. - Zawsze trzyma pan lewe ramię w ten sposób?

- Hmm, no, nie, proszę pani. Nie mogę... nie czuję się...

- Jestem Siri Lipus, lekarz polowy Rimshota. - Schodzi po trapie, posyłając Zannezowi krzywy uśmiech rozjaśniający jej gowozatą, przyjazną twarz. - Widzę po stroju, że otrzymałeś postrzał w ten bok. Byłeś w nim, kiedy to się stało?

- Mówią na mnie Zannez, proszę pani. Och, tak, byłem.

Lipsius chwyta jego gumowe ramię i robi z jego dłonią coś, czego nie czuje.

Snake wtrąca swoje dwa grosze:

- Pamiętasz, Zannie, Pao powiedział, że te belty mogły być zatrute.



- Zaraz przyniosę apteczkę.

Doktor Siri gna po trapie do statku, mijając spieszącego w przeciwnym kierunku Barama. On także chwyta go za ramię, marszcząc brwi.

- Obawiam się, że bardzo zaniedbałem swe obowiązki -

stwierdza skruszonym głosem. - Dobrze, że Siri cię obejrzała.

Nie mógłbyś trafić w lepsze ręce; to mój ideał chirurga polowego, najwyższa klasa.

Doktor Siri zjawia się ponownie przy nich i wkrótce rozcięcie na żebrach Zanneza zostaje zdiagnozowane, odtrute i opatrzone.

Według zgodnej opinii wszystkich, o włos uszedł śmierci. Bełty zaprawione były neurotoksyną z grupy paralizujących, która wywołuje zatrzymanie akcji serca przy bezpośrednim zetknięciu z którymś z naczyń krwionośnych, czy choćby z jego okolicą.

- Nie zapominajcie, że strzelał też do mnie i Hanny - mruczy Bridey, podczas gdy lekarka pakuje swój sprzęt. - Brrr.

- Niezwykle piękna młoda dama - zauważa z trapu Dayan.

- Dobrze rozumiem, że to ona zabiła jednego z napastników, miotając nożami kuchennymi?

- A i owszem! - chichocze Kip. - Słuchaj, pora wracać do Cór. Według jakiego czasu funkcjonujecie?

- Dla nas jest poranek.

Jego słowa przerywa gwizd i z luku za jego plecami wyłania się dwóch marines, przeciągając się i tupiąc nogami dla przywrócenia krążenia. Nad ich głowami czerń zaczyna z wolna szarzeć,

w ślad za pożegnalną mżawką blasku gwiazdy nadciąga świt. Reflektory Komety niespodziewanie żółkną.

- Jedliście coś? Może zabierzesz swoich ludzi do stacji na wieczorną przegryzkę?

- Jeszcze będziesz tego żałował. - Dayan się uśmiecha i cofa, podczas gdy kolejni marines wyłaniają się z ciasnego, przeznaczonego zaledwie dla sześciu pasażerów wnętrza Komety. A za nimi następnymi, kiedy tylko wszyscy odsuwają się na boki, tak że w końcu cały regulaminowo liczny oddział rozładowuje namioty i sprzęt z luku towarowego na oczyszczony z zarośli skraj lądowiska.

- No, no. Widzę, że zjawiasz się gotów na wszystko, Scooter. Pomyślmy, doliczając załogę około dwudziestu dwóch? Chyba będziemy w stanie sobie z tym poradzić, mamy zapasy dla paru typów, którzy nie zejdą na kolację. Aha, oto i wasz pojazd, ruszajmy.

Tylko uważaj na silnik. Będziemy musieli porzucić transporter.

Wóz dowodzenia Rimshota wytacza się z luku towarowego, jego napędzany wodorkami silnik wyrzuca z siebie kłęby pary.

Wszyscy ruszają po trapie w dół.

Dayan ruchem ręki odprawia prowadzącą wóz dziewczynę na tylne siedzenie i sam siada za sterami.

- Obawiam się, że będzie pan musiał poczekać na następny kurs, myr Zannez.

- Żaden problem, proszę pana. - Zannez zauważa, że jego dzieciaki z Gridworldu skupiły się wokół niego, nie chcąc, by ich rozdzielono. On również nie chce.

Dayan mierzy ich uważnym spojrzeniem i uśmiecha się. Krótki, dziwny moment empatii rozgrzewa serce Zanneza; kapitan rozumie, co czują ludzie, którzy razem przeszli przez ciężkie chwile.

Podczas gdy żołnierze ładują Kipa do środka, Zannez słyszy jego pytanie:

- A gdzie właściwie jest Rimshot?
- Szuka neurologa Barama w Hyedes - odpowiada Dayan.
- Neurologa? Hej, Bram, posłuchaj, doszedłem już do siebie.

Oczy właśnie mi się zogniskowały. Już nikogo nie potrzebuję.

- To dobrze - mówi Baram. - Ale to nie o ciebie chodzi.

Chcę, żeby Córy zbadał specjalista. Także i ty, Siri.

- Potrafisz ją połatać, Bram. Potrafisz? Myślałem, że potrzebujesz po prostu paru minimów spokoju, nie zakłócanych żadnymi cholernymi sytuacjami alarmowymi.

- Mogę spróbować.

Kip uspokaja się, najwyraźniej usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Ton głosu Barama działa na Zanneza jak kubek zimnej wody. Uważnie przysłuchuje się rozmowie obojga lekarzy podczas wsiadania do pojazdu.

- Nie zapominaj, że jestem jedynie medykiem polowym - uprzedza Barama Siri.

- Dokładnie tego nam trzeba. Zarządca - czyli Córy - porażona została wyładowaniem energetycznym z nieznanej broni prosto w łuk ciemieniowy. Nie było żadnych natychmiastowych objawów wskazujących na uszkodzenie tkanki nerwowej, ale później

cóż, sama zobaczysz, Siri. Zapomniałaś więcej wiadomości o artylerii obcych, niż ja się kiedykolwiek nauczę.

Potem znikają w środku. Prowadzony przez Dayana pojazd, kołysząc się leniwie, kryje się w porannej mgle na wyboistej drodze do stacji.

Pozostawiony samemu sobie, na trapie, Zannez zabiera swoich ludzi do zaparkowanego nieopodal transportera, oczekującego na nowe opony z magazynu Rimshota. Bez swoich kamer czuje się nagi, lecz w pewien sposób jest mu z tym wygodniej. Ale pomyśleć tylko, jakie ujęcia przechodzą mu koło nosa, ale... czyżby? Rozgląda się dookoła; czarodziejski statek, który przywiózł im przyjaciół - wyglądałby jak każdy inny niewielki statek kosmiczny na pustym lądowisku odległej planety w ostatnich chwilach przed świtem - widział już tysiące podobnych ujęć. A żołnierze Patrolu, niemalże aniołowie dla niego, nie wspominając nawet o Hanni - jeszcze jedno z miliona rutynowych zdjęć. Nasi dzielni żołnierze Patrolu. Zaczyna zatracać swój obiektywizm.

- U pana wszystko w porządku? - To dowódca oddziału w towarzystwie sierżanta, który przeprowadzał weryfikację; podchodzą i zatrzymują się przy nich. •

- Jest super. Nawet nie wiecie, jaki wspaniały widok stanowicie.

- Miło nam to słyszeć.

Ponad ich głowami Zannez dostrzega innych potężnych marines, kroczących niedbale w ich stronę, przechwytuje też liczne ukradkowe spojrzenia przeznaczone dla złotego płomienia, Bridey.

Dziewczyna wygląda niezwykle skromnie, jak na swoje możliwości.

Zannez ma za sobą więcej takich sytuacji, niż chciałby pamiętać; ma nadzieję, że Kod jest tak nienaruszalny, jak powiadają.

Wiedziony długim przyzwyczajeniem, bierze się za odwracanie ich uwagi.

- Wolno mi opowiedzieć wam, co się stało? - pyta dowódcę oddziału.

- Wysłuchamy pana z podziwem. - Znowu to nosowe horseheadzkie brzmienie, muszą to chyba ćwiczyć po służbie.

- Hmm. Szefem szajki był taki mały starszy gość, niejaki doktor Ochter, udający normalnego turystę. Ujmująco uczynny, O chromej nodze - symulował to zresztą - tak że nikt nie mógł uwierzyć, że był zimnokrwistym sadystą. Och, był taki kochany.

- Miał dwóch pomagierów, którzy odwalili za niego właściwą, brudną robotę przy Dameii - wszyscy wiecie o "Gwiezdnym Łzach", prawda?

- Tak jest - pada poważnym tonem. - Czyli oni naprawdę...

- Zgadza się. Dopadli jedną rodzinę, zanim się nam udało ich powstrzymać. Skrzydlatych, którzy mieszkają przy motelu, oni mają - mieli - małą dziewczynkę. - Z całą ostrością powraca wspomnienie małej Nyil; Zannez urywa. To nie jest jedynie kolejny scenariusz rodem z Gridworldu. Nyil była prawdziwa, a teraz jej już nie ma.

- Muszę dodać jednak, że oprawcy trafili tu bez kontroli, fałszując błąd przy dawkowaniu lodousypiacza, tak że musieli zostać

wysadzeni tutaj - a ich bagaże pełne były różnych okropnych narzędzi, zamaskowanych jako sprzęt do nurkowania.

- Grunions Rising. - Sierżant kiwa potakująco głową.
  - Właśnie. A potem... - Zannez ciągnie dalej, opisując skomplikowane wydarzenia wieczoru, podarunek z zatrutej eglantyny, niszczący w skutkach atak Vovoki, awaryjny plan Ochtera, wykorzystujący zakładników dla zapanowania nad sytuacją, utratę 1 ostateczne odzyskanie broni - choć dokładny sposób, w jaki Baram sprawił, że Loma się poruszyła, wciąż pozostaje dla Zanneza tajemnicą - oraz zgładzenie Ochtera i Yule'a przez Pao.
  - Poczekajcie, dopóki nie zobaczycie Superchłopaka - uśmiecha się Zannez. - Lecz ostatnia, najlepsza scena należała do dzieciaków - moich dzieciaków, tych tutaj. Poszli po Hinera, bez broni, Snake i ja odwróciliśmy jego uwagę, podczas gdy Hanny i Bride dostali się do pudełka na noże i proszę bardzo! - szkoda że tego nie widzieliście, w powietrzu było aż gęsto od sztuców!
  - To głównie zasługa Hanny - wtrąca Bridey. - On nigdy nie chybia. A to nie było łatwe, trzymał przed sobą małą dziewczynkę dla osłony.
- Hanny ponownie stracił głos, jego zwykle granatowo-czarna twarz przybiera zdumiewająco śliwkowopurpurowy odcień. Żółnierze patrzą na niego z zainteresowaniem. Paru z nich jest mulatami.
- Rzucanie nożami - zastanawia się na głos sierżant. - Kiedyś tego próbowałem. Byłem do niczego.

Zannez przełyka głośno.

- Tak po prawdzie nasz Ek próbował zaciągnąć się do sił kosmicznych. Chciał być żołnierzem Patrolu, jak wy, myrrin. Nie przyjęli go ze względu na jego pracę. Ale, bogowie, ludzie muszą przecież jeść.

- Płaskostopie, co? - mówi współczująco dowódca oddziału.

- Nie. Fizycznie jest w doskonałej formie. Odrzucili go, bo pracuje dla mnie. Niektóre z moich programów... no, nie wiem, jak to powiedzieć, nie są najwyższych lotów.

- I dlatego mu odmówili?

- Owszem. To nie wydaje się w porządku. - A co ja teraz wyprawiam, myśli Zannez. - Sną... nasz Smith, był tak zniechęcony, że nawet nie próbował.

- Widziałem wasz program o Komunie - mówi dowódca.

- Kiedy ostatnim razem byliśmy w pobliżu gridu, obejrzeliliśmy go razem z Lee - wyjaśnia na użytek sierżanta. - Nie jest taki zły, pokazuje życie cywilnych.

- No - odpowiada Zannez - robimy też i inne rzeczy. Musimy. Rzeczy, których tutaj nie obejrzyście, dzięki bogom.

- Och. - Masywny dowódca zmusza się do odwrócenia wzroku w inną stronę.

Sierżant, bardziej otrząskany, chrząka:

- Tak czy owak, jeżeli chłopak myśli poważnie...

- Jak najbardziej.

- W takim razie albo on, albo pan powinniście porozmawiać

z kapitanem Dayanem. Tu na Obrzeżu sprawy wyglądają nieco inaczej. Każdy samodzielny oddział Patrolu może przyjmować rekrutów z pola, podlegających późniejszej weryfikacji. A to można będzie zrobić w FedBazie. Chcecie, żebym zwrócił się z tym do kapitana?

- Och, bogowie. Byłoby wspaniale. Hej, dzięki! - Wszystkie mosty spalone. Bezdenny dureń. Sława.

Hanno z trudem panuje nad twarzą, lecz zdradzają go oczy.

Chyli głowę przed dwoma żołnierzami. Sierżant odpowiada skinieniem, na wargi wypełza mu cień uśmiechu. To te oczy, myśli Zannez. Kto by pomyślał, że czarne oczy zdolne są do wyrażania takich uczuć, musi to zapamiętać i wykorzystać. Kiedy, głupcze? Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, zostanie mu chłopak o złamanym sercu. A co ze Snake'iem? Och, bogowie!

- O, już jedzie wasz transport. Pomóc wam z bagażami?

Bridey wykoczyła ze środka i przerzuca teraz wypchane torby.

- Och, nie, dziękuję - uśmiecha się nareszcie; sierżant cofa się, wpadając na swego towarzysza. - To tylko rekwizyty. - Podrzuca jedną z nich w górę. - Fałszywki!

- Miło było was poznać. - Zannez powstrzymuje się przed przypomnieniem sierżantowi, by nie zapomniał o swej obietnicy; to nie jest Gridworld. Sierżant nie wygląda na kogoś cierpiącego na sklerozę.

Wóz dowodzenia prowadzony jest przez młodą, krzepką dziewczynę z Patrolu imieniem Raili. Bridey i ona spoglądają na siebie z sympatią; uwadze Zanneza nie umyka istniejąca po obu stronach,



czasowo stłumiona chęć zadania sobie wzajemnie mnóstwa pytań.

Rozpromieniony Hanny wsiada do środka, nie bardzo świadom tego, co dzieje się wokół niego.

Snake siada cicho obok, powstrzymując się od wymiany kąśliwych uwag z Hannym, do jakiej prowokuje go zwykle obecność nieznannej kobiety.

- Snake, dobrze zrobiłem, wspominając o tobie? Chcesz zdecydować o tym samodzielnie? A może ja...

Snake uśmiecha się przewrotną wersją swego złowieszczego grymasu.

- "Gdzie tyś Kajus".

- Hę?

- Może i "ty" - takie stare powiedzenie. Tak czy owak, pojedę z tobą. Patrol mnie ani grzeje, ani ziębi. A nawet gdyby tak było - wzdycha, potem uśmiecha się już szczerze - ktoś musi dopilnować, by naszego chłopaka odpowiednio karmiono.

XX

W stronę Wschodu Słońca

Baram, który pojechał pierwszym kursem wraz z Dayanem, Kipem i Siri, bardzo się spieszy, by wrócić już do motelu.

Zostawili Córy samą z chłopcem, dwoma nieprzytomnymi kobietami i dziewczyną, cierpiącą na amnezję. Co gorsza, Baram jest pewien, że Kip nie ma pojęcia, jak poważny może okazać się stan Córy. Kip nie miał okazji przyjrzeć się jej dokładniej, zauważył jedynie siwiejące włosy. Baram sam nie wie dokładnie, co się dzie-

je, lecz spostrzegł wystarczająco wiele, by się obawiać. Broń w dłoni Vovoki nie chybiła, nieważne, co Córy powiedziała Kipowi.

Obawa o Córy pokrywa głębszy, dławiący strach o Linnix, którego Baram nie jest w stanie od siebie odegnąć. Na próżno wymyśla sobie od przesądnego idioty. A jednak po pierwszym zawirowaniu, kiedy to zmienił położenie tej szmatki, chustki, wiatr przeniósł ją z powrotem na właściwe miejsce, wiatr wiejący w kierunku przeciwnym niż bryza V'yrrre.

Nie. Chociaż wspaniale jest mieć przy sobie Saula Dayana i jego ludzi zamiast rozwścieżonego, nieobliczalnego kapitana Race^, Baramowi nie wolno lekceważyć zagrożenia życia Linnie - dopóki potworna trójszpioniasta strzykawka, teraz spoczywająca w jego sejfie, nie zostanie w jakiś sposób zniszczona, a tym samym wykluczone wszelkie możliwości zabicia Linnie. Ma już nawet pomysł, jak tego dokonać.

Zajeżdżają pod motel dokładnie w chwili, gdy pierwsze promienie Yrrei spływają na nich od wschodu. Niebo wciąż jeszcze wygląda efektownie, jest wyciszone. Przecięty na zachodzie, horyzontem mijający ich front gwiazdy manifestuje swą obecność pod postacią olbrzymiej, kurczącej się soczewki wielobarwnego światła, blednącej w miarę zbliżania się ku seledynowemu zenitowi, pokrytemu haftem z perłowych smug i sznurów światła.

Wszędzie wyczuwa się odmianę, porzucenie, opuszczenie, podczas gdy blask gwiazdy, niemalże na ich oczach, zaczyna gasnąć.

W duszy Barama budzi się niepokój. Czyżby coś naprawdę odchodziło? Coś całkiem odmiennego niż życie Nyil czy pamięć Lin-nix. Czy przebywało tu coś niesionego energią gwiazdy, co wkrótce odejdzie na zawsze?

Szybko zwraca swe spojrzenie na powrót ku motelowi.

Przez moment dostrzega z podjazdu nadrzewny dom Wyrry i Juiyn. Wydaje się w nim panować ścisk. Kilka par olbrzymich skrzydeł wachluje na ganku, twarze Dameii zwracają się w stronę pojazdu. Najwyraźniej odbywa się tam jakieś zebranie.

Gdy mijają garaż, w jego wnętrzu rysują się sylwetki dwóch marines Dayana w pełnym rynsztunku bojowym, sprawdzających go cal po calu. Trzeci stoi na straży przy frontowym wejściu.

Skoro tylko pojazd się zatrzymuje, drzwi od strony kierowcy otwierają się, jak gdyby samodzielnie, odsłaniając małego Pao znieruchomiłego w eleganckim salucie.

- Poznaj naszego oficera dowodzącego, szefa łączności, logistyki i wywiadu - oznajmia ze śmiechem Kip. - Księżę Pao, przedstawiam ci kapitana Saula Dayana.

Obserwujący tę scenę Baram, spostrzega napięcie na twarzy chłopca, reakcję na wylewność Kipa, i dziękuje bogom za to, że Kip siedzi zbyt daleko, by go objąć albo rozczochrać włosy. Co księżę, to księżę. Lecz Dayan również to dostrzegł i wysiadając, z powagą odwzajemnia salut.

- Niezła orientacja, młodzieńcze. Oczywiście mówię o drzwiach.

Twarz Pao rozplywa się w uśmiechu. Baram jest całkowicie zdezorientowany.

- Co takiego? - pytają chórem Kip i Siri.
- Powiedz im - mówi Dayan, wraz z innymi pomagając Kipowi wysiąść.

Baram, pozwalając sobie skorzystać z należnych lekarzowi przywilejów i ruszając do przodu bez czekania na pozostałych, słyszy Pao wyjaśniającego:

- Z zamkniętego pojazdu wysiada się według rangi, od najniższego stopniem poczynając, taka jest zwyczajna procedura. Lecz uznałem, że mamy do czynienia z operacją w warunkach polowych i że dowodzący oficer będzie chciał pierwszy opuścić pojazd.

- Według czego?
- Nie drwij sobie z protokołu, Kipper. Królewskie życie naszego młodego przyjaciela będzie nim wypełnione. W porządku, Raili, ruszaj z powrotem po ludzi z holowizji. Och, wielcy bogowie, cóż za niewiarygodny bałagan!

Idący za nim Dayan ujrzał, jak wygląda wnętrze salonu.

Drzwi szpitalika odcinają go od innych. Baram zamierza jedynie przejść przez swoją kwaterę na taras, kiedy w cieniu spostrzega Linnix, uśmiechającą się do niego.

Jest cholernie zbyt blisko sejfu skrywającego skorpiona Ochtera.

- Hej! Zobacz - wiem, jak to działa!

Jej dłoń sięga ku gałce, obracają. Rozlega się pstryknięcie. Bogowie! Najzupełniej przypadkowo trafiła na pierwszą zapadkę

magnetyczną. Z pewnością ruchów lunatyka zaczyna kręcić w przeciwnym kierunku. Wszystko dzieje się tak szybko, że Baram, na krawędzi paniki, jest w stanie jedynie złapać ją za rękę i odciągnąć od sejfu.

- Wyjdź stąd! Niech to szlag trafi! Zostaw mnie, moja kochana, moja kochana Linnie, wybacz mi. Później ci wyjaśnię. Na razie niech ci to wystarczy, nigdy, przenigdy nie zbliżaj się do tego miejsca. Słyszysz? - Potrząsa jej ramieniem, potrząsa nią, niezdolny zapanować nad strachem.

- Chodź. - Wystraszył ją. - Już dobrze, już wszystko dobrze, kochanie. Chodź ze mną. - Och, bogowie, gdyby spóźnił się o jeden minim.

Zaciąga ją na taras.

Przez mgnienie oka wydaje mu się, że jest opustoszały, potem zauważa Starcem na kocu Kipa, z głową pochyloną nad miską. Obok niej, w cieniu, kryje się zawaalowana postać, którą zna jako Córy.

- Cześć, Bram. Z Kipem wszystko w porządku? Dayan dał nam znać. - Głos należy do Cór, a jednocześnie brzmi obco. Nie pierwszy raz spotyka się z taką odmianą.

- Cześć, kochanie. Tak, wszyscy są cali i zdrowi. Wzrok Kipa wrócił już chyba kompletnie do normy.

Córy wydaje z siebie dziwny, cichy dźwięk.

- W takim razie moja odrobina skradzionego czasu już się kończy.

- Co takiego, Cór?

- Za minim sam się przekonasz. Bram, czy możesz poradzić coś na ból głowy tej biednej dziewczyny?

Starcem zerka na niego błagalnym wzrokiem. Oczywiście, soporyna pozostawia po sobie nieprzyjemne efekty uboczne.

- Jedną chwilkę. Linnie kochana, zostań tutaj.

Wchodzi do środka po apteczkę. Kiedy jej szuka, słyszy głos

Kipa z tarasu.

- Halo - haloo! Gdzie Cór?

- Tu jestem - odpowiada bezbarwny głos. - Kip, mój ukochany, teraz możesz to już zobaczyć.

Baram przychodzi na taras z pigułką i szklanką wody dla Starcem w chwili, gdy Córy niezdarnie odwija woalkę (Córy - niezdarnie?). Tkanina zsuwa się na ziemię, ona zaś pochyla się do światła wschodzącego słońca.

Jest starą, siwowłosą kobietą o pobrużdżonej, obwisłej twarzy; jej nogi znaczą żyłaki i pomarszczona skóra, szorty okrutnie obnażają kościste kolana.

- Ty, ty nie jesteś Cór! Córy! - Kip próbuje krzyknąć, lecz łamie mu się głos.

- Jestem Córy, mój kochany. A raczej byłam. Vovoka nie chybił - przez jakiś czas pozwoliłam ci w to wierzyć - nabiera powietrza w płuca, dysząc ciężko. - Starzeję się bardzo szybko, o ile mogę to ocenić, teraz w tempie roku czy dwóch na godzinę. Powiedział, że będę miała czas się pożegnać. To oznacza, Kip, że jutro umrę ze starości.

- Bram!

Ten krzyk wyrwa się wprost z serca Kipa, lecz Baram nie robi sobie nadziei. Podchodzi do niej, a w tej samej chwili dołącza do nich Siri.

Córy odpędza ich, gestem słabym, lecz zdecydowanym.

- Proszę - wykrztusza z siebie. - Wiem wystarczająco dobrze, co się ze mną dzieje, kochany Bramie. A może sądzisz, że potrafisz odwrócić przebieg tego procesu?

Odzywa się Siri.

- Znam opisy dwóch podobnych przypadków, myr Córy.

Sprowadza to się do uszkodzenia prawidłowego funkcjonowania gruczołów przez selektywny rezonans na poziomie atomowym.

W jednym z nich porażeniu uległa głównie przysadka i, owszem, byliśmy w stanie odwrócić zmiany dzięki terapii hormonalnej.

- To wystarczy - woła Kip. - Zróbcie to! Sprowadźcie wszystko, co niezbędne! Scooter, możemy użyć twojego nadajnika?

- A drugi przypadek? - pyta cicho Córy.

- Tam obumarciu uległy całe układy gruczołowe i niewiele mogliśmy poradzić. Teraz potrzebujemy próbki krwi, potem nie będziemy cię męczyć przez jakiś czas. Leki mogą sprowadzić kursem alarmowym.

- Sprowadź je - rozkazuje Kip.

- No, dobrze. - Córy ponownie wydaje z siebie zgrzytliwy śmiech. - Ale nie sądzę, by ten obcy, V-Vovoka - z trudem przypomina sobie jego imię - zawiódł w tym wypadku.

- Nie poddawaj się rozpacz, Cór. Wyciągniemy cię z tego

- mówi napiętym głosem Kip, nie patrząc na nią.

- Dzięki losowi, że tu jesteś, Siri - mówi Baram. - Ja pobiorę próbkę, a ty idź połącz się z Bazą.

Dayan stał na boku, przysłuchując się w milczeniu. Teraz, kiedy rozlega się odgłos powracającego pojazdu, daje Siri znak głową. Lekarka idzie za nim. Baram słyszy Zanneza, zaganiającego swą wchodzącą do salonu grupkę.

- Poczekajcie tu, dzieciaki. - Zannez wychyla się na taras i szybko kiwa głową w stronę Córy. - Będziemy w naszych pokojach, gdyby ktoś nas potrzebował. - Taktownie znika.

- Ja także chciałabym wrócić teraz do siebie, Bram - mówi Córy. - Tam możesz pobrać próbkę krwi. Kip, kochany, jeżeli nie chcesz patrzeć na mnie albo być ze mną, całkowicie to rozumiem.

- To tylko chwilowe - tłumaczy Kip. - Wiem, że moja dziewczyna czeka na mnie.

- Ona czeka. - I podbródek Córy, podbródek starej kobiety drży, łatwe łzy starego wieku napływają do jej opuchniętych oczu. Zastania się woalką, po czym Kip pomaga jej wstać. Jego dotyk jest niepewny, jak gdyby zmuszał się do dotknięcia czegoś lodowatego. Podczas gdy Córy na powrót zastania twarz, Baram dostrzega w przelocie znajomy pieprzyk na jej karku, na mgnienie oka powraca młoda, pełna życia Córy z dnia wczorajszego. W następnej chwili znika, kryjąc się pod postacią siwowłosej staruchy, będącej terazniejszą Córy. Nagle odkrywa, że jest bliski płaczu.



- Och, poczekaj. - Baram przypomina sobie o insygniach urzędu. - Córy, powinnaś wziąć to z powrotem.

- Oddaj to memu zastępcy. - Córy stara się ze wszystkich sił stać prosto i iść pewnym krokiem. - Powiedz Dayanowi, żeby poinformował Bazę i dołączył opinię Siri, obie jej opinie.

Kiedy medyczna krzątanka dobiega końca, Baram wyszukuje Pao i zadaje mu krótkie pytanie. Potem udaje się do Dayana, który dokonał już pierwszych oględzin zabitych.

- Kapitanie, zamierzam zniszczyć pewien dowód rzeczowy.

A raczej winienem powiedzieć, że zamierzam tego spróbować.

Mam na myśli automatyczną strzykawkę, tego demonicznego, tak zwanego skorpiona, którego Ochter umieścił na szyi myr Linnix.

Uważam, że powinien pan wpierw go obejrzeć.

- Tak? A dlaczego zamierzasz go zniszczyć, Baram? - Dayan idzie wraz z nim w stronę laboratorium. Po drodze mijają księcia Pao.

- Mam wrażenie, że tego nie jestem w stanie w pełni panu wytłumaczyć, dopóki nie upłynie więcej czasu i nie znajdziemy się bezpiecznie z dala od tej planety. W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że ten przedmiot już raz niemalże pozbawił ją życia i że wydaje się istnieć pewna więź - nienaturalna więź - między nim a Linnie,

która nasuwa mi wniosek, że w grę wchodzi coś więcej niż tylko

fTTT

zwykłe oddziaływanie natury fizycznej. Takie rzeczy są możliwe.

Może mnie pan nazwać przewrażliwionym i wymierzyć dowolną

karę, lecz wszystko sprowadza się do jednego - zamierzam roz-

proszyc tę rzecz na pojedyncze atomy, i to zaraz, o ile to możliwe.

Dayan zastanawia się. Szanuje Barama, ale takim go jeszcze nigdy nie widział. "Linnie?" Najwyraźniej w grę wchodzi więcej niż tylko zwykła troska o ludzkie życie.

Baram zatrzaskuje drzwi laboratorium - zacinają się, jak zwykle, choć wciąż zamierza zheblować wszystkie nierówności - i podchodzi do sejfu.

- To ten przedmiot. - Kładzie go na krawędzi laboratoryjnej umywalki. - Teraz zawołam młodego Pao. Pao uważa, że w broni .Vovoki pozostał jeszcze wystarczający ładunek, by zniszczyć niewielki przedmiot z bliskiej odległości.

Skorpion w całej swej okazałości jest jeszcze bardziej odrażający, złowieszcze potrójne szpony usmarowane są skrzepłą krwią.

- Okropieństwo. Nie, nie sądzę, by komisja dochodzeniowa przejęła się jego brakiem.

- Ach, zapomniałem panu powiedzieć, zrobiłem parę zdjęć.

Zgadza się pan, że nie ma sensu zdejmować odcisków palców ani robić badań na mikrocząstki?

- Zgadzam się.

Baram otwiera drzwi i woła księcia; ustawiają skorpiona na niezbędnym pudle, przed grubą metalową płytą.

- Wszystko gotowe. Obrócę go tak, by przynajmniej pazury uległy zniszczeniu - o cholera!

Ktoś otwiera drzwi od zewnątrz.

- Bardzo przepraszam - mówi Linnix. - Wiem, że nie

chcesz, żebym tu wchodziła, ale myr Córy posłała mnie...

- Wyjdź! - wrzeszczy Baram, rzucając się w jej stronę. -

Nawet jeśli przysyłają cię tu sami bogowie - wyjdź! - Rozlega się nikły brzęk.

Przeganiając ją pospiesznie, Baram nie spostrzega, że skorpion zaczepił się mu o rękaw. Kiedy pojawia się na ziemi przy drzwiach, doktor niemalże krzyczy.

Linnix, wystraszona, przyciąga do siebie drzwi. Baram zatrzaskuje je energicznie i oddycha z ulgą - a potem stwierdza, że skorpion zniknął. Jakimś cudem jego stopa albo krawędź drzwi musiała go przemieścić. Rozgląda się dookoła siebie.

Nic.

Minim później z przerażeniem uświadamia sobie, że musiał wykopać go na zewnątrz razem z Linnix, kiedy naparł na drzwi, by je zamknąć.

- Och, nie - nie - nie!

- Linnie! Linnie! - krzyczy, szarpiąc się z opornymi drzwiami.

Linnix stoi jakieś dwa metry od niego, z zaciekawieniem pochylając się nad potwornym urządzeniem. Jej dłoń wysuwa się...

- Nie! Nie, kochanie! Nie! - Baramowi pozostaje jedynie rzucić się całym ciałem na haczyk. Zaskoczona Linnix odskakuje niezgrabnie w tył, wytrącona z równowagi impetem, z jakim uderzają w nią jego ramiona i ciało.

I najstraszliwszy ból, jakiego kiedykolwiek doświadczył, przesywa go, promieniując od zagłębionych w jego piersi szponów.

- Aaaiee! Aaa. - Wije się i wierzga w boleściach; przez zasłonę cierpienia, niczym przez mgłę stwierdza ze zgrozą, że nie jest w stanie nabrać powietrza w płuca.

Chwilę - albo rok - później udaje mu się zapanować nad sobą, choć jest to nader nikła kontrola. Ktoś pochyla się nad nim. Ból nie ustępuje.

- Idź - jęczycy - idź do mojego... zamrażarka... w laboratorium... butelka... najwyższa półka... etykieta... aaa-aaa! Och, wybacz mi, etykieta...

- Tak, butelka na najwyższej półce w zamrażarce. Chcesz morfiny? - To Siri.

- Nie! Nie morfiny. Al-alg - nie jest w stanie tego wymówić. - Butelka, etykieta "Wyrra". W-y-r-r-a. Postaraj się, szybko. Proszę, aaii-oo...

Wieczność później butelka majaczy mu przed oczyma. Obawia się, że przez ten czas wył i jęczał bezwstydnie. Jak Linnie mogła to znieść? Butelka, "Wyrra", rozmazane daty.

- Tak! Wylej na wacik, posmaruj skąpo - wyrzuca z siebie między krzykami.

Kolejna wieczność.

A potem przez jego ciało przepływa uczucie najbardziej błogiej ulgi, jakiej kiedykolwiek doświadczył, najprawdziwsza, najczystsza nieobecność bólu. Słodki, znajomy zapach łechtka mu nozdrza. Zamyka usta, mruga, dostrzega, że Siri obnażyła mu pierś i przyciska do niej gazę. Nie może przestać się uśmiechać, szcze-

rzyć radośnie zęby. Cudowna Siri. Cudowny świat.

Rozgląda się po całkiem okazałym, zgromadzonym wokół niego tłumie, sami cudowni ludzie. Gdzieś wśród nich jest Dayan.

- Mam dla was niespodziankę - zwraca się do Siri i Dayana.

- Dwie niespodzianki. Ta substancja - na haczykach - to algotoksyna. Al-go-tok-sy-na - powtarza tak, jak kiedyś Ochter. -

Zsyntetyzowano ją ponownie w Mrocznych Światach.

- Algot. - Siri milknie, najwyraźniej przypomniawszy sobie wszystko. - Och, nie.

- Tak. I wiecie, że zadanego przez nią bólu nie sposób uśmierzyć. Lecz został uśmierzony. Wciąż jeszcze czuję się wspaniale, choć bardzo słabo.

- Raz już widziałem, jak to się stało. Linnie. - Odszukuje ją wzrokiem; siedzi na podłodze z drugiej jego strony, trzymając go za rękę. - Linnie otrzymała potężną dawkę tego specyfiku. Dwukrotnie większą od śmiertelnej, prawie. Lecz ona - ty, kochanie, ty przeto- czyłaś się przez kurtkę, którą miał na sobie Yule, kiedy drapał plecy Dameii. Bił od niej ten słodki zapach. To ich nektar, wydzieliny ich gruczołów naplecznych. I on uśmierzył twój ból, Linnie. Uśmierzył ból wywołany przez algotoksynę. Rozumiesz, co to oznacza, Siri?

- Tak - odpowiada bardzo, bardzo poważnym tonem.

- Dayan, może ty tego nie rozumiesz. Ona ci wytłumaczy.

- Zebrałem ten nektar podczas interwencji lekarskich, kiedy miałem do czynienia z bólem. Wyrra i inni pozwalali mi ocierać swe plecy. Mieliśmy nadzieję, że jeśli zbierzemy dostateczną ilość,

by go zanalizować i zsyntetyzować, na zawsze położy to kres zagrożeniu - koszmarowi "Gwiazdnych łez".

- Co się tyczy algotoksyny, zamierzałem przeprowadzić stosowne eksperymenty - wygląda na to, że już je przeprowadziłem.

Bardzo niezdarnie. Przepraszam wszystkich. - Ogarnia go nagła senność, lecz pamięta, że nie wolno mu zasnąć, i z pomocą Siri udaje mu się usiąść.

- Muszę zniszczyć ten przedmiot! Co z nim zrobiliście? -

Rozgląda się gwałtownie dookoła, trzymając Linnix za ramię.

- Spokojna głowa, Baramji. - To głos Dayana. - Już zniszczony. Ten młody człowiek i ja wprowadziliśmy w życie twój plan; obróciliśmy go w parę, przestał istnieć. Nie wyrządzi już więcej szkody.

Gdy Baram pozwala sobie na odpinięcie w nieświadomość, jego przedostatnią myślą jest obawa, że za wiele dziesięcioleci zmrożona gruda cierpliwie połączonych na powrót molekuł spłynie z głębi kosmosu w atmosferę jakiejś planety, by na swej drodze napotkać Linnix.

Na to się nic nie poradzi; zrobili, co było w ich mocy.

Ostatnia myśl dotyczy oczu Linnie, które mają teraz odmienny wyraz. Czystszy. Jak przez watę, zapadając w sen, słyszy jej słowa:

- Doktorze Bram, myślę, myślę, że sobie...

Godzinę później nie śpi już i stoi w pokoju Córy, wraz z Kipem i Dayanem, wezwany na jej życzenie. Światło poranka mieni się nieskazitelną, złocistą zielenią. Książkę Pao zatrzymuje się przy drzwiach; gdy Córy słyszy jego głos, prosi, by i on wszedł do środ-

ka. Leży na łóżku, kompletnie ubrana i zawinięta w chustę. Przez mglistą tkaninę wyraźnie widać jedynie jej srebrne włosy.

- Chcę, by odbyło się to profesjonalnie, nie jak emocjonalna orgia - odzywa się wyraźnie i chichocze niemalże swym dawnym głosem. - Bram, dzięki za zastrzyk pobudzający. Pomaga. Myślę, że etap łoż przesłama ostatniej nocy i mam już to za sobą. Można sobie z tym poradzić, wiecie. Teraz muszę podjąć parę decyzji, którymi w przeciwnym razie wy musielibyście się zająć.

Kip porusza się i odzywa gwałtownie:

- Przestań, Cór! Odpoczywaj teraz, na miłość boską!  
- Daj mi mówić, Kip, kochanie. Proszę; wiem, że wierzysz w odwracalność tego procesu - ale jeśli tak się nie stanie, nie chcę zostawić żadnych nie załatwionych spraw.

Kip chrząka, splata ramiona i odwraca wzrok.

- Kwestia Vovoki. Rozmawialiśmy ze sobą, wiesz - mówi do kamiennej twarzy Kipa - po tym jak zostaliście ogłuszeni. Myślę, że był szlachetną, honorową istotą, ostatnim przedstawicielem wspaniałej rasy. U swego tragicznego kresu starał się wykazać zrozumienie. Jego ciało nie powinno... Saul, kapitanie Dayan, zobowiązuję cię do dopilnowania tego, by jego ciało pochowane zostało z honorem. Jeżeli w jego rzeczach nie znajdziemy innych instrukcji, sugerowałabym księżyc Damiema, gdzie będzie najbliższe miejsce, w którym znajdował się niegdyś jego świat. I proszę - na tym mi bardzo zależy - nie używajcie krótkiej trumny ze względu na jego... jego stan. Zakładam, że myr Zannez dysponuje obrazami

Vovoki w jego prawdziwej postaci. Zwróćcie się do niego o parę dobrych zdjęć do wykorzystania na miejscu pochówku. Podejmiesz się i tego, Saul?

- Podejmę się. I złożymy jego rzeczy przy nim. Ostatni z rasy
- to okropna myśl. Spotkaliście się z istotą z przeszłości.
- Tak - odpowiada Córy. - Ludzie, którzy usłyszą o gwieździe, mogą zechcieć odwiedzić jego grób.
- Teraz co do mnie. Tak, Kip, proszę cię. Nawet jeśli myślisz, że to wszystko nonsens. Pragnę, by moje ciało... mamy takie możliwości, by umieścić i mnie na tym księżycu? Miło mi myśleć, że spoczywać będę tam, skąd będę miała widok na świat najszczęśliwszych lat mego życia. Och, Kip, proszę. Mój ukochany, co zrobisz ze mną, jeżeli to ja mam słusność albo jeżeli kuracja mnie zabije? Albo jeżeli potknę się, skacząc z radości, i rozbiję sobie głowę? Myślę, że i ta robota spadnie na twoje barki, Saul. Co ty na to?
- Zgadzam się, to da się zrobić. Jeśli będzie trzeba. Blisko czy daleko od Vovoki? W końcu on może okazać się twoim zabójcą, Cór.
- Blisko. Dziwne, ale nie czuję się ofiarą zabójstwa. Czuję, jakby był to tylko koniec tego, co sama zaczęłam jako czternastolatka. To jest dziwne - mówi refleksyjnym tonem. - Żyłam tak intensywnie; gdybyś zapytał mnie o to - wczoraj - byłam zarządcą tutaj, zastępcą na Herricku, brałam udział w wyprawie do Wiru Hundanaro i tak dalej. Całe lata ekscytującej pracy. Lecz dla wszystkich, którzy kiedykolwiek wspomną o mnie, na zawsze zo-



stanę majtkiem z Deneba, który jednym pociągnięciem spustu zabił gwiazdę. Można zrobić w dzieciństwie coś, co zmienia i decyduje o całym twoim życiu. Książę? - Jej głowa obraca się niespokojnie, w końcu spostrzega Pao.

Jest zauważalnie senny, lecz prostuje się i z powagą kiwa głową.

- Tak, myr Córy.

- Jeżeli życzysz sobie słów przepętnionych mądrością przeszłego wieku, powiedziałabym, że wszystko, co robisz w młodości, wszystko, co się wydarza, ma znaczenie.

- I ostatnia rzecz. - Baram dostrzega, że zaczyna się męczyć. Zastrzyk przestaje działać. Ma nadzieję, że nie obciążył za nadto jej uszkodzonego systemu adrenergicznego. Osoba to również umysł, a Córy sobie tego zażyła.

- Zannez. Ustanowiono nagrodę za ostrzeżenia, informacje o przygotowywanych rajdach po "Gwiazdne Łzy". Sama wiem najlepiej, że powinna trafić w ręce Zanneza. Tak. Ostrzegł mnie w sposób jednoznaczny. Byłam zbyt zajęta, by zrobić cokolwiek więcej oprócz wysłuchania go, ale to on miał rację. Jego dane były czysto subiektywnej natury, po prostu rozpoznał w nich ludzi o duszach przestępców, którzy przybyli tutaj celowo, i wiedział, że są tu "Łzy", jego przeczucia sprawdzały się już w przeszłości i ja powinienam była go wysłuchać. Kip, Saul, poruszycie sprawę nagrody. Upewnijcie się, czy trafiła ona do Zanneza? Myślę, że mu się przyda. A zlekceważenie przeze mnie jego słów mogło ich wszystkich kosztować życie.

- Słusznie - przyznaje żwawo Kip. - Stary Zannez będzie

umiał to docenić. Jego zespół się rozpada.

- A teraz jeżeli jednak starzeję się w sposób nieodwracalny, chcę, by wszyscy zajmowali się swymi normalnymi sprawami, tak jakbym starzała się wolniej. Żadnych ponurych min, chodzenia na palcach i szeptania - jasne? I chcę, żebyś podał dziś wieczorem "Lodowe kwiaty". Mam ochotę na odrobinę.

- I na koniec... Kip, chodzi o ciebie. Jeżeli kiedykolwiek będziesz się zastanawiać, czego pragnęłaby Córy - zmusza się do wielkiego wysiłku, jej głos nabiera wyrazistości - pamiętaj, że Córy pragnęłaby, byś był szczęśliwy. Prawdziwie szczęśliwy. To nie jest tylko takie sentymentalne gadanie. Kip, jesteś jednym z tych ludzi, którzy powinni być szczęśliwi, by być sobą. Wtedy najlepiej funkcjonujesz, wtedy jesteś najużyteczniejszy. Bram, Saul, nigdy nie pozwólcie mu unieszczęśliwić się z mojego powodu. Słyszysz, Kip?

Kip wierci się niespokojnie, więc Córy zdobywa się na cichy śmieszek.

- Kochanie, jesteś chodzącą pułapką dla każdej kobiety wyposażonej w parę oczu - pokusa, by cię uszczęśliwić, jest nie do przezwyciężenia. - Usiłuje ponownie się roześmiać, lecz próba kończy się napadem słabego kaszlu.

- Wszystko już wiemy, Cór - odzywa się Baram. - Teraz pora odpocząć.

- I to z nadgodzinami! - dodaje Kip. - Jeżeli chcesz, żebyś był szczęśliwy, przestań już i odpoczywaj, dopóki nie nadejdą

leki.

- Jasne. Już skończyłam. Dziękuję wam wszystkim - opada z powrotem na łóżko. Baram, dotykając jej dłoni w geście pożegnania, słyszy jej szept:

- Ciekawe, czy to możliwe? Nie.

Ma na myśli to, że nie ma żadnej nadziei. Wbrew sobie Baram zgadza, się z nią.

Wraz z Dayanem i Pao opuszczają pokój; w drzwiach mijają Siri.

Teraz ona będzie czuwać, dając Baramowi czas na odrobinę odpoczynku. Ostatniej nocy nikt na Damiemie nie zakosztował prawdziwego snu - z wyjątkiem Starcem, która teraz oparta o parapet w blasku wschodzącego słońca gra na swej małej cytrze.

- Dotarliśmy, dotarliśmy do poranka.

Pao podchodzi do niej.

Rozpoczyna się piękny poranek, oprawiony w nierealne ramy gwiazdznego blasku. Kip wychodzi w ślad za nimi, bez słów, a potem nagle podrywa głowę i z jego gardła dobywa się cichy dźwięk.

Baram patrzy w ślad za nim i widzi młodą brązowo włosą dziewczynę w mundurze, z naładowaną bronią, która przez moment wygląda jak Córy, Córy z przeszłości. To, co z niej zostało, leży teraz za nimi, na jej łóżku. Trudno w to uwierzyć. Kip nadal w to nie wierzy, obawia się Baram. Oby bogowie sprawili, by to on miał rację.

Pół godziny później Baram zdążył już wciągnąć fotel do małego pokoiku Linnix. Jest tak wyczerpany, że nawet nie czuje sen-

ności. Linnix pozornie również nie; jej szeroko otwarte, niewidzące oczy nabierają abstrakcyjnego wyrazu, który mu się nie podoba, zupełnie jakby spoglądała na jakieś prywatne koszmary.

I to zapewne ma teraz miejsce, myśli sobie. Powiedziała mu już, że zaczyna sobie przypominać. Początkowo wydawało się to dobrym zwiastunem, zapowiedzią powrotu do samej siebie, lecz teraz być może na świat przebija się mroczniejsza strona przeszłości.

Jej milczenie, otaczająca ją aura samotności, niepokoją go.

Takie musiało być jej życie - samotność, stoickie tolerowanie wszystkiego, co sprawiało ból. To nie może być dalej. Lecz jak ma się do niej przebić? Dlaczego wycofuje się przed nim niczym obca osoba - ona, która zachowywała się tak dziecinnie i ufnie, skoro opuściły ją jej wspomnienia?

A może to coś głębszego, bardziej złowrogiego - trudność przedostania się z rzeczywistości, która ją zabiła, do tej rzeczywistości życia? Wbrew samemu sobie czuje, jak przeszywa go dreszcz. Naprawdę gołymi rękoma walczył ze śmiercią, przekształcił samą rzeczywistość, by sprowadzić ją tutaj. I przyjął ból skorpiona, by ją zatrzymać; to nie ma żadnego znaczenia, lecz podsuwa mu pewien pomysł.

- Linnie, przyszło mi do głowy, że mamy ze sobą coś wspólnego, coś, czego nie ma nikt inny. Nie jest to nic przyjemnego.

Z wyjątkiem tych biedaków, na których eksperymentował Ochter i jego kompani, jesteśmy pierwszymi ludźmi od pokoleń, którzy wiedzą, co czuje człowiek potraktowany algotoksyną. Oczywiście,

ty oberwałaś znacznie gorzej ode mnie, ale coś przyszło mi do głowy. Moja droga, wiem, że to było okropne - ale, wierzysz mi czy nie, teraz cieszę się, że dzielę to z tobą.

- Och, nie, Bram.

- Tak. Wiesz, że moją jedyną myślą było: jak Linnie mogła to znieść?

- Nie mogłam - odpowiada. - To było straszne.

- Widziałaś mnie. Pamiętasz, jak wrzeszczałem? To jeszcze jeden powód, dla którego jestem zadowolony. Jesteś dumną dziewczyną.

czyną, mogła ci przyjść do głowy jakaś głupia myśl, jaki to niby z ciebie tchórz. Ja również normalnie nie wrzeszczę.

Patrzy na niego, naprawdę teraz już na niego.

- I być zdanym na łaskę tego potwora - rozmyśla. - Bogowie!

Linnix przetyka ślinę.

- Ja, ja powtarzałam sobie, że on nie jest człowiekiem, że ; jestem atakowana przez oszalałego obcego albo dzi-dzkie zwierzę.

- Głos się jej łamie, chowa twarz w dłoniach.

- Och, pragnęłam umrzeć... taki wstyd...

- Linnie, kochana Linnie, spójrz na mnie. - Wyskoczył z fotela i klęka przy niej, delikatnie ciągnąc ją za dłonie. - Udało ci się, teraz jest już po wszystkim, już dobrze.

- Nie! - I tama pęka, powtórnie szlocha w jego ramionach.

Lecz jest to inny szloch, dziki, nieopanowany. - Ale zdołałam to

wyciągnąć, wyciągnęłam, prawda? Wyciągnęłam to? - Płacz cichnie, patrzy teraz na niego z niepokojem, czekając na potwierdzenie.

- Jak najbardziej, moja droga. Wystraszyłaś mnie na śmierć.
- Uśmiecha się na próbę. - Wiedziałem, że nie na darmo nosisz te czerwone włosy.

W odpowiedzi otrzymuje blady uśmiech. Jest tak zadowolony, że nie zauważa w porę niebezpieczeństwa.

- To dziw-dziwne - mówi. - Tak naprawdę człowiek wcale nie pamięta bólu. Pamiętam, co robiłam - krzyk i kon-konwulsje
- ale nie pamiętam odczuć. A ty?
- Też nie. I to dobrze. Zostaw to w spokoju.
- Po... po prostu straciłam przytomność, prawda?

Za późno spostrzega, do czego to prowadzi.

- Tak, straciłaś przytomność. Chwilowe omdlenie wywołane nadciśnieniem i ogólnym wstrząsem organizmu. Każdy by zemdłał.
- A teraz proponuję, żebyśmy zostawili ten temat w spokoju, kochanie.

- Tak, właśnie przypomniałam sobie, jakie to było wspaniałe uczucie, gdy ból ustał, i ten słodki zapach. - Pociąga nosem. -
- I jak próbowałam odepchnąć ciebie albo coś, kiedy powiedziałeś: "Ruszajcie". I objanie się - ktoś mnie ciągnął i objąłem się o coś.
- Ogon mnie boli. - Wybuchają śmiechem, i Baram już myśli, że wszystko jest w porządku, lecz wtedy Linnix marszczy brwi.
- Bram, byliśmy w... to było zawirowanie czasoprzestrzeni, prawda?

- Nie przypominam sobie. - Wykręca się, czując mdłości ze strachu. - Linnie, teraz chcę, żebyś pomyślała o czymś innym. Myśl, myśl o powrocie do służby. Mówię poważnie, kochanie.

Lecz ona mruczy:

- To chyba było zawirowanie. Coś dziwnego. Tak sobie myślę...

- Przestań, Linnie! - krzyczy. Bogowie, czy ona własnymi słowami spowoduje swą śmierć, to przeklęte rude, kochane, głupie stworzenie? - Linnix! Przestań, rób, co ci mówię, natychmiast.

- Zmusza się do ściszenia głosu. - Jak nazywała się ostatnia planeta, na której się zatrzymaliście? Powiedz mi.

- Nie zatrzymywaliśmy się. - Jest uparta; ponownie spogląda do wewnątrz. Nie jest w stanie przebić się do niej.

- Linnie, wiem, że trudno powstrzymać się od myślenia, lecz skoro jesteś oficerem, musisz wykazywać się odpowiednią samodyscypliną, by wypełniać swe obowiązki. Potrafisz to zrobić? Powtarzam ci, to konieczne, i nie mogę powiedzieć ci, dlaczego.

Później zrozumiesz. Na razie, jeżeli nasze życie ma dla ciebie jakieś znaczenie, odpędź od siebie myśli o tym, o czym mówiłaś.

I tak trzymaj, dopóki nie powiem ci, że bezpiecznie jest do tego powrócić. Słyszysz? Słyszysz mnie, Linnie kochana?

Linnix spogląda na niego zamglonym wzrokiem.

Przerażenie wywołane tym niebezpieczeństwem - zupełnie jakby jakiś osobisty wróg starał się powrócić i ją zabić, tym razem wykorzystując jej własny umysł. To nie jest tylko sama Linnie,

myśli. Potęga tamtej drugiej rzeczywistości napiera na nią, naciska na nią, by przypomniawsobie, że nie żyje. I by umarła ponownie, na dobre, w jego ramionach. Dygocze, przeganiając wspomnienie tego, jak trzymał ją już tak uprzednio. Być może sama czynność obejmowania jej w ten sposób jest zbyt podobna, zbyt niebezpieczna. Zmusza się do wypuszczenia jej z ramion i siada na swoim dawnym miejscu. Tak. Lepiej.

- Pomogę ci. Jak nazywał się kapitan Moomów na twoim ostatnim statku?

- Nie było kapitana.

- Żadnego kapitana? Kochanie, jak to możliwe?

Z niechęcią wyjaśnia:

- Myślę, że ten, który przegra, musi zostać kapitanem.

- Ten, który przegra? O co ci chodzi? Powiedz mi, Linnie.

- Słuchałby, jak recytuje rozkład lotów, gdyby tylko odciągnęło to jej myśli od tamtego okropnego kwadransa.

Zmuszają do opowiedzenia wszystkiego, co wie o "Grze w życie" Moomów: mówi sztywnymi zdaniami, dopiero pod koniec trochę się odpręża. Gdy temat wydaje się wyczerpany, uświadamia sobie, że również i ich można scharakteryzować tym słowem - w rzeczy samej są ogłupiali ze zmęczenia. Podsuwa fotel bliżej i opiera rękę na poduszce przy jej ognistej głowie, ostrożnie uśmiecha się do niej. Nieoczekiwanie Linnie odpowiada mu szerokim uśmiechem, na powrót dawna Linnix. Czuje ogarniające go niewypowiedziane ciepło.



- Och, doktorze Bram. Jestem taką... wiem, że zrobiłeś tak dużo, a ja, ja myślę, że cię kocham.

Czy to wdzięczność? A może tato? Jest zbyt zmęczony, by taktownie dobierać słowa.

- A co z twoim ojcem, twoimi poszukiwaniami?

- Dziwne. - Uśmiecha się ze smutkiem. Jakoś przesunęli się tak, że teraz leży mniej więcej obok niej na łóżku.

- Co jest dziwne, kochana dziewczyno?

- Pamiętam to wszystko. Naprawdę - Beneborn, spermowarium, Lintza-Holsteada. Naprawdę byłeś na Benebornie czy tylko mi się to przyśniło?

Bierze głęboki oddech. Jak wiele od tego zależy? Jest jednak zbyt zmęczony, by się zastanawiać; zwycięża prawda.

- Nie.

Linnix patrzy na niego spod zmrużonych powiek, potem chwyta go za obie dłonie.

- Powtórz to?

- Co? Aha. Nie, nigdy tam nie byłem. Jestem pewien.

Kiwa głową, puszczając jego ręce.

- Och, Bram, kiedy powiedziałeś to wszystko, już zaczynałam myśleć, że mówisz serio - i wtedy spostrzegłam twoje palce!

- Moje palce? Co z nimi?

- Skrzyżowane.

- Och, och. bogowie, gdyby Ochter...

- Ale tak się nie stało. - Powieki opadają jej, jakby były

z ołowiu.

- Mówiłaś coś o Lintzu-Holsteinie.
- Jak opowieść przy ognisku - mówi sennym głosem. -

Jak gdyby przydarzyła się komuś innemu.

Energia, z jaką wykrzykuje "kochanie, och, kochanie!", budzi ją na moment.

- W takim razie pojedziesz ze mną...
- Szukać - kończy za nią i w ostatniej chwili powstrzymuje się przed zaryciem nosem w jej szyję.

Gdy podnosi się z wysiłkiem, jej oddech ulega zmianie; teraz i ona śpi. Baram pada na fotel i nic więcej do niego nie dociera.

Nie wiadomo, ile czasu później budzi się w koszmarze paraplegii. Linnix śpi spokojnie. Jedną z jego nóg jest zeszywniała, odzywa się stara rana barku. Fotel dorobił się dziwacznych wybrzuszeń i potwornych zakrzywień; Baram ma odciski na całym ciele.

Kaffy, myśli sobie. Mały kubek gorącej kaffy. Pójdzie go sobie zaparzyć.

Lecz kiedy wstaje, zatrzymuje się, by popatrzeć na leżącą w łóżku dziewczynę. Teraz jego dziewczynę. Jego Linnie, śpiącą jak kamień. Jest atrakcyjna we śnie, różowa i ciepła w obłoku swych cudownych włosów. Bandaż na jej szyi jest nietknięty.

Teraz jest już całkiem pewien, że będzie miał wiele nocy i dni, by tak ją podziwiać. I opiekować się nią; przez jakiś czas nie wolno zostawiać jej samej. Ma do wykorzystania długi, zaległy urlop, wy-

jechać może choćby jutro. Ale dokąd? Czekają na niego badania, nektar Dameii i jego cudowne działanie, neutralizujące ból algotoksyny. Może jedna ze szkół na Hyede'ach odda mu do dyspozycji laboratorium. Ale to delikatna sprawa; będzie musiał solidnie się zabezpieczyć. Plotki rozchodzą się niczym mrówki faraona. To wyjście nie jest idealne. Rozciera zeszywniały bark, zastanawiając się intensywnie.

Kaffy.

Pochyla się i muska wargami jej słodkie, pachnące snem usta, a potem po omacku wychodzi na dwór, gdzie wita go południowy blask słońca Damiema. Wdzięczny za brak widowni przedostaje się do swych drzwi, oznaczonych czerwonym krzyżem.

W szpitaliku wyczuwa się atmosferę krzątania - zgadza się, Siri porządnie się tu napracowała. Drży na myśl o tym, co mogła odkryć. Ale na to będzie czas później.

Parząc kaffy, wyobraża sobie Linnix w zbutwiałych, lecz okazałych szatach weselnych jego domu, stającą się apem Bye. Kiedy zabierze ją na Strzaskany Księżyc, podczas jednej ze swych pospiesznych, rzadkich wizyt. Opowiedział jej już trochę o swej rodzinnej planecie.

Na Strzaskanym Księżycu nie jest już doktorem Baramjim, ksenologiem, lecz apem z Bye, piątym Balthasarem, dziewiątym Baramjim, nominalnym właścicielem rozległych posiadłości klanu Bye.

Jak cały Strzaskany Księżyc, Bye bogate jest jedynie tradycją

i efektownie dzikim krajobrazem, łagodnym jedynie porozrzucanymi z rzadka dolinami, w których na wpół dzicy ludzie jego klanu hodują terrańskie owce-hybrydy. Głównym towarem eksportowym, oprócz unikatowej wełny, są nieokrzesani młodzi ludzie, którzy pragną robić coś więcej, niż tylko zasiadać w nieogrzewanych zamkach, rozstrzygając spory pospólstwa i planując niekończące się turnieje, festyny i igrzyska, które mniej więcej zastąpiły wojny klanów. Na szczęście jeden z jego kuzynów z radością powitał sposobność zasiadania na tronie Bye, podczas gdy Baram pracuje w Galaktyce. Jego nieliczne odwiedziny w domu stanowią okazję do nie kończących się feudalnych ceremonii. Linnie poradzi sobie z tym - i będzie z niej wspinała apa. Uśmiecha się na wspomnienie jej rudych włosów.

Kaffy jest gotowa - lecz w powietrzu daje się wyczuć nikły zapach kłopotów, płynący zza drzwi pokoju markizy. Och, nie! Ale lepiej będzie, jeżeli to sprawdzi. Drżącą dłońią odstawia kaffy po pierwszym tyku i otwiera drzwi, łączące szpitalik z jej kwaterą. Jej łóżko jest puste, nie zasłane i zimne w dotyku. Ślad koronkowej pościeli wskazuje kierunek, w którym wywędrowała dama. Wiedzie ku stojącej w rogu złotej kołysce i jej chłodnej zawartości - bogowie!

Podchodzi do niego.

Wita go widok, którego się obawiał. Przy ciele Łomy, z palcem w ustach, spoczywa dama Pardalianches.

- Markizo! Damo, damo Pardie!

Mimo potężnego ładunku środków usypiających w swym or-

ganizmie, w reakcji na jego okrzyki dama mruga kilkakrotnie.

- 'Oma - mamrocze przez zaciśnięte wargi, usiłując się uśmiechnąć. - 'Oma. - Potem zaś coś, co brzmi jak "nareszcie".

Na martwej twarzy Łomy również maluje się zakrzepły uśmiech - cóż za okropny widok.

Baram przygląda się uważniej; źrenice damy są nierównomiernie rozszerzone. To prawdziwy kłopot. Powodowany odruchem pochyla się, by sprawdzić ustawienie kontrolki na złotych siatkach.

Po pobieżnej kontroli raz jeszcze zaczyna przeklinać swą niedbałość. Powinien był zedrzeć tę siatkę z trupa, a również i z damy.

Jakimś cudem zdołała podkręcić czułość urządzenia. I nie wiadomo, jak długo leżała na łóżku, "odbierając" sygnały od martwego, rozkładającego się mózgu.

Odbierając śmierć za pośrednictwem tej siatki.

Palcami, niezdarnymi ze zmęczenia, skręca gałki w pozycje zerowe i, najłagodniej jak tylko potrafi, walcząc z gwałtownym podrygiwaniem damy, wyszukuje w jej włosach złotą siatkę i ściąga ją z jej głowy. W trakcie tych manipulacji dama przetacza się na jego ręce, cały czas ssąc palec, i zasypia, zanim udaje się mu uwolnić go.

Co począć? Nie może ich tak zostawić, żywej i martwej, porażonych w bezruchu. Czy to nie ma końca? Wychodzi pod arkadę, a stamtąd do salonu.

Dwóch ludzi Dayana porządkuje pomieszczenie, sam zaś Dayan mozoli się nad raportem przy bocznym stoliku.

Baram wyjaśnia mu naturę swego problemu.

- Na Komecie jest przedział-chłodnia - odpowiada Dayan, zabraliśmy też worki na ciała. Jordan może zaraz zabrać martwą kobietę na statek. To drugie biedne stworzenie na razie możesz zostawić tam, gdzie jest; poproszę Siri, żeby zaniosiła jej świeżą pościel. A ty wracaj do łóżka, Baram.

- Moja wina, to moja wina - mamrocze Baram.

- Zamknij się, idź spać i zapomnij o tym - ucina Saul Dayan. - Ze zmęczenia na mózg ci padło.

Jego dobrodusznym gadaniną wywiera pożądaną wpływ na Barama. Może rzeczywiście podchodzi do tego nieco nieracjonalnie.

Jak sam powtarzał tak wielu studentom, nikt nie jest w stanie zrobić wszystkiego dla wszystkich, wszędzie, zawsze.

Po drodze zabiera swoją kaffę i wlecze się z powrotem na fotel w pokoju Linnie. Jaka szkoda, że to łóżko nie jest szersze.

Myśli o swoim łóżku i o tym, że skorpion został nareszcie zniszczony. Myśli racjonalnie, powtarza sobie. Dziewczyna śpi jak kamień. Pozwala sobie na luksus muśnięcia wargami policzka Linnie, a potem odwraca się, by wrócić do siebie i położyć się do łóżka.

Gdy wychodzi z pokoju, jego spojrzenie wędruje ku kwaterze Ochtera, za sąsiednimi drzwiami. Ohydny potwór, ten Ochter; jego upiorny koniec nie umniejsza nienawiści Barama. Ten numer z zakładnikiem i skorpionem musiał być jego planem awaryjnym, przygotowanym na wypadek, gdyby nie powiódł się podstęp z zatrutym

winem. Ale jeden zakładnik by nie wystarczył, by podporządkować sobie wszystkich, gdyby Vovoka ich nie ogłuszył. Ochter musiał planować zawładnięcie całą grupą. Jak? Nie sposób powiedzieć. Lecz może, za ledwie być może - w jego bagażu jest więcej skorpionów? To tak niedaleko, tak blisko, a ktoś będzie przetrząsał te torby.

Nawet tego nie zauważając, Baram odwraca się i sztywnymi rękoma chwyta matę, koc, poduszki.

Postępuj rozsądnie: stawka jest zbyt wielka.

Z powrotem w pokoju Linnix opuszcza oparcie fotela i rozkłada matę. Naprawdę całkiem przyzwoita prycza. Raz jeszcze całuje czoło Linnie, pada na fotel i z ulgą zapada w otchłań nieświadomości.

Dwie godziny później, gdy ludzie z Damiema śpią jeszcze, przesyłka z hormonami wdziera się z piskiem w górne warstwy atmosfery i kierowana sygnałami z Komety ląduje na planecie.

A godzinę później Siri, kończąc analizy próbek krwi Córy w maleńkim laboratorium Barama, stwierdza, że wszelkie próby terapii są bezskuteczne. Broń Vovoki okazała się wyrafinowana i zabójcza; w ciele jego ofiary brakuje całych kompleksów gruczołów, zaszły też inne zmiany, których nie jest w stanie określić.

Mała przemowa Córy była koniec końców niezbędna. Być może ujrzy wschodzące jutro słońce Damiema, lecz z całą pewnością nie ujrzy jego zachodu.

XXI

Pieśń Gwiazdy

Gdy długie popołudnie Damiema odbija się błękitnym i złocistym migotaniem w jeziorze, Saul Dayan, skryty w chłodnym, świeżo wysprzątanym salonie motelu, kończy swój raport. Ma formę pisemną; nie ufa wokoderowi i temu, jak wydruk z maszyny interpretuje jego akcent. Poza tym lubi czuć pod palcami namacalną realność dokumentu.

Od dłuższej chwili uświadamia sobie czyjąś delikatną obecność w pomieszczeniu. Teraz podnosi wzrok i spostrzega, że mała srebrnowłosa dziewczyna, którą poznał jako Starcem, opiera się o bar, obserwując go. Ach, tak, to ona była nieprzytomna przez cały czas. I jeszcze piękniejsza od swej miotającej noże przyjaciółki.

- Cześć. - Uśmiecha się.

- Proszę pana. - Ma łagodny, czysty głos. - O ile panu nie przeszkadza, czy mógłby mi pan powiedzieć - to znaczy wszystko przespałam. Miałam tylko złe sny. - Jej ciałem wstrząsa ledwie zauważalny dreszcz. - Wpierw ten obcy nas ogłuszył, a potem doktor B. musiał mnie uśpić. Wytłumaczyli mi to - ale wciąż nie całkiem rozumiem. Co ci ludzie zamierzali z nami zrobić? To znaczy, dlaczego ten typ Ochter nie zabił nas, skoro miał ku temu sposobność, jeżeli zamierzał to zrobić? To znaczy nie żałuję, że tego nie zrobił, ale nie rozumiem.

- Cóż... - Dayan szanuje jej potrzebę jasnego przedstawienia sprawy. Za zasłoną tego ekstrawaganckiego wyglądu kryje się ludzki umysł. - Odpowiedź jest odrobinę makabryczna, myr Starcem.

- Nie szkodzi. - Dziecięca twarz maskuje przerażającą doj-



rzałość wyniesioną z Gridworldu.

- Hmm. Cóż, widzisz, on planował wysadzić wszystko w powietrze. Przeciążyć podziemną baterię energetyczną. Wygląda na to, że Hfner interesował się wyburzaniem budynków, traktując to jako hobby - znaleźliśmy wśród jego taśm podręczniki obsługi baterii energetycznych. Tym sposobem Ochter miał nadzieję wywinąć się sianem; miał nadzieję, że wybuch spowoduje takie zamieszanie, że nikomu nie będzie brakowało paru ciał. Zapewne by mu się udało, jako że tylko jednego nie można byłoby się doliczyć. Ochter powiedział, że zamierzał uziemić swoich pomocników, skoro tylko wykonaliby swoje zadanie.

- Rozumiem, ale nadal nie rozumiem...

- Dlaczego nie zabił was na miejscu? Cóż, wiedział, że będzie miało miejsce dochodzenie. I wyglądałoby to odrobinę podejrzanie, gdyby odkryto, że ciała ofiar nafaszerowane zostały chemikaliami, a do tego w chwili eksplozji były martwe od mniej więcej jednego dnia.

- Chciał, żebyśmy zachowali świeżość. - Kiwa głową usatysfakcjonowana, a potem mimowolnie dygocze. - Ojej, a doktor Baram i pozostali uratowali nas wszystkich, podczas gdy ja tylko spałam.

- Nic lepszego nie mogłabyś zrobić - odpowiada burkliwie Dayan.

Podczas ich rozmowy po schodach zbiega drobna postać księcia Pao, rozcierającego zaspane oczy. Kłania się Dayanowi i podcho-

dzi do Starcem, ujmując ją za rękę i całuje lekko, ku rozbawieniu Dayana. Kip opowiedział mu o oddaniu chłopca. Miły uśmiech ma ten chłopak, myśli sobie, wyczuwając unoszący się w powietrzu zapach niewątpliwie bardzo drogiej wody kolońskiej. Trójpióra czapka Pao zatknięta jest pod ramieniem chłopca. Niczego sobie mały dandys.

- Moja droga, tak mi przykro, że zostawiłem cię samą na tak długo.

- Nic się nie stało. Chcesz soku? - Podchodzi do lodówki za barkiem.

- To dla niej dobra praktyka - mówi do Dayana Pao konfidencyjnym tonem. - Niewiele miała dotąd do czynienia z samotnością. Na Pavo nie będę mógł poświęcać jej tyle czasu, ile bym chciał.

To stwierdzenie brzmi poważnie w ustach przyszłego monarchy Pavo.

- Planujesz zabrać ją z, hmm, Gridworldu?

- Tak. Uważam, że już nadeszła odpowiednia pora. Dziękuję, myr Star. - Opróżnia szklankę jednym łykiem.

- Przyniosę więcej. A może parę sanichy? Parę z nich wyglądają na serowe.

- Świetnie! - Pao przysiadła się do stolika Dayana, nagle zmienia się w wygłodniałego chłopca. - Tak - mówi do Dayana, - teraz nabrała już wystarczającego doświadczenia. Na Pavo zwyczajowo wymaga się od młodych dam kompletnego szkolenia

w dziedzinie seksu, zanim wkroczą w radosny związek miłości i małżeństwa. Od młodych mężczyzn oczywiście też. Star zaś powinna pójść do szkoły, by otrzymać odpowiednie wykształcenie. Włącznie z muzyką - och, to wygląda wspaniale. - Przerywa, otwierając olbrzymiego sanicha, którego Star przed nim położyła. Między kęsami tłumaczy Dayanowi - amatorskie utwory myr Star są całkiem urocze, lecz na Pavo nie można dać sobie długo rady bez szkolenia - wszystko to już omawialiśmy, myr Star.

- Tak - przyznaje poważnym tonem. - Bardzo bym tego pragnęła. - Pochyla głowę w zamyśleniu, a potem nagle zasypuje Pao gradem pytań. - Naprawdę zamierzasz to zrobić? To znaczy żarty to fajna rzecz, ale ja... A Zanny mówi... - Jej wielkie oczy przypominają dzikie zwierzątko, widać w nich niepewność, komu powinna zaufać.

Chłopiec posyła Dayanowi dorosłe - albo matczyne - spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć: "Czyż nie jest prawdziwym skarbem?" Potem bierze ją za rękę.

- Czy sądziłaś, że żartuję, moja Star? Zapewniam cię, że tak nie jest. A, z całym szacunkiem dla myr Zanneza, w kwestiach dotyczących Pavo i mnie, niewiele się orientuje. Sugeruję, byś słuchała mnie, od tej pory. Mówię naprawdę, naprawdę poważnie.

- Och. - Jej oczy zasnuwają się mgiełką, wilgotnieją. Potem pochyla głowę i mówi bardzo cicho: - Ale przestaniesz, kiedy poznasz me prawdziwe imię. Jestem Sharon. Albo Sharone.

- Och, wiem to wszystko - stwierdza beztrosko Pao, na powrót

przemieniony w Superchłopaka. - Sharon Roebuck, mówiąc dokładnie. Gdy nasza Sekcja Specjalna Wywiadu ujrzała, że interesuję się osobą z APK, sprawdzono twoją przeszłość. Bardzo dokładnie. Udało im się także odszukać matkę Star - wyjaśnia Dayanowi. - Na Pavo uważamy za nieodzowne sprawdzenie, jak starzeje się matka młodej damy. Częściej niż rzadziej daje to pewne wyobrażenie na temat tego, co stanie się z tą młodą damą w przyszłości. Oczywiście nie jest to metoda niezawodna - wgryza się w sanicha - ale Star powinna starzeć się bardzo elegancko, w przychylniejszych warunkach. Star ścisła dłońmi gardło.

- Ale moja matka nie żyje. Zawsze mówiono mi, że ona nie żyje.

Pao przełyka pośpiesznie.

- Zapomniałem, moja kochana. Oczywiście to dla ciebie szok.

- Z zaskakującą łagodnością wyjaśnia: - Myr Roebuck rzeczywiście już nie żyje. Przykro mi, moja Star. Znajdowała się w bardzo ciężkim położeniu, które udało mi się poprawić bez jej wiedzy. Uważamy, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że rodzi dzieci

przeznaczone na handel. Co do twego ojca, nie mamy pewności; zawęziliśmy podejrzenia do trzech kandydatur, wszyscy...

- Dzieci? - przerywa mu Star. - Chcesz powiedzieć, że mam braci i siostry? Och!

- Żadne z nich nie żyje, moja kochana. Och, przepraszam, nie zamierzałem wyjawiać ci tego w ten sposób. - Pao spogląda błagalnie na Dayana, przytłoczonego tym małym dramatem. - Kiedyś musiała się dowiedzieć, a tutaj ma przyjaciół.

- Słusznie - przytakuje Dayan.

Wymowność i powaga chłopaka tak go zwiódły, że nie potrafi uwierzyć, że nie ma do czynienia ze znacznie starszą osobą. Pod wszelkimi względami Pao wygląda jak bowiem normalny, zdrowy chłopiec w wieku lat dziesięciu czy dwunastu, który już niedługo wystrzeli w górę. Głos zaś, którym wypowiada swe dorosłe słowa, nie przeszedł jeszcze mutacji.

- Myr Roebuck mieszkała, hmm, przy kosmoporcie - kontynuuje Pao po następnym kęsie.

Dayan kiwa głową. To automatycznie interpretowane jest jako najgorsza okolica na większości planet.

- A dwoje jej dzieci zginęło wskutek nie kontrolowanego zrzutu paliwa. Potem miał miejsce tragiczny w skutkach wypadek - żadna z regularnych linii - wyjaśnia na użytek Dayana.

Star pojmuje jednak, co ma na myśli.

- Och, Mroczny Świat! - woła.

- Obawiam się, że tak. - Pao starannie odkłada sanicha, by poklepać Star po ramieniu. - Bądź dzielna, moja droga. Wiem, że będziesz dzielna. To niczego nie zmienia. - Uśmiecha się ujmująco i czeka na jej uśmiech, zanim powraca do sanicha. - Spójrz na to z tej strony, moja Star jak powiedzieli ludzie z Sekcji Specjalnej, owe tragedie uchroniły ich przed żalosnym żywotem. - Przerwa na kęs. - Twoje własne życie oszczędzone zostało jedynie za sprawą serii niebywale szczęśliwych przypadków i zapowiedzi twej przyszłej urody.

Tymczasem od strony arkady do salonu wchodzi Zannez, przeciągając się i rozmasowując ramiona; docierają też do niego ostatnie słowa Pao. Kiwa głową w kierunku Dayana, potem kiwa ponownie, jako że to, co mówi Pao, jest prawdą: przypomina sobie tamtą noc na Gridworldzie i uwiązane na linie stworzenie.

- Dzień dobry wszystkim, a może to już wieczór? Bogowie, ale zeszywniałem. Starzeję się. Skąd wzięłaś ten sok, Star?

- Ja przyniosę - ofiaruje się. - Jeszcze parę sanichy, książkę Pao?

- Poproszę. I nie musisz używać mojego tytułu, myr Star, oczywiście z wyjątkiem oficjalnych okazji.

Dayan i Zannez wymieniają wymowne spojrzenia. Zannez wraca oczy.

- Jakie są zależności między panem a tymi ludźmi, myr Zannez? - pyta po namyśle Dayan.

- Określone kontraktem. Jestem pracodawcą kontraktowym.

- Zannez opiera nogę o stół, by ją pomasować. - Przepraszam.

- Kontraktem zawartym z ich rodzicami lub opiekunami, jak rozumiem?

- Nie. Bezpośrednio z nimi.

- I jest dla nas wspólny - woła Star od lodówki. - Nie jest taki jak inni. Kochamy Zanniego.

- Wydają się odrobinę za młodzi, by decydować o formie swego zatrudnienia - nie ustępuje Dayan. - Ile lat ma ta dziewczyna?

- Trzyście, prawie czterście. - Zannez przerywa masaż i wbija wzrok w podłogę, mówiąc: - Na Gridworldzie pięćdziesiątka mogą podpisywać ważne kontrakty.

- Ważne? To znaczy egzekwowalne sądownie?

- W każdym sądzie. Ostatnio od pracodawców zaczyna się wymagać przedstawienia zaświadczeń, że dzieciak cieszy się dobrym zdrowiem albo że poddawany jest leczeniu, jeśli na coś choruje.

Dayan przetrawia to przez minim, a potem mówi miękki głosem:

- Wygląda na to, że któregoś dnia Federacja może wciągnąć ten wasz Gridworld na czarną listę.

Zannez śmieje się, lecz w jego śmiechu nie słyhać rozbawienia.

- Och, nie uda im się. Już tego próbowano. Ich obywatele żądają naszych produktów.

Książę Pao pochłania już drugą porcję sanicha. Teraz oblizuje palce, mówiąc z namysłem:

- Oczywiście zamierzam odkupić od pana kontrakt myr Star, myr Z., o ile się pan zgodzi.

- A niby czemu nie? Och, bogowie, jestem mięczakiem. Ze-spół diabli biorą. Pozwalam Snake'owi i Hanny zaciągnąć się do Patrolu.

- W takim razie wychodzi na to, że nie ma pan wyboru - odpowiada sucho Dayan. - Zaakceptowane zaciągi mają pierwszeństwo przed kontraktami cywilnymi. Ale cieszę się, że rozstanie przebiega po przyjacielsku.

- Och, oczywiście, ale drugiego takiego zespołu już nie zbiorę.

Dayan przypomina sobie prośbę Córy.

- Nie sądzę, żeby pan potrzebował to robić, myr kamerzysto.

Powiedział już ktoś panu o nagrodzie?

- Nagrodzie? Jakiej nagrodzie i za co? Nikt nawet jeszcze nie widział mojego dokumentu - filmu dokumentalnego.

Dayan wybucha śmiechem.

- Nie chodzi o żadną audycję. Nagroda dotyczy czegoś, o czym powiedział pan myr Córy. Lepiej niech sam pan z nią rozmawia. - Namyśla się przez moment. - A przy okazji, hm, proszę od razu się pożegnać.

Następuje chwila milczenia.

- Taak - mówi Zannez. - Dziękuję, kapitanie. Świetnie!

Czyli wy, młodzi, już się urządziliście. Zaraz, jeden minim. Jestem dla Star jak ojciec, bo też nikt nie był z nią bliżej ode mnie, więc lepiej zapytam od razu, co zamierzasz uczynić z nią na Pavo, książkę? Lepiej byłoby, gdyby została ze mną, niż gdyby miała zostać porzucona na obcej planecie.

- Och, to jej nie grozi. Szanuję pańskie zatroskanie, myr Zannez.

- Pao wybiera sobie sanicha z kiełbasą. - Otrzyma pan wszystkie niezbędne oficjalne dokumenty, jak również i okresowe sprawozdania, jeżeli będzie pan sobie tego życzył. Zamierzam mianować myr Star królewską konkubiną klasy A. To stanowisko chronione konstytucyjnie - przywilej wszystkich królewskich konkubin i małżonek. Mam tutaj egzemplarz naszej konstytucji, gdyby chciał pan...



- Świetnie, ale nie teraz. - Zannez pociera dłonią kark.

- Oczywiście otrzyma pan swoją kopię. Później awansuje na pozycję starszej pani domu, nieformalnej pani domu klasy A. Będzie organizowała różne przyjęcia, wyszukiwała utalentowanych ludzi, mnóstwo czasu zajmuje nam ceremoniał królewski - wzdycha, niespodzianie na moment wychodzi z niego chłopiec. - Jeden z elementów dyplomacji. - Rzuca się na dojrzały owoc lopin.

Zannez marszczy czoło.

- Nieformalnej co? Rozumiem. - Sam również sięga po lopin. - A jaka jest pozycja małżonek?

- Cóż, jeśli myr Star wykaże się jeszcze innymi uzdolnieniami i zda egzaminy, z radością wyniosę ją do godności pierwszej królewskiej małżonki. W przeciwnym razie będę musiał wybierać między Alwynem a Rajem Jo - to dwa zależne od nas światy - gdzie czekają na mnie, hmm, dziewczęta w wieku zdatnym do małżeństwa. - Wzdycha. - Rozumie pan, pierwszą królewską małżonkę będę musiał widywać dosyć często, kimkolwiek by ona była. Dostaje też szansę spłodzenia dziedzica tronu. Później staje się pierwszą starszą panią domu pod względem formalnym. - Wzdycha ponownie. - Owe statusy - A, B, pierwszy, drugi, trzeci - to godności dożywotnie. Wszystko jest zaplanowane i zaprogramowane; to również element naszej działalności dyplomatycznej. Szczególna rozrywka to to nie jest - dodaje ze smutkiem. Na pocieszenie wybiera sobie kolejny owoc.

- Hmm - mówi Zannez. - Hmm! No i jak to brzmi w two-

ich uszach, Star? Nie oddam cię wbrew twojej woli, Star, kochanie.

- Już trochę zdążył mi o tym opowiedzieć - odpowiada, patrząc na niego rozszerzonymi oczyma. - Myślałam, że żartuje.

Brzmi bombowo.

- Przenigdy, moja Star - stwierdza Pao. - A tak przy okazji, tego słowa będziemy musieli się pozbyć.

- Jakiego? Bombowo?

- Tak. Brzmi strasznie.

- Muszę się wiele nauczyć - mówi skromnie.

- Owszem. Ale na pewno ci się uda. Obserwowałam cię, jak uczyłaś się ról.

- Obserwowałaś mnie? - dziwi się.

- Ciekawe, co tam jeszcze jest w tej lodówce - zastanawia się Zannez. - Zechcesz mi towarzyszyć, książę?

Pao nie trzeba ponaglać. Kiedy odkrywają naczynia z pikantnymi bickletami, raz jeszcze wzdycha ciężko.

- Coś nie tak?

- Skoro tylko doktor Baram się obudzi, muszę go przeprosić.

- Za co? Ach, za tę "gafę". Może masz ochotę nam o niej opowiedzieć?

- Czemu nie. - Chłopiec rzeczywiście wygląda na przygnębionego. - To straszne, kapitanie Dayan, to z mojej winy myr Linnix pojmana została przez tego odrażającego człowieka. Gdybym tylko zdążył na czas...

- A co się stało - pyta Zannez - musiałeś iść się wysikać?

- Gorzej. Kiedy podkładałem się dachem do pokoju Yule'a i Hiner, głupio wpakowałem się w jedną z sieci, jakich zapewne użyli do złapania Dameii. To niewybaczalne. Szkolono mnie w ich stosowaniu, a myr Kip wyraźnie o nich wspomniał. A ja wdepnąłem wprost w jedną z nich. - Wydaje zde gustowany dźwięk i odgryza kęs bickleta. - Wciąż jeszcze mam na sobie jej fragmenty.
- Sieci? Masz na myśli te lepkie klejosieci? Są przecież nielegalne.
- Zgadza się. Jest pan z nimi zaznajomiony?
- Używaliśmy klejosieci w jednym filmie; musieliśmy nożami uwalniać z niej troje ludzi. Prawie się udusili. I są drogie.
- Musieli się szarpać. To je zaciska.
- Jak jasna cholera. Jak udało ci się uwolnić?
- Przeszedłem odpowiednie szkolenie. To draństwo leżało na dachu; Yule albo Hiner musieli ją niecelnie wystrzelić. Zauważyłbym ją, gdybym patrzył pod nogi, tak jak należało. Ale byłem niestaranny. - Jest naprawdę zły na siebie, spostrzega Dayana. Przychodzi mu do głowy, że chłopiec może okazać się nie lada tyranem, jeżeli Star nie potraktuje poważnie udzielanych jej lekcji.
- Zadufanie - mówi posępnie Pao. - Byłem w połowie kroku, z jedną nogą uniesioną do góry - postawienie jej zajęło mi prawie dziesięć minut - a kolejne pół godziny wydobywanie noża. Trzeba poruszać się powoli -- powoli - powoli - powoli, a przez cały czas wiedziałem, że powinienem się pospieszyć. To było okropne. Mogę jedynie powiedzieć - zwraca się do Dayana

- że ani razu jej nie zaciągnąłem.

- Dobrze. - Dayan kiwa głową.

- Nawet jeżeli ma się już w dłoni nóż, trzeba wiedzieć, jak ciąć - tłumaczy Zannezowi. - Ho, ho! Niewątpliwie dostałem nauczkę, lecz jakim okropnym kosztem, kosztem my r Linnix i doktora Barama - i tego małego dziecka Dameii.

- Każdemu to się mogło zdarzyć - mówi Zannez, lecz Pao ignoruje go. Pao nie traktuje siebie jako "każdego", zauważa Dayan.

- To niewybaczalne - powtarza Pao i przez minim przeżuwa w milczeniu. - Muszę wyznać to doktorowi Baramowi i myr Linnix. Ale jak mogę im to wynagrodzić? - Raz jeszcze przeistacza się w ujmującego chłopca.

Dayan przysłuchuje się z zainteresowaniem przyszłemu monarsze Pavo, robiącemu sobie wymówki nad obfitym posiłkiem. Apetyt ma niewątpliwie chłopięcy. Czyżby federacyjne wymagania edukacyjne były odrobinę zaniżone?

- Już wiem! - woła Pao, przełykając szybko. - Oczywiście to nie wystarczy, ale lepsze to niż nic. - Metodycznie się rozprawia z ostatnim bickietem. - Doktor naprawdę potrzebuje urlopu po tych przejściach. I wydaje mi się, że myr Linnix pojedzie wraz z nim, mam rację?

- Na to wygląda - przyznaje Zannez. - Nie wyobrażam sobie, by w najbliższej przyszłości miała wrócić do służby na statku.

- Aha, to samo sobie myślałem. Tak więc mógłbym zaprosić ich oboje na Pavo. Muszę tam wrócić, wicie. - Krzywi się we-

soło. - Będą mogli się odprężyć i odpocząć - może Baram ma trochę badań do przeprowadzenia. - Starannie odnosi talerz na barek, potem otwiera lodówkę, by raz jeszcze zbadać jej zawartość.

- Mógłby skorzystać z naszych instalacji. Podobno są całkiem dobre. - Przynosi na stół nakrycie ze słodkim deserem.

- Mogę się o to założyć. - Zannez przeciąga się, rozprostowuje nogi i masuje krzyż. - Nigdy więcej. Hej, książę, jak podobało ci się nasze przedstawienie?

- Byłem pod wielkim wrażeniem. - Nagle rzuca w kąt swoją dorosłość. - Było cudowne! Jak powiedziałaaby Star, bombowe! Och, jak bardzo chciałbym umieć to robić. Zwłaszcza - łyżeczką rysuje w powietrzu salto w przód. - • Potrafisz tak zrobić?

- Już nie. Kiedyś umiałem, człowiek uczy się takich numerów, kiedy jest tak splukany, że nie stać go na dublera. Nauczyłem tego Snake'a.

- Ty? - Pao zastanawia się przez minim. - Mógłbyś mnie tego nauczyć?

- Tak, jestem całkowicie przekonany. Ale, książę, to nie jest takie bezpieczne. Mógłbyś się potłuc.

- Nieważne. Odrobina prawdziwego niebezpieczeństwa uważana jest za niezbędny element królewskiej edukacji. A narty i konie mnie nudzą. Mam prawo wyboru. - Prostuje się, jego twarz wykrzywia kpiarski uśmiech. - Myr Zannez, niniejszym zapraszam pana na Pavo w charakterze królewskiego nauczyciela akrobacji - wszystkie wydatki pokrywa strona zapraszająca. Co pan na to?

Zannez, ze wzniesionymi wysoko brwiami, wykrztusza z siebie coś o kontrakcie, potem o Bridey. Pao wyniośle macha tyżeczką.

- Wszystko da się załatwić. Prześlę odpowiednie dokumenty z Centrali. A myr Bridey może oczywiście panu towarzyszyć. Będzie idealnym towarzystwem dla myr Starcem - po lekcjach.

A Pavo będzie miejscem premiery pańskiego dokumentu o Damie - hej, chwileczkę, może pan też objąć funkcję konsultanta przy naszej ekipie holodokumentacyjnej. Są dobrzy, ale brak im polotu.

Starcem promienieje.

- Kocham Bride; nie mogłam znieść myśli, że opuszczam ją na zawsze.

Dayan, wysoce rozbawiony tym bajkowym obrotem spraw, odzywa się refleksyjnym tonem:

- Naprawdę chciałbym zobaczyć ten wasz numer, którym wykończyliście Hinera.

- Ależ zobaczy pan! - wykrzykuje mały księżę. - Prawie zupełnie zapomniałem. Wszystko jest w pańskiej przenośnej kamerze, myr Zannez. Przynajmniej mam taką nadzieję - poprawia się z nagłym niepokojem. - Odbylem zaledwie jedną lekcję obsługi tego sprzętu. Nie wiem, jak dobrze się spisałem. Po prostu zacząłem filmować, jak tylko dwójka pańskich podopiecznych wślizgnęła się do środka.

- Co? - Zannez jest po prostu ogłupiały.

Pao powtarza całą wypowiedź.

- Słuchajcie, ja chyba śpię i to wszystko tylko mi się śni?

- Z poważną miną Zannez szczybie się dwukrotnie i potrząsa głową. - Nagroda, oferta pracy - a teraz to. Chwileczkę, książkę, zdjęcie osłonę z obiektywu?

- Naturalnie. - Powrócił Superchłopak.

- No, no. W takim razie wszystko nakręciłeś. Bogowie najwspanialszy numer w naszej karierze, i już myślałem, że wszystko przeminęło z wiatrem. A ty mi mówisz, och, człowieku... - Zrywa się na równe nogi, zauważalnie powstrzymując się przed zaduszeniem Pao z radości. - Muszę to zobaczyć! Kamero, kamero, gdzie jesteś? Czółko wszystkim!

Rusza z kopyta w stronę szpitalika, Pao odstawia naczynie i pędzi jego śladem.

Dayan myśli już, że chłopiec kompletnie zapomniał o królewskiej konkubinie klasy A, lecz przy oznaczonych czerwonym krzyżem drzwiach Pao zatrzymuje się, by zawołać:

- Och, do zobaczenia, kapitanie. Do później, myr Star!

Posyła jej eleganckiego całusa, a potem gna za Zannezem, stając się na powrót chłopcem.

W salonie zapada cisza; Dayan spogląda na uroczą dziewczynę-dziecko u swego boku.

- Cóż, mała damo, jak też spodoba ci się na Pavo, jeśli całe twoje życie zostanie zaplanowane za ciebie?

- Och, bom... nie, hmm, bardzo, proszę pana. - Kiwa poważnie głową. - Widzi pan, moje życie na Gridworldzie też było

szczegółowo rozplanowane. Tyle że wszystkie zmiany były zmianami na gorsze. Mam nadzieję, że na Pavo pozwolą mi się dużo uczyć. No, kontynuować naukę. Och, tak bym tego chciała. Raz byłam w bibliotece. Jest tyle rzeczy, o których mogłabym się uczyć, a i tak nie poznałabym wszystkiego. Pewnie dla pana to nic nowego.

- W żadnym wypadku - odpowiada, uświadamiając sobie nagłe poczucie winy. - Powiedz mi, myr Starcem, a może powinienem mówić teraz na ciebie Sharon?

- Och, nie, proszę. Sharon odeszła. Nigdy nie istniała.

- Chyba masz słuszość. W takim razie, myr Star, powiedz mi szczerze: czy twój książę naprawdę jest małym chłopcem? Ma tyle lat, na ile wygląda? Znasz jego prawdziwy wiek?

- Tak, proszę pana. - Uśmiecha się olśniewająco. - Dopiero co skończył jedenaście lat. Wyjawiał mi datę swych urodzin w dniu, kiedy się poznaliśmy. Jest o dwa lata młodszy ode mnie. Ale nie myślę, by miało to większe znaczenie. A pan, panie kapitanie? Zwłaszcza kiedy twierdzi, że będę się właściwie starzeć?

- Nie - przyznaje poważnie Dayan. - Myślę, że dwa lata różnicy nic nie znaczą. Ale trudno uwierzyć, że ten chłopak nie jest znacznie starszy, niż na to wygląda.

- Znaczy dlatego, że jest taki dorosły? Ludzie mówią "dojrzały", ale to tak okropnie brzmi. - Przechyliła głowę, przypatrując się mu uważnie. - Czyli tak naprawdę, naprawdę pan mu nie wierzy?

- A powinienem? - chrząka Dayan.



- Myślę, że tak. - Stareem kiwa głową. - Widziałam dokumenty - z Pavo - coś ma się wydarzyć, kiedy skończy dwa-  
naście lat: "Wiek męski". To dlatego musi wrócić do domu. Zannie  
też go o to wypytywał; wtedy właśnie wyciągnął te papiery. Jest  
taki dojrzały - hmm - przez to, jak oni traktują dzieci na Pavo.  
Zwłaszcza dzieci, momencik - zadziera głowę, wyężając pamięć;  
stanowi teraz uroczy widok - przeznaczone do wielce odpo-  
wiedzialnych zadań. Tak. On jest właśnie jednym z nich, prawda?  
Więc, jeden starożytny filozof, Miles albo Mills, zapomniałam jego  
nazwiska - teraz muszę zacząć się uczyć i zapamiętywać, prawda?

- Owszem, mała damo. I cóż uczynił ten starożytny mąż?

- Powiedział: "Trzymajcie takie dziecko z dala od innych  
dzieci. Nie marnujcie jego najlepszych wczesnych lat na uczenie  
go, jak ma być dzieckiem". Bo i tak będzie musiało się tego od-  
uczyć, nie? Tak więc od początku przebywał w towarzystwie do-  
rosłych. Inteligentnych dorosłych, najlepszych. Nawet jego matce  
nie wolno było mówić do niego dziecinnym głosem.

- Chcesz powiedzieć, że Pao nigdy nie miał się z kim bawić?  
Musiało mu być trudno.

- Ależ nie. Dorośli się z nim bawią. Teraz bawi się z nim  
Zannie, prawda? Po części ponieważ jest księciem, ale przede  
wszystkim dlatego, że jest -jakiego słowa powinnam użyć, panie  
kapitanie?

- Hmm. Słowo na określenie Pao? Cóż, "ułożony" to słowo,  
jakiego używaliśmy na Horseheadzie.

- "Ułożony" - brzmi ładnie. On taki jest. - Wzdycha. -

Ja też muszę nauczyć się być ułożoną. Przenigdy nie chciałam przynieść mu wstydu. Myśli pan, że będę w stanie?

- Tak.

- Mam nadzieję. - Wzdycha raz jeszcze, w zamyśleniu. -

W pewnym sensie z nami, ze mną też to zrobiono. Zawsze przebywamy z dorosłymi. Ale oni niczego nas nie uczą poza odrobiną aktorstwa i poza seksem - a i tego nie robię dobrze.

- Co masz na myśli? - pyta Dayan, zapominając o ostrożności. Jest zafascynowany tą delikatną, świeżo wyglądającą dziewczyną, wychowaną w warunkach, które w jego wyobraźni kojarzą się jedynie z odrażającymi podludźmi.

- No, wie pan. Ja nigdy, och! - Zastania usta dłonią. - Zanim powiedział nam, żebyśmy nigdy nie rozmawiali z ludźmi kosmosu, żeby ich nie obrazić. Nie chcę pana obrazić, panie kapitanie Dayan.

- Nie możesz mnie obrazić, myr Star. Skoro to ja zadałem to pytanie, winić mogę jedynie siebie. Co chciałaś powiedzieć po tym "nigdy"?

- No cóż. Nie znam pańskiego określenia na to, ale czy będzie dobrze, jeśli powiem, że nigdy nie robiłam, och, no, wie pan, nigdy z kimś, kogo bym lubiła? Oprócz Hanny, Bridey i Snake'a, ale oni się nie liczą.

Dayan jest osłupiały. Z dworu dobiegają jakieś krzyki, powinien sprawdzić, co się tam dzieje, ale to musi poczekać jeden mi-

nim. Spośród stu pytań, których nie potrafi ubrać w słowa, wszystkim, co wydostaje mu się z gardła, jest:

- Dlaczego oni się nie liczą?
- Bo to tylko ich praca, rozumie pan. Jak moja. A Hanny i Snake naprawdę siebie lubią. Ja nigdy nikogo tak nie lubiłam -- dodaje smutnym głosem. - Ale Pao mówi, że to jest w porządku, że to tylko szkolenie. On też musi się szkolić -- dodaje.
- Dla chłopców to jeszcze ważniejsze. A potem będzie lubić już tylko mnie. On mówi, że takie lubienie dojrzewa, nie przychodzi od razu, jak w opowieściach. Cieszę się, że z nim będę. Kapitanie Dayan, myśli pan, że to naprawdę możliwe, żebyśmy siebie lubili? Przynajmniej na jakiś czas?

To poważne pytanie. Krzyki na zewnątrz również przybierają na sile. Musi tam pójść. Podnosi się, by odejść, i ujmuje jej drobną dłoń.

- Myślę, że prawdopodobieństwo jest duże, myr Star, i szczerze mam taką nadzieję, ze względu na ciebie.

Starcem również usłyszała krzyki i wszystko rozumie. Och, bogowie, myśli Dayan, ruszając do wyjścia, coś przytrafiło się Yalkyrowi, żołnierzowi odlewającemu tanie, połowe trumny.

Obnaża zęby w przelotnym uśmiechu. Te trumny to jedyna rzecz, co do której nie można mieć wątpliwości: znajdą się w nich Yule, Hiner i Ochter.

Technik pierwszej klasy Yalkyr, pracujący na dworze za stacyjnym warsztatem, przeklina przenośny zestaw do wykonywania prostych form z plastyku. To draństwo zaprojektowane zostało

z myślą o kartach, a Yalkyr kartem nie jest. Jest już późne popołudnie, on zaś wykańcza ostatnią z pięciu trumien, jakich potrzebuje kapitan. Wszystkie zamykane próżniowo. Ta stacja musi być pełna trupów. Gdyby tylko miał do dyspozycji swój warsztat z Rims-hota, już dawno miałby pracę z głowy.

Niemniej jednak planeta jest bardzo ładna; żadnych zagrażających ludziom niebezpieczeństw, zaś nieśmiali tubylcy stanowią podobno godny uwagi widok. Większość zabitych to typy z Mrocznych Światów, które przybyły tu, by kogoś porwać dla swych brudnych celów. To dlatego ciała muszą zostać zakonserwowane, dla sekcji kryminalnej.

Jak tylko skończy ostatnie pudło, pójdzie się wykąpać w tym zachęcająco wyglądającym jeziorze. A potem obejrzy sobie wszystko, co jest warte obejrzenia, jeszcze przed kolacją. Kolacja ma być podana na stacji. Miła odmiana, Yalkyr ceni sobie świeże jedzenie.

Zerka ukradkiem na migoczące za jego plecami jezioro - i zbyt mały pojemnik na rozgrzany plastik przechyla się. Nieco plastyku wylewa się na ziemię, krzepnąc szybko.

Yalkyr otrząsa się z zamyślenia i robi jeden krok w stronę szczytu. Jego stopa zagłębia się w kałuży plastyku i ślizga się, dymiąc.

Tracąc równowagę, wpada na zestaw odlewniczy.

W następnej sekundzie z jego gardła wydiera się ryk bólu, gdy gorący plastik rozlewa się po jego spodniach, przyczepia się i przepala materiał. Nie ma jak temu zaradzić; pada na ziemię, wijąc się z wrzaskiem wśród kałuż rozlanego plastyku, wszędzie

unoszący zapach palącego ciała.

- Doktora! Doktor Siri! - Inny żołnierz podbiega do niego, krzyżąc, i ściąga z niego puste formy, lecz niewiele może poradzić na gorącą substancję przylegającą do ciała, twarzy i ramion Yalkyry. Siri pojawia się szybko, jak zawsze. Chwyta puszkę rozpuszczalnika i oczyszcza najżywotniejsze fragmenty jego ciała, zanim jej zawartość się wyczerpuje. Od jej bezstronnych przekleństw pod adresem rozpuszczalnika, zestawu odlewniczego i Yalkyry ciemnieje powietrze.

- Lodu! Taity, wracaj tu zaraz z pierwszą garścią lodu, jaka ci wpadnie w łapy. Bing, zbierz cały lód, jaki tu mają. Razem z mrożonym jedzeniem. Biegiem!

Jeszcze większą pociechę stanowi jej wypełniona środkiem przeciwbólowym strzykawka. Teraz Yalkyr czuje się doskonale, gotów do dalszej pracy. Ale wcale tak nie jest, stracił mnóstwo skóry i potrzebuje banku tkanek Rimshota. Pomoc nadejdzie, lecz w ciągu najbliższych godzin jego życie zależeć będzie od profesjonalnej opieki.

Dayan przygląda się temu.

- Będę musiała zabrać go osobiście, Saul. Jak szybko Rimshot jest w stanie tu dotrzeć?

- W niecałą godzinę od nadania sygnału. - Już znika we wnętrzu wozu dowodzenia.

- Tymczasem wmuszę w niego trochę płynu i przygotuję nawilżone poście w tym ich transporterze. Czy twój wóz jest w sta-

nie zaholować go na pole startowe?

- Owszem.
- W takim razie do dzieła. Będę musiała zostać z nim przynajmniej do chwili, kiedy będę pewna, że pierwsze przeszczepy się przyjęły. To nieco odmieni nasze plany. Dobra, Rango i Maur, pilnujcie, żeby się nie ruszał. Unieruchomcie jego ręce. Rip, Jorge, chodźcie tu i pomóżcie mi go przenieść. - Rusza w stronę szpitalika Barama.

W rzeczy samej, to nieco odmienia ich plany, myśli Dayan, gnając wyboistą drogą ku lądowisku. Siri miała zostać z Kipem i Córy, dopóki Córy albo nie wydobrzeje, albo nie umrze. To pozwoliłoby Baramowi odlecieć z tym swoim rudzielcem, o którego tak drży; bogowie najlepiej wiedzą, że doktor zasłużył sobie na urlop.

Teraz jednak Kip pozostałby sam z tym, co nadejdzie. Tak nie można. Szkoda; wychodzi na to, że Baram zostaje.

- Dodaj gazu, Raili - mówi Dayan - parę wybojów mnie nie zabije. - Raili uśmiecha się radośnie i bierze zakręt na dwóch kołach. Dayan trzyma się kurczowo, zastanawiając się pospiesznie. Szkoda, że nie ma nikogo, kto mógłby zastąpić Barama.

We wstecznym lusterku spostrzega zaskakująco dużą gromadę skrzydlatych postaci, wzbijających się w powietrze nad zagajnikiem przy stacji, w blasku wieczornego słońca.

Wielkie, delikatnie drżące obrzeże świetlistego kręgu gwiazdy rozjarza się niesamowitym blaskiem na całej długości horyzontu,

podczas gdy światło słoneczne z wolna przygasa.

XXII

Cała Naprzód

Świt rozpala się pełnym blaskiem nad lądowiskiem na niewielkiej planecie Damiem. Dwie ogniste skry przesuwają się przez blade niebo, jedna maleje, druga opada ku planecie. Nad horyzontem migocze gasnący krąg opalizującego światła, którego źródłem nie było żadne słońce kosmosu; charakteryzuje się ledwie zauważalnym pulsowaniem, czy też nieregularnym rytmem rozbłysków.

Na skraju lądowiska stoi naziemny transporter, ciągnący za sobą platformę towarową. W transporterze oczekuje sześciu ludzi w cywilnych strojach oraz oficer Patrolu Kosmicznego. Do przyczepy przymocowana jest przywoitych rozmiarów sterta bagaży oraz długa, prosta wojskowa trumna.

Na przednim siedzeniu transportera siedzi bardzo stara, krucha kobieta. Kierowca obok niej jest przystojnym mężczyzną w sile wieku, który mógłby być jej wnukiem. Za nimi siedzi mężczyzna o siwych włosach i uderzająco błękitnych oczach, trzymający za dłoń zajmującą sąsiednie miejsce rudowłosą dziewczynę, której oczy odznaczają się podobną barwą. Jej druga dłoń spoczywa na ramieniu starszej pani. Za nimi siedzi kapitan Patrolu; przy nim dwóch młodych chłopaków, jeden hebanowoczarny, drugi opalony na brąz, o dziwnie skośnych oczach. Ich dłonie spoczywają blisko siebie, lecz się nie stykają.

- Zobacz nowy księżyc - mówi Córy Korso, zamglonymi

oczyrna spoglądając na wschód. - Jutro...

Kip, na sąsiednim fotelu, ściska szybko jej dłoń i zaciska szczęki. Potem na jego twarz powraca wyraz zniesmaczonego zadziwienia, jak gdyby po powrocie do domu nie znalazł swojego mieszkania, a dawni przyjaciele przestali go poznawać.

Kapitan Dayan odchrząka i zwraca się do swych młodych sąsiadów.

- Zakładam, że wy dwaj nie potrzebujecie kajuty pasażerskiej? Umieszczam was razem z załogą.

- Och, doskonale, panie kapitanie - odpowiadają razem. Potem Hanny chce się upewnić. - Panie kapitanie, czy wyżywienie jest takie samo?

- Lepsze - odpowiada Dayan, tłumiąc chichot.

- Przyjdziemy na górę odwiedzić panią, myr Linnix - mówi Snake - jeżeli nam pozwolą.

- To da się załatwić - potwierdza Dayan. - Tylko żeby żadnemu z was nie przyszło to do głowy na służbie.

-- Ależ nie, panie kapitanie. Skądże.

Wszyscy milkną, pochłonięci swymi sprawami.

Oczekują na zbliżający się do planety ładownik Rimshota, który wystartuje, mając na pokładzie kapitana Dayana, Hanny'ego, Snake'a i Linnix, udających się do FedBazy. Bez Barama.

Córy odzywa się zmęczonym głosem:

- Bram, to nie jest uczciwe, że musisz zostać. Jeśli to przeze mnie, proszę leć, Siri wróci już niedługo, Kip, kochany.



- Wiem - odpowiada Kip. - Bram, wiesz, co o tym myślę.

Leć. Twoja dziewczyna potrzebuje cię bardziej od nas.

Baram uśmiecha się i kręci przecząco głową. Jego twarz jest ściągnięta i zatroskana.

Było to dla niego okropnym ciosem, kiedy okazało się, że Siri musi pozostać na Rimshocie przy ciężko poparzonym żołnierzu i nie powróci prędzej niż za parę dni. Gdyby Baram odleciał teraz z Linnix, oznaczałoby to pozostawienie Kipa i Córy samych w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić - a Kip byłby jedynym strażnikiem. Tak być nie mogło.

Tak więc Linnix sama poleci do szpitala Bazy, by tam czekać na Barama. Siri oczywiście będzie pomagać jej na tyle, na ile potrafi, nie dysponując wszystkimi danymi. Baram ostrzegł Linnix i uprzedził Siri, by powstrzymywała dziewczynę od rozmów o incydencie ze skorpionem. Potem jednak Linnix będzie musiała samotnie czekać w Bazie, dopóki ktoś nie przybędzie, by złuzować Barama. A tak łatwo ją zranić, tak wiele grozi jej ze strony pierwszego lepszego idioty o dobrych intencjach, który zapragnie usłyszeć, co się wydarzyło. Baram ma nadzieję, że pobyt poza planetą zmniejszy zagrożenie, lecz jego serce buntuje się przeciw temu rozwiązaniu. Straszliwie obawia się grożących jej niebezpieczeństw - nie tylko natury fizycznej, nawet i śmierci, lecz także tego, by jakaś istotna część jej osobowości nie została przyciągnięta przez tę drugą, nie do końca unicestwioną rzeczywistość. A jeśli, gdy wreszcie do niej dotrze, znajdzie ją taką, jaka była kiedyś, bezmyślnym

ciałem?

Zasepiony ledwie uświadamia sobie, że Kip i Dayan wymieniają uwagi na temat obecności kilku Dameii w koronach flagowców nad ich głowami. I oto stary Quiyst spływa ku nim, podrywając do lotu chmarę ruchomych liści drzew. Kip wita go, a stary Damei odzywa się potoczyscie, wskazując na Dayana.

- Chce z tobą rozmawiać, Saul - raportuje Kip. - Nie wyraża się zbyt jasno, lecz wie, że jesteś naszym dowódcą. - Dayan rzeczywiście zasiada w Radzie Odbudowy Damiema.
- Proszę bardzo, o ile zechcesz nam tłumaczyć.
- Wygląda na to, że czekają na jeszcze jednego czy dwóch spośród swoich, zanim zaczną.
- Lepiej, żebyśmy zbyt długo nie czekali.
- Racja. Utrzymuje, że tofranivye - niezwykle ważne. Bogowie, nie mam pojęcia, co to może być; ochrypliśmy od przeprosin, oferowaliśmy zadośćuczynienie, do tego powstrzymanie napływu turystów, do tego zburzenie motelu. Bogowie świadkami, że na dobre utraciliśmy w ich oczach twarz.

Wzrok Dayana przenosi się na drugie, oddalające się światło, teraz już niemalże niewidoczne w blasku dnia. To ognie wylotowe Komety, zmierzającej ku Centrali Federalnej, obsadzonej wojskową załogą szkieletową. Zatrzyma się na asteroidzie, nieopodal Bazy, będącą stacją przeładunkową, gdzie ludzi Dayana zastąpi Race i jego załoga. Race zostaje zwolniony na podstawie ugody, w myśl której wraz ze swoim statkiem odda się w ręce ludzi z federalnej

Sekcji Odległych Światów, którzy kontrolują sprawy Damiema; oni wyznaczą mu karę, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

Humor Race'a uległ nieznaczej poprawie. Jako że statki Mo-  
omów nie przyjmują ludzkich pasażerów, jeśli nie towarzyszy im  
oficer logistyczny nadzorujący podawanie lodousypiacza, FedBaza  
płaci Race'owi pokaźną liczbę kredytów za przewóz pięciorga po-  
zostałych przy życiu ludzi i czterech trumien do Centrali. Owe og-  
nie niosą Zanneza, Bridey, Starcem, Pao i nieszczęsną markizę,  
wciąż milczącą i uśmiechniętą w łóżku swej bliźniaczki. Księżę  
Pao i jego Star wraz z Zannez i Bridley w Centrali przesiądą się  
na statek zmierzający na Pavo - uznano, że negocjacje wokół kon-  
traktu Zanneza i praw autorskich do jego dokumentu przebiegać  
będą znacznie sprawniej, jeżeli nie będzie znajdował się w zasięgu  
macek Gridworldu. Obie zaś markizy, ta martwa i ta żyjąca, oddane  
zostaną pod opiekę oczekującego na nie lorda protektora Krańca  
Tęczy, podczas gdy szczątki trojga przestępców trafią do Wydziału  
Specjalnego.

Pożegnania były bardzo wylewne: w tej wielkiej Galaktyce roz-  
stający się przyjaciele mają niewielkie szansę na ponowne spotkanie.  
Ogień Komety na pewno skrywają niejedne wilgotne oczy. Tu, na dole,  
Snake i Hanno spoglądają od czasu do czasu w górę, bez uśmiechu.

- Niewielu spotyka się ludzi takich, jak stary Zannie - mówi  
Snake. Hanno przytakuje bez słów. - A kiedy znowu ujrzymy  
Superchłopa, pewnie będziemy musieli zwracać się do niego  
Wasza Wysokość. - Obaj wzdychają.

Dayan patrzy, jak ognie Komety pozornie stają się niewidoczne, lecz nie odwraca wzroku i wkrótce w nagrodę za wytrwałość jego oczom ukazuje się krótki rozbłysk, gdy prowadzona przez pilota Dayana Kometą przechodzi na napęd międzygwiazdny. Dayan kiwa głową i przenosi spojrzenie na opuszczający się ku nim ładownik. W tej samej chwili ożywa odbiornik transportera. Wśród gwizdów i trzasków z orbitującego nad ich głowami Rimshota nadchodzi zakodowana wiadomość. Dayan pochyla się, by przytknąć ucho do głośnika.

- Powtórz.

Świsty ponawiają się.

Gdy Dayan odpowiada, jego zwykle miękki, nosowy głos staje się tak przenikliwym dudnieniem, że jego towarzysze krzywią się odruchowo. Ku swemu zdziwieniu Kip i Baram wychwytyją frazę "sześćdziesiąt sześć" - powrót na statek - a także inną grupę zakodowanych sygnałów.

- Co jest grane, Saul?

Niebo rozjaśnia się rozbłyskiem płomieni z ładownika.

Dayan uśmiecha się szeroko, grymasem, który oznacza, że ukrywa jakąś tajemnicę.

- Nowy pasażer.

- Nie Siri? - pyta Baram.

- A-a. - Uśmiech staje się szerszy. - Co powiecie, ludzie, na małą niespodziankę? Spróbujecie zgadnąć, kto postanowił wpaść do was z wizytą?

Odpowiadają mu zdziwione spojrzenia.

- Co byście powiedzieli na to, że leci do was wasz stary kumpel Pace Norbert, pierwszy strażnik Damiema?

- Co? Ale on przecież...

- Zgadza się. Ale wygląda na to, że ta dobra duszyczka usłyszała, że macie kłopoty, i wcisnęła się do jednoosobowego kokonu transportowego, by przylecieć aż tutaj i wam pomóc. Właśnie przybił do mojego okrętu.

- Nie mów! - Kip promienieje; nawet Córy sili się na uśmiech.

- Myślisz, że Norbert może zastąpić doktora, dopóki nie przywieziemy wam z powrotem Siri? - pyta Dayan. - Słyszałem, że od czasu, gdy widzieliście się ostatnio, złożył egzaminy lekarskie.

- Racja, bawił się medycyną - przypomina sobie Kip. - Pace Norbert! Nie do wiary!

- Cudownie - szepcze Córy; cudownie dla Barama; ona jedyna rozumie, dlaczego doktor musi zostać blisko Linnix: aby utrzymać ją przy życiu. Córy także wyraźnie widziała jej śmierć.

Baram i Linnix patrzą to na Dayana, to na Kipa i Córy. Baram nigdy jeszcze nie spotkał byłego strażnika, nie był świadomy ich przyjaźni. Czy to oznacza?

Owszem. Kip i Córy są zachwyceni zamianą Barama na towarzystwo Pace'a Norberta. W rzeczy samej, perspektywa pojawienia się nowej twarzy, starego przyjaciela, w miejsce biednego zatroskanego doktora wielce cieszy Kipa.

- Widzisz tamte człokoloty, które moi ludzie zostawili dla nas w charakterze dodatkowego bagażu? - pyta Barama Dayan. -•

Potrafisz pilotować coś takiego?

- Kiedyś umiałem. Dlaczego? - Baram jest tak szczęśliwy i przepełniony ulgą, że zapomniał o wszystkim innym.

- W porządku. Pomogę ci odpalić. Potem wracaj do stacji i spakuj wszystko, co dasz radę w dziesięć minut. Ruszaj!

Po paru mrożących krew w żyłach próbach uruchomienia człokolotu dawne umiejętności powracają i Baram odpywa wzdłuż drogi na bardzo rozsądnej wysokości. Linnix odwraca się w ślad za nim, jej oczy przypominają błękitne gwiazdy.

Na niebie iskra ładownika zauważalnie zmienia kierunek, teraz maleje, pnąc się ku górze i na północ, w stronę orbitującego wokół planety Rimshota.

Dayan wraca spacerem do transportera, gdzie wita go chmara roztrzepotanych skrzydeł Dameii. Pozostali delegaci musieli już przybyć i Dameii gotowi są do negocjacji.

- Hej, zjawił się Czarny Golya z Dalekiej Wioski - oznajmia Kip. Jego twarz pochmurnieje; Golya zawsze sprawiał kłopoty. -

A tamta to Juiyn! Dziwne. - Przechodzi na darnei i wita przybyłych.

Stary Quiyst odpowiada krótko, zamaszystym gestem wskazując Dayana.

- Pragnę zwrócić się do ciebie z czymś, co masz zaprotokółować i wykonać, Saul.

- Ja mogę jedynie przedstawić to na forum Rady. Lecz na-

turalnie wszystkie rozsądne żądania będą honorowane.

Quiyst cofa się, a po gałęzi na czoło grupy wysuwa się inny Damei z Dalekiej Wioski, znany Kipowi jako Yrion Czerwony. Składając skrzydła w formalnym geście, Yrion wygłasza całkiem długie przemówienie w damei, przerywane galaktyckim "Wysłu-chaj mnie!" Kip usiłuje tłumaczyć na bieżąco.

- Już tu nie chcą, nie chcą tu nas? To jestem w stanie zrozumieć. Nie, zaczekaj, nie życzą już sobie opieki Federacji w obecnym jej kształcie. Lecz nadal pragną ochrony w razie jakiegoś zagrożenia - chodzi o ciebie, Saul - większego szkolenia w galaktyckim, pomocy medycznej, i - poczekaj, czegoś - wielki Aferionie - czekaj.

Zadaje dwa pytania w damei.

Kiedy rozlegają się odpowiedzi, Dayan odnosi wrażenie, że słyszy słowa "Zy Wiast".

- No, nie! No, nie! No, nie! W imię wszystkiego, co święte! Oprócz ochrony, nauczycieli i tak dalej, domagają się czegoś na kształt przedstawicielstwa handlowego! Wygląda na to - wygląda na to, że zamierzają sami produkować i eksportować "Gwiezdne lzy"! Tak! I chcą też chemika, który pokaże im, jak destylować je z surowego nektaru. Wielki Aferionie w płomieniach! Oni chcą zarabiać pieniądze! Tłumaczyłem finansowe realia cywilizowanego życia Wytrze i wychodzi na to, że on przekazał to Juiyn, która z kolei podrajcowała swoją rodzinę z Dalekiej Wioski i... och, jej! Uważają nawet, że ludzie za możliwość oglądania ich powinni płacić!

- A do czego potrzebne im galaktyczne kredytyki? - pyta

zawsze praktyczny Dayan.

Kip tłumaczy to pytanie. Otrzymuje potoczną odpowiedź od Yriona Czerwonego; dołączają się i inni. Kip usiłuje powiedzieć coś, co brzmi jak kontrargument czy sprzeciw, lecz stary Quiyst ucina dialog:

- Rozmowa koniec.

- No, no! - mówi Kip. - W pierwszym rządzie pragnę systemu wodociągowego. Wygląda na to, że zmęczyło ich noszenie wody. Bogowie - zamierzaliśmy im to zbudować, skoro tylko znajdziemy bezszmerową pompę - ale wychodzi na to, że trochę się z tym ociągaliśmy. Nigdy nie wyglądali na niezadowolonych. Chcą też innych rzeczy. Pragną żyć jak my. Yrion mówi, że mamy spis przedmiotów - to będzie zapewne Federalny katalog handlowy, jak myślę. Cóż, życzą sobie kopię. Jejku, jej!

Córy kaszle, usiłuje coś powiedzieć. W końcu wydusza to z siebie, rżąc ochryple.

- Jak... jak zamierzają pozyskiwać nektar?

- Słusznie. Trafna uwaga. - Wypytuje Yriona. Raz jeszcze uzyskuje potoczną odpowiedź, uciętą przez Quiysta.

- No i? ..Zamierzają torturować się wzajemnie? - pyta Dayan.

Kip marszczy czoło.

- Nie sędzę. To, co mówił Yrion, sprowadzało się do tego, że znane są im dobre sposoby, choć nie wiem, czy ma na myśli "dobre i wydajne", czy też "dobre, czyli niezłe". Lecz stary Quiyst po prostu powiedział, że nic nam do tego. Wielcy szkarłatni bogowie!



- Wygląda na to, że twoi podopieczni dorastają - zauważa sucho Dayan.

- Ale co teraz pocniemy, Saul? Wolno im tak postąpić? Och, zapomniałem - chcą też korzystać z motelu; zabronili nam go niszczyć. Tyle jeśli chodzi o wrażliwość. I co ty na to?

- Wypowiadając się oficjalnie, mam wrażenie, że ich plan mieści się w granicach nakreślonych warunkami odbudowy - o ile ich metody, hmm, uzysku, będą cywilizowane. Nie pragnęlibyśmy, by zaczęli się nawzajem masakrować wiedzą o tym uśmierzaczu bólu Barama?

- Nie mam pojęcia, skąd mieliby wiedzieć. Ale oto i doktor.

Przyglądają się Baramowi sadzającemu człokolot na ziemi z nieznacznym jedynie szarpnięciem. Doktor zostawia swoją torbę w pojeździe i podchodzi do nich. W ramionach dźwiga zawinięty w koc pakunek.

Ogień ładownika pojawia się na powrót, opadając jak uprzednio

- lecz teraz niosąc na ratunek Pace'a Norberta. Zbliża się szybko, już słyszą dudnienie silnika.

- To zostaje przy mnie. - Baram starannie przypina niewielki pakunek do przewieszanej przez ramię podróżnej apteczki, skrytej pod płaszczem. - To nektar Dameii, nad którym zamierzam pracować.

Kip i Dayan wprowadzają go na bieżąco w sytuację. Nad ich głowami Dameii zaczynają odlatywać, jako że odgłosy ładownika przybierają na mocy.

Kiedy pytają Barama, co Dameii wiedzą o znieczulających

własnościach nektaru, waha się z odpowiedzią.

- Oczywiście nie miałem okazji im o tym powiedzieć - mówi. - Ale przekonacie się, że skład nektaru zmienia się, gdy dawca cierpi. Być może to element ich naturalnego systemu obrony przed bólem, a zatem może to być dla nich całkowicie normalne. Tak czy owak, po tych ostatnich rewelacjach nie zakładałbym ze zbyt-  
nią pewnością, co wiedzą, a czego nie. Mogą nas - was czekać  
nie lada niespodzianki.

Stary Quiyst odlatuje jako ostatni z Dameii. Zostaje na miejscu  
wystarczająco długo, by zadać pytanie.

- Chcę wiedzieć, czy rozumiałeś i czy zastosujesz się do ich  
życzeń - informuje Dayana Kip.

- Powiedz mu, że rozumiałem i że przekażę ich życzenia  
Radzie. A Rada na pewno podejmie jakieś działania - lecz za-  
pewne nie tak szybko, jak by sobie tego życzyli.

Quiyst, który rozumie nieco po galaktycku, znika, zanim Kip koń-  
czy tłumaczyć: podniebny ryk ładownika stał się już ogłuszający.

Gdy włączają się potężne silniki hamujące, natężenie hałasu  
jeszcze rośnie. Tylko Córy słyszy krzyki Kipa pod adresem całego  
świata, fragmenty zdań wyrażających zdziwienie i zachwyt, na  
współ wypowiedziane skargi na temat zaplanowanego przez nich  
systemu wodociągowego, zaskoczenie wywołane tym, że Dameii  
wiedzą o istnieniu Federalnego katalogu handlowego, oszołomie-  
nie płynące z ich pragnienia zmiany, trwającego od niepamiętnych  
czasów trybu życia, ponure wizje rozczarowania, jakie ich czeka,

niepewne słowa wyrażające coś na kształt niesmaku. Wśród całego tego zgietku Córy jedno słyszy wyraźnie:

- Wiecie co, oni nawet wyglądali inaczej. Och, są piękni. Ale nigdy dotąd nie wierzyłem tak naprawdę, że wyewoluowali z owadów. Może tak postrzegali ich ten szatan, Hiner, i dlatego był w stanie... Och, bogowie, to wszystko zmieni.

Córy aż za dobrze rozumie, co to znaczy - pod maską podniecenia kryje się głęboka uraza, ból odrzucenia. A jeszcze głębiej spoczywa coś, o czym wie tylko ona, coś, co czeka, by się objawić - to, o czym mówił Vovoka.

A jej nie będzie tutaj, by pomóc mu przez to przejść, by dzielić to z nim.

Pragnie go pocieszyć, wziąć go w ramiona, jak niegdyś - czyżby było to zaledwie wczoraj? Zamyka ją jednak to złamane ciało staruchy, którego obawia się i nienawidzi. Może uda się jej pogłaskać go po rękę czy kolanie? Brak jej siły, przewróciłaby się na bok. Teraz odchodzę już nie z godziny na godzinę, myśli sobie: z minimum na minimum.

A musi mieć dosyć siły, by pomóc Kipowi powitać Pace'a; i trzeba jeszcze wydać ostatnie instrukcje.

- Bram, Bram - szepcze ochryple.

Przypadkiem Bram pochylił się do przodu między nimi, sądząc, że Kip pragnie, by go słyszano. Jego ucho jest przy jej policzku; obrót głowy o te kilka centymetrów kosztuje ją prawie wszystkie siły.

- Bram, Bram, słuchaj! - mamrocze ochryple. - Och, proszę!

Ach, słyszy ją!

- Tak, Cór!

- Zastryk stymulujący. Teraz. Szybko. Masz?

Baram jest wstrząśnięty.

- Tak, ale kochana Córy, przypomnij sobie! Spróbuj sobie

przypomnieć, przed czym cię ostrzegałem - ryzyko...

Córy zamyka oczy, mimo związanego z tym niebezpieczeństwa

potrząsa przecząco głową.

- Zastryk, teraz, pilne. Rozkaz, Bram. - To udaje się jej

powiedzieć wyraźnie. - Potem nieważne.

Posyła jej głębokie spojrzenie swych nieziemsko błękitnych

oczu.

- Proszę bardzo.

Ku jej zniecierpliwieniu jego zagłębione w apteczce dłonie wy-

dają się bardzo powolne. Na tyle powolne, że Córy coś sobie przy-

pomina. Kiedy zagłębia igłę w jej nieczułym tricepsie, Córy mówi:

- Bram, postaraj się mnie wysłuchać.

- Słucham, Cór.

- Bram - następny rozkaz. Nie... bezwzględnie ty i Lin-

nix... nie wolno wam...

- Nie wolno czego?

Och, bogowie, nie powiedziała tego?

- Nie patrzcie wstecz - wydusza z siebie. - Gdybym ja...

kłopot... nie wracajcie, nie patrzcie. Ona nie może ujrzeć... -

Jej głos staje się nagle wyraźny - lecz w następnej chwili czuje, jak z dziąsła wysuwa się jej jeden z przednich zębów, więc unosi rękę. Błagam, losie, ze względu na Kipa, nie pozwól mi odejść bezzębnej.

- Ty, Linnie, nie wracajcie - powtarza niewyraźnie. - Rozkaz! Nieważne, co się... Powtórz, proszę, Baram, kochany.

Baram wzdycha.

- Dobrze. Zabraniasz Linnix i mnie rezygnować z odlotu, jak zakładam.

Córy kiwa głową.

-• N-nie wracajcie.

- A gdy już będziemy na pokładzie, nie wolno nam wychodzić z powrotem na zewnątrz. Wszystko to bez względu na to, co - co mogłoby dzieć się za naszymi plecami, z tobą. Och, Córy, moja kochana, moja kochana, wiesz? Wiesz? - pyta chaotycznie, rozumiejąc przez to, po prostu, miłość.

Chwyta jej drżące, powykrzywiane, stare dłonie i całuje je czule, nieświadom tego, że popycha Kipa, pochłoniętego obserwacją lądującego promu. Ani Baram, ani Córy nie spostrzegają, jak gaśnie ryk ładownika. Gdy pojazd dotyka ziemi, krótkotrwały krąg ognia pochłaniającego poszycie zapala się wokół niego, potem przygasa.

Baram opada na swoje miejsce, gdzie czeka na niego uśmiechająca się ze zrozumieniem Linnie. Po chwili dziewczyna mówi:

- Ta wycieczka człokolotem musiała być ekscytująca. Zawsze

chciałam tego spróbować.

- Cieszę się, że nie widziałaś akrobacji, jakie wyczyniałem.

Zobacz, opuścili trap. Nigdy nie spotkałem tego Norberta, lecz

niech będzie błogosławione jego imię. - Ściska jej dłoń. Nigdy

więcej się nie rozstaną, o ile będzie to zależało od niego.

Córy, czekająca na moment, kiedy zastrzyk zacznie działać, zerka

ku ładownikowi. U szczytu trapu pojawia się szczupła męska postać.

Kip macha radośnie w jej stronę, uruchamiając silnik transportera.

- Będzie w porządku, jeśli teraz tam podjedziemy? - pyta

Dayan, przypomniawszy sobie o tym w ostatniej chwili.

- Ruszaj. - Nowy komplet opon z Rimshota jest żaroodporny.

Krótką jazdą ku trapowi niemalże pozbawia Córy przytomno-

ści. Jej mocne nogi, którymi niegdyś amortyzowała wstrząsy, to

już przeszłość. Kiedy przechyliła się w przód, czuje, jak pewne dło-

nie wsuwają się jej pod pachy, podtrzymując ją w bezpiecznej po-

zycji. To ta miła rudowłosa dziewczyna z tyłu, Linnix. Córy z wy-

siłkiem poklepuje ją po ręce.

Ale jak szybko wszystko się porusza! Baram i Linnix już wy-

siedli i wspinają się po trapie; przez głowę przelatują jej fragmen-

taryczne wspomnienia pożegnania. I oto Pace siedzi w pojeździe,

wymieniając pospiesznie uwagi z Kipem. Przywitała się już z nim?

- Cześć, kochany Pace - mówi, przewyciężając ból. I w tej

samej chwili jej serce zmienia rytm, gdy zastrzyk pobudzający

przychodzi jej z pomocą. Jej głos nabiera mocy, staje się czystszy.

- Przyleciałeś z tak daleka w kokonie transportowym? Bogowie!

- Nie było tak źle. - Stara się na nią nie patrzeć - a najdziwniejsze jest to, że i on bardzo się postarzał!

Córy podnosi upuszczony przed chwilą szal i zawija się weń.

- Jest bardzo kiepsko, prawda, Pace? I będzie jeszcze gorzej, zanim przyjdzie koniec. Co prawda to jak najbardziej naturalna kolej rzeczy. Tak wygląda kres życia każdego z nas. Traktuj to jako spojrzenie w przyszłość, zapowiedź tego, co ma dopiero nadejść. A teraz, Pace kochany, muszę wyznać ci coś w zaufaniu, ale daleko nie zakuśtykam. - Błagalnym spojrzeniem patrzy dookoła.

- Skoczę po bagaże - mówi Kip, wyslizgując się z wozu.

- Musimy załadować trumnę Vovoki - odzywa się nagle Dayan i rusza do ładownika, biorąc ze sobą obu chłopaków.

Pace zajmuje opuszczony przez Kipa fotel.

Córy zastanawia się przez minim.

- Pace, powiedziano ci, że to dzieło obcego?

- Tak, ale dlaczego, Córy, dlaczego?

- Ponieważ był ostatnim z Ylyracochan - ostatnim z ludu

Zamordowanej Gwiazdy - i jego misją było zgładzenie ostatniego pozostającego przy życiu członka załogi Deneba, okrętu, który to spowodował, Pace, to ja nim byłam. Byłam młoda, opętana przez wojnę. Kiedy regularni artylerzyści odmówili wykonania tego rozkazu, to ja okazałam się tym zbrodniarzem, głupcem, który odpalił ów zabójczy pocisk w stronę Ylyracochy. Posłali mnie do Rehabu, by wymazać mi pamięć, ale wszystko powróciło, skoro tylko Vovoka, ten Ylyracochanin, otworzył usta.

- Och, miłosierni władcy przestrzeni, Córy, żeby mścić się na dziecku.

- Pace, to nie było zupełnie tak, ale nie możemy tracić czasu.

Specjalnie wzięłam zastrzyk pobudzający, żeby ci o czymś powiedzieć. Proszę, wysłuchaj mnie, Pace.

- Jasne.

- Zanim umarł obcy, powiedział mi coś, co zmieniło postać rzeczy. Powiedział, że w odległej przeszłości, kiedy dysponowali już wysoką cywilizacją, niewidzialna istota, wędrująca przez kosmos, coś, zapewne spoza Galaktyki, jakimś sposobem spłynęło na Ylyracochę. Jego obecność była niewątpliwa; jego oddziaływanie przybrało formę wszechobecnego, wielkiego i narastającego piękna; jak powiedział Vovoka, "piękno, jakiego nikt dotąd nie widział ani sobie nie wyobrażał nawet w drzewach, chwastach, kamieniach takich jak te tutaj".

- A po wielu pokoleniach kontaktu z tym pięknem, lud Vlyracochy zaczął słabnąć i wymierać. Nie mieli żadnych wątpliwości, co do przyczyny tego procesu.

Przez moment dyszy ciężko, przyciskając dłoń do wyschniętej piersi.

- Córy, kochanie, nie powinnaś się tak wyczerpywać - mów mi Pace. - Odpocznij, połóż się na minim.

- Starzęję się - poprawka, umieram - z każdym minimem, Pace. Nie rozumiesz? Żadnego odpoczynku. Teraz albo nigdy. Proszę, słuchaj dalej, jest w tym pewien sens.



- Objawami tej choroby była straszliwa utrata nadziei, bezgraniczna rozpacz - połączona z czymś, co Vovoka określił jako "nienazwane pragnienie, którego nie sposób zaspokoić", tęsknota, jak sądzę. Jak gdyby ta istota żywiła się duszami oglądających ją ludzi. A potem powiedział: "A kiedy to coś zgromadziło już dosyć pożywienia, zmusiło nas do zbudowania" tego, co zniszczył Deneb. Było to gigantyczne dzieło sztuki, zawierające całą kulturę i historię ich rasy i naładowane energią, "tak by mogło wyruszyć przez Galaktykę, karmiąc się, rozmnażając". Widzisz, ono zawierało w swym wnętrzu tę istotę. Vovoka zdawał się zarówno wielbić ją, jak i zaciekle nienawidzić.

- Na samym końcu powiedział mi, że nie zrobiłam niczego złego, obracając ją w obłok atomów. A potem zwrócił się bezpośrednio do niej, mówiąc: "Teraz staniesz się na powrót tym, czym byłaś - nicością gnaną wichrami kosmosu, skąd pochwyciliśmy cię na naszą zgubę".

Pace milczy przez moment, kręcąc głową.

- Istota zła i cudowna zarazem, przerastająca zwykłe pojmowanie, o niczym takim nie słyszałem w naszej Galaktyce. Czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć, Córy?

- To tylko wstęp. - Zaczyna się męczyć. - Zrozum, Pace, ona została rozproszona na atomy. Jej cząsteczki przemieszały się z cząsteczkami Gwiazdy. Jeżeli wciąż jeszcze żyła albo spoczywała w uśpieniu,niosły ją wielkie fale wybuchowe, które przechodziły tędy. - Oddycha przez minim, potem jej słowa dźwięczą

mocniej.

- Ale czy wszystko przeszło? Może coś się tu zatrzymało, przyłgnęło do planety? A może uznano nas za nieodpowiednich żywicieli, o ile tak rozproszona istota może podejmować osądy?

Nie wiem.

- Wiem tyle, że jedyna istota, Ylyracochanin, który był świadkiem jej obecności, znał ją, powiedział dwie znaczące rzeczy.

Pierwszą już ci powtórzyłam, to że istota nasyciała pięknem "drzewa, chwasty, kamienie, takie jak te tutaj". Druga - był bardzo miłkliwe istotą, lecz w pewnej chwili wspomniał mi, że "światło na Damiemie ukazuje wszystko w przedziwnie pochlebnych kolorach", a Kip powiedział, że dodał coś w stylu: "Nie ulegajcie złudnemu uczuciu nadmiernego bezpieczeństwa".

- Sam wiesz, jakie tu wszystko jest piękne. Dameii - jeżeli się nie jest ostrożnym, można ulec wręcz chorobliwemu zauroczeniu nimi, Pace. Przy okazji, czy Dameii też to zauważają? Nie zapomnij się tego dowiedzieć.

- Najbardziej przekonujący jest brak najmniejszej wzmianki o pięknie tej planety czyjej mieszkańców w najstarszych raportach. Oczywiście nie sprawdziłam ich wszystkich, a wyszły one spod pióra ludzi pozbawionych szczególnie wrażliwości - żołnierzy, zbrodniarzy, inżynierów. Ale i tak... Widzisz, to były czasy sprzed przejścia pierwszego frontu, zanim Damiem zaczął egzystować w blasku eksplozji.

Znów oddycha chrapliwie, unosząc szybko rękę, by uciąć pro-

testy Pace'a.

- Gwiazda już odeszła, Pace. Nie wiem, czy jakaś część, cień jej przepychu i magii wciąż tu jest, albo będzie, i nie wiem, czy to dobrze czy źle. Boję się, boję; to zmierzają ku Galaktyce. Czy zarazi inne planety na swej drodze? Straszne. Ale chodzi mi o to

- Kip zanurzył się w gwiezdnych pięknie Damiema, ja także. Ja także. Żyliśmy, jak w zaklętym ogrodzie, Pace, wszystko lśniło. Tak. - Wstrząsa nią rżący kaszel, wygląda jak śmierć, lecz jakimś cudem wciąż jeszcze pozostało w niej trochę energii.

- Kiedy gwiazda odejdzie na dobre, wszystko może wydać się zimne, suche, wytarte. Szary, zwykły krajobraz. Może nawet Damiem będą podobniejsi do wielkich owadów. Ale chodzi o to

- znów ten potworny kaszel - o to, że Kip może okazać się bardzo chorym człowiekiem pod twoją opieką. - Ma rwany oddech i wysiłkiem prostuje się nieco.

- Pace, psychicznie on może być na skraju śmierci. Zabierz go z tej planety. Nie mogę rozkazać, tylko błagać. Usuń go stąd. Pace odpowiada powoli.

- Utrata złudzeń, co? Taka jest rzeczywistość, Cór. My wszyscy.

- Rzeczywistość. - Próbuje się roześmiać kpiąco, kaszląc i unosząc roztrzęsioną, słabą, powykrzywianą, poznaczoną żyłami rękę, przypominającą wiązkę zdeformowanych gałęzi.

- Taka jest rzeczywistość, Pace. Wczoraj to była ręka. Ludzie mówią: "Bądź realistą". Jak gdyby rzeczywistość potrzebowała zachęty. Mówię ci, Pace rzeczywistość nie potrzebuje przyjaciół.

Wybuchła cieniem dawnego śmiechu, który przeradza się w prze-  
rażliwe pokastywanie.

Pace wtóruje jej, przepętniony podziwem.

- Ach, oto Córy - Cór do samego... - Powstrzymuje się  
w ostatniej chwili.

- Samego, samego końca? - pyta, dysząc, a może usiłując  
się roześmiać. - Dziwna rzecz, wcale nie jest taki straszny, Pace,  
gdybym tylko mogła ci powiedzieć...

Jest już jednak za późno, naprawdę za późno, na zawsze. Je-  
szcze przez minim jej oczy rozpaczliwie spoglądają na niego, a potem  
Córy opada na fotel, skurczona, krztusząca się cicho, umierająca stara  
kobieta. Dopiero po chwili orientuje się, że pokastywanie to wykrztu-  
szone słowa:

- Nie wołaj Barama. Rozkaz, Pace, nie wołaj Brama.

Zamyka oczy, oddycha z głośnym świstem.

Pace przykłada ucho do jej piersi i uświadamia sobie, jak pot-  
worną cenę zapłacić musiała za ów zastrzyk pobudzający. Kip i Sa-  
ul Dayan stoją w pobliżu; przywołuje ich do siebie.

- Nie chce, byśmy wzywali doktora Barama - informuje ich.

- Mamy pozwolić im się zaokrętować. Saul, masz dosyć czasu,  
by odwieźć nas z powrotem do stacji? Wtedy Kip i ja będziemy  
mogli podtrzymywać ją z obu stron.

- Żaden kłopot. - Dayan wchodzi po trapie i zamyka włącz-  
nik za Baramem i Linnix. - Załadujcie jeden człokolot na transporter

- woła do swoich ludzi niosących sprzęt do luku ładunkowego.

- Wrócę na nim.

Kip i Pace przysiadają się do Córy, by zostawić dosyć miejsca Dayanowi na kierowanie pojazdem. Przednie siedzenia pomieszczą ich czwórkę, a ciasnota tylko pomoże. Gdy się usadawiają, Córy z olbrzymim wysiłkiem obraca głowę na tyle, by spojrzeć w górę. Widzi ukwiecone gałęzie drzew, strzelające łukami nad jej głową, na tle opalizującego nieba. Kwiaty wyglądają niczym lapisowo-niebieskie pióra, pokryte meszkiem liliowe obłoczki - zaś wśród nich ostatni raz widzi sierp księżyca, niknący w blasku wschodzącego słońca.

Wszystko wciąż jest piękne, jeśli jest w stanie to ocenić. Ale na horyzoncie nadal rysuje się pierścień gwiazdnego blasku; front gwiazdy jeszcze niezupełnie przeszedł nad Damiemem.

Jej ruchy wywołały niewielkie zamieszanie. Co za spojrzenia, co za posępne miny! Prosiła ich, by tego nie robili, zanim jeszcze zyskała ostateczną pewność. Gdybym tylko mogła im powiedzieć, jak czuję się w głębi duszy, myśli. Taka lekka i wolna, koniec wszelkich obowiązków. I nareszcie wiem wszystko; całe moje życie należy do mnie. Wszystko wiadome. Niczym dziecko na wysokim wzgórzu, niczym pierwszy lot samolotem - widzę wszystko, od horyzontu po horyzont, i wszystko ogarniam umysłem. Odkrywam prawidłowości tam, gdzie nie podejrzewałam ich istnienia.

Na przykład nadmierna czułość. Wobec Kipa, wobec kapitana Jeagera. Domyślałam się, że jego artylerzyści mają rację, lecz samotny, obłąkany heroizm Jeagera skruszył me serce. To samo z Yule'em i Hi-

nerem: wiedziałam, że powinnam pozbyć się ich z planety, lecz

uśmiech Kipa - ten kochany uśmiech - roztopił mój rozsądek.

A mały Ochter, nie potrafiłam przejrzeć jego patetycznej maski. Doprawdy, dowodzenie mnie przerosło. Ale teraz to już bez znaczenia.

Obserwujący ją przyjaciele ze zdumieniem widzą uśmiech rozciągający głębokie bruzdy jej twarzy. W następnej chwili unosi dłonie, gmerając przy ustach. Przekłęte zęby, usiłuje coś powiedzieć, obmacując skurczone dżiąsła. Rozmowa skończona. Ale to także jest już bez znaczenia.

Powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia. Baram będzie szczęśliwy ze swoją dziewczyną, a Pace został ostrzeżony. Kip będzie nieszczęśliwy, lecz Pace wywiezie go stąd i znajdzie się na jakiejś nowej stacji, ze swoim cudownym wyglądem, słodkim usposobieniem i swą cynobrową chustą, i wkrótce pojawi się inna kobieta.

Los uśmiechnął się nawet do tego śmiesznego, dzielnego kamerzysty i jego młodych podopiecznych, i do małego księcia. Nie powiodło się tylko biednej markizie - ale kto wie, czego pragną naprawdę ludzie bardzo obłąkani i bardzo bogaci?

Szczęśliwe zakończenie opowieści o wielkiej gwiazdzie, w rzeczy samej - z wyjątkiem tragicznej postaci małej Nyil. Nawet i ona powiedziała, że nie stało się nic naprawdę złego, gdyż mogła polecieć, polecieć w objęcia śmierci. Jakoś potrafię to zrozumieć.

A ja, dziwne, zapomniałam o sobie. Pewnie oni zaliczają mnie do grona osób tragicznie naznaczonych przejściem gwiazdy. Och, gdybym tylko mogła im powiedzieć - oni widzą jedynie rozkła-

dające się ciało; nie widzą, że przycupnęłam w nim niczym ptak na starym drzewie. Gdy drzewo runie, po prostu polecę dalej. Może kiedy się rozsypie, będę mogła po prostu odlecieć, wolna? Odlatując ku śmierci, jak Nyil?

Nie. To bzdura.

Róbcie, jak uważacie, kochani.

Teraz uruchamiają transporter. Ruszają - och, dobrzy bogowie, te wstrząsy! Wszędzie dłonie - usiłują utrzymać mnie w jednym kawałku, używając do tego wszystkich swych młodych sił. Obawiam się, że nic z tego. Ale nie jest tak źle, nie tak źle. Och, ból. Niewiele, tylko nie mogę oddychać, ból... nie mogę - BOGOWIE, DAJCIE MI POWIETRZA...

Co się stało? Co oni robią? Pojazd stanął. Pace - to chyba

Pace - ściska, objima mnie.

Och, proszę, to boli.

- Chyba mamy problem - słyszy. Nie, kochani. Wy macie problem. Ja nie. Och, gdybym tylko mogła im powiedzieć.

Problem w tym, że żyję. Przynajmniej z formalnego punktu widzenia.

Oni nie śmiają jednak ponownie uruchomić silnika.

A życie toczy się dalej. Jakże zawzięci są żyjący. To chyba

Saul Dayan za kierownicą, a okręt czeka.

Ale to taki piękny wschód słońca - taki przyjemny, świetlisty i bezkresny! Gdyby tylko mieli czas się nim nacieszyć. Kiedy się umiera, ma się czas na takie sprawy. I przy umieraniu nie potrze-

bujesz pomocy. Żadnych przygotowań. Możesz po prostu to zrobić, sama. Bezbłędnie za pierwszym razem.

Już niedługo - ale moje życie zostało mi zwrócone we właściwym czasie, w samą porę. W samą porę, bym na powrót stała się całością. Zastanawiam się, czy ten Rehab to dobry pomysł.

Przez cały czas żyłam niewyraźnie. Aż do teraz. Chyba powinno coś się robić dla ludzi, którym przydarzyło się coś niewyobrażalnie złego. Ale to amputacja. Przez cały czas byłam inwalidką.

Wciąż jeszcze rozprawiają o swoim "problemie". Halo! Jeden z moich małych przyjaciół.

Na przedniej szybie, w towarzystwie kilku liści, siedzi futrzasty, jaskrawo ubarwiony pajęczak wielkości ptaka, jak gdyby latający pająk. Zwykle wiodą nocny tryb życia. Jest koloru brzoskwiнового i zielonego, o jasnocynobrowych stawach kolanowych, w jego wielkich, słupkowatych oczach maluje się komiczne zdziwienie. Oczy Córy zasnuwają się mgłą, lecz udaje się jej jeszcze dostrzec, że jeden ze słupków skierowany jest w jej stronę. Teraz żałuje, że nie zignorowała przepisów i nie spróbowała któregoś oswoić, lecz to nigdy nie było w jej stylu.

- Dziękuję ci, Saul - szepce do siebie. Jego zwłoka podarowała jej ten ostatni widok.

Czuje kolejne szarpnięcia; Co to takiego? Aha, to Pace, ponownie przykłada ucho do jej serca. Usiłuje wstrzymać oddech, tak by mógł je usłyszeć, i nagle uświadamia sobie, jakiego ochryplego hałasu była źródłem. Charkotliwy wdech, charkotliwy wydech; char-



kotliwy wdech, charkotliwy kaszel-wydech; charkotliwy...

Pace spogląda na nią z bliska; Córy stara się odwzajemnić to spojrzenie,, w nadziei że może uda mu się dostrzec jakiś ślad iskry w jej zrujnowanych oczach. Może i tak jest. Pace cofa się, przepuszczając Kipa. Lecz Kip nie wie, co robić, w końcu muska ustami jej pokryty naroślami policzek.

Nie musiałeś tego robić, kochanie, pragnie powiedzieć, lecz jedynie pokastuje słabo - wdech, wydech; wdech, wydech; wdech, wydech...

- Jeżeli zaczniemy nią trząść, jej serce stanie - mówi Pace.

Jej słuch jeszcze funkcjonuje, do pewnego stopnia.

Musi się odezwać, musi. Mniejsza teraz o zęby. Musi. Usta, poruszcie się.

Za mało powietrza. Trzeba spróbować jeszcze raz.

Staraj się, staraj, na miłość boską. Olbrzymi wysiłek.

- Ona próbuje coś powiedzieć - mówi Pace. - Tak, Cór, kochanie, co takiego?

Znów wydaje z siebie jękliwy szept; dyszy kompletnie wyczerpana.

Kip mówi coś zupełnie niezrozumiałego. Córy myśli, że pojął jej słowa, lecz nie jest w stanie zmusić się do ich powtórzenia.

Spoglądając jej w twarz, Pace mówi wolno:

- Wydawało mi się, że to brzmiało jak "cała naprzód".

Tak, usiłuje powiedzieć iskra w jej starych oczach.

Kip krztusi się. Nie odznacza się szczególnie bujną wyobraźnią,'

lecz przywołany z pamięci obraz dziewczyny o brązowych włosach, stawiającej podczas śniadania bukiet jaskrawożółtych kwiatów na ich stole nagle kompletnie go poraża.

Trwa milczenie. Powietrze przedziera się z wysiłkiem przez wiekowe gardło: wydech, wdech; wydech, wdech; wydech, wdech; wydech, wdech.

Cała naprzód?

Dayan przerywa ciszę.

- Dobrze.

Ostrożnie uruchamia silnik, wrzuca pierwszy bieg. Transporter rusza, podskakując mimo jego wysiłków, kamienistą drogą pod pustym niebem Damiema.

REJONOWA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

im. A. Struga

Filia Ogólna - 2

54.129 Wrocław, ul. Drzewieckiego SBs

DODATEK

Spis postaci oraz glosariusz terminów, tytułów, miejsc i przedmiotów

Damiem - planeta.

Dameii - rasa, zamieszkująca Damiema, forma liczby mnogiej.

Damei - pojedynczy przedstawiciel rasy; także przymiotnik, np.

"muzyka damei".

1. Troje ludzi stale zamieszkujących na Damiemie, strażników Dameii:

Corrisón Estreel-Korso (Córy albo Cór): Pierwszy zarządca fede-

ralny Damiema, partnerka Kipa.

Kipruget Korso-Estreel (Kip): Zastępca zarządcy federalnego Damiema oraz oficer łącznikowy przy Dameii; partner Córy.

(Pary w partnerstwie na czas jego trwania przybierają nazwiska partnerów jako drugi element dwuczłonowych nazwisk. To ułatwia działanie skomputeryzowanej biurokracji. Choć Kip i Córy spóźniają się z przedłużeniem partnerstwa, zachowują dwuczłonowe nazwiska jako oznakę swych zamiarów).

Balthasar Baramji ap Bye (Baram lub Bram): Lekarz ksenolog, doktor Dameii. Bye to rozległe lenno feudalne Baramjiego na Strzaskanym Księżycu; "ap" stanowi dziedziczny tytuł ziemski. W domu jest apem z Bye, za granicą zaś po prostu starszym lekarzem, specjalizującym się w ksenologii.

2. Turyści, ludzie i inne rasy, wymienieni w kolejności schodzenia ze statku:

Zannez (Beorne - nie używa nazwiska; Zannie): Drugi reżyser i kamerzysta czworga spośród 35 gwiazd popularnego międzygwiazdowego programu gridowego z gatunku miękkiego porno, Absolutnie Perfekcyjnej Komuny.

Starcem Fada (Star): Pseudonim artystyczny. Jedna z czterech aktorów APK.

Hannibal Ek (Hanny lub Hanno): Prawdziwe nazwisko. Kolejny z czterech aktorów.

Snake Smith (czasami Snako): Stałe, choć przybrane nazwisko.

Trzeci z czterech aktorów, zawodowy akrobata.

Bridey McBannion (Bee): Prawdziwe nazwisko - odmawia używania swego filmowego imienia, Eleganza. Czwarta z czterech aktorów. Doskonale miota nożami.

Książę Książę Pao (Pao, książę, Superchłopak): Dziedzic królewskiego tronu na planecie Pavo. Jego pierwsze imię brzmi Książę.

Ser Xe Vovoka (Vovoka, lecz nie w jego obecności; "ser" to tytuł honorowy): Światłorzeźbiarz.

Doktor Aristrides Ochter (niekiedy Ari): Emerytowany profesor neocybernetyki-E.

Dama markiza Pardalianches (Pardie albo dama P.): Szlachcianka z Krańca Tęczy.

Dama markiza Paralomena (Lomena lub Loma): Bliźniacza siostra' damy P., sparaliżowana.

Mordecai Yule (Mordy): Badacz wodnych światów, zmierzający na sąsiednią planetę, Grunions Rising, na Damiemie przez przypadek.

Doktor Nathaniel Hiner (Nat): Akwamanin, również udający się na Grunions Rising, a obudzony na Damiemie przez pomyłkę; przedstawiciel Stowarzyszenia Akwamańskiego, badającego wodne światy dla celów uaktualnienia starej Aquatica Galactica. Akwamanie stanowią produkt uwieńczonych sukcesem starań dawnych genetyków, pragnących stworzyć zdolnego do rozmnażania się uskrzelonego człowieka, mogącego żyć tak w wodzie, jak i na stałym lądzie.

Linnix (Linnie - brak nazwiska): Oficer logistyczny opiekujący

się ludźmi na statku Moomów.

3. Pozostali ludzie (ludzie to zaledwie jedna z wielu ras, tak w obrębie Federacji, jak i poza nią, obok na przykład Dameii czy Moomów):

Kapitan Saul Dayan (Scooter): Kapitan krążownika Rimshot.

Doktor Siri Lipsius (Siri): Chirurg polowy z załogi Rimshota.

Yalkyr. Technik pierwszej klasy z załogi Rimshota.

Jordan Tally, Bing, Rango, Maur, Rip Jorge: Żołnierze z załogi Rimshota.

Raili: Kierowca wozu dowodzenia kapitana Dayana.

Poma (nie widziana): Oficer łączności z pobliskiej FedBazy.

Kapitan Race (nie widziany): Kapitan, właściciel statku czarterowego Kometa II.

Pace Norbert (Pace): Były strażnik Dameii przed Korsami. Obecnie doktor medycyny.

Kenter, Janny, Pete, Saro (jedynie wspomniani): Towarzysze Kipa z czasów wojny.

Kapitan Tom Jeager (jedynie wspomniany): Szalony dowódca pancernika Deneb z czasów wojny.

4. Dameii:

Quiyst: Starszy Damei, Rzecznik Bliskiej Wioski.

Wyrra (m), Juiyn (k): Para Dameii zamieszkująca w pobliżu stacji.

Nyil: Ich mała córka.

Feanya: Inny starszy Damei, przyjaciel Quiysta.

Zhymel: Starszy Damei z Bliskiej Wioski, członek grupy badającej

ludzi.

Czarny Golya: Dynamiczny Damei z Dalekiej Wioski.

Yrion Czerwony: Jak wyżej.

5. Moomowie (widziani i słyszani jedynie przez chwilę): Wielka, gruboskórna, powolna, praktycznie nieśmiertelna obca rasa, obsługująca większość federalnych linii międzygwiazdnych.

6. Swainowie (jedynie wspomniani): Inna rasa podróżujących po kosmosie obcych.

7. Statki:

Statek Moomów (nazwa nieznana): Kursujący mniej więcej regularnie federalny statek pasażersko-towarowy, obsługujący Obrzeże.

Rimshot: Federalny okręt wojenny Patrolu wydzielony jako osłona Damiema.

lądownik (brak nazwy): Niewielki pojazd stacjonujący na Rimshocie, mogący lądować na powierzchni planety (Rimshot nie jest do tego zdolny).

prom (brak nazwy): Niewielki pojazd stacjonujący na statku Moomów, mogący lądować na powierzchni planety (statek Moomów jest do tego niezdolny).

Kometa II: Pasażersko-towarowy statek czarterowy; wątpliwa własność dowodzącego nim kapitana Race'a.

Golan: Dawny statek federalny, jedynie wspomniany z nazwy.

8. Miejsca:

Obrzeże: Fragment obrzeża Mlecznej Drogi, który zamyka jedej

z łuków przedpola przestrzeni Federacji.

FedBaza: Skrót na określenie Bazy Federalnej; najbliższa Damiernowi FedBaza znajduje się w odległości około 100 minimów.

Grunions Rising: Najbliższa planeta w rejonie Damiema, w kierunku na Obrzeże. Stanowi punkt końcowy linii komunikacyjnej obsługującej Obrzeże. Wodny świat.

Kraniec Tęczy: Bogata planeta, ojczysty świat obu markiz.

Vlyracocha: Prawdziwa nazwa Zamordowanej Gwiazdy. Planeta zniszczona wraz ze swym słońcem i sztucznym satelitą pod koniec ostatniej wojny, tworząc front nowej, mijający teraz Damiema.

Gridworld: Kosmiczna planeta hollywoodzka, producent wszystkich programów nadawanych na gridzie, c-skipowej (nadświatłowej, NS) sieci komunikacyjnej łączącej systemy gwiazdne oraz inne kolonie ludzkie i ras obcych. Teoretycznie pod jurysdykcją Federacji, lecz w rzeczywistości niezbyt skrupulatnie przestrzegająca federalnego prawodawstwa.

Strzaskany Księżyc: Romantyczny, zacofany, feudalny świat; miejsce urodzenia doktora Barama.

Benebom: Świat o zaawansowanej technologii biologicznej oszalały na punkcie eugeniki, gdzie urodziła się Linnix

Pavo: Mały, lecz ważny świat, dziedziczne księstwo, którym władą będzie książę Pao.

Alwyn oraz Raj Jo: Planety sąsiadujące z Pavo, zależne od Pavo jako centrum finansowego, ekonomicznego i dyplomatycz-

nego (jedynie wspomniane).

Rehab: Z założenia oparte na współczuciu ąuasimedyczne centrum rehabilitacyjne dla pozostających w głębokim szoku ofiar różnych tragedii, zbrodni i aktów przemocy - niekiedy również i ich sprawców. P/Wymaz to sekcja zajmująca się wymazywaniem pamięci.

9. Glosariusz wybranych rzadkich terminów oraz określeń z języka

Dameii:

Yrrei: Słońce Damiema, gwiazda klasy GO.

V'yrre: Wiatr wiejący w kierunku WNW podczas damińskiej pory roku, w której ma miejsce przejście gwiazdy i związane z nim wydarzenia.

Avray: Duży (50 centymetrów średnicy) szkarłatny pajęczak, czyli tarantuoidalne zwierzę występujące na Damiemie. Jak wszyscy przedstawiciele fauny Damiema, wliczając w to i Dameii, posiada dodatkową parę kończyn w porównaniu ze swym ziemskim odpowiednikiem, w sumie dziesięć. Aczkolwiek nieszkodliwy, płochliwy i rzadki, darzony jest nawiścią przez Dameii, którzy się go boją i traktują jak zły omen.

Tochari, daguerre: Modele niebalistycznej broni ręcznej z czasów ostatniej wojny.

c-skip: Nadświatlny (NS) system łączności, oparty na wzbudzeniu tymczasowych zaburzeń we wzajemnych konfiguracjach pól grawitacyjnych. Wymaga przechłodzenia wykorzysty-



wanych w transmisji jąder atomowych.

myr, myrrin: Myr zastępuje zwroty "pan, pani, panna" i często dołącza się go żartobliwie, bądź też jako oznaka zażyłości przed imieniem albo przydomkiem człowieka. Myrrin to forma liczby mnogiej, odpowiadająca zwrotowi "państwo".

"bogowie", "władcy": Jako wykrzykniki zawsze występują w liczbie mnogiej i z malej litery; ta konwencja, obecnie stosowana automatycznie, stanowiła część traktatu, który, jak oczekiwali sygnatariusze, raz na zawsze położył kres wojnom i zamieszkom religijnym. Jedynie kiedy bóstwo wymieniane jest z imienia, co robi się tylko w żartach i z użyciem mitycznej istoty, wykrzyknik jest w liczbie pojedynczej. Wszystko to oczywiście nie ma żadnego wpływu na prywatne, osobiste modlitwy.

Saniche, smakosz/ci (oraz nazwy pożywienia w językach tubylczych): Rodzaje pożywienia.

Algotoksyna: Jak na razie, dzięki miłosierdziu losu, jest jedynie wytworem fikcji.

Zeranaveth: Węglowy klejnot podobny strukturą do barwnych diamentów, lecz jeszcze piękniejszy. Występuje jedynie na kilku planetach, takich jak Kraniec Tęczy, czy też system Alleluja.

Skanowanie

Skartaris

Wrocław 2004